

PIOTR DEMIANOWICZ USPIEŃSKI
FRAGMENTY NIEZNANEGO NAUCZANIA – W POSZUKIWANIU CUDOWNEGO
(In Search of the Miraculous Fragments of an Unknown Teaching / wyd. orygin.:
1977)

Prowadzone przez P.D. Uspieńskiego w Europie i na Wschodzie poszukiwanie nauczania, które odpowiedziałyby na pytania dotyczące Człowieka i Wszechświata, przywiodło go w 1915 roku do Petersburga, gdzie spotkał Georgija Gurdżijewa. W całym tekście tej książki Gurdżijew występuje jako G.

Fragmenty nieznanego nauczania są świadectwem ośmiu lat pracy Uspieńskiego jako ucznia Gurdżijewa.

G.I. Gurdżijew zmarł w 1949 roku w Paryżu, po udzieleniu pełnej zgody na równoczesne wydanie tej książki w Nowym Jorku, Londynie, Paryżu i Wiedniu.

SPIS TREŚCI:

OPIS ROZDZIAŁÓW

- ROZDZIAŁ I
- ROZDZIAŁ II
- ROZDZIAŁ III
- ROZDZIAŁ IV
- ROZDZIAŁ V
- ROZDZIAŁ VI
- ROZDZIAŁ VII
- ROZDZIAŁ VIII
- ROZDZIAŁ IX
- ROZDZIAŁ X
- ROZDZIAŁ XI
- ROZDZIAŁ XII
- ROZDZIAŁ XIII
- ROZDZIAŁ XIV
- ROZDZIAŁ XV
- ROZDZIAŁ XVI
- ROZDZIAŁ XVII
- ROZDZIAŁ XVIII

REGULAMIN KIPPIN

Przedruk jest kopią regulaminu a zarazem pliku ogólnoinformacyjnego

Poza formalnym regulaminem, poniżej możesz znaleźć dodatkowe informacje i uwagi prywatne z mojej strony. Dowiesz się między innymi jak można wesprzeć rozwój archiwum oraz w jaki sposób KIPPIN może pomóc w rozwinięciu własnych skrzydeł.

Korespondencja

e-mail awaryjny: kippin@poczta.onet.pl

proszę się upewnić pod www.kippin.prv.pl czy nie ma e-maila głównego

i jeśli jest to korespondować w miarę możliwości korespondować właśnie tam

Informacje uzupełniające

Zanim przejdę dalej czuję się zobowiązany powiedzieć parę słów na temat "dlaczego?". Formalna odpowiedź brzmi: "uważam, że każdy ma prawo do darmowego pozyskiwania informacji o charakterze dydaktyczno-edukacyjnym, a zawartość KIPPIN, w swej internetowej postaci, według mnie takie cechy nosi". Od siebie miałbym właściwie nieco więcej do powiedzenia.

Przede wszystkim – "dlatego", że książki są w Polsce drogie i będą prawdopodobnie coraz droższe, a standard życia niestety – ale maleje i tu również nie zanoszą się na poprawę. Polacy czytają coraz mniej. Dlaczego? Bo nie mają za co. Ja sam mieszkam w regionie największego zagrożenia

bezrobociem [te ich hasła – tu nie ma zagrożeń – tu JEST bezrobocie] i od trzech lat należę do tego grona, bez prawa do zasiłku. Ilu jest w podobnej bądź analogicznej sytuacji? I niech część z tych ludzi – będzie chciała pogłębiać swoje zainteresowania. Co dalej? Bo – nie samym chlebem człowiek żyje, a wegetacja to nie jest życie.

Księgarnie również nie prosperują najlepiej, zwłaszcza w małych miasteczkach, a o wsiach nie wspominając już w ogóle. A co za tym idzie – szeroka gama książek nie jest w ogóle zamawiana, stąd właściwie nie wiadomo co tak naprawdę jest dostępne na polskim rynku wydawniczym. Książki niestety po okładce ani po krótkiej recenzji nie ocenisz – recenzje są po to aby najlepiej schodził towar; nie ważne czy "rodzynek" czy przysłowiowa "kicha". Ocenic książkę – znaczy mieć ją w rękach. Czy księgarz po raz drugi coś dla ciebie zamówi jak odłożysz swój niedoszły nabytek (który nie spełnił oczekiwań) na półkę ze zrezygnowaniem? Czy księgarz w ogóle zdecyduje się coś zamówić za pierwszym razem? Biblioteki też nie inwestują w literaturę z zakresu proponowanego w KIPPIN, a powody są te same – brak pieniędzy. Inna też jest sprawa, że z czasem pewne książki stają się na rynku niedostępne w ogóle.

Co pozostaje? Coraz tańszy i coraz bardziej dostępny internet (niestety – tylko siłą wielkich pieniędzy stało się, że standardem wirtualnych książek jest zamiast wszechobecnego html'a, pdf – format którego obsługa na starych komputerach i w ogóle obsługa jako taka jest utrudniona – korzysta się z tego niewygodnie, jest to nieporęczne i potrafi stwarzać problemy z wyświetlaniem). Przewagą internetu nad innymi mediami jest globalny dostęp; wystarczy słaby komputer z modemmem i telefon – nie ważne gdzie mieszkasz, czy w małym miasteczku czy na wsi. Niewątpliwą zaletą jest też bezpośredni dostęp dla wielu użytkowników jednocześnie.

Drugim powodem dla którego zdecydowałem się sprowadzić swoje zbiory do formy elektronicznej jest zwykłe ludzkie niechlujstwo. Książkę wystarczy pożyczyć trzem różnym osobom, i właściwie – o ile wróci, to niekoniecznie w stanie nadającym się do użytku. A kto mi za to zwróci? Z formy elektronicznej każdy może sobie bezpiecznie korzystać, a ja mam wszystko pod ręką w razie potrzeby. Jak mówiłem – wiele osób może korzystać w tym samym czasie z danego materiału. No i przybywa mi w ten sposób znajomych, co jest zdecydowanym plusem.

Trzeci powód uważam również za dość istotny. Moje doświadczenie z internetem nie jest najlepsze. Mimo ogromu witryn internetowych, tak naprawdę polskie zasoby są bardzo ubogie w poważniejsze propozycje. Coraz więcej ludzi sięga po internet i nie da się tego ukryć – są to w większości ludzie młodzi. I nie da się tego zatrzymać. Nierzadko szukają samopotwierdzenia, czy oparcia – nawet jeśli duchowego. A co zastają? Ogólny bałagan, w skład którego oprócz "perełek" wchodzi także sterty hałaśliwych ofert reklamowych, praktyki –

nazwijmy je "sektopodobne". Niestety perełek jest mało. Poziom naszego internetu paranormalnego jest ogólnie bardzo niski. Wiele materiałów się powiela, są fragmentaryczne. A wielu po prostu brakuje... Tyle – mówiąc w skrócie.

Czwarty powód. Ludzie z upośledzeniami wzroku bądź niewidomi. Sam mam takich znajomych. Co z nimi? Kto im pomoże? Rozwiązaniem są książki elektroniczne połączone z syntezerami mowy. Tu wychodzi jeszcze jeden istotny wątek. Pdf nie zawsze musi współpracować z syntezerem mowy (często nie współpracuje). Dlatego wybrałem html w połączeniu z prostotą obsługi i bez zbędnych "bajerów".

Ktoś po przyjacielsku zasugerował mi, że "odbieram wydawnictwom i piszącym chleb" czyli część dochodu. Nie była to złośliwa uwaga, gdyż od tej osoby otrzymałem również jedną autorską książkę – na użytek KIPPIN. Nie powiem, że nie myślałem nad tym wcześniej. Sądzę jednak – pomijając fakt iż niektórych książek z czasem nie można nigdzie dostać (czyli nakład nie istnieje) – że aż tak źle nie jest. Biorę pod uwagę następujące fakty. Oprócz ludzi ubogich, których najzwyczajniej na książki nie stać – gdzie większość z tej grupy raczej nie zechce owych książek kupić – istnieją także tacy, którzy po zapoznaniu się z lekturą w formie elektronicznej zechcą mieć firmowy egzemplarz. Różne kierują nimi powody. Jednym jest fakt, że z komputera – co jak co – ale nie czyta się najlepiej. Dopóki nie pojawią się naprawdę dobre syntezery mowy nie ma szans na zrewolucjonizowanie rynku e-book'ów. Nie ma to jak pocziwa papierowa książka. A wydruk niekoniecznie musi się opłacać – i może też być tak, że wydrukowanie wyszłoby drożej – cóż, każdy chce z czegoś żyć. Książki elektroniczne mogą mieć też dużo więcej błędów. Znam ludzi, dla których książka w formie elektronicznej ma charakter raczej poglądowy. Znam też ludzi, którzy lubią kupować książki papierowe dla samego ich posiadania – pod warunkiem że warto. Sądzę zatem, że KIPPIN w pewien sposób rekompensuje część strat, będąc swojego rodzaju promocją zachęcającą do kupowania. Wiem że jest ciężko. Obu stronom – zarówno sprzedającej jak i kupującej. Ale wydaje mi się, że ważniejszym od liczb i zer po jedynce – jest rozwój ludzki. Ci którzy piszą – też robią to dla ludzi. Bo jeśli nie ludzie będą czytać to kto...?

Całe przedsięwzięcie powstało i rozwija się dzięki życzliwości ludzkiej. Pożyczony sprzęt, pomoc organizacji sieciowej (dzięki kŻYhu, dzięki Lambar), nadsyłane materiały (dzięki Wam wszystkim przychylnym)... Moją pracą – wkładem w KIPPIN były setki godzin spędzonych przy skanerze, OCR'owaniu, poprawkach i składaniu tego do html'a. Pełny wymiar godzin pracy. Teraz wiem, że nie robiłem tego na darmo. Pozwoliło to na rozwój dla mnie ale i z korespondencji widzę że pomogło również wielu innym. Wierzę, że z czasem uda się pchnąć to przedsięwzięcie na dalszy etap, rozwijając wątki praktyczne.

Apel do właścicieli praw autorskich oraz osób piszących.

Moje warunki bytowania są skromne. Należę do grupy społecznej zwanej "granica ubóstwa". Region zamieszkania nie rokuje również na poprawę, a rzekłbym nawet że jest coraz gorzej. Nie będę się tu szczegółowo zwierzał, bo moim celem nie jest sztuczne wzbudzenie współczucia, ale chciałbym skłonić czytającego do głębszych refleksji – zanim wyda osąd dotyczący tego co się znajduje dalej. Wierzę, że moje argumenty mogą być przekonujące. W tym miejscu proszę jedynie o przynajmniej przymknięcie oka na istnienie zbiorów KIPPIN i ich rozwój. Moja prośba dotyczy także w szczególności działalności mającej na celu "zachęcenie do sponsoringu" jak to określam. Jak wspomniałem już poprzednio – powietrzem samym nie umiem żyć, a do breatharianizmu mi jeszcze daleko.

Słowo wyjaśnienia, dlaczego nie zwracam się wpierw do właścicieli praw autorskich. KIPPIN jest swojego rodzaju rewolucją, tak jak za czasów "czerwonej inkwizycji" rewolucją była walka o wolność słowa i poglądów. Dziś kulą u nogi jest biurokracja i – niestety pieniądze. Czasem sam zastanawiam się co tak naprawdę myślą ludzie, piszący piękne artykuły ubrane w pięknych słowach, o harmonii, rozwoju duchowym, "sprzedawcach ludzkich dusz"... Ilu publicystów robi to dla idei a ilu... nie.

Zwracanie się "z prośbą o zezwolenie na wykorzystanie" materiałów wiąże się z następującymi problemami. Pieniądze i biurokracja to jeden powód. Drugim jest brak zainteresowania na rozwój przedsięwzięć typu KIPPIN (niestety – internet nie zakradł się do naszych domów – on się wdarł i na długo jeszcze ma szansę pozostać). *"Kim jest ten mały szary człowieczek? – zostawmy go na szarym końcu długiej kolejki oczekujących interesantów"* – zaczynając, nie miałem żadnego znaczenia strategicznego. Czy ktoś zwróciłby uwagę na moje zapytanie? A jeśli nawet – to czy odzew byłby wystarczający aby stworzyć prężny projekt? Ile czasu potrwają negocjacje, co zostanie zażądane w zamian, jakie warunki zostaną postawione? I tak dalej. Czy w tych okolicznościach mogłoby powstać cokolwiek, nie pytając już nawet "kiedy"? Nie znam się na takich negocjacjach, nie stać mnie na pokrywanie żadnych kosztów; jestem zwykłym szarym człowiekiem, który postawił sobie cel. Część powodów wymieniłem, a nad innymi się jeszcze być może nawet nie zastanawiałem.

Teraz archiwum już istnieje, i to od jakiegoś czasu. Podtrzymuję też zdanie, że jest to swojego rodzaju wybieg z mojej strony. Jeśli zostanę zignorowany – w porządku, jeżeli ktoś zwróci na mnie uwagę (w sensie pozytywnym) – również w porządku. To jest mój dorobek i zarazem pewien punkt wyjścia. Nie chcę aby moja wypowiedź wydawała się prowokacyjnie obskurna; z czasem zamierzam z każdym się skontaktować i podjąć stosowne rozmowy odnośnie ewentualnej współpracy, ale na tym etapie jeszcze nie powinienem.

Mimo zrozumiałego dystansu szczerze zapraszam do współpracy, szczególnie wydawnictwa, redakcje periodyków i osoby piszące bądź tłumaczące materiały. W pewnym sensie zbiory KIPPIN wyrobiły sobie renomę i wydaje się, że książki które trafiają tu – zyskują na wartości. Może to być więc dobra reklama dla domów wydawniczych ale też dla osób prywatnych. Podkreślam tylko, że książki lub inne materiały zanim tu trafią – przechodzą przez "cenzora" czyli przeze mnie. Ktoś musi.

* * *

Osoby posiadające możliwość archiwizowania zbiorów (książki, publikacje, artykuły) lub posiadające własne zbiory komputerowe, jeżeli zechcą wzbogacić archiwum KIPPIN, mogą je przysyłać. Po przyjrzeniu się materiałom, mogą one zostać zamieszczone w archiwum. Mile widziana okładka oraz informacje o wydawnictwie, by w przypadku nawiązania dialogu z autorami lub właścicielami praw autorskich, była możliwa aktualizacja informacji o nich. Materiały proszę przysyłać na adres e-mail. W przypadku chęci skorzystania z metod klasycznych (przesyłka pocztowa, list), adres kontaktowy również przez e-mail.

Osoby, które zechcą udostępnić posiadane materiały, a nie mają możliwości sprowadzenia ich do postaci komputerowej (w końcu są to ciężkie godziny pracy, przynajmniej ze skanerem, a później z obróbką OCR – czytaniem tekstu z grafiki, a nie każdy posiada skaner; wiem coś o tym wszystkim), proszone o przedstawienie swoich propozycji (co chciałyby udostępnić, w jakiej formie posiadają materiały, czy chciały by je wypożyczyć, czy wysłać ksero) i ewentualnie adresu, aby było możliwe nawiązanie kontaktu lub ustalenie warunków przekazu materiałów. Mile widziana pomoc nieodpłatna. Co do adresów korespondencyjnych, obowiązują te same.

Archiwum można również wesprzeć podejmując się tłumaczenia wskazanych materiałów lub innych ciekawych zbiorów (posiadanych lub znalezionych w internecie). Będą regularnie zamieszczane propozycje, czekające na polskie tłumaczenie – zwykle z angielskiego (wraz z deklaracjami, ile osób podjęło się tłumaczenia i czego).

* * *

Zapewne są wśród czytelników osoby publikujące lub przyszli autorzy przyszłych bestsellerów. Na życzenie, w archiwum KIPPIN, może zostać zamieszczony dowolny autorski artykuł, książka lub program. Jest to forma wypromowania dla tych, którzy mają ambicję, ciekawe pomysły lub doświadczenia, ocierające się o świat paranormalny. Być może zamieszczenie tu swoich publikacji, ułatwi niektórym start. Jeżeli stroną zainteresują się poważne wydawnictwa, redakcje czasopism i inni inwestorzy, sądzę że zapoznają się oni zarówno z niniejszymi słowami jak i zawartością archiwum biblioteki. Być może przedstawiciele ci

zwrócić uwagę na niektóre propozycje przychodzące od czytelników, i kto wie – może zechcą im pomóc w wydaniu własnej książki, lub zaangażują do współpracy z periodykiem. Zanim jednak dany materiał trafi do KIPPIN przejść musi on przez kryterium weryfikacyjne – cenzora – czyli mnie. Zbiory nie mają jak na razie charakteru beletrystycznego, to znaczy odpadają rzeczy typu fabuła fikcyjna / zmyślona – ogólnie. Zachęcam do pisania.

Informacja do czytelników

Mimo naprawdę wciągającej lektury proponuję dystans w ilości przynajmniej pozwalającej na zachowanie czujności. O tym nie mówi się na co dzień, bo może to niektórych zniechęcić do czytania. Niemniej pisząc to, ja nic nie tracę, a zyskuję czyste sumienie, że nadmieniałem o tym, czym sam staram się kierować, sięgając po nową lekturę.

Każda z książek / publikacji, prezentuje określony punkt widzenia, a nie prawdę jedyną prawdziwą i ostateczną. Dana treść, posiadając swą charakterystyczną atmosferę, język, poziom merytoryczny, pomimo wzbudzanego zachwyty i zapatrzenia w jej zawartość, jest doświadczeniem i rozumowaniem jej autora. Nie należy traktować jego jako autorytetu tylko dlatego, że jest on autorem książki (publikacji, artykułu); jest on także człowiekiem, zdolnym do tego, co inni ludzie. A człowiek może się mylić. Każdy człowiek może się mylić; taka jest natura fizycznego istnienia. Dla czytelnika wskazana jest odrobina zdrowego dystansu, uwzględniającego własny rozsądek i tok myślenia, bazujący nie tylko na ideałach, ale i na realiach codzienności. To, że prawo grawitacji jest złudzeniem nie oznacza, że każdy jest w stanie je od razu pokonać. Może kiedyś. Każdy, zależnie od wykształcenia, wychowania, wiary i sposobu funkcjonowania logiki, tę samą treść zrozumie inaczej niż reszta. Te niedopatrzania, mogą być powodowane niezrozumieniem intencji autora, pryzmatem zainteresowań, lub pobieżnym potraktowaniem jednego wątku na rzecz innego. Należy więc czytać uważnie, a wielokrotna lektura, za każdym razem może wnieść coś nowego (i życzę samych pozytywnych sukcesów). Moje słowa, powinny być wzięte pod uwagę jako informacja, nic więcej.

Jak wcześniej wspominałem, zamieszczone są tu przedruki treści oryginalnej lub profesjonalnie (mam nadzieję) tłumaczonej z oryginału, a nie zredagowane teksty odnoszące się w określony sposób do swych pierwowzorów. Jakiegokolwiek przetwarzanie, interpretowanie oryginalnych treści kaleczy sens oryginału. Niestety wielu różnych publicystów, małego i dużego kalibru, ma tendencję do reinterpretacji. Wynika to po części ze specyfiki wykonywanych przez nich zawodów (uzewnętrznianych zainteresowań) i nikogo za to winić nie można. Niemniej skutki pojawiają się w postaci poważnych niedopowiedzeń, mogących w konsekwencji dane zagadnienie postawić w zupełnie innym świetle. Przykład

podałem w poprzedniej sekcji. Czasem też w oryginale nie chodzi o sam sens słów, ale o określoną kompozycję, wywołującą (prowokującą) zaplanowane reakcje uczuciowo-emocjonalne (wrażenia estetyczne). Myślenie ludzkie po części opiera się na logice, a po części na odczuciach. I o to czasami chodzi autorowi.

Chciałbym zwrócić uwagę na jedną rzecz. Książki, niezależnie od stopnia niebezpieczności proponowanych w nich procedur, technik i propozycji, stoją wszystkie na jednej półce, i różnią się głównie ceną. Jest tego bardzo wiele i cała różnorodność. Nadmiar informacji jest równie mocnym sposobem dezinformacji jak kłamstwa, niedopowiedzenia i mieszanie prawdy z fałszem. Pośród takiego nawału informacji, trudno jest określić, co jaki ma charakter. To, co jednym przyniesie korzyści, innym może skutecznie zaszkodzić. Niniejszą formę ostrzeżenia należy potraktować następująco. Czytając prezentowane tu materiały, bez względu na fascynację i głęboką wiarę, należy potraktować je z odrobiną zdrowego dystansu, zwłaszcza gdy propagują one specyficzny rodzaj zachowań. Nie chcę nikogo odstraszać, a zachęcić do rozwagi. Jej brak – wiadomo jakie może przynieść skutki u osób słabych i/lub niedoświadczonych psychicznie, bądź nazbyt fanatycznie ustosunkowujących się do nowo przyswojonych idei. Zmiana własnej postawy wobec życia nie polega na popadaniu ze skrajności w skrajność, a jeśli już – to w sposób na tyle kontrolowany, by nie przynieść szkód innym ludziom. Pamiętajmy, że każdy ma prawo do wolnego wyboru, co zaakceptować, ale wszyscy jadą na tym samym wózku.

SZCZEGÓŁOWY OPIS TREŚCI

ROZDZIAŁ I

Powrót z Indii. Wojna i "poszukiwanie cudownego". Stare myśli. Zagadnienie szkół. Plany przyszłych podróży. Wschód i Europa. Notatka w gazecie moskiewskiej. Wykłady o Indiach. Spotkanie z G. "Człowiek w przebraniu". Pierwsza rozmowa. Opinia G. na temat szkół. Grupa G. "Przebłycki Prawdy". Dalsze spotkania i rozmowy. Organizacja moskiewskiej grupy G. Problem opłaty i funduszy na pracę. Kwestia dochowania tajemnicy i zobowiązań branych na siebie przez uczniów. Rozmowa na temat Wschodu. "Filozofia", "teoria" i "praktyka". Jak został odnaleziony system? Idee G.: "Człowiek jest maszyną rządzoną przez zewnętrzne wpływy. Wszystko "się zdarza". Nikt niczego nie "czyni". Po to, by "czyścić", trzeba "być". Człowiek jest odpowiedzialny za swoje działania, maszyna nie jest odpowiedzialna. Czy do poznawania maszyn potrzebna jest psychologia? Obietnica "faktów": Czy można powstrzymać wojny? Rozmowa o planetach i o Księżycu jako o żywych istotach. "Inteligencja" Słońca i Ziemi. "Subiektywna" i "obiektywna" sztuka.

ROZDZIAŁ II

Petersburg w 1915 roku. G. w Petersburgu. Rozmowa na temat grup. Odwołanie się do pracy "ezoterycznej". "Więzienie" i "ucieczka z więzienia". Co jest konieczne do tej ucieczki? Kto może pomóc i jak? Początek spotkań w Petersburgu. Pytanie o reinkarnację i przyszłe życie. Jak można osiągnąć nieśmiertelność? Walka pomiędzy "tak" i "nie". Krystalizacja na właściwej i błędnej podstawie. Konieczność ofiary. Rozmowy z G. i obserwacje. Sprzedaż dywanów i rozmowy na temat dywanów. Co G. powiedział o samym sobie. Pytanie o pradawne poznanie i o to, dlaczego jest ono ukryte. Odpowiedź G.: poznanie nie jest ukryte. Materialność poznania i odmowa przyjęcia danego poznania przez człowieka. Pytanie o nieśmiertelność. "Cztery ciała człowieka". Przykład retorty wypełnionej metalicznymi pyłami. Droga fakira, droga mnicha i droga jogina. "Czwarta droga". Czy istnieje cywilizacja i kultura?

ROZDZIAŁ III

Podstawowe idee G. dotyczące człowieka. Brak jedności. Wielorakość różnych "ja": Budowa ludzkiej maszyny. Centra psychiczne. Metoda G. wykładania idei systemu. Nieuniknione powtórzenia. Co oznacza ewolucja człowieka. Mechaniczny postęp jest niemożliwy. Europejska idea ewolucji człowieka. Powiązanie wszystkiego ze sobą w przyrodzie. Ludzkość i Księżyc. Przewaga pojedynczego człowieka nad masami. Konieczność znajomości ludzkiej maszyny. Nieobecność w człowieku stałego Ja. Rola małych "ja": Nieobecność w człowieku indywidualności i woli. Wschodnia alegoria o domu i służącym.

“Zastępca rzadcy”. Rozmowy o fakirze na gwoździach i o buddyjskiej magii.

ROZDZIAŁ IV

Ogólne wrażenia związane z systemem G. Spoglądając wstecz. Jedno z podstawowych założeń. Linia wiedzy i linia bycia. Różne poziomy bycia. Rozbieżność linii wiedzy i linii bycia. Co daje rozwój wiedzy bez odpowiadającej mu zmiany bycia i zmiana bycia bez wzrostu wiedzy. Co oznacza “rozumienie”: Rozumienie jako wypadkowa wiedzy i bycia. Różnica pomiędzy rozumieniem i wiedzą. Rozumienie jako funkcja trzech centrów. Dlaczego ludzie próbują nazwać rzeczy, których nie rozumieją. Nasz język. Dlaczego ludzie nie rozumieją się nawzajem. Słowo “człowiek” i jego różne znaczenia. Język stosowany przez system. Siedem stopni pojęcia “człowiek”. Zasada względności w systemie. Stopniowania równoległe do stopniowania człowieka. Słowo “świat”. Różnorodność jego znaczeń. Badanie słowa “świat” z punktu widzenia zasady względności Podstawowe prawo wszechświata. Prawo Trzech Zasad lub Trzech Sił. Konieczność trzech sił dla zaistnienia zjawiska. Trzecia siła. Dlaczego nie widzimy trzeciej siły? Trzy siły w pradawnych nauczaniach. Stwarzanie światów przez wolę Absolutu. Łańcuch światów albo “promień stworzenia”. Liczba praw w każdym świecie.

ROZDZIAŁ V

Wykład o “mechanice wszechświata”. Promień stworzenia i jego rozwój począwszy od Absolutu. Sprzeczność naukowych poglądów. Księżyc jako koniec promienia stworzenia. Wola Absolutu. Idea cudu. Nasze miejsce w świecie. Księżyc żywi się życiem organicznym. Wpływ Księżyca i uwalnianie się od Księżyca. Różna “materialność” różnych światów. Świat jako świat “wibracji”. Wibracje zwalniają proporcjonalnie do ich odległości od Absolutu. Siedem rodzajów materii. Cztery ciała człowieka i ich stosunek do różnych światów. Gdzie znajduje się Ziemia. Trzy siły i kosmiczne własności materii. Atomy substancji złożonych. Definicja materii według manifestujących się przez nią sił. “Węgiel”, “tlen”, „azot” i “wodór”. Trzy siły i cztery materie. Czy człowiek jest nieśmiertelny, czy nie? Co oznacza nieśmiertelność? Człowiek, który ma czwarte ciało. Historyjka o seminarzyście i wszechmocy Boga. Rozmowy o Księżycu. Księżyc jako waga w zegarze. Rozmowa o języku uniwersalnym. Objasnienie Ostatniej Wieczerzy.

ROZDZIAŁ VI

Rozmowa o celach. Czy nauczanie może zmierzać do określonego celu? Cel istnienia. Osobiste cele. Znać przyszłość. Istnieć po śmierci Być panem samego siebie. Być chrześcijaninem. Pomóc ludzkości. Powstrzymać wojny. Wyjaśnienia G. Przeznaczenie, przypadek i wola. “Obłąkane maszyny”: Ezoteryczne chrześcijaństwo. Jaki powinien być cel człowieka? Przyczyny wewnętrznej niewoli. Od czego zaczyna się droga prowadząca do wyzwolenia. “Poznaj samego siebie”. Różne rozumienie tej idei. Poznawanie siebie. Jak poznawać?

Obserwacja siebie. Odnotowywanie i analiza. Podstawowa zasada działania ludzkiej maszyny. Cztery centra: myślowe, emocjonalne, ruchowe, instynktowe. Rozróżnienie pomiędzy pracą różnych centrów. Wprowadzanie zmian w działaniu maszyny. Zachwianie równowagi. W jaki sposób maszyna wraca do równowagi? Przypadkowe zmiany. Niewłaściwa praca centrów. Wyobraźnia. Śnienie na jawie. Nawyki. Przeciwwstawianie się nawykom w celu obserwacji siebie. Walka z wyrażaniem negatywnych emocji. Odnotowywanie mechaniczności. Zmiany wynikające z właściwej obserwacji siebie. Idea centrum ruchowego. Potoczna klasyfikacja działań człowieka. Klasyfikacja oparta na podziale centrów. Automatyzm. Działania instynktowe. Różnica pomiędzy funkcjami instynktowymi i ruchowymi. Podział emocji. Różne poziomy centrów.

ROZDZIAŁ VII

Czy można osiągnąć "świadomość kosmiczną"? Co to jest świadomość? Pytanie G. o to, co spostrzeżliśmy podczas obserwacji siebie. Nasze odpowiedzi. Uwaga G.: przeoczyliśmy najważniejszą rzecz. Dlaczego nie spostrzegamy tego, że nie pamiętamy samych siebie? "To obserwuje", "to myśli"; "to mówi". Próby pamiętania samego siebie. Wyjaśnienia G. Znaczenie nowego problemu. Nauka i filozofia. Nasze własne doświadczenia. Próby podziału uwagi. Pierwsze doznanie dobrowolnego pamiętania siebie. Co przypominamy sobie z przeszłości. Dalsze doświadczenia. Sen na jawie i przebudzenie. Co przeoczyła europejska psychologia. Różnice w rozumieniu idei świadomości.

Poznawanie człowieka jest równoległe z poznawaniem świata. Po Prawie Trzech pojawia się następne podstawowe prawo wszechświata: Prawo Siedmiu czy też Prawo Oktaw. Brak ciągłości w wibracjach. Oktawy. Skala siedmiotonowa. Prawo "interwałów". Konieczność dodatkowych wstrząsów. Co dzieje się pod nieobecność dodatkowych wstrząsów. Po to, by czynić, trzeba być w stanie kontrolować "dodatkowe wstrząsy". Oktawy podporządkowane. Oktawy wewnętrzne. Życie organiczne w miejscu "interwału". Wpływy planetarne. Boczna oktawa sol – do. Znaczenie nut la sol _fa. Znaczenie nut do, si. Znaczenie nut mi, re. Rola życia organicznego w zmianach zachodzących na powierzchni Ziemi.

ROZDZIAŁ VIII

Różne stany świadomości. Sen. Jawa. Świadomość siebie: Obiektywna świadomość. Brak świadomości siebie. Co jest pierwszym warunkiem uzyskania świadomości siebie? Wyższe stany świadomości i wyższe centra. "Jawa" zwykłych ludzi jako sen. Życie śpiących ludzi. Jak można się obudzić? Czym jest człowiek w momencie narodzin. Wpływ "edukacji" i przykładu otaczających go ludzi. Możliwości człowieka. Poznawanie siebie: "Umysłowe zdjęcia". Różni ludzie w jednym człowieku. "Ja" i "Uspieński": Kto jest czynny, a kto jest bierny? Człowiek i jego maska. Podział siebie jako pierwszy etap pracy nad samym sobą. Podstawowa jakość bycia człowieka. Dlaczego człowiek nie pamięta

samego siebie. "Utożsamianie się" . "Zważanie ; , "Zważanie wewnętrzne "niesprawiedliwość"; szczerść i słabość Co oznacza "zewnątrzne zważanie". "Zderzaki". Sumienie. Moralność. Czy istnieje idea wspólnej dla wszystkich moralności? Czy istnieje chrześcijańska moralność? Czy istnieją wspólne dla wszystkich pojęcia dobra i zła? Nikt niczego nie robi w imię zła Różne koncepcje dobra i rezultaty tych różnych koncepcji. Na czym może się opierać trwała idea dobra i zła? Idea prawdy i kłamstwa Walka ze "zderzakami" i z kłamaniem. Metody pracy szkoły. Podporządkowanie się. Zdanie sobie sprawy z własnej nicości. Osobowość i esencja. Martwi ludzie. Ogólne prawa. Coś o pieniądzach

ROZDZIAŁ IX

"Promień stworzenia" w postaci trzech oktaw promieniowania. Stosunek materii i sił znajdujących się na różnych płaszczyznach świata, do naszego życia. Interwały w oktavach kosmicznych i wypełniające je wstrząsy. "Punkt wszechświata". Gęstość wibracji. Trzy siły i cztery materie. Tlen'; "Azot", "Wodór". "Węgiel ". Dwanaście triad. "Tablica Wodorów. Materia w świetle jej chemicznych, fizycznych, psychicznych i kosmicznych właściwości. Inteligencja materii. "Atom". Wszystkie ludzkie funkcje i stany znajdujące się w człowieku. uzależnione są od energii. Substancje znajdujące się w człowieku. Człowiek ma wystarczającą ilość energii do rozpoczęcia pracy nad samym sobą, jeśli oszczędza własną energię. Marnowanie energii. "Naucz się oddzielać subtelne od grubego". Wytwarzanie delikatnych wodorów. Zmiana bycia. Rozwój wewnętrznych ciał. Organizm ludzki jako trzypiętrowa fabryka. Trzy rodzaje pokarmu. Pojawienie się w organizmie pokarmu, powietrza i wrażeń. Transformacją substancji rządzi Prawo Oktaw. Oktawa pokarmu i oktawa powietrza. Ekstrakcja "wyższych" wodorów". Oktawa wrażeń nie rozwija się. Możliwość stworzenia sztucznego wstrząsu w chwili odbioru wrażenia. Świadomy wysiłek. "Pamiętanie siebie". Wynikający z niego rozwój oktawy wrażeń i oktawy powietrza. Drugi świadomy wstrząs. Wysiłek związany z emocjami. Przygotowanie do tego wysiłku. Analogia pomiędzy ludzkim organizmem i wszechświatem. Trzy etapy w ewolucji ludzkiej maszyny. Przemiana emocji. Alchemia. Centra pracują za pomocą różnych wodorów. Dwa wyższe centra. Niewłaściwa praca niższych centrów. Materialność wszystkich procesów wewnętrznych.

ROZDZIAŁ X

Od czego zaczyna się droga? Prawo przypadku. Rodzaje wpływów. Wpływy ukształtowane w życiu. Wpływy ukształtowane poza życiem, świadome tylko u swego początku. Centrum magnetyczne. Szukanie drogi. Odnalezienie człowieka, który wie. Trzeci rodzaj wpływów: wpływ świadomy i bezpośredni. Wyzwolenie się od prawa przypadku. "Krok" ; "schody" i "droga". Specjalne warunki czwartej drogi. Możliwość ukształtowania błędnego centrum magnetycznego. Jak można rozpoznać błędne drogi? Nauczyciel i uczeń.

Wiedza zaczyna się od nauczania o kosmosach. Potoczne pojęcie istnienia dwóch kosmosów: makrokosmosu i mikrokosmosu. Pełne nauczanie o siedmiu kosmosach. Stosunek pomiędzy kosmosami: jak zero do nieskończoności. Zasada względności. "Droga w górę jest jednocześnie drogą w dół". Co to jest cud. "Okres wymiarów". Przegląd systemu kosmosów z punktu widzenia teorii wielu wymiarów. Uwaga G., że "Czas jest oddechem". Czy mikrokosmos jest człowiekiem, czy "atomem"?

ROZDZIAŁ XI

"Jeśli ziarno pszeniczne wpadłszy w ziemię, nie obumrze, samo zostawa, lecz jeśli obumrze, wielki owoc przynosi". Księga aforyzmów. Obudzić się, umrzeć, narodzić się. Co uniemożliwia człowiekowi narodzenie się na nowo? Co uniemożliwia człowiekowi "umieranie"? Co uniemożliwia człowiekowi obudzenie się? Niezdawanie sobie sprawy ze swojej własnej nicości. Co oznacza uświadomienie sobie swej własnej nicości? Co stoi temu na przeszkodzie? Hipnotyczne oddziaływanie życia. Sen, w którym żyją ludzie, jest snem hipnotycznym. Czarodziej i owce. "Kundalini". Wyobraźnia. Budziki. Zorganizowana praca. Grupy. Czy można pracować w grupach bez nauczyciela? Prowadzona w grupach praca nad poznawaniem siebie. Zwierciadła. Wymiana obserwacji. Ogólne i indywidualne warunki. Reguły. "Główna wada". Zdanie sobie sprawy ze swojej własnej nicości. Niebezpieczeństwo naśladownictwa. "Bariery". Prawda i kłamstwo. Szczerłość wobec samego siebie. Wysiłki. Akumulatory. Duży akumulator. Praca intelektualna i emocjonalna. Potrzeba czucia. Możliwość rozumienia drogą czucia tego, czego nie można zrozumieć umysłem. Centrum emocjonalne jest subtelniejszym aparatem niż centrum intelektualne. Wytłumaczenie ziewania w związku z akumulatorami. Rola i znaczenie śmiechu w życiu. Nieobecność śmiechu w wyższych centrach

.ROZDZIAŁ XII

Praca w grupach staje się coraz bardziej intensywna. Ograniczony "repertuar ról" każdego człowieka. Wybór pomiędzy pracy nad samym sobą i "spokojnym życiem". Trudności z byciem posłusznym. Miejsce "zadań". G. wyznacza konkretne zadania. Reakcja przyjaciół na idee. System wyzwala w ludziach to, co najlepsze, albo to, co najgorsze. Jacy ludzie mogą włączyć się do pracy? Przygotowanie. Konieczne jest rozczarowanie. Pytanie, które człowiekowi dokucza. Nowa ocena przyjaciół. Rozmowa o typach. G. wyznacza następne zadanie. Próby opowiedzenia historii własnego życia. Intonacje. "Esencja" i "osobowość". Szczerłość. Zły nastrój. G, obiecuje odpowiedzieć na dowolne pytanie. "Wieczny Powrót". Eksperyment polegający na oddzieleniu osobowości od esencji. Rozmowa na temat seksu. Rola seksu jako podstawowej siły motywującej wszelką mechaniczność. Seks jako główna możliwość wyzwolenia. Nowe narodziny. Przemiana energii seksualnej. Nadużywanie seksu. Czy wstrzemięźliwość seksualna jest pożyteczna? Właściwa praca centrów. Stały

środek ciężkości.

.ROZDZIAŁ XIII

Intensywność wewnętrznej pracy. Przygotowanie do "faktów". Wizyta w Finlandii. Początek "cudu" ."Rozmowy" z G. w umyśle. "Ty nie śpisz": Widzenie "śpiących ludzi". Niemożliwość badania wyższych zjawisk zwykłymi środkami. Zmiana poglądu na temat "metod działania". "Główna cecha charakterystyczna". G. określa główne cechy charakterystyczne ludzi. Reorganizacja grupy. Ci, którzy porzucili pracę. Siedzenie pomiędzy dwoma stołkami. Trudność powrotu. Mieszkanie G. Reakcje na milczenie. "Widzenie kłamstw". Pokaz. Jak się obudzić? Jak stworzyć potrzebny stan emocjonalny? Trzy drogi. Konieczność ofiary. "Poświęcenie własnego cierpienia". Rozszerzona Tablica Wodorów. "Wykres ruchomy". Nowe odkrycie. "Mamy bardzo mało czasu".

ROZDZIAŁ XIV 404

Trudność przekazywania "obiektywnych prawd" za pomocą potocznego języka. Obiektywna i subiektywna wiedza. Jedność w różnorodności. Przekazywanie obiektywnej wiedzy. Wyższe centra. Mity i symbole. Formuły słowne: "Jak w górze, tak na dole". "Poznaj samego siebie". Dwoistość. Przekształcenie dwoistości w troistość. Linia woli. Czteroistość. Pięcioistość – konstruowanie pentagramu. Pięć centrów. Pieczęć Salomona (Gwiazda Sześcioramienna). Symbolika liczb, figur geometrycznych, liter i słów. Inne symboliki. Właściwe i błędne rozumienie symboli. Poziom rozwoju. Jedność wiedzy i bycia: Wielkie Czynienie. "Nikt nie może dać człowiekowi tego, czego wcześniej nie miał". Osiągnięcie czegokolwiek tylko dzięki swoim własnym wysiłkom. Różne znane "linie", korzystające z symboliki. Ten system i jego miejsce. Jeden z podstawowych symboli tego nauczania. Enneagram. Prawo Siedmiu w połączeniu z Prawem Trzech. Badanie enneagramu. "To, czego człowiek nie może umieścić w enneagramie, jest tym, czego nie rozumie". Symbol w ruchu. Doświadczenie enneagramu poprzez ruch. Ćwiczenia. Język uniwersalny. Obiektywna i subiektywna sztuka. Muzyka. Muzyka obiektywna opiera się na wewnętrznych oktawach. Mechaniczna ludzkość może mieć tylko subiektywną sztukę. Różne poziomy bycia człowieka.

ROZDZIAŁ XV

Religia jako pojęcie względne. Religie odpowiadają poziomowi bycia człowieka. "Czy modlitwa może pomóc?" Nauka modlitwy. Powszechny brak wiedzy o chrześcijaństwie. Kościół chrześcijański jako szkoła. Egipskie "szkoły powtarzania". Znaczenie obrządków. "Techniki" religii. Gdzie w człowieku brzmi słowo "Ja"? Dwie części rzeczywistej religii i czego każda z nich naucza. Kant i idea skali. Życie organiczne na Ziemi. Wzrost promienia stworzenia. Księżyc. Ludzkość jest ewoluującą częścią życia organicznego. Ludzkość w zastoju. Zmiana możliwa jest tylko na "rozdrożach": Proces ewolucji zawsze zaczyna się od utworzenia świadomego zarodka. Czy istnieje świadoma siła, walcząca z

ewolucją? Czy rodzaj ludzki ewoluuje? "Dwustu świadomych ludzi mogłoby zmienić całe życie na Ziemi". Trzy "wewnętrzne kręgi ludzkości". "Krań zewnętrzny". Cztery "drogi" jako cztery bramy prowadzące do "kręgu egzoterycznego". Szkoły czwartej drogi. Pseudoezoteryczne systemy i szkoły. "Prawda w postaci kłamstwa". Szkoły ezoteryczne na Wschodzie. Wtajemniczenie i Misteria. Możliwe jest tylko wtajemniczenie siebie.

ROZDZIAŁ XVI

Wydarzenia historyczne zimy 1916-17. System G. jako przewodnik w labiryncie sprzeczności albo jako "Arka Noego". Świadomość materii. Jej stopnie inteligencji. Trzy – , dwu – i jednopiętrowe maszyny. Człowiek złożony z człowieka, owcy i robaka. Klasyfikacja wszystkich stworzeń za pomocą trzech cech kosmicznych: tego, co one jedzą, czym oddychają i w jakim środowisku żyją. Możliwości zmieniania pokarmu przez człowieka. "Wykres Wszystkiego, Co Żyje". G. po raz ostatni wyjeżdża z Petersburga. Interesujące wydarzenie – "transfiguracja" czy "plastyka"? Wrażenia wywołane przez G. na dziennikarzu. Upadek Mikołaja II. "Koniec historii Rosji". Plany opuszczenia Rosji. Wiadomości od G. Kontynuacja pracy w Moskwie. Dalsze badanie wykresów i idei kosmosów. Rozwinięcie idei: "czas jest oddechem" w odniesieniu do człowieka, Ziemi i Słońca; w odniesieniu do dużych i małych komórek. Zbudowanie "Tablicy czasu w różnych kosmosach". Trzy kosmosy zawierają wspólnie wszystkie prawa wszechświata. Zastosowanie idei kosmosów do wewnętrznych procesów ludzkiego organizmu. Życie molekuł i elektronów. Wymiary czasu w różnych kosmosach. Zastosowanie wzoru Minkowskiego. Stosunek różnych czasów do centrów ludzkiego ciała. Stosunek do wyższych centrów. "Kosmiczne obliczenia czasu" w literaturze gnostycznej i indyjskiej.

"Jeśli chcesz odpocząć, przyjedź tutaj do mnie!": Wizyta u G. w Aleksandropolu. Stosunki G. ze swoją rodziną. Rozmowa o niemożności robienia czegokolwiek pośród masowego obłądzenia. "Wydarzenia nie są przeciwko nam". Jak wzmocnić czucie "Ja"? Krótka wizyta w Petersburgu i w Moskwie. Wiadomość przekazana tamtejszym grupom. Powrót do Piatigorska. Grupa złożona z dwunastu osób zbiera się w Jessientuki.

ROZDZIAŁ XVII

Sierpień 1917 roku. Sześć tygodni w Jessientuki. G. rozwija plan całej pracy. "Szkoły są niezbędne". "Nadwysiłki". Symultaniczność centrów stanowi główną trudność w pracy nad samym sobą. Człowiek jako niewolnik swojego ciała. Marnowanie energii przez niepotrzebne napięcia mięśniowe. G. pokazuje ćwiczenia na kontrolę i rozluźnienie mięśni. Ćwiczenie "stop". Wymagania "stop". G. opowiada o przypadku "stop" mającym miejsce w Azji Środkowej. Wpływ "stop" w Jessientuki. Nawyk gadania. Eksperyment z poszczeniem. Co to jest grzech. G. pokazuje ćwiczenia na uwagę. Eksperyment z oddychaniem. Zdanie sobie sprawy z trudności Drogi. Niezbędność wielkiej wiedzy, wysiłków i pomocy.

“Czy nie istnieje droga poza ,drogami?” “Drogi” jako pomoc udzielana ludziom, stosownie do typów. “Subiektywne” i “obiektywne” drogi. Obywatel. Co znaczy “być poważnym”? Tylko jedna rzecz jest poważna. Jak osiągnąć rzeczywistą wolność? Ciężka droga niewoli i posłuszeństwa. Co człowiek jest gotów poświęcić? Bajka o wilku i owcach. Astrologia i typy. Pokaz. G. ogłasza rozwiązanie grupy. Ostatnia podróż do Petersburga.

ROZDZIAŁ XVIII

Petersburg: październik 1917 roku. Rewolucja bolszewicka. Powrót do G., na Kaukaz. Postawa G. wobec jednego ze swoich uczniów. Mała grupa towarzysząca G. w Jessientuki. Przybywa więcej ludzi. Podjęcie pracy na nowo. Ćwiczenia są coraz trudniejsze i coraz bardziej urozmaicone. Ćwiczenia umysłowe i fizyczne, tańce derwiszów, poznawanie psychicznych “sztuczek”. Sprzedaż jedwabiu. Wewnętrzna walka i decyzja. Wybór guru. Decyzja oddzielenia się. G. udaje się do Soczi. Ciężki czas: wojna i epidemie. Dalsze poznawanie enneagramu. “Wydarzenia” i konieczność opuszczenia Rosji. Londyn jako punkt docelowy. Praktyczne wyniki pracy nad samym sobą: odczuwanie nowego “Ja”, “dziwna ufność”. Zebranie grupy w Rostowie i wykładanie systemu G. G. otwiera swój Instytut w Tyfusie. Podróż do Konstantynopola. Zbieranie ludzi. Przyjazd G. Przedstawianie G. nowej grupy. Tłumaczenie pieśni derwiszów. G. – pisarz i poeta. Instytut otwarty w Konstantynopolu. G. zgadza się na napisanie i wydanie książki. G. udaje się do Niemiec. Rok 1921 – decyzja o kontynuowaniu w Londynie pracy rozpoczętej w Konstantynopolu. G. organizuje swój Instytut w Fonteinebleau. Praca w Zamku Prieure. Rozmowa z Katherine Mansfield. G. mówi o różnych rodzajach oddychania. “Oddychanie poprzez ruch”. Pokazy w Theatre des Champs Elysees w Paryżu. Wyjazd G. do Ameryki w roku 1924. Decyzja o niezależnym kontynuowaniu pracy w Londynie.

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Do Rosji powróciłem w listopadzie 1914 roku, to znaczy na początku pierwszej wojny światowej, po odbyciu długiej podróży przez Egipt, Cejlon i Indie. Wojna zastała mnie w Kolombo, skąd wyruszyłem w drogę powrotną przez Anglię.

Wyjeżdżając w podróż z Petersburga, powiedziałem, że będę szukał "cudownego". Bardzo trudno jest zdefiniować "cudowne". Dla mnie jednak to słowo miało całkiem określone znaczenie. Już dawno temu doszedłem do wniosku, że jedyna możliwa ucieczka z labiryntu sprzeczności, w którym żyjemy, musi prowadzić całkowicie nową drogą, niepodobną do niczego dotychczas znanego lub przez nas stosowanego. Ale gdzie ta nowa lub zapomniana droga miałaby swój początek – tego nie byłem w stanie powiedzieć. Wiedziałem już – był to dla mnie niewątpliwy fakt – że pod cienką warstwą fałszywej rzeczywistości, istnieje inna rzeczywistość, od której, z jakiegoś powodu, coś nas oddziela. "Cudowne" było penetracją tej nieznannej rzeczywistości; i wydawało mi się, że drogę do nieznanego można odnaleźć na Wschodzie. Czemu na Wschodzie? Trudno było na to odpowiedzieć. W idei tej było może coś z romansu, ale mogło to być też absolutnie autentyczne przekonanie, że w Europie w żadnym razie niczego nie da się znaleźć.

W drodze powrotnej i podczas kilku tygodni, które spędziłem w Londynie, myśląc o rezultatach moich poszukiwań pogrążyłem się w zamęcie. Działo się to za sprawą dzikiej absurdalności wojny oraz emocji, które wypełniały powietrze, rozmowy i gazety, i które, wbrew mojej woli, często na mnie oddziaływały. Gdy wróciłem do Rosji i na nowo doświadczyłem tych samych myśli, z którymi wyruszyłem w drogę, to poczułem wtedy, że moje poszukiwanie i wszystko, co z nim związane, jest o wiele ważniejsze niż cokolwiek, co dzieje się lub mogłoby się dziać w świecie "oczywistych absurdów". Powiedziałem sobie wtedy, że trzeba spojrzeć na wojnę jako na jeden z tych generalnie katastrofalnych warunków życia, pośród których musimy żyć, pracować i szukać odpowiedzi na nasze pytania i wątpliwości. *Wojna*, wielka wojna europejska, w której możliwość nie chciałem uwierzyć i której rzeczywistości przez długi czas nie chciałem uznać, stała się faktem. *Byliśmy w niej* i zobaczyłem, że trzeba to przyjąć jako wielkie *memento mori*, wskazujące na konieczność pośpiechu i na niemożność wiary w "życie", które prowadzi donikąd.

Wojna nie mogła osobiście mnie dotknąć – w każdym razie do czasu ostatecznej katastrofy, która wydawała mi się nieunikniona dla Rosji i być może także dla całej Europy – na razie jednak bezpośrednio nam nie zagrażała. Oczywiście wyglądało na to, że zbliżająca się katastrofa będzie tylko tymczasowa, i nikt wtedy jeszcze nie zdawał sobie sprawy z możliwości, zarówno wewnętrznego, jak i zewnętrznego rozpadu i zniszczenia, w którym w przyszłości mieliśmy żyć.

Podsumowując całość moich wrażeń ze Wschodu, w szczególności z Indii, musiałem przyznać, że w momencie powrotu cały mój dylemat wydawał się jeszcze trudniejszy i bardziej skomplikowany niż w chwili wyjazdu. Indie i Wschód nie tylko nie utraciły blasku "cudownego"; przeciwnie, ów blask nabrał nowych, wcześniej nieobecnych odcieni. Zobaczyłem jasno, że można było tam znaleźć coś, co już dawno przestało istnieć w Europie, i uznałem, że obrany przeze mnie kierunek jest właściwy; ale jednocześnie nabrałem przekonania, że tajemnica została o wiele lepiej i głębiej ukryta, niż mogłem to wcześniej przewidzieć.

Gdy wyruszałem w podróż, wiedziałem już wtedy, że będę szukał *szkoły* czy też *szkół*. O tym wiedziałem już od dawna. Pojąłem, że osobiste, indywidualne wysiłki są niewystarczające, i że konieczne stało się nawiązanie kontaktu z rzeczywistością, żywą myślą, która ciągle gdzieś istnieje, ale utraciliśmy z nią kontakt.

To rozumiałem; ale sama idea szkół podczas moich podróży uległa wielu zmianom – z jednej strony stała się ona prostsza i bardziej konkretna, choć jednocześnie jakby chłodniejsza i bardziej oddalona. Chcę dodać, że szkoły utraciły wiele ze swego bajkowego charakteru.

Przed wyjazdem, myśląc o szkołach, ciągle jeszcze dopuszczałem do siebie wiele z tego, co fantastyczne. "Dopuszczałem" jest może zbyt mocnym słowem. Powinienem raczej powiedzieć, że marzyłem o możliwości niefizycznego kontaktu ze szkołami: kontaktu, że tak powiem, "na innej płaszczyźnie". Nie mogłem tego jasno wytłumaczyć, ale wydawało mi się, że nawet sam początek kontaktu ze szkołą może mieć *cudowny charakter*.

Na przykład wyobrażałem sobie możliwość nawiązania kontaktu ze szkołami z odległej przeszłości, ze szkołami Pitagorasa, ze szkołami Egiptu, ze szkołami budowniczych Notre-Dame, itd. Wydawało mi się, że w momencie nawiązania takiego kontaktu powinny zniknąć bariery czasu i przestrzeni. Już sama idea szkół była na tyle fantastyczna, że nic, co z nią związane, nie wydawało mi się nazbyt fantastyczne. Nie widziałem sprzeczności pomiędzy tymi ideami, a moim usiłowaniem odnalezienia szkół w Indiach. Wydawało mi się, że to właśnie w Indiach mogłoby dojść do nawiązania takiego rodzaju kontaktu, który z czasem stałby się trwały i możliwy do utrzymania, niezależnie od wszelkich zewnętrznych przeszkód. W drodze powrotnej, po całej serii spotkań i wrażeń, idea szkół stała się dla mnie o wiele bardziej rzeczywista i dotykalna; utraciła ona cały swój fantastyczny charakter. Stało się tak zapewne głównie dzięki temu, że, jak to wtedy pojąłem, "szkoła" wymaga nie tylko poszukiwania, ale też "selekcji" lub wyboru, którego sami musimy dokonać.

O tym, że szkoły istniały, nie wątpiłem. Jednocześnie doszedłem do przekonania, że szkoły, o których słyszałem i z którymi mogłem wejść w kontakt, nie były szkołami dla mnie. Były to szkoły o otwarciu religijnym lub na wpół

religijnym charakterze, jednocześnie jednak dewocyjne w swym tonie. Szkoły te nie pociągały mnie głównie dlatego, że jeśli miałbym szukać drogi religijnej, to mógłbym znaleźć ją już w Rosji. Inne szkoły, jak na przykład szkoły uczniów Ramakriszny, były nieco sentymentalne, moralno-filozoficzne i z odcieniem ascetyzmu; ludzie związani z tymi szkołami byli mili, ale nie czułem, by byli oni posiadaczami rzeczywistego poznania. Inne szkoły – te, które opisywane są jako "szkoły jogi", a które opierają się na technice wytwarzania stanów transu – miały w moich oczach coś ze "spirytyzmu". Nie potrafiłem im zaufać, bo wszystkie ich domniemane osiągnięcia były tylko okłamywaniem siebie, albo też tym, co prawosławni mistycy (mam na myśli rosyjską literaturę klasztorną) nazywali "pięknem" lub "nęceniem".

Istniał też inny rodzaj szkół, z którymi nie byłem w stanie nawiązać kontaktu i o których tylko słyszałem. Szkoły te obiecywały bardzo dużo, ale też bardzo wiele wymagały, i to *wymagały wszystkiego od razu*. Musiałbym więc w takim wypadku pozostać w Indiach i porzucić myśli o powrocie do Europy, to znaczy odrzucić wszystkie moje idee, dążenia, plany i zacząć podążać drogą o której nic napróżd nie mogłem wiedzieć.

Szkoły te bardzo mnie interesowały, a ludzie będący z nimi w kontakcie i którzy powiedzieli mi o nich, wyraźnie wyrastali ponad przeciętność. Ciągłe jednak wydawało mi się, że muszą też istnieć szkoły na swój sposób bardziej racjonalne i że człowiek ma do pewnego stopnia prawo wiedzieć, dokąd zmierza. W tym samym czasie doszedłem do wniosku, że bez względu na to, jak nazywa się dana szkoła – okultystyczna, ezoteryczna czy jogi – to na zwykłym, ziemskim poziomie powinna ona istnieć tak jak szkoła każdego innego rodzaju – na przykład szkoła malarstwa, tańca czy medycyny. Zrozumiałem, że myślenie o szkołach "na innej płaszczyźnie" było tylko oznaką słabości i marzeniem zajmującym miejsce rzeczywistego poszukiwania. Zrozumiałem wtedy, że marzenia są jedną z podstawowych przeszkód na naszej ewentualnej drodze do "cudownego".

W trakcie wyprawy do Indii poczyniłem plany dalszych podróży. Tym razem chciałem zacząć od muzułmańskiego Wschodu: głównie rosyjskiej Azji Środkowej i Persji. Żadnemu z tych planów nie dane było jednak się zrealizować.

Z Londynu, przez Norwegię, Szwecję i Finlandię, dotarłem do Petersburga, nazywanego się już wtedy "Piotrograd", przepelnionego spekulacją i patriotyzmem. Wkrótce potem wyjechałem do Moskwy i rozpocząłem pracę redakcyjną dla gazety, do której pisałem z Indii. Zatrzymałem się tam około sześciu tygodni, i w tym czasie miał miejsce mały epizod wiążący się z wieloma rzeczami, które zdarzyły się potem.

Pewnego dnia, przygotowując w biurze redakcji następny numer gazety, natrafiłem na notatkę (myślę, że było to w "Głosie Moskwy"), nawiązującą do scenariusza baletu "Walka Magów", którego autorstwo przypisywano, jak to było

powiedziane, pewnemu "Hindusowi". Akcja baletu miała toczyć się w Indiach i przedstawiać pełny obraz wschodniej magii, łącznie z cudami fakirów, świętymi tańcami, itd. Nie podobał mi się nazbyt żwawy ton tej notatki, ale ponieważ hinduscy autorzy scenariuszy baletowych byli w Moskwie do pewnego stopnia rzadkością, wyciąłem ją i zamieściłem w swojej gazecie z małą wzmianką, że wspomniany balet będzie zawierał wszystko to, czego nie można znaleźć w prawdziwych Indiach, a co stanowi przedmiot poszukiwań wyruszających tam podróżników.

Wkrótce, z różnych przyczyn, porzuciłem pracę w redakcji i wyjechałem do Petersburga. Tam w lutym i marcu 1915 roku wygłaszałem publiczne odczyty na temat moich podróży po Indiach. Odczyty te były zatytułowane: "W poszukiwaniu cudownego" i "Zagadnienia śmierci". W toku tych odczytów, które miały służyć jako wstęp do książki o moich podróżach książki, który dopiero miałem zamiar napisać – powiedziałem, że w Indiach szukanie "cudownego" odbywa się nie tam, gdzie powinno, że wszystkie powszechnie znane metody poszukiwań są bezużyteczne, i że Indie strzegą swej tajemnicy lepiej, niż to wielu ludzi przypuszcza; ale że "cudowne" jednak tam istnieje, na co wskazuje wiele rzeczy, obok których ludzie przechodzą, nie zdając sobie sprawy z ich ukrytego sensu i znaczenia lub też nie wiedząc, jak się do nich zbliżyć. Znow miałem na myśli "szkoły".

Pomimo wojny moje wykłady wywołały duże zainteresowanie. Ponad tysiąc osób przychodziło na każdy z nich do Sali Aleksandrowskiej Rady Miejskiej w Petersburgu. Otrzymałem wiele listów; ludzie przychodzili spotkać się ze mną i czułem, że dzięki wspólnemu "szukaniu cudownego" będzie możliwe zjednoczenie bardzo dużej liczby osób, które nie mogą już dłużej znosić przyjętych form okłamywania i życia w tym zakłamaniu.

Po Wielkiejnocy pojechałem z odczytami do Moskwy. Pośród ludzi, których spotkałem podczas tych odczytów, znalazły się dwie osoby pewien muzyk i pewien rzeźbiarz – które od razu zaczęły opowiadać mi o istniejącej w Moskwie grupie, która prowadziła różne "okultystyczne" badania i eksperymenty. Grupa ta kierowana była przez pewnego G., Greka z Kaukazu, który – jak zrozumiałem – był tą samą osobą co "Hindus", autor scenariusza baletu opisanego w notatce prasowej przeczytanej przeze mnie trzy czy cztery miesiące wcześniej. Muszę przyznać, że to, co ci dwaj ludzie opowiedzieli mi o tej grupie i o tym, co się w niej działo – dotyczyło to wszelkiego rodzaju autosugerowanych niesamowitości – w niewielkim stopniu mnie zainteresowało. Dokładnie takie same opowieści słyszałem wiele razy przedtem i miałem już ukształtowaną, zdecydowaną opinię na ich temat.

...Panie, które spostrzegłszy nagle fascynujące, unoszące się w powietrzu oczy, podążają za nimi ulicami, by w końcu dotrzeć do domu pewnego człowieka Wschodu, do którego te oczy należą. Ludzie, którzy w obecności tego samego

człowieka Wschodu czują nagle, że potrafi ich przejrzeć na wskroś: wszystkie ich uczucia, myśli, pragnienia – i którzy mają przy tym dziwne doznania w nogach, co powoduje, że nie są w stanie się poruszyć i podlegają jego mocy do takiego stopnia, że ów nawet na odległość może kierować ich poczynaniami zgodnie z własnym życzeniem...

Zawsze wydawało mi się że tego rodzaju historie są tylko kiepską literaturą . Ludzie sami dla siebie wymyślają cuda, i wymyślają dokładnie to, czego się od nich oczekuje. Powstaje z tego mieszanina przesądów, autosugestii i błędnego myślenia; a według mych obserwacji podobne historie nigdy nie wychodzą na światło dzienne bez pewnej współpracy ze strony osób, do których się one odnoszą.

Tak więc, pomny dotychczasowych doświadczeń, dopiero po nieustannych namowach M., jednego z mych nowych znajomych, wyraziłem zgodę na spotkanie i rozmowę z G.

Moje pierwsze spotkanie z nim całkowicie zmieniło moje opinię na jego temat, jak również o tym, czego mógłbym się po nim spodziewać.

Bardzo dobrze pamiętam to spotkanie. Dotarliśmy do małej kafejki przy hałaśliwej, ale oddalonej od centrum ulicy. Ujrzałem niemłodego już mężczyznę o wschodnich rysach, z czarnym wąsem, o przeszywających oczach. Przede wszystkim zadziwił mnie on tym, że wyglądał na przebierańca, który zupełnie nie przystawał do tego miejsca i jego atmosfery. Byłem ciągle jeszcze wypełniony wrażeniami ze Wschodu, i ten człowiek ubrany w czarne palto z welwetowym kołnierzem i w czarny melonik, człowiek o twarzy indyjskiego radży lub arabskiego szejka, którego spodziewałem się raczej zobaczyć w białym burnusie albo w połączanym turbanie – sprawiał tutaj, w tej małej kafejce będącej miejscem spotkań drobnych handlarzy i pośredników, dziwne, nieoczekiwane i niemal alarmujące wrażenie człowieka w niedobrym przebraniu; człowieka, którego widok wprowadza cię w zakłopotanie, ponieważ widać, że nie jest on tym, kogo udaje, a jednocześnie trzeba z nim rozmawiać i zachowywać się tak, jakby się tego nie zauważało. Po rosyjsku mówił niepoprawnie, z silnym kaukaskim akcentem, i ten akcent, z którym kojarzyło się wszystko oprócz filozoficznych idei, jeszcze bardziej wzmacniał dziwaczność i nieoczekiwany charakter wspomnianego wrażenia.

Nie pamiętam, od czego zaczęła się nasza rozmowa. Myślę, że mówiliśmy o Indiach, o ezoteryzmie i o szkołach jogi. Wywnioskowałem, że G. dużo podróżował i odwiedził miejsca, o których tylko słyszałem, a które bardzo pragnąłem zobaczyć. Moje pytania nie tylko nie wprowadzały go w zakłopotanie, ale wręcz wydawało mi się, że przykładał się on do każdej odpowiedzi bardziej, niż o to prosiłem. Podobał mi się jego sposób mówienia, który był ostrożny i dokładny. M. szybko nas opuścił. G. opowiedział mi o swojej pracy w Moskwie. Niezupełnie go zrozumiałem. Z tego, co mówił, wynikało, że w jego pracy, w

swym charakterze głównie psychologicznej, dużą rolę odgrywała *chemia*. Oczywiście, ponieważ służyłem go po raz pierwszy, potraktowałem jego wypowiedź dosłownie.

– To, o czym mówisz – powiedziałem – przypomina mi coś, co służyłem o pewnej szkole w południowych Indiach. Pewien bramin, postać wyjątkowa pod wieloma względami, opowiadał młodemu Anglikowi z Trawankuru o szkole, która badała chemię ludzkiego ciała. Poprzez wprowadzanie lub usuwanie różnych substancji szkoła ta mogła zmienić moralną i psychologiczną naturę człowieka. To wydaje mi się bardzo bliskie tego, o czym mówisz.

– Być może – odparł G. – ale jednocześnie może to być coś zupełnie innego. Istnieją szkoły, które na pozór stosują podobne metody, lecz pojmują je całkiem odmiennie. Podobieństwo metod, czy nawet idei, niczego nie dowodzi.

– Jest jeszcze inne pytanie, które bardzo mnie interesuje – powiedziałem. – Istnieją substancje zażywane przez joginów, w celu wywołania pewnych stanów. Czyż w pewnych wypadkach nie są to narkotyki? Ja sam przeprowadziłem sporo doświadczeń na tym obszarze, i wszystko, co przeczytałem na temat magii, całkiem jasno dowodzi mi, że wszelkie szkoły we wszystkich epokach i we wszystkich krajach, na szeroką skalę korzystały z pomocy narkotyków w celu wywołania tych stanów, które czynią "magię" możliwą.

– Tak – powiedział G. – W wielu wypadkach są to substancje, które nazywasz "narkotykami", ale można ich używać na wiele całkiem odmiennych sposobów. Istnieją szkoły, które korzystają z narkotyków we właściwy sposób. Ludzie z tych szkół zażywają ich w celu poznawania siebie – po to, by wiedzieć z wyprzedzeniem, znać lepiej własne możliwości, wiedzieć naprzód, "z góry", to, co w wyniku długiej pracy będzie można później osiągnąć. Kiedy człowiek to widzi i jest przekonany, że to, z czym zapoznał się w teorii, naprawdę istnieje, wtedy pracuje świadomie, wie dokąd zmierza. Jest to czasami najłatwiejsza droga do tego, by przekonać się o rzeczywistym istnieniu tych możliwości, o które często człowiek sam siebie tylko podejrzewa. Istnieje specjalna, związana z tym chemia. Dla każdej funkcji można odnaleźć szczególne, odnoszące się do niej substancje. Każda funkcja może zostać wzmocniona lub osłabiona, pobudzona lub uspiona. Do tego, by móc to zrobić, konieczna jest olbrzymia wiedza o ludzkiej maszynie i o tej specjalnej chemii. We wszystkich szkołach korzystających z tej metody, doświadczenia przeprowadza się jedynie wtedy, gdy rzeczywiście są one konieczne, i odbywa się to tylko pod kierunkiem doświadczonych i kompetentnych osób, które potrafią przewidzieć wszystkie wyniki i w razie potrzeby zastosować środki zapobiegające możliwym niepożądanym konsekwencjom. Substancje stosowane w tych szkołach to nie tylko, jak je nazwałeś, "narkotyki" – mimo że wiele z nich rzeczywiście przygotowuje się z narkotyków, takich jak opium, haszysz, itp.

Prócz szkół, gdzie przeprowadza się tego typu doświadczenia, istnieją też inne

szkoły, które używają tych lub podobnych substancji nie w celach doświadczalnych czy badawczych, ale po to, by otrzymać określone, choćby tylko krótkotrwałe, pożądane rezultaty. Dzięki umiejętnemu stosowaniu owych substancji, człowiek na pewien czas może stać się bardzo inteligentny lub bardzo silny. Potem, oczywiście, umiera lub wariuje, ale tego nie bierze się pod uwagę. I takie szkoły także istnieją. Widzisz więc, że o szkołach powinniśmy mówić ostrożnie. W praktyce mogą one robić podobne rzeczy, ale ich wyniki okazują się zupełnie różne.

Bardzo interesowało mnie wszystko to, co mówił G. Dostrzegałem w tym nowe punkty widzenia, niepodobne do niczego, z czym się dotychczas zetknąłem. Poprosił mnie, bym razem z nim pojechał do domu, gdzie mieli się spotkać niektórzy z jego uczniów.

Wzięliśmy dorożkę i ruszyliśmy w kierunku Sokolnik. W drodze G. opowiadał mi o tym, jak wojna pomieszała wiele jego planów: wielu z jego uczniów powołano do wojska podczas pierwszej mobilizacji, przepadł bardzo kosztowny sprzęt i zamówione za granicą przyrzady. Potem mówił o dużych wydatkach związanych z jego pracą, o drogim mieszkaniu, które wynajmował i do którego, jak wywnioskowałem, teraz jechaliśmy. Następnie powiedział mi, że jego praca zainteresowała kilka dobrze znanych w Moskwie osobistości, "profesorów" i "artystów" – jak się wyraził. Gdy zapytałem go dokładnie, o kogo chodzi, nie podał mi żadnego nazwiska.

– Pytam się – powiedziałem – ponieważ sam jestem rodowitym Moskwiczanie, a poza tym przez dziesięć lat, które przepracowałem tutaj w redakcjach różnych gazet, prawie wszystkich zdążyłem już poznać.

G. nic na to nie odpowiedział.

Dotarliśmy do dużego pustego mieszkania, położonego nad miejską szkołą, które bez wątplenia należało do nauczycieli z tej szkoły. Myślę, że było to w miejscu dawnego Czerwonego Stawu.

W mieszkaniu znajdowało się kilkoro uczniów G.: trzech czy czterech młodych mężczyzn i dwie kobiety, obie wyglądające na nauczycielki. Bywałem już przedtem w takich mieszkaniach. Brak mebli tylko mnie utwierdził w moim przekonaniu – miejskie nauczycielki nie otrzymywały umeblowania. Pomyślałem o tym i postępowanie G. wydało mi się dziwne. Po co opowiedział mi tę całą historię o nieprawdopodobnych wydatkach związanych z tym mieszkaniem? Mieszkanie to po pierwsze, nie było jego, po drugie, nie płacono się za nie czynszu, a po trzecie, nie mogło kosztować więcej niż dziesięć funtów na miesiąc. Było coś tak szczególnego w tym oczywistym blefie, że pomyślałem wtedy, iż musi to coś oznaczać.

Trudno mi odtworzyć początek rozmowy z uczniami G. Pewne rzeczy, które usłyszałem, zdziwiły mnie. Próbowałem dowiedzieć się, na czym polega ich

praca, ale nie udzielali mi oni żadnych bezpośrednich odpowiedzi, czasami obstając przy dziwnej i niezrozumiałej dla mnie terminologii.

Zaproponowano mi wysłuchanie początku pewnego opowiadania, napisanego – jak mi powiedziano – przez jednego z uczniów G., którego akurat nie było w Moskwie.

Naturalnie zgodziłem się. Jeden z obecnych zaczął czytać na głos z rękopisu. Autor tekstu opisywał, jak spotkał G. i zawarł z nim znajomość. Zwróciłem uwagę na fakt, że opowiadanie zaczynało się od tego, iż autor natrafił na tę samą wzmiankę o balecie “Walka Magów”, który zimą przeczytałem w “Głosie Moskwy”. Podczas pierwszego spotkania z G. autor poczuł się tak – informacja ta sprawiła mi dużą przyjemność, ponieważ tego właśnie oczekiwałem – jakby G. położył go sobie na dłoni, zważył i odłożył z powrotem na bok. Opowiadanie nosiło tytuł “Przebłycki Prawdy” i najwyraźniej napisane zostało przez kogoś, kto nie miał żadnego literackiego doświadczenia. Pomimo to robiło wrażenie, ponieważ zawierało przesłanki systemu, w którym wyczuwałem coś bardzo interesującego, choć sam nie potrafiłem tego ani nazwać, ani sformułować; były tam także zgoła nieoczekiwane opinie na temat sztuki, które znalazły we mnie bardzo głęboki oddźwięk.

Później dowiedziałem się, że autor opowiadania był postacią wymyśloną, a początek opowiadania napisało dwóch obecnych przy czytaniu uczniów G., w celu prezentacji jego idei w formie literackiej. Jeszcze później usłyszałem, że pomysł opowiadania należał do samego G.

Czytanie pierwszego rozdziału dobiegło końca. G. przez cały czas uważnie słuchał. Siedział na sofie z jedną nogą podwiniętą pod siebie, popijając ze szklanki czarną kawę, paląc i spoglądając na mnie od czasu do czasu. Podobały mi się jego ruchy, w których było wiele z kociego wdzięku i pewności siebie; nawet w milczeniu G. było coś, co odróżniało go od innych. Czułem, że wolałbym go spotkać nie w Moskwie, nie w tym mieszkaniu, ale w jednym z miejsc, z których dopiero co wróciłem: na krużganku jednego z meczetów w Kairze, w którymś z leżących w gruzach miast na Cejlonie, albo też w jednej ze świątyń południowych Indii: w Tandżurze, Tiruczirappalli czy Maduraju.

– No jak ci się podoba to opowiadanie? – zapytał G. po chwili milczenia, gdy czytanie dobiegło już końca.

Powiedziałem, że słuchałem go z zainteresowaniem, ale z mojego punktu widzenia jego wadą był brak jasności co do tego, czego ono miało dotyczyć. Autor opowiadania mówi o bardzo silnym wrażeniu, jakie wywarła na nim doktryna, z którą się zetknął, ale nie udziela on żadnych ścisłych informacji na temat samej tej doktryny. Osoby obecne w mieszkaniu zaczęły ze mną dyskutować wskazując na to, że najważniejsza część opowiadania umknęła mojej uwadze. Sam G. nie powiedział nic.

Kiedy zapytałem ich o to, jaki system studiowali i jakie były wyróżniające go cechy, odpowiedzieli mi w bardzo niejasny sposób. Potem mówili o pracy nad sobą, ale nie umieli mi wytłumaczyć, na czym ta praca miała polegać. Generalnie rzecz biorąc, moja rozmowa z uczniami G. przebiegła niezbyt dobrze; czułem, że jest w nich coś wyrachowanego i sztucznego, tak jakby odgrywali wcześniej wyuczoną rolę. Poza tym uczniowie nie pasowali do nauczyciela. Wszyscy należeli do owej szczególnej warstwy – raczej biednej moskiewskiej inteligencji – którą bardzo dobrze znałem i po której nie mogłem spodziewać się niczego ciekawego. Uważałem nawet za bardzo dziwne, iż spotkałem ich na drodze do cudownego. Jednocześnie wydawało mi się, że wszyscy są całkiem miłymi i przyzwoitymi ludźmi. Opowieści, które usłyszałem od M., w oczywisty sposób nie pochodziły od nich i ich nie dotyczyły.

– Chciałem cię o coś zapytać – powiedział G. po przerwie. – Czy ten artykuł mógłby zostać opublikowany w gazecie? Myśleliśmy, że w ten sposób moglibyśmy zapoznać szersze kręgi z naszymi ideami.

– To zupełnie niemożliwe – odpowiedziałem. – To nie jest artykuł, to znaczy coś, co się zaczyna i kończy; to jest zaledwie początek opowiadania, i do tego za długi dla gazety. Widzisz, my przeliczamy materiał na wiersze. Czytanie tego tekstu zajęło dwie godziny – jest tu około trzech tysięcy wierszy. Wiesz, co w gazecie nazywamy felietonem: przeciętny felieton ma około trzystu wierszy. Tak więc tylko ta część opowiadania zajęłaby miejsce dziesięciu felietonów. W gazetach moskiewskich felieton w odcinkach jest drukowany co najwyżej raz na tydzień, a zatem zajęłoby to dziesięć tygodni – tymczasem jest to rozmowa na jedną noc. Jeśli można by to opublikować, to tylko w miesięczniku; ale ja w tej chwili nie znam żadnego, który by się do tego nadawał. Zresztą, w takim wypadku, zanim cokolwiek zostałoby postanowione, wymagano by od razu pokazania całego tekstu.

G. nie powiedział nic i na tym rozmowa się zakończyła.

W samym G. od razu poczułem jednak coś niezwykłego, i w ciągu wieczoru wrażenie to się tylko potęgowało. Gdy go opuszczałem, przebiegła mi przez głowę myśl, że muszę *natychmiast, niezwłocznie* umówić się z nim na następne spotkanie, bo jeśli tego nie zrobię, to mogę stracić z nim wszelki kontakt. Zapytałem, czy przed moim wyjazdem do Petersburga mógłbym jeszcze raz się z nim zobaczyć. Powiedział, że następnego dnia będzie o tej samej godzinie w tej samej kawiarni.

Wyszedłem razem z jednym z młodych mężczyzn. Sam czułem się bardzo dziwnie. Długie czytanie, z którego niewiele zrozumiałem, ludzie, którzy nie odpowiadali na moje pytania, niecodzienny sposób zachowania G. i jego wpływ na otaczających go ludzi, który przez cały czas wyczuwałem – wszystko to nieoczekiwanie wywołało we mnie pragnienie śmiechu, krzyku, śpiewu – tak jakbym dopiero co uciekł ze szkoły albo z jakiegoś dziwnego zamknięcia.

Chciałem przekazać swoje wrażenia towarzyszącemu mi młodemu człowiekowi, chciałem pożartować z G. i z tego nudnego i pretensjonalnego opowiadania. Od razu wyobraziłem sobie, jak opowiadam to wszystko swoim przyjaciołom. Na szczęście powstrzymałem się w porę: "Ależ on od razu pójdzie do nich zadzwonić. Oni wszyscy są. przecież przyjaciółmi."

Próbowałem więc się pohamować i bez słowa doszliśmy do tramwaju, który zawiózł nas w stronę centrum Moskwy. Po dosyć długiej podróży dojechaliśmy do Ochotnego Riadu, niedaleko którego mieszkałem; tam milcząco powiedzieliśmy sobie "do widzenia" i rozeszliśmy się.

I tak następnego dnia, dzień potem, jak i każdego kolejnego dnia przychodziłem do tej samej kawiarni, w której po raz pierwszy spotkałem się z G. W ciągu tygodnia spędzonego w Moskwie widywałem go codziennie. Szybko stało się dla mnie jasne, że wiedział on wiele z tego, co ja chciałem wiedzieć. Między innymi wyjaśnił mi pewne zjawiska, z którymi zetknąłem się w Indiach, a których nikt – ani tam na miejscu, ani potem – nie był w stanie mi wytłumaczyć. W jego wyjaśnieniach czułem pewność specjalisty i bardzo delikatną analizę faktów, a także *system*, którego nie umiałem uchwycić, ale którego obecność zaczynałem już wyczuwać, jako że wyjaśnienia G. prowokowały do tego, by myśleć nie tylko o diskutowanych faktach, ale także o wielu innych sprawach, które zauważałem albo których istnienie przeczuwałem.

Grupy G. już więcej nie spotkałem. O samym sobie G. mówił bardzo niewiele. Raz czy dwa wspomniał o swoich podróżach na Wschód. Ciekawiło mnie, gdzie przebywał, ale nie byłem w stanie dokładnie tego ustalić.

Co do jego pracy w Moskwie, to G. powiedział mi, że prowadzi dwie nie powiązane ze sobą grupy, zajmujące się różną pracą: "zgodnie ze stopniem ich przygotowania i ich sił" – jak się wyraził. Wszyscy członkowie grup płacili tysiąc rubli na rok i byli w stanie pracować z G., nie porzucając swoich normalnych zajęć.

Powiedziałem, że według mnie tysiąc rubli na rok może stanowić opłatę zbyt dużą dla wielu osób nie posiadających niezależnych środków utrzymania.

G. odrzekł, że żaden inny układ nie byłby możliwy, ponieważ ze względu na charakter pracy nie może on mieć wielu uczniów. Jednocześnie nie chce *i nie powinien* – podkreślił to – wydawać swoich własnych pieniędzy na organizację pracy. Jego działalność z natury nie jest i nie może być charytatywna, a jego uczniowie sami powinni znaleźć środki na wynajęcie mieszkań, gdzie mogliby się spotykać i przeprowadzać doświadczenia. Dodał jeszcze, że obserwacje wykazały, iż ludzie, którzy są słabi w życiu, okazują się słabi w pracy.

– Istnieje kilka aspektów tej idei – powiedział G. – Praca każdej osoby może pociągnąć za sobą wydatki, podróże, itd. Jeśli jej życie jest tak źle zorganizowane, że zdobycie tysiąca rubli sprawia jej kłopot, to lepiej dla niej,

żeby tej pracy nie podejmowała. Przypuśćmy, że w ciągu roku jej praca wymaga wyjazdu do Kairu albo jakiegoś innego miejsca. Musi mieć na to środki. Dzięki temu zadaniu możemy się przekonać, czy dana osoba jest w stanie pracować z nami, czy nie.

Poza tym – kontynuował G. – mam o wiele za mało wolnego czasu, by móc poświęcać go dla innych, nie będąc nawet pewnym tego, czy im to dobrze zrobi. Bardzo cenię sobie swój czas, ponieważ potrzebuję go do mojej własnej pracy, i ponieważ nie mogę i, jak to wcześniej powiedziałem, nie chcę spędzać go bezproduktywnie. Istnieje jeszcze inna strona tego zagadnienia: ludzie nie doceniają sprawy, jeśli za nią nie płacą.

Słuchałem tego z dziwnym uczuciem. Z jednej strony wszystko, co G. powiedział, odpowiadało mi. Pociągał mnie brak jakichkolwiek wątków sentymentalnych, brak konwencjonalnej gadki o altruizmie, słów o pracy dla dobra ludzkości, itd. Z drugiej strony dziwiło mnie widoczne pragnienie G., by *przekonać* mnie o czymś, co wiąże się z problemem pieniędzy, *podczas gdy mnie wcale nie trzeba było przekonywać* .

Jeśli istniało cokolwiek, z czym się nie zgadzałem, to tylko to, że G. będzie w stanie – w sposób, który opisał – zebrać dostateczną ilość pieniędzy. Zdawałem sobie sprawę, że żaden ze spotkanych przeze mnie uczniów G. nie będzie mógł zapłacić tysiąca rubli rocznie. Jeśli G. rzeczywiście znalazł na Wschodzie widoczne i dotykane ślady ukrytego poznania, i .jeśli chce kontynuować badania w tym kierunku, to jest jasne, że praca ta wymaga funduszy, tak jak każde naukowe przedsięwzięcie, każda wyprawa do jakiejś nieznannej części świata, jak odkopywanie pradawnego miasta lub badania wymagające wielu specjalnych fizycznych i chemicznych doświadczeń. Zupełnie nie trzeba mi było o tym przekonywać. Przeciwnie, już wcześniej myślałem, że jeśli G. dałby mi możliwość bliższego zapoznania się z jego działalnością, to prawdopodobnie powinienem znaleźć potrzebne fundusze, by jego praca miała należyte zabezpieczenie i by mógł on zaangażować większą liczbę przygotowanych ludzi. Ale oczywiście, ciągle jeszcze miałem bardzo mglisty obraz tego, na czym ta praca mogła polegać.

Nie mówiąc wprost, G. dał mi do zrozumienia, że jeśli wyraziłbym takie życzenie, to przyjąłby mnie na jednego ze swoich uczniów. Powiedziałem mu, że z mojej strony główną przeszkodą jest fakt, iż nie mogę dłużej pozostać w Moskwie, ponieważ jestem umówiony z wydawcą w Petersburgu, gdzie przygotowuję kilka książek do druku. G. powiedział mi, że czasami jeździ do Petersburga i obiecał, że wkrótce tam zawita, poinformowawszy mnie wcześniej o swoim przyjeździe.

– Ale jeśli przyłączyłbym się do Twojej grupy – powiedziałem do G. – to będę musiał stanąć przed bardzo trudnym problemem. Nie wiem, czy wymagasz od swoich uczniów zachowania w tajemnicy tego, czego uczą się od Ciebie – ja jednak nie mogę Ci tego obiecać.

Dwukrotnie w moim życiu miałem możliwość przyłączenia się do grup zajmujących się pracą, która – sądząc po opisie – wydaje się podobna do Twojej, a która wtedy bardzo mnie interesowała. W obu wypadkach to przyłączenie wiązało się z wyrażeniem zgody lub przyrzeczeniem dochowania tajemnicy na temat tego, czego mogłem się tam nauczyć. W obu wypadkach odmówiłem, ponieważ jestem przede wszystkim pisarzem i chcę być całkowicie wolny; chcę sam decydować o tym, co powinienem, a czego nie powinienem napisać. Jeśli obiecuję zachować w tajemnicy coś, co mi powiedziano, to później będzie mi niezwykle trudno oddzielić to, co mi powiedziano, od tego, co pojawiło się w moim własnym umyśle w związku czy też nawet bez związku z tym samym tematem. Na przykład: na razie wiem bardzo niewiele o Twoich ideach, ale jestem pewien, że jeśli zaczniemy rozmawiać, to bardzo szybko dojdziemy do zagadnień czasu, przestrzeni, wyższych wymiarów, itd. Są to zagadnienia, nad którymi pracuję już od wielu lat. Nie wątpię, że muszą one zajmować dużo miejsca w Twoim systemie. – G. przytaknął. – Widzisz zatem – mówiłem dalej – że gdybyśmy teraz rozmawiali pod przysięgą dochowania tajemnicy, to już po pierwszej rozmowie nie wiedziałbym, co mogę, a czego nie mogę napisać.

– Ale jakie jest twoje zdanie na ten temat? – zapytał G. – Nie wolno zbyt dużo mówić. Istnieje rzeczy, które mówi się tylko uczniom.

– Mógłbym zaakceptować taki warunek tylko tymczasowo – powiedziałem. – Oczywiście byłoby śmieszne, gdybym od razu zaczął pisać o tym, czego się od Ciebie uczę. Ale jeśli w gruncie rzeczy nie życzysz sobie, by utrzymywać Twoje idee w tajemnicy, i troszczysz się tylko o to, by nie były one przekazywane w przeinaczonej formie, to w takim wypadku mogę przystać na ten warunek i poczekać do czasu, gdy będę miał lepsze zrozumienie Twojego nauczania. Spotkałem kiedyś grupę ludzi, którzy przeprowadzali różnorodne doświadczenia naukowe na bardzo szerokiej skali. Ze swojej pracy nie robili tajemnicy, ale stawiali warunek, że nikt nie będzie nic mówić ani opisywać żadnego z ich doświadczeń, jeśli sam nie jest w stanie go przeprowadzić. Dopóki ktoś sam nie umie powtórzyć doświadczenia, to musi zachować milczenie.

– Nie można tego lepiej sformułować – powiedział G. – Jeśli utrzymasz taką zasadę, to ta kwestia nigdy między nami nie powstanie.

– Czy istnieją jakieś warunki przyłączenia się do Twojej grupy? – zapytałem. – I czy człowiek, który do niej się przyłączy, musi być przywiązany trwale do grupy i do Ciebie? Innymi słowy, chcę wiedzieć czy wolno mu będzie odejść i porzucić Twoją pracę, czy też bierze on na siebie określone zobowiązania? I jak zachowasz się w stosunku do niego, jeśli nie dotrzyma on swoich zobowiązań?

– Nie ma żadnego rodzaju warunków – powiedział G. – i nie może być. Naszym punktem wyjścia jest fakt, że człowiek nie zna siebie, że on *nie jest* – podkreślił te słowa – to znaczy, że nie jest on tym, kim może i kim powinien być. Z tego powodu nie może zawierać żadnych umów ani też brać na siebie zobowiązań.

Nie może on niczego zdecydować o przyszłości. Dzisiaj jest on jedną osobą a jutro inną. Nie jest więc w żaden sposób z nami związany i jeśli chce, to w dowolnym momencie może porzucić pracę i odejść. Nie istnieją żadne zobowiązania: ani nasze wobec niego, ani jego wobec nas. Jeśli chce, to może zacząć poznawać. Będzie musiał poznawać przez długi okres i będzie musiał bardzo dużo pracować nad sobą. Kiedy dostatecznie dużo się nauczy, to wtedy jest to już inna sprawa. Wtedy sam zdecyduje, czy nasza praca podoba mu się, czy nie. Jeśli sobie tego będzie życzył, może pracować z nami, jeśli nie – może odejść. Do tego momentu jest wolny. Jeśli zostanie, to będzie mógł potem dalej decydować i robić plany na przyszłość.

Możemy się tutaj posłużyć następującym przykładem: oczywiście nie na początku, ale później, może powstać sytuacja, kiedy człowiek musi, choćby tylko na jakiś czas, zachować w tajemnicy coś, czego się nauczył. Czy człowiek, który sam siebie nie zna, może obiecać, że dochowa tajemnicy? Oczywiście może obiecać, że to zrobi, ale czy może on dotrzymać obietnicy? Przecież on nie jest *jeden*, znajduje się w nim wielu różnych ludzi. *Ktoś w nim* obiecuje i wierzy, że chce dochować tajemnicy, ale następnego dnia *ktoś inny w nim* zdradzi ją żonie albo przyjacielowi przy butelce wina. Jakiś sprytny człowiek może też wypytać go w taki sposób, że on sam nawet nie spostrzeże, jak wszystko ujawnia. Wreszcie, może zostać zahipnotyzowany albo niespodziewanie skarcony i przestraszony, a wtedy zrobi wszystko, co zechcesz. Jaki rodzaj zobowiązania może on wziąć na siebie? Nie, z takim człowiekiem my nie będziemy poważnie rozmawiać.

Aby móc dochować tajemnicy, człowiek musi *sam siebie* znać i musi *być*. A człowiek, tak jak wszyscy inni ludzie, bardzo jest od tego daleki. Czasami stawiamy ludziom tymczasowe warunki *jako sprawdzian*. Zazwyczaj bardzo szybko są one łamane, ale ponieważ nigdy nie ujawniamy żadnej poważnej tajemnicy człowiekowi, któremu nie ufamy, to nie ma w ogóle znaczenia. Mam na myśli to, że dla nas jest to bez znaczenia, choć z pewnością zerwany zostaje wtedy nasz związek z tym człowiekiem i traci on swoje szansę, by się od nas czegoś nauczyć.

Może to także mieć wpływ na wszystkich jego bliskich przyjaciół, choć oni sami mogą się tego nie spodziewać.

Pamiętam, że podczas jednej z moich rozmów z G., w pierwszym tygodniu naszej znajomości, mówiłem o swoim zamiarze ponownego wyjazdu na Wschód.

– Czy warto o tym myśleć? I czy mogę znaleźć tam to, czego szukam? – zapytałem G.

– Dobrze jest pojechać tam na wypoczynek, na wakacje – odpowiedział G. – Ale po to, czego ty szukasz, nie warto tam jechać. Wszystko to można znaleźć tutaj.

Zrozumiałem, że mówił o pracy z nim.

– Ale czyż szkoły; które znajduje się, że tak powiem, “na miejscu” , otoczone

tradycją, nie mają pewnej przewagi? – zapytałem.

G. odpowiadając na to pytanie, powiedział mi kilka rzeczy, które zrozumiałem dopiero później.

– Gdybyś nawet odnalazł szkoły, to odnalazłbyś tylko “szkoły filozoficzne” – powiedział. W Indiach znajdują się tylko szkoły filozoficzne, Już dawno temu zostało to tak podzielone: w Indiach – “filozofia”, w Egipcie – “teoria”, na terenie dzisiejszej Persji, Mezopotamii i Turkiestanu – “praktyka”.

– Czy jest tak do dzisiaj? – zapytałem.

– Po części jest tak nawet teraz – powiedział. – Ale ty nie rozumiesz jasno tego, co mam na myśli, mówiąc o filozofii, teorii i praktyce. Te słowa należy pojmować w zupełnie inny sposób, niż się je zazwyczaj pojmuje.

Wracając do szkół, to istnieją tylko szkoły *specjalistyczne*; nie ma szkół ogólnych. Każdy nauczyciel albo *guru* jest specjalistą w jednej dziedzinie. Jeden jest astronomem, drugi rzeźbiarzem, a trzeci muzykiem. Wszyscy uczniowie najpierw muszą studiować dziedzinę, w której wyspecjalizował się nauczyciel, a dopiero później inne przedmioty. Poznanie wszystkiego zajęłoby więc tysiąc lat.

– Ale w jaki sposób Ty poznawałeś?

– Nie byłem sam. Znajdowali się wśród nas wszelkiego rodzaju specjaliści. Każdy badał pod lotem swojej własnej specjalizacji. Potem, gdy się spotykaliśmy, zbieraliśmy razem to wszystko, czego się dowiedzieliśmy.

– A gdzie są teraz Twoi towarzysze?

G. przez chwilę milczał, po czym, wpatrując się w przestrzeń, powoli powiedział:

– Niektórzy umarli, niektórzy pracują, inni odeszli w odosobnienie.

To ostatnie słowo, pochodzące z języka klasztornego, a usłyszane tak nieoczekiwanie, wywołało we mnie jakieś dziwne i niezręczne uczucie. Jednocześnie miałem wrażenie, że G. prowadzi pewną “grę”, tak jakby rozmyślnie próbował od czasu do czasu podrzucić mi słowo, które mnie zainteresuje i spowoduje, że moje myśli pobiegą w określonym kierunku.

Kiedy próbowałem zapytać go bardziej konkretnie, gdzie znalazł to, co teraz wie oraz jakie jest źródło jego wiedzy i jak daleko sięga ta wiedza, nie dawał mi żadnej odpowiedzi wprost.

– Wiesz – powiedział G. – kiedy pojechałeś do Indii, to o twojej podróży i o twoich celach pisano w gazetach. Poleciałem wtedy moim uczniom, żeby przeczytali twoje książki, określili *kim* jesteś i ustalili na tej podstawie to, co będziesz w stanie znaleźć. Wiedzieliśmy więc, co znajdziesz, kiedy ty jeszcze byłeś w drodze.

Na tym zakończyła się rozmowa.

Pewnego razu spytałem G. o to, czy balet, o którym pisano w gazetach i o którym była także mowa w opowiadaniu "Przebłyśki Prawdy" miał być rodzajem "misterium".

– Mój balet nie jest "misterium" – powiedział G. – Chodziło mi o stworzenie interesującego i pięknego widowiska. Oczywiście jest tam pewne, ukryte za zewnętrzną formą, znaczenie, ale nie było moim celem ujawnienie i podkreślanie tego znaczenia. Ważne miejsce w tym balecie zajmują pewne tańce. Pokróćce ci to wyjaśnię.

Wyobraź sobie, że w celu zbadania ruchów ciał niebieskich – powiedzmy planet układu słonecznego – zbudowano specjalny mechanizm, który wizualnie przedstawia prawa rządzące tymi ruchami i który jednocześnie przypomina nam o nich. W tym mechanizmie każda planeta jest reprezentowana przez odpowiedniej wielkości kulę i znajduje się w pewnej odległości od centralnej kuli reprezentującej Słońce. Kiedy mechanizm zostaje wprowadzony w ruch, wszystkie kule zaczynają krążyć i poruszać się wzdłuż wyznaczonych torów, odtwarzając w formie wizualnej prawa, które rządzą ruchami planet. Ten mechanizm przypomina ci o wszystkim, co wiesz na temat układu słonecznego. Coś podobnego istnieje w rytmie pewnych tańców. W ściśle określonych ruchach i układach są odtworzone wizualnie pewne prawa, czytelne dla tych, którzy je znają. Takie tańce nazywane są tańcami świętymi. Podczas moich podróży na Wschodzie wielokrotnie widziałem takie tańce, wykonywane w trakcie świętych nabożeństw w różnych starożytnych świątyniach. Niektóre spośród tych tańców zostały odtworzone w "Walce Magów".

Trzy idee leżą u podstaw "Walki Magów", ale jeśli wystawię ten balet na zwykłej scenie, to publiczność nigdy tych idei nie zrozumie.

Z tego, co powiedział, zrozumiałem, że nie chodziło o balet w ścisłym tego słowa znaczeniu; ale o rodzaj dramatycznych i mimicznych scen, połączonych wspólnym wątkiem, z akompaniamentem muzyki i zawierających pieśni oraz tańce. Najbardziej odpowiednią nazwą dla tych scen byłaby "rewia", ale bez żadnych elementów komicznych. Ów balet czy też "rewia" miał nazywać się "Walka Magów". Główne sceny przedstawiały szkoły "Czarnego Maga" i "Białego Maga" wraz z ćwiczeniami wykonywanymi przez uczniów oby szkół i walki pomiędzy nimi. Akcja toczyłaby się na tle życia miasta Wschodu i byłaby urozmaicona świętymi tańcami, tańcami derwiszów i różnymi wschodnimi tańcami ludowymi. Wszystko to zostałoby przeplecione historią miłosną, która sama w sobie miałaby alegoryczne znaczenie.

Byłem szczególnie zaintrygowany, gdy G. powiedział, że *ci sami* wykonawcy mieliby grać i tańczyć w scenie "Białego Maga" i w scenie "Czarnego Maga", oraz że oni sami i ich ruchy musiałyby być w pierwszej scenie pociągające i piękne, a w drugiej brzydkie i nieharmonijne.

– Rozumiesz, że dzięki temu ujrzą oni i poznają wszystkie swoje strony; w rezultacie balet będzie miał niezwykle znaczenie dla poznawania siebie – powiedział G.

Nie było to wówczas wcale dla mnie jasne, uderzyła mnie jednak pewna sprzeczność.

– W notatce, którą widziałem w gazecie, było powiedziane, że Twój balet będzie wystawiony w Moskwie i że wystąpią w nim dobrze znani tancerze. Jak godzisz to z ideą poznawania siebie? – zapytałem. – Oni nie będą grali i tańczyli w celu poznawania siebie samych.

– To wszystko nie jest jeszcze przesadzone – powiedział G. – Autor notatki, którą przeczytałeś, nie był w pełni poinformowany. Wszystko może okazać się całkiem inne, aczkolwiek – z drugiej strony – uczestniczący w balecie będą widzieli siebie, niezależnie od tego, czy im się to podoba, czy nie.

– A kto pisze muzykę? – zapytałem.

– To także nie jest postanowione – rzekł G. Nic więcej już nie powiedział, a o samym balecie usłyszałem ponownie dopiero w pięć lat później.

Pewnego razu miałem okazję rozmawiać z G. w Moskwie. Mówiłem o Londynie, gdzie niedawno spędziłem trochę czasu, o mechanizacji, która rozwijała się w dużych europejskich miastach i bez której życie i praca w tych ogromnych wirujących "mechanicznych zabawkach" byłyby prawdopodobnie niemożliwe.

– Ludzie zamieniają się w maszyny – powiedziałem. – I bez wątplenia staną się kiedyś doskonałymi maszynami, ale nie wierzę, by mogli myśleć. Gdyby próbowali myśleć, to nie mogliby pozostać doskonałymi maszynami.

– Tak – odparł G. – to prawda, ale tylko częściowo. Przede wszystkim zależy to od pytania, *którego* umysłu będą oni używać w swojej pracy. Jeśli ludzie używają właściwego umysłu, to wtedy są w stanie nawet lepiej myśleć w wirze całej ich pracy z maszynami. Ale, powtarzam, tylko jeśli myślą właściwym umysłem.

Nie rozumiałem, co G. uważał za "właściwy umysł", i pojąłem to dopiero o wiele później.

– Po drugie – kontynuował – mechanizacja, o której mówisz, nie jest wcale niebezpieczna. Człowiek może być *człowiekiem* – położył nacisk na to słowo – pracując z maszynami. Istnieje inny rodzaj mechanizacji, który jest o wiele bardziej niebezpieczny: bycie samemu maszyną. Czy kiedykolwiek myślałeś o tym, że wszyscy ludzie *sami* są maszynami?

– Tak – powiedziałem – z czysto naukowego punktu widzenia wszyscy ludzie są maszynami rządzonymi przez zewnętrzne wpływy. Ale powstaje pytanie, czy można w całości zaakceptować ten naukowy punkt widzenia?

– Naukowy czy też nie, dla mnie to wszystko jedno – powiedział G. – Chcę,

żebyś zrozumiał, co mówię. Spójrz, ci wszyscy ludzie, których widzisz – wskazał ręką na ulicę – są po prostu maszynami, niczym innym.

– Chyba rozumiem, co masz na myśli – powiedziałem. – Często zastanawiałem się, jak niewiele rzeczy na tym świecie może przeciwstawić się tej formie mechanizacji i wybrać własną ścieżkę.

– I tu właśnie popełniasz największy błąd – rzekł G. – Myślisz, że istnieje coś, co wybiera swoją własną ścieżkę, coś, co może przeciwstawić się mechanizacji; myślisz, że nie wszystko jest jednakowo mechaniczne.

– Oczywiście, że nie! – powiedziałem. – Sztuka, poezja, myśl, są zjawiskami należącymi do całkiem innego porządku.

– Dokładnie do tego samego porządku – powiedział G. – Te działania są tak samo mechaniczne jak wszystko inne. Ludzie są maszynami i niczego, oprócz mechanicznych czynności, nie można od maszyn oczekiwać.

– W porządku – powiedziałem – ale czyż nie istnieją ludzie, którzy nie są maszynami?

– Być może istnieją – rzekł G. – tylko że nie są to ci ludzie, których widzisz; ty ich nie znasz. Chcę, żebyś to właśnie zrozumiał.

Wydawało, mi się raczej dziwne, że kładł on tak duży nacisk na ten punkt. To, co powiedział, uważałem za oczywiste i niepodważalne. Jednocześnie nigdy nie przepadałem za takimi skrótowymi i wszechobejmującymi metaforami. Pomijały one zawsze punkty *rozdzielenia*. Ja zaś zawsze utrzymywałem, że różnice są rzeczą najważniejszą i że po to, by coś zrozumieć, trzeba najpierw zobaczyć punkty różnicowania. Czułem więc, iż jest to dziwne, że G. kładł nacisk na ideę, która sprawia wrażenie oczywistej, zakładając, że nie jest ona zbyt absolutna i że dopuszcza wyjątki.

– Ludzie są tak do siebie niepodobni – powiedziałem: – Nie uważam, żeby można było ich wszystkich opatrzyć tą samą etykietą. Istnieją dzicy, istnieją ludzie zmechanizowani, intelektualiści, geniusze.

– To prawda – powiedział G. – Ludzie są bardzo niepodobni do siebie, ale ty nie znasz i nie możesz dostrzec rzeczywistych; istniejących pomiędzy nimi różnic. Różnica, o której mówisz, po prostu nie istnieje. Trzeba to zrozumieć. Wszyscy ludzie, których widzisz, których znasz, *których może będziesz mógł poznać*, są maszynami, rzeczywistymi maszynami, pracującymi – jak sam to powiedziałaś – wyłącznie pod wpływem zewnętrznych oddziaływań. Jako maszyny się urodzili, jako maszyny umrą.

W jaki sposób dzicy i intelektualiści mieszczą się w tym schemacie? Nawet teraz, dokładnie w tej chwili, kiedy rozmawiamy, kilka milionów maszyn próbuje nawzajem się unicestwić. Czym się one od siebie różnią? Gdzie są dzicy, a gdzie intelektualiści? Oni wszyscy są do siebie podobni....

Ale istnieje możliwość, by przestać być maszyną. I o tym powinniśmy myśleć, a nie o różnych rodzajach istniejących maszyn. Oczywiście, są różne maszyny: samochód jest maszyną, gramofon jest maszyną i strzelba jest maszyną, ale co z tego? To bez różnicy – oni wszyscy są maszynami.

W związku z tą rozmową przypominam sobie też jeszcze inną.

– Jakie jest Twoje zdanie na temat współczesnej psychologii? – zapytałem pewnego razu G., mając zamiar podjąć temat psychoanalizy, która od samego początku jej istnienia wzbudzała we mnie nieufność. Ale G. nie pozwolił mi posunąć się tak daleko.

– Zanim zaczniemy mówić o psychologii, musimy jasno określić, do kogo ona się odnosi, a do kogo nie – powiedział. – *Psychologia* odnosi się do ludzi, do ludzkich istot. Jakaż *psychologia* – podkreślił to słowo – może dotyczyć maszyn? Mechanika, a nie psychologia, jest konieczna do studiowania maszyn. To dlatego właśnie my zaczynamy od mechaniki. Stąd do psychologii prowadzi jeszcze bardzo długa droga.

– Czy można zaprzestać być maszyną? – zapytałem.

– A! To jest pytanie – powiedział G. – Jeślibyś częściej stawiał takie pytania, to być może moglibyśmy w naszych rozmowach do czegoś dojść. Istnieje możliwość, by zaprzestać być maszyną, ale do tego konieczna jest przede wszystkim *znajomość maszyny*. Maszyna, rzeczywista maszyna, nie zna i nie może znać siebie samej. Kiedy maszyna zna siebie, to nie jest już maszyną, a przynajmniej nie jest taką samą maszyną jak przedtem. Zaczyna być *odpowiedzialna* za swoje działania.

– Czy to oznacza, że według Ciebie człowiek nie jest odpowiedzialny za swoje działania? – zapytałem.

– *Człowiek* – podkreślił to słowo – jest odpowiedzialny. *Maszyna* nie jest odpowiedzialna.

W trakcie jednej z naszych rozmów zapytałem G.:

– Co według Ciebie stanowi najlepsze przygotowanie do zapoznania się z Twoją metodą? Na przykład: czy przydaje się tu studiowanie tego, co nazywamy literaturą "okultystyczną" lub "mistyczną"?

Mówiąc to, miałem szczególnie na myśli "Tarot" i literaturę na ten temat.

– Tak – powiedział G. – Wiele można odnaleźć czytając. Weź siebie za przykład: gdybyś wiedział, jak czytać, to mógłbyś już dużo wiedzieć. Mam na myśli to, że gdybyś *rozumiał* wszystko, co przeczytałeś w swoim życiu, to znałbyś już to, czego teraz szukasz. Gdybyś rozumiał wszystko to, co napisałeś w twojej własnej książce... jak ona się nazywa? – G. stworzył coś przedziwnego ze słów "Tertium Organum" – to ja powinienem przyjść, pokłonić się przed tobą i błagać,

byś zechciał mnie nauczać. Ale *ty nie rozumiesz* tego, co czytasz, ani tego, co piszesz. Ty nawet nie rozumiesz tego, co oznacza słowo *rozumieć*. A to właśnie rozumienie jest istotne i czytanie może być przydatne tylko pod warunkiem, że rozumiesz, co czytasz. Ale oczywiście żadna książka nie może zastąpić rzeczywistego przygotowania. Nie można zatem powiedzieć co jest lepsze. To, co człowiek *dobrze* zna – podkreślił słowo “dobrze” stanowi jego przygotowanie. Jeśli ktoś dobrze wie, jak zrobić kawę albo jak dobrze zrobić buty, to można już z nim rozmawiać. Kłopot polega na tym, że nikt niczego dobrze nie zna. Wszystko znane jest byle jak, powierzchownie.

Był to kolejny z tych nieoczekiwanych zwrotów, którymi G. posługiwał się w swoich wyjaśnieniach. Bez wapienia jego słowa zawierały oprócz potocznego sensu także inne, całkiem odmienne znaczenie. Zaczynałem już pojmować, że trzeba zaczynać od potocznego i prostego znaczenia słów G., aby dotrzeć do ich znaczenia ukrytego. Słowa G. zawsze coś znaczyły w potocznym sensie, lecz nie wyczerpywało to całej ich treści. Szersze, czy też głębsze ich znaczenie pozostawało przez długi czas ukryte.

Jest jeszcze inna rozmowa, która utkwiała mi w pamięci. Zapytałem G., co człowiek powinien czynić, by przyswoić sobie to nauczanie.

– *Co czynić?* – zapytał G. jakby zaskoczony. – Niemożliwe jest *czynienie* czegokolwiek. Człowiek musi przede wszystkim *zrozumieć* pewne rzeczy. Posiada on tysiące fałszywych idei i fałszywych koncepcji, głównie na swój własny temat, i musi niektórych z nich się pozbyć, jeśli chce dojść do czegoś nowego. Inaczej to, co nowe, zostanie zbudowane na złych podstawach i w rezultacie okaże się czymś gorszym niż to, co było przedtem.

-Jak można pozbyć się fałszywych idei? – zapytałem. – Jesteśmy uzależnieni od form naszego postrzegania. Fałszywe idee są produktem form naszego postrzegania.

G. potrząsnął głową.

– Znowu mówisz o czymś innym – powiedział. – Ty mówisz o błędach powstających w wyniku postrzegania, a ja wcale nie o nich mówię. W granicach danych postrzeżeń człowiek może mniej lub bardziej błędzić. Jak poprzednio powiedziałem, głównym złudzeniem człowieka jest przekonanie, że może on *czynić*. Wszyscy ludzie myślą, że mogą czynić, wszyscy ludzie chcą czynić i pierwszym pytaniem, które wszyscy ludzie zadają, jest: co mają czynić? Ale w rzeczywistości nikt nic nie czyni i nikt nic nie może uczynić. To jest pierwsza rzecz, którą należy zrozumieć. *Wszystko się zdarza*. Wszystko, co spada na człowieka, wszystko, co jest przez niego robione, wszystko, co od niego pochodzi – *to wszystko się zdarza*. I to zdarza się dokładnie w taki sam sposób, jak deszcz, który spada w wyniku zmiany temperatury w wyższych warstwach atmosfery lub w otaczających chmurach, jak śnieg, który topi się pod wpływem

promieni słońca, jak pył, który unosi się z wiatrem.

Człowiek jest maszyną. Wszystkie jego czyny, działania, słowa, myśli, uczucia, przekonania, opinie i nawyki, są wynikiem zewnętrznych wpływów, zewnętrznych wrażeń. Sam z siebie człowiek nie jest w stanie wytworzyć ani jednej myśli, ani jednego działania. Wszystko, co mówi, robi, myśli, czuje – to wszystko się zdarza. Człowiek nie może niczego odkryć, niczego wymyślić. To wszystko się zdarza.

Przyswojenie sobie tego faktu, zrozumienie go, przekonanie się, że jest on prawdziwy, oznacza pozbycie się tysiąca złudzeń co do człowieka, co do jego kreatywności, jego świadomej organizacji własnego życia, itd. Nic takiego nie istnieje. Wszystko się zdarza: ruchy ludowe, wojny, rewolucje, zmiany rządu. Wszystko to się zdarza i to zdarza się dokładnie w taki sam sposób, jak wszystko, co zdarza się w życiu jednego człowieka. Człowiek rodzi się, żyje, umiera, buduje domy, pisze książki – nie tak, jak chce, ale tak, jak to się zdarza. Wszystko się zdarza. Człowiek nie kocha, nie nienawidzi, nie pragnie – to wszystko się zdarza.

Ale nikt ci nigdy nie uwierzy, jeśli mu powiesz, że nie jest on w stanie nic uczynić. To najbardziej obraźliwa i najbardziej nieprzyjemna rzecz, jaki możesz powiedzieć ludziom. Jest to szczególnie nieprzyjemne i obraźliwe, ponieważ to prawda, a nikt nie chce znać prawdy.

Kiedy to zrozumiesz, będzie nam wtedy łatwiej rozmawiać. Ale jedna rzecz to rozumieć coś za pomocą umysłu, a inna – czuć to całą swoją masą, naprawdę być przekonanym, że tak jest, i nigdy o tym nie zapomnieć.

Z tym zagadnieniem *czynienia* – G. podkreślił to słowo – związana jest jeszcze inna sprawa. Ludziom zawsze wydaje się, że inni wszystko robią źle, nie w taki sposób, jak powinni. Każdy myśli, że on mógłby to zrobić lepiej. Nie rozumieją oni i nie chcą zrozumieć, że to, co jest robione, a w szczególności to, co w pewien sposób *już zostało zrobione*, nie może i nie mogłoby być zrobione w inny sposób.

Czy zauważyłeś, jak każdy teraz mówi o wojnie? Każdy ma swój plan, swoją własną teorię. Każdy uważa, że nic nie jest robione tak, jak powinno. W rzeczywistości wszystko jest robione w jedyny możliwy sposób. Jeśli *jedna* rzecz mogłaby ulec zmianie, to *wszystko* mogłoby być inne. I wtedy, być może, mogłoby nie być wojny.

Spróbuj zrozumieć to, co mówię: wszystko zależy od wszystkiego, wszystko jest ze sobą powiązane, nic nie jest samodzielne. Zatem wszystko dzieje się w jedyny możliwy sposób. Jeśli ludzie byłiby inni, to wszystko byłoby inne. Skoro są tacy, jacy są, zatem wszystko jest tak, jak jest.

Bardzo trudno było to przełknąć.

– Czy nie istnieje nic, zupełnie nic, co można by uczynić? – zapytałem.

– Zupełnie nic.

– *I nikt* nie może nic uczynić?

– To jest już inne pytanie. By *czynić*, trzeba *być*. I konieczne jest zrozumienie najpierw tego, co to *być* oznacza. Jeśli będziemy kontynuować nasze rozmowy, to zobaczysz, że używamy specjalnego języka, i aby z nami rozmawiać, musisz się tego języka nauczyć. Nie warto rozmawiać w języku potocznym, ponieważ w tym języku nie można się porozumieć. To także, na razie, wydaje ci się dziwne. Ale to prawda. Po to, by się nawzajem rozumieć, trzeba nauczyć się innego języka. W języku, którym posługują się ludzie, nie mogą się oni porozumieć. Później zobaczysz, czemu tak jest.

Następnie trzeba nauczyć się mówić prawdę. To także wydaje ci się dziwne. Nie zdajesz sobie z tego sprawy, że trzeba nauczyć się mówić prawdę. Wydaje ci się, że wystarczy sobie tego życzyć albo to postanowić. I powiem ci, że stosunkowo rzadko ludzie umyślnie kłamią. W większości wypadków myślą, że mówią prawdę. A jednak bez przerwy kłamią, zarówno kiedy chcą kłamać, jak wtedy, gdy chcą mówić prawdę. Okłamują przez cały czas siebie i innych. Pomyśl: czy mogłaby istnieć taka niezgoda, takie głębokie niezrozumienie i taka nienawiść do poglądów i opinii innych, gdyby ludzie byli w stanie nawzajem się zrozumieć? Ale nie mogą się zrozumieć, bo nie potrafią nie kłamać. Mówienie prawdy jest najtrudniejszą rzeczą na świecie; i trzeba bardzo dużo poznawać, i to przez długi czas, by być w stanie mówić prawdę. Samo życzenie nie wystarcza. *By mówić prawdę, trzeba wiedzieć, co to jest prawda i co to jest kłamstwo, i to przede wszystkim w samym sobie. A tego nikt nie chce wiedzieć.*

Rozmowy z G. i nieoczekiwany zwrot nadawany przez niego każdej idei, z dnia na dzień wzbudzały we mnie coraz większe zainteresowanie. Niestety, musiałem udać się do Petersburga.

Pamiętam moją ostatnią rozmowę z nim.

Podziękowałem mu za uwagę, którą mi poświęcił, i za jego wyjaśnienia, które – jak to już zobaczyłem – zmieniły mój pogląd na wiele rzeczy.

– Ale wiesz, to wszystko jedno, najważniejszą rzeczą są *fakty* – powiedziałem. – Gdybym mógł ujrzeć autentyczne i prawdziwe fakty o nowym i nieznanym charakterze, to tylko one przekonałyby mnie ostatecznie, że jestem na właściwej drodze.

Ponownie myślałem o “cudach”.

– *Będą fakty* – powiedział G. – Obiecuję ci. Ale najpierw koniecznych jest wiele innych rzeczy.

Nie rozumiałem wtedy jego ostatnich słów. Pojąłem je dopiero czas, gdy

naprawdę stanąłem wobec "faktów", ponieważ G. dotrzymał słowa. Ale miało to miejsce dopiero półtora roku później, w sierpniu 1916.

Wśród ostatnich rozmów w Moskwie była jeszcze jedna, która utkwiła mi w pamięci. G. powiedział wtedy kilka rzeczy, które dopiero z upływem czasu stały się dla mnie czytelne.

Mówił o mężczyźnie, którego spotkałem w jego towarzystwie; mówił o jego związkach z pewnymi ludźmi.

– On jest słabym człowiekiem – rzekł G. – Ludzie wykorzystują go; oczywiście nieświadomie. A to wszystko dlatego, że on na nich *zważa*. Gdyby na nich *nie zważał*, to wszystko byłoby inaczej, i oni sami byliby inni.

Wydawało mi się to dziwne, żeby człowiek miał nie *zważać* na innych.

– Co dla Ciebie oznacza słowo: *zważać*? – zapytałem. – Rozumiem Cię i jednocześnie nie rozumiem. To słowo ma wiele różnych znaczeń.

– Dokładnie na odwrót – powiedział G. – Ma ono tylko jedno znaczenie. Spróbuj o tym pomyśleć.

Później zrozumiałem, co G. nazywał *zważaniem*, i zdałem sobie sprawę, jak olbrzymie miejsce zajmuje ono w życiu i jak wiele powoduje. G. nazywał "zważaniem" tę postawę, która stwarza wewnętrzną niewolę; wewnętrzną zależność. Później mieliśmy okazję bardzo dużo o tym mówić.

Pamiętam też pewną rozmowę o wojnie. Siedzieliśmy w kawiarni Filipowa przy Twerskiej. Pełno było tam ludzi i dużo hałasu. Wojna i spekulacja stwarzały nieprzyjemną, gorączkową atmosferę. W pierwszej chwili odmówiłem nawet pójścia tam, ale G. nalegał i, jak zawsze, ustąpiłem. Zdawałem już sobie wtedy sprawę, że czasami celowo stwarzał trudne warunki do rozmowy, jakby wymagając ode mnie pewnego specjalnego wysiłku i gotowości do godzenia się na nieprzyjemne i niewygodne otoczenie, *w imię rozmowy z nim*.

Ale rezultat tym razem nie był szczególnie olśniewający, ponieważ z powodu hałasu najciekawsza część jego wypowiedzi do mnie nie dotarła. Z początku rozumiałem, co G. mówił, ale wątek stopniowo zaczął mi umykać. Po kilku próbach podążania za jego uwagami spośród których docierały do mnie tylko pojedyncze słowa, zrezygnowałem z przysłuchiwania się i po prostu zacząłem obserwować to, jak *mówił*. Rozmowa rozpoczęła się od mojego pytania: „Czy można zatrzymać wojnę?” I G. odpowiedział: „Tak, można.” A przecież byłem pewien, na podstawie poprzednich rozmów, że odpowie: „*Nie, nie można.*”

– Ale cała rzecz. w tym: jak? – powiedział. – By to zrozumieć, trzeba bardzo dużo wiedzieć. Co to jest wojna? *Jest to wynik wpływów planetarnych..* Gdzieś na górze dwie lub trzy planety za bardzo się do siebie zbliżyły; rezultatem tego jest napięcie. Czy zauważyłeś, że jeśli na wąskim chodniku całkiem blisko ciebie przejdzie człowiek, to robisz się cały spięty? Takie samo napięcie powstaje

między planetami. Dla nich to trwa być może jedną albo dwie sekundy. Ale tutaj, na Ziemi, ludzie zaczynają się mordować, i może to trwać przez parę lat. W tym czasie ludziom się wydaje, że się nawzajem nienawidzą albo że muszą bronić kogoś lub czegoś, i że jest to bardzo czcigodna działalność, albo coś innego w tym stylu... Nie są w stanie uświadomić sobie, do jakiego stopnia są tylko pionkami w grze. Myślą, że coś znaczą; myślą, że mogą się poruszać tak, jak im się podoba; myślą, że mogą postanowić, że zrobią to lub tamto. Ale w rzeczywistości wszystkie ich ruchy, wszystkie ich działania są wynikiem wpływów planetarnych. I oni sami dosłownie – nic nie znaczą.

Księżyc odgrywa w tym dużą rolę. Ale o Księżycu będziemy mówić oddzielnie. Trzeba tylko zrozumieć, że ani cesarz Wilhelm, ani generałowie, ani ministrowie czy parlamenty nic nie znaczą i nic nie mogą zrobić. Wszystko to dzieje się na dużej skalę, jest rządzone z zewnątrz, i to rządzone albo przez przypadkowe układy oddziaływań albo przez ogólne prawa kosmiczne.

To było wszystko, co usłyszałem. Dopiero znacznie później zrozumiałem, co G. chciał mi powiedzieć; chodziło o to, że przypadkowe wpływy planet mogą być ukierunkowane lub przemieniane w coś stosunkowo nieszkodliwego. Była to naprawdę ciekawa idea, która łączy się z ezoterycznym znaczeniem "składania ofiar". Niemniej w obecnym czasie idea ta ma tylko historyczną i psychologiczną wartość.

Co było naprawdę ważne – o czym G. wspominał całkiem zdawkowo, tak że tego od razu nawet nie spostrzegłem i tylko przypomniałem sobie to później, próbując odtworzyć wspomnianą rozmowę – to jego słowa o różnicy w czasie dla planet i dla człowieka.

I nawet gdy sobie o tym przypomniałem, to i tak przez długi czas nie uświadomiłem sobie pełnego znaczenia tej idei. Później bardzo dużo rzeczy z niej wynikło.

Mniej więcej w tym samym czasie byłem pod bardzo silnym wrażeniem rozmowy o *Słońcu, planetach i Księżycu*. Nie przypominam sobie, od czego się ona zaczęła. Ale pamiętam, że G. narysował mały wykres i próbował wyjaśnić to, co nazywał "korelacją sił w różnych światach". Odnosiło się to do poprzedniej rozmowy, to znaczy do wpływów oddziałujących na ludzkość. W przybliżeniu idea ta wyglądała tak: ludzkość lub bardziej poprawnie: *życie organiczne na Ziemi*, znajduje się jednocześnie pod wpływem oddziaływań, które pochodzą z różnych źródeł i różnych światów: oddziaływań z planet, oddziaływań z Księżycem, oddziaływań ze Słońcem, oddziaływań z gwiazd. Wszystkie te wpływy kształtują się symultanicznie; w jednym momencie przeważa jeden wpływ, a w następnym drugi. Człowiek ma pewną *możliwość wyboru wpływów*; innymi słowy ma możliwość przejścia spod jednego wpływu pod drugi.

– Żeby wytłumaczyć, jak to się dzieje, potrzeba by bardzo długiego wykładu –

powiedział G. – Porozmawiamy więc o tym przy jakiejś innej okazji. W tej chwili chcę, żebyś zrozumiał jedną rzecz: niemożliwe jest uwolnienie się od jednego wpływu bez poddania się innemu. Cała sprawa, cała praca nad sobą polega na wybieraniu i faktycznym poddawaniu się temu wpływowi, któremu chce się podlegać. A do tego trzeba wiedzieć, który wpływ jest bardziej korzystny.

Zainteresowało mnie w tej rozmowie to, że G. mówił o planetach i o Księżycu jak o *żywych istotach*, które mają określony wiek i których czas życia, możliwości rozwoju i przejścia na inne płaszczyzny bycia też są określone. Z tego, co powiedział, wynikało, że Księżyc nie jest jak to się powszechnie uważa – planetą martwą, ale wręcz przeciwnie, jest to planeta w procesie narodzin, planeta w pierwszych stadiach swego rozwoju, która – jak to G. wyraził – “nie osiągnęła jeszcze wyższego stopnia inteligencji, posiadanego przez Ziemię”

– Ale Księżyc rośnie i rozwija się – powiedział G. – i możliwe, że kiedyś osiągnie ten sam poziom, co Ziemia. Wtedy w jego pobliżu pojawi się nowy księżyc, a Ziemia stanie się ich słońcem. W przeszłości Słońce było takie jak Ziemia, a Ziemia taka jak Księżyc. A jeszcze dawniej Słońce było takie jak Księżyc.

Od razu przyciągnęło to moje uwagę. Nic nie wydawało mi się bardziej sztuczne, niewiarygodne i dogmatyczne niż wszystkie utarte teorie powstania planet i systemów słonecznych, poczynając od teorii Kanta-Laplace'a, aż do tych najnowszych, ze wszystkimi ich uzupełnieniami i wariantami. “Opinia publiczna” uważa te teorie (przynajmniej każdą najnowszą, którą się właśnie przedstawia) za naukowe i udowodnione; ale w rzeczywistości nie ma nic mniej naukowego i mniej udowodnionego niż te teorie. Zatem fakt, że system G. opierał się na całkiem odmiennej teorii – teorii *organicznej*, która wywodzi się z kompletnie nowych zasad i przedstawia inny porządek uniwersalny – wydał mi się interesujący i ważny.

– Jak się ma inteligencja Ziemi do inteligencji Słońca? – zapytałem.

– Inteligencja Słońca jest boża – powiedział G. – Ale Ziemia może stać się taka sama; tylko, oczywiście, nie ma na to gwarancji; i Ziemia może umrzeć nie osiągnąwszy niczego.

– Od czego to zależy? – zapytałem. Odpowiedź G. była mglista.

– Istnieje określony czas – powiedział – na zrobienie pewnej rzeczy. Jeśli w pewnym momencie to, co powinno zostać zrobione, nie zostanie zrobione, to Ziemia może przepaść, nie osiągając tego, co mogłaby osiągnąć.

– Czy ten czas jest znany? – zapytałem.

– Jest on znany – powiedział G. – Ale na nic by się to nie zdało, gdyby ludzie go znali. Mogłoby to być nawet dla nich niekorzystne. Niektórzy by w to wierzyli, inni nie, a jeszcze inni domagaliby się dowodów. W konsekwencji zaczęliby sobie nawzajem rozwalać głowy. U ludzi wszystko się na tym kończy.

W tym samym czasie w Moskwie przeprowadziliśmy kilka interesujących rozmów na temat sztuki. Były one związane z opowiadaniem przeczytanym mi owego wieczoru, gdy po raz pierwszy zobaczyłem G.

– W tej chwili nie jest jeszcze dla was jasne – powiedział pewnego razu G. – że ludzie żyjący na Ziemi mogą znajdować się na bardzo różnych poziomach, choć na pozór wyglądają dokładnie tak samo. I tak jak istnieją różne poziomy ludzi, tak samo istnieją różne poziomy sztuki.

Tylko że w obecnym czasie nie zdajecie sobie sprawy z tego, że pomiędzy tymi poziomami istnieje o wiele większa różnica, niż moglibyście przypuszczać. Stawiacie na jednym poziomie o wiele za blisko siebie rzeczy zupełnie różne, i myślicie że różne poziomy są dla was dostępne.

Ja nie nazywam sztuką tego wszystkiego, co wy nazywacie sztuką, a co jest tylko mechanicznym odtwarzaniem, imitacją natury albo naśladowaniem innych ludzi, czy też po prostu fantazją lub sileniem się na bycie oryginalnym. Rzeczywista sztuka jest czymś całkiem odmiennym. Pośród dzieł sztuki, szczególnie dzieł sztuki pradawnej, spotykacie wiele rzeczy, których nie możecie wytłumaczyć, a które zawierają coś, czego nie czujecie we współczesnych dziełach sztuki. Ale ponieważ nie zdajecie sobie sprawy, na czym polega ta odmiennność, bardzo szybko o niej zapominacie i ponownie bierzecie wszystko za jeden rodzaj sztuki. A jednak istnieje olbrzymia różnica pomiędzy sztuką, o której wy mówicie, a sztuką, o której ja mówię. W waszej sztuce wszystko jest subiektywne: każde postrzeżenie przez artystę tego czy innego doznania, formy, za pomocą których próbuje on wyrazić swoje doznanie, i postrzeganie tych form przez innych ludzi.

W tym samym zjawisku jeden artysta może odczuwać jedną rzecz, a inny artysta zupełnie coś innego. Ten sam zachód słońca może wzbudzić w jednym artyście uczucie radości, w drugim zaś smutku. Dwóch artystów może usiłować wyrazić dokładnie te same postrzeżenia za pomocą zupełnie odmiennych metod, w zupełnie odmiennych formach; albo też całkowicie różne postrzeżenia w tych samych formach – zgodnie z tym, jak ich nauczono lub na przekór temu. I widzowie, słuchacze czy też czytelnicy będą postrzegać nie to, co artysta chciał przekazać lub czuł, ale to, co formy, w których wyraża on swoje doznania, wywołają w ich uczuciach dzięki skojarzeniom. Wszystko jest subiektywne i wszystko jest przypadkowe, to znaczy oparte na przypadkowych skojarzeniach: wrażenie artysty i jego „kreacja” – położył nacisk na słowo „kreacja” – oraz postrzeżenia widzów, słuchaczy czy też czytelników.

W rzeczywistej sztuce nie ma nic przypadkowego. To jest matematyka. Wszystko tam może zostać obliczone, wszystko już wcześniej może być znane. Artysta *wie i rozumie*, co chce przekazać, i jego dzieło nie może wywoływać jednego wrażenia w jednym człowieku, a innego w drugim – przy założeniu, że obaj są na tym samym poziomie: Będzie ono zawsze, i to z matematyczną

pewnością, wywoływać jedno i to samo wrażenie.

Jednocześnie to samo dzieło sztuki będzie wywoływać różne wrażenia w ludziach na różnych poziomach. Ludzie na niższym poziomie nigdy nie otrzymają od niego tego, co otrzymają ludzie znajdujący się na wyższym poziomie. To jest rzeczywistość, *obiektywna* sztuka. Wyobraź sobie jakąś pracę naukową – książkę o astronomii czy chemii. Jest niemożliwe; żeby jedna osoba rozumiała ją na jeden sposób, a druga na inny. Każdy, kto jest dostatecznie przygotowany i kto potrafi przeczytać tę książkę, rozumie, o co w niej chodzi, i to dokładnie w ten sam sposób jak autor. Obiektywne dzieło sztuki to właśnie taka książka, tyle że wpływa ono na emocjonalną, a nie tylko intelektualną stronę człowieka.

– Czy dzieła sztuki obiektywnej istnieje w dzisiejszych czasach? – zapytałem.

– Oczywiście, że istnieją – odpowiedział G. – Takim dziełem sztuki jest wielki Sfinks w Egipcie, a także niektóre znane z historii dzieła architektoniczne, niektóre posagi bogów i wiele innych rzeczy. Istnieją figury bogów i różnych mitologicznych postaci, które można czytać tak jak książki, tylko że nie za pomocą intelektu, a przez emocje – zakładając, że te emocje są dostatecznie rozwinięte.

Podczas naszych podróży po Azji Środkowej, na pustyni u stóp Hindukuszu, znaleźliśmy dziwny posąg, który najpierw wzięliśmy za jakieś pradawne bóstwo albo diabła. W pierwszej chwili odnieśliśmy wrażenie, że był to po prostu jakiś unikat. Ale z czasem zaczęliśmy *czuć*, że postać ta zawiera w sobie wiele rzeczy: cały, duży i złożony system kosmologiczny; i powoli, krok po kroku, zaczęliśmy rozszyfrowywać ten system. Był on zawarty w ciele tej postaci, w jej nogach, rękach, głowie, oczach, uszach; wszędzie. W całej figurze nie było niczego, co przypadkowe, wszystko miało znaczenie. Stopniowo pojęliśmy cel ludzi, którzy zbudowali ten posąg. Zaczęliśmy czuć ich myśli, ich uczucia. Niektórzy spośród nas myśleli, że widzą ich twarze, słyszą ich głosy. W każdym razie uchwyciliśmy znaczenie tego, co chcieli nam oni przez tysiące lat przekazać – i to nie tylko samo znaczenie, ale i związane z nim uczucia i emocje. To była doprawdy sztuka!

Bardzo zainteresowało mnie, co G. powiedział na temat sztuki. Jego *zasada* podziału sztuki na subiektywną i obiektywną bardzo dużo mi mówiła. Nie rozumiałem jeszcze wszystkiego, co było zawarte w tych słowach. Zawsze wyczuwałem w sztuce podziały i gradacje, których nie byłem w stanie zdefiniować ani sformułować, i których też nikt inny nie sformułował. Jednakże wiedziałem, że te podziały i gradacje istnieją. Wszystkie dyskusje na temat sztuki, nie uznające tych podziałów i gradacji, wydawały mi się tylko pustymi i bezużytecznymi sporami o słowa.

W tym, co powiedział G., w jego wskazywaniu na różne poziomy, których nie

widzimy i nie rozumiemy, odczuwałem zbliżenie się do tych właśnie gradacji, których ja sam nie umiałem zdefiniować.

Podsumowując: wiele rzeczy, które mówił G., dziwiło mnie. Były tam idee, których nie mogłem zaakceptować i które wydawały mi się fantastyczne i bezpodstawne. Inne rzeczy, przeciwnie, w dziwny sposób zbiegały się z tym, co sam myślałem i do czego sam dawno temu doszedłem.

Najbardziej interesowało mnie *powiązanie* tego wszystkiego, co powiedział. Już wtedy czułem, że jego idee nie były od siebie pooddzielane – tak jak to bywa ze wszystkimi filozoficznymi i naukowymi ideami – ale że tworzyły jedną całość, z której na razie potrafiłem uchwycić tylko niektóre fragmenty.

Myślałem o tym, jadąc nocnym pociągami z Moskwy do Petersburga. Zadawałem sobie pytanie, czy rzeczywiście znalazłem to, czego szukałem. Czy było możliwe, że G. faktycznie *znał* to, co należało wiedzieć, by móc przejść od słów lub idei do czynów, do "faktów"? Nie byłem jeszcze niczego pewien ani nie byłem w stanie niczego precyzyjnie sformułować. Ale miałem poczucie pewnej zmiany, i byłem przekonany, że teraz wszystko potoczy się inaczej.

ROZDZIAŁ DRUGI

Lato w Petersburgu jak zwykle upłynęło mi na pracy literackiej. Przygotowywałem moje książki do nowych wydań, robiłem korekty, itd. Było to okropne lato 1915 roku, wraz z jego coraz bardziej pogarszającą się atmosferą, od której – pomimo wszystkich moich wysiłków – nie potrafiłem się uwolnić. Wojna toczyła się teraz na ziemi rosyjskiej i coraz bardziej się do nas zbliżała. Wszystko zaczynało się chwiać. Ukryta tendencja samobójcza, która tak wiele określiła w rosyjskim życiu, stawała się coraz bardziej widoczna. “Próba sił” postępowała naprzód. Drukarze bez przerwy strajkowali. Moja praca została wstrzymana. Zaczynałem już myśleć, że katastrofa spadnie na nas, zanim uda mi się zrobić to, co zamierzałem. Myślami bardzo często wracałem jednak do moskiewskich rozmów. Pamiętam, że kilka razy, gdy rzeczy miały się szczególnie źle, powiedziałem sobie: “Porzucę wszystko i pojedę do G., do Moskwy.” I na samą myśl o tym robiło mi się lepiej.

Czas upływał. Pewnego dnia, już jesienią, przywołano mnie do telefonu i usłyszałem głos G. Przyjechał na kilka dni do Petersburga. Od razu poszedłem się z nim zobaczyć i pomiędzy rozmowami z ludźmi, którzy przyszli do niego w różnych sprawach, rozmawiał on ze mną tak samo jak w Moskwie. Następnego dnia, tuż przed odjazdem, powiedział mi, że wkrótce tu wróci.

Gdy podczas drugiej wizyty opowiedziałem mu o pewnej grupie, z którą spotykałem się w Petersburgu i gdzie dyskutowano na wszystkie możliwe tematy – od wojny do psychologii – G. powiedział, że kontakt z takimi grupami może okazać się przydatny, ponieważ nosi się z zamiarem rozpoczęcia w Petersburgu tego samego rodzaju pracy co w Moskwie.

Pojechał do Moskwy i obiecał wrócić za dwa tygodnie. Rozmawiałem na jego temat z niektórymi z moich przyjaciół, i zaczęliśmy czekać na jego przyjazd.

Znowu przyjechał tylko na krótki czas; udało mi się jednak przedstawić mu kilka osób. O swoich planach i zamiarach powiedział tyle, że “chce podjąć pracę na większą skalę, dawać publiczne wykłady, zorganizować serię eksperymentów i pokazów, wciągnąć do swojej pracy ludzi; którzy mają szersze i bardziej zróżnicowane przygotowanie”. Wszystko to przypominało mi częściowo to, co usłyszałem w Moskwie, ale nie było dla mnie jasne, o jakich “eksperymentach” i “pokazach” mówił G. Wyjaśniło się to dopiero później.

Pamiętam jedną z naszych rozmów, która już tradycyjnie odbyła się w małej kawiarni na Newskim. G. opowiedział mi o pewnych szczegółach dotyczących organizacji grup do jego pracy i o ich roli w tej pracy. Raz czy dwa razy użył słowa “ezoteryczna”, którego nigdy przedtem nie słyszałem z jego ust, i zainteresowało mnie, jakie nadawał mu znaczenie. Ale kiedy spróbowałem mu

przerwać i zapytać, co rozumie przez słowo "ezoteryczna", uniknął odpowiedzi.

– To nie jest ważne. Zresztą, nazywaj to tak jak chcesz – powiedział. – To nie w tym rzecz; chodzi o to, że "grupa" jest początkiem wszystkiego. Jeden człowiek nic nie może zrobić, niczego nie może osiągnąć. Grupa z prawdziwym przewodnikiem może zrobić więcej. Grupa ludzi może zrobić to, czego pojedynczy człowiek nigdy nie będzie w stanie sam zrobić.

Nie zdajesz sobie sprawy ze swojej własnej sytuacji. Jesteś w więzieniu. Jedyne, czego możesz pragnąć, jeśli jesteś człowiekiem wrażliwym, to uciec. Ale jak uciec? Trzeba wykopać pod murem tunel. Jeden człowiek nic nie jest w stanie zrobić. Ale przypuśćmy, że jest dziesięciu czy dwudziestu ludzi – jeśli pracują na zmianę i jeśli jeden ubezpiecza drugiego, to mogą ukończyć tunel i zbiec.

Co więcej, nikt nie może uciec z więzienia bez pomocy tych, *którzy uciekli wcześniej*. Tylko oni są w stanie powiedzieć, w jaki sposób ucieczka może się udać czy też dostarczyć narzędzia, pilniki i wszystko to, co może być potrzebne. Ale pojedynczy więzień nie jest w stanie znaleźć tych ludzi, nawiązać z nimi kontaktu. Potrzebna jest organizacja. Niczego nie można osiągnąć bez organizacji.

G. często w swoich rozmowach powracał później do przykładu "więzienia" i "ucieczki z więzienia". Czasami od niego zaczynał, a następnym jego ulubionym stwierdzeniem było to, że aby człowiek w więzieniu mógł kiedykolwiek mieć szansę ucieczki, to przede wszystkim musi on *zdać sobie sprawę, że jest w więzieniu*. Dopóki nie zdaje sobie z tego sprawy, dopóty myśli, że jest wolny i nie ma żadnej szansy. Nikt nie może mu pomóc ani go siłą wbrew jego woli, wbrew jego życzeniom uwolnić. Jeśli wyzwolenie jest możliwe, to tylko w wyniku ogromnego trudu i wielkich wysiłków – nade wszystko świadomych wysiłków, które zmierzają do określonego celu.

Stopniowo zapoznałem G. z coraz większą liczbą ludzi, i za każdym razem, gdy przyjeżdżał do Petersburga, organizowałem rozmowy i wykłady, w których brał udział. Odbywały się one w mieszkaniach przyjaciół albo w siedzibach istniejących już grup. Zazwyczaj przychodziło trzydzieści do czterdziestu osób.

Od stycznia 1916 roku G. zaczął przyjeżdżać do Petersburga regularnie, co dwa tygodnie. Niekiedy przywoził wówczas ze sobą kilku swoich moskiewskich uczniów.

Nie udało mi się zrozumieć do końca, w jaki sposób te spotkania były organizowane. Wydawało mi się, że G. wiele rzeczy niepotrzebnie utrudniał. Na przykład rzadko pozwalał mi na to, bym zawczasu ustalał datę spotkania. Kolejne spotkania zwykle kończyły się ogłoszeniem, że G. następnego dnia wraca do Moskwy. Rano oświadczał jednak, że postanawia zostać do wieczora. Cały dzień spędzał w kawiarniach, gdzie przychodzili ludzie, którzy chcieli się z nim zobaczyć. Dopiero wieczorem, na godzinę czy półtorej przed naszą

tradycyjną porą spotkań, G, zwracał się do mnie:

– Czemu by nie zorganizować dzisiaj spotkania? Zadzwoń do tych, którzy chcieli przyjść i powiedz im, że będziemy w takim to a takim miejscu.

Biegłem wtedy do telefonu, ale oczywiście o siódmej czy wpół do ósmej wieczorem wszyscy byli zajęci i udawało mi się zebrać tylko kilka osób, a ci, którzy mieszkali poza Petersburgiem, na przykład w Carskoje, nigdy nie byli w stanie przyjść na nasze spotkania.

Z biegiem czasu wiele rzeczy zacząłem pojmować inaczej, i główne motywy G. stały się dla mnie jaśniejsze. W żaden sposób nie chciał on dopuścić do tego, by poznawanie jego idei było dla ludzi *łatwe*. Wręcz przeciwnie, uważał, że tylko poprzez przewyciężanie trudności – nieważne, jak bardzo przypadkowych i niewiele znaczących – ludzie mogą docenić wartość jego idei.

– Ludzie nie cenią tego, co przychodzi łatwo – powiedział. – I jeśli człowiek już coś poczuł, to uwierz mi, będzie on siedział przez cały dzień przy telefonie na wszelki wypadek, gdyby go wzywano. Albo też sam zadzwoni, by się dowiedzieć. A ten, kto czeka na zaproszenie, i to specjalne zaproszenie, tak by mógł ułożyć wszystkie swoje sprawy, niech dalej czeka. Oczywiście dla tych, którzy nie mieszkają w Petersburgu, sprawa jest trudna. Ale nic nie możemy na to poradzić. Być może w przyszłości będziemy wyznaczać spotkania w określone dni. Obecnie nie da się tego zrobić. Ludzie muszą pokazać siebie i swoją ocenę tego, co usłyszeli.

To i wiele innych rzeczy pozostawało dla mnie wtedy ciągle jeszcze na wpół niezrozumiałe. Ale same wykłady i to, co G. mówił podczas spotkań i poza nimi, interesowało mnie coraz bardziej.

Pewnego razu, podczas jednego z tych spotkań, ktoś zapytał go o możliwość reinkarnacji i o to, czy można dać wiarę przypadkom nawiązywania kontaktu ze zmarłymi.

– Wiele rzeczy jest możliwych – powiedział G. – Ale trzeba rozumieć, że bycie człowiecze, tak w życiu, jak i po śmierci, jeśli istnieje ono po śmierci, może być bardzo różnej jakości. "Człowiek – maszyna", u którego wszystko zależy od zewnętrznych wpływów, któremu wszystko się przydarza, który w jednej chwili jest kimś jednym, w drugiej drugim, w następnej zaś chwili kimś trzecim, nie ma żadnej przyszłości; zostaje pogrzebany i to wszystko. *Pył obraca się w pył*. To odnosi się do niego. By móc mówić o jakimkolwiek rodzaju przyszłego życia, musi wprawdzie zaistnieć pewna krystalizacja, pewna fuzja wewnętrznych jakości człowieka, pewna niezależność od zewnętrznych wpływów. Jeśli jest w człowieku cokolwiek, co może oprzeć się zewnętrznym wpływom, to wtedy to coś może oprzeć się śmierci fizycznego ciała. Ale sami pomyślcie: co może przetrzymać fizyczną śmierć w człowieku, który po skaleczeniu się w palec mdleje albo o wszystkim zapomina? Jeżeli w człowieku coś jest, to wtedy to coś

może przetrwać; jeśli nie ma nic, to nic nie może przetrwać. Ale nawet jeśli coś przetrwa, to przyszłość tego może potoczyć się bardzo różnie. W pewnych wypadkach pełniejszej krystalizacji to, co ludzie nazywają "reinkarnacją", może być po śmierci możliwe, a w innych wypadkach może mieć miejsce to, co ludzie nazywają "istnieniem po drugiej stronie". W obu wypadkach oznacza to kontynuację życia w "ciele astralnym", czy też inaczej: za pomocą "ciała astralnego". Wiecie, co wyrażenie "ciało astralne" oznacza. Ale systemy, z którymi się zapoznaliście i w których używa się tego terminu, zakładają, że *wszyscy ludzie* mają "ciało astralne". To oczywiście nieprawda. To, co można nazwać "ciałem astralnym" otrzymuje się w wyniku fuzji, to znaczy poprzez potwornie ciężką wewnętrzną pracę i walkę. Człowiek z tym się nie rodzi. I tylko bardzo nieliczni nabywają "ciało astralne". Jeśli się ono uformuje, to może dalej istnieć po śmierci ciała fizycznego i może na nowo narodzić się w innym fizycznym ciele. To jest "reinkarnacja". Jeśli się nie narodzi na nowo, to wtedy z czasem także umiera; nie jest więc nieśmiertelne, ale może żyć długo po śmierci ciała fizycznego.

Fuzję, wewnętrzną jedność, osiąga się poprzez "tarcie", dzięki walce w człowieku pomiędzy "tak" i "nie". Jeśli człowiek żyje bez wewnętrznej walki, jeśli wszystko zdarza się w nim bez sprzeciwu, jeśli idzie on zawsze tam, gdzie coś go przyciąga lub gdzie powieje wiatr, to pozostanie taki, jaki jest. Ale jeśli rozpocznie się w nim walka, a szczególnie jeśli istnieje określona linia tej walki, to zaczną formować się w nim trwałe cechy i zacznie się on "krystalizować". Ale krystalizacja może opierać się zarówno na dobrych, jak i na złych podstawach. "Tarcie", walka pomiędzy "tak" i "nie" często może opierać się na złych podstawach. Dla przykładu: "trwoga przed grzechem" czy też fanatyczna wiara w jakkolwiek ideę, mogą wywołać potwornie intensywne zmaganie pomiędzy "tak" i "nie", i człowiek może się krystalizować właśnie na takich podstawach. Ale byłaby to niewłaściwa, niepełna krystalizacja. Taki człowiek nie miałby możliwości dalszego rozwoju. By dalszy rozwój mógł być możliwy, musiałby on na nowo "stopić się", a to można osiągnąć tylko poprzez potworne cierpienie.

Możliwa jest krystalizacja na dowolnych podstawach. Za przykład weźmy górskiego zbójnika, naprawdę porządnego, autentycznego zbrojaka. Znałem takich na Kaukazie. Przez osiem godzin stoi on bez ruchu ze strzelbą w ręce, ukryty za kamieniem przy drodze. Czy moglibyście to zrobić? Przez cały czas, pamiętajcie, toczy się w nim walka. Jest spragniony i jest mu gorąco, kęsa go muchy, ale on stoi bez ruchu. Inny przykład to mnich; on boi się diabła, przez całą noc bije głową o podłogę i modli się. Zatem dokonuje się w nim krystalizacja. Za pomocą takich sposobów ludzie mogą zebrać w sobie olbrzymią wewnętrzną siłę; mogą wytrzymać tortury, mogą dostać to, czego chcą. Znaczący to, że jest już teraz w nich coś solidnego, coś trwałego. Tacy ludzie mogą stać się nieśmiertelni. Ale co z tego? Człowiek tego rodzaju staje się "nieśmiertelną rzeczą", choć czasami zachowuje w sobie pewną ilość świadomości. Ale nawet to, trzeba pamiętać,

zdarza się bardzo rzadko.

W rozmowach toczących się tego wieczoru uderzyła mnie jedna rzecz: wielu ludzi usłyszało coś zupełnie odmiennego od tego, co G. powiedział; inni z kolei zwracali uwagę tylko na drugorzędne i nieistotne uwagi G., i tylko o nich później pamiętali. Podstawowe zasady zawarte w tym, co powiedział G., umknęły prawie wszystkim. Tylko bardzo niewielu zadawało pytania dotyczące rzeczy istotnych. Jedno z tych pytań utkwilo mi w pamięci:

– W jaki sposób można wywołać w sobie walkę pomiędzy “tak” i “nie”? – ktoś zapytał.

– Konieczna jest ofiara – odpowiedział G. – Jeśli niczego się nie poświęci, to niczego się nie osiągnie. Konieczne jest poświęcenie czegoś, co w danym momencie jest cenne, poświęcenie czegoś wielkiego i to na długi czas. *Ale nie na zawsze*. Należy to zrozumieć, ponieważ często się tego nie rozumie. Ofiara jest konieczna tylko wtedy, gdy ma miejsce proces krystalizacji. Kiedy krystalizacja już się dokona, to wyrzeczenia, poświęcenie i ofiary nie są już więcej potrzebne. Wtedy człowiek może mieć wszystko to, czego pragnie. Dla niego nie istnieje już żadne prawo, on jest prawem dla samego siebie.

Z osób przychodzących na nasze wykłady stopniowo uformowała się mała grupa ludzi, którzy nie przepuścili żadnej okazji wysłuchania G. i którzy spotykali się też pod jego nieobecność. Był to początek pierwszej grupy petersburskiej.

W tym okresie spędzałem dużo czasu z G. i zaczynałem go już lepiej rozumieć. Uderzała mnie jego wielka prostota wewnętrzna i naturalność, które sprawiały, że całkowicie zapominało się, iż jest on dla nas przedstawicielem świata tego, co nieznanne i cudowne. Co więcej, bardzo mocno wyczuwało się w nim całkowity brak jakiegokolwiek poży czy pragnienia, by robić wrażenie. Zarazem czuło się brak osobistego zainteresowania tym, co robił, zupełną obojętność na ułatwienia i wygodę, a także zdolność do nieszczędzenia sił w jakiegokolwiek pracy. Czasami lubił przebywać w wesołym i żywym towarzystwie, lubił urządzać duże przyjęcia, kupując duże ilości wina i jedzenia, których sam jednakże prawie nie jadł i nie pił. Wielu ludzi odnosiło wrażenie, że jest człowiekiem łakomym, który z reguły lubi dobre życie; ale nam się wydawało, że często *chciał* on tylko stworzyć takie wrażenie. Wszyscy zrozumieliśmy już, że było to “granie roli”.

Nasze odczucie tego “grania” w G. było niezwykle silne. Między sobą często rozmawialiśmy o tym, że nigdy go nie widzieliśmy i nigdy nie zobaczymy. Taka ilość “grania” u kogoś innego sprawiałaby wrażenie fałszu. U niego “granie” wytwarzało wrażenie siły, choć – jak już wspominałem – nie było tak zawsze; czasami było tego za dużo.

Szczególnie pociągało mnie jego poczucie humoru i całkowity brak pretensji do “świętobliwości” czy też posiadania “cudownych” mocy, chociaż później przekonaliśmy się o tym, że ma on wiedzę i zdolność wywoływania niezwykłych

zjawisk o charakterze psychologicznym. Ale zawsze śmiał się z ludzi, którzy oczekiwali od niego cudów.

Był człowiekiem niezwykle wszechstronnym; wszystko wiedział i wszystko był w stanie zrobić. Powiedział mi kiedyś, że ze swoich podróży na Wschód przywiózł sporo dywanów, pośród których było wiele duplikatów i przedmiotów pozbawionych większej wartości artystycznej. Podczas swoich wizyt odkrył, że cena dywanów w Petersburgu była wyższa niż w Moskwie, i za każdym razem przywoził bele dywanów, które sprzedawał w Petersburgu.

Zgodnie z inną wersją, po prostu kupował dywany na "tołkuczce" w Moskwie i przywoził je do Petersburga na handel. Nie całkiem rozumiałem, po co to robił, ale czułem, że miało to związek z ideą "grania".

Sprzedaż tych dywanów była sama w sobie godna uwagi. G. dawał ogłoszenie do gazet, i rozmaici ludzie przychodzili kupować te dywany. Przy takich okazjach brano go oczywiście za zwykłego handlarza dywanów z Kaukazu. Często godzinami przypatrywałem się, jak rozmawiał z ludźmi, którzy do niego przychodzili. Widziałem, że czasami wykorzystywał ich słabości.

Któregoś dnia śpieszyło mu się, albo był zmęczony rolą sprzedawcy dywanów, i zaoferował jakiejś bogatej, ale zachłannej damie, która wybrała tuzin ładnych dywanów i z desperacją się o nie targowała, wszystkie dywany w pokoju za około jedną czwartą ceny dywanów, które wybrała. W pierwszej chwili była tym zaskoczona, ale zaraz zaczęła się targować na nowo. G. uśmiechnął się i powiedział, że musi to przemyśleć i da jej odpowiedź następnego dnia. Ale następnego dnia nie było go już w Petersburgu i w końcu kobieta ta nie kupiła niczego.

Podobne rzeczy zdarzały się przy prawie każdej okazji. Grając rolę wędrownego handlarza dywanów stwarzał on wrażenie człowieka w przebraniu, kogoś w rodzaju Haruna-ar-Raszida albo też człowieka z bajki o "czapce niewidce".

Kiedyś pod moją nieobecność przyszedł do niego "okultysta", który wyglądał na szarlatana. Odgrywał on pewną rolę w niektórych spirytystycznych kręgach Petersburga i później, za bolszewików, został "profesorem". Rozmowę zaczął od tego, że dużo słyszał o G. i o jego wiedzy, i że chciał się z nim poznać.

G., jak sam mi powiedział, grał rolę autentycznego sprzedawcy dywanów. W łamanym rosyjskim, z wyraźnym kaukaskim akcentem zaczął zapewniać okultystę, że ów się pomylił, bo G. jest tylko sprzedawcą dywanów; i natychmiast zaczął rozwijać i oferować niektóre z nich. Okultysta wyszedł całkowicie przekonany, że został nabrany przez przyjaciół.

– Było jasne, że łotr nie miał grosza – dodał G. – Inaczej wycisnąłbym z niego pieniądze za dwa dywany.

Pewien Pers zwykle przychodził do niego i naprawiał dywany. Któregoś dnia

zauważyłem, że G. z dużą uwagą przyglądał się pracy Persa.

– Chcę zrozumieć, jak on to robi, i ciągle nie rozumiem – powiedział G. – Czy widzisz ten jego hak? To w tym leży cała tajemnica. Chciałem go kupić od niego, ale nie chciał go sprzedać.

Następnego dnia przyszedłem wcześniej niż zazwyczaj. G. siedział podłozie naprawiając dywan, dokładnie tak samo jak Pers. Dokoła niego rozrzucone były różnego koloru wełny, a w ręce trzymał taki sam hak jak ten, który widziałem u Persa. Okazało się, że za pomocy zwykłego pilnika wyciął go z ostrza taniego scyzoryka i w ciągu poranka zgłębił wszystkie tajniki naprawy dywanów.

Bardzo dużo mówił mi o dywanach, które – jak często powiadał – reprezentowały jedną z najstarszych form sztuki. Mówił o istniejących w pewnych częściach Azji starodawnych zwyczajach związanych z robieniem dywanów, opowiadał o całej wiosce pracującej razem nad jednym dywanem, o zimowych wieczorach, podczas których wszyscy mieszkańcy, młodzi i starzy, gromadzili się w jednym, dużym budynku, i dzieląc się na grupy, stali lub siadali na podłozie w tradycyjnie ustalonym porządku. Każda grupa zabierała się do swojej pracy. Niektórzy wybierali z wełny kamyki i drzazgi. Inni ubijali wełnę kijami. Trzecia grupa ją czesała. Czwarta przędła. Piąta farbowała. Szósta, czy może dwudziesta szósta z kolei, tkła sam dywan. Mężczyźni, kobiety i dzieci, starcy i staruszki, wszyscy mieli swoje tradycyjne zajęcia. Cała praca toczyła się przy akompaniamencie muzyki i śpiewu. Przędki z wrzecionami w rękach tańczyły podczas pracy specjalny taniec, a wszystkie ruchy ludzi uczestniczących w tych różnych pracach były jak jeden ruch wykonywany w tym samym rytmie. Co więcej, każda okolica miała swoją specjalną melodię, swoje specjalne śpiewy i tańce, od niepamiętnych czasów związane z robieniem dywanów.

Gdy mówił mi o tym, przemknęła mi przez głowę myśl, że być może wzór i kolor dywanów są też związane z muzyką, że stanowią jej wyraz poprzez linię i kolor, i że być może dywany są zapisem tej muzyki, *nutami*, dzięki którym można by odtworzyć melodię. Nie było dla mnie nic dziwnego w tej idei, ponieważ często "widziałem" muzykę w formie skomplikowanego wzoru.

Z kilku przypadkowych rozmów z G. stworzyłem sobie pewien obraz jego wcześniejszego życia.

Swoje dzieciństwo spędził na pograniczu Azji Mniejszej, w odosobnieniu, żyjąc niemal jak w biblijnych czasach. Niezliczone stada owiec. Wędrowki z miejsca na miejsce. Nawiązywanie kontaktów z różnymi dziwnymi ludźmi. Szczególnie wpłynęli na jego wyobraźnię Jezidzi, "Czyciele Diabła", którzy – gdy był jeszcze bardzo mały – zwrócili jego uwagę swoimi niezrozumiałymi zwyczajami i dziwnym uzależnieniem od nieznanych praw. Między innymi powiedział mi, że kiedy był dzieckiem, często obserwował jak chłopcy Jezidów nie byli w stanie wyjść z koła narysowanego dookoła nich na ziemi.

Jego młode lata upłynęły w atmosferze bajek, legend i tradycji. Wkoło niego "cudowne" było niezaprzeczalnym faktem. Przepowiednie, które słyszał i w które wszyscy wokół niego wierzyli, spełniały się, i to spowodowało, że uwierzył w wiele jeszcze innych rzeczy.

Wszystko to już w bardzo młodym wieku wytworzyło w nim skłonność ku temu, co tajemnicze, niezrozumiałe i magiczne. Powiedział mi, że gdy był jeszcze całkiem młody, odbył kilka długich podróży na Wschód. Nigdy nie mogłem stwierdzić, ile w tych historiach było prawdy, ale – jak sam powiedział – w trakcie tych podróży znowu natrafił na wiele zjawisk, które mówiły mu o istnieniu pewnego poznania, pewnych mocy i możliwości wykraczających poza zwykłe możliwości człowieka. Spotkał on także ludzi, którzy mieli dar jasnowidzenia i inne cudowne moce. Stopniowo – powiedział mi – jego wyjazdy i podróże zaczęły mieć jeden określony cel: wyruszał na poszukiwanie poznania oraz ludzi, którzy posiadali to poznanie. Jak mi powiedział, w towarzystwie kilku innych osób, które tak jak on szukały "cudownego", po wielu trudnościach odnalazł źródła tego poznania.

Wszystkie te opowiadane na swój temat historie zawierały wiele sprzeczności i rzeczy, w które trudno było uwierzyć; ale zdawałem już sobie sprawę, że nie można oczekiwać od niego rzeczy zwykłych i żadne standardy do niego się nie stosują.

W odniesieniu do G. niczego nie można było być pewnym. Jednego dnia mówił jedno, drugiego coś odmiennego. A jednak nigdy nie można było go oskarżyć o sprzeczności; należało wszystko rozumieć i ze sobą łączyć.

Co do szkół, w których odnalazł owo posiadane bez wątpienia przez siebie poznanie, to mówił o nich bardzo niewiele i zawsze tylko powierzchownie. Wspomniał o tybetańskich klasztorach, o Czitralu, górze Atos, szkołach sufich w Persji, w Bucharze i we wschodnim Turkiestanie, o derwiszach z różnych zakonów; ale wszystko to było bardzo niesprecyzowane.

Podczas jednej z rozmów z G. w naszej grupie, która zaczynała już się formować na stałe, zapytałem:

– Jeśli pradawne poznanie przetrwało i jeśli, mówiąc ogólnie, istnieje poznanie odmienne od naszej nauki i filozofii, lub wręcz je przewyższające, to dlaczego jest ono tak pieczołowicie ukrywane, dlaczego nie staje się ono wspólną własnością? Dlaczego ludzie, którzy posiadają to poznanie, nie chcą pozwolić na włączenie go w ogólny bieg życia, po to by uczynić skuteczniejszą walkę z zakłamaniami, złem i ignorancją?

Myślę, że jest to pytanie, które zwykle powstaje w umyśle każdego, kto po raz pierwszy styka się z ezoterycznymi ideami.

– Istnieją na to dwie odpowiedzi – powiedział G. – Po pierwsze, to poznanie nie jest ukryte, a po drugie, nie może ono z samej swojej natury stać się własnością

ogółu. Najpierw zajmiemy się drugim z tych stwierdzeń. Udowodnię ci później, że *poznanie* – podkreślił to słowo – jest o wiele bardziej dostępne dla tych, którzy są w stanie je sobie przyswoić, niż to się zazwyczaj przypuszcza, i że cały kłopot w tym, że ludzie albo nie chcą, albo nie potrafią go sobie przyswoić.

Ale przede wszystkim trzeba zrozumieć, że poznanie nie może należeć do wszystkich, że nie może ono nawet należeć do wielu. Takie jest prawo. Ty tego nie rozumiesz, ponieważ nie rozumiesz, że poznanie, tak jak wszystko inne na świecie, jest *materialne*. Jest materialne, a to oznacza, że ma ono wszystkie cechy materialności. Jedną z pierwszych cech materialności jest to, że materia jest zawsze ograniczona, to znaczy, że ilość materii w danym miejscu i w danych okolicznościach jest ograniczona. Nawet piasek na pustyni i woda w morzu stanowi określoną i niezmienną wielkość. Zatem, jeśli poznanie jest materialne, to znaczy, że w danym miejscu i w danym czasie jest go określona ilość. Można by powiedzieć, że w trakcie pewnego okresu, powiedzmy stulecia, ludzkość ma do swojej dyspozycji określoną ilość poznania. Ale wiemy, nawet ze zwykłej obserwacji życia, że *materia poznania* ma zupełnie różne właściwości, zależnie od tego, czy brana jest w dużych, czy w małych ilościach. Czerpana w dużej ilości w danym miejscu, czyli przez, powiedzmy, jednego człowieka albo przez małą grupę ludzi, daje bardzo dobre rezultaty; czerpana w małej ilości (to znaczy przez każdą z bardzo dużej liczby osób) nie daje żadnych efektów lub może nawet dać efekty negatywne, odwrotne do tych, których się oczekuje. Zatem jeśli pewna określona ilość poznania jest rozpowszechniona wśród milionów ludzi, to każdy z nich otrzyma bardzo mało poznania i ta mała ilość niczego w jego życiu ani w jego rozumieniu rzeczy nie zmieni. I bez względu na to, jak duża będzie liczba ludzi, którzy otrzymają tę małą porcję poznania, nic się w ich życiu nie zmieni, z wyjątkiem może tego, że stanie się ono jeszcze trudniejsze.

Natomiast jeśli duże zasoby poznania są gromadzone w małej grupie ludzi, to wtedy to poznanie może dać ogromne rezultaty. Z tego punktu widzenia jest o wiele bardziej korzystne, by poznanie było przechowywane przez małą grupę ludzi niż rozproszone w masie.

Jeśli weźmiemy pewną ilość złota i postanowimy pozłocić nim pewną liczbę przedmiotów, to musimy znać lub dokładnie policzyć, jaką liczbę przedmiotów można pozłocić za pomocą tej ilości złota. Jeśli spróbujemy pozłocić większą liczbę przedmiotów, to będą one pokryte złotem nierówno, w plamy – i będą wyglądały o wiele gorzej, niż gdyby wcale nie były złocone; faktycznie więc stracimy wtedy nasze złoto.

Rozpowszechnianie poznania opiera się dokładnie na tej samej zasadzie. Jeśli da się poznanie wszystkim, to nikt niczego nie dostanie. Jeśli jest ono przechowywane przez niewielu, to każdy ma go pod dostatkiem – nie tylko po to, by je zachować, ale też by pomnożyć to, co otrzymał.

Na pierwszy rzut oka teoria ta wygląda bardzo niesprawiedliwie, ponieważ

pozycja tych, którym – jeśli można tak powiedzieć – odmawia się poznania, by inni mogli otrzymać go więcej, wydaje się bardzo smutna i niezasłużenie trudniejsza, niż być powinna. Faktycznie jednak wcale tak nie jest; w rozpowszechnianiu poznania nie ma żadnej, nawet najmniejszej niesprawiedliwości.

Rzecz w tym, że olbrzymia większość ludzi wcale nie chce żadnego poznania; odmawiają oni przyjęcia swojej porcji poznania i nie biorą nawet części przyznanej im w ramach ogólnej dystrybucji na potrzeby ich własnego życia. Jest to szczególnie oczywiste w czasach masowego obłędu – podczas wojen, rewolucji, itd., kiedy to ludzie zdaje się tracić nawet ową posiadaną przez siebie odrobinę zdrowego rozsądku; kiedy to stają się zupełnymi automatami, poddając się masowej destrukcji, kiedy to, innymi słowy, zatracają nawet instynkt samozachowawczy: Dzięki temu olbrzymie ilości poznania, jeśli można tak powiedzieć, nie są rozdzielone i mogą zostać rozproszony wśród tych, którzy doceniają jego wartość.

Nie ma w tym żadnej niesprawiedliwości, ponieważ ci, którzy otrzymują poznanie, nie biorą niczego, co należy do innych, i niczego innych nie pozbawiają; biorą tylko to, co zostało przez innych jako bezużyteczne odrzucone, i co i tak byłoby zmarnowane, jeśli oni by tego nie wzięli.

Gromadzenie poznania przez jednych zależy od odrzucenia poznania przez innych.

Są takie okresy w życiu ludzkości, zbiegające się z reguły z początkiem upadku kultur i cywilizacji, kiedy to masy nieodwracalnie zatracają rozsadek i zaczynają niszczyć wszystko to, co zostało stworzone przez setki i tysiące lat kultury. Takie okresy masowego obłędu często zbiegają się z kataklizmami geologicznymi, zmianami klimatu i podobnymi zjawiskami o charakterze planetarnym, i wyzwalają one olbrzymią ilość materii poznania. To z kolei powoduje, że wysiłek gromadzenia tej materii poznania staje się koniecznością, inaczej bowiem zostałoby ono utracone. Zatem praca mająca na celu zebranie porzuconej materii poznania często zbiega się z początkiem rozpadu i z upadkiem kultur i cywilizacji.

Ten aspekt zagadnienia jest jasny. Tłum ani nie chce, ani nie szuka poznania, a przywódca tłumu, w swoim własnym interesie, próbuje umocnić jego strach i niechęć do wszystkiego, co nowe i nieznanne: Niewola, w której żyje rodzaj ludzki, opiera się na tym strachu. Trudno jest nawet sobie wyobrazić całą okropność tej niewoli. Nie rozumiemy, co ludzie tracą. By pojąć przyczynę tej niewoli, wystarczy zobaczyć, jak ludzie żyją, co stanowi cel ich istnienia, przedmiot ich pragnień, pasji, drżeń, o czym myślą, o czym mówią, czemu służą i co czczą. Weźcie pod uwagę, na co wykształcona ludzkość naszych czasów wydaje pieniądze; nawet pozostawiając na boku wojnę, zobaczcie, gdzie gromadzą się największe tłumy i czemu nadaje się najwyższą wartość. Jeśli

przez chwilę zastanowimy się nad tymi pytaniami, to stanie się jasne, że ludzkość taka, jaką teraz ona jest, ze wszystkimi swoimi zainteresowaniami – nie może oczekiwać niczego innego niż to, co ma. Ale jak już to powiedziałem, inaczej być nie może. Wyobraźcie sobie, że na cały rodzaj ludzki przypada pół funta poznania na rok. Jeśli to poznanie rozpowszechniane jest między wszystkich, to każdy dostanie tak niewiele, że pozostanie takim samym głupcem, jakim był. Ale dzięki temu, że bardzo niewielu ludzi chce osiąść to poznanie, ci, którzy je biorą, są w stanie dostać, powiedzmy, po ziarnie, i w ten sposób uzyskać możliwość stania się mi bardziej inteligentnymi. Nie wszyscy mogą, nawet jeśli tego pragną, stać się bardziej inteligentni. A jeśli nawet staliby się bardziej inteligentni, to i tak nie polepszyłyby to obecnej sytuacji. Istnieje przecież ogólna równowaga, która nie może zostać zachwiana.

To jeden aspekt. Inny, jak już powiedziałem, to fakt, że nikt niczego nie ukrywa, że nie ma żadnej tajemnicy. Ale otrzymanie czy też przekaz prawdziwego poznania wymaga wielkiego trudu i wielkiego wysiłku zarówno od tego, który otrzymuje, jak i od tego, który daje. I ci, którzy posiadli to poznanie robią wszystko, co mogą, by przekazać je jak naje większej liczbie ludzi, by ułatwić ludziom do niego dostęp i umożliwić im przygotowanie się do przyjęcia prawdy. Ale poznania nie można nikomu dać na siłę i – jak już powiedziałem – bezstronne spojrzenie na życie przeciętnego człowieka, na to, co wypełnia jego dzień, na rzeczy które go interesują, od razu pokazuje czy można oskarżać tych, którzy posiadli to poznanie, o to, że je ukrywają, że niechętnie przekazują je innym, że czują niechęć do uczenia ludzi tego, co sami wiedzą. Ten, kto pragnie poznania, musi sam podjąć wstępny wysiłek, by odnaleźć jego źródło i zbliżyć się do niego, korzystając z pomocy i wskazówek, które dane są wszystkim, ale których ludzie z zasady nie chce dostrzec ani rozpoznać. Poznanie nie może przyjść do ludzi samo, bez wysiłku z ich strony. Ludzie bardzo dobrze to rozumieją, gdy mówi się o zwykłej znajomości czegoś, ale w wypadku *wielkiego poznania*, jeśli uznają oni jego istnienie, to zwykle oczekują czegoś innego. Każdy bardzo dobrze wie, że jeśli na przykład człowiek chce nauczyć się chińskiego, to przy intensywnej pracy zajmie mu to kilka lat; każdy wie, że trzeba pięciu lat, by opanować podstawy medycyny i być może dwa razy więcej czasu na studiowanie malarstwa czy muzyki. A jednak są teorie, które twierdzą, że poznanie może być dane ludziom bez żadnego wysiłku z ich strony, że można je otrzymać *nawet we śnie*. Już samo istnienie takich teorii wyjaśnia fakt, dlaczego poznanie nie może przyjść do ludzi samo. Jednocześnie trzeba rozumieć, że *niezależne* wysiłki człowieka zmierzające do osiągnięcia czegokolwiek w tej sferze także mogą nie przynieść wyników. Człowiek może osiągnąć poznanie tylko dzięki tym, którzy je już posiadli. Należy to zrozumieć na samym początku. *Trzeba uczyć się od tego, który wie.*

Podczas jednego z kolejnych spotkań grupy, odpowiadając na pytanie o nieśmiertelność, G. dalej rozwijał idee reinkarnacji i przyszłego życia.

Rozmowa zaczęła się od pytania, które postawił jeden z obecnych: – Czy można powiedzieć, że człowiek posiada nieśmiertelność?

– Nieśmiertelność jest jedną z właściwości, które przypisujemy ludziom nie rozumiejąc w stopniu wystarczającym, co te właściwości oznaczają – powiedział G. – Inne właściwości tego rodzaju to: "indywidualność" w znaczeniu wewnętrznej jedności, "stałe i niezmiennie Ja" , "świadomość" i "wola".

Wszystkie te właściwości *mogą* być własnością człowieka – zaakcentował słowo "mogą" – ale to z pewnością nie oznacza, że są jego własnością czy też własnością każdego i wszystkich jednocześnie.

Aby zrozumieć, *czym* jest człowiek w czasie obecnym, to znaczy w obecnej fazie jego rozwoju, trzeba w pewnym stopniu wyobrazić sobie, czym może on być, to znaczy co może osiągnąć. Dopiero po zrozumieniu odpowiedniej sekwencji możliwego rozwoju ludzie przestaną przypisywać sobie to, czego obecnie nie mają a co być może mogą osiągnąć po wielkich wysiłkach i wielkim trudzie.

Według pradawnego nauczania, którego ślady można odnaleźć w wielu starych i nowych systemach, człowiek, który osiągnął pełny, możliwy dla niego rozwój, a więc człowiek w pełnym tego słowa znaczeniu, składa się z *czterech ciał*. Te cztery ciała złożone są z substancji, które stopniowo stają się coraz delikatniejsze, coraz bardziej oczyszczone i które przenikając się wzajemnie formują cztery niezależne organizmy, pozostające w określonym stosunku do siebie i jednocześnie będące w stanie działać niezależnie od siebie. Istnienie czterech ciał jest możliwe dlatego, że organizm ludzki, czyli ciało fizyczne, jest zorganizowany w tak złożony sposób, iż w pewnych warunkach może się w nim rozwinąć nowy, niezależny organizm, który , jest o wiele bardziej wygodnym i czułym narzędziem działania świadomości niż ciało fizyczne. Świadomość, manifestująca się w tym nowym ciele, może nim rządzić i posiadać pełną władzę oraz kontrolę nad ciałem fizycznym. W drugim ciele, w pewnych warunkach, może rozwinąć się trzecie ciało, które ma z kolei swoje własne cechy. Świadomość manifestująca się w tym trzecim ciele ma pełną władzę i kontrolę nad dwoma pierwszymi ciałami, a ponadto trzecie ciało ma możliwość zdobycia poznania niedostępnego ani pierwszemu, ani drugiemu ciału. W trzecim ciele, w pewnych warunkach, może rozwinąć się czwarte ciało, które tak różni się od trzeciego, jak trzecie różni się od drugiego, a drugie od pierwszego. Świadomość manifestująca się w czwartym ciele ma pełną kontrolę nad trzema pierwszymi ciałami i nad sobą.

Te cztery ciała, w różnych nauczaniach, są rozmaicie definiowane.

G. narysował wykres, przedstawiony na ilustracji 1, i powiedział:

– Pierwszym ciałem jest ciało fizyczne, w terminologii chrześcijańskiej nazywane "cielesnym"; drugie to w terminologii chrześcijańskiej ciało "duszy"; trzecie to ciało "duchowe"; czwarte w terminologii *chrześcijaństwa ezoterycznego* to ciało

“boskie” . W terminologii teozoficznej pierwsze nazywa się ciałem “fizycznym”, drugie “astralnym”, trzecie “umysłowym” (rozumowym), a czwarte “przyczynowym”.

Zgodnie z terminologią niektórych nauk Wschodu pierwsze ciało jest “wozem” (ciało), drugie ciało jest “koniem” (uczucia, pragnienia), trzecie – “woźnicą” (umysł), a czwarte – “panem” (Ja, świadomość, wola).

Pierwsze ciało	Drugie ciało	Trzecie ciało	Czwarte ciało
Cielesne “Wóz” (ciało) Ciało fizyczne	Ciało duszy “Koń” (uczucia, pragnienia) Ciało astralne	Duchowe “Woźnica” (umysł) Ciało umysłowe	Boskie “Pan” (Ja, świadomość, wola) Ciało przyczynowe

ilustracja 1

Takie analogie i porównania można odnaleźć w większości systemów i nauczają, które dostrzegają w człowieku coś więcej niż tylko ciało fizyczne. Ale prawie wszystkie te nauczania powtarzając – w bardziej lub mniej podobnej formie – definicje i podziały wywodzące się z pradawnego nauczania, ominęły lub zapomniały o jego najważniejszym elemencie, a mianowicie, że człowiek nie rodzi się z subtelniejszymi ciałami i że mogą one być w nim tylko sztucznie rozwijane – przy założeniu, że istnieją sprzyjające warunki zarówno wewnętrzne, jak i zewnętrzne.

“Ciało astralne” nie jest narzędziem niezbędnym człowiekowi. Jest ono wielkim luksusem, na który tylko niewielu może sobie pozwolić. Człowiek może całkiem dobrze żyć bez “ciała astralnego”. Jego ciało fizyczne spełnia wszystkie funkcje konieczne do życia. Człowiek bez “ciała astralnego” może nawet sprawiać wrażenie kogoś bardzo inteligentnego czy wręcz *uduchowionego*; i może on okłamywać nie tylko innych, ale też samego siebie.

Odnosi się to oczywiście w jeszcze większym stopniu do “ciała umysłowego” i do czwartego ciała. Zwykły człowiek nie posiada tych ciał ani odpowiadających im funkcji; ale często myśli i postępuje tak, że inni też myślą, iż on je ma. Jest to spowodowane faktem, że po pierwsze, ciało fizyczne działa za pomocą tych samych substancji, z których zbudowane są wyższe ciała, tylko że te substancje nie są w nim wykrystalizowane i do niego nie należą; a po drugie, spełnia ono wszystkie funkcje analogiczne do funkcji ciał wyższych, choć oczywiście znacznie się one od siebie różnią. Główna różnica pomiędzy funkcjami człowieka, który ma tylko ciało fizyczne, a funkcjami wszystkich *czterech ciał* polega na tym, że – w pierwszym wypadku – funkcje *ciała fizycznego* rządzą wszystkimi pozostałymi funkcjami; innymi słowy, wszystkim rządzi ciało, którym z kolei rządzą zewnętrzne wpływy. W drugim wypadku rozkazy, czy też kontrola, pochodzi od wyższego ciała.

Funkcje ciała fizycznego można przedstawić jako analogiczne do funkcji

czterech ciał.

G. narysował inny wykres (ilustracja 2), który przedstawiał równoległe funkcje człowieka posiadającego tylko ciało fizyczne i człowieka z czterema ciałami.

----- >

Automat działający pod naciskiem zewnętrznych wpływów	Pragnienia wyprodukowane przez ten automat	Myśli wywołane przez pragnienia	Wielorakie, sprzeczne ze sobą "wole" wytworzone przez pragnienia
---	--	---------------------------------	--

<-----

Ciało posłuszne pragnieniom i emocjom podlegającym rozumowi	Emocjonalne moce i pragnienia posłuszne myślom i rozumowi	Funkcje myślowe posłuszne świadomości i woli	Ja. Ego. Świadomość. Wola.
---	---	--	-------------------------------------

Ilustracja 2

– W pierwszym wypadku – powiedział G. – to znaczy w wypadku funkcji człowieka mającego tylko ciało fizyczne, automat uzależniony jest od wpływów zewnętrznych. Trzy kolejne funkcje zależą od ciała fizycznego i od odbieranych przez nie wpływów zewnętrznych. Pragnienia i awersje – "ja chcę", "ja nie chcę", "ja lubię", "ja nie lubię", czyli funkcje zajmujące miejsce drugiego ciała, zależą od przypadkowych wstrząsów i wpływów. Myślenie, które odpowiada funkcjom trzeciego ciała, jest procesem całkowicie mechanicznym.

W zwykłym, mechanicznym człowieku "wola" jest nieobecna, ma on tylko pragnienia; i to, co nazywane jest silną lub słabą wola, oznacza jedynie większą lub mniejszą *stałość* tych pragnień i życzeń.

W drugim wypadku, to znaczy w wypadku funkcji czterech ciał, automatyzm ciała fizycznego uzależniony jest od wpływów innych ciał. Na miejscu niezgodnych i często sprzecznych ze sobą oddziaływań różnych pragnień znajduje się *jedno Ja*, całe, niepodzielne i stałe; istnieje tam też *indywidualność*, dominująca nad ciałem fizycznym i nad wszystkimi jego pragnieniami, tudzież będąca w stanie przewyciężyć zarówno jego niechęć, jak i jego opór. Zamiast mechanicznego procesu myślenia pojawia się *świadomość*. I jest tam też *wola*, to znaczy moc złożona nie tylko z różnych, często sprzecznych pragnień, które należą do różnych "ja", ale moc pochodząca od świadomości i rządzona przez indywidualność albo przez jedno stałe "Ja". Tylko taką wolę można nazwać

“wola”, bo jest ona niezależna od przypadku i nie można jej zmienić ani nią pokierować z zewnątrz.

W pewnym wschodnim nauczaniu opisuje się funkcje czterech ciał, ich stopniowy rozwój i warunki tego rozwoju w następujący sposób:

Wyobraźmy sobie pojemnik albo retortę wypełnioną różnymi metalicznymi pyłami. Pyły te nie są w żaden sposób ze sobą połączone i każda przypadkowa zmiana pozycji retorty zmienia względne położenie pyłów. Jeśli potrząśnię się retortą albo stuknie się w nią palcem, to pył, który znajduje się na górze, może znaleźć się na dnie albo pośrodku, natomiast ten, który był na dnie, może znaleźć się na górze. W położeniu pyłów nie ma niczego stałego i w takich warunkach nie może być niczego stałego. To jest dokładny obraz naszego życia psychicznego. W dowolnym momencie nowe wpływy mogą zmienić położenie pyłu znajdującego się na górze i zastąpić go innym, który jest jego dokładnym przeciwieństwem.

Ów stan, w którym znajdują się pyły, nauka nazywa stanem mechanicznej mieszanki. Istotną cechą stosunków pomiędzy pyłami w tego rodzaju mieszance jest ich niestałość i ich zmienność.

Niemożliwe jest ustalenie relacji jednego pyłu do drugiego, jeśli pyły znajdują się w stanie mechanicznej mieszanki. Ale pyły mogą zostać stopione; ich metaliczna natura sprawia, że jest to możliwe. Aby tego dokonać, pod retortą trzeba rozpalic ogień specjalnego rodzaju, dzięki któremu – przez zgrzanie i stopienie – pyły zostaną w końcu połączone. Stopione w ten sposób pyły znajdują się w stanie chemicznego związku. Wówczas nie można już będzie ich rozdzielić za pomocą prostych metod, które je rozdzielały i mieszały ze sobą, gdy były one w stanie mechanicznej mieszanki. Zawartość retorty stanie się bowiem niepodzielną “jednostką”. Oto obraz formowania się drugiego ciała.

Ogień, dzięki któremu dokonuje się fuzji, otrzymuje się poprzez “tarcie”, które z kolei powstaje w człowieku w wyniku walki pomiędzy “tak” i “nie”. Jeśli człowiek poddaje się wszystkim swoim pragnieniom, czy też pośrednio dba o ich zaspokajanie, to nie będzie w nim żadnej wewnętrznej walki, ani “tarcia”, ani ognia. Ale jeśli, dla osiągnięcia określonego celu, podejmie on walkę z pragnieniami, to stworzy ogień, który stopniowo przekształci jego świat wewnętrzny w jedną całość.

Wróćmy do naszego przykładu. Związek chemiczny, otrzymany w wyniku fuzji, ma pewne właściwości, pewną specyficzną siłę ciężkości, pewną zdolność do przewodzenia prądu elektrycznego, itd. Właściwości te stanowią cechy substancji, którą się zajmujemy. Ale poprzez pewnego rodzaju pracę, liczba tych cech może się zwiększyć, to znaczy że stop może uzyskać nowe właściwości, których na początku nie miał. Może stać się podatny na magnetyzowanie, może stać się radioaktywny, itd.

Proces nabywania przez stop nowych właściwości odpowiada procesowi formowania się trzeciego ciała, a także uzyskania z pomocy trzeciego ciała nowego poznania i nowych mocy.

Jeśli trzecie ciało już się uformuje i nabędzie dostępnych mu właściwości, mocy oraz poznania, to pozostanie jeszcze problem ich utrwalenia. Wszystkie nowe właściwości, nabyte jako wynik pewnego rodzaju wpływów, mogą zostać odebrane w rezultacie tych samych lub innych wpływów. Trwałą i niezmienną własnością trzeciego ciała mogą się one stać dopiero dzięki określonemu dla wszystkich trzech ciał rodzajowi pracy.

Proces utrwalania uzyskanych właściwości odpowiada procesowi formowania się czwartego ciała. I tylko człowiek, który ma w pełni rozwinięte cztery ciała, może być nazwany "człowiekiem" w pełnym tego słowa znaczeniu. Taki człowiek ma wiele właściwości, których nie posiada zwykły człowiek. *Jedną z tych właściwości jest nieśmiertelność.* Wszystkie religie i wszystkie pradawne nauczania zawierają ideę, zgodnie z którą przez osiągnięcie czwartego ciała człowiek uzyskuje nieśmiertelność. Wszystkie wskazują też drogi, które wiodą do uzyskania czwartego ciała, czyli do nieśmiertelności.

W tym kontekście w niektórych nauczaniach porównuje się człowieka do domu z czterema pokojami. Człowiek mieszka w najmniejszym i najskromniejszym z nich, i dopóki mu się o tym nie powie, dopóty nie podejrzewa on istnienia innych pokoi – pokoi pełnych skarbów. Gdy się o nich dowiaduje, to zaczyna wtedy szukać do nich kluczy, w szczególności zaś klucza do czwartego, najważniejszego pokoju. Kiedy człowiek odnajdzie swoją drogę do tego pokoju, to naprawdę staje się on panem swego domu. Tylko wtedy ów dom należy do niego całkowicie i na zawsze. Czwarty pokój daje człowiekowi nieśmiertelność i wszystkie religijne nauczania próbują wskazać prowadzącą do niego drogę. Istnieje bard wiele dróg – niektóre krótsze, inne dłuższe, niektóre trudniejsze, inne łatwiejsze – ale wszystkie bez wyjątku wiodą albo próbują zmierzać jednym kierunkiem, to znaczy ku *nieśmiertelności.*

Podczas następnego spotkania G. kontynuował:

– Ostatnim razem powiedziałem, że *nieśmiertelność* nie jest właściwością, z którą człowiek się rodzi. Ale człowiek może osiągnąć śmiertelność. Wszystkie istniejące i powszechnie znane drogi prowadzące do nieśmiertelności można podzielić na trzy kategorie. Są to:

1. *Droga fakira*
2. *Droga mnicha*
3. *Droga jogina*

Droga fakira jest drogą walki z ciałem fizycznym, drogą pracy nad pierwszym pokojem. Jest to długa, trudna i niepewna droga. Fakir usiłuje rozwinać fizyczną

wolę, czyli władzę nad swoim ciałem. Dochodzi do tego poprzez potworne cierpienia, przez torturowanie ciała. Na drogę fakira składają się rozmaite niewiarygodnie trudne ćwiczenia fizyczne. Fakir stoi bez ruchu w tej samej pozycji przez całe godziny, dni, miesiące czy lata; siedzi on z rozpostartymi ramionami na gołym kamieniu, w słońcu, na deszczu albo śniegu; torturuje się ogniem, stoi w środku mrowiska, itd. Jeśli się nie rozchoruje i nie umrze, zanim rozwinie w sobie to, co można nazwać fizyczną wola, to dociera do czwartego pokoju, to znaczy do możliwości uformowania czwartego ciała. Inne jego funkcje – emocjonalna, intelektualna, itd. – pozostają jednak nierozwinięte. Zdobywa wolę, ale nie ma gdzie jej zastosować, nie może wykorzystać jej w celu gromadzenia poznania lub samodoskonalenia się. I z reguły jest on za stary na rozpoczęcie nowej pracy.

Ale tam, gdzie są szkoły fakirów, znajdują się też szkoły joginów. Jogini zazwyczaj przypatrują się fakirom. Jeśli fakir osiągnie to, do czego zmierzał, nim się zestarzeje, to zabierają go oni wtedy do szkoły jogi. Tam najpierw kurują go, przywracają mu zdolność poruszania się, a następnie zaczynają go uczyć. Fakir, tak jak niemowlę, będzie musiał nauczyć się znowu chodzić i mówić. Ale ponieważ ma już wolę, dzięki której przezwyciężył niewiarygodne trudności, to teraz będzie mógł pokonać trudności na drugim etapie swej drogi – trudności związane z rozwojem funkcji intelektualnych i emocjonalnych.

Nie jesteście w stanie wyobrazić sobie prób, jakim poddawani są fakirzy. Nie wiem, czy widzieliście prawdziwych fakirów. Ja widziałem wielu, na przykład jednego na wewnętrznym dziedzińcu świątyni w Indiach i nawet spałem koło niego. Dzień i noc, przez dwadzieścia lat, stał on na czubkach palców nóg i rąk. Nie był już w stanie się wyprostować, więc jego uczniowie przenosili go z miejsca na miejsce, zabierali nad rzekę i myli tak jak jakiś martwy przedmiot. Ale nie doszło do tego od razu. Pomyślcie o tym, co musiał on przezwyciężyć, jakie tortury musiał wycierpieć, by dojść do takiego stanu.

I człowiek zostaje fakirem nie dlatego, że rozumie możliwości i rezultaty tej drogi, ani też nie staje się on fakirem z powodu uczucia religijnego. We wszystkich krajach Wschodu, gdzie żyje fakirzy, wśród prostych ludzi istnieje zwyczaj składania obietnicy, że dziecko urodzone po jakimś szczęśliwym wydarzeniu zostanie oddane fakirom. Poza tym fakirzy często adoptują sieroty lub po prostu kupują małe dzieci od biednych rodziców. Te dzieci stają się ich uczniami i naśladują ich; niektóre robią to tylko powierzchownie, ale niektóre później same zostają fakirami.

Poza tym fakirami stają się też ludzie “porażeni” widokiem jakiegoś fakira. W świątyniach obok każdego fakira można ujrzeć ludzi, który go naśladują, siedząc lub stojąc w takiej samej pozycji (oczywiście nie przez długi czas, nierzadko jednak przez dobrych kilka godzin). Czasami zdarza się, że człowiek, poszedłszy z okazji jakiegoś święta przypadkowo do świątyni, zaczyna naśladować fakira,

który wywarł na nim szczególnie silne wrażenie, i nie wraca już więcej do domu, ale dołącza do tłumu uczniów tego fakira; i z biegiem czasu sam staje się fakirem. Musicie zrozumieć, że słowa "fakir" używam w specjalnym znaczeniu. W Persji *fakir* oznacza po prostu żebraka; w Indiach wielu kuglarzy nazywa siebie *fakirami*. A Europejczycy, szczególnie Europejczycy wykształceni, bardzo często nazywają fakirami *joginów*, jak również *mnichów* z różnych wędrownych zakonów.

Ale w rzeczywistości droga fakira, droga mnicha i droga jogina to drogi całkowicie odmienne. Dotychczas mówiłem o fakirach. To jest pierwsza droga.

Druga jest drogą mnicha. Jest to droga wiary, droga uczucia religijnego, religijnej ofiary. Tylko człowiek, który żywi bardzo głębokie uczucia religijne i ma bardzo silną wyobraźnię religijną, może stać się "mnichem" w prawdziwym tego słowa znaczeniu. Droga mnicha jest także bardzo długa i bardzo trudna. Mnich spędza lata, dziesiątki lat, zmagając się ze sobą, ale cała jego praca koncentruje się na pokoju drugim, na drugim ciele, czyli na *uczuciach*. Podporządkowując wszystkie swoje emocje jednej emocji, a mianowicie wierze, rozwija on w sobie *jedność*, wolę panującą nad emocjami, i w ten sposób dociera do czwartego pokoju. Ale jego ciało fizyczne, jak również zdolności myślowe, mogą pozostać nierozwinięte. By móc korzystać z tego, co osiągnął, musi on rozwinąć zarówno swoje ciało, jak i swoje zdolności intelektualne. Można osiągnąć to tylko poprzez nowe ofiary, nowe próby, nowe wyrzeczenia. *Mnich musi stać się zarazem joginem i fakirem*. Bardzo niewielu dociera tak daleko. Jeszcze mniej jest tych, którym naprawdę udaje się pokonać wszystkie trudności. Większość z nich albo wcześniej umiera, albo staje się mnichami tylko z pozoru.

Trzecia droga to droga jogina. Jest to droga poznania, droga umysłu. Jogin pracuje nad "trzecim pokojem" po to, by móc poprzez wysiłki intelektu wejść do "czwartego pokoju". Jogin dociera do "czwartego pokoju" dzięki rozwinięciu swego umysłu; jego ciało pozostaje jednak nierozwinięte i tak jak fakir czy mnich nie jest on w stanie korzystać z wyników swojej pracy. Wszystko wie, ale niczego nie umie zrobić. By móc zacząć coś robić musi najpierw zapanować nad swoim ciałem i emocjami, czyli nad pierwszym i drugim pokojem. W tym celu musi zabrać się na nowo do pracy i tylko dzięki długotrwałym wysiłkom może osiągnąć jakieś rezultaty. W tym wypadku ma on jednak przewagę, ponieważ zdaje sobie sprawę ze swojego położenia, wie czego mu brak, co musi zrobić i w jakim kierunku powinien podążać. Ale tak samo jak to się dzieje na drodze fakira czy mnicha, tylko bardzo niewielu joginów dochodzi do takiego zrozumienia, to znaczy do takiego poziomu w swojej pracy, kiedy to człowiek wie, dokąd idzie. Większość zatrzymuje się na pewnym poziomie i dalej już nie idzie.

Drogi różnią się od siebie także pod względem stosunku do nauczyciela czy też przewodnika duchowego.

Na drodze fakira człowiek nie ma nauczyciela w prawdziwym tego słowa

znaczeniu. Nauczyciel w tym wypadku nie uczy, ale służy tylko za przykład. Praca ucznia polega na naśladowaniu nauczyciela.

Na drodze mnicha człowiek ma nauczyciela i częścią jego pracy oraz jednym z jego obowiązków jest absolutna wiara w nauczyciela, całkowite oddanie się mu i całkowite *posłuszeństwo*. Ale podstawową rzeczą na drodze mnicha jest wiara w Boga, w miłość Boga, w nieustanne wysiłki, aby być posłusznym i służyć Bogu, aczkolwiek w samym pojmowaniu idei Boga i służby Bogu wiele rzeczy może być tu subiektywnych i sprzecznych.

Na drodze jogina człowiek nie może i nie powinien niczego robić bez nauczyciela. Na początku musi on tak jak fakir naśladować swojego nauczyciela i tak jak mnich wierzyć w niego. Ale z czasem człowiek kroczący drogą jogina sam staje się swoim własnym nauczycielem. Poznaje on metody swojego nauczyciela i stopniowo uczy się stosowania ich na samym sobie.

Ale wszystkie drogi: droga fakira, droga mnicha i droga jogina, zaczynają się od rzeczy najtrudniejszej, od całkowitej zmiany trybu życia, od odrzucenia wszystkich rzeczy doczesnych. Człowiek musi porzucić swój dom, rodzinę – jeśli ją ma, musi odrzucić wszystkie przyjemności, przywiązania i życiowe obowiązki, i wyruszyć na pustynię albo do klasztoru, czy też do szkoły jogi. Od pierwszego dnia, od pierwszego kroku na swojej drodze, musi on umrzeć dla świata; tylko dzięki temu może zyskać nadzieję na osiągnięcie czegokolwiek na którejś z dróg.

By uchwycić istotę tego nauczania, trzeba jasno zrozumieć, że *drogi są jedynymi* metodami będącymi w stanie zapewnić rozwój ukrytych możliwości człowieka. To z kolei obrazuje jak rzadki i trudny jest taki rozwój. Rozwój tych możliwości nie jest prawem. Dla człowieka prawem jest egzystencja w kręgu zewnętrznych wpływów, prawem jest stan "człowieka – maszyny". Droga rozwoju ukrytych możliwości jest drogą *wbrew naturze, wbrew Bogu*.

Oto dlaczego drogi są trudne i tylko dla wybranych. Drogi są wąskie i ciasne. Ale jednocześnie tylko na nich można coś osiągnąć. W potoku codziennego życia, szczególnie życia nowoczesnego, drogi są małym, całkiem niepostrzegalnym zjawiskiem, które z punktu widzenia tego życia wcale nie jest potrzebne. Ale to małe zjawisko zawiera w sobie *wszystko*, co człowiek ma do rozwoju swoich ukrytych możliwości. Drogi przeciwstawiają się życiu codziennemu, są oparte na innych zasadach i podlegają innym prawom. Na tym polega tajemnica ich mocy i ich znaczenia. W życiu codziennym, nawet w życiu wypełnionym naukowymi, filozoficznymi, religijnymi czy społecznymi zainteresowaniami, nie istnieje nic *i nie może istnieć nic*, co dawałoby możliwości takie jak te, które zawarte są w drogach. Drogi prowadzą – czy też powinny prowadzić – człowieka do nieśmiertelności. Życie codzienne, nawet w najlepszym wydaniu, prowadzi człowieka do śmierci i do niczego innego prowadzić go nie może. Idea dróg nie może być zrozumiana, jeśli uznaje się, że możliwa jest ewolucja człowieka bez

ich pomocy.

Z reguły trudno jest człowiekowi pogodzić się z powyższą myślą; wydaje mu się ona przesadzona, niesprawiedliwa i absurdalna. Człowiek bardzo słabo rozumie słowo "możliwość". Wydaje mu się, że jeśli ma w sobie jakiegokolwiek możliwości, to muszą one być już rozwinięte i że środki potrzebne do ich rozwoju znajdują się w jego zasięgu. Człowiek bardzo szybko przechodzi od negowania wszelkich możliwości do domagania się ich koniecznej i natychmiastowej realizacji. Trudno jest mu pogodzić się z myślą, że jego możliwości mogą nie tylko pozostać nierozwinięte, ale także mogą wręcz zaniknąć, a ich rozwój wymaga od niego olbrzymiego wysiłku i wytrzymałości. W gruncie rzeczy, jeśli weźmiemy pod uwagę wszystkich ludzi, którzy nie są ani fakirami, ani mnichami, ani joginami, to możemy z całą pewnością powiedzieć, że ich możliwości *nie mogą zostać rozwinięte i nie będą rozwinięte*. Musi to być w pełni zrozumiane, w przeciwnym wypadku nie uchwycicie bowiem tego, co powiem dalej.

W zwykłych warunkach współczesnego życia nawet inteligentny człowiek szukający poznania znajduje się w beznadziejnej pozycji, ponieważ w jego otoczeniu nie ma niczego, co przypominałoby szkoły fakirów albo joginów. Religie Zachodu zdegenerowały się do takiego stopnia, że już od dawna nie ma w nich niczego żywego. Różne towarzystwa okultystyczne i mistyczne, oraz naiwne doświadczenia "spirytystyczne" – wszystko to również do niczego nie prowadzi.

Sytuacja byłaby doprawdy beznadziejna, gdyby nie fakt, że istnieje jeszcze *możliwość czwartej drogi*.

Czwarta droga nie wymaga odejścia na pustynię, nie wymaga od człowieka opuszczenia i wyrzeczenia się wszystkiego, dzięki czemu do tej pory żył. Czwarta droga zaczyna się o wiele dalej niż droga jogina. Oznacza to, że człowiek musi być przygotowany do czwartej drogi, a to przygotowanie powinno odbyć się w życiu codziennym i musi być bardzo poważne, to znaczy obejmować wiele różnych stron. Ponadto człowiek winien żyć w warunkach sprzyjających pracy na czwartej drodze, a w każdym razie w warunkach, które nie czynią jej niemożliwą. Trzeba zrozumieć, że zarówno w wewnętrznym, jak i w zewnętrznym życiu człowieka, mogą istnieć warunki, które dla czwartej drogi tworzą bariery nie do pokonania. Ponadto czwarta droga nie ma form tak określonych, jak drogi fakira, mnicha czy jogina. Przede wszystkim musi ona *zostać odnaleziona*. To jest pierwszy sprawdzian. Nie jest ona tak dobrze znana jak trzy tradycyjne drogi. Istnieje wielu ludzi, którzy nigdy nie słyszeli o czwartej drodze, i wielu takich, którzy zaprzeczają jej istnieniu czy możliwości jej istnienia. Ponadto początek czwartej drogi jest łatwiejszy niż początek drogi fakira, mnicha czy jogina. Na czwartej drodze istnieje możliwość pracy i podążania tą drogą, i jednocześnie pozostawania w zwykłych warunkach życia; człowiek może kontynuować swoją zwykłą pracę, zachowując dotychczasowe związki z ludźmi i

nie wyrzekając się, ani nie porzucając niczego. Przeciwnie, warunki życia, w jakich człowiek znajduje się na początku swej pracy, warunki w których – można by powiedzieć – praca go zastała, są dla niego *najlepszymi możliwymi* warunkami – w każdym razie na początku tej pracy. Są to dla niego warunki naturalne. Te warunki są tym, *czym jest sam człowiek*, ponieważ życie człowieka i warunki tego życia odnoszą się do tego, kim on sam jest. Jakiegokolwiek inne warunki od tych, które stwarza życie, byłyby dla człowieka sztuczne, a w sztucznych warunkach praca nie może od razu dotknąć wszystkich stron bycia człowieka. Dzięki temu czwarta droga wpływa równocześnie na wszystkie strony bycia człowieka. Jest to praca nad *trzema pokojami naraz*. Fakir pracuje nad pierwszym pokojem, mnich nad drugim, jogin nad trzecim. Docierając do czwartego pokoju, fakir, mnich i jogin zostawiają poza sobą wiele rzeczy nie dokończonych i nie mogą korzystać z tego, co osiągnęli, ponieważ nie panują nad wszystkimi swoimi funkcjami. Fakir jest panem swojego ciała, ale nie swoich emocji czy swojego umysłu; mnich jest panem swoich emocji, ale nie swojego ciała czy swojego umysłu; jogin jest panem swojego umysłu, ale nie jest panem swojego ciała czy swoich emocji.

Poza tym czwarta droga różni się od innych dróg tym, że podstawową rzeczą, której wymaga się tu od człowieka, jest rozumienie. Człowiekowi nie wolno robić niczego, czego on sam nie rozumie. Wyjątkiem są doświadczenia pod nadzorem i przewodnictwem nauczyciela. Im więcej człowiek rozumie z tego, co robi, tym większe będą wyniki jego wysiłków. To podstawowa zasada czwartej drogi. Wyniki pracy są proporcjonalne do świadomości pracy. Na czwartej drodze nie wymaga się "wiary"; wręcz odwrotnie, wszelkiego rodzaju wiara sprzeciwia się czwartej drodze. Na czwartej drodze człowiek sam musi przekonać się o prawdziwości tego, co mu się mówi. I dopóki się o tym nie przekona, to nic mu nie wolno robić.

Metoda czwartej drogi polega na tym, że rozpoczyna się pewną pracą w jednym pokoju i jednocześnie podejmuje się odpowiadającą temu pracę w dwóch innych pokojach. To znaczy, że pracując nad fizycznym ciałem, pracuje się równocześnie nad umysłem i emocjami; pracując nad umysłem, pracuje się nad ciałem fizycznym i emocjami; pracując nad emocjami, pracuje się nad umysłem i nad ciałem fizycznym.

Dzieje się tak dzięki temu, że na czwartej drodze można korzystać z pewnego poznania, niedostępnego na drodze fakira, mnicha i jogina. To poznanie pozwala na symultaniczną pracę w trzech kierunkach. Całe serie równocześnie podejmowanych fizycznych, umysłowych i emocjonalnych ćwiczeń służą temu celowi. W dodatku, na czwartej drodze można indywidualizować pracę każdej osoby, a więc każdy może robić to, co jest dla niego konieczne, a nie to, co jest akurat *dla niego bezużyteczne*. Jest tak dlatego, że czwarta droga obywa się bez tego wszystkiego, co zbyteczne, a co zachowało się na innych drogach po prostu dzięki tradycji.

Kiedy zatem człowiek dzięki czwartej drodze osiąga wolę, to może z niej korzystać, ponieważ uzyskał on już kontrolę nad wszystkimi swoimi cielesnymi, emocjonalnymi i intelektualnymi funkcjami. A prócz tego zaoszczędził bardzo dużo czasu, pracując równolegle i równocześnie nad trzema stronami swojego bycia.

Czwartą drogę nazywa się czasami *drogą człowieka przebiegłego*. "Przebiegły człowiek" zna pewną tajemnicę, której ani fakir, ani mnich, ani jogin nie znają. W jaki sposób "przebiegły człowiek" poznał tę tajemnicę, nie wiadomo. Może trafił na nią w starych księgach, może odziedziczył ją, może ją kupił, może wykradł ją komuś. To bez różnicy. "Przebiegły człowiek" zna tajemnicę i dzięki niej prześciga on fakira, mnicha i jogina.

Spośród tych czterech fakir działa w sposób najbardziej niedojrzały, niewiele wie, niewiele rozumie. Przypuśćmy, że po miesiącu intensywnych tortur rozwinię w sobie pewną energię, pewną substancję, która powoduje w nim pewne zmiany. Robi on to zupełnie na oślep, z zamkniętymi oczami, nie znając ani celu, ani metod, ani rezultatów, po prostu tylko naśladowując innych.

Mnich trochę lepiej wie, czego chce; wie, dlaczego chce, wie, jak to osiągnąć. Wie na przykład, że by osiągnąć swój cel, musi wytworzyć w sobie pewną substancję. Wie, że ta substancja może zostać wyprodukowana w ciągu jednego dnia dzięki pewnemu rodzajowi ćwiczeń umysłowych albo też dzięki koncentracji świadomości. Skupia on więc przez cały dzień swoją uwagę na tych ćwiczeniach, nie dopuszczając do siebie żadnych zbędnych myśli, aż wreszcie uzyskuje to, co mu jest potrzebne. W ten sposób jogin poświęca tylko jeden dzień na to, na co mnich musi przeznaczyć tydzień, a fakir miesiąc.

Jogin wie znacznie więcej. Wie, czego chce, wie, dlaczego tego chce, wie, jak można to osiągnąć. Wie na przykład, że by osiągnąć swój cel, musi wytworzyć w sobie pewną substancję. Wie, że ta substancja może zostać wyprodukowana w ciągu jednego dnia dzięki pewnemu rodzajowi ćwiczeń umysłowych albo też dzięki koncentracji świadomości. Skupia on więc przez cały dzień swoją uwagę na tych ćwiczeniach, nie dopuszczając do siebie żadnych zbędnych myśli, aż wreszcie uzyskuje to, co mu jest potrzebne. W ten sposób jogin poświęca tylko jeden dzień na to, na co mnich musi przeznaczyć tydzień, a fakir miesiąc.

Jednakże na czwartej drodze poznanie jest jeszcze dokładniejsze i doskonalsze. Człowiek, który podąża czwartą drogą, wie całkiem dobrze, jakiego rodzaju substancji potrzebuje on dla swoich celów, i wie, że te substancje mogą zostać wytworzone w ciele po miesiącu fizycznych cierpień, tygodniu emocjonalnego wysiłku czy też dniu ćwiczeń umysłowych. Wie także, że *mogą zostać one wprowadzone do organizmu z zewnątrz, jeśli wiadomo, jak to zrobić*. A zatem, zamiast spędzać cały dzień na ćwiczeniach, jak to robi jogin, tydzień na modlitwie, tak jak mnich, czy też miesiąc na torturowaniu siebie samego, tak jak fakir, on po prostu przygotowuje i połyka małą pigułkę, która zawiera wszystkie potrzebne mu substancje, i w ten sposób, bez straty czasu, uzyskuje pożądane rezultaty.

Trzeba też zauważyć – powiedział G. – że poza tymi właściwymi i prawowitymi drogami, istnieją też nieprawdziwe drogi, prowadzące do wyników tylko tymczasowych, a także błędne drogi, które mogą nawet wieść do efektów trwałych, ale niewłaściwych. Na drogach tych człowiek także szuka klucza do czwartego pokoju i czasami go znajduje. Ale nikt nie wie, co znajduje on w czwartym pokoju. Zdarza się też, że drzwi do czwartego pokoju zostają sztucznie otwarte za pomocy wytrycha. W obu wypadkach może okazać się, że pokój jest pusty.

Na tym G. zakończył.

W trakcie jednej z kolejnych rozmów, znów poruszyliśmy temat *dróg*.

– Człowiekowi kultury zachodniej – powiedziałem – jest oczywiście trudno uwierzyć i zaakceptować to, że nieświadomy fakir, naiwny mnich czy też jogin, który wycofał się z życia, mogą podążać drogą ewolucji, podczas gdy wykształcony Europejczyk, uzbrojony w ścisłą wiedzę i wszystkie najnowsze metody badań, nie ma żadnej szansy i porusza się w kole, z którego nie ma ucieczki.

– Tak, a to dlatego, że ludzie wierzą w postęp i kulturę – powiedział G.

– *Nie istnieje żaden postęp.* Wszystko jest takie, jakie było tysiące i dziesiątki tysięcy lat temu. Zmienia się zewnętrzna forma. Esencja pozostaje taka sama. Człowiek pozostaje dokładnie taki sam. "Cywilizowani" i "wychowani" ludzie mają dokładnie takie same zainteresowania jak najciemniejsi dzicy. Współczesna cywilizacja opiera się na przemocy, niewoli i pięknych słowach, ale te wszystkie piękne słowa o "postępie" i "cywilizacji" są tylko słowami.

Wywarło to na nas, oczywiście, szczególnie silne wrażenie, ponieważ zostało powiedziane w roku 1916, kiedy to najnowszy przejaw "cywilizacji" w postaci wojny, jakiej jeszcze świat nie widział, powiększał się i rozwijał, wciągając w swą orbitę coraz więcej milionów ludzi.

Pamiętam, że kilka dni przed tą rozmową widziałem na Litejnym dwie olbrzymie ciężarówki wypełnione do wysokości pierwszego piętra nowymi, nie pomalowanymi, drewnianymi kulami. Nie wiem dlaczego, ale ich widok szczególnie mnie uderzył. Te góry z kul *do nie rozerwanych jeszcze nóg* stanowiły szczególnie cyniczną drwinę z tego wszystkiego, co służyło ludziom do okłamywania się. Mimowolnie wyobraziłem sobie, że podobne ciężarówki krążą na pewno po Berlinie, Paryżu, Londynie, Wiedniu, Rzymie i Konstantynopolu. W rezultacie, wszystkie te miasta, które tak dobrze znałem i lubiłem właśnie dlatego, że były różne, że się uzupełniały i kontrastowały ze sobą, stały mi się teraz tak samo wrogie, jak wrogie były wobec siebie; miasta rozdzielone nowymi murami nienawiści i zbrodni.

Podczas spotkania powiedziałem naszym ludziom o tych załadowanych kulami ciężarówkach i o moich myślach na ten temat.

– Czego oczekujesz? – powiedział G. – Ludzie są maszynami. Maszyny muszą być ślepe i nieświadome. One nie mogą być inne i wszystkie ich działania są zgodne z ich naturą. *Wszystko się zdarza*. Nikt niczego nie czyni. Postęp i cywilizacja, w prawdziwym tego słowa znaczeniu, mogą pojawić się tylko jako wynik *świadomych* wysiłków. Nie mogą pojawić się jako wynik nieświadomych, mechanicznych działań. A jakiego to świadomego wysiłku może podjąć się maszyna? Jeśli jedna maszyna jest nieświadoma, to wtedy sto maszyn jest nieświadomych, i również tysiąc maszyn czy też sto tysięcy maszyn albo milion. A nieświadoma działalność *miliona maszyn* musi nieuchronnie spowodować zniszczenie i eksterminację. To właśnie w tych nieświadomych i bezwolnych przejawach leży całe zło. Jeszcze nie rozumiecie i nie umiecie sobie wyobrazić wszystkich skutków tego zła. Ale nadejdzie czas, gdy to zrozumiecie.

Na tym, o ile pamiętam, rozmowa się zakończyła.

ROZDZIAŁ TRZECI

Na początku listopada 1915 roku miałem już pewne pojęcie o podstawowych elementach systemu G.

Pierwszym punktem, na który G. kładł największy nacisk, był *brak jedności w człowieku*.

– Największy błąd – powiedział – stanowi myślenie, że człowiek jest zawsze jeden i ten sam. Człowiek nigdy przez dłuższy czas nie jest taki sam. Nieustannie się zmienia. Rzadko pozostaje on taki sam, choćby przez pół godziny. Myślmy, że jeśli człowiek nazywa się Iwan, to zawsze jest Iwanem. Nic z tych rzeczy. Teraz jest on Iwanem, w następnej chwili będzie Piotrem, a jeszcze później Mikołajem, Sergiuszem, Mateuszem albo Szymonem. A wy wszyscy myślicie, że to Iwan. Wiecie, że Iwan nie umie zrobić pewnej rzeczy. Na przykład nie umie skłamać. Potem dowiadujecie się, że dopuścił się kłamstwa, i dziwi was, że tak postąpił. I rzeczywiście: Iwan nie umie kłamać; to Mikołaj skłamał. Kiedy pojawia się możliwość kłamania, to Mikołaj *nie jest w stanie nie kłamać*.

Zdziwicie się, gdy zdacie sobie sprawę, jak wielu Iwanów i Mikołajów żyje w jednym człowieku. Jeśli nauczycie się ich obserwować, to nie będziecie już potrzebowali chodzić do kina.

– Czy ma to coś wspólnego ze świadomością poszczególnych części i narządów ciała? – zapytałem przy okazji. – Pojmuję tę ideę i często odczuwam rzeczywistość tych świadomości. Wiem, że nie tylko poszczególne narządy, ale też każda część ciała, która spełnia odrębną funkcję, ma odrębną świadomość. Prawa ręka ma jedną świadomość, a lewa inną. Czy to miałeś na myśli?

– Niezupełnie – powiedział G. – Te świadomości istnieją, ale są one stosunkowo nieszkodliwe. Każda z nich zna swoje miejsce i swoje zadania. Ręce wiedzą, że muszą pracować, stopy wiedzą, że muszą chodzić. Ale owi Iwanowie, Piotrzy i Mikołaje są inni. Każdy z nich nazywa siebie "Ja". To znaczy, że każdy uważa siebie za mistrza i nie chce uznać nikogo innego. Każdy z nich przez godzinę jest kalifem, i bez względu na wszystko robi to, co mu się podoba; później zaś inni muszą za to płacić. I nie ma w tym żadnego porządku. Kto ma przewagę, ten jest panem. Sprawia on lanie wszystkim wokół i na nic nie zwraca uwagi. Ale w następnym momencie ktoś inny łapie za bicz i bije go. Tak to się toczy przez całe życie człowieka. Wyobraź sobie kraj, w którym każdy może być królem przez pięć minut i przez te pięć minut może robić z całym królestwem, co mu się tylko podoba. Takie jest nasze życie.

Podczas jednej z naszych rozmów G. wrócił do idei różnych ciał człowieka.

– To, że człowiek może mieć kilka ciał – powiedział G. – należy zrozumieć jako ideę, jako zasadę. Ale to się do nas nie stosuje. Wiemy, że mamy jedno ciało fizyczne i nic poza tym nie wiemy. I powinniśmy to fizyczne ciało poznawać. Tylko musimy pamiętać, że pytanie nie ogranicza się do ciała fizycznego i że istnieje ludzie, którzy mogą mieć dwa, trzy albo więcej ciał. Ale nam osobiście nie sprawia to żadnej różnicy. Ktoś taki jak Rockefeller może być milionerem w Ameryce, ale jego miliony nie pomogą mi, gdybym nie miał co jeść. Rzecz ma się dokładnie tak samo w naszym wypadku. Każdy musi myśleć o sobie; bezużyteczne i bezsensowne jest poleganie na innych albo pocieszanie się myślą o tym, co posiadają inni.

– Jak można sprawdzić, czy ktoś ma “ciało astralne”? – zapytałem.

– Istnieją określone sposoby – odpowiedział G. – W pewnych warunkach “ciało astralne” może być widoczne, może zostać ono oddzielone od ciała fizycznego i nawet sfotografowane obok ciała fizycznego. Istnienie “ciała astralnego” jeszcze łatwiej i prościej można ustalić *poprzez jego funkcje*. “Ciało astralne” ma pewne funkcje, których ciało fizyczne mieć nie może. Obecność tych funkcji wskazuje na obecność “ciała astralnego”. Brak tych funkcji wskazuje na brak “ciała astralnego”. Ale jeszcze jest za wcześnie, aby o tym mówić. Cała nasza uwaga musi się skupić na poznawaniu ciała fizycznego. Konieczne jest zrozumienie struktury ludzkiej maszyny. Naszym podstawowym błędem jest myślenie, że mamy *jeden umysł*. Funkcje tego umysłu nazywamy “świadomymi”, wszystko to, co nie mieści się w tym umyśle, nazywamy “nieświadomym” albo “podświadomym”.

Jest to nasz główny błąd. Na temat świadomego i nieświadomego, będziemy mówić później. Na razie chcę wam wytłumaczyć, że działalność maszyny ludzkiej, to znaczy ciała fizycznego, kontrolowana jest nie przez jeden, ale przez kilka całkowicie od siebie niezależnych *umysłów*, spełniających odrębne funkcje i przejawiających się w odrębnych sferach. To należy zrozumieć najpierw; jeśli bowiem tego się nie rozumie, to nie można zrozumieć niczego innego.

Następnie G. zajął się wyjaśnianiem rozmaitych funkcji oraz centrów, które kontrolują te rozmaite funkcje w człowieku. Zrobił to tak, jak zostało to przedstawione w *Wykładach psychologicznych*.

Wyjaśnienia te i wszystkie związane z nimi rozmowy zabrały dużo czasu, ponieważ za każdym razem powracaliśmy do fundamentalnych idei mechaniczności człowieka, braku jedności w człowieku, braku wyboru, niemożności “*czynienia*”, itd. Nie ma możliwości przedstawienia wszystkich tych rozmów w ich oryginalnej formie. Z tego powodu zebrałem cały materiał psychologiczny i kosmologiczny w dwóch oddzielnych seriach wykładów.

W związku z tym trzeba wziąć pod uwagę, że idee te były przekazane nam nie w takiej formie, w jakiej są przedstawione w moich wykładach. G. przekazywał je

po trochu, jakby chroniąc je przed nami. Poruszając po raz pierwszy nowe tematy, przedstawiał tylko podstawowe zasady, często zatajając to, co bardziej istotne. Czasami on sam wskazywał na pozorne rozbieżności w danych teoriach, które w rzeczywistości były zawsze wynikiem tych przemilczeń. Przy następnej okazji, podchodząc do tego samego tematu pod innym kątem, o ile było to tylko możliwe, przedstawiał coś więcej. Za trzecim razem ujawniał jeszcze więcej. Na temat funkcji i centrów za pierwszym razem powiedział nam, na przykład, tylko o *trzech centrach*: intelektualnym, emocjonalnym i ruchowym; najpierw próbował nauczyć nas, jak się rozróżnia te funkcje i znajduje ich przykłady. Potem dodał do nich centrum instynktowe, które stanowi niezależny i samodzielny mechanizm. Z kolei powiedział nam o centrum seksualnym. Pamiętam, że niektóre z jego spostrzeżeń zwróciły moją uwagę. O centrum seksualnym powiedział na przykład, że praktycznie nigdy nie pracuje ono samodzielnie, albowiem zawsze uzależnione jest od pozostałych centrów: intelektualnego, emocjonalnego, instynktowego i ruchowego.

Z kolei mówiąc o energii centrów, często wracał do tego, co nazywał niewłaściwą pracą centrów, i do roli, jaką w tej pracy odgrywa centrum seksualne. Dużo mówił o tym, że wszystkie centra "okradają" centrum seksualne z energii i za pomocą tej energii wytwarzają całkiem niewłaściwą pracę, pełną bezużytecznego podniecenia. W zamian przekazują one centrum seksualnemu bezużyteczną energię, z którą centrum to nie jest w stanie pracować.

Pamiętam jego słowa:

– To wielka rzecz, gdy centrum seksualne działa za pomocy swojej *własnej* energii, ale bardzo rzadko się to zdarza.

Przypomniałem sobie jeszcze inną uwagę, która później dała podstawę do błędnego rozumowania i wielu błędnych konkluzji. Chodziło o to, że trzy centra z niższego piętra: instynktowe, ruchowe i seksualne, pracują we wzajemnej relacji, w porządku *trzech sił* – i że centrum seksualne, w normalnych wypadkach, działa jako siła neutralizująca w stosunku do centrum instynktowego i centrum ruchowego, które z kolei działają jako siła czynna i siła bierna.

Metoda wykładania tematu i jednoczesnych przemilczeń, jaką G. stosował w pierwszych rozmowach, przyczyniła się do powstania licznych nieporozumień, szczególnie w grupach późniejszych, nie związanych z moją pracą.

Wielu ludzi, dostrzegając sprzeczności między pierwszą prezentacją danej idei i kolejnymi jej wyjaśnieniami, równocześnie próbując trzymać się jak najbliżej tej pierwszej, stworzyło fantastyczne teorie, które nie miały nic wspólnego z tym, co powiedział G. I tak: idea *trzech centrów* przyjęła się w pewnych grupach (z którymi, powtarzam, nie miałem nic wspólnego). W pewien sposób połączono ją z ideą *trzech sił*, z którą w rzeczywistości nie miała związku, a to dlatego, że w zwykłym człowieku istnieje pięć centrów, a nie trzy.

To połączenie dwóch idei należących do zupełnie różnych porządków, idei o różnej skali i odmiennym znaczeniu, stało się zalążkiem wielu dalszych nieporozumień i spowodowało zupełne wypaczenie systemu u tych, którzy w ten sposób rozumowali.

Jest możliwe, że idea trzech centrów (intelektualnego, emocjonalnego i ruchowego) jako wyrazu trzech sił wyniknęła z błędnie powtórzonych i błędnie przyjętych uwag G. na temat wzajemnych związków trzech centrów z niższego piętra.

Podczas pierwszej, jak również i kolejnych rozmów na temat centrów, G. prawie za każdym razem dodawał coś nowego. Jak powiedziałem, na początku mówił tylko o trzech centrach, potem o czterech, potem o pięciu, a jeszcze później o siedmiu.

Prawie nigdy nie mówiło się o poszczególnych częściach tych centrów. G. powiedział, że centra dzieli się na ujemne i dodatnie części, ale nie wskazał na to, że podział ten nie jest *identyczny* dla wszystkich centrów. Potem stwierdził, że każde centrum dzieli się na trzy części albo *trzy piętra*, które to z kolei także dzieli się na trzy. Nie podał jednak żadnych przykładów ani nie wskazał, że obserwacja uwagi umożliwia rozpoznanie pracy różnych części centrów. Wszystko to i jeszcze wiele prócz tego ustalono dopiero później. Przykładowo: niewątpliwie G. wyłożył nam podstawy poznawania roli i znaczenia negatywnych emocji, jak również przedstawił metody walki z nimi – metody odnoszące się do nieutożsamiania się z nimi, niezważania na nie i niewyrażania ich – ale nie dokończył tych teorii, nie wytłumaczył, że negatywne emocje są całkowicie *zbędne* i nie posiadają żadnego normalnego Centrum.

Rozmowy i wykłady w grupie petersburskiej oraz w późniejszych grupach spróbuję odtworzyć tak, jak je zapamiętałem, starając się jednocześnie pominąć to wszystko, co już zostało powiedziane w pierwszej i drugiej serii wykładów. Ale w niektórych przypadkach nie da się uniknąć powtórzeń i – według mnie – wierne przedstawienie idei systemu w takiej formie, jak G. je przekazał, jest bardzo interesujące.

Ktoś podczas spotkania zapytał:

– Jak powinno się rozumieć ewolucję?

– Ewolucja człowieka – powiedział G. – może być rozumiana jako rozwój wszystkich tych mocy i możliwości w nim, które nigdy nie rozwijają się same przez się, to znaczy nie rozwijają się mechanicznie. Tylko ten rodzaj rozwoju, tylko ten rodzaj wzrostu wyznacza prawdziwą ewolucję człowieka. Nie ma i nie może być żadnej innej ewolucji człowieka.

Mamy przed sobą człowieka na jego obecnym etapie rozwoju. Przyroda stworzyła go takim, jaki jest, i – mówiąc ogólnie – w stopniu, w jakim możemy to przewidzieć, takim pozostanie. Możliwe zmiany naruszające ogólne wymagania

przyrody mogą mieć miejsce tylko w poszczególnych jednostkach.

By zrozumieć prawo ludzkiej ewolucji, trzeba pojąć, że po przekroczeniu pewnego punktu ewolucja ta nie jest już wcale konieczna, to znaczy, że nie jest ona potrzebna przyrodzie w danym momencie jej własnego rozwoju. Mówiąc dokładniej: ewolucja rodzaju ludzkiego odpowiada ewolucji planet, ale ewolucja planet następuje, w relacji do nas, w nieskończenie wydłużonych cyklach czasowych. W takim wymiarze czasu, który myśl ludzka jest w stanie objąć, w życiu planet nie mogą zajść żadne istotne zmiany i, w konsekwencji, nie mogą też zajść żadne istotne zmiany w życiu rodzaju ludzkiego.

Ludzkość nie postępuje naprzód, ani nie ewoluuje. To, co wydaje się nam postępem albo ewolucją jest tylko częściową modyfikacją, która może natychmiast zostać zrównoważona przez odpowiednią modyfikację w przeciwnym kierunku.

Ludzkość, jak i cała reszta życia organicznego, istnieje na Ziemi dla potrzeb i celów Ziemi. I jest ona dokładnie taka, jaka powinna być, zgodnie z istniejącymi obecnie wymaganiami Ziemi.

Tylko tak teoretyczna i tak odległa od rzeczywistości myśl, jak współczesna myśl europejska, mogła dopuścić możliwość istnienia ewolucji człowieka bez *związku z otaczającą przyrodą*, lub uważać ewolucję człowieka za stopniowy *podbój przyrody*. Jest to zupełnie niemożliwe. Żyjąc, umierając, ewoluując, degenerując się, człowiek jednakowo służy celom przyrody, czy też raczej przyroda jednakowo – choć być może w innych celach – korzysta zarówno z produktów ewolucji, jak i degeneracji. Jednocześnie ludzkość jako całość nigdy nie może uciec od przyrody, bo nawet w walce z przyrodą człowiek działa w zgodzie z jej celami. Ewolucja olbrzymich mas ludzkich jest sprzeczna z celami przyrody. Ewolucja pewnego niewielkiego procentu ludzkości może odbywać się zgodnie z celami przyrody. Człowiek ma w sobie możliwość ewolucji, ale ewolucja całej ludzkości, to jest rozwój owych możliwości we wszystkich ludziach, czy też w większości z nich lub nawet w dużej ich części, nie jest konieczny dla celów Ziemi, albo ogólnie, dla celów świata planetarnego, i może w rzeczywistości być szkodliwy lub wręcz zgubny. Istnieją zatem specjalne siły (o charakterze planetarnym), które przeciwstawiają się ewolucji dużych mas ludzkich i utrzymują ludzkość na właściwym dla niej poziomie.

Na przykład ewolucja ludzkości, która wykracza poza pewien punkt lub – mówiąc dokładniej – przekracza pewien procent, byłaby zgubna dla *Księżycy*. W chwili obecnej Księżyc *żywi się* życiem organicznym, *żywi się* ludzkością. Ludzkość stanowi część życia organicznego; oznacza to, że ludzkość jest *pokarmem* dla Księżycy. Gdyby wszyscy ludzie stali się za bardzo inteligentni, to nie chcieliby zostać zjedzeni przez Księżyc.

Ale jednocześnie istnieją możliwości ewolucji, i mogą się one rozwinąć w

pojedynczych osobach, a to dzięki odpowiedniej wiedzy i odpowiednim metodom. Taki rozwój może dokonywać się tylko w interesie samego człowieka, wbrew – jeśli można tak powiedzieć – interesom i siłom świata planetarnego. Człowiek musi zrozumieć, że jego ewolucja potrzebna jest tylko jemu samemu. Nikt inny nie jest nią zainteresowany. I nikt nie ma obowiązku ani nie zamierza mu pomóc. Przeciwnie, siły, które przeciwstawiają się ewolucji dużych mas ludzkości, przeciwstawiają się także ewolucji poszczególnych ludzi. Człowiek musi je przechytrzyć. *I jeden człowiek może je przechytrzyć, ludzkość nie może.* Później zrozumiecie, że wszystkie te przeszkody są dla człowieka przydatne. Gdyby nie istniały, musiałyby zostać celowo stworzone, ponieważ to właśnie pokonując przeszkody, człowiek rozwija w sobie potrzebne mu jakości.

Takie są podstawy właściwego spojrzenia na ludzką ewolucję. Nie istnieje żadna przymusowa, mechaniczna ewolucja. Ewolucja jest wynikiem świadomego zmagania. Przyroda nie potrzebuje tej ewolucji; nie chce jej i walczy z nią. Ewolucja może być konieczna tylko dla takiego człowieka, który zdaje sobie sprawę ze swej sytuacji, zdaje sobie sprawę z możliwości zmiany tej sytuacji, zdaje sobie sprawę, że ma moce, z których nie korzysta, bogactwa, których nie widzi. I to właśnie w znaczeniu wejścia w posiadanie tych mocy i bogactw, ewolucja jest możliwa. Ale jeśli wszyscy lub większość ludzi by sobie to uświadomiła i zapagnęła osiągnąć to, co zgodnie z prawem pierworództwa im się należy, to ewolucja stałaby się z kolei niemożliwa. To, co jest możliwe dla jednego człowieka, jest niemożliwe dla mas.

Przewaga pojedynczej osoby polega tu na tym, że jej znaczenie jest niewielkie i że w ekonomii przyrody jeden mechaniczny człowiek mniej lub więcej, nie czyni żadnej różnicy. Możemy łatwo zrozumieć tę wzajemną relację wielkości, jeśli wyobrazimy sobie stosunek mikroskopijnej komórki do naszego własnego ciała. Obecność lub brak jednej komórki nie zmieni niczego w życiu całego ciała. Nie możemy być tego świadomi i nie może to wpłynąć na życie i funkcje organizmu. Analogicznie: pojedyncza osoba jest zbyt mała, by wpłynąć na życie kosmicznego organizmu – znajduje się ona w takiej relacji do niego (pod względem rozmiaru) jak komórka do naszego własnego organizmu. I to właśnie sprawia, że "ewolucja" takiej osoby jest możliwa; na tym opierają się jej "możliwości".

Co się zaś tyczy ewolucji, to już na samym początku trzeba zrozumieć, że niemożliwa jest ewolucja mechaniczna. Ewolucja człowieka jest ewolucją jego świadomości. *A "świadomość" nie może nieświadomie ewoluować.* Ewolucja człowieka jest ewolucją jego woli, a "wola" nie może ewoluować bezwolnie. Ewolucja człowieka jest ewolucją jego mocy "czynienia", a "czynienie" nie może być wynikiem rzeczy, które "się zdarzają".

Ludzie nie wiedzą, co to jest człowiek. Mają oni do czynienia z bardzo złożoną maszyną, o wiele bardziej złożoną niż lokomotywa, samochód czy samolot, ale

sami nic – albo prawie nic – nie wiedzą o budowie, pracy i możliwościach tej maszyny. Nie rozumieją nawet jej najprostszych funkcji, ponieważ nie znają celu tych funkcji. Niewyraźnie wyobrażają sobie, że człowiek powinien nauczyć się kontrolować swoją maszynę, tak samo jak trzeba nauczyć się kontrolować lokomotywę, samochód czy samolot, i że niekompetentne obchodzenie się z ludzką maszyną jest tak samo niebezpieczne, jak niekompetentne obchodzenie się z każdą inną złożoną maszyną. Każdy to rozumie, gdy mówi się o samolocie, samochodzie czy lokomotywie, ale mało kto liczy się z tym faktem, gdy mówi się o nim samym albo o człowieku w ogóle. Uważa się za właściwe i prawowite myślenie, że przyroda dała człowiekowi potrzebną znajomość jego własnej maszyny. A jednak ludzie rozumieją, że instynktowna tylko znajomość maszyny nie jest w żaden sposób wystarczająca. Dlaczego studiują medycynę i korzystają z jej usług? Ponieważ, oczywiście, zdają sobie sprawę, że nie znają swojej maszyny. Ale nie podejrzewają, że można ją poznać o wiele lepiej niż zna ją nauka; i nie podejrzewają, że można byłoby wówczas spowodować, by pracowała ona całkiem inaczej.

Bardzo często, prawie w każdej rozmowie, G. powracał do tematu braku jedności w człowieku:

– Jednym z ważnych błędów człowieka – powiedział – o którym trzeba nieustannie pamiętać, jest jego złudzenie co do swojego "Ja".

Człowiek taki, jakim go znamy, "człowiek maszyna", człowiek, który nie może "czynić", i z którym oraz przez którego wszystko "się zdarza", taki człowiek nie może mieć stałego i pojedynczego "Ja". Jego "ja" zmienia się tak szybko, jak jego myśli, uczucia, nastroje; i popełnia on poważny błąd, uważając się zawsze za jedną i tę samą osobę; w rzeczywistości jest on *zawsze inną osobą*, nigdy tą, którą był jeszcze przed chwila.

Człowiek nie ma stałego i niezmiennego "Ja". Każda myśl, każdy nastrój, każde pragnienie, każde doznanie mówi "Ja". I za każdym razem przyjmuje się za oczywistość, że wszystko to przynależy do *Całości*, do całego człowieka i że dana myśl, pragnienie czy niechęć są wyrażane przez tę *Całość*. W rzeczywistości nie ma żadnej podstawy do takiego założenia. Każda myśl i pragnienie człowieka pojawia się i żyje całkiem oddzielnie i niezależnie od *Całości*. *Całość* nigdy sama się nie wyraża z tego prostego powodu, że jako taka istnieje ona tylko fizycznie jako rzecz, a abstrakcyjnie jako koncept. Człowiek nie ma pojedynczego "Ja". Ale zamiast tego, istnieją setki i tysiące małych, oddzielnych "ja", bardzo często zupełnie sobie nieznanych, nigdy nie stykających się ze sobą, albo też wrogich wobec siebie, wzajemnie wykluczających się i niezgodnych ze sobą. W każdej minucie, w każdej chwili, człowiek mówi albo myśli "Ja". I za każdym razem jego "ja" jest inne. W jednej chwili jest to myśl, w innej pragnienie, jeszcze w innej doznanie, inna myśl i tak dalej, bez końca. *Człowiek jest wielością*. Imieniem człowieka jest legion.

Następowanie po sobie różnych "ja" i ich ciągła, oczywista walka o dominację kontrolowane są przez przypadkowe zewnętrzne wpływy. Ciepło, słońce, piękna pogoda, natychmiast przywołuje całą grupę "ja". Zimno, mgła, deszcz, przywołuje inną grupę "ja", inne skojarzenia, inne uczucia, inne działania. Nie istnieje w człowieku nic, co byłoby w stanie kontrolować tę zmianę "ja". Dzieje się tak głównie dlatego, że człowiek jej nie spostrzega albo o niej nie wie. Żyje on zawsze w swoim ostatnim "ja". Niektóre "ja" są oczywiście silniejsze od innych. Ale nie jest to ich własna świadoma siła; zostały one stworzone dzięki sile przypadku albo dzięki mechanicznym, zewnętrznym bodźcom. Edukacja, naśladowanie, czytanie, hipnotyzm religii, kasty i tradycji albo też urok nowych haseł, tworzy w osobowości człowieka bardzo silne "ja", które dominuje nad całą serią innych, słabszych "ja". Ale ich siła jest siłą "rolek" w centrach. Wszystkie "ja", składające się na osobowość człowieka, mają takie samo źródło jak zapisy na "rolkach". Są one wynikiem zewnętrznych wpływów i, tak samo jak "rolki", są wprawiane w ruch i kontrolowane przez najświeższe z tych zewnętrznych wpływów.

Człowiek nie ma indywidualności. Nie ma jednego, dużego "Ja". Człowiek jest podzielony, jest wielorakością małych "ja".

Każde oddzielne małe "ja" potrafi nazwać siebie Całością, działać w imię Całości, zgadzać się albo nie zgadzać, robić obietnice, podejmować decyzje, z którymi inne "ja" albo Całość będą musiały sobie radzić. To tłumaczy, dlaczego ludzie tak często podejmują decyzje, a tak rzadko wprowadzają je w życie. Człowiek postanawia, że począwszy od następnego dnia będzie wstawać wcześniej rano. Jedno "ja" czy też grupa "ja" to postanawia. Ale samo wstawanie jest w mocy innego "ja", które zupełnie nie zgadza się z podjętą decyzją i może nic nawet o niej nie wiedzieć. Oczywiście człowiek będzie rano długo spał, a wieczorem na nowo postanowi wstać wcześniej. W niektórych wypadkach może to spowodować bardzo nieprzyjemne dla człowieka konsekwencje. Małe, przypadkowe "ja" może w pewnym momencie coś obiecać – nie sobie samemu, ale komuś innemu – po prostu ze zwykłej próżności albo dla zabawy. Potem znika, a człowiek, to znaczy cała ta kombinacja innych, całkiem niewinnych "ja", będzie musiał za to płacić przez całe swoje życie. Jest to tragedia ludzkiego istnienia, że każde małe "ja" ma prawo wypisywać czeki i weksle, a człowiek, czyli Całość, musi je płacić. Całe życie ludzkie często polega na płaceniu weksli, które wystawiło małe, przypadkowe "ja".

Nauczania Wschodu zawierają rozmaite, alegoryczne obrazy, za pomocą których próbuje się z tego punktu widzenia przedstawić naturę człowieczego bycia.

I tak, w jednym nauczaniu człowiek porównywany jest do domu bez właściciela i bez rzadcy, w którym zamieszkuje wielu służących. Wszyscy oni zapomnieli już o swoich obowiązkach i nikt nie chce robić tego, co powinien. Każdy, chociaż przez chwilę, chce być panem, i nad domem, w takim bezładzie, wisi duże

niebezpieczeństwo. Jedyna szansa ratunku znajduje się w rękach grupy bardziej wrażliwych służących, którzy mogą razem wybrać *tymczasowego* rządcę, czyli *zastępcę rządcy*. Ten *zastępca rządcy* będzie mógł odesłać innych służących na ich miejsca i spowoduje, że każdy zacznie wykonywać swoją własną pracę: kucharz w kuchni, woźnica w stajni, ogrodnik w ogrodzie, itd. W ten sposób dom można przygotować na przyjazd prawdziwego rządcy, który z kolei przygotowuje go na przyjazd pana.

Porównanie człowieka do domu, w którym oczekuje się na przyjazd pana, często spotyka się w tych nauczaniach Wschodu, gdzie zachowały się ślady pradawnego poznania. Jak wiemy, temat ten w różnych formach, pojawia się też w wielu przypowieściach Ewangelii.

Ale nawet najbardziej jasne zrozumienie własnych możliwości nie przybliży człowieka do ich urzeczywistnienia. Aby je urzeczywistnić, musi on bardzo silnie pragnąć wyzwolenia i musi chcieć wszystko poświęcić, wszystko zaryzykować, dla dobra tego wyzwolenia.

Z tym okresem, to znaczy z początkiem wykładów petersburskich, związane są dwie interesujące rozmowy.

Przy jakiejś okazji pokazałem G. zdjęcie, które zrobiłem w Benaresie. Przedstawiało ono "fakira leżącego na gwoździach". Fakir ten nie był jedynie sprytnym kuglarzem, jak ci, których widziałem na Cejlonie, choć bez wątplenia był on "zawodowcem". Powiedziano mi, że na dziedzińcu meczetu Aurangzeb, na brzegu Gangesu, znajduje się fakir leżący na łóżku nabitym żelaznymi gwoździami. Brzmiało to bardzo tajemniczo i przerażająco. Ale kiedy tam dotarłem, łóżko z żelaznymi gwoździami stało puste; fakir – jak mi powiedziano – poszedł po krowę. Gdy przyszedłem ponownie, zastałem go. Nie leżał na swoim łóżku – bo jeśli dobrze zrozumiałem – wchodził na nie tylko wtedy, kiedy zbierali się widzowie. Ale za jedną rupię pokazał mi wszystkie swoje umiejętności. Rzeczywiście, prawie całkiem nagi położył się na łóżku nabitym długimi, żelaznymi gwoździami. I choć było widać, że starał się nie wykonywać żadnych szybkich ruchów, to jednak obracał się na gwoździach, kładł się na nich na plecach, boku, brzuchu, i najwyraźniej ani go one nie kłuły, ani nie drapały. Zrobiłem mu dwa zdjęcia, ale nie potrafiłem wyjaśnić znaczenia tego zjawiska. Fakir nie sprawiał wrażenia inteligentnego ani religijnego człowieka. Wyraz jego twarzy był tępy, znudzony i obojętny; nie było w nim nic, co by wskazywało na jakieś dążenie do spełnienia ofiary lub torturowania samego siebie. Powiedziałem o tym G., pokazując mu fotografię, i zapytałem, co o tym myśli.

– Trudno to wytłumaczyć w dwóch słowach – odpowiedział. – Przede wszystkim człowiek ten oczywiście nie jest fakirem w znaczeniu, o jakim mówiłem. Jednocześnie masz rację, myślar, że nie była to tylko jakaś sztuczka. *Ale on sam nie wie, jak to robi.* Jeślibyś go przekupił i nakłonił do powiedzenia ci tego, co wie, prawdopodobnie odparłby, że zna *pewne słowo*, które sobie mówi, by

móc leżeć na gwoździach. Mógłby nawet zgodzić się na wypowiedzenie tego słowa. Ale to w niczym ci nie pomoże, ponieważ będzie to całkiem zwykłe słowo, które nie wywoła na tobie żadnego wrażenia. Ten człowiek pochodzi ze szkoły, ale nie był on uczniem. *On był eksperymentem*. Po prostu eksperymentowano z nim i na nim. Z pewnością był on kilkakrotnie zahipnotyzowany; pod wpływem hipnozy jego skóra stała się najpierw nieczuła na ukłucia, a potem zdolna do stawiania oporu. Na niewielką skalę jest to całkiem możliwe nawet w zwykłym europejskim hipnotyzmie. Z czasem nieczułość i nieprzenikalność skóry zostały utrwalone za pomocą sugestii posthipnotycznej. Wiesz, co to jest sugestia posthipnotyczna? Usypia się człowieka i mówi się mu, że pięć godzin po obudzeniu musi zrobić pewną rzecz; albo mówi mu się, że musi wypowiedzieć pewne słowo, i że gdy tylko to zrobi, poczuje pragnienie albo będzie myślał, że zmarł czy coś podobnego. Następnie budzi się go. Gdy nadchodzi pora, czuje on nieodpartą potrzebę zrobienia tego, co mu powiedziano; jeśli pamięta przekazane mu słowo, to po wypowiedzeniu go natychmiast wpada w trans. Dokładnie to samo zrobiono z twoim fakirem. Pod hipnozą przyzwyczajono go do leżenia na gwoździach; następnie po obudzeniu powiedziano mu, że jeżeli wypowie pewne słowo, to znów będzie w stanie leżeć na gwoździach. To słowo wprowadza go w stan hipnozy. Być może z tego powodu miał on takie senne i apatyczne spojrzenie. To się często w takich wypadkach zdarza. Pracowano nad nim być może przez wiele lat, a potem pozwolono mu po prostu odejść, by żył, jak potrafi. Zbudował więc dla siebie żelazne łóżko i prawdopodobnie zarabia tak parę rupii na tydzień. Wielu podobnych ludzi żyje w Indiach. Szkoły używają ich do doświadczeń, z reguły kupując ich od rodziców, którzy z chęcią sprzedają dzieci, ponieważ później mogą z tego czerpać dochód. Ale oczywiście taki człowiek sam nie wie ani nie rozumie tego, co robi i jak się to robi.

Wyjaśnienie to bardzo mnie zainteresowało, ponieważ nigdy dotychczas nie słyszałem niczego podobnego.

We wszystkich próbach wyjaśnienia "cudów fakirów", na jakie natrafiłem, "cuda" tłumaczono jako "sztuczki" albo – w innym wypadku – zakładano, że przedstawiający wie, co robi i jak to robi, a jeśli o tym nie mówi, to dlatego, że nie chce albo się obawia. Co się tyczy powyższego przykładu, to punkt widzenia okazał się zupełnie odmienny. Wyjaśnienie G. wydawało mi się nie tylko prawdopodobne, ale i – pozwolę sobie powiedzieć – jedyne możliwe. Sam fakir nie wiedział, jak dokonuje swego "cudu" i oczywiście nie mógł go wytłumaczyć.

Przy innej okazji mówiliśmy o buddyzmie na Cejlonie. Wyraziłem opinię, że buddyści *muszą dysponować magią*, magią, której istnienia nie uznają, a oficjalnie buddyzm nawet ją odrzuca. Całkowicie bez związku z tą uwagą – zdaje się, że było to przy okazji, kiedy prezentowałem G. moje zdjęcia – opowiedziałem mu o małej kapliczce, która znajdowała się w prywatnym domu w Kolombo. Jak wszędzie, był tam posążek Buddy, z leżącą u stóp małą dagobą w kształcie dzwonu, zrobioną z kości słoniowej, która stanowiła niewielką,

rzeźbioną i pustą w środku replikę prawdziwej dagoby. Otworzono ją w mojej obecności i pokazano mi w środku coś, co uważano za relikwię: małą okrągłą kulkę wielkości dużego naboju, wyrzeźbioną – jak mi się wydawało – z kości słoniowej albo z masy perłowej.

G. uważnie mi się przysłuchiwał.

– Czy nie wyjaśniono ci, co oznacza ta kulka? – zapytał.

– Powiedziano mi, że to fragment kości jednego z uczniów Buddy; ta kość była bardzo stara i uchodziła za świątobliwość.

– Tak jest i nie jest – powiedział G. – Człowiek, który ci ją pokazał, albo sam tego nie wiedział, albo nie chciał ci tego powiedzieć. Nie był to kawałek kości, ale szczególna formacja kostna, którą niektórzy ludzie, w wyniku specjalnych ćwiczeń, uzyskują w postaci naszyjnika dokoła szyi. Czy słyszałeś wyrażenie “naszyjnik Buddy”?

– Tak – powiedziałem – ale oznacza ono coś całkiem innego. Łańcuch reinkarnacji Buddy nazywany jest “naszyjnikiem Buddy”.

– Zgadza się – rzekł G. – to jedno znaczenie tego wyrażenia. Ale ja mówię o innym znaczeniu. Ów naszyjnik z kości, który pod skórą okręga szyję, jest bezpośrednio związany z tym, co nazywa się “ciałem astralnym”. “Ciało astralne” – jeśli można tak powiedzieć – jest do niego przyczepione, czy też – by być bardziej dokładnym – ten “naszyjnik” łączy ciało fizyczne z astralnym. Jeśli zatem “ciało astralne” żyje dalej, już po śmierci ciała fizycznego, to osoba będąca w posiadaniu kości z tego “naszyjnika”, może zawsze komunikować się z “ciałem astralnym” zmarłego. To jest właśnie magia. Ale nigdy nie mówi się o tym otwarcie. Masz rację, że istnieje tam magia i to jest tego przykładem. Oczywiście nie wynika z tego, że kość, który widziałeś, była prawdziwa. Na te kości możesz natrafić prawie w każdym domu; ale ja mówię ci o przekonaniu będącym źródłem tego zwyczaju.

I znów musiałem przyznać, że nigdy dotychczas nie spotkałem się z takim wyjaśnieniem.

G. narysował mi niewielki szkic przedstawiający położenie małych kości pod skórą; układały się one w półkole opasujące tył szyi, poczynając od miejsca tuż przed uszami.

Patrząc na ten szkic, natychmiast przypomniałem sobie zwykły, schematyczny obraz węzłów chłonnych szyi, tak jak można je zobaczyć na tablicach anatomicznych. Ale niczego więcej nie mogłem się na ten temat od G. dowiedzieć.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Wykłady G. wywołały w naszych grupach wiele rozmów.

Sporo spraw pozostawało dla mnie cały czas niezrozumiałych, ale też wiele zaczęło się ze sobą łączyć i czasami, całkiem nieoczekiwanie, jedna rzecz wyjaśniała inną, która – jak się wydawało – nie miała z nią nic wspólnego. Niektóre części systemu zaczęły się niewyraźnie zarysowywać, tak jak figury czy krajobraz, które stopniowo pojawiają się przy wywoływaniu kliszy fotograficznej. Pozostało jednak wiele niezapełnionych i nie dokończonych miejsc.

Jednocześnie wiele rzeczy było sprzecznych z tym, czego oczekiwałem. Ale starałem się nie wyciągać wniosków, tylko czekać. Często jedno nowe słowo, którego przedtem nie słyszałem, zmieniało cały obraz i musiałem przebudować wszystko to, co dotychczas zbudowałem. Bardzo jasno pojąłem, że dużo czasu musi upłynąć, zanim będę mógł sobie powiedzieć, że jestem w stanie właściwie naszkicować cały system. I wydawało mi się bardzo dziwne, że ludzie po przyjściu na jeden tylko wykład natychmiast *rozumieli*, o czym była mowa, tłumaczyli to innym, i głosili całkowicie ugruntowane i pewne opinie na nasz temat.

Muszę wyznać, że przy takich okazjach często przypominałem sobie moje własne pierwsze spotkanie z G. i pierwszy wieczór spędzony z grupą moskiewską. Ja także byłem wtedy bardzo bliski sformułowania gotowego sądu o G. i jego uczniach. Ale coś mnie wówczas powstrzymało. I teraz, gdy zacząłem zdawać sobie sprawę, jak niezwykłą wartość miały te idee, nieomal przeraziła mnie myśl, że tak łatwo mógłbym przejść obok nich, mógłbym nic nie wiedzieć o istnieniu G. albo na przykład stracić go z oczu, gdybym nie zapytał, czy mogę go ponownie zobaczyć.

Prawie w każdym ze swoich wykładów G. powracał do tematu, do którego najwyraźniej przykładał wielką wagę, a który dla wielu osób był bardzo trudny do przyswojenia.

– Istnieją – powiedział – dwie linie, wzdłuż których przebiega rozwój człowieka: linia *wiedzy* i linia *bycia*. We właściwej ewolucji linia wiedzy i linia bycia rozwijają się symultanicznie, równoległe do siebie, wzajemnie sobie pomagając. Jeśli linia wiedzy wyprzedzi za bardzo linię bycia lub linia bycia wyprzedzi za bardzo linię wiedzy, to rozwój człowieka następuje w niewłaściwym kierunku, i wcześniej czy później musi on znaleźć się w martwym punkcie.

Ludzie rozumieją, co oznacza "wiedza". I rozumieją możliwość różnych poziomów wiedzy. Rozumieją, że wiedza może być większa lub mniejsza, to znaczy takiej albo innej jakości. Ale nie rozumieją tego w odniesieniu do "bycia". "Bycie" oznacza dla nich po prostu istnienie, którego przeciwieństwem jest

nieistnienie. Nie rozumieją, że bycie może znajdować się na bardzo różnych poziomach i może należeć do rozmaitych kategorii. Weźmy na przykład bycie minerału i bycie rośliny. Są to różne bycia. Bycie rośliny różni się z kolei od bycia zwierzęcia. Bycie zwierzęcia różni się od bycia człowieka. Ale bycia dwóch ludzi mogą bardziej różnić się od siebie niż bycie minerału od bycia zwierzęcia. I to jest właśnie to, czego ludzie nie rozumieją. Nie rozumieją oni, że *wiedza zależy od bycia*. Nie tylko tego nie rozumieją, ale też nie chcą tego zrozumieć.

Szczególnie w kulturze zachodniej uważa się, że człowiek może mieć wielką wiedzę, na przykład może on być utalentowanym naukowcem, autorem wielkich odkryć, człowiekiem posuwającym naprzód naukę, a równocześnie może być, i ma prawo być, małostkowym, egoistycznym, grymaśnym, podłym, zazdrosnym, próżnym, naiwnym i roztargnionym człowiekiem. Wydaje się, że profesor zawsze i wszędzie powinien zapominać parasola.

A przecież jest to jego bycie. I ludzie myślą, że wiedza nie zależy od bycia. Ludzie kultury Zachodu przykładają wielki wagę do poziomu wiedzy człowieka, ale nie wartościują oni poziomu człowieczego bycia, nie wstydzą się niskiego poziomu swojego własnego bycia. Oni nawet nie rozumieją, co to oznacza. I nie rozumieją, że wiedza człowieka zależy od poziomu jego bycia.

Jeśli wiedza znacznie wyprzedza bycie, to staje się ona teoretyczna, abstrakcyjna i nieprzystająca do życia, albo też wręcz szkodliwa, ponieważ zamiast służyć życiu i pomagać ludziom w walce z trudnościami, na które napotykają, zaczyna ona komplikować życie człowieka i przysparzać nowych trudności, nowych kłopotów i nieszczęść, których przedtem nie było.

Powodem tego jest to, że wiedza, która nie pozostaje w zgodzie z byciem, nie może być wystarczająco rozległa, czy też dostatecznie dostosowana do rzeczywistych potrzeb człowieka. Będzie to zawsze wiedza o *jednej rzeczy*, połączona z niewiedzą *innej rzeczy*; znajomość *szczegółu* bez znajomości *całości*; znajomość *formy* bez znajomości *esencji*.

Taką przewagę wiedzy nad byciem można zaobserwować w dzisiejszej kulturze. Idea wartości i znaczenia poziomu bycia została zupełnie zapomniana. I zapomniano o tym, że poziom wiedzy jest zdeteminowany przez poziom bycia. W rzeczywistości na danym poziomie bycia możliwości wiedzy są ograniczone. W granicach danego poziomu bycia *jakość* wiedzy nie może ulec zmianie, możliwa jest jedynie akumulacja informacji jednej i tej samej natury, w ustalonych już z góry granicach. Zmiana w naturze wiedzy jest możliwa tylko przy zmianie w naturze bycia.

Traktowane z osobna, bycie człowieka ma wiele różnych stron. Najbardziej charakterystyczną cechą współczesnego człowieka jest *brak w nim jedności*, a ponadto brak nawet śladów tych jakości, które sobie najbardziej lubi przypisywać, to jest "przejrzystej świadomości", "wolnej woli", "trwałego Ego" czyli "Ja", i "zdolności czynienia".

Może was to zdziwić, ale główną cechą bycia współczesnego człowieka, która wyjaśnia *to wszystko, czego mu brakuje*, jest *sen*.

Współczesny człowiek żyje we śnie, rodzi się we śnie i we śnie umiera. Na temat snu, jego znaczenia i roli, jaki odgrywa w życiu, będziemy mówić później. Teraz pomyślcie tylko o jednej rzeczy: co *może wiedzieć* człowiek, który śpi? I jeśli o tym pomyślicie, pamiętając jednocześnie, że *sen* jest główną cechą naszego bycia, to natychmiast stanie się jasne, że jeśli człowiek rzeczywiście pragnie wiedzy, to przede wszystkim musi pomyśleć o tym, jak się obudzić, czyli o tym, jak *zmienić swoje bycie*.

Zewnętrzne bycie człowieka posiada wiele różnych stron: aktywność albo bierność; prawdomówność albo skłonność do kłamania; szczerowość albo nieszczerowość; odwagę, tchórzostwo; panowanie nad sobą lub rozwiązłość; drażliwość, egoizm, gotowość do poświęcania się, dumę, próżność, zarozumiałość, przedsiębiorczość, lenistwo, moralność, deprawację; wszystkie te cechy i jeszcze wiele innych składa się na bycie człowieka.

Ale wszystko to jest w człowieku całkowicie *mechaniczne*. Jeśli kłamie on, to dlatego, że nie umie nie kłamać. Jeśli mówi prawdę, to znaczy, że nie jest w stanie postąpić inaczej – i tak jest ze wszystkim. *Wszystko się zdarza*. Człowiek sam nic nie może *uczynić*, ani w sobie, ani poza sobą.

Ale oczywiście istnieją ograniczenia i granice. Mówiąc ogólnie, bycie współczesnego człowieka jest bardzo miernej jakości. Ale może być ono tak złej jakości, że nie istnieje już możliwość żadnej zmiany. Trzeba zawsze o tym pamiętać. Ludzie, których bycie może jeszcze ulec zmianie, mają bardzo dużo szczęścia. Ale istnieją ludzie, którzy są zdecydowanie chorzy, są jak zepsute maszyny, z którymi nic się nie da zrobić. I tacy ludzie stanowią większość. Bardzo niewielu ludzi może otrzymać prawdziwą wiedzę; jeśli się nad tym zastanowicie, to zrozumiecie, dlaczego inni nie mogą jej otrzymać: ich bycie przeszkadza temu.

Mówiąc ogólnie: *równowaga* pomiędzy wiedzą i byciem jest nawet ważniejsza niż odrębny rozwój każdego z nich. I dlatego odrębny rozwój wiedzy i bycia nie jest w ogóle potrzebny, mimo że właśnie ten *jednostronny* rozwój wydaje się ludziom szczególnie pociągający.

Jeśli wiedza przeważa nad byciem, to człowiek *wie*, *ale nie ma mocy czynienia*. Jest to bezużyteczna wiedza. Z drugiej strony; jeśli bycie przeważa nad wiedzą, to człowiek *ma moc czynienia*, ale nie wie, co ma czynić. Tak więc bycie, które posiadał, do niczego mu się nie przyda, a wysiłki podjęte w celu rozwinięcia tego bycia, okazują się bezużyteczne.

W historii ludzkości znanych jest wiele przykładów, kiedy to zaginęły całe cywilizacje, ponieważ wiedza przeważała nad byciem albo bycie przeważało nad wiedzą.

– Do czego prowadzi jednostronny rozwój wiedzy i jednostronny rozwój bycia? – zapytał jeden ze słuchaczy.

– Rozwój linii wiedzy bez linii bycia daje *słabego jogina* – odpowiedział G. – to znaczy człowieka, który wie bardzo dużo, ale nic nie może zrobić; człowieka, który *nie rozumie* – zaakcentował te słowa – tego, co wie; człowieka *pozbawionego zdolności do wartościowania*, to jest człowieka, dla którego nie istnieje różnica pomiędzy jednym a drugim rodzajem wiedzy. Natomiast rozwój linii bycia bez wiedzy daje *głupiego świętego*, czyli człowieka, który może bardzo dużo zrobić, ale nie wie, co ma robić i z czym. Jeżeli robi cokolwiek, to działa posłuszny swoim subiektywnym uczuciom, które mogą zbić go mocno z tropu i skłonić do popełnienia wielu poważnych błędów, to znaczy może on zrobić coś przeciwnego do tego, czego sam pragnie. W obu wypadkach, zarówno *słaby jogin*, jak i *głupi święty*, dochodzi do martwego punktu. Ani jeden, ani drugi nie może się dalej rozwijać.

Aby to zrozumieć, a także ogólnie, pojąć naturę wiedzy i naturę bycia oraz ich wzajemny stosunek, trzeba zrozumieć stosunek wiedzy i bycia do "rozumienia".

Wiedza to jedna rzecz, a rozumienie to coś całkiem innego. Ludzie często mylą te pojęcia i nie potrafią jasno uchwycić, na czym polega różnica pomiędzy nimi.

Sama wiedza nie daje rozumienia. Ani rozumienie nie rośnie poprzez wzrost samej tylko wiedzy. Rozumienie zależy od stosunku wiedzy do bycia. Rozumienie jest wypadkową wiedzy i bycia. Wiedza i bycie nie mogą się zanadto rozbiegać, bo wtedy okaże się, że rozumienie jest odległe od każdego z nich. Jednocześnie stosunek wiedzy do bycia nie ulega zmianie wraz za wzrostem samej wiedzy. Zmienia się on tylko wtedy, gdy bycie wzrasta równoległe z wiedzą. Innymi słowy, rozumienie rośnie tylko wraz ze wzrostem bycia.

W potocznym myśleniu ludzie nie odróżniają rozumienia od wiedzy. Myślą oni, że większe rozumienie zależy od większej wiedzy. Gromadzą zatem wiedzę, czy też to, co nazywają wiedzą, ale nie wiedzą, jak gromadzić rozumienie i wcale ich to nie niepokoi.

A przecież osoba przyzwyczajona do obserwowania siebie z pewnością wie, że w różnych okresach swego życia rozumiała ona jedną i tę samą ideę, jedną i tę samą myśl, w całkowicie odmienny sposób. Często wydaje jej się dziwne, że tak błędnie mogła pojmować coś, co jej zdaniem teraz rozumie właściwie. I jednocześnie zdaje ona sobie sprawę z tego, że jej wiedza nie uległa zmianie i że na dany temat wiedziała ona przedtem dokładnie tyle samo co teraz. Co zatem uległo zmianie? Zmieniło się jej bycie. A kiedy zmienia się bycie, to i rozumienie musi się zmienić.

Różnica pomiędzy wiedzą i rozumieniem staje się jasna, gdy uświadomimy sobie, że *wiedza* może być funkcją tylko jednego centrum, podczas gdy rozumienie jest funkcją trzech centrów. Tak więc aparat myślowy może coś

wiedzieć, ale *rozumienie* pojawia się tylko wtedy, kiedy człowiek *czuje* to i *doznaje* tego, co jest z tym związane.

Mówiliśmy wcześniej o mechaniczności. Człowiek nie może powiedzieć, że rozumie ideę mechaniczności, jeśli *wie* o niej tylko rozumem. Musi *czuć* ją całą swoją masą, całym swoim byciem; wtedy dopiero będzie ją rozumiał.

W sferze działalności praktycznej ludzie bardzo dobrze widzą różnicę pomiędzy samą tylko wiedzą a rozumieniem. Zdają sobie sprawę, że *wiedzieć i wiedzieć jak robić*, to dwie różne rzeczy, i że sama wiedza nie wystarcza do tego, by *wiedzieć jak robić*. Ale poza sferą działalności praktycznej ludzie nie pojmują tego, co "rozumienie" oznacza.

Gdy ludzie zdają sobie sprawę, że czegoś nie "rozumieją", to przeważnie usiłują *znaleźć nazwę* dla tego, czego nie rozumieją, i kiedy znajdą nazwę to mówią, że "rozumieją". Ale "znaleźć nazwę" nie znaczy to samo co "rozumieć". Niestety zazwyczaj ludzie zadowolają się nazwami. Człowiek, który ma ogromny zasób nazw, to znaczy ma ogromny zasób słów, uznawany jest za kogoś, kto bardzo dużo rozumie – oczywiście, jeżeli nie brać pod uwagę sfery działalności praktycznej, gdzie jego niewiedza bardzo szybko wychodzi na jaw.

Jeden z powodów istniejącej w życiu rozbieżności pomiędzy linią wiedzy i linią bycia, to znaczy – innymi słowy – jeden z powodów braku "rozumienia", który po części stanowi przyczynę, a po części efekt takiej rozbieżności, można odnaleźć w języku, którym posługuje się ludzie. Ten język pełen jest błędnych pojęć, błędnych klasyfikacji, błędnych skojarzeń. I najważniejszą rzeczą jest to, że z powodu istotnych cech potocznego myślenia, to znaczy z powodu jego mglistości i nieścisłości, każde słowo znaczy tysiące różnych rzeczy, zależnie od materiału, którym dysponuje mówiący i od zbioru skojarzeń powstających w nim w danym momencie. Ludzie nie zdają sobie sprawy, do jakiego stopnia ich język jest subiektywny, to znaczy z tego, jak różne rzeczy wypowiada każdy z nich, używając tych samych słów. Nie są świadomi, że każdy mówi własnym językiem, nie rozumiejąc wcale języka innych ludzi lub rozumiejąc go niedokładnie i zupełnie nie zdając sobie przy tym sprawy, że wszyscy mówią do niego w nieznanym mu języku. Ludzie wierzą, czy też są bardzo mocno przekonani, że mówią tym samym językiem, że nawzajem się rozumieją. W rzeczywistości nie ma żadnych podstaw do takiego przekonania. Język, którym się posługują, jest dostosowany tylko do życia praktycznego. Ludzie mogą przekazywać sobie nawzajem informacje o charakterze praktycznym, ale gdy tylko przejdą do bardziej złożonej sfery, to natychmiast się gubią i przestaje siebie rozumieć, choć sami są tego nieświadomi. Ludzie wyobrażają sobie, że często, może nawet zawsze, nawzajem się rozumieją, a w każdym razie potrafią się rozumieć, gdy próbują czy też chcą tego; wyobrażają sobie, że rozumieją autorów książek, które czytają, i że inni ludzie też ich rozumieją. To także jest jedno ze złudzeń, które ludzie sami dla siebie stwarzają i pośrodku których żyją. W gruncie rzeczy

nikt nikogo nie rozumie. Dwóch ludzi może z głębokim przekonaniem mówić o tej samej rzeczy, ale nazywać ją inaczej, i kłócić się bez końca, nie podejrzewając, że myślą dokładnie to samo. Albo na odwrót, dwóch ludzi może wypowiedzieć te same słowa i wyobrażać sobie, że się ze sobą zgadzają i że się rozumieją, podczas gdy w rzeczywistości mówią o zupełnie różnych rzeczach i w najmniejszym stopniu się nie rozumieją.

Jeśli byśmy wzięli pod uwagę najprostsze słowa, których bez przerwy używamy, i zaczęli analizować nadawane im znaczenie, to od razu zobaczylibyśmy, że w każdym momencie życia każdy człowiek nadaje każdemu słowu specjalne znaczenie, którego inny człowiek nigdy by mu nie nadał ani o nie nie podejrzewał.

Zajmijmy się słowem "człowiek" i wyobraźmy sobie rozmowę w grupie ludzi, w której często słyszy się słowo "człowiek". Bez żadnej przesady można powiedzieć, że słowo "człowiek" będzie miało tyle znaczeń, ilu jest ludzi, którzy biorą udział w rozmowie, i że owe znaczenia nie będą miały ze sobą nic wspólnego.

Wypowiadając słowo "człowiek", każdy mimowolnie będzie odnosił to słowo do takiego punktu widzenia, z którego na ogół jest on przyzwyczajony spoglądać na człowieka lub z którego – z jakiegoś powodu spogląda na niego w danej chwili. Jakaś osoba może właśnie zajmować się problemem dotyczącym relacji płci. W takim wypadku słowo "człowiek" nie będzie miało dla niej ogólnego znaczenia i, słysząc to słowo, najpierw postawi pytanie: "Kto? Mężczyzna czy kobieta?". Ktoś inny może być człowiekiem religijnym i jego pierwszym pytaniem będzie: chrześcijanin czy niechrześcijanin? Trzecia osoba może być lekarzem, dla którego pojęcie "człowiek" będzie określało "człowieka chorego" lub "człowieka zdrowego", i to oczywiście z punktu widzenia jego własnej specjalizacji. Spirytysta będzie myślał o "człowieku" z punktu widzenia jego "ciała astralnego", "życia po drugiej stronie", itd. Jeśli by go zapytać, to odpowie, że ludzie dzieli się na media i nie-media. Naturalista, mówiąc o człowieku, uczyni środkiem ciężkości swoich myśli ideę człowieka jako gatunku zoologicznego, to znaczy, że mówiąc o człowieku, będzie myślał o strukturze jego zębów, jego palców, o wyglądzie jego twarzy i odległości pomiędzy oczami... Prawnik będzie widział w "człowieku" jednostkę statystyczną lub osobnika podlegającego prawu, czy też potencjalnego przestępcę lub ewentualnego klienta. Moralista, wypowiadając słowo "człowiek", niezmiennie będzie wprowadzał ideę dobra i zła. I tak dalej, bez końca.

Ludzie nie zwracają uwagi na wszystkie sprzeczności, nie spostrzegają tego, że nigdy się nie rozumieją; że zawsze mówią o całkiem różnych rzeczach. Jest zupełnie jasne, że dla właściwego poznawania, dla dokładnej wymiany myśli, konieczny jest dokładny język, który pozwałaby na dokładne ustalenie, co oznacza słowo "człowiek", język, który uwzględniałby wskazanie na punkt

widzenia, z którego patrzy się na dane pojęcie i który określałby środek ciężkości tego pojęcia.

Sama idea jest zupełnie jasna i każda dziedzina nauki usiłuje wypracować i ustalić dla siebie precyzyjny język. Ale nie istnieje język uniwersalny. Ludzie nieustannie mieszają ze sobą języki należące do różnych nauk i nie potrafią ustalić ich wzajemnej korelacji. W każdej dziedzinie nauki ciągle pojawiają się nowe terminologie, nowe nazewnictwo. Im dalej to się posuwa, tym gorzej rzeczy się mają. Zamiast się zmniejszać, wzajemny brak zrozumienia rozwija się i powiększa, i mamy wszystkie powody, by przypuszczać, że będzie on dalej się powiększał w taki sam sposób. Ludzie zaś coraz mniej będą się nawzajem rozumieli.

Dla dokładnego rozumienia konieczny jest dokładny język. Poznawanie systemów prądowej wiedzy zaczyna się od poznawania języka, który umożliwia dokładne ustalenie tego, o czym się mówi, z jakiego punktu widzenia się mówi i w związku z czym. Ów nowy język nie zawiera prawie żadnych nowych terminów ani nie stosuje nowego sposobu nazywania, ale *opiera konstrukcję mowy na nowej zasadzie, mianowicie na zasadzie względności*; znaczy to, że wprowadza on względność do wszystkich pojęć i sprawia, że możliwe jest dokładne określenie "kąta myśli" – ponieważ to właśnie brak tych terminów wyrażających względność cechuje język "potoczny".

Kiedy człowiek opanuje już ów język, wtedy za jego pomocą można przekazać mu bardzo duży zasób wiedzy i informacji, których nie da się przekazać w języku potocznym, nawet gdyby użyć wszystkich możliwych naukowych i filozoficznych terminów.

Podstawową własnością tego nowego języka jest to, że *wszystkie* idee koncentrują się w nim wokół *jednej* idei, to znaczy, że traktuje się je we wzajemnej relacji z punktu widzenia jednej idei. Ową ideą jest idea *ewolucji*. Oczywiście nie ewolucji w znaczeniu ewolucji *mechanicznej*, ponieważ taka ewolucja nie istnieje, ale w znaczeniu świadomej i wolicjonalnej ewolucji, jedynej ewolucji jaka jest możliwa.

Wszystko na świecie, od systemów słonecznych do człowieka i od człowieka do atomu, wzrasta albo opada, ewoluuje albo ulega degeneracji, rozwija się albo chyli się ku upadkowi. *Ale nic nie ewoluuje mechanicznie*. Tylko degeneracja i destrukcja postępuje mechanicznie. To, co nie może świadomie ewoluować, degeneruje się.

Pomoc z zewnątrz jest tu możliwa tylko o tyle, o ile się ją docenia i przyjmuje, choćby na początku działało się to tylko poprzez czucie.

Język, w którym zrozumienie jest możliwe, opiera się na znajomości stosunku badanego obiektu do możliwej dla niego ewolucji, na znajomości jego *miejsca* na drabinie ewolucyjnej.

W tym celu wiele z naszych potocznych idei jest *podzielonych* ze względu na stopnie tej ewolucji.

Jeszcze raz rozważmy ideę: *człowiek*. W języku, o którym mówię, zamiast słowa "człowiek" używa się siedmiu słów, a mianowicie: człowiek nr 1, człowiek nr 2, człowiek nr 3, człowiek nr 4, człowiek nr 5, człowiek nr 6, człowiek nr 7. Dzięki tym siedmiu ideom, ludzie, mówiąc o człowieku, mogą się nawzajem zrozumieć.

Człowiek nr 7 osiągnął pełny, możliwy dla człowieka rozwój i ma wszystko to, co człowiek może mieć, a więc wolę, świadomość, stałe i niezmiennie "Ja", indywidualność, nieśmiertelność i wiele innych własności, które na skutek ślepoty i niewiedzy sobie przypisujemy. Tylko gdy do pewnego stopnia zrozumiemy człowieka nr 7 oraz jego własności, będziemy mogli zrozumieć stopniowe fazy, poprzez które możemy się do niego przybliżyć, to znaczy zrozumieć możliwy dla nas proces rozwoju.

Człowiek nr 6 stoi bardzo blisko człowieka nr 7. Od człowieka nr 7 różni się on tylko tym, że niektóre jego własności nie są jeszcze *trwałe*.

Człowiek nr 5 jest dla nas także nieosiągalnym standardem człowieka, gdyż jest to człowiek, który osiągnął *jedność*.

Człowiek nr 4 stanowi fazę pośrednią. Będę o nim mówić później.

Ludzie nr 1, 2 i 3 to ludzie, którzy składają się na mechaniczną ludzkość: oni pozostają na tym samym poziomie, na którym się rodzą.

Człowiek nr 1 oznacza człowieka, u którego środek ciężkości życia psychicznego leży w centrum ruchowym. Jest to człowiek ciała fizycznego, człowiek u którego funkcje ruchowe i instynktowe nieustannie przeważają nad funkcjami emocjonalnymi i umysłowymi.

Człowiek nr 2 oznacza człowieka na tym samym poziomie rozwoju, z tym, że u niego środek ciężkości życia psychicznego leży w centrum emocjonalnym, to znaczy, człowieka, u którego funkcje *emocjonalne* przeważają nad wszystkimi innymi; człowieka uczucia, człowieka emocjonalnego.

Człowiek nr 3 oznacza człowieka na tym samym poziomie rozwoju, ale u niego środek ciężkości życia psychicznego leży w centrum intelektualnym, to jest człowieka, u którego funkcje myślowe zdobywają przewagę nad funkcjami ruchowymi, instynktowymi i emocjonalnymi; człowieka racjonalnego, który do wszystkiego podchodzi od strony teorii, od mentalnej rozwagi.

Każdy człowiek rodzi się człowiekiem nr 1, 2 albo 3.

Człowiek nr 4 nie rodzi się gotowy. Rodzi się on jako nr 1, 2 lub 3 i staje się nr 4 dopiero w wyniku wysiłków o określonym charakterze. Człowiek nr 4 jest zawsze *efektem pracy szkoły*. Nie może się on taki urodzić ani przypadkowo rozwinać; zwykłe wychowanie czy edukacja nie mogą stworzyć człowieka nr 4. Człowiek nr

4 znajduje się już na innym poziomie niż ludzie nr 1, 2 i 3; ma on *stały środek ciężkości*, na który składają się jego idee, wartość, jaką nadaje pracy oraz jego związek ze szkołą. Na dodatek, jego centra psychiczne zaczęły się już równoważyć; jedno centrum nie góruje u niego tak nad innymi centrami, jak to się dzieje w wypadku ludzi należących do trzech pierwszych kategorii. On zaczyna siebie znać i zaczyna wiedzieć, dokąd zmierza.

Człowiek nr 5 już się skryształizował, nie może on ulec zmianie, tak jak ulegają jej ludzie nr 1, 2 i 3. Ale trzeba zwrócić uwagę na to, że człowiek nr 5 może być wynikiem właściwej pracy i może być wynikiem błędnej pracy. Może on stać się numerem 5, przechodząc od numeru 4, ale może też stać się numerem 5, *nie będąc wcześniej numerem 4*. I w takim wypadku nie może on się dalej rozwijać, nie może zostać numerem 6 i 7. By stać się numerem 6, musi na nowo stopić swoją skryształizowaną esencję, musi intencjonalnie utracić swoje bycie człowieka nr 5. A to można osiągnąć tylko poprzez okropne cierpienia.

Na szczęście wypadki tak błędnego rozwoju zdarzają się bardzo rzadko. Podział ludzi na siedem kategorii, czy siedem numerów, wyjaśnia tysiące rzeczy, które inaczej nie mogłyby zostać zrozumiane. Ów podział uzmysławia nam pierwsze zastosowanie pojęcia *względności* w odniesieniu do człowieka. Rzeczy pozornie identyczne mogą okazać się zupełnie różne, w zależności od rodzaju człowieka, do którego się odnoszą lub przez którego brane są pod uwagę. Zgodnie z tym, wszystkie wewnętrzne i wszystkie zewnętrzne manifestacje człowieka, wszystko to, co należy do człowieka, i wszystko to, co jest przez niego stworzone, dzieli się także na siedem kategorii.

Można zatem teraz powiedzieć, że istnieje wiedza nr 1 oparta na naśladowaniu i na instynktach, wyuczona na pamięć, wepchnięta, wciśnięta w człowieka. Numer jeden – jeśli jest on człowiekiem nr 1 w pełnym tego słowa znaczeniu – uczy się wszystkiego jak papuga albo małpa.

Wiedza człowieka nr 2 jest znajomością tego, co on lubi; czego nie lubi, tego nie zna. Zawsze i we wszystkim szuka czegoś przyjemnego. Albo też, jeśli jest człowiekiem chorym, to przeciwnie, będzie znał tylko to, czego nie lubi, co jest dla niego odpychające i co wywołuje w nim strach, przerażenie i odrazę.

Wiedza człowieka nr 3 opiera się na subiektywnym, logicznym myśleniu, na słowach, na dosłownym rozumieniu. Jest to wiedza książkowych moli, wiedza scholastyków. Ludzie nr 3 policzyli, na przykład, ile razy każda litera arabskiego alfabetu powtarza się w Koranie, i oparli na tym cały system interpretacji Koranu.

Wiedza człowieka nr 4 to zupełnie inny rodzaj wiedzy. Jest to wiedza, która pochodzi od człowieka nr 5, który z kolei otrzymuje ją od człowieka nr 6, który otrzymał ją od człowieka nr 7. Ale, oczywiście, człowiek nr 4 przyswaja z tej wiedzy tylko to, co leży w granicach jego możliwości. Jednak w porównaniu z człowiekiem nr 1, człowiekiem nr 2 i człowiekiem nr 3, człowiek nr 4 zaczyna już

uwalniać się w swojej wiedzy od elementów subiektywnych i zaczyna iść ścieżką prowadzącą ku wiedzy obiektywnej.

Wiedza człowieka nr 5 jest wiedzą całą i niepodzielną. Ma on jedno niepodzielne "Ja" i wszelka jego wiedza należy do tego "Ja". Nie może on mieć jednego "ja", które wie coś, czego inne "ja" nie wie. To, co on wie, wie jako całym sobą. Jego wiedza jest bliższa wiedzy obiektywnej niż wiedza człowieka nr 4.

Wiedza człowieka nr 6 jest całkowitą dostępną człowiekowi wiedzą.; ale może ją jeszcze utracić.

Wiedza człowieka nr 7 jest jego własną wiedzą, której nie można mu odebrać; jest to *obiektywna* i całkowicie *praktyczna* wiedza *Całości*.

Dokładnie tak samo rzecz się ma z byciem. Istnieje bycie człowieka nr 1, a więc bycie człowieka żyjącego poprzez swoje instynkty i doznania; bycie człowieka nr 2, to znaczy bycie człowieka sentymentalnego i emocjonalnego; bycie człowieka nr 3, to jest bycie człowieka racjonalnego i teoretyka, itd. Jest zatem całkiem zrozumiałe, dlaczego wiedza nie może odbiegać od bycia. Ludzie nr 1, 2 i 3 z powodu swojego bycia nie mogą mieć wiedzy człowieka nr 4, nr 5 i ludzi wyższych numerów. Cokolwiek im dasz, i tak będą mogli to sobie wytłumaczyć tylko na swój własny sposób; każdą ideę będą redukowali do poziomu, na którym sami się znajdują.

Ten sam porządek podziału na siedem kategorii należy zastosować do wszystkiego, co dotyczy człowieka. Istnieje sztuka nr 1, to jest sztuka człowieka nr 1, sztuka naśladowcza i kopiująca, sztuka prymitywna i zmysłowa, taka jak tańce i muzyka dzikich ludzi. Istnieje też sztuka nr 2, sztuka sentymentalna; sztuka nr 3, sztuka intelektualna i wymyślona; i musi istnieć sztuka nr 4, nr 5, itd.

Analogicznie: istnieje religia człowieka nr 1, to znaczy religia składająca się z obrządków, zewnętrznych form, ofiar i ceremonii o imponującym splendorze i blasku lub też przeciwnie, o ponurym, okrutnym i barbarzyńskim charakterze. Istnieje religia człowieka nr 2: religia wiary, miłości, adoracji, impulsu, entuzjazmu, która szybko przekształca się w religię prześladowania, ucisku oraz eksterminacji "heretyków" i "pogan". Istnieje religia człowieka nr 3: intelektualna, teoretyczna religia dowodów i sporów, która oparta jest na logicznych dedukcjach, rozważaniach i interpretacjach.

Religie nr 1, nr 2 i nr 3, są w rzeczywistości jedynymi, które znamy; wszystkie znane i istniejące na świecie religie i wyznania należy do jednej z tych trzech kategorii. Czym jest religia człowieka nr 4 czy religia człowieka nr 5, tego nie wiemy i nie możemy wiedzieć dopóty, dopóki pozostaniemy tacy, jacy jesteśmy.

Jeśli zamiast mówić o religii w sensie ogólnym, zajmiemy się konkretnie chrześcijaństwem, to chrześcijaństwo nr 1 będzie wtedy pogaństwem "w przebraniu" chrześcijaństwa. Chrześcijaństwo nr 2 będzie religią emocjonalną, niekiedy bardzo czystą lecz bezsilną, a innym znów razem naznaczoną

rozlewem krwi i okropnościami, które prowadzą do inkwizycji i wojen religijnych. Chrześcijaństwo nr 3, którego przykładem są różne formy protestantyzmu, opiera się na dialektyce, dowodach, teoriach, itd. Istnieje też chrześcijaństwo nr 4, o którym ludzie nr 1, nr 2 i nr 3 nie mają żadnego pojęcia.

W rzeczywistości chrześcijaństwo nr 1, 2 i 3 jest po prostu zewnętrznym naśladownictwem. Tylko człowiek nr 4 próbuje być chrześcijaninem, natomiast człowiek nr 5 naprawdę może nim być. Bo być chrześcijaninem oznacza mieć bycie chrześcijanina, czyli żyć w zgodzie z naukami Chrystusa.

Człowiek nr 1, nr 2 i 3 nie może żyć w zgodzie z naukami Chrystusa, ponieważ z nim wszystko "się zdarza". Dzisiaj jest to jedna rzecz, jutro coś całkiem innego. Dzisiaj może on być gotowy oddać komuś ostatnią koszulę, a jutro rozerwać na kawałki tego, który odmawia mu oddania swojej koszuli. Każde przypadkowe wydarzenie oddziałuje na niego. Nie jest on panem samego siebie i jeśli nawet postanowi, że będzie chrześcijaninem, to nie może nim rzeczywiście być.

Naukę, filozofię i wszystkie przejawy życia oraz działalności ludzkiej można dokładnie w ten sam sposób podzielić na siedem kategorii. Ale język potoczny, którym ludzie się posługują, jest bardzo daleki od jakiegokolwiek podziału tego rodzaju i to właśnie dlatego tak trudno jest ludziom nawzajem się rozumieć.

Analizując różne, subiektywne znaczenia słowa "człowiek", zobaczyliśmy jak zróżnicowane i sprzeczne, a przede wszystkim, jak ukryte i niedostrzegalne nawet dla samego mówcy są znaczenia i odcienie znaczeń – tworzone przez nawykowe skojarzenia – które można przełożyć na słowa.

Weźmy jakieś inne słowo, na przykład termin "świat". Każdy człowiek rozumie je na swój własny sposób i każdy człowiek rozumie je zupełnie inaczej. Każdy, kto słyszy albo sam wypowiada słowo "świat", ma skojarzenia, które są całkowicie obce i niezrozumiałe dla kogoś innego. Każdej "koncepcji świata", każdej nawykowej formie myślenia towarzyszą pewne określone własne skojarzenia i własne idee.

W człowieku, który ma religijni koncepcję świata, w chrześcijaninie, słowo "świat" wywołuje całą serię skojarzeń religijnych i niezmiennie wiąże się z ideą Boga, z ideą stworzenia świata czy też końca świata lub z ideą świata "grzesznego", itd.

Dla wyznawcy filozofii Wedanty świat będzie przede wszystkim złudzeniem – "Mają".

Teozof będzie myślał o różnych płaszczyznach świata: fizycznej, astralnej, duchowej, itd.

Spirytysta będzie myślał o zaświatach, o świecie ducha.

Fizyk spojrzy na świat z punktu widzenia struktury materii; będzie to świat molekuł lub atomów, czy elektronów.

Dla astronoma świat będzie światem gwiazd i mgławic.

I tak dalej: świat fenomenów i noumenów, świat czwartego i innych wymiarów, świat dobra i świat zła, świat materialny i świat niematerialny, proporcje władzy w różnych narodach świata, pytanie, czy człowiek może na świecie zostać "zbawiony"?, i tak dalej, i tak dalej.

Ludzie mają tysiące różnych koncepcji świata, ale nie mają jednej ogólnej idei, która umożliwiłaby im rozumienie się nawzajem i która od samego początku stworzyłaby możliwość ustalenia punktu widzenia, z jakiego pragną oni spoglądać na świat.

Niemożliwe jest poznawanie systemu wszechświata bez poznawania człowieka. Jednocześnie niemożliwe jest poznawanie człowieka bez poznawania świata. Człowiek jest obrazem świata. Został on stworzony przez te same prawa, które stworzyły świat. Znając i rozumiejąc samego siebie, pozna on i zrozumie cały świat, wszystkie prawa, które stwarzają świat i nim rządzą. I jednocześnie, poznając świat i prawa, które rządzą światem, pozna on i zrozumie prawa rządzące nim samym. W związku z tym pewne prawa jest łatwiej zrozumieć i przyswoić sobie, poznając świat obiektywny, natomiast inne człowiek może pojąć tylko poprzez poznawanie samego siebie. Poznawanie świata i poznawanie samego siebie muszą zatem iść w parze, nawzajem się wspierając.

Nawiązując do pojęcia "świat", trzeba od samego początku rozumieć, że istnieje wiele światów i że my sami nie żyjemy w jednym, ale w kilku światach. Nie łatwo jest to pojąć, ponieważ w języku potocznym terminu "świat" używa się zazwyczaj w liczbie pojedynczej. A jeśli używa się liczby mnogiej – "światy" – to tylko po to, by podkreślić mniej więcej to samo znaczenie albo też wyrazić idee różnych światów, istniejących równolegle. W naszym języku nie ma idei światów zawierających się w sobie. A przecież myśl o tym, że żyjemy w różnych światach, wskazuje dokładnie na światy w sobie zawarte; światy, do których my sami znajdujemy się w różnych relacjach.

Jeśli pragniemy odpowiedzieć na pytanie, czym jest świat czy światy, w których żyjemy, to musimy najpierw zapytać samych siebie, co moglibyśmy nazwać "światem" – w najbardziej intymnej i bezpośredniej relacji do nas samych.

Możemy odpowiedzieć, że często "światem" nazywamy świat ludzi, ludzkość, pośród której żyjemy i której część stanowimy. Ale sama ludzkość jest integralną częścią organicznego życia na Ziemi; zatem właściwe byłoby powiedzenie, że najbliższym nam światem jest *życie organiczne na Ziemi*, świat roślin, zwierząt i ludzi.

Ale życie organiczne także znajduje się w świecie. Co zatem jest "światem" dla życia organicznego?

Możemy na to odpowiedzieć, że dla życia organicznego "światem" jest nasza planeta Ziemia.

Ale Ziemia także znajduje się w świecie. Co zatem jest "światem" dla Ziemi?

Dla Ziemi "światem" jest świat planetarny układu słonecznego, którego część ona stanowi.

Co jest "światem" dla wszystkich planet? Słońce czy też sfera oddziaływania słonecznego, lub system słoneczny, którego część stanowią planety.

Dla Słońca z kolei "świat" jest światem gwiazd lub Drogi Mlecznej, nagromadzeniem dużej liczby systemów słonecznych.

Idąc dalej, z astronomicznego punktu widzenia, możliwe jest założenie, że istnieje wielość światów, które znajdują się w olbrzymich od siebie odległościach, w przestrzeni "wszystkich światów". Te wszystkie światy, wzięte razem, będą "światem" dla Drogi Mlecznej.

Dalej, przechodząc do wniosków filozoficznych, możemy powiedzieć, że "wszystkie światy" muszą tworzyć jakąś niezrozumiałą i nieznaną nam *Całość* czy *Jedno* (tak jak jabłko jest jedno). Ta Całość, czy Jedno, albo też *Wszystko*, które można by nazwać "Absolutem" lub "Niezależnym" – ponieważ wszystko w sobie zawierając, od niczego nie jest uzależnione – to "świat" dla "wszystkich światów". Logicznie, myślenie o takim stanie rzeczy, w którym wszystko stanowi jedną Całość, jest całkiem możliwe. Taka całość z pewnością będzie Absolutem, co oznacza bycie Niezależnym, ponieważ – będąc Wszystkim – jest on nieskończony i niepodzielny.

Absolut, to znaczy stan rzeczy, w którym Wszystko stanowi jedną Całość, jest jakby pierwotnym stanem, z którego poprzez podziały i zróżnicowania powstaje różnaitość obserwowanych przez nas zjawisk.

Człowiek żyje we wszystkich tych światach, ale na różne sposoby.

Oznacza to, że przede wszystkim znajduje się on pod wpływem *najbliższego* mu świata, którego część stanowi. Bardziej odległe światy bezpośrednio lub przez inne pośrednie światy – także wpływają na człowieka, ale ich działanie zmniejsza się proporcjonalnie do ich oddalenia albo w miarę powiększania się różnicy pomiędzy nimi a człowiekiem. Jak to później zobaczymy, *bezpośrednie oddziaływanie* Absolutu nie dociera do człowieka. Ale już wpływy kolejnego świata i wpływy świata gwiazdowego są doskonale widoczne w życiu człowieka, choć z pewnością są one nieznanne "nauce".

Na tym G. zakończył wykład.

Podczas następnego spotkania stawialiśmy bardzo dużo pytań, które głównie dotyczyły wpływów różnych światów i problemu, dlaczego oddziaływanie Absolutu do nas nie dociera.

– Zanim zajmiemy się tymi wpływami – zaczął G. – oraz prawami transformacji Jedności w Wielość, musimy najpierw zbadać *podstawowe prawo*, które

kształtuje wszystkie zjawiska w całej różnorodności lub też jedności wszystkich wszechświatów.

Jest to "Prawo Trzech", czyli prawo *Trzech Zasad* lub *Trzech Sił*. Polega ono na tym, że każde zjawisko, które zachodzi na jakkolwiek skalę w jakimkolwiek świecie – od zjawiska molekularnego po kosmiczne – jest wynikiem kombinacji lub spotkania się trzech różnych i przeciwstawnych sił. Myśl współczesna zdaje sobie sprawę z istnienia dwóch sił i z konieczności istnienia tych dwóch sił dla powstania samego zjawiska: siła i opór, dodatni i ujemny magnetyzm, dodatnia i ujemna elektryczność, męskie i żeńskie komórki, itd. Tymczasem nawet te dwie siły nie zawsze i nie wszędzie są dostrzegane. Nigdy nie poruszono jednak kwestii istnienia trzeciej siły lub – jeśli ją poruszono – bardzo niewiele można było na ten temat usłyszeć.

Zgodnie z rzeczywistym i dokładnym poznaniem, jedna lub dwie siły nie mogą nigdy wywołać zjawiska. Konieczna jest obecność trzeciej siły, bo tylko z pomocy trzeciej siły dwie pierwsze mogą wywołać to, co w dowolnej sferze można nazwać zjawiskiem.

Nauczanie o trzech siłach znajduje się u źródeł wszystkich pradawnych systemów. Pierwszą siłę można nazwać czynną lub dodatnią, drugą bierną lub ujemną; trzecią – neutralizującą. Ale są to *jedynie nazwy*, bo w rzeczywistości wszystkie trzy siły są jednakowo czynne i ujawniają się jako czynne, bierne i neutralizujące tylko w miejscu wzajemnego spotkania, to znaczy *tylko we wzajemnej relacji w danym momencie*. Pierwsze dwie siły są dla człowieka mniej więcej zrozumiałe, trzecią można czasami odkryć w punkcie przyłożenia sił, albo też w "medium" lub w "rezultacie". Ale mówiąc ogólnie, trudno jest bezpośrednio zaobserwować i zrozumieć trzecią siłę. Przyczynę tego można znaleźć w czynnościowych ograniczeniach zwykłej ludzkiej działalności psychologicznej i w podstawowych kategoriach naszego postrzegania świata zjawisk, a więc w naszym, wynikającym z tych ograniczeń, sposobie doznawania przestrzeni i czasu. Ludzie tylko na tyle są w stanie bezpośrednio postrzegać i obserwować trzecią siłę, na ile są w stanie postrzegać "czwarty wymiar".

Jednakże poprzez poznawanie samego siebie, poznawanie przejawów swojego myślenia, swojej świadomości, swojej działalności, swoich nawyków, swoich pragnień, itd., człowiek może nauczyć się obserwować i widzieć w sobie działanie trzech sił. Przypuśćmy, że człowiek chce pracować nad sobą po to, by zmienić pewne swoje cechy, by osiągnąć wyższy poziom bycia. Jego pragnienie, jego zapał, jest siłą pozytywną. Inercja całego jego nawykowego życia psychicznego, która przeciwstawia się jego zapałowi, będzie bierną czy też negatywną siłą. Te dwie siły albo nawzajem się zrównoważą, albo też jedna całkowicie pokona drugą ale jednocześnie sama stanie się zbyt słaba, by podjąć dalsze działania. Zatem dwie siły będą jakby krążyły dokoła siebie, pochłaniając się nawzajem i nie dając żadnego wyniku. To może trwać przez całe życie.

Człowiek może mieć chęć i zapał, ale cały jego zapał może pochłonąć pokonywanie nawykowej inercji życia, tak że nic nie zostanie na cele, ku którym ten zapał powinien być skierowany. I może to się tak ciągnąć aż do czasu, gdy ujawni się trzecia siła, na przykład w postaci *nowej wiedzy*, od razu pokazując przewagę czy też konieczność pracy nad sobą, i w ten sposób wspierając i wzmacniając zapał. Wtedy zapał, z pomocą trzeciej siły, może pokonać inercję i człowiek stanie się bardziej aktywny w upragnionym kierunku.

Przykłady działania trzech sił i momenty wkraczania do akcji trzeciej siły można odnaleźć we wszystkich przejawach naszego życia psychicznego, we wszystkich zjawiskach życia wspólnot ludzkich i w całości potraktowanej ludzkości, jak również we wszystkich zjawiskach otaczającej nas przyrody.

Ale na początku wystarczy tylko zrozumieć generalną zasadę: każde zjawisko, o dowolnej wielkości, jest nieuchronnie przejawem trzech sił; jedna albo dwie siły nie mogą wywołać zjawiska; i jeśli gdziekolwiek zaobserwujemy zastój lub nie kończące się wahanie w jednym i tym samym miejscu, to możemy powiedzieć, że w danym miejscu brakuje trzeciej siły. Próbując to zrozumieć, trzeba jednocześnie pamiętać, że nie możemy obserwować zjawiska jako manifestacji trzech sił, ponieważ nie możemy obserwować świata obiektywnego w naszych subiektywnych stanach świadomości. I w tym subiektywnie obserwowanym świecie zjawisk dostrzegamy w zjawiskach tylko manifestację jednej albo dwóch sił. Gdybyśmy potrafili w każdym działaniu dostrzec manifestację trzech sił, to widzielibyśmy wtedy świat takim, jaki on jest (rzeczy same w sobie). Tylko trzeba tutaj pamiętać o tym, że zjawisko, które wydaje się proste, może okazać się bardzo skomplikowane, to znaczy może być bardzo złożoną kombinacją trójek. Ale ponieważ wiemy o tym, że nie możemy obserwować świata takim, jaki jest, powinno to pomóc nam zrozumieć, dlaczego nie możemy dostrzegać trzeciej siły. Trzecia siła jest właściwością rzeczywistego świata. Subiektywny czy też zjawiskowy świat naszej obserwacji jest tylko względnie rzeczywisty, a w każdym razie nie jest on kompletny.

Wracając do świata, w którym żyjemy, możemy teraz powiedzieć, że w Absolucie – jak we wszystkim innym – aktywne są trzy siły: czynna, bierna i neutralizująca. Ale ponieważ z samej swej natury wszystko w Absolucie stanowi jedną całość, to trzy siły także stanowią jedną całość. Ponadto, tworząc jedną niezależną całość, trzy siły mają pełną i niezależną wolę, pełną świadomość, pełne zrozumienie siebie i wszystkiego, co robią.

Idea jedności trzech sił w Absolucie tworzy podstawę wielu pradawnych nauk: konsubstancjonalna i niepodzielna Trójca; Trimurti: Brahma-Wisznu -Siwa, itd.

Trzy siły Absolutu, stanowiące jedną całość, rozdzielają się i łączą zgodnie z własną wola i same o tym decydując, a w miejscu ich połączenia powstają zjawiska czy też "światy". Owe "światy" – stworzone przez wolę Absolutu – są we wszystkim, co dotyczy ich własnego istnienia całkowicie uzależnione od tej woli.

W każdym z tych światów działają trzy siły. Ale ponieważ teraz każdy z tych światów nie jest całością, lecz tylko częścią, zatem trzy działające w nich siły nie tworzą jednej całości. Mamy teraz do czynienia z trzema wolami, trzema świadomościami, trzema jednościami. Każda z trzech sił zawiera w sobie możliwość wszystkich trzech sił, ale w miejscu spotkania się trzech sił każda z nich manifestuje tylko jedną zasadę – czynną, bierną albo neutralizującą. Trzy siły tworzą wspólnie trójkę, która wywołuje nowe zjawiska. Ale jest to inna trójca, nie ta sama, która znajdowała się w Absolucie, gdzie trzy siły tworzyły niepodzielną całość i miały jedną wspólną wolę i jedną świadomość. W światach drugiego rzędu trzy siły są już podzielone i miejsca ich spotkań mają już inny charakter. W Absolucie chwila i punkt ich spotkania są zdeterminowane przez ich jedną wolę. W światach drugiego rzędu, gdzie nie ma już pojedynczej woli, lecz trzy wole, każdy z omawianych punktów jest zdeterminowany przez odrębną, niezależną od innych wolę; a zatem miejsce spotkania staje się przypadkowe albo mechaniczne. Wola Absolutu tworzy światy drugiego rzędu i rządzi nimi, ale nie rządzi ich pracą twórczą, w której pojawia się element mechaniczny.

Wyobraźmy sobie Absolut jako okrąg, a w nim inne okręgi, światy drugiego rzędu. Weźmy jeden z tych okręgów. Absolut jest oznaczony numerem 1, ponieważ trzy siły w Absolucie stanowią jedną całość. Małe okręgi oznaczymy numerem 3, ponieważ w świecie drugiego rzędu trzy siły są już podzielone.

W każdym ze światów drugiego rzędu te trzy podzielone siły, spotykając się w nich, tworzą nowe światy, światy trzeciego rzędu. Weźmy jeden z tych światów. Światy trzeciego rzędu, stworzone przez trzy na w pół mechanicznie działające siły, nie zależą już od pojedynczej woli Absolutu, ale od trzech mechanicznych praw. Światy te są tworzone przez trzy siły; i po stworzeniu, manifestują poprzez siebie trzy nowe siły. Zatem w światach trzeciego rzędu będzie działało sześć sił. Na wykresie okrąg trzeciego rzędu oznaczony jest numerem 6 (3 plus 3). W światach tych powstają światy nowego, czwartego rzędu. W światach czwartego rzędu działają trzy siły świata drugiego rzędu, sześć sił świata trzeciego rzędu, i trzy własne siły, razem dwanaście sił. Weźmy jeden z tych światów i oznaczmy go numerem 12 (3 plus 6 plus 3). Będąc podporządkowane większej liczbie praw, światy te znajdują się jeszcze dalej od pojedynczej woli Absolutu i są jeszcze bardziej mechaniczne. Światy stworzone wewnątrz tych światów będą rządzone przez dwadzieścia cztery siły (3 plus 6 plus 12 plus 3). Światy stworzone wewnątrz tych światów będą rządzone przez czterdzieści osiem sił. Liczba 48 powstała w następujący sposób: trzy siły świata następującego bezpośrednio po Absolucie, sześć przynależących do następnego świata, dwanaście z następnego, dwadzieścia cztery siły kolejnego świata i trzy własne (3 plus 6 plus 12 plus 24 plus 3) – razem czterdzieści osiem sił. Światy stworzone wewnątrz światów 48 będą rządzone przez dziewięćdziesiąt sześć sił (3 plus 6 plus 12 plus 24 plus 48 plus 3). Światy następnego rzędu, jeśli takie

istnieją, będą rządzone przez 192 siły, itd.

Jeśli weźmiemy pod uwagę jeden z wielu światów stworzonych w Absolucie, czyli świat 3, to będzie to świat reprezentujący łączną liczbę światów gwiazdnych podobnych do naszej Drogi Mlecznej. Jeśli weźmiemy świat 6, to będzie to jeden ze światów stworzonych wewnątrz tego świata, mianowicie skupisko gwiazd nazwane przez nas Drogą Mleczną. Świat 12 będzie jednym ze słońc składających się na Drogę Mleczną – naszym Słońcem. Świat 24 będzie światem planetarnym, to znaczy wszystkimi planetami naszego systemu słonecznego. Ziemia będzie światem 48. Świat 96 to Księżyc. Gdyby Księżyc miał satelitę, to byłby to świat 192, itd.

Łańcuch światów, którego ogniwami są Absolut, Wszystkie Światy, Wszystkie Słońca, nasze Słońce, planety, Ziemia, Księżyc, tworzy "promień stworzenia", w którym się znajdujemy. Promień stworzenia jest dla nas "światem" w najszerszym tego słowa znaczeniu. Oczywiście promień stworzenia nie obejmuje *świata* w pełnym tego słowa znaczeniu, ponieważ Absolut daje początek być może nieskończonej liczbie różnych światów, z których każdy rozpoczyna nowy i odrębny promień stworzenia. Ponadto, każdy z tych światów zawiera w sobie pewną liczbę światów reprezentujących dalszy podział promienia, i spośród tych światów wybieramy tylko jeden – naszą Drogę Mleczną; Droga Mleczna składa się z pewnej liczby słońc, ale z tej liczby my wybieramy tylko jedno słońce, to najbliższe nam, od którego bezpośrednio jesteśmy uzależnieni i w zasięgu którego żyjemy, poruszamy się i mamy nasze bycie. Każde inne słońce oznacza nowy podział promienia, ale my nie jesteśmy w stanie badać tych promieni tak, jak badamy nasz promień, to znaczy promień, w którym jesteśmy umieszczeni. Poza tym w obrębie samego układu słonecznego system planetarny jest nam bliższy niż Słońce, a w świecie planetarnym najbliższa jest nam Ziemia, planeta, na której żyjemy. Nie ma potrzeby, byśmy badali inne planety w taki sposób w jaki badamy Ziemię. Wystarczy, że potraktujemy je wszystkie łącznie, to znaczy w mniejszej skali niż ta, w jakiej zajmujemy się Ziemią.

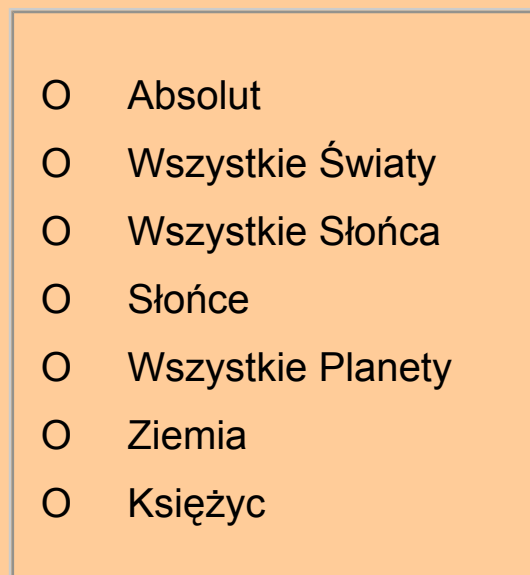
Liczba sił w każdym ze światów 1, 3, 6, 12, itd., wskazuje na liczbę praw, którym dany świat jest podporządkowany.

Im mniej praw istnieje w danym świecie, tym bliżej jest on woli Absolutu; im więcej praw istnieje w danym świecie, tym większa jego mechaniczność, tym dalej znajduje się on od woli Absolutu. My żyjemy w świecie podporządkowanym czterdziestu ośmiu rzędom praw, to znaczy bardzo daleko od woli Absolutu, w bardzo odległym i ciemnym zakątku wszechświata.

W ten sposób promień stworzenia pomaga nam określić i zdać sobie sprawę z naszego miejsca w świecie. Ale, jak widzicie, nie doszliśmy jeszcze do pytań dotyczących wpływów. By zrozumieć różnicę pomiędzy wpływami różnych światów, musimy lepiej zrozumieć Prawo Trzech, i następnie jeszcze inne podstawowe prawo – Prawo Siedmiu czy też Prawo Oktaw.

ROZDZIAŁ PIĄTY

– Zajmijmy się trójwymiarowym wszechświatem i rozważmy go jako świat *materii i siły*, w najprostszym i najbardziej elementarnym znaczeniu tych terminów. Wyższe wymiary oraz nowe teorie materii, przestrzeni i czasu, jak również inne kategorie wiedzy o świecie, które nauce są nieznane, będziemy omawiać później. W chwili obecnej trzeba przedstawić wszechświat w formie wykresu "promienia stworzenia" od Absolutu do Księżyca.



Ilustracja 3

Na pierwszy rzut oka wydaje się, że "promień stworzenia" jest tylko elementarnym planem wszechświata, ale w rzeczywistości, gdy wnikliwiej się go poznaje, to staje się jasne, że za pomocą tego prostego planu możliwe jest pogodzenie ze sobą i zebranie w jedną całość wielorakości różnych przeciwstawnych filozoficznych, religijnych i naukowych poglądów na świat. Idea promienia stworzenia jest częścią pradawnego poznania i wiele znanych nam naiwnych, geocentrycznych systemów wszechświata stanowi w rzeczywistości albo niekompetentne wyłożenie idei promienia stworzenia, albo wypaczenie tej idei, spowodowane jej dosłownym zrozumieniem.

Trzeba zauważyć, że idea promienia stworzenia i jego rozwoju w kierunku od Absolutu jest sprzeczna z niektórymi współczesnymi poglądami, ale nie z prawdziwie naukowymi poglądami. Weźmy na przykład fazę: Słońce, Ziemia, Księżyc. W powszechnym rozumieniu Księżyc jest zimnym, martwym ciałem niebieskim, które kiedyś było takie samo jak Ziemia, to znaczy miało wewnętrzne ciepło, a w jeszcze wcześniejszej fazie stanowiło stopioną masę, taką jak Słońce. Ziemia, zgodnie z potocznymi poglądami, była kiedyś taka jak Słońce, ale stopniowo zaczęła się oziębzać i wcześniej czy później stanie się taką samą zmarzniętą masą jak Księżyc. Zazwyczaj przypuszcza się, że Słońce także się oziębza i z czasem upodobni się ono do Ziemi, a później do Księżyca.

Przede wszystkim trzeba oczywiście zwrócić uwagę na to, że taki pogląd nie może być nazwany naukowym w ścisłym znaczeniu tego terminu, ponieważ w nauce, to znaczy w astronomii, czy raczej w astrofizyce, istnieje na ten temat wiele różnych sprzecznych ze sobą hipotez i teorii, które nie mają żadnych poważnych podstaw. Ale taki pogląd jest najbardziej rozpowszechniony i przeciętny współczesny człowiek przyjmuje go w odniesieniu do świata, w którym żyjemy.

Idea promienia stworzenia i jego rozwoju od Absolutu jest sprzeczna z ogólnie przyjętymi współczesnymi poglądami.

Zgodnie z tą ideą Księżyc jest planetą, która jeszcze się nie narodziła, która jest jakby w trakcie narodzin. Stopniowo się on ociepla i z czasem, zakładając sprzyjający rozwój promienia stworzenia, stanie się taki jak Ziemia i będzie miał swojego własnego satelitę, nowy księżyc. Tym sposobem do promienia stworzenia zostałyby więc dodane nowe ogniwo. Ziemia też nie ochładza się, lecz ociepla, i z czasem może stać się taką jak Słońce. Taki proces możemy na przykład zaobserwować w systemie Jowisza, który jest słońcem dla swoich satelitów.

Podsumowując wszystko to, co dotychczas zostało powiedziane na temat promienia stworzenia, który biegnie od świata 1 aż do świata 96, trzeba dodać, że cyfry, którymi oznacza się te światy wskazują na liczbę sił, czy też rzędów praw rządzących danymi światami. W Absolucie istnieje tylko jedna siła i tylko jedno prawo: pojedyncza i niezależna wola Absolutu. W następnym świecie istnieją trzy siły, czy też trzy rzędy praw. W następnym istnieje sześć rzędów praw; w kolejnym dwanaście, itd. W naszym świecie, to znaczy na Ziemi, działa czterdzieści osiem rzędów praw, którym jesteśmy podporządkowani i które rządzą całym naszym życiem. Gdybyśmy żyli na Księżycu, to byłibyśmy podporządkowani 96 rzędom praw, to znaczy, że nasze życie i działalność byłyby jeszcze bardziej mechaniczne i nie mielibyśmy obecnie posiadanej przez nas możliwości ucieczki od mechaniczności.

Jak już zostało to powiedziane, wola Absolutu manifestuje się tylko w świecie bezpośrednio przez niego w sobie stworzonym, to jest w świecie 3. Bezpośrednia wola Absolutu nie dociera do świata 6 i przejawia się w nim tylko w formie mechanicznych praw. Idąc dalej, w światach 12, 24, 48 i 96 wola Absolutu ma coraz mniej możliwości manifestowania się. Oznacza to, że w świecie 3 Absolut tworzy jakby ogólny plan całej reszty wszechświata, który następnie mechanicznie się rozwija. Wola Absolutu nie może manifestować się w kolejnych światach niezależnie od tego planu, a manifestując się zgodnie z nim, przybiera formę mechanicznych praw. Oznacza to, że jeśli Absolut chciałby zmanifestować swoją wolę, powiedzmy, w naszym świecie, przeciwstawiając się działającym tam mechanicznym prawom, musiałby on wtedy zniszczyć wszystkie światy pośrednie istniejące pomiędzy nim i naszym światem.

Idea cudu jako pogwałcenia praw przez wolę, która sama je stworzyła, jest sprzeczna nie tylko ze zdrowym rozsądkiem, ale także z samą ideą woli. Cud jest jedynie manifestacją praw, które są człowiekowi nieznane albo z którymi rzadko się on spotyka. Cud jest manifestacją w tym świecie praw z innego świata.

My na Ziemi jesteśmy bardzo oddaleni od woli Absolutu; oddziela nas od niej czterdzieści osiem rzędów mechanicznych praw. Gdybyśmy mogli uwolnić się od połowy tych praw, to bylibyśmy podporządkowani zaledwie dwudziestu czterem rzędom praw, to znaczy prawom świata planetarnego, a zatem powinniśmy się wtedy znaleźć o jeden stopień bliżej Absolutu i jego woli. Gdybyśmy następnie mogli uwolnić się od połowy tych praw, to bylibyśmy podporządkowani prawom Słońca (dwunastu prawom), a więc znaleźlibyśmy się o jeszcze jeden stopień bliżej Absolutu. Jeśli z kolei moglibyśmy uwolnić się od połowy tych praw, to podporządkowalibyśmy się prawom świata gwiazdowego i bylibyśmy oddzieleni od bezpośredniej woli Absolutu tylko o jeden stopień.

Istnieje zatem dla człowieka możliwość takiego stopniowego uwalniania się od mechanicznych praw.

Poznawanie czterdziestu ośmiu rzędów praw, którym podlega człowiek, nie może być tak abstrakcyjne, jak poznawanie astronomii; można je poznawać tylko poprzez obserwowanie ich w samym sobie i poprzez *uwalnianie się od nich*. Na początku człowiek musi po prostu zrozumieć, że zupełnie niepotrzebnie podlega on tysiącowi małych, ale nieprzyjemnych praw, które zostały stworzone dla niego przez innych ludzi albo przez niego samego. Kiedy jednak będzie próbował się od nich uwolnić, to wtedy zobaczy, że nie jest w stanie tego zrobić. Długie i wytrwałe próby uwalniania się od nich przekonają go o jego niewoli.

Prawa, którym podlega człowiek, można poznać tylko poprzez zmaganie się z nimi, poprzez usiłowanie uwolnienia się od nich. Ale do tego, by uwolnić się od jednego prawa, nie tworząc jednocześnie na jego miejsce innego prawa dla siebie, potrzeba olbrzymiej wiedzy.

Rzędy praw i ich formy różnią się od siebie w zależności od punktu widzenia, z którego rozpatrujemy promień stworzenia.

W naszym systemie końcem promienia stworzenia, jego stożkiem wzrostu – jeśli można tak powiedzieć – jest Księżyc. Energia potrzebna do wzrostu, to znaczy do rozwoju Księżyca i do wypuszczania nowych “pędów” przychodzi do Księżyca z Ziemi, gdzie jest ona tworzona w wyniku wspólnego działania Słońca, wszystkich planet układu słonecznego i samej Ziemi. Energia ta jest zebrana i przechowywana w wielkim akumulatorze znajdującym się na powierzchni Ziemi. Tym akumulatorem jest życie organiczne na Ziemi. Księżyc karmi się życiem organicznym na Ziemi. Wszystko, co żyje na Ziemi – ludzie, zwierzęta, rośliny – stanowi pokarm dla Księżyca. Księżyc jest olbrzymim żywym istnieniem,

żywiącym się wszystkim tym, co żyje i rośnie na Ziemi. Księżyc nie mógłby istnieć bez życia organicznego na Ziemi, tak jak i życie organiczne na Ziemi nie mogłoby istnieć bez Księżyca. Ponadto w odniesieniu do życia organicznego Księżyc jest olbrzymim elektromagnesem. Gdyby elektromagnes nagle przestał działać, to życie organiczne rozpadłoby się na kawałki.

Proces wzrostu i nagrzewania się Księżyca związany jest z życiem i śmiercią na Ziemi. Wszystko, co żywe, w momencie swojej śmierci uwalnia pewną ilość energii, która je do tej pory "ożywiała"; energia ta (czy też "dusze" wszystkich żyjących roślin, zwierza i ludzi) przyciągana jest przez Księżyc jak przez wielki elektromagnes. Przynosi mu ona ciepło i życie, od którego zależy jego wzrost, to jest wzrost promienia stworzenia. W ekonomii wszechświata niczego się nie traci i pewna energia po zakończeniu swego działania na jednej płaszczyźnie przechodzi na inną płaszczyznę.

Dusze, które idą na Księżyc, dysponując być może nawet pewną ilością świadomości i pamięci, znajdują się tam pod działaniem dziewięćdziesięciu sześciu praw, to znaczy w warunkach życia mineralnego; innymi słowy, w warunkach, od których nie ma innej ucieczki jak ogólna ewolucja w niezmiernie długich cyklach planetarnych. Księżyc znajduje się "na krańcu", na końcu świata; to jest właśnie "zewnątrzna ciemność" doktryny chrześcijańskiej, "gdzie będzie płacz i zgrzytanie zębów".

Wpływ Księżyca na wszystko, co żywe przejawia się we wszystkim, co zdarza się na Ziemi. Księżyc jest główną czy też raczej najbliższą bezpośrednią siłą motywującą to, co dzieje się w życiu organicznym na Ziemi. Wszystkie ruchy, działania i manifestacje ludzi, zwierząt i roślin zależą od Księżyca i są kontrolowane przez Księżyc. Czuły film życia organicznego, który pokrywa kulę ziemską, jest całkowicie uzależniony od oddziaływania wielkiego elektromagnesu, który wysysa z niego jego witalność. Człowiek, tak jak każda inna istota żyjąca, nie może w zwykłych warunkach życia uwolnić się od Księżyca. Wszystkie jego ruchy, i w konsekwencji wszystkie jego działania, są kontrolowane przez Księżyc. Jeśli zabija on drugiego człowieka, to zrobił to Księżyc; jeśli poświęca się dla innych, to także zrobił to Księżyc. Wszystkie złe uczynki, wszystkie zbrodnie, wszystkie akty samopoświęcenia, wszystkie heroiczne wyczyny, a także wszystkie działania w życiu codziennym są kontrolowane przez Księżyc.

Wyzwolenie, które przychodzi ze wzrostem władz i zdolności umysłowych, jest *wyzwoleniem spod jarzma Księżyca*. Mechaniczna część naszego życia uzależniona jest od Księżyca i mu podlega. Jeśli rozwiniemy w sobie świadomość i wolę, i poddamy im całe nasze mechaniczne życie oraz wszystkie nasze mechaniczne manifestacje, to będziemy wtedy mogli wyzwolić się spod władzy Księżyca.

Następną ideą, którą trzeba zrozumieć, jest idea materialności wszechświata

ujętego w formie "promienia stworzenia". W tym wszechświecie wszystko można zważyć i zmierzyć. Absolut jest tak samo materialny, tak samo wymierny jak Księżyc czy człowiek. Jeśli Absolut jest Bogiem, znaczy to, że Boga można zważyć i zmierzyć, rozłożyć na czynniki pierwsze, "wyliczyć" i wyrazić w postaci określonego wzoru.

Ale pojęcie "materialność" jest tak samo względne jak wszystkie inne pojęcia. Jeśli przypomnimy sobie, że pojęcie "człowiek" i wszystko to, co go dotyczy – dobro, zło, prawda, kłamstwo, itd. – dzieli się na różne kategorie (człowiek nr 1, człowiek nr 2, itd.), to łatwo będzie nam zrozumieć, że pojęcie "świat" i wszystko, co odnosi się do świata, dzieli się także na różne kategorie. Promień stworzenia ustala w świecie siedem płaszczyzn, siedem zawierających się w sobie światów. Materialność Absolutu jest materialnością innego rzędu niż materialność "wszystkich światów". Materialność "wszystkich światów" jest innego rzędu niż materialność "wszystkich słońc". Materialność "wszystkich słońc" jest innego rzędu niż materialność naszego Słońca. Materialność naszego Słońca jest innego rzędu niż materialność "wszystkich planet". Materialność "wszystkich planet" jest innego rzędu niż materialność Ziemi, a materialność Ziemi jest innego rzędu niż materialność Księżyca. Z początku trudno jest pojąć tę ideę. Ludzie przywykli myśleć, że *materia* jest wszędzie taka sama. Cała fizyka, astrofizyka, chemia, takie metody badań jak np. analiza widmowa, opierają się na tym przypuszczeniu. I prawdą jest, że materia jest taka sama, ale materialność jest różna; a różne stopnie materialności są bezpośrednio uzależnione od jakości i właściwości energii manifestującej się w danym punkcie.

Materia, czy też substancja, nieodzownie zakłada istnienie siły albo energii. Nie oznacza to jednak, że trzeba przyjąć dualistyczną koncepcję świata. Pojęcia materii i siły są tak samo względne jak wszystko inne. W Absolucie, gdzie wszystko jest jednym, materia i siła też są jednym. Ale w związku z tym materia i siła nie są traktowane jako rzeczywiste zasady samego świata, ale jako własności lub cechy obserwowanego przez nas świata zjawisk. By rozpocząć poznawanie wszechświata, wystarczy mieć elementarne pojęcie o materii i energii, takie jakie uzyskujemy drogą bezpośredniej obserwacji za pomocą naszych narządów zmysłów. Za "stałą" przyjmuje się to, co materialne – materię, a "zmiany" w stanie "stałej", czy też materii, nazywane są manifestacjami siły albo energii. Wszystkie te zmiany można uważać za wynik wibracji lub ruchów falowych, które mają swój początek w środku, czyli w Absolucie, i rozchodzą się we wszystkich kierunkach, przecinając się nawzajem, zderzając i łącząc się, aż do momentu, gdy na końcu promienia stworzenia zupełnie się zatrzymają.

A zatem z tego punktu widzenia świat składa się z wibracji i materii, czy też z materii w stanie wibracji, z wibrującej materii. Tempo wibracji jest odwrotnie proporcjonalne do gęstości materii.

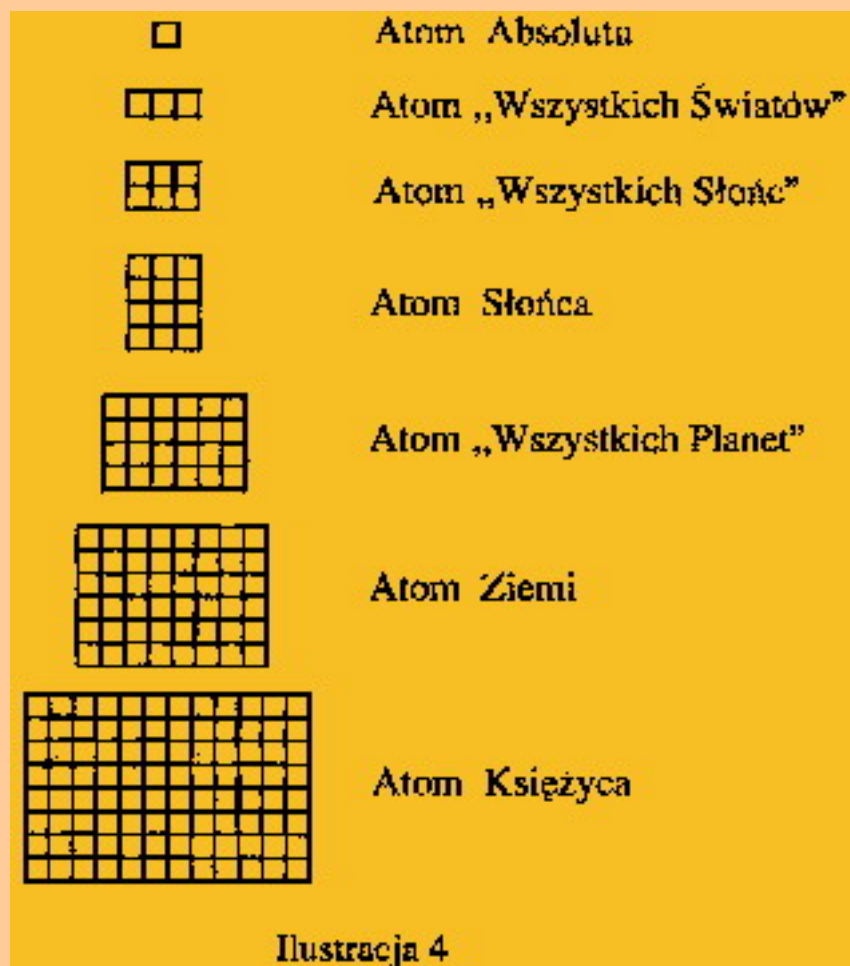
W Absolucie wibracje są najszybsze, a materia najrzadsza. W następnym

świecie wibracje są wolniejsze, a materia gęstsza; dalej materia jest jeszcze gęstsza, a wibracje odpowiednio wolniejsze.

Można przyjąć, że "materia" składa się z "atomów". Atomy uważa się tutaj za wynik końcowego podziału materii. W każdym rzędzie materii istnieją po prostu pewne małe *cząstki* danej materii, które tylko na danej płaszczyźnie są niepodzielne. Jedynie atomy samego Absolutu są rzeczywiście niepodzielne. Atom następnej płaszczyzny, czyli świata 3, składa się z trzech atomów Absolutu lub, innymi słowy, jest on trzykrotnie większy i trzykrotnie cięższy, a jego ruchy są odpowiednio wolniejsze. Atom świata 6 składa się z jakby razem połączonych sześciu atomów Absolutu, tworzących jeden atom. Jego ruchy są odpowiednio wolniejsze. Atom następnego świata składa się z dwunastu pierwotnych cząstek, a atomy kolejnych światów – z dwudziestu czterech, czterdziestu ośmiu i dziewięćdziesięciu sześciu. Atom świata 96, w porównaniu z atomem świata 1, jest ogromny; jego ruchy są odpowiednio wolniejsze, a materia zbudowana z takich atomów jest odpowiednio gęstsza (ilustracja 4).

Siedem światów promienia stworzenia reprezentuje siedem rzędów materialności. Materialność Księżyca różni się od materialności Ziemi; materialność Ziemi różni się od materialności świata planetarnego; materialność świata planetarnego różni się od materialności Słońca, itd.

Tak więc zamiast koncepcji jednej materii mamy koncepcję siedmiu rodzajów materii, przy czym nasze zwykłe pojęcie materialności z trudnością obejmuje materialność światów 96 i 48. Materia świata 24 jest za bardzo rozrzedzona, by z naukowego punktu widzenia naszej fizyki i chemii można było uznać ją za materię; taka materia jest w gruncie rzeczy hipotetyczna. Jeszcze bardziej oczyszczona materia świata 12 przy zwykłych badaniach nie ma żadnych cech materialności. Wszystkie te materie, należące do różnych rzędów wszechświata, nie są podzielone na warstwy, ale są wymieszane, czy też raczej przenikają się nawzajem. Możemy zrozumieć taką interpretację materii o różnych gęstościach, odwołując się do znanego nam zjawiska przenikania jednej materii przez drugą materię o innej gęstości. Kawałek drzewa może być nasączony wodą, woda z kolei może być wypełniona gazem. Dokładnie taką samą relację pomiędzy różnymi rodzajami materii można zaobserwować w całym wszechświecie; materie subtelniejsze przenikają materie mniej subtelne.



Materia mająca cechy materialności, które jesteśmy w stanie pojąć, w naszym rozumieniu dzieli się ze względu na jej gęstość na kilka stanów: stały, płynny, gazowy. Dalej materia podlega stopniowemu podziałowi na energię promieniującą, to znaczy elektryczność, światło, magnetyzm, itd. Na każdej płaszczyźnie, a więc w każdym rzędzie materialności, można znaleźć podobne relacje i podziały różnych stanów danej materii. Ale – jak to już zostało powiedziane – materia wyższych płaszczyzn nie jest wcale materialna na niższych płaszczyznach.

Cała materia otaczającego nas świata: pokarm, który spożywamy, woda, którą pijemy, powietrze, którym oddychamy, kamienie, z których zbudowane są nasze domy, a także nasze własne ciała – wszystko to przenikają wszelkie istniejące we wszechświecie materie. Nie ma potrzeby poznawania czy badania Słońca po to, by odkryć materię świata słonecznego; materia ta istnieje w nas i jest wynikiem podziału naszych atomów. W taki sam sposób istnieje w nas materia wszystkich światów. Człowiek jest, w pełnym znaczeniu tego terminu, “miniaturowym wszechświatem”; znajdują się w nim wszystkie materie, z których składa się wszechświat. Te same siły, te same prawa, które rządzą życiem wszechświata, działają także w człowieku. Zatem poprzez poznawanie człowieka możemy jednocześnie poznawać cały świat, tak samo jak poznając świat, możemy poznawać człowieka.

Ale by móc w całości porównać człowieka i świat, musimy wziąć pod uwagę człowieka w pełnym znaczeniu tego słowa, to znaczy człowieka, którego

wrodzone moce są rozwinięte. Nie do końca rozwinięty człowiek, człowiek, który nie zakończył swojej ewolucji, nie może być uznawany za pełny obraz czy plan wszechświata – jest on niedokończonym światem.

Jak to zostało już powiedziane, poznawanie siebie musi iść w parze z poznawaniem podstawowych praw wszechświata. Wszędzie i na wszystkich płaszczyznach prawa są takie same. Ale te same prawa, manifestując się w różnych światach, więc w różnych warunkach, wytwarzają różne zjawiska. Poznawanie związku praw z płaszczyznami, na których się one manifestują, prowadzi nas do poznawania *względności*.

Idea względności zajmuje w tym nauczaniu bardzo ważne miejsce i później jeszcze do niej powrócimy. Ale przede wszystkim trzeba zrozumieć względność każdej rzeczy i każdej manifestacji, *zgodnie z miejscem* zajmowanym przez nią w porządku kosmicznym.

My znajdujemy się na Ziemi i jesteśmy całkowicie uzależnieni od praw, które działają na Ziemi. Z kosmicznego punktu widzenia Ziemia jest bardzo niedobrym miejscem; można ją porównać do najbardziej oddalonej części północnej Syberii; znajduje się ona z dala od wszystkiego, jest tu zimno, życie jest bardzo ciężkie. Wszystko, co gdzie indziej przychodzi samo albo jest łatwo osiągalne, tutaj można uzyskać tylko ciężką pracą; o wszystko trzeba walczyć, zarówno w życiu, jak i w tej pracy. W życiu jeszcze czasami się zdarza, że człowiek otrzymuje jakiś spadek i potem żyje, nic nie robiąc. Ale w pracy takie rzeczy się nie zdarzają. Wszyscy są równi i wszyscy są na równi żebrakami.

Powróćmy teraz do Prawa Trzech. Trzeba nauczyć się odnajdywać manifestacje tego prawa we wszystkim, co robimy, i we wszystkim, co chcemy poznać. Zastosowanie tego prawa w dowolnej sferze objawia od razu wiele nowego, wiele z tego, czego dotychczas nie widzieliśmy. Weźmy na przykład chemię. Zwykła nauka nie wie o Prawie Trzech i bada ona materię, nie biorąc pod uwagę jej kosmicznych własności. Jak wcześniej zostało powiedziane, kosmiczne własności każdej substancji są po pierwsze, określone *jej miejscem*, a po drugie, siłą która w danym momencie działa przez tę substancję. Nawet gdy dana substancja pozostaje w tym samym miejscu, charakter jej znacznie się zmienia w zależności od siły, która przez nią się manifestuje. Każda substancja może być przenośnikiem każdej z trzech sił i zgodnie z tym, może ona być *czynna*, *bierna* lub *neutralizująca*. Jeżeli w danym momencie nie przejawia się przez nią żadna siła lub też jeśli przedstawia się ją bez związku z manifestacją sił, to nie jest ona ani czynna, ani bierna, ani neutralizująca. Tym sposobem każda substancja występuje jakby w czterech różnych aspektach lub stanach. Trzeba tutaj zauważyć, że kiedy mówimy o materii, to nie mówimy o pierwiastkach chemicznych. Specjalna chemia – o której właśnie mówię – za pierwiastek uważa każdą substancję posiadającą odrębną funkcję, choćby najbardziej złożoną. Tylko w ten sposób można poznawać kosmiczne własności materii,

ponieważ wszystkie złożone związki chemiczne mają swój własny kosmiczny cel i znaczenie. Z tego punktu widzenia atom danej substancji jest jej najmniejszą ilością, w której zachowane są wszystkie jej chemiczne, fizyczne i kosmiczne własności. W konsekwencji rozmiar atomu różnych substancji nie jest taki sam. A w niektórych wypadkach "atom" może być cząstką widoczną nawet gołym okiem.

Cztery aspekty lub stany każdej substancji mają określone nazwy.

Kiedy substancja jest przewodnikiem dla pierwszej z sił, siły czynnej, nazywa się ją "Węglem" i tak jak chemiczny węgiel oznacza się literą C.

Kiedy substancja jest przewodnikiem dla drugiej z sił, tej biernej, to nazywa się ją "Tlenem" i tak jak chemiczny tlen oznacza się literą O.

Kiedy substancja jest przewodnikiem dla trzeciej siły, czyli siły neutralizującej, nazywa się ją "Azotem" i jak chemiczny azot oznacza się literą N.

Kiedy substancję przedstawia się bez związku z manifestującą się przez nią siłą, nazywa się ją "Wodorem" i tak jak chemiczny wodór oznacza się literą H.

Siły – czynna, bierna i neutralizująca – oznaczone są numerami 1, 2, 3, a substancje oznaczone są literami C, O, N, H. Oznaczenia te należy zrozumieć.

– Czy te cztery pierwiastki odpowiadają czterem starym alchemicznym żywiołom: ogniewi, powietrzu, wodzie, ziemi? – zapytał jeden z nas.

– Tak, odpowiadają – powiedział G. – Ale my będziemy korzystać z naszych pierwiastków. Później zrozumiecie, dlaczego.

To, co usłyszałem, bardzo mnie zainteresowało, ponieważ łączyło to system G. z systemem Tarota, który – jak mi się wydawało w pewnym okresie – był być może kluczem do ukrytego poznania. Co więcej, dzięki temu dostrzegłem stosunek *trzech* do *czterech*, który był dla mnie czymś nowym i którego w Tarocie nie byłem w stanie zrozumieć. Tarot jest najwyraźniej zbudowany zgodnie z *prawem czterech* zasad. Do tej pory G. mówił tylko o *prawie trzech* zasad. Ale teraz zobaczyłem, jak *trzy* przechodzi w *cztery*, i zrozumiałem konieczność takiego podziału dopóty, dopóki w sferze naszej bezpośredniej obserwacji istnieje jeszcze ciągle podział na *siłę i materię*. "Trzy" odnosiło się do siły, a "cztery" odnosiło się do materii. Oczywiście posiadało to jeszcze głębsze znaczenie, które było nadal dla mnie niejasne; ale już nawet to, co usłyszałem od G., obiecywało dużo na przyszłość.

Dodam jeszcze, że byłem bardzo zainteresowany nazwami pierwiastków: "Węgiel", "Tlen", "Azot" i "Wodór". Muszę tutaj zaznaczyć, że chociaż G. wyraźnie obiecał dokładnie wyjaśnić, dlaczego użyto tych, a nie innych nazw, to nigdy tego nie zrobił. Później jeszcze raz do nich powrócę. Próby ustalenia pochodzenia tych nazw pomogły mi w zrozumieniu wielu aspektów systemu G. i jego historii.

Podczas jednego ze spotkań – zaproszono na nie sporo nowych ludzi, którzy nigdy przedtem nie słyszeli G. – zadano pytanie: “Czy człowiek jest nieśmiertelny, czy nie?”

– Spróbuję odpowiedzieć na to pytanie – powiedział G. – Ale ostrzegam was, że nie da się tego w pełni zrobić korzystając z materiału, który można znaleźć w potocznej wiedzy i w potocznym języku.

Pytasz, czy człowiek jest nieśmiertelny, czy nie.

Odpowiem, że zarówno tak, jak i nie.

Pytanie to ma wiele różnych aspektów. Po pierwsze: co oznacza samo słowo *nieśmiertelny*? Czy mówisz o absolutnej nieśmiertelności, czy też dopuszczasz różne stopnie nieśmiertelności? Jeśli, na przykład, po śmierci ciała pozostaje coś, co żyje jeszcze przez jakiś czas, zachowując własną świadomość, to czy można nazwać to nieśmiertelnością, czy nie? Albo sformułujemy to w następujący sposób: jak długo musi trwać taka egzystencja, by można było nazwać ją nieśmiertelną? Następnie: czy pytanie to zakłada możliwość różnej nieśmiertelności dla różnych ludzi? I jest jeszcze wiele innych pytań. Mówię to tylko po to, żeby pokazać, jak mgliste i jak łatwo wprowadzające w błąd są takie słowa, jak “nieśmiertelność”. W rzeczywistości nic nie jest nieśmiertelne, nawet Bóg jest śmiertelny. Ale pomiędzy człowiekiem i Bogiem istnieje wielka różnica, i oczywiście, Bóg jest śmiertelny w inny sposób niż człowiek. Będzie lepiej, jeśli słowo “nieśmiertelność” zastąpimy słowami “*istnienie po śmierci*”: W takim wypadku odpowiem, że człowiek ma możliwość istnienia po śmierci. Ale *możliwość* to jedna sprawa, a spełnienie możliwości to sprawa całkiem odmienna.

Spróbujmy teraz zobaczyć, od czego ta możliwość zależy i co oznacza jej urzeczywistnienie.

G. pokrótce powtórzył wszystko, co powiedział wcześniej na temat struktury człowieka i świata. Narysował wykres promienia stworzenia i wykres czterech ciał człowieka (ilustracje 1 i 3). Ale w związku z ciałami człowieka wprowadził nowy dla nas szczegół.

Znów użył wschodniego porównania człowieka do powozu, konia, woźnicy i pana, i narysował wykres z jednym dodatkiem, którego poprzednio tam nie było.

– Człowiek jest złożoną organizacją – powiedział – składającą się z czterech części, które mogą być połączone, nie połączone lub też źle ze sobą połączone. Wóz połączony jest z koniem za pomocy dyszli, koń połączony jest z woźnicą lejcami, a woźnica połączony jest z panem dzięki głosowi pana. Jednakże woźnica musi słyszeć i rozumieć głos pana. Musi on wiedzieć, jak powozić, a koń musi być nauczony, jak reagować na lejce. Co się tyczy związku pomiędzy koniem i wozem, to koń musi być właściwie zaprzężony. Istnieją zatem trzy

połączenia między czterema odcinkami tej złożonej organizacji (ilustracja 5b). Jeśli w jednym z tych połączeń czegoś brakuje, to organizacja nie może działać jako jedna całość. Połączenia są zatem nie mniej ważne niż same "ciała". Pracując nad sobą, człowiek pracuje równocześnie nad "ciałami" i nad "połączeniami". Ale jest to innego rodzaju praca.

Praca nad sobą musi zacząć się od woźnicy. Woźnicą jest umysł. By móc usłyszeć głos pana, woźnica – po pierwsze – *nie może spać*, to znaczy musi się obudzić. Wtedy może się okazać, że pan mówi językiem, którego woźnica nie rozumie. Woźnica musi się nauczyć tego języka. Kiedy się go nauczy, będzie mógł zrozumieć pana. Ale jednocześnie musi też nauczyć się prowadzić konia, zaprzęgać go do wozu, karmić, czyścić go i utrzymywać wóz w porządku. Na co zdałoby mu się rozumienie pana, jeśli nie byłby w stanie niczego zrobić? Pan mówi mu, żeby gdzieś pojechał. Ale on nie może się ruszyć, ponieważ koń nie został nakarmiony, zaprzężony, a on sam nie wie, gdzie są lejce. Koń to nasze emocje. Wóz to nasze ciało. Umysł musi nauczyć się kontrolować emocje. Emocje zawsze pociągają za sobą ciało. W takim porządku musi postępować praca nad sobą. Ale zauważcie, że praca nad "ciałami", czyli nad woźnicą, koniem i wozem jest jedną rzeczą, a praca nad "połączeniami", to jest nad "rozumieniem woźnicy", które łączy go z panem, nad "lejcami", które łączą go z koniem, i nad "dyszlami" oraz "uprzężą", które łączą konia z wozem – to całkiem inna sprawa.

Zdarza się czasami, że ciała są całkiem sprawne, natomiast "połączenia" nie działają. Jaki wtedy jest pożytek z całej tej organizacji? Podobnie jak w wypadku nierozwiniętych ciał, cała organizacja jest wówczas nieuchronnie kontrolowana *od dołu*, to znaczy nie przez wolę pana, ale przez przypadek.

W człowieku mającym dwa ciała, drugie ciało jest czynne w stosunku do ciała fizycznego; oznacza to, że świadomość w "ciele astralnym" może sprawować władzę nad ciałem fizycznym.

G. postawił plus nad "ciałem astralnym" i minus nad ciałem fizycznym (ilustracja 5c).

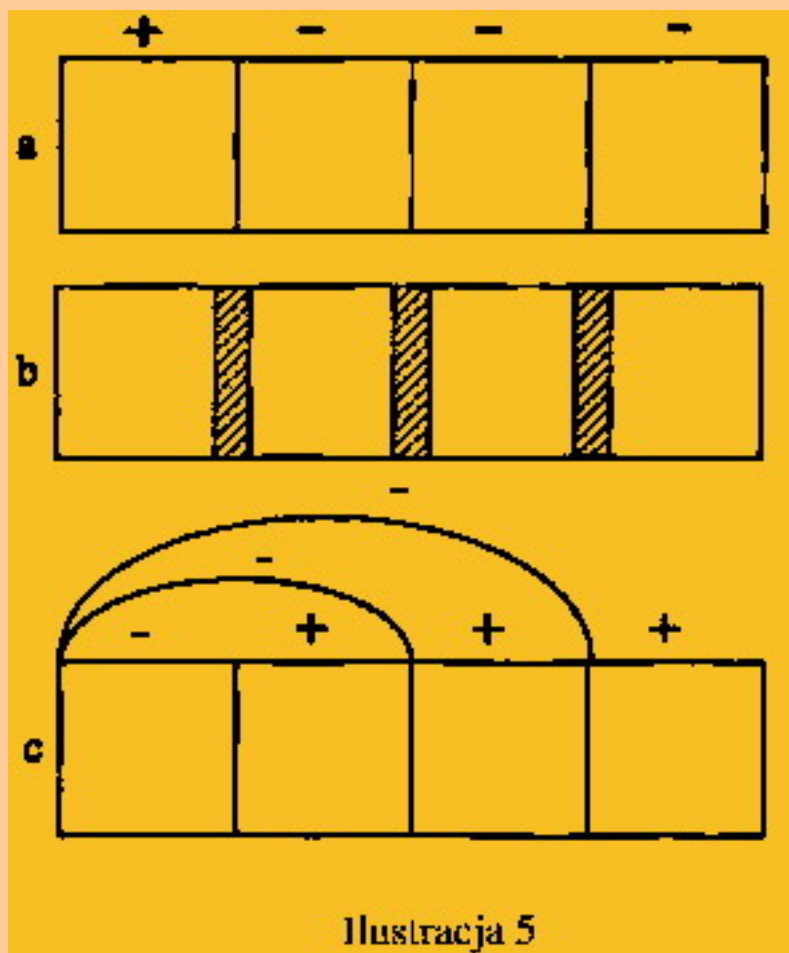
– W człowieku mającym trzy ciała, trzecie, "umysłowe ciało" jest czynne w stosunku do "ciała astralnego" i "ciała fizycznego"; oznacza to, że świadomość w "ciele umysłowym" sprawuje całkowitą władzę nad "ciałem astralnym" i "ciałem fizycznym".

G. postawił plus nad "ciałem umysłowym" i minus nad ciałami "astralnym" i "fizycznym", ujętymi w jeden nawias.

– W człowieku mającym cztery ciała, czwarte ciało jest aktywne. Oznacza to, że świadomość w czwartym ciele sprawuje całkowitą władzę nad ciałami "umysłowym", "astralnym" i fizycznym.

G. postawił plus nad czwartym ciałem i minus nad pozostałymi trzema, ujętymi w

jeden nawias.



Ilustracja 5

– Jak widzicie – powiedział – istnieją cztery, całkiem odmienne sytuacje. W jednym wypadku wszystkie funkcje podlegają kontroli ciała fizycznego. Ono jest czynne; cała reszta w stosunku do niego jest bierna (Ilustracja 5a). W drugim wypadku drugie ciało sprawuje władzę nad "ciałem fizycznym". W trzecim wypadku "ciało umysłowe" sprawuje władzę nad "ciałem astralnym" i "fizycznym". I w ostatnim wypadku czwarte ciało sprawuje kontrolę nad pierwszymi trzema. Już wcześniej widzieliśmy, że w człowieku mającym tylko ciało fizyczne możliwy jest dokładnie taki sam porządek relacji pomiędzy różnymi funkcjami. Funkcje fizyczne mogą kontrolować czucie, myśl i świadomość. Czucie może kontrolować funkcje fizyczne. Myśl może kontrolować funkcje fizyczne i czucie. A świadomość może kontrolować funkcje fizyczne, czucie i myśl.

W człowieku mającym dwa, trzy czy cztery ciała, najaktywniejsze ciało żyje najdłużej; to znaczy, że jest ono "nieśmiertelne" w stosunku do niższego ciała.

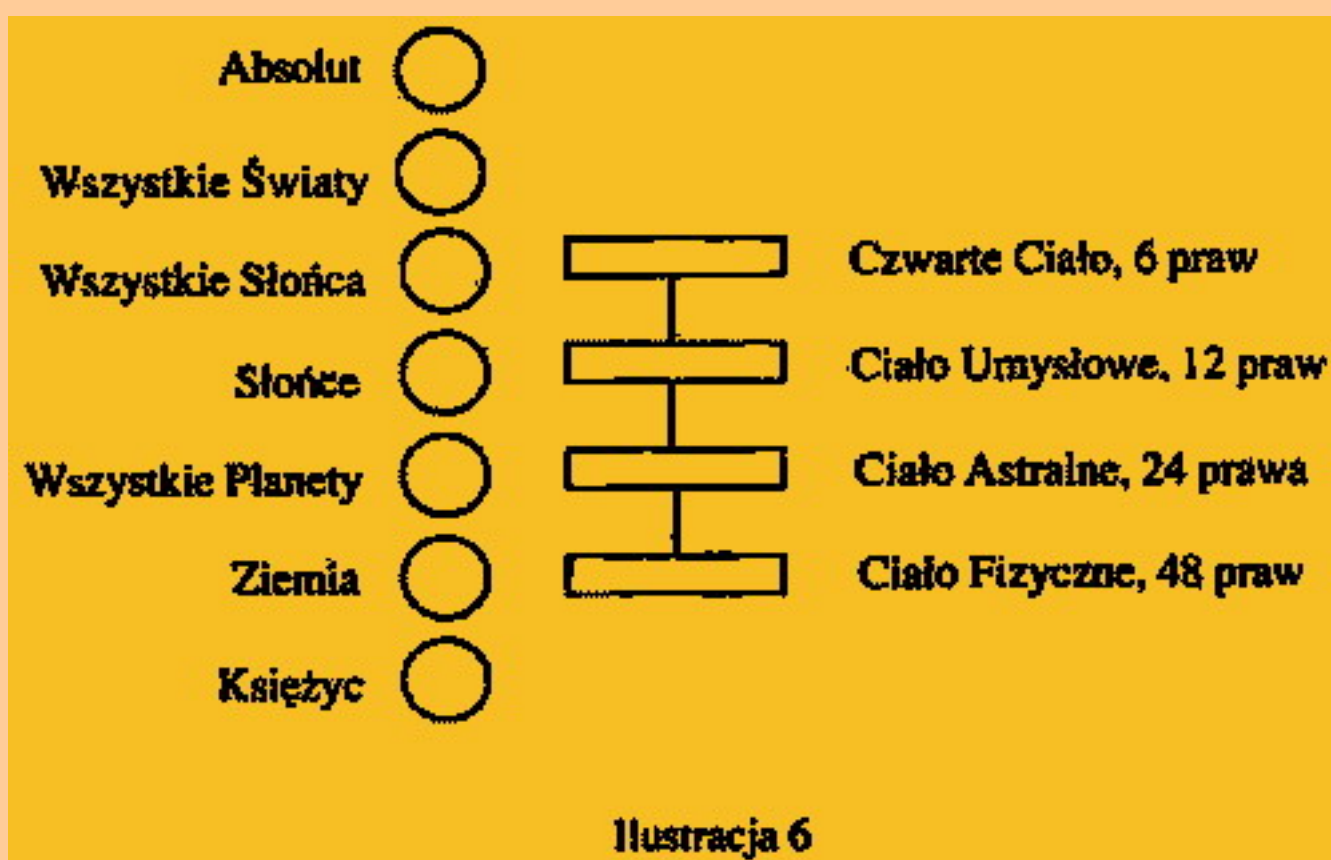
G. ponownie narysował wykres promienia stworzenia i obok Ziemi umieścił fizyczne ciało człowieka.

– To jest zwykły człowiek – powiedział – człowiek nr 1, 2, 3, 4. Ma on tylko ciało fizyczne. Ciało fizyczne umiera i nic z niego nie zostaje. Składa się ono z ziemskiego materiału i w momencie śmierci powraca do ziemi. *Jest to proch i w proch się obraca.* Nie można mówić o jakimkolwiek rodzaju nieśmiertelności w

wypadku człowieka tego rodzaju. Jeśli człowiek ma drugie ciało – umieścił na wykresie drugie ciało równoległe do planet – to drugie ciało składa się wtedy z materiału świata planetarnego i może ono przeżyć śmierć ciała fizycznego. Nie jest ono nieśmiertelne w pełnym tego słowa znaczeniu, ponieważ po pewnym czasie ono też umiera. Niemniej nie umiera ono razem z ciałem fizycznym.

Jeśli człowiek ma trzecie ciało – G. na wykresie umieścił trzecie ciało równoległe do Słońca – to składa się ono z materiału słonecznego i może istnieć po śmierci "ciała astralnego".

Czwarte ciało składa się z materiału *świata gwiazdowego*, to znaczy z materiału, który nie należy do systemu słonecznego, a zatem – jeśli skryzalizowało się ono w granicach systemu słonecznego – to nie istnieje w tym systemie nic, co mogłoby je zniszczyć. *Oznacza to, że człowiek mający czwarte ciało jest nieśmiertelny w granicach systemu słonecznego* (ilustracja 6).



Ilustracja 6

Widzicie zatem, dlaczego nie można od razu odpowiedzieć na pytanie: Czy człowiek jest nieśmiertelny, czy nie?

Jeden człowiek jest nieśmiertelny, inny nie, trzeci próbuje stać się nieśmiertelny, czwarty zaś uważa się za nieśmiertelnego, a jest tylko bryłą mięsa.

Kiedy G. wyjechał do Moskwy, nasza stała grupa spotykała się bez niego. W mojej pamięci utrzymało się kilka rozmów, które związane były z tym, co usłyszeliśmy ostatnio od G.

Wiele rozmawialiśmy o idei cudów i o tym, że Absolut nie może manifestować swojej woli w naszym świecie, że ta wola manifestuje się tylko w postaci

mechanicznych praw i że nie może się ona manifestować przez pogwałcenie tych praw.

Nie pamiętam, który z nas pierwszy przypomniał sobie dobrze znaną, choć niezbyt poważną szkolną historyjkę, która natychmiast wydała nam się ilustracją tego prawa.

Historia ta opowiada o przerośniętym studencie seminarium, który w trakcie końcowego egzaminu nie potrafił zrozumieć idei wszechmocy Boga.

– Daj mi przykład czegoś, czego Bóg nie może zrobić? – poprosił biskup prowadzący egzamin.

– Wasza Eminencjo, to nic trudnego – odparł seminarzysta. – Każdy wie, że nawet sam Bóg nie może zwykłą dwójką przebić atutowego asa.

Nic nie mogło być bardziej zrozumiałe.

W tej głupawej historyjce więcej było sensu niż w tysiącach traktatów teologicznych. Prawa gry tworzą istotę gry. Pogwałcenie tych praw zniszczyłoby cały grę. Absolut może mieszać się w nasze życie i jakimiś innymi skutkami zastępować naturalne skutki stworzonych przypadkowo przez nas przyczyn, tak jak może on przebić dwójką atutowego asa. Turgieniew napisał gdzieś, że wszystkie zwykłe modlitwy można zredukować do jednej: "Panie, uczyni, by dwa razy dwa nie było cztery". To jest to samo, co atutowy as seminarzysty.

Inna rozmowa dotyczyła Księżyca i jego związku z życiem organicznym na Ziemi. I tym razem ktoś z naszej grupy znalazł bardzo dobry przykład, który ukazywał związek Księżyca z życiem organicznym.

Księżyc jest wagą w zegarze. Życie organiczne jest mechanizmem zegara wprowadzonym w ruch przez tę wagę. Siła ciężkości wagi porusza łańcuch ciągnący koło zębate, które z kolei wprawia w ruch tryby i wskazówki zegara. Jeśli usunie się wagę, to wszystkie ruchy w mechanizmie zegara od razu ustaną. Księżyc jest olbrzymią wagą, która trzyma się życia organicznego, i w ten sposób wprawia je w ruch. Cokolwiek byśmy robili, czy jest to dobre, czy złe, sprytne czy głupie, to wszystkie ruchy trybów i wskazówek naszego organizmu są uzależnione od wagi, która nieustannie wywiera na nas nacisk.

Ja osobiście bardzo byłem zainteresowany kwestią względności w odniesieniu do *miejsca*: czyli do miejsca w świecie. Dawno temu doszedłem już do idei względności uzależnionej od wzajemnej relacji rozmiarów i prędkości. Ale idea *miejsca* w porządku kosmicznym była zarówno dla mnie, jak i dla innych, zupełnie nowa. Jakże się zdziwiłem, gdy jakiś czas później przekonałem się, że było to dokładnie to samo; innymi słowy, że rozmiar i prędkość określały *miejsce*, a *miejsce* określało rozmiar i prędkość.

Pamiętam jeszcze inną rozmowę, która odbyła się w tym samym okresie. Ktoś zapytał G. o możliwość istnienia *uniwersalnego języka*.

– Język uniwersalny jest możliwy – powiedział G. – tylko ludzie nigdy go nie wymyśla.

– Dlaczego nie? – zapytał ktoś z nas.

– Po pierwsze, dlatego, że został on wymyślony już dawno temu – odpowiedział G. – a po drugie, ponieważ zrozumienie tego języka i wyrażanie za jego pomocą idei zależy nie tylko od znajomości tego języka, ale także od *bycia*. Powiem nawet więcej. Istnieje nie jeden, lecz trzy języki uniwersalne. Pierwszym z nich może być język mówiony i pisany, mieszczący się w zakresie własnego języka danej osoby. Jedyna różnica polega na tym, że kiedy ludzie mówią swoim potocznym językiem, to nie rozumieją się nawzajem, podczas gdy w tym innym języku się rozumieją. W drugim wypadku język pisany jest taki sam dla wszystkich ludzi, tak jak – powiedzmy – figury matematyczne i wzory; jednakże ludzie cały czas mówią swoim własnym językiem, przy czym każdy z nich rozumie drugiego, nawet jeśli mówi on w nieznanym mu języku. Trzeci język, zarówno pisany, jak i mówiony, jest taki sam dla , wszystkich. Na tym poziomie różnice pomiędzy językami całkowicie zanikają.

– Czy nie jest to dokładnie to, co zostało opisane w Dziejach Apostolskich jako zstąpienie Ducha Świętego na Apostołów, gdy zaczęli oni rozumieć różne języki? – ktoś zapytał.

Zauważyłem, że takie pytania zawsze irytowały G.

– Nie wiem, mnie tam nie było – odpowiedział G.

Ale przy innych okazjach jakieś trafne pytanie prowadziło do nowych, nieoczekiwanych wyjaśnień.

Pewnego razu podczas rozmowy ktoś zapytał go, czy w nauczaniach i obrządkach istniejących religii znajduje się cokolwiek prawdziwego i prowadzącego do osiągnięcia jakiegoś celu.

– Tak i nie – powiedział G. – Wyobraź sobie, że siedzimy tutaj rozmawiając o religiach i że służka Masza słyszy naszą rozmowę. Ona oczywiście rozumie to na swój sposób i powtarza to, co zrozumiała, dozorczy Iwanowi. Dozorca Iwan znowu rozumie to na swój własny sposób i powtarza to, co zrozumiał swojemu sąsiadowi, woźnicy Piotrowi. Woźnica Piotr jedzie do wsi i opowiada, o czym mówi szlachta w mieście. Czy myślisz, że to, co on opowiada, choć trochę przypomina to, o czym rozmawialiśmy? Taka jest dokładnie relacja pomiędzy istniejącymi religiami a tym, co leżało u ich podstaw. Masz do czynienia z naukami, tradycjami, modlitwami, obrządkami nie z piątej, ale z dwudziestej piątej ręki, i oczywiście prawie wszystko zostało już tak wypaczone, że nie da się tego rozpoznać; wszystko, co istotne, zostało już dawno temu zapomniane.

Na przykład we wszystkich wyznaniach chrześcijańskich dużą rolę odgrywała tradycja Ostatniej Wieczerzy Chrystusa i jego uczniów. Opierają się na niej

liturgie i cała seria dogmatów, obrządków i sakramentów. Była ona jednym z powodów schizmy, rozłamów między kościołami i powstania sekt; iluż to ludzi zginęło, ponieważ nie chcieli przyjąć tej czy innej jej interpretacji. Ale w gruncie rzeczy nikt nie rozumie, o co dokładnie chodziło albo czego dokonali tego wieczoru Chrystus i jego uczniowie. Nie istnieje żadne wyjaśnienie, które choćby w przybliżeniu przypominało prawdę, ponieważ to, co zapisano w Ewangeliach zostało po pierwsze – bardzo wypaczone w procesie przepisywania i tłumaczenia, a po drugie, zostało to napisane *dla tych, którzy wiedzą*. Tym, którzy nic nie wiedzą, niczego to nie wyjaśnia, i im bardziej próbują to zrozumieć, tym bardziej błędzą.

By zrozumieć, co zdarzyło się podczas Ostatniej Wieczerzy, trzeba przede wszystkim znać pewne prawa.

Pamiętacie, co mówiłem o “ciele astralnym”? Powtórzmy to pokrótce. Ludzie mający “ciało astralne” mogą porozumiewać się ze sobą na odległość, nie korzystając ze zwykłych fizycznych środków. Ale by takie porozumienie było możliwe, muszą oni pomiędzy sobą ustanowić pewne “połączenie”. W tym celu, jadąc do różnych miejsc czy różnych krajów, ludzie czasami zabierają ze sobą coś, co należy do innej osoby, przeważnie rzeczy, które miały kontakt z jej ciałem i są przeniknięte jej emanacjami. W ten sam sposób przyjaciele osoby zmarłej, chcąc utrzymać z nią kontakt, zazwyczaj przechowują należące do niej przedmioty. Te rzeczy jakby zostawiają za sobą *ślad*, coś w rodzaju niewidocznych drutów czy nici, które są rozciągnięte w przestrzeni. Nici te łączą dany przedmiot z osoby żyjącą lub – w niektórych wypadkach – z osobą zmarłą, do której ów przedmiot należał. Ludzie wiedzieli o tym od niepamiętnych czasów i na różne sposoby korzystali z tej wiedzy.

Ślady tej wiedzy można odnaleźć wśród obyczajów wielu różnych narodowości. Wiecie na przykład, że u niektórych z nich istnieje obrządek *braterstwa krwi*. Dwóch lub kilku ludzi miesza razem w naczyniu swoją krew i następnie pije ją z tego naczynia. Uważa się ich potem za *braci przez krew*. Ale źródło tego obyczaju leży głębiej. Początkowo była to magiczna ceremonia, która miała na celu ustanowienie związku pomiędzy “ciałami astralnymi”. Krew ma specjalne właściwości. I niektórzy ludzie, na przykład Żydzi, przypisują specjalne znaczenie magicznym właściwościom krwi. Widzicie teraz, że jeśli zostało ustanowione “połączenie” pomiędzy “ciałami astralnymi”, to zgodnie z wierzeniami niektórych narodów nie jest ono zrywane przez śmierć.

Chrystus wiedział, że musi umrzeć. Już wcześniej zostało to postanowione. On o tym wiedział i jego uczniowie o tym wiedzieli. I każdy z nich znał rolę, jaki miał do odegrania. Ale jednocześnie chcieli oni ustanowić stałą więź z Chrystusem. I w tym celu dał on im do picia swoją krew i do zjedzenia swoje ciało. To wcale nie był chleb i wino, lecz rzeczywiste ciało i rzeczywista krew.

Ostatnia Wieczerza była *magiczną ceremonią*, podobną do obrządku “braterstwa

krwi", mającą na celu ustanowienie więzi pomiędzy "ciałami astralnymi". Ale kto w istniejących religiach o tym wie i kto rozumie, co to oznacza? Wszystko to zostało już dawno temu zapomniane i wszystkiemu nadano całkiem inne znaczenie. Słowa pozostały, ale utraciły swoje znaczenie.

Wykład ten, a szczególnie jego zakończenie, wywołał liczne rozmowy w naszych grupach. Wiele osób poczuło odrazę do tego, co G. powiedział na temat Chrystusa i Ostatniej Wieczerzy; inni, przeciwnie, wyczuwali w tym *prawdę*, do której sami nigdy nie mogliby dojść.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Podczas jednego z następujących wykładów zadano G. pytanie: *Jaki jest cel jego nauczania?*

– Z pewnością mam swój własny cel – powiedział G. – Ale musicie pozwolić mi zachować tu milczenie. W obecnej chwili mój cel nie może mieć dla was żadnego znaczenia, ponieważ ważne jest, żebyście sami określili swój cel. *Nauczanie samo w sobie nie może zmierzać do określonego celu.* Może ono tylko wskazać ludziom najlepszą drogę do osiągnięcia ich własnych celów – jakiegokolwiek by one były. Zagadnienie celu jest bardzo ważnym zagadnieniem. Dopóki człowiek nie określi swojego własnego celu, to nie będzie on nawet w stanie zacząć cokolwiek “czynić”. Jak możliwe jest “czynienie” czegokolwiek, jeśli się nie ma celu? “Czynienie” nade wszystko zakłada cel.

– Ale pytanie o cel istnienia jest jednym z najtrudniejszych pytań filozoficznych – rzekł jeden z obecnych. – Chcesz, żebyśmy rozpoczęli od odpowiedzi na to pytanie. Ale być może właśnie przyszliśmy tutaj, ponieważ szukamy odpowiedzi na to pytanie. Oczekujesz od nas, żebyśmy ją już naprzód znali. Jeśli człowiek ją zna, to naprawdę już wszystko wie.

– Źle mnie zrozumiałeś – powiedział G. – Nie mówiłem o celu istnienia w znaczeniu filozoficznym. Człowiek nie zna go i dopóki pozostanie taki, jaki jest, nie może go znać. A to przede wszystkim dlatego, że istnieje nie jeden, ale wiele celów istnienia. Co więcej, próby udzielenia odpowiedzi na to pytanie za pomocą zwykłych metod są całkowicie bezcelowe i bezużyteczne. Ja pytałem o coś zupełnie innego. Ja pytałem o twój *osobisty* cel, o to, co *ty* chcesz osiągnąć, a nie o przyczynę twego istnienia. Każdy musi mieć swój własny cel; jeden człowiek chce bogactwa, inny zdrowia, trzeci chce królestwa niebieskiego, czwarty chce być generałem, itd. Ja pytam o cele tego rodzaju. Jeśli powiesz mi, co jest twoim celem, to wtedy będę mógł ci powiedzieć, czy idziemy wzdłuż tej samej drogi, czy nie.

Pomyślcie o tym, jak sformułowaliście swój własny cel, zanim przyszlście tutaj.

– Ja dość jasno sformułowałem swój cel już kilka lat temu – odpowiedziałem. – Powiedziałem sobie wtedy, że chcę *znać przyszłość*. Teoretycznie podchodząc do tego pytania, doszedłem do wniosku, że *można* znać przyszłość i kilka razy udało mi się nawet doświadczalnie poznać dokładnie przyszłość. Wywnioskowałem z tego, że powinniśmy, mamy prawo znać przyszłość, oraz że dopóki jej nie znamy, dopóty nie będziemy w stanie zorganizować naszego życia.

Z tym pytaniem wiązało się dla mnie bardzo dużo. Uważałem na przykład, że człowiek może wiedzieć i ma prawo wiedzieć, ile dokładnie czasu mu zostało, ile

czasu ma do swojej dyspozycji – innymi słowy: może on i ma prawo znać dzień i godzinę swojej śmierci. Zawsze myślałem, że żyć nie wiedząc tego, to dla człowieka poniżające i pewnego razu postanowiłem, że nie zacznę niczego robić, w jakimkolwiek sensie, dopóki tego nie będę wiedział. Bo jaki ma sens rozpoczynanie jakiegokolwiek pracy, kiedy się nie wie, czy będzie się miało czas na jej skończenie, czy nie?

– Bardzo dobrze – powiedział G. – Pierwszym celem jest poznanie przyszłości. Kto jeszcze może sformułować swój cel?

– Chciałbym przekonać się, że będę istniał po śmierci ciała fizycznego i, jeśli to zależy ode mnie, chciałbym pracować po to, by istnieć po śmierci – rzekł ktoś inny.

– Nie obchodzi mnie to, czy znam przyszłość, czy nie, ani to, czy jestem pewien życia po śmierci, czy nie, jeśli pozostanę taki, jaki jestem teraz – powiedział jeszcze ktoś. – To co czuję najmocniej to to, że nie jestem panem samego siebie, i jeśli miałbym sformułować mój cel, to powinienem powiedzieć, że chcę być *panem samego siebie*.

– Ja chciałbym zrozumieć nauczanie Chrystusa i być chrześcijaninem w prawdziwym tego słowa znaczeniu – powiedziała inna osoba.

– A ja chciałbym móc *pomagać ludziom* – powiedział jeszcze ktoś.

– Ja chciałbym wiedzieć, jak powstrzymać wojny – rzekł inny.

– Dobrze, to już wystarczy – powiedział G. – Mamy teraz wystarczający materiał, by móc kontynuować. Najlepszym sformułowaniem spośród tych zaprezentowanych jest pragnienie bycia panem samego siebie. Bez tego nic innego nie jest możliwe i bez tego nic innego nie będzie miało żadnej wartości. Ale zacznijmy od pierwszego pytania, czy też od pierwszego celu.

Aby znać przyszłość, trzeba najpierw znać teraźniejszość we wszystkich szczegółach, jak również trzeba znać przeszłość. *Dzisiaj* jest takie, jakie jest, ponieważ *wczoraj* było takie, jakie było. I jeśli dzisiaj jest takie jak wczoraj, to jutro będzie takie jak dzisiaj. Jeśli chcesz, żeby jutro było inne, to musisz dzisiaj uczynić inne. Jeśli dzisiaj jest po prostu konsekwencją wczoraj, to dokładnie w ten sam sposób jutro będzie konsekwencją dnia dzisiejszego. I jeśli zbadano się dokładnie, co zdarzyło się wczoraj, przedwczoraj, tydzień temu, rok czy dziesięć lat temu, to będzie można bezbłędnie powiedzieć, co się zdarzy jutro, a co nie. Ale obecnie nie dysponujemy wystarczającym materiałem, by móc poważnie rozpatrywać to pytanie. To, co się zdarzy lub może się z nami zdarzyć, zależy od jednej z trzech przyczyn: od przypadku, od przeznaczenia lub od naszej woli. Tacy, jacy jesteśmy, prawie całkowicie jesteśmy uzależnieni od przypadku. W prawdziwym znaczeniu tego słowa nie możemy mieć ani trochę więcej przeznaczenia niż woli. Gdybyśmy mieli wolę, to już samo to powinno umożliwić nam poznanie przyszłości, ponieważ powinniśmy wówczas stwarzać naszą

przyszłość, i to stwarzać ją taką, jaką chcemy, żeby była. Gdybyśmy mieli przeznaczenie, to również moglibyśmy znać przyszłość, ponieważ przeznaczenie odpowiada typowi. Jeśli typ jest znany, to jego przeznaczenie także może być znane, to znaczy zarówno przeszłość, jak i przyszłość. Natomiast przypadków nie da się przewidzieć. Dzisiaj człowiek jest taki, jutro inny; dzisiaj jedna rzecz mu się przydarza, jutro inna.

– Ale czy nie jesteś w stanie przewidzieć, co się zdarzy z każdym z nas? – zapytał ktoś. – To znaczy przepowiedzieć, co każdy z nas osiągnie w pracy nad sobą i czy w ogóle warto, żeby zaczynał pracować?

– Tego nie da się powiedzieć – odpowiedział G. – Przyszłość można przepowiedzieć tylko *ludziom*. Przepowiedzenie przyszłości *obłąkanym maszynom* jest niemożliwością. Ich kierunek co chwilę się zmienia. W jednej chwili maszyna tego rodzaju zmierza w jednym kierunku, i możesz wtedy wyliczyć, dokąd może ona podążać, ale pięć minut później zmierza już w zupełnie innym kierunku i wszystkie twoje obliczenia okazują się błędne. Zatem, zanim zaczniesz się mówić o przyszłości, trzeba wiedzieć, czyją przyszłość ma się na myśli. Jeśli człowiek chce znać swoją własną przyszłość, to musi on najpierw znać samego siebie. Wtedy zobaczy, czy warto jest znać przyszłość. Czasami być może lepiej jest jej nie znać.

To brzmi paradoksalnie, ale mamy wszelkie prawo do tego, by powiedzieć, że znamy naszą przyszłość. Będzie ona dokładnie taka sama, jaka była nasza przeszłość. Nic się nie zmienia samo przez się.

I w praktyce, aby poznawać przyszłość, trzeba nauczyć się spostrzegać i zapamiętywać chwile, kiedy naprawdę znamy przyszłość i kiedy działamy zgodnie z tą wiedzą. Z kolei sądząc po rezultatach, można będzie zademonstrować, że w rzeczywistości znamy przyszłość. Na przykład w prosty sposób dzieje się tak w interesach. Każdy dobry kupiec zna przyszłość. Jeśli jej nie zna, to plajtuje. W pracy nad sobą trzeba być dobrym człowiekiem interesu, dobrym kupcem. Poznanie przyszłości ma jakikolwiek sens tylko pod warunkiem, że człowiek potrafi być panem samego siebie.

Postawiono tutaj pytanie na temat przyszłego życia – pytanie o to, jak je stworzyć, jak uniknąć ostatecznej śmierci, jak nie umrzeć?

Do tego trzeba "być". Jeśli człowiek zmienia się co minutę, jeśli nie istnieje w nim nic, co może oprzeć się zewnętrznym wpływom, to znaczy, że nie istnieje w nim nic, co może oprzeć się śmierci. Ale jeśli uniezależni się on od zewnętrznych wpływów, jeśli pojawi się w nim coś, co może żyć *samo przez się*, wtedy to coś może nie umrzeć. W zwykłych okolicznościach w każdej chwili umieramy. Zewnętrzne wpływy się zmieniają i my wraz z nimi, to znaczy wiele spośród naszych "ja" umiera. Jeśli człowiek rozwinie w sobie trwałe "Ja", które może przeżyć zmianę warunków zewnętrznych, to takie "Ja" może przeżyć też śmierć

fizycznego ciała. Cała tajemnica leży w tym, że nie można pracować na przyszłe życie, nie pracując jednocześnie na to obecne. Pracując na życie, człowiek pracuje na śmierć, czy raczej na nieśmiertelność. Zatem pracy na nieśmiertelność, jeśli można tak ją nazwać, nie da się oddzielić od ogólnej pracy. Osiągając jedno, człowiek osiąga drugie. Człowiek może usiłować być tylko dla dobra swoich własnych, życiowych interesów. I przez samo to może on stać się nieśmiertelny. Nie zajmujemy się specjalnie przyszłym życiem i nie badamy, czy ono istnieje, czy nie, ponieważ prawa są wszędzie takie same. Badając swoje własne życie, tak jak człowiek je zna, jak również życie innych ludzi od narodzin do śmierci, poznaje on wszystkie prawa, które rządzą życiem, śmiercią i nieśmiertelnością. Jeśli stanie się panem swego życia, to może stać się panem własnej śmierci.

Innym pytaniem było: *jak stać się chrześcijaninem ?*

Przede wszystkim trzeba zrozumieć, że chrześcijanin to nie jest człowiek, który sam siebie nazywa chrześcijaninem albo którego inni nazywają chrześcijaninem. Chrześcijaninem jest ten, kto żyje w zgodzie z naukami Chrystusa. Tacy, jacy jesteśmy, nie możemy być chrześcijanami. By być chrześcijanami, musimy być w stanie "czynić". My nie możemy "czynić"; z nami wszystko "się zdarza". Chrystus mówi: "Miłujcie nieprzyjaciół waszych", ale czy my możemy miłować naszych nieprzyjaciół, skoro nie możemy nawet miłować naszych przyjaciół? Czasami "to miłuje" i czasami "to nie miłuje". Tacy, jacy jesteśmy, nie możemy naprawdę pragnąć bycia chrześcijanami, ponieważ – znowu czasami "to pragnie" i czasami "to nie pragnie". Nie można przez dłuższy czas pożądać jednej i tej samej rzeczy, ponieważ niespodziewanie zamiast pragnąć być chrześcijaninem, człowiek przypomina sobie bardzo dobry, ale bardzo drogi dywan, który widział w sklepie. Zamiast pragnąć być chrześcijaninem, zaczyna myśleć o tym, co zrobić, aby móc kupić ten dywan, całkowicie zapominając o chrześcijaństwie. Albo jeśli ktoś inny nie wierzy w to, jakim on jest wspaniałym chrześcijaninem, to będzie gotów zjeść go żywcem lub upiec na gorących węglach. Aby być dobrym chrześcijaninem, trzeba *być*. Być, to znaczy być panem, samego siebie. Jeśli człowiek nie jest panem samego siebie, to nic nie posiada i niczego nie może posiadać. I nie może on być chrześcijaninem. Jest po prostu maszyną, robotem. Maszyna nie może być chrześcijaninem. Sami pomyślcie, czy samochód, maszyna do pisania lub gramofon może być chrześcijaninem? Są to po prostu rzeczy kontrolowane przez przypadek. Nie są one odpowiedzialne. Są maszynami. Bycie chrześcijaninem oznacza bycie odpowiedzialnym. Odpowiedzialność przychodzi później, kiedy człowiek choćby w części przestaje być maszyną i zaczyna faktycznie, a nie tylko w słowach, pragnąć być chrześcijaninem.

– Jaki jest stosunek objaśnionego przez Ciebie nauczania do chrześcijaństwa takiego, jakie znamy? – zapytał ktoś z obecnych.

– Nie wiem, co ty wiesz o *chrześcijaństwie* – odpowiedział G. kładąc nacisk na to ostatnie słowo. – Trzeba by bardzo dużo rozmawiać, i to przez długi czas, by wyjaśnić, co rozumiesz pod tym pojęciem. Ale dla dobra tych, którzy już to wiedzą, powiem, jeśli ci się to podoba, że *chodzi tu o ezoteryczne chrześcijaństwo*. We właściwym czasie będziemy mówić o znaczeniu tych słów. Obecnie będziemy kontynuować omawianie naszych pytań.

Spośród wyrażonych pragnień najwłaściwsze jest pragnienie bycia *panem samego siebie*, ponieważ bez tego nic nie jest możliwe. I w porównaniu z tym pragnieniem wszystkie pozostałe pragnienia są tylko dziecinnymi marzeniami; pragnieniami, z których człowiek nie miałby pożytku, nawet jeśli zostałyby one spełnione.

Na przykład zostało powiedziane, że ktoś chciałby pomagać ludziom. Aby móc *pomagać ludziom*, trzeba najpierw nauczyć się pomagać samemu sobie. Bardzo wielu ludzi poświęca swe uczucia i myśli pomaganiu innym, po prostu z lenistwa. Są oni zbyt leniwi, by pracować nad sobą; i jednocześnie sprawia im przyjemność myślenie o tym, że są w stanie pomagać innym. Oznacza to, że są zakłamani i nieszczerzy wobec samych siebie. Jeśli człowiek spojrzy na siebie takiego, jakim rzeczywiście jest, to nie zacznie on myśleć o pomaganiu innym ludziom; będzie się wstydził o tym myśleć. Miłość do rodzaju ludzkiego, altruizm, to bardzo piękne słowa, ale mają one znaczenie tylko wtedy, gdy człowiek jest w stanie z własnego wyboru i w wyniku własnej decyzji kochać albo nie kochać, być altruistą albo egoistą. Wtedy jego wybór ma wartość. Ale jeśli nie ma on żadnego wyboru, jeśli nie może być inny, jeśli jest tylko taki, jakim uczynił go lub uczyni przypadek – dzisiaj jest altruistą, jutro egoistą, pojutrze znowu altruistą. – to nie ma w tym żadnej wartości. Po to by pomagać innym, trzeba najpierw nauczyć się być egoistą. Tylko świadomy egoista może pomagać ludziom. Tacy, jakimi jesteśmy, nic nie możemy zrobić. Człowiek postanawia być egoistą, ale zamiast tego oddaje swoją ostatnią koszulę. Postanawia oddać swoją ostatnią koszulę, ale zamiast tego zabiera ostatnią koszulę człowiekowi, któremu miał zamiar dać własną koszulę. Albo postanawia oddać swoją koszulę, ale oddaje koszulę kogoś innego i jest obrażony, jeśli ta osoba odmówi mu oddania swojej koszuli, by mógł ją komuś ofiarować. To zdarza się najczęściej. I tak się toczy życie.

By robić coś trudnego, trzeba najpierw nauczyć się robić to, co jest łatwe. Nie można zaczynać od najtrudniejszego.

Zadano pytanie na temat wojny: *Jak powstrzymać wojny?* Wojen da się powstrzymać. Wojna jest wynikiem niewoli, w jakiej żyją ludzie. Mówiąc dokładniej, ludzi nie można winić za wojnę. Wojna jest wynikiem kosmicznych sił i wpływów planetarnych. Ale w ludziach nie istnieje żaden opór względem tych wpływów, i nie może istnieć, ponieważ ludzie są niewolnikami. Gdyby byli *ludźmi* i mogli "czynić", byłiby w stanie oprzeć się tym wpływom i powstrzymać od

zabijania się nawzajem.

– Ale z pewnością ci, którzy zdaje sobie z tego sprawę, mogą coś zrobić? – spytał mężczyzna, który zadał pytanie na temat wojny. – Jeśli wystarczająca liczba ludzi podjęłaby stanowczą decyzję, że nie powinno być wojny, to czyż nie mogliby oni wpłynąć na innych?

– Ci, którzy czuje odrazę do wojny, próbowali to robić od samego stworzenia świata – powiedział G. – A jednak nigdy jeszcze nie było takiej wojny jak ta obecna. Liczba wojen nie zmniejsza się, ale zwiększa, i zwykłymi środkami nie można ich powstrzymać. Wszystkie teorie na temat światowego pokoju, konferencje pokojowe itp., to z kolei tylko lenistwo i hipokryzja. Ludziom nie chce się myśleć o sobie, nie chce się pracować nad sobą i zastanawiają się tylko, jak spowodować, by inni robili to, czego oni by chcieli. Jeśli dostateczna liczba ludzi, którzy chcieliby powstrzymać wojnę; rzeczywiście zebraliby się razem, to najpierw wszczęliby wojnę przeciwko tym, którzy się z nimi nie zgadzają. I jeszcze pewniejsze jest to, że wywołaliby oni wojnę przeciwko ludziom, którzy też pragną powstrzymać wojnę, ale w inny sposób. A zatem zaczęliby walczyć ze sobą. Ludzie są tacy, jacy są, i nie mogą być inni. Wiele przyczyn wojny nie jest nam znanych. Niektóre przyczyny znajduje się w samych ludziach, inne poza nimi. Trzeba zacząć od przyczyn, które tkwią w samym człowieku. Jak może być on niezależny od zewnętrznych wpływów wielkich sił kosmicznych, skoro jest on niewolnikiem wszystkiego, co go otacza? Jest on kontrolowany przez wszystko, co znajduje się wokół niego. Jeśli uwolni się od rzeczy, to wtedy będzie też mógł uwolnić się od planetarnych wpływów.

Wolność, wyzwolenie – to musi być celem człowieka. Stanie się wolnym, wyzwolenie się z niewoli – o to powinien walczyć człowiek, kiedy staje się choć trochę świadomy swojego położenia. Nic innego dla niego nie istnieje i nic innego nie jest możliwe dopóty, dopóki pozostaje on zarówno wewnątrz, jak i na zewnątrz niewolnikiem. Ale nie może on zewnętrznie przestać być niewolnikiem, jeśli pozostaje niewolnikiem wewnątrz. Zatem by stać się wolnym, człowiek musi osiągnąć wewnętrzną wolność.

Pierwszym powodem wewnętrznej niewoli człowieka jest jego niewiedza, a nade wszystko nieznanie samego siebie. Bez poznania siebie, bez zrozumienia działania i funkcji swojej maszyny człowiek nie może stać się wolnym, nie może sobą rozporządzać i na zawsze pozostanie on niewolnikiem, zabawką dla sił, które na niego oddziałują.

To dlatego we wszystkich pradawnych nauczaniach pierwszym wymaganiem stawianym temu, kto wstąpił na drogę prowadzącą do wyzwolenia było: *“Poznaj samego siebie”*.

Teraz rozważmy te słowa.

Następny wykład zaczął się od słów: *“Poznaj samego siebie”*.

– Te słowa – powiedział G. – które z reguły przypisuje się Sokratesowi, w rzeczywistości leży u podstaw wielu systemów i szkół o wiele dawniejszych niż nauczanie Sokratesa. Ale choć myśl współczesna świadoma jest istnienia tej zasady, to ma ona tylko bardzo mgliste pojęcie o jej znaczeniu i wadze. Zwykły człowiek naszych czasów, nawet człowiek o filozoficznych lub naukowych zainteresowaniach, nie zdaje sobie sprawy z tego, że zasada “poznaj samego siebie” mówi o konieczności znajomości własnej “ludzkiej maszyny”. U wszystkich ludzi maszyny skonstruowane są mniej więcej w ten sam sposób; a więc człowiek musi przede wszystkim poznać strukturę, funkcję i prawa swojego organizmu. W ludzkiej maszynie wszystko jest nawzajem połączone tak, że jedna rzecz jest uzależniona od innej i poznawanie jednej funkcji bez poznania wszystkich pozostałych funkcji jest zupełnie niemożliwe. Aby znać jedną rzecz, trzeba znać wszystko. Poznanie *wszystkiego* w człowieku jest możliwe, ale wymaga to wiele czasu i wielkiego nakładu pracy, a nade wszystko zastosowania właściwej metody i – co jest równie ważne, właściwego pokierowania.

Zasada “poznaj samego siebie” ma bardzo bogatą treść. Przede wszystkim wymaga ona, by człowiek, który chce znać samego siebie, zrozumiał, co to znaczy, z czym się to wiąże i od czego to musi zależeć.

Poznanie siebie jest bardzo wielkim, ale też bardzo mglistym i odległym celem. Człowiek w swoim obecnym stanie jest bardzo daleki od poznania siebie. Zatem – mówiąc dokładniej – nie można nawet określić jego celu jako poznanie siebie. Poznawanie siebie musi stać się jego wielkim celem. Całkiem wystarczy, jeśli człowiek zrozumie, że powinien poznawać siebie. A zatem celem człowieka musi stać się poznawanie *i poznanie samego siebie* we właściwy sposób.

Poznawanie siebie jest pracą, czy też drogą, która prowadzi do poznania siebie.

Ale by poznawać siebie, trzeba najpierw nauczyć się tego, *jak poznawać*, od czego zacząć, jakich używać metod. Człowiek musi nauczyć się tego, jak poznawać siebie i musi także poznawać metody poznawania siebie.

Podstawową metodą poznawania siebie jest obserwacja siebie. Bez właściwie zastosowanej obserwacji siebie człowiek nigdy nie zrozumie związku i wzajemnej relacji pomiędzy funkcjami swojej maszyny, nigdy nie zrozumie tego, w jaki sposób i dlaczego przy różnych okazjach wszystko się w nim “zdarza”.

Ale nauczenie się metod obserwacji siebie i właściwego poznawania siebie wymaga pewnego zrozumienia funkcji i cech charakterystycznych ludzkiej maszyny. A więc przy obserwacji funkcji ludzkiej maszyny konieczne jest zrozumienie właściwych podziałów obserwowanych funkcji i umiejętność dokładnego i natychmiastowego ich definiowania. I to definiowanie nie może być werbalne, musi być wewnętrzne: poprzez smak, poprzez doznanie – dokładnie w ten sam sposób, w jaki definiujemy wszystkie wewnętrzne doświadczenia.

Istnieją dwie metody obserwacji siebie: *analiza* albo też próby analizy (to znaczy próby znalezienia odpowiedzi na pytania: od czego pewna rzecz jest uzależniona i dlaczego ona się zdarza) i metoda, która polega na rejestrowaniu, po prostu *odnotowywaniu* w umyśle tego, co w danym momencie jest obserwowane.

Obserwacja siebie, szczególnie na początku, nie może pod żadnym pozorem stać się analizą lub próbami analizy. Analiza stanie się możliwa dopiero znacznie później, kiedy człowiek pozna już wszystkie funkcje swojej maszyny i wszystkie rządzące nią prawa.

Człowiek próbując zanalizować jakieś zjawisko, na które w sobie natrafia, z reguły zadaje sobie pytania: "Co to jest? Dlaczego dzieje się to w taki, a nie w inny sposób?" I zaczyna szukać odpowiedzi na te pytania, zapominając zupełnie o dalszych obserwacjach. Zagłębiając się coraz bardziej w te pytania, gubi on całkowicie nic obserwacji siebie i nawet o niej zapomina. Obserwacja zatrzymuje się. Jasno z tego wynika, że tylko jedna rzecz może się toczyć dalej: albo obserwacja, albo próby analizy.

Ale nawet niezależnie od tego, próby analizowania poszczególnych zjawisk bez znajomości ogólnych praw są zupełnie bezużyteczną stratą czasu. Zanim analizowanie, choćby najbardziej podstawowych zjawisk, stanie się możliwe, człowiek musi zgromadzić – poprzez "odnotowywanie" – dostateczną ilość materiału. "Odnotowywanie" będące wynikiem bezpośredniej obserwacji tego, co się dzieje w danej chwili, jest najważniejszym materiałem w pracy nad poznawaniem siebie. Kiedy już zgromadzono pewną liczbę "nagrań", i kiedy – jednocześnie – prawa są już do pewnego stopnia poznane i rozumiane, wtedy analiza staje się możliwa.

Od samego początku obserwacja, czy też "odnotowywanie", musi opierać się na zrozumieniu podstawowych zasad działania ludzkiej maszyny. Właściwe zastosowanie obserwacji siebie jest niemożliwe bez znajomości tych zasad, bez nieustannego pamiętania o nich. Zatem zwykła obserwacja siebie, w którą wszyscy ludzie są zaangażowani przez całe ich życie, jest całkowicie bezużyteczna i prowadzi donikąd.

Obserwacja musi zacząć się od podziału funkcji. Cała aktywność ludzkiej maszyny dzieli się na cztery dokładnie zdefiniowane grupy, z których każda jest kontrolowana przez swój własny "umysł" czy "centrum". Obserwując siebie, człowiek musi rozróżniać cztery podstawowe funkcje swojej maszyny: myślową, emocjonalną, ruchową i instynktową. Każde obserwowane w sobie przez człowieka zjawisko odnosi się do jednej lub innej z tych funkcji. Zatem, zanim człowiek zacznie obserwować, musi pojąć, czym te funkcje różnią się między sobą: co oznacza aktywność intelektualna, co oznacza aktywność emocjonalna, co oznacza aktywność ruchowa i co oznacza aktywność instynktowa.

Obserwacja musi zacząć się od samego początku. Całe dotychczasowe doświadczenie i rezultaty wszelkiej dotychczasowej obserwacji siebie należy odłożyć na bok. Mogą one zawierać wiele wartościowego materiału. Ale cały ten materiał opiera się na błędnym podziale obserwowanych funkcji i sam w sobie jest on błędnie podzielony. Nie może zatem być użyteczny, a w każdym razie nie może być użyteczny na początku pracy nad poznawaniem siebie. To, co jest w nim wartościowe, we właściwym czasie zostanie wykorzystane. Ale trzeba zacząć od samego początku. Człowiek musi rozpocząć obserwację siebie tak, jakby wcale siebie nie znał, jakby nigdy przedtem siebie nie obserwował.

Kiedy zaczyna on siebie obserwować, to od razu musi określić, do której grupy, do którego centrum należy zjawisko, które w danym momencie jest przez niego obserwowane. Niektórym ludziom trudno jest zrozumieć różnicę między myślą i czuciem, innym trudno zrozumieć różnicę między czuciem i doznaniem albo między myślą i impulsem ruchowym. Mówiąc bardzo ogólnie, można powiedzieć, że funkcja umysłowa działa zawsze przez porównanie. Intelktualne wnioski są zawsze wynikiem porównania ze sobą dwóch lub większej liczby wrażeń. Doznanie i emocja nie rozumują, nie porównują, określają one po prostu dane wrażenie poprzez jego aspekt, poprzez to, czy jest ono – w tym lub innym znaczeniu – przyjemne lub nieprzyjemne, poprzez jego kolor, smak, zapach. Co więcej, *doznania* mogą być obojętne – ani ciepłe, ani zimne; ani przyjemne, ani nieprzyjemne; "biały papier", "czerwony ołówek". W doznaniu bieli czy czerwieni nie ma niczego przyjemnego czy nieprzyjemnego. W każdym razie niekoniecznie musi być coś przyjemnego lub nieprzyjemnego, związanego z tym lub tamtym kolorem. Te doznania pochodzące z tak zwanych "pięciu zmysłów", jak również inne, takie jak doznanie ciepła, zimna, itd., są doznaniem instynktowymi. Funkcje czuciowe, czy też emocje, są zawsze przyjemne lub nieprzyjemne; obojętne emocje nie istnieją.

Trudność w rozróżnianiu funkcji potęguje fakt, że ludzie bardzo różnią się między sobą sposobem, w jaki odczuwają swoje funkcje. To jest to, czego normalnie nie rozumiemy. Uważamy, że ludzie są do siebie bardziej podobni, niż to się ma w rzeczywistości. Albowiem w rzeczywistości istnieją pomiędzy nimi wielkie różnice, jeśli chodzi o formy i metody postrzegania. Niektórzy postrzegają głównie swoim umysłem, inni za pomocą swojego czucia, a jeszcze inni poprzez doznania. I jest rzeczą bardzo trudną, niemal niemożliwą dla ludzi różnych kategorii i o różnych sposobach postrzegania, zrozumieć się nawzajem, ponieważ nadają oni jednej i tej samej rzeczy różne nazwy; a z kolei różne rzeczy określają za pomocy tej samej nazwy. Oprócz tego możliwych jest jeszcze wiele innych kombinacji. Jeden człowiek postrzega poprzez myśli i doznania, inny poprzez myśli i uczucia, itd. Taki czy inny sposób postrzegania natychmiast łączy się z takim lub innym sposobem reakcji na zewnętrzne wydarzenia. Wynik tej różnicy w postrzeganiu i w reagowaniu na wydarzenia zewnętrzne wyraża się dwójako: po pierwsze, poprzez fakt, że ludzie nawzajem

się nie rozumieją, a po drugie, poprzez to, że sami siebie nie rozumieją. Bardzo często człowiek nazywa swoje myśli czy też swoje spostrzeżenia intelektualne swoimi uczuciami, swoje uczucia nazywa swoimi myślami, a swoje doznania nazywa swoimi uczuciami. To ostatnie zdarza się najczęściej. Jeśli dwoje ludzi w różny sposób postrzega tę samą rzecz – powiedzmy, że jeden postrzega, ją za pomocą czucia, a inny za pomocą doznania – to mogą oni spierać się przez całe życie i nigdy nie zrozumieć tego, na czym polega różnica w ich postawie wobec danego przedmiotu. W rzeczywistości jeden z nich dostrzega jeden jego aspekt, a drugi dostrzega aspekt inny.

Po to by znaleźć sposób na rozróżnianie, musimy zrozumieć, że każda normalna funkcja psychiczna jest środkiem lub narzędziem poznania. Za pomocą umysłu możemy postrzec jeden aspekt rzeczy i wydarzeń, za pomocą emocji – inny aspekt, a za pomocą doznań aspekt trzeci. Natomiast bardziej całościowe, możliwe dla nas poznanie danego tematu można osiągnąć tylko wówczas, gdy badamy go jednocześnie za pomocą naszych myśli, uczuć i doznań. Każdy człowiek, który dąży do zdobycia prawdziwego poznania, musi postawić sobie za cel możliwość osiągnięcia takiego postrzegania. W zwykłych warunkach człowiek widzi świat przez skrzywione, chropowate okno. I jeśli nawet zda sobie z tego sprawę, to i tak niczego nie może zmienić. Ten czy inny rodzaj postrzegania zależy od pracy całego jego organizmu. Wszystkie funkcje są połączone i wzajemnie się równoważą; wszystkie funkcje dążą do tego, by zachować stan, w którym się znajdują. A zatem kiedy człowiek zaczyna siebie poznawać, musi zrozumieć, że jeśli odkryje w sobie coś, co mu się nie podoba, to nie będzie w stanie tego zmienić. *Poznawanie* to jedna rzecz; *a zmienianie* to co innego. Ale poznawanie jest pierwszym krokiem ku możliwości zmiany w przyszłości. I na początku, by siebie poznawać, człowiek musi zrozumieć, że przez długi czas cała jego praca będzie polegać wyłącznie na poznawaniu.

W zwykłych warunkach zmiana jest niemożliwa, ponieważ chcąc coś zmienić, człowiek chce zmienić tylko tę jedną rzecz. Ale w maszynie wszystko jest nawzajem połączone i każdą funkcję nieuchronnie równoważy jakaś inna funkcja, albo cały zestaw innych funkcji, choć sami nie jesteśmy świadomi tych wzajemnych połączeń pomiędzy różnymi funkcjami. We wszystkich szczegółach, w każdej chwili swego działania, maszyna znajduje się w stanie równowagi. Jeśli człowiek zaobserwuje w sobie coś, co mu się nie podoba, i będzie usiłował to zmienić, to może zdoła osiągnąć pewien wynik. Ale w połączeniu z tym wynikiem nieuchronnie osiągnie on inny wynik, którego wcale nie oczekiwał ani nie pragnął, i którego nie mógł się spodziewać. Dążąc do zburzenia, do unicestwienia wszystkiego, co mu się nie podoba, czyniąc wysiłki w tym kierunku, narusza on istniejącą równowagę maszyny. Maszyna dąży do odbudowania równowagi i odbudowuje ją, tworząc nową funkcję, której człowiek nie mógł przewidzieć. Na przykład człowiek może zaobserwować, że jest bardzo roztargniony, że o wszystkim zapomina, wszystko gubi, itd. Zaczyna zmagać się

z tym nawykiem i jeśli jest dostatecznie zdyscyplinowany i zdeterminowany, to po pewnym czasie udaje mu się osiągnąć upragniony rezultat: przestaje zapominać i gubić rzeczy. On to spostrzega, ale pojawia się też coś innego, czego nie spostrzega, a co spostrzegają inni, mianowicie, że stał się drażliwy, pedantyczny, tak jakby szukał dziury w całym, nieprzyjemny. Drażliwość pojawiła się w rezultacie utraty roztargnienia. Dlaczego? Tego nie da się powiedzieć. Tylko dokładna analiza poszczególnych cech charakterystycznych człowieka może wskazać, dlaczego utrata pewnej cechy spowodowała pojawienie się innej.

Nie oznacza to, że utrata roztargnienia musi koniecznie prowadzić do pojawienia się drażliwości. Równie łatwo może się pojawić jakaś inna cecha charakterystyczna, która nie ma żadnego związku z roztargnieniem, na przykład skąpstwo czy zawiść, lub coś innego.

Jeśli zatem pracuje się nad sobą właściwie, to trzeba uwzględnić możliwe zmiany uzupełniające, i z góry brać je w rachubę. Tylko w ten sposób można uniknąć niepożądanych zmian czy też pojawienia się cech, które są zupełnie sprzeczne z celem i kierunkiem pracy.

Ale w ogólnym planie pracy i funkcji ludzkiej maszyny istnieją pewne punkty, w których można spowodować zmianę bez wywołania jakichkolwiek dodatkowych skutków. Trzeba znać te punkty i trzeba wiedzieć, jak do nich podejść, bo jeśli się *od nich* nie zacznie, to nie osiągnie się żadnego wyniku albo pojawią się wyniki złe i niepożądane.

Po ustaleniu we własnym umyśle różnicy pomiędzy funkcjami (intelektualną, emocjonalną i ruchową) człowiek obserwując siebie musi natychmiast przyporządkować swoje wrażenia odpowiedniej kategorii. I najpierw musi on odnotowywać tylko takie obserwacje, co do których nie ma żadnych wątpliwości, to znaczy takie, przy których od razu widzi, do jakiej należą kategorii. Musi on odrzucić wszystkie niejasne i wątpliwe przypadki, i zapamiętywać tylko te, co do których nie ma żadnych wątpliwości. Jeśli praca prowadzona jest we właściwy sposób, to liczba nie budzących wątpliwości obserwacji bardzo szybko wzrośnie. I okaże się, że to, co wcześniej wydawało się wątpliwe, jest w jasny sposób przynależne do pierwszego, drugiego lub trzeciego centrum.

Każde centrum ma swoją własną pamięć, swoje własne skojarzenia, swoje własne myślenie. W gruncie rzeczy każde centrum składa się z trzech części: myślowej, emocjonalnej i ruchowej. Ale my bardzo mało wiemy o tej stronie naszej natury. W każdym centrum znamy tylko jedną część. Jednakże obserwacja siebie bardzo szybko pokaże nam, że nasze życie umysłowe jest o wiele bogatsze, niż myślimy, a – w każdym razie – zawiera ono więcej możliwości, niż myślimy.

Podczas gdy przypatrujemy się pracy centrów, powinniśmy obserwować zarówno ich poprawne, jak i ich złe działanie, to znaczy wykonywanie pracy

jednego centrum przez drugie; usiłowanie czucia przez centrum myślowe lub udawanie przez nie, że ono czuje; usiłowanie myślenia przez centrum emocjonalne i usiłowanie myślenia i czucia przez centrum ruchowe. Jak zostało to już powiedziane, w pewnych wypadkach wykonywanie pracy jednego centrum przez inne może być przydatne, bo zachowuje ciągłość działalności umysłowej. Ale stając się nawykiem, staje się jednocześnie szkodliwe, ponieważ zaczyna kolidować z działaniem właściwym, umożliwiając każdemu z centrów "wymigiwanie się" od swoich bezpośrednich obowiązków i robienie tego, czego nie powinno ono robić, ale co mu najbardziej w danym momencie odpowiada. W normalnym zdrowym człowieku każde centrum wykonuje swoją pracę, to znaczy pracę, do której zostało specjalnie przeznaczone i którą najlepiej umie wykonywać. Bywają w życiu sytuacje, z którymi może sobie poradzić tylko centrum myślowe, i tylko ono umie znaleźć z nich wyjście. Jeśli zamiast niego w tym momencie zacznie pracować centrum emocjonalne, to ono wszystko pogmatwa i skutek tej kolizji będzie zupełnie niezadowolający. W człowieku niezrównoważonym zastępowanie jednego centrum przez drugie odbywa się prawie przez cały czas; i to jest dokładnie to, co nazywa się "byciem niezrównoważonym" lub "neurotycznym". Każde centrum dąży jakby do tego, by wykonywać pracę innego centrum, do której nie jest ono przystosowane.

Centrum emocjonalne pracujące zamiast centrum myślowego powoduje niepotrzebne zdenerwowanie, gorączkowość i pośpiech w sytuacjach, gdzie, przeciwnie, potrzebny jest spokojny osąd i rozwaga. Centrum myślowe pracujące zamiast centrum emocjonalnego przynosi rozwagę w sytuacjach, które wymagają szybkiej decyzji, i czyni ono człowieka niezdolnym do rozróżnienia osobliwości i subtelności danej pozycji. Myśl jest zbyt wolna. Wypracowuje ona pewien plan działania i dalej za nim podąża, nawet wówczas, gdy okoliczności już się zmieniły i potrzebny jest zupełnie inny tok działania. Oprócz tego w niektórych wypadkach zakłócenie, wywołane przez centrum myślowe, powoduje powstanie całkowicie błędnych reakcji, ponieważ centrum myślowe jest po prostu niezdolne do zrozumienia odcieni i odrębności wielu wydarzeń. Wydarzenia, które dla centrum ruchowego i centrum emocjonalnego są całkowicie odmienne, jemu wydają się podobne. Podejmowane przez nie decyzje są zbyt ogólne i nie odpowiadają decyzjom, jakie podjęłoby centrum emocjonalne. Staje się to zupełnie jasne, jeśli wyobrazimy sobie zakłócenia spowodowane przez myśl, to znaczy przez teoretyczny umysł, na obszarze czucia, doznawania czy ruchu; we wszystkich trzech przypadkach zakłócenia wywołane przez umysł prowadzą do całkowicie niepożądanych skutków.

Umysł nie może zrozumieć odcieni czucia. Możemy to wyraźnie zobaczyć, jeśli wyobrazimy sobie człowieka rozumującego na temat emocji kogoś innego. On sam niczego nie czuje, a więc uczucia innej osoby dla niego nie istnieją. *Człowiek syty nie rozumie głodnego.* Ale dla tego drugiego, jego głód jest *całkowicie realny*. I decyzje pierwszego człowieka, to znaczy decyzje podjęte

przez umysł, nigdy go nie zadowolą.

Dokładnie w taki sam sposób umysł nie może docenić doznań. Dla niego są one martwe. Tak samo nie jest on w stanie kontrolować ruchu Tego rodzaju przykłady najłatwiej jest odnaleźć. Jakąkolwiek pracę człowiek by wykonywał, wystarczy tylko, że spróbuje podejmować każde działanie z rozmysłem, podążając swym umysłem za każdym ruchem, a natychmiast spostrzeże, że jakość jego pracy zmieni się. Jeśli pisze na maszynie, to jego palce, kontrolowane przez jego centrum ruchowe, same znajdują potrzebne litery. Ale jeśli przed każdym znakiem będzie się pytał na przykład: "Gdzie jest ,k'?" "Gdzie jest przecinek?" "Jak przeliterować to słowo?" – to od razu zacznie robić błędy albo pisać bardzo powoli. Jeśli samochód prowadzi się za pomocy umysłu, to można jechać tylko na najniższych biegach. Umysł nie może dotrzymać tempa wszystkim ruchom potrzebnym do rozwinięcia większej prędkości. Jechanie z pełną szybkością – szczególnie ulicami dużego miasta – i kierowanie jednocześnie samochodem za pomocą własnego umysłu, jest dla zwykłego człowieka całkowicie niemożliwe.

Centrum ruchowe pracujące zamiast centrum myślowego powoduje na przykład mechaniczne czytanie lub mechaniczne słuchanie, kiedy to człowiek czyta lub słyszy same tylko słowa i jest zupełnie nieświadomy tego, co czyta lub czego słucha. Z reguły zdarza się to wtedy, gdy uwaga – to znaczy kierunek działania centrum myślowego – zajęta jest czymś innym i kiedy to centrum ruchowe usiłuje zastąpić nieobecne centrum myślowe. Ale to bardzo łatwo przekształca się w nawyk, ponieważ centrum myślowe rozprasza zazwyczaj nie tyle pożyteczna praca, myśl czy kontemplacja, ile po prostu śnienie lub wyobraźnia.

Wyobraźnia jest jednym z podstawowych źródeł złej pracy centrów. Każde z centrów ma swoją własną formę wyobraźni i swoje własne formy śnienia na jawie; przy czym z zasady centrum ruchowe i emocjonalne wykorzystują centrum myślowe, które bardzo chętnie oddaje im się w tym celu do dyspozycji, ponieważ śnienie na jawie odpowiada jego własnym skłonnościom. Śnienie na jawie jest zupełnym przeciwieństwem pożytecznej działalności. "Pożyteczna działalność" oznacza w tym przypadku działalność skierowaną ku określonemu celowi, podjętą w celu osiągnięcia określonego rezultatu. Śnienie na jawie nie dąży do żadnego celu, nie dąży do żadnego wyniku. Przyczyna śnienia na jawie leży zawsze w centrum emocjonalnym lub-ruchowym. Sam proces przeprowadzony jest za pomocą centrum myślowego. Skłonność do śnienia na jawie jest częściowo wynikiem lenistwa centrum myślowego – to znaczy próbą unikania przezeń wysiłków związanych z pracą skierowaną ku określonemu celowi i zmierzającą w określonym kierunku – a częściowo jest ona wynikiem tendencji centrów emocjonalnego i ruchowego do powtarzania, podtrzymywania, czy też odtwarzania zarówno przyjemnych, jak i nieprzyjemnych doświadczeń, przeżytych lub "wyobrażonych" wcześniej.

Śnienie na jawie o nieprzyjemnych, ponurych rzeczach jest bardzo charakterystyczne dla niezrównoważonego stanu ludzkiej maszyny. Można w końcu zrozumieć śnienie na jawie, które jest przyjemne, i można znaleźć logiczne jego usprawiedliwienie. Ale nieprzyjemny rodzaj śnienia na jawie jest krańcowym absurdem. A jednak wielu ludzi spędza dziewięć dziesiątych swojego życia w takich to właśnie bolesnych snach na jawie, wyobrażając sobie nieszczęścia, jakie mogą przytrafić się im lub ich rodzinie, choroby, którymi mogą się zarazić, czy cierpienia, które będą musieli znosić.

“Wyobraźnia” i “ śnienie na jawie” są przykładami złej pracy centrum myślowego. Obserwowanie działania wyobraźni i śnienia na jawie stanowi ważną część poznawania siebie.

Kolejnym przedmiotem obserwacji siebie muszą stać się, ogólnie mówiąc, nawyki. Każdy dorosły człowiek składa się wyłącznie z nawyków, choć często sam nie zdaje sobie z tego sprawy, i nawet zaprzecza, że ma jakiegokolwiek nawyki. Nigdy tak się nie dzieje. Wszystkie trzy centra wypełniają nawyki i człowiek nie może poznać siebie, dopóki nie pozna wszystkich swoich nawyków. Obserwacja i poznawanie nawyków są szczególnie trudne, ponieważ aby je widzieć i “odnotowywać”, trzeba od nich uciec; uwolnić się od nich, choćby nawet na chwilę. Dopóki człowiekiem rządzi szczególny nawyk, dopóty nie może on go obserwować; ale za to już przy pierwszej, nawet bardzo słabej próbie walki z nim, człowiek czuje go i zauważa. Tak więc, by obserwować i poznawać nawyki, trzeba próbować z nimi walczyć. To otwiera możliwość praktycznej metody obserwacji siebie. Powiedziano wcześniej, że człowiek sam niczego nie może w sobie zmienić, że “może on tylko obserwować i “odnotowywać”. To prawda. Ale jest też prawdą, że człowiek nie może obserwować i czegokolwiek “odnotowywać”, jeśli nie próbuje sam ze sobą walczyć, to znaczy walczyć ze swoimi nawykami. Walka ta nie może dać bezpośrednich wyników, to znaczy nie może ona prowadzić do żadnej zmiany, szczególnie do stałej czy trwałej zmiany. Ale wskazuje ona na to, z czym mamy do czynienia. Bez walki człowiek nie może zobaczyć, z czego sam się składa. Walka z drobnymi nawykami jest bardzo trudna i nudna, ale bez niej obserwacja siebie jest niemożliwa.

Już przy pierwszej próbie poznawania elementarnej działalności centrum ruchowego człowiek natrafia na nawyki. Na przykład: człowiek może chcieć poznać swoje ruchy, chcieć obserwować, w jaki sposób chodzi. Ale nigdy nie uda mu się robić tego dłużej niż przez chwilę, jeśli będzie chodził tylko tak, jak zawsze chodzi. Jeśli jednak zrozumie, że na jego zwykły sposób chodzenia składa się pewna ilość nawyków – na przykład stawianie kroków o określonej długości, pewna ustalona szybkość chodzenia, itd. – i jeśli spróbuje zmienić te nawyki, to znaczy chodzić szybciej albo wolniej, stawiając większe lub mniejsze kroki, to wtedy będzie w stanie obserwować siebie i poznawać swoje ruchy podczas chodzenia. Jeśli człowiek chce obserwować siebie w trakcie pisania, to

musi zwrócić uwagę na to, w jaki sposób trzyma pióro i spróbować trzymać je inaczej niż zazwyczaj – wtedy obserwacja stanie się możliwa. By obserwować siebie człowiek musi próbować chodzić inaczej niż to zazwyczaj robi, musi siedzieć w pozycjach, do których nie nawykł, musi stać wtedy, gdy przyzwyczajony jest siedzieć, musi siedzieć, gdy przyzwyczajony jest stać, lewą ręką musi wykonywać ruchy, do których przyzwyczajona jest prawa ręka, i vice versa. Wszystko to umożliwi mu obserwowanie siebie i poznawanie nawyków oraz skojarzeń centrum ruchowego.

W sferze emocji bardzo przydatne jest podejmowanie walki z nawykiem natychmiastowego dawania wyrazu wszystkim nieprzyjemnym emocjom. Wielu ludziom bardzo trudno przychodzi powstrzymanie się od wyrażenia uczuć związanych ze złą pogodą. Jeszcze trudniej jest im nie wyrażać nieprzyjemnych emocji wtedy, kiedy czują, że coś lub ktoś narusza to, co oni mogą uważać za porządek czy sprawiedliwość.

Walka z wyrażaniem nieprzyjemnych emocji stanowi nie tylko bardzo dobrą metodę obserwacji siebie, ale ma ona także jeszcze inne znaczenie. Jest to jeden z niewielu kierunków, w jakich człowiek może podążać zmieniając siebie lub swoje nawyki i nie tworząc jednocześnie innych, niepożądanych nawyków. Dlatego obserwacji i poznawaniu siebie już od samego początku musi towarzyszyć *walka z wyrażaniem nieprzyjemnych emocji*.

Jeśli człowiek, obserwując siebie, trzyma się wszystkich tych zasad, to spostrzeże on całą serię bardzo ważnych aspektów swojego bycia. Najpierw z bezbłędną jasnością dostrzeże fakt, że jego działania, myśli, uczucia i słowa są wynikiem zewnętrznych wpływów i że nic nie pochodzi od niego samego. Zrozumie i zobaczy, że w rzeczywistości jest on automatem działającym pod wpływem zewnętrznych bodźców; poczuje swoją całkowitą mechaniczność. Wszystko "się zdarza", on niczego nie może "uczynić". Jest maszyną kontrolowaną przez przypadkowe, pochodzące z zewnątrz wstrząsy. Każdy wstrząs przywołuje na powierzchnię jedno z jego "ja". Przy nowym wstrząsie to "ja" znika i jego miejsce zajmuje inne "ja". Kolejna niewielka zmiana w otoczeniu i znowu pojawia się nowe "ja". Człowiek zaczyna wtedy rozumieć, że ma żadnej kontroli nad sobą, że nie wie, co powie lub zrobi w następnej chwili; zaczyna rozumieć, że nie może odpowiadać za siebie, nawet przez najkrótszy okres. Zrozumie, że jeśli pozostaje takim, jakim jest, nie robi niczego nieoczekiwanego, to tylko dlatego, że nie zachodzą żadne nieoczekiwane zmiany zewnętrzne. Zrozumie on, że jego działania są całkowicie kontrolowane przez warunki zewnętrzne i przekona się, w nim samym nie ma nic stałego, skąd mogłaby pochodzić kontrola, nie ma on nawet jednej stałej funkcji, ani jednego trwałego stanu.

Istniało kilka punktów w psychologicznych teoriach G., które wzbudzały we mnie szczególne zainteresowanie. Pierwszą sprawą była możliwość zmieniania siebie,

to znaczy fakt, że zaczynając obserwować siebie *we właściwy sposób*, człowiek natychmiast zaczyna się zmieniać i przekonuje się, że nigdy nie ma *racji*.

Drugą rzeczą było wymaganie "nie wyrażania nieprzyjemnych emocji". Od razu poczułem, że stoi za tym coś wielkiego. I przyszłość pokazała, że miałem rację, ponieważ poznawanie emocji i praca nad nimi stały się podstawą dalszego rozwoju całego systemu. Ale stało się to o wiele później.

Trzecia rzecz, która od razu przyciągnęła moją uwagę i o której zacząłem myśleć, gdy po raz pierwszy o niej usłyszałem, była idea *centrum ruchowego*. Podstawową sprawą, która mnie tutaj interesowała, było pytanie o przedstawiony przez G. stosunek funkcji ruchowych do funkcji instynktowych. Czy były one tym samym, czy czymś innym? I jeszcze dalej: jak się miały podziały przyjęte zwyczajowo przez psychologię do podziałów dokonywanych przez G.? Ja uważałem, że możliwe jest – z pewnymi zastrzeżeniami i uzupełnieniami – uznanie dotychczasowych podziałów działań człowieka, to znaczy głównie podziału na działania "świadome", działania "automatyczne" (które na początku muszą być świadome), działania "instynktowe" (celowe, ale bez świadomości celu) i "refleksy" proste oraz złożone, które nigdy nie są świadome i które w pewnych wypadkach mogą być niewskazane. Poza tym istniały jeszcze działania dokonywane pod wpływem ukrytych dyspozycji emocjonalnych albo nieznanymi wewnętrznymi impulsów.

G. postawił tę całą strukturę na głowie.

Po pierwsze odrzucił on zupełnie działania "świadome", ponieważ jak to wynikało z tego, co powiedział – nic świadomego nie istniało. Pojęcie "nieświadomy", które w teoriach niektórych autorów odgrywa dużą rolę, stało się zupełnie bezużyteczne i nawet wprowadzało w błąd, ponieważ do kategorii "nieświadomych" zaliczono zjawiska przynależące do całkiem odmiennych kategorii.

Podział działań według centrów, które nimi kierowały, wykluczył wszelką niepewność i wszelkie możliwe wątpliwości co do prawidłowości tych podziałów.

Co było szczególnie ważne w systemie G., to wskazanie, że te same działania mogły pochodzić z różnych centrów. Niech będą tu przykładem rekrut i stary żołnierz podczas musztry z broni. Jeden musi wykonywać musztrę za pomocą centrum myślowego, drugi wykonuje ją za pomocą centrum ruchowego, które robi to *o wiele lepiej*.

Ale G. nie nazywał działań, którymi rządzi centrum ruchowe "automatycznymi". Określenia "automatyczne" używał on tylko w odniesieniu do działań, które człowiek wykonuje w sposób *niedostrzegalny dla siebie samego*. Jeśli te same działania są przez człowieka *obserwowane*, to nie można nazwać ich "automatycznymi". G. wydzielił dużo miejsca na automatyzm, ale uważał, że funkcje ruchowe różnią się od funkcji automatycznych, i co jeszcze ważniejsze,

znajdował działania automatyczne we *wszystkich centrach*. Na przykład mówił o "automatycznych myślach" i "automatycznych uczuciach". Gdy zapytałem go o refleksy, nazwał je "działaniami instynktowymi". A z tego, co powiedział później, zrozumiałem, że spośród ruchów zewnętrznych tylko refleksy uważał za działania *instynktowe*.

Bardzo interesowało mnie opisane przez niego wzajemne powiązanie funkcji ruchowych i instynktowych, i często w moich rozmowach z nim wracałem do tego tematu.

Po pierwsze G. zwrócił uwagę na nieustanne błędne używanie słów "instynkt" i "instynktowy". Z tego, co mówił, wynikało, że słów tych należało właściwie używać tylko w odniesieniu *do wewnętrznych* funkcji organizmu. Bicie serca, oddychanie, krążenie krwi, trawienie – to były "funkcje instynktowe". Jedynymi funkcjami zewnętrznymi, przynależącymi do tej kategorii, są *refleksy*. Pomiedzy funkcjami instynktowymi i ruchowymi istniała następująca różnica: funkcje ruchowe człowieka, jak również zwierząt, ptaka czy psa, *muszą być wyuczone*, funkcje instynktowe są wrodzone. Człowiek ma bardzo niewiele wrodzonych zewnętrznych ruchów; zwierzęta mają ich więcej, choć też różnią się między sobą pod tym względem (niektóre mają ich więcej, inne mniej). Ale to, co zazwyczaj tłumaczy się jako "instynkt", jest bardzo często serią złożonych funkcji ruchowych, których młode zwierzęta uczą się od starszych. Jedną z głównych własności centrum ruchowego jest jego zdolność do naśladowania. Centrum ruchowe naśladuje to, co widzi, nie rozumiejąc tego. Stąd wywodzą się legendy o cudownej "inteligencji" zwierząt lub "instynkcie", który zajmuje miejsce inteligencji i pozwala na wykonywanie całej serii bardzo złożonych i praktycznych działań.

Idea niezależnego centrum ruchowego, które z jednej strony nie jest uzależnione od umysłu, nie wymaga umysłu, które samo w sobie jest umysłem, i które z drugiej strony nie jest uzależnione od instynktu i musi najpierw samo się uczyć, spowodowała bardzo wiele problemów na całkowicie nowym gruncie. Istnienie centrum ruchowego, działającego poprzez naśladowanie, wyjaśnia zachowanie "istniejącego porządku" w ulach, termitierach i mrowiskach. Ukierunkowane przez naśladownictwo, jedno pokolenie musiało się kształtować dokładnie na wzór innego pokolenia. Nie mogło być żadnych zmian, żadnych odstępstw od tego wzoru. Ale "naśladowanie" nie wyjaśnia, skąd na początku wziął się dany porządek. Bardzo często chciałem porozmawiać z G. na ten temat, jak również na wiele innych, związanych z tym tematów. G. unikał takich rozmów, kierując uwagę ku człowiekowi i rzeczywistym problemom poznawania siebie.

Z kolei wiele rzeczy wyjaśniła mi idea, zgodnie z którą każde centrum jest nie tylko siłą motywującą, ale także "aparatem odbiorczym" spełniającym funkcję odbiornika różnych i czasami bardzo odległych wpływów. Kiedy myślałem o tym, co zostało powiedziane na temat wojen, rewolucji, migracji ludności, itd., kiedy

wyobraziłem sobie, jak masy ludzkie mogą się przemieszczać pod kontrolą planetarnych wpływów, to zacząłem pojmować nasz podstawowy błąd, związany z ustalaniem pochodzenia działań poszczególnych ludzi. Uważamy, że działania pojedynczego człowieka pochodzą od niego samego. Nie wyobrażamy sobie, że "masy" mogą składać się z automatów, posłusznych zewnętrznym *bodźcom* i poruszających się nie pod wpływem woli, świadomości lub skłonności poszczególnych osób, ale pod wpływem zewnętrznych *bodźców*, które mogą pochodzić z bardzo daleka.

– Czy funkcje instynktowe i ruchowe mogą być kontrolowane przez dwa różne centra? – zapytałem kiedyś G.

– Mogą – odpowiedział. – I trzeba do nich dodać jeszcze centrum seksualne. Są to trzy centra niższego piętra. Centrum seksualne jest centrum neutralizującym w stosunku do centrów instynktowego i ruchowego. Niższe piętro może istnieć samodzielnie, ponieważ trzy znajdujące się w nim centra są przewodnikami trzech sił. Centrum myślowe i emocjonalne nie są konieczne do życia.

– Które z centrów niższego piętra jest czynne, a które bierne?

– To się zmienia – rzekł G. – W jednej chwili centrum ruchowe jest czynne, a centrum instynktowe bierne. W innej chwili instynktowe jest czynne, a ruchowe bierne. Sam musisz znaleźć w sobie przykłady obu stanów. Ale oprócz różnych stanów istnieją też różne typy. U niektórych ludzi bardziej aktywne jest centrum ruchowe, w innych centrum instynktowe. Ale dla ułatwienia rozumowania, szczególnie na początku, kiedy ważne jest tylko wyjaśnienie zasad, traktujemy je jako jedno centrum z różnymi, znajdującymi się na tym samym poziomie funkcjami. Centra: myślowe, emocjonalne i ruchowe pracują na różnych poziomach. Centrum ruchowe i centrum instynktowe – na jednym poziomie. Później zrozumiesz, co te poziomy oznaczają i od czego one zależą.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Pewnego razu rozmawiając z G. zapytałem go, czy uważa za możliwe osiągnięcie "świadomości kosmicznej" – nie tylko na krótką chwilę, ale też na dłuższy czas. Rozumiałem wyrażenie "świadomość kosmiczna" w znaczeniu wyższej, możliwej dla człowieka świadomości, w tym samym znaczeniu, w jakim pisałem już o niej w mojej książce *Tertium Organum*.

– Nie wiem, co ty nazywasz świadomością kosmiczną – powiedział G. – Jest to mgliste i nie zdefiniowane pojęcie; każdy może tak nazwać co tylko zechce. W większości wypadków to, co nazywa się "świadomością kosmiczną", jest po prostu fantazją, skojarzeniowym śnieniem na jawie połączonym ze wzmożoną pracą centrum emocjonalnego. Czasami zbliża się to do ekstazy, ale najczęściej jest to tylko subiektywne doświadczenie emocjonalne na poziomie snów. Ale nawet pomijając to wszystko, zanim będziemy mogli mówić o "świadomości kosmicznej", i tak musimy najpierw ogólnie zdefiniować, *co to jest świadomość*.

Jak byś zdefiniował świadomość?

– Uznaje się, że *świadomość* jest nie do zdefiniowania – powiedziałem. – I rzeczywiście: jak można ją zdefiniować, skoro jest ona jakością wewnętrzną? Za pomocy zwykłych środków, którymi dysponujemy, nie da się udowodnić obecności świadomości w innym człowieku. Możemy ją poznać tylko w sobie.

– To wszystko bzdury – powiedział G. – Zwykła naukowa sofistyka. Najwyższy czas, żebyś już się tego wyzbył. W tym, co powiedziałaś, tylko jedna rzecz jest prawdą: że świadomość *możesz znać* tylko w samym sobie. Zauważ, że mówię *możesz znać*, bo możesz ją znać tylko wtedy, gdy ją masz. A kiedy jej nie masz, to nie możesz wiedzieć o tym, że jej nie masz w samym tym momencie – ale dopiero później. Mam na myśli to, że kiedy ona powraca, możesz spostrzec, że przez długi czas była nieobecna, i możesz odnaleźć lub przypomnieć sobie chwilę, kiedy ona zniknęła i kiedy na nowo się pojawiła. Możesz też ustalić, w którym momencie znajdowałaś się bliżej lub dalej od świadomości. Ale obserwując w sobie pojawianie się i znikanie świadomości, nieuchronnie ujrysz fakt, którego teraz nie widzisz ani nie przyjmujesz do wiadomości, mianowicie to, że momenty świadomości są krótkotrwałe i że są oddzielone od siebie długimi okresami całkowicie nieświadomej i mechanicznej pracy maszyny. Zobacysz, że możesz myśleć, czuć, działać, mówić, pracować, *nie będąc tego świadomym*. I jeśli nauczysz się dostrzegać w sobie chwile świadomości i długie okresy mechaniczności, to tak samo nieomylnie będziesz u innych dostrzegał, kiedy są oni świadomi tego, co robią, a kiedy nie.

Twój podstawowy błąd polega na tym, że myślisz, iż *zawsze* masz *świadomość*, i ogólnie, że świadomość jest albo *zawsze obecna*, albo *zawsze nieobecna*. W

rzeczywistości świadomość jest jakością, która ciągle ulega zmianie. Raz jest obecna, raz nie jest obecna. I istnieją też różne stopnie i różne poziomy świadomości. Zarówno świadomość, jak i różne poziomy świadomości należy zrozumieć w sobie przez doznanie, poprzez smak. Żadne definicje nie mogą ci w tym wypadku pomóc, i żadne definicje nie są możliwe dopóty, dopóki nie rozumiesz tego, co musisz zdefiniować. Nauka i filozofia nie mogą zdefiniować świadomości, ponieważ chcą ją zdefiniować tam, gdzie ona nie istnieje. Trzeba rozróżnić pomiędzy *świadomością* i *możliwością świadomości*. My mamy tylko możliwość świadomości i rzadkie jej przebłyski. Zatem nie możemy zdefiniować, czym jest świadomość.

Nie mogę powiedzieć, że to, co zostało powiedziane na temat świadomości, od razu stało się dla mnie jasne. Ale jedna z kolejnych rozmów pomogła mi pojąć zasady, na których opierały się te stwierdzenia.

Podczas któregoś ze spotkań, G. postawił na wstępie pytanie, na które wszyscy obecni mieli po kolei odpowiedzieć. Pytanie brzmiało: "Co jest najważniejszą rzeczą, którą spostrzegliśmy podczas obserwacji siebie?"

Niektórzy z obecnych powiedzieli, że podczas prób obserwacji siebie szczególnie mocno odczuwali nieustający potok myśli, którego nie byli w stanie zatrzymać. Inni mówili o trudności odróżnienia pracy jednego centrum od pracy innego centrum. Ja widocznie w ogóle nie zrozumiałem pytania albo odpowiedziałem tylko na swoje własne myśli, ponieważ powiedziałem, że to, co najbardziej mnie uderzyło, to wzajemne powiązanie ze sobą różnych rzeczy w systemie – czyli całościowość systemu, tak jakby był on jednym organizmem – i całkowicie nowe znaczenie słowa *znać*, które zawierało nie tylko ideę znajomości tego czy innego aspektu, ale też związku istniejącego pomiędzy daną rzeczą i wszystkim innym.

G. był wyraźnie niezadowolony z naszych odpowiedzi. Zaczynałem już go rozumieć w takich okolicznościach. Zobaczyłem, że oczekiwał on od nas wskazania na coś konkretnego, co umknęło naszej uwagi albo czego nie udało nam się zrozumieć.

– Żaden z was nie spostrzegł najważniejszej rzeczy, na którą zwróciłem wasze uwagę – powiedział. – A mianowicie żaden z was nie spostrzegł, że *nie pamiętacie siebie samych* – szczególnie zaakcentował te słowa. Nie czujecie *siebie samych*; nie jesteście świadomi *siebie samych*. Z wami jest tak, że "to obserwuje" tak samo, jak "to mówi", "to myśli", "to się śmieje". Wy nie czujecie tego, że ja obserwuję, ja zauważam, ja widzę. Wszystko ciągle "jest zauważane", "jest widziane"... By rzeczywiście móc obserwować samego siebie, trzeba najpierw *pamiętać samego siebie* – znów podkreślił te słowa. Spróbujcie *pamiętać siebie*, gdy się obserwujecie. Powiecie mi później o otrzymanych przez was wynikach. Tylko te wyniki, którym towarzyszy pamiętanie siebie, będą miały jakkolwiek wartość. Bo inaczej wy sami nie istniejecie w waszych obserwacjach.

A w takim wypadku, cóż warte są wszystkie wasze obserwacje?

Te słowa G. dały mi dużo do myślenia. Od razu wydało mi się, że stanowią one klucz do zrozumienia tego, co G. wcześniej powiedział temat świadomości. Ale postanowiłem nie wyciągać żadnych wniosków, tylko spróbować, obserwując siebie, *pamiętać samego siebie*.

Już pierwsze próby pokazały mi, jakie to było trudne. Próby *pamiętania siebie* nie przyniosły mi żadnych wyników oprócz tego, że pokazały, iż w rzeczywistości nigdy nie pamiętamy samych siebie.

– Czego więcej chcesz? – powiedział G. – Już samo uprzytomnienie sobie tego jest bardzo ważne. Ludzie, którzy *to wiedzą* – podkreślił te słowa – już dużo wiedzą. Cały kłopot w tym, że nikt tego nie wie. Jeśli zapytasz się człowieka, czy może pamiętać samego siebie, to oczywiście odpowie, że może. Jeśli mu powiesz, że nie może, to albo będzie na ciebie zły, albo pomyśli, że jesteś skończonym głupcem. To na tym opiera się całe życie, cała ludzka egzystencja, cała ludzka ślepotą. Jeśli człowiek naprawdę wie, że nie może pamiętać samego siebie, to jest on bliższy zrozumienia swojego bycia.

Wszystko, co powiedział G., wszystko, co ja sam myślałem, a w szczególności wszystko to, co pokazały mi moje próby pamiętania siebie, bardzo szybko przekonało mnie o tym, że stanąłem wobec *całkowicie nowego problemu, na który ani nauka, ani filozofia dotychczas nie natrafiły*.

Ale przed wyciągnięciem wniosków spróbuję opisać moje próby “pamiętania samego siebie”.

Pierwszym wrażeniem, jakie odniosłem, było to, że próby pamiętania siebie lub bycia świadomym samego siebie, czy też stwierdzenia przed samym sobą: “to ja idę, to ja robię” i ciągłego doznawania tego ja *zatrzymywały myśli*. Kiedy czułem to ja, nie mogłem ani myśleć, ani mówić; nawet doznania stały się przyćmione. Dlatego też w ten sposób można “pamiętać samego siebie” tylko przez bardzo krótki czas.

Poprzednio przeprowadzałem już pewne doświadczenia nad zatrzymywaniem myśli, o których wspominają książki o praktyce jogi. Na przykład istnieje taki opis w książce Edwarda Carpentera *From Adam's Peak to Elephanta*, choć jest on bardzo ogólny. I pierwsze próby “pamiętania siebie” przypominały mi dokładnie te pierwsze doświadczenia. Było to właściwie to samo, z tą różnicą, że podczas zatrzymywania myśli uwaga całkowicie jest skierowana ku wysiłkowi nie dopuszczania myśli, natomiast w trakcie “pamiętania siebie” uwaga staje się podzielona: jedna jej część kieruje się ku temu samemu wysiłkowi, a druga ku doznawaniu siebie.

Upamiętnienie sobie tego ostatniego faktu umożliwiło mi dojście do pewnej, przypuszczalnie bardzo niepełnej definicji “pamiętania siebie”, która w praktyce okazała się bardzo użyteczna.

Mam na myśli podział uwagi, który jest charakterystyczną cechą pamiętania siebie.

Przedstawiłem to sobie w następujący sposób:

Gdy obserwuję coś, to moja uwaga skierowana jest ku temu, co obserwuję – linia z jedną strzałką:

Ja -----
----- > obserwowane zjawisko

Gdy jednocześnie próbuję pamiętać samego siebie, to moja uwaga skierowana jest zarówno ku obserwowanemu przedmiotowi, jak i ku samemu sobie. Na linii pojawia się druga strzałka:

Ja <-----
----- > obserwowane zjawisko

Po zdefiniowaniu tego dostrzegłem, że problem polega na skierowaniu uwagi na siebie bez osłabiania lub zacierania uwagi skierowanej na obserwowane zjawisko. Przy tym to "zjawisko" mogło równie dobrze znajdować się wewnątrz mnie, jak i poza mną.

Już pierwsze próby takiego podziału uwagi wskazały mi, że jest on możliwy. Jednocześnie zobaczyłem wyraźnie dwie rzeczy.

Po pierwsze, zobaczyłem, że "pamiętanie siebie" będące wynikiem metody nie ma nic wspólnego z "introspekcją" lub "analizą". Był to nowy, bardzo interesujący stan o dziwnie znajomym posmaku.

Po drugie, zdałem sobie sprawę, że chwile pamiętania siebie choć rzadko, to jednak zdarzają się w życiu. Ale tylko rozmyślne powodowanie tych chwil stwarza doznanie nowości. W rzeczywistości miałem z nimi do czynienia już od wczesnego dzieciństwa. Pojawiały się one albo nowym i nieoczekiwanym otoczeniu, w nowym miejscu, pośród nowych ludzi w trakcie podróży, na przykład wtedy, kiedy ktoś nagle się rozgląda i mówi: *Jakie to dziwne! Ja i to w tym miejscu*; albo w chwilach pełnych emocji, w chwilach niebezpieczeństwa, w chwilach, gdy nie można stracić głowy, gdy słyszy się swój własny głos i widzi czy obserwuje się siebie samego z zewnątrz.

Całkiem wyraźnie zobaczyłem, że moje pierwsze wspomnienia z życia – w moim wypadku z bardzo wczesnego dzieciństwa – były chwilami *pamiętania siebie*. Uprzytomnienie sobie tego ostatniego objawiło mi wiele innych rzeczy. A mianowicie zobaczyłem, że naprawdę pamiętam z przeszłości tylko te chwile, w których *pamiętałem samego siebie*. O innych *wiedziałem tylko tyle, że miały miejsce*. Nie byłem w stanie w pełni ich ożywić ani na nowo ich doświadczyć. Natomiast chwile, w których pamiętałem samego siebie, były żywe i ani trochę nie różniły się od terażniejszości. Ciągle jeszcze bałem się wyciągać wnioski. Ale

dostrzegłem już, że stoję na progu bardzo wielkiego odkrycia. Zawsze dziwiła mnie słabość i niewystarczalność naszej pamięci. Tak wiele rzeczy zanika. Wydawało mi się, że na tym właśnie opierała się cała absurdalność naszego życia. Po co tyle doświadczać, by później o tym zapomnieć? Ponadto było w tym coś poniżającego. Człowiek czuje coś, co wydaje mu się czymś bardzo dużym; myśli, że nigdy tego nie zapomni; mija rok czy dwa i nic z tego nie pozostaje. Teraz stało się dla mnie jasne, dlaczego tak się działo i dlaczego nie mogło działać się inaczej. Jeśli nasza pamięć zachowuje przy życiu tylko chwile *pamiętania siebie*, to jest oczywiste, dlaczego nasza pamięć jest taka słaba.

Wszystko to uprzytomniłem sobie podczas pierwszych dni. Później, kiedy zacząłem się uczyć dzielić uwagę, zobaczyłem, że *pamiętanie siebie* dostarczało cudownych doznań, które w naturalny sposób, to znaczy same z siebie, pojawiają się bardzo rzadko i tylko w wyjątkowych warunkach. I tak, na przykład, w owym czasie zwykłem włóczyć się często nocami po Petersburgu i *doznawać* domów i ulic. Petersburg pełen jest takich dziwnych doznań. Domy, szczególnie stare domy, zdawały się całkiem żywe i prawie że do nich mówiłem. Nie była to "wyobraźnia". Nie myślałem o niczym, po prostu tylko szedłem, próbując "pamiętać samego siebie" i rozglądając się naokoło; doznania pojawiały się same.

Później w taki sam sposób odkryłem wiele nieoczekiwanych rzeczy. Ale będę o tym mówił dalej.

Czasami "pamiętanie siebie" nie udawało się, a czasami towarzyszyły mu ciekawe obserwacje.

Szedłem kiedyś wzdłuż Litejnego w stronę Prospektu Newskiego i pomimo wszystkich wysiłków nie byłem w stanie utrzymać uwagi na "pamiętaniu siebie". Hałas, ruch, wszystko to mnie rozpraszało. Co minutę gubiłem wątek uwagi, na nowo go odnajdywałem i potem znowu go gubiłem. W końcu poczułem rodzaj zabawnej irytacji i skręciłem w ulicę w lewo, podejmując stanowczo decyzję, że przynajmniej przez jakiś czas *będę pamiętał samego siebie* – w każdym razie do chwili, aż dotrę do następnej ulicy. Doszedłem do Nadieżdinskiej, nie gubiąc – z wyjątkiem może krótkich chwil – wątku uwagi. Potem znowu skręciłem w stronę Newskiego, zdając sobie sprawę, że na cichych ulicach jest mi łatwiej nie gubić biegu myśli. Zapragnąłem zatem wypróbować swoje możliwości na ruchliwszych ulicach. Doszedłem do Newskiego, ciągle jeszcze pamiętając samego siebie, i zaczynałem już doświadczać dziwnego emocjonalnego stanu wewnętrznego spokoju i ufności, który przychodzi po tego rodzaju wielkich wysiłkach. Zaraz za rogiem na Newskim znajdował się sklep tytoniowy, gdzie robiono moje ulubione. papierosy. Ciągle jeszcze pamiętając samego siebie, pomyślałem, że wejdę tam i zamówię kilka paczek.

Dwie godziny później *obudziłem się* na Tawriczeskiej, a więc dość daleko od owego sklepu. Jechałem dorożką do drukarni. Doznani przebudzenia było

niezwykle żywe. Mogę wręcz powiedzieć, że się ocknąłem. Pamiętałem wszystko naraz: to jak szedłem Nadieżdinską, to jak pamiętałem samego siebie, jak myślałem o papierosach i jak myśląc o tym wydało mi się, że nagle cały zapadłem się i zniknąłem w głębokim śnie.

Jednocześnie, będąc pogrążonym w tym śnie, kontynuowałem wykonywanie logicznych i celowych działań. Wszedłem ze sklepu tytoniowego, wstąpiłem do mojego mieszkania na Litejnym, zadzwoniłem do drukarni. Napisałem dwa listy. Potem znowu wszedłem z domu. Szedłem lewą stroną Newskiego aż do Gostinnego Dworu z zamiarem dojścia do Oficerskiej. Ponieważ zrobiło się późno, zmieniłem plany. Wziąłem dorożkę i pojechałem na Kawalergardzką, do mojej drukarni. Po drodze, jadąc Tawriczeską, zacząłem odczuwać dziwny niepokój, tak jakbym o czymś zapomniał. *I nagle przypomniałem sobie, że zapomniałem pamiętać samego siebie.*

O swoich obserwacjach i wnioskach rozmawiałem z ludźmi w naszej grupie, jak również z różnymi literatami i innymi znajomymi.

Powiedziałem im, że jest to środek ciężkości całego systemu i całej pracy nad sobą; że teraz praca nad sobą to nie są już tylko puste słowa, lecz rzeczywisty, pełny znaczenia fakt, dzięki któremu psychologia staje się precyzyjną i zarazem praktyczną nauką.

Powiedziałem, że zarówno europejska, jak i w ogóle zachodnia psychologia przeoczyły fakt o niezmiernej wadze, mianowicie, że *nie pamiętamy samych siebie*; że żyjemy, działamy i rozumujemy, pogrążeni w głębokim śnie – nie w przenośni, ale dosłownie, w absolutnej rzeczywistości. I także, że jeśli jednocześnie podejmiemy dostateczne wysiłki, to *możemy pamiętać samych siebie, to możemy się obudzić.*

Uderzyła mnie różnica w rozumieniu między ludźmi, którzy należeli do naszych grup, a ludźmi spoza nich. Ludzie, którzy należeli do naszych grup rozumieli – choć nie wszyscy od razu – że weszliśmy w kontakt z "cudem", i że było to coś "nowego", coś, co nigdy dotychczas nie istniało.

Inni ludzie tego nie rozumieli; traktowali to wszystko zbyt lekko i czasami nawet zaczęli mi udowadniać, że takie teorie istniały już uprzednio.

A.L. Woliński, którego wcześniej spotykałem, z którym – począwszy od 1909 roku – bardzo dużo rozmawiałem, a jego opinie wysoko ceniłem, nie uważał, by idea "pamiętania siebie" była czymś dotychczas mu nieznanym.

– To jest *apercepcja* – rzekł do mnie. – Czy czytałeś *Logikę Wundta*? Znajdziesz tam jego najnowszą definicję apercepcji. Jest to dokładnie to samo, o czym mówisz. "Zwykła obserwacja" jest percepcją. "Obserwacja z pamiętaniem siebie", jak to nazywasz, jest apercepcją. To oczywiste, że Wundt o tym wiedział.

Nie chciałem sprzeczać się z Wolińskim. Czytałem Wundta. I oczywiście to, co

napisał Wundt, wcale nie było tym, o czym mówiłem Wolińskiemu. Wundt zbliżył się do tej idei, ale inni też do niej się zbliżyli i później poszli w innym kierunku. Nie dostrzegł on wielkości idei, która ukryta była za jego myślami o różnych formach *postrzegania*. I nie dostrzegając wielkości tej idei, nie mógł oczywiście dostrzec centralnej pozycji, jaką idea nieobecności świadomości i idea możliwości dobrowolnego stworzenia tej świadomości powinny zajmować w naszym myśleniu. Wydawało mi się tylko dziwne, że Woliński nie mógł tego dostrzec nawet wówczas, *gdy zwróciłem mu na to uwagę*.

Później przekonałem się, że idea ta dla wielu, skądinąd inteligentnych ludzi, była zakryta nieprzenikalną zasłoną; a jeszcze później zobaczyłem, *dłaczego* tak się działo.

Gdy G. przyjechał do Moskwy następnym razem, zastał nas pochłoniętych doświadczeniami nad "pamiętaniem siebie" i dyskusjami o tych doświadczeniach. Ale podczas swojego pierwszego wykładu mówił o czymś innym.

– Zgodnie z prawdziwym poznaniem, poznawanie człowieka musi następować równoległe z poznawaniem świata, a poznawanie świata musi biec równoległe z poznawaniem człowieka. Prawa są wszędzie takie same, zarówno w świecie, jak i w człowieku. Po opanowaniu zasad jakiegoś prawa musimy szukać jego przejawów równocześnie w świecie i w człowieku. Ponadto niektóre prawa łatwiej jest zaobserwować w świecie, inne zaś łatwiej jest zaobserwować w człowieku. Tak więc w niektórych wypadkach łatwiej jest zacząć od świata i następnie przejść do człowieka, a w innych wypadkach lepiej jest zacząć od człowieka, a następnie przejść do świata.

To równoległe poznawanie świata i człowieka ukazuje osobie poznającej fundamentalną jedność wszystkiego, co istnieje, i pomaga jej odnalezieniu analogii w zjawiskach przynależących do różnych rzędów.

Liczba fundamentalnych praw, które rządzą wszystkimi procesami, zarówno w świecie, jak i w człowieku, jest bardzo mała. Różne kombinacje liczbowe kilku podstawowych sił tworzą całą pozorną różnorodność zjawisk.

By zrozumieć mechanikę wszechświata, trzeba zjawiska złożone rozłożyć na te podstawowe siły.

Pierwszym fundamentalnym prawem wszechświata jest prawo trzech sił, czy też zasad lub – jak często się je nazywa – *Prawo Trzech*.

Zgodnie z tym prawem, we wszystkich bez wyjątku światach, każde działanie, każde zjawisko jest wynikiem równoczesnego działania trzech sił – dodatniej, ujemnej i neutralizującej. Mówiliśmy już o tym i w przyszłości będziemy wracać do tego prawa przy każdej nowej linii poznawania.

Następnym fundamentalnym prawem wszechświata jest *Prawo Siedmiu*, czy też

Prawo Oktaw.

By zrozumieć znaczenie tego prawa, trzeba przyjąć, że świat *składa się z wibracji*. Wibracje występują we wszystkich rodzajach, aspektach i gęstościach materii wszechświata, od najsubtelniejszej do najmniej subtelnej; pochodzą one z różnych źródeł i podążają w różnych kierunkach, nawzajem się przecinając, zderzając, osłabiając, wzmacniając, zatrzymując się wzajemnie, itd.

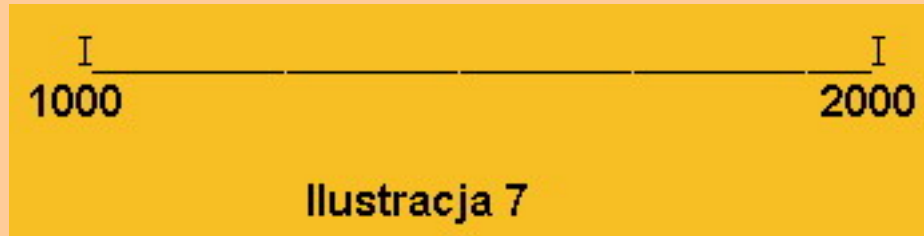
Zgodnie z poglądami przyjętymi na Zachodzie, wibracje są ciągłe. To znaczy, że zazwyczaj uważa się, iż wibracje następują w nieprzerwany sposób, rosnąc lub opadając dopóty, dopóki działa siła pierwotnego impulsu, który wywołał te wibracje. Siła ta przemaga opór ciała, w którym zachodzą wibracje. Kiedy wyczerpuje się siła impulsu i opór ciała zaczyna brać górę, to w sposób naturalny wibracje zanikają i zatrzymują się. Ale zanim do tego dojdzie, to znaczy do czasu naturalnego osłabienia wibracji, rozwijają się one równomiernie i stopniowo, i w razie braku oporu, mogą nawet być nieskończone. Tak więc jednym z fundamentalnych założeń naszej fizyki jest *ciągłość wibracji*, choć nigdy nie zostało to dokładnie sformułowane, ponieważ nigdy tego nie kwestionowano. W niektórych najnowszych teoriach zaczyna się podważać to założenie. Jednakże fizyka ciągle jest jeszcze bardzo daleka od właściwego spojrzenia na naturę wibracji, czy też na to, co w rzeczywistym świecie odpowiada naszej koncepcji wibracji.

W tym wypadku punkt widzenia pradawnego poznania zaprzecza pogładowi przyjętemu przez współczesną naukę, ponieważ w pradawnym poznaniu zasada *braku ciągłości wibracji* leży u podstaw rozumienia wibracji.

Zasada *braku ciągłości wibracji* oznacza, że określoną i konieczną cechą wszystkich wibracji w naturze, zarówno rosnących, jak i opadających, jest to, iż *nie rozwijają się one równomiernie*, ale z okresowymi przyspieszeniami i opóźnieniami. Można sformułować tę zasadę jeszcze dokładniej, jeśli powiemy, że siła początkowego impulsu nie działa w wibracjach równomiernie, lecz jakby na przemian wzmacnia się lub słabnie. Siła impulsu działa nie zmieniając swego charakteru, a wibracje rozwijają się regularnie tylko przez pewien czas, czas określony naturą impulsu, ciałem, warunkami, itd. Ale w pewnej chwili zachodzi w tej sile zmiana i wibracje – jeśli można tak powiedzieć – przestają jej słuchać, na krótki czas stają się wolniejsze i do pewnego stopnia zmieniają swój charakter lub kierunek. Na przykład wibracje rosnące w pewnym momencie zaczynają wzrastać wolniej, a wibracje opadające zaczynają wolniej opadać. Po tym chwilowym opóźnieniu, zarówno we wzroście, jak i w opadaniu, wibracje na nowo zaczynają biec starym torem, przez pewien czas równomiernie rosnąc lub opadając, aż do chwili nowego zahamowania ich rozwoju. Duże znaczenie ma tutaj to, że okresy równomiernego działania siły pędu nie są jednakowe i że chwile opóźnienia wibracji nie są symetryczne. Jeden okres jest krótszy, a inny dłuższy.

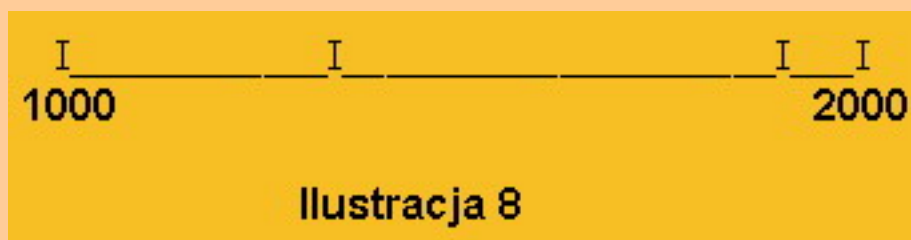
By ustalić te chwile opóźnienia, czy też raczej przerwy we wzroście i w opadaniu wibracji, linie rozwoju wibracji podzielone są na okresy odpowiadające *podwojeniu* liczby wibracji lub *zmniejszeniu jej do połowy* w danym czasie.

Wyobraźmy sobie linię wibracji rosnących. Przyjrzyjmy się im w chwili, gdy wibrują one z szybkością tysiąca drgań na sekundę. Po pewnym czasie liczba wibracji podwaja się, to znaczy dochodzi do dwóch tysięcy.



Odkryto i ustalono, że na tym odcinku wibracji, pomiędzy daną liczbą wibracji i liczbą dwukrotnie większą, znajdują się dwa miejsca, w których zachodzi *opóźnienie we wzroście wibracji*. Jedno znajduje się blisko początku, ale nie na samym początku. Drugie znajduje się prawie na końcu tego odcinka.

W przybliżeniu wygląda to tak:



Prawa rządzące opóźnieniem, czy też odchyleniem wibracji od ich pierwotnego kierunku, znane były pradawnej nauce. Prawa te zostały ujęte w specjalny wzór czy też wykres, który przetrwał do naszych czasów. We wzorze tym okres, w którym wibracje się podwajają, podzielono na *osiem* nierównych stopni, odpowiadających tempie wzrostu wibracji. Ósmy stopień jest powtórzeniem pierwszego z podwojoną liczbą wibracji. Ten okres podwojenia wibracji, czy też odcinek rozwoju wibracji pomiędzy daną liczbą wibracji i liczbą dwukrotnie większą, nazywa się *oktawą*, to znaczy *składa się on z ośmiu*.

Zasada podziału okresu, w którym wibracje się podwajają, na osiem nierównych części, opiera się na obserwacjach nierównomiernego wzrostu wibracji w całej oktawie; i oddzielne "stopnie" oktawy obrazują przyspieszenie i opóźnienie w różnych chwilach jej rozwoju.

Ukryta w tym wzorze idea oktawy została przekazana uczniowi przez nauczyciela, przeniesiona z jednej szkoły do drugiej. W bardzo odległych czasach, w jednej ze szkół odkryto możliwość zastosowania tego wzoru w muzyce. W ten sposób otrzymano siedmiotonową skalę muzyczną, która znana była już w najbardziej odległej starożytności. Potem została ona zapomniana, a potem znów odkryta, czy na nowo "odnaleziona".

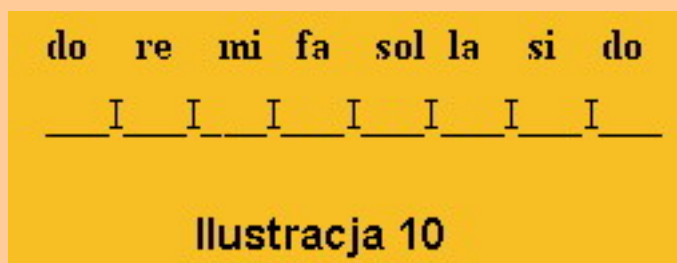
Skala siedmiotonowa jest wzorem kosmicznego prawa, które zostało wypracowane przez pradawne szkoły i zastosowane w muzyce. Jednakże, jeśli jednocześnie będziemy poznawać manifestacje prawa oktaw w innego rodzaju wibracjach, to zobaczymy, że prawa wszędzie są te same i że wibracje świetlne, ciepłe, chemiczne, magnetyczne i inne podlegają takim samym prawom jak wibracje dźwiękowe. I tak dla przykładu w fizyce znana jest skala świetlna, w chemii zaś okresowy układ pierwiastków jest bez wątpienia ściśle związany z zasadą oktaw, choć związek ten w dalszym ciągu nie jest dla nauki w pełni jasny.

Poznawanie struktury siedmiotonowej skali muzycznej daje bardzo dobrą podstawę do zrozumienia kosmicznego prawa oktaw. Ponownie zajmijmy się oktawą rosnącą, czyli oktawą, w której częstotliwość wibracji wzrasta. Przypuśćmy, że oktawa ta zaczyna się od tysiąca wibracji na sekundę. Oznaczmy te tysiąc wibracji za pomocą nuty do. Wibracje rosną, to znaczy, że ich częstotliwość wzrasta. W miejscu, gdzie dojdzie ona do dwóch tysięcy wibracji na sekundę, będzie znajdowało się drugie do, czyli do następnej oktawy.

do _____ do

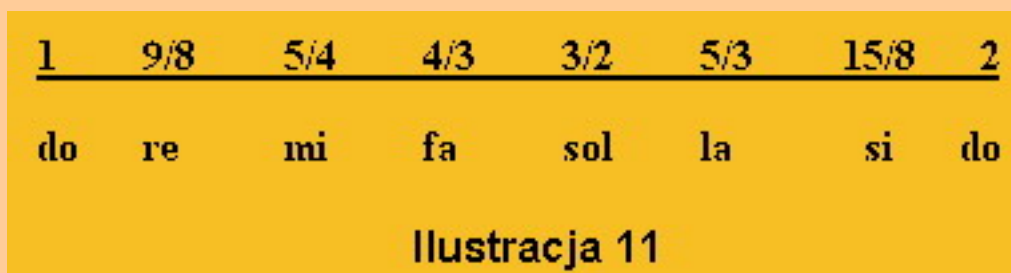
Ilustracja 9

Okres pomiędzy jednym do i następnym do, czyli oktawa, podzielony jest na siedem *nierównych* części, ponieważ częstotliwość wibracji wzrasta nierównomiernie.



Stosunek wysokości nastrojenia nut, czy też częstotliwości wibracji, będzie następujący:

Jeśli przyjmiemy, że do to 1, to re będzie wtedy $9/8$, mi $5/4$, fa $4/3$, sol $3/2$, la $5/3$, si $15/8$ i do 2.



Różnice w przyspieszeniu lub wzroście w nutach, czy też różnice tonu, będą następujące:

pomiędzy do i re	$9/8 : 1 = 9/8$
pomiędzy re i mi	$5/4 : 9/8 = 10/9$
pomiędzy mi i fa	$4/3 : 5/4 = 16/15$ (opóźniony wzrost)
pomiędzy fa i sol	$3/2 : 4/3 = 9/8$
pomiędzy sol i la	$5/3 : 3/2 = 10/9$
pomiędzy la i si	$15/8 : 5/3 = 9/8$
pomiędzy si i do	$2 : 15/8 = 16/15$ (wzrost znów opóźniony)

Różnice w nutach lub też różnice w wysokości nastrojenia nut nazywane są *interwałami*. Widzimy, że w oktawie istnieją trzy rodzaje interwałów: $9/8$, $10/9$ i $16/15$, które w liczbach całkowitych odpowiadają 405, 400 i 384. Najmniejszy interwał $16/15$ występuje między mi i fa i między si i do. Są to dokładnie miejsca opóźnienia w oktawie.

Co się tyczy (siedmiotonowej) skali muzycznej, to teoretycznie uważa się, że pomiędzy każdymi dwoma nutami istnieją dwa półtony – z wyjątkiem interwałów mi-fa i si-do, które mają jeden półton i uważa się, że drugi półton został w nich opuszczony.

Otrzymuje się w ten sposób *dwadzieścia* nut, spośród których osiem to nuty podstawowe:

do, re, mi, fa, sol, la, si, do,

a dwanaście to nuty pośrednie – *dwie* między każdą parą nut:

do – – re
re – – mi
fa – – sol
sol – – la
la – – si

i jedna nuta między każdą z dwóch nut:

mi – fa
si – do

Ale w praktyce, to znaczy w muzyce, zamiast dwunastu półtonów stosuje się tylko pięć, czyli jeden półton między:

do – re
re – mi
fa – sol
sol – la
la – si

Między mi i fa oraz między si i do w ogóle nie umieszcza się półtonu.

W ten sposób struktura muzycznej skali siedmiotonowej przedstawia schemat

kosmicznego prawa "interwałów", czy też nieobecnych półtonów. Z tego względu, gdy mówi się o oktawach w "kosmicznym" lub "mechanicznym" znaczeniu, tylko interwały pomiędzy mi-fa i si-do nazywa się *interwałami*.

Jeśli uchwycimy pełne znaczenie prawa oktaw, to umożliwi nam ono zupełnie nowe wytłumaczenie całości życia, postępu i rozwoju zjawisk na wszystkich obserwowanych przez nas płaszczyznach wszechświata. Prawo to wyjaśnia nam, dlaczego w przyrodzie nie ma linii prostych, a także dlaczego nie możemy myśleć ani czynić, dlaczego wszystko *jest myślane*, dlaczego wszystko się *zdarza*, i to zazwyczaj zdarza się w sposób odwrotny do tego, czego byśmy chcieli lub oczekiwali. Wszystko to jest oczywistym i bezpośrednim skutkiem "interwałów" – lub opóźnień w rozwoju wibracji.

Co dokładnie dzieje się w chwili opóźnienia wibracji? Zachodzi tam odchylenie od pierwotnie przyjętego kierunku. Oktawa zaczyna się w kierunku pokazanym strzałką:



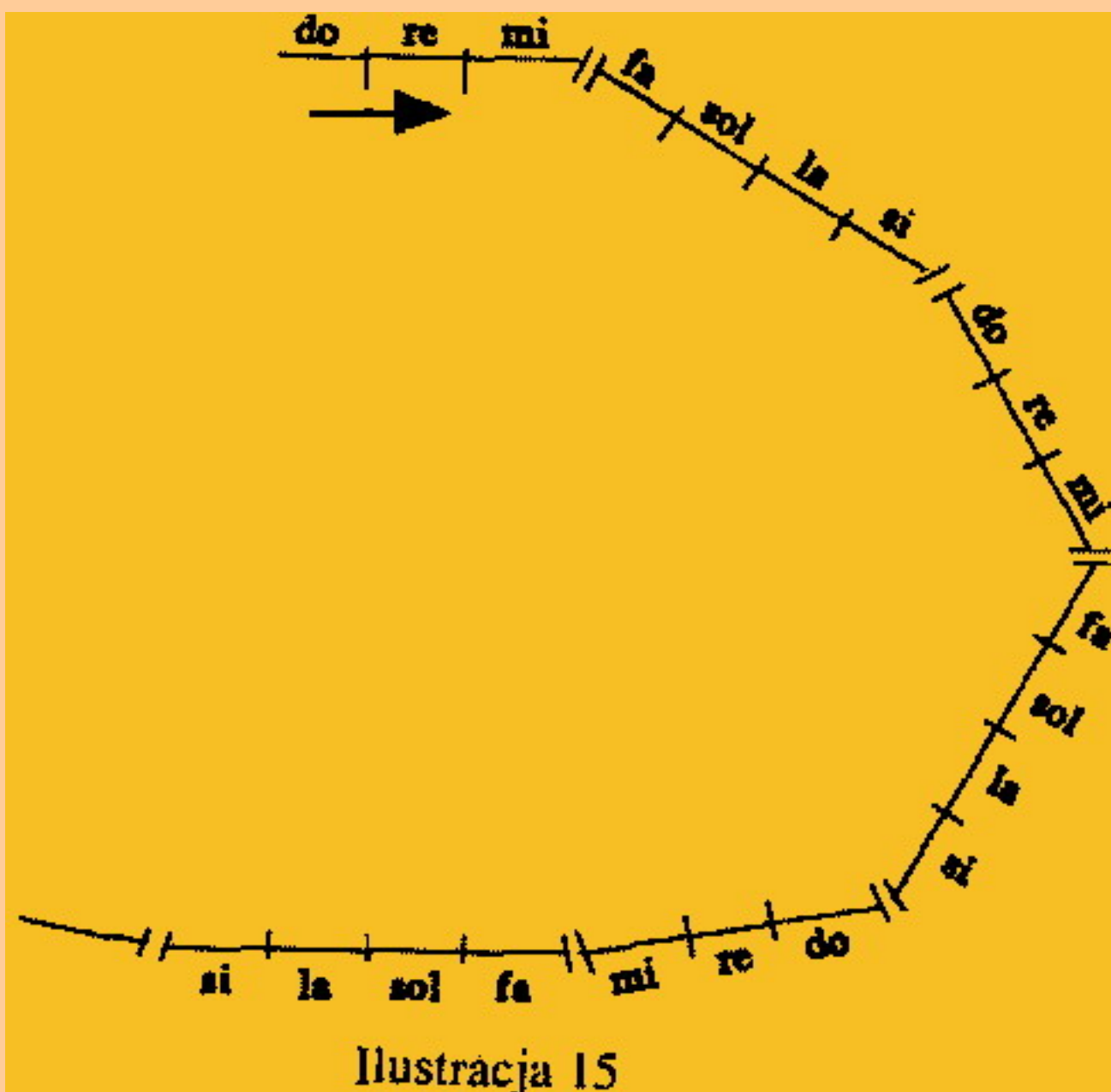
Ale między mi i fa zachodzi odchylenie: linia, która miała swój początek w do, zmienia swój kierunek:



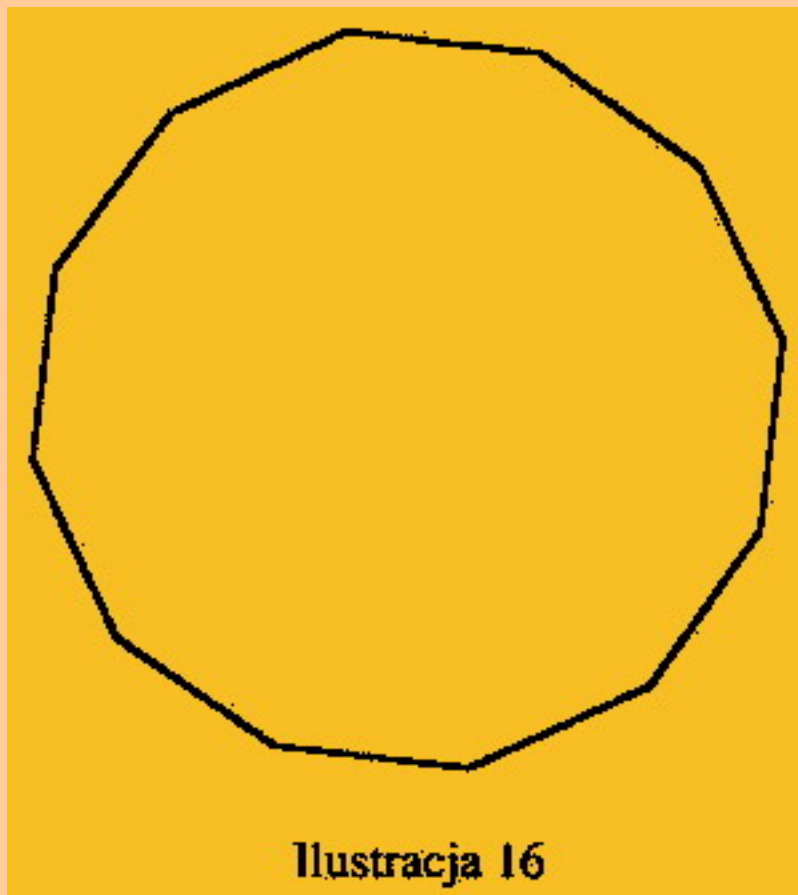
i przebiegając przez fa, sol, la i si opada pod kątem do pierwotnie przyjętego przez siebie kierunku, wskazanego przez trzy pierwsze nuty. Drugi interwał ma miejsce między si i do – jest to nowe odchylenie, kolejna zmiana kierunku.



W każdej następnej oktawie odchylenie jest jeszcze większe, tak że linia oktaw może na końcu zatoczyć koło i postępować w kierunku przeciwnym do pierwotnie przyjętego.



W dalszym rozwoju linia oktaw, czy też linia rozwoju wibracji, może powrócić do pierwotnie obranego kierunku, innymi słowy, może zatoczyć pełne koło.



Ilustracja 16

Prawo to pokazuje, dlaczego w naszych działaniach nie ma nigdy linii prostych, dlaczego zaczynając robić jedną rzecz, w rzeczywistości ciągle robimy coś zupełnie innego, często wręcz sprzecznego z tym pierwszym, choć sami tego nie spostrzegamy i nadal myślimy, że robimy tę samą rzecz, od której zaczęliśmy.

Wszystko to i wiele innych rzeczy można wyjaśnić tylko za pomocą prawa oktaf i przy zrozumieniu roli i znaczenia "interwałów", które powodują, że linia rozwoju siły nieustannie się zmienia, załamuje, zawraca, staje się "swoim własnym przeciwieństwem", itd.

Taki bieg wypadków, to znaczy zmianę kierunku, możemy zaobserwować wszędzie. Po pewnym okresie energicznego działania lub silnej emocji, czy też poprawnego rozumienia, pojawia się reakcja: praca staje się nudna i męcząca; chwile zmęczenia i obojętności wkraczają w uczucia; zamiast poprawnego myślenia pojawia się szukanie kompromisów, tłumienie i unikanie trudnych problemów. Ale linia rozwija się nadal, chociaż już nie w tym samym kierunku, co na początku. Praca staje się mechaniczna, uczucie słabnie, schodząc na poziom zwykłych codziennych wydarzeń; myśl staje się dogmatyczna, dosłowna. Przez pewien czas wszystko postępuje w ten sposób, po czym znów pojawia się reakcja, ponowne zatrzymanie, ponowne odchylenie. Rozwój si może postępować dalej, tylko że praca rozpoczęta z wielkim zapałem i entuzjazmem staje się przymusową i bezużyteczną formalnością; w uczuciach pojawia się wiele obcych elementów – zważanie, utrapienie, irytacja, wrogość. Myśl zatacza koło, powtarzając to, co już wcześniej było jej znane, a znaleziona niedawno droga wyjścia coraz bardziej się gubi.

To samo dzieje się we wszystkich sferach ludzkiej działalności. W literaturze, nauce, filozofii, religii, w prywatnym, a nade wszystko w społecznym i politycznym życiu możemy zaobserwować, jak linia rozwoju siły odchyła się od swojego pierwotnego kierunku i po pewnym czasie zaczyna biec w dokładnie odwrotnym kierunku, *zachowując ciągle swoją starą nazwę*. Badanie historii z tego punktu widzenia ujawnia najbardziej zadziwiające fakty, których "mechaniczna ludzkość" w żadnym wypadku nie chce zauważyć. Najbardziej interesujące przykłady takiej zmiany w linii rozwoju sił można chyba odnaleźć w historii religii, zwłaszcza w historii chrześcijaństwa, jeżeli bada się ją bez namiętności. Pomyślcie, ile razy linia rozwoju sił musiała zakreślać na owej drodze od głoszącej miłość Ewangelii do inkwizycji; albo postępując od ascetyków z pierwszych wieków, poznających chrześcijaństwo *ezoteryczne*, ku scholastykom, którzy liczyli, ile aniołów zmieści się na czubku igły.

Prawo oktaw tłumaczy wiele niezrozumiałych zjawisk w życiu.

Pierwszym z nich jest zasada odchylenia sił.

Drugim jest fakt, że nic w świecie nie pozostaje w tym samym miejscu ani nie pozostaje tym, czym było; wszystko się porusza, wszystko dokądś zmierza, zmienia się i *nieuchronnie albo biegnie w górę albo opada*, wzmacnia się albo słabnie, rozwija się albo degeneruje, to znaczy podąża wzdłuż rosnącej albo opadającej linii oktaw.

I po trzecie, w rzeczywistym rozwoju zarówno rosnących, jak i opadających oktaw, cały czas zachodzą fluktuacje, wzrastanie i opadanie. Do tej pory mówiliśmy głównie o braku *ciągłości wibracji i o odchyleniu sił*. Teraz musimy wyraźnie uchwycić dwie inne zasady: nieuniknione w każdej linii rozwoju sił wzrost albo spadek, a także okresowe fluktuacje, to znaczy wzrastanie i opadanie wzdłuż każdej, tak rosnącej, jak i opadającej linii.

Nic nie może się rozwinąć, pozostając jednocześnie na tym samym poziomie. Wzrost i opadanie stanowią nieuniknione, kosmiczne warunki każdego działania. My ani nie rozumiemy, ani nie widzimy tego, co dzieje się wokoło nas i w nas, ponieważ nie dopuszczamy do nieuniknionego opadania, gdy nie ma wzrostu, albo ponieważ bierzemy opadanie za wzrost. Są to dwie podstawowe przyczyny naszego samookłamywania się. Pierwszej z nich nie widzimy, ponieważ ciągle myślimy, że rzeczy mogą pozostać przez długi czas na tym samym poziomie; i nie widzimy drugiej, ponieważ *wzrosty*, tam gdzie je dostrzegamy, są niemożliwe, tak jak niemożliwe jest wzrastanie świadomości za pomocą środków mechanicznych.

Jeśli nauczyliśmy się już rozróżniać w życiu oktawy rosnące i opadające, to następnie musimy nauczyć się odróżniać wzrost i spadek w samych oktawach. Jakakolwiek sferę naszego życia wzięlibyśmy pod rozwagę, to zobaczymy, że nic nie pozostaje stałe i niezmiennie; wszędzie i we wszystkim kołysze się

wahadło, wszędzie i we wszystkim rosną i opadają fale. Nasza energia, płynąca w tym lub tamtym kierunku, niespodziewanie wzrasta, a potem równie niespodziewanie słabnie. Nasze nastroje, bez żadnego widocznego powodu stają się to lepsze, to gorsze; nasze uczucia, nasze pragnienia, nasze zamiary, nasze decyzje, wszystkie one od czasu do czasu przechodzą okresy wzrostu lub opadania, stając się mocniejsze lub słabsze.

I być może w człowieku istnieje sto poruszających się wahadeł. Te wzrosty i spadki, te jakby falujące fluktuacje nastrojów, myśli, uczuć, energii i determinacji, odpowiadają zarówno okresom rozwoju sił *między interwałami* w oktawach, jak i samym *interwalom*.

Od prawa oktaw, w jego trzech podstawowych przejawach, uzależnionych jest wiele zjawisk natury psychicznej, jak również tych bezpośrednio związanych z naszym życiem. Od prawa oktaw zależy niedoskonałość i niepełność naszej wiedzy, we wszystkich bez wyjątku dziedzinach. Dzieje się tak głównie dlatego, że zawsze zaczynamy postępować w jednym kierunku, a później, nie zauważając tego, postępujemy w innym.

Jak to zostało powiedziane, prawo oktaw we wszystkich swych przejawach znane już było pradawnej wiedzy.

Nawet nasz podział czasu, to znaczy podział dni tygodnia na dni pracy i niedzielę, wiąże się z tymi samymi cechami i wewnętrznymi warunkami naszego działania, które są zależne od ogólnego prawa. Mit biblijny o stworzeniu świata w sześć dni i o siódmym dniu, w którym Bóg odpoczywa od pracy, mimo, że niepełny, jest jednak wyrażeniem prawa oktaw lub wskazaniem na nie.

Obserwacje oparte na zrozumieniu prawa oktaw pokazują, że wibracje mogą rozwijać się na różne sposoby. W przerwanych oktawach jedynie się zaczynają, a następnie opadają, toną albo zostają wchłonięte przez inne, silniejsze wibracje, które się z nimi krzyżują lub biegną w przeciwnym kierunku. W oktawach, które odchylają się od pierwotnie przyjętego kierunku, wibracje zmieniają swój charakter i przynoszą skutki odwrotne do tych, jakich można było oczekiwać na początku.

Jedynie w oktawach kosmicznego porządku, zarówno opadających, jak i rosnących, wibracje rozwijają się w nieprzerwany i uporządkowany sposób, biegnąc w tym samym kierunku, co na początku.

Dalsze obserwacje pokazują, że właściwy i konsekwentny rozwój oktaw, choć rzadko, może być jednak obserwowany przy wszelkiego rodzaju życiowych okazjach, w działaniu przyrody, jak również w ludzkim działaniu.

Właściwy rozwój oktaw opiera się na tym, co wydaje się *przypadkiem*.

Zdarza się czasami, że oktawa równoległa do danej oktawy, w taki lub inny sposób krzyżująca się albo spotykająca się z *nią*, *wypełnia jej "interwały"* i

sprawia, że swobodny i pozbawiony zahamowań rozwój wibracji danej oktawy jest możliwy. Obserwacja takich właściwie rozwijających się oktaw ukazuje, że jeśli w wymaganej chwili, to znaczy w chwili, gdy dana oktawa przechodzi przez interwał, otrzyma ona "dodatkowy wstrząs" o odpowiedniej dla niej sile i charakterze, to będzie się ona dalej rozwijać bez przeszkód, zgodnie z pierwotnie przyjętym kierunkiem, niczego nie tracąc ani nie zmieniając swojego charakteru.

W takich wypadkach zachodzi istotna różnica pomiędzy rosnącymi i opadającymi oktawami.

W oktawie rosnącej pierwszy "interwał" zachodzi między mi i fa. Jeśli w tym momencie włączy się odpowiednia energia dodatkowa, to oktawa będzie rozwijała się bez przeszkód, aż do osiągnięcia si; ale między si i do potrzebuje ona do właściwego rozwoju o *wiele silniejszego "dodatkowego wstrząsu"* niż ten między mi i fa, ponieważ w tym punkcie wibracje oktawy osiągają o wiele wyższą wysokość nastrojenia nut, i po to, by uniknąć zatrzymania w rozwoju oktawy, potrzebne jest znacznie większe natężenie.

Z drugiej strony, w oktawie opadającej największy interwał znajduje się na samym początku oktawy, zaraz po pierwszym do, a materiał potrzebny do jego wypełnienia często można odnaleźć albo w samym do, albo w ubocznych, wywołanych *przez do*, wibracjach. Z tego powodu oktawa opadająca rozwija się znacznie łatwiej niż oktawa rosnąca i po pokonaniu si osiąga ona bez trudności fa; w tym miejscu konieczny jest dodatkowy wstrząs, choć jest on *znacznie słabszy* niż pierwszy wstrząs między do i si.

W dużej kosmicznej oktawie, która dociera do nas w postaci *promienia stworzenia*, możemy zaobserwować pierwszy pełny przykład prawa oktaw. Promień stworzenia ma swój początek w Absolutie. Absolut jest *Wszystkim*. *Wszystko*, posiadając pełną jedność, mając pełną wolę i pełną świadomość, tworzy w sobie światy, dając w ten sposób początek *opadającej* oktawie świata. Absolut stanowi do tej oktawy. Światy stworzone przez Absolut w nim samym, stanowią si. W tym wypadku interwał między do i si wypełnia *wola Absolutu*.

Proces stworzenia rozwija się dalej dzięki sile pierwotnego impulsu i dzięki "dodatkowemu wstrząsowi". Si przechodzi w la, które jest dla nas naszym gwiazdnym światem, *Drogą Mleczną*. La przechodzi w sol – nasze *Słońce*, nasz system słoneczny. Sol przechodzi w fa – świat planetarny. I tutaj, pomiędzy całością świata planetarnego a naszą Ziemią, znajduje się "interwał". Oznacza to, że promieniowania planetarne, przenoszące na Ziemię różne wpływy, nie mogą do niej dotrzeć lub mówiąc dokładniej – nie są one odbierane, ponieważ Ziemia je odbija. By wypełnić istniejący w tym miejscu promienia stworzenia "interwał" stworzono specjalny aparat do odbioru i przekazywania wpływów pochodzących z planet. Tym aparatem jest *życie organiczne na Ziemi*. Życie organiczne przekazuje Ziemi wszystkie przeznaczone dla niej, wpływy i czyni

możliwym dalszy rozwój, i wzrost Ziemi, to jest mi w kosmicznej oktawie, a także Księżyca, czyli re, po którym następuje kolejne do – *Nic*. Pomiędzy *Wszystkim* i *Niczym* biegnie promień stworzenia.

Znacie modlitwę “Święty Boże, Święty Mocny, Święty a Nieśmiertelny” ? Modlitwa ta pochodzi z pradawnej wiedzy. *Święty Bóg* oznacza Absolut lub Wszystko. *Święty Mocny* oznacza Absolut lub Nic. *Święty Nieśmiertelny* oznacza to, co znajduje się między nimi, to znaczy sześć nut promienia stworzenia wraz z “życiem organicznym”. Wszystkie trzy, ujęte razem, czynią jedno. Jest to współistniejąca i niepodzielna Trójca.

Musimy teraz zatrzymać się nad ideą “dodatkowych wstrząsów”, które zezwalają liniom sił na dotarcie do wytyczonego celu. Jak już wcześniej powiedziałem, wstrząsy mogą zdarzyć się przypadkowo. Przypadek jest oczywiście rzeczą bardzo niepewną. Ale te linie rozwoju sił, które przypadkowo zostały wyprostowane i które człowiek może czasami zobaczyć, których może on oczekiwać lub też przypuszczać, że one istnieją, bardziej niż cokolwiek innego stwarzają w nim złudzenie *linii prostych*. To znaczy, myśli on, że linie z zasady są proste, a te złamane lub przerywane są tylko wyjątkiem. To z kolei stwarza w nim złudzenie, że *czynienie* jest możliwe, że możliwe jest osiągnięcie wytyczonego celu. W rzeczywistości człowiek nic nie może czynić. Jeśli przypadkowo jego działanie daje pewien rezultat, gdy choćby tylko wyglądem lub z nazwy przypomina wytknięty cel, to wtedy człowiek upewnia siebie i innych, że osiągnął ów założony przez siebie cel i że ktoś inny także byłby w stanie ten cel osiągnąć, a inni w to wierzą. W rzeczywistości jest to złudzenie. Człowiek *może* wygrać w ruletkę. Ale to tylko przypadek. Osiągnięcie jakiegoś celu, który ktoś wytyczył sobie w życiu lub w jakiejś szczególnej sferze swej działalności, jest przypadkiem tego samego rodzaju. Różnica polega tu na tym, że grając w ruletkę człowiek za każdym razem, to znaczy przy każdej puli, wie, czy przegrał, czy wygrał; natomiast w sferze działań życiowych, szczególnie tych, które mają znaczenie społeczne, człowiek może bardzo łatwo siebie okłamywać; kiedy zaś pomiędzy początkiem a końcem czegoś upływają lata, osiągnięty rezultat może on uznać za ten upragniony, to znaczy, może uwierzyć, że wygrał, mimo że w całości przegrał.

Największą obrazą dla “człowieka-maszyny” jest powiedzenie mu, że nie może nic zrobić, że nie może niczego osiągnąć, że nigdy nie może dążyć do żadnego celu, i że zmierzając do jednego, nieuchronnie tworzy jakiś inny cel. Oczywiście nie może być inaczej. “Człowiek-maszyna” znajduje się w rękach przypadku. Jego działania mogą przypadkowo znaleźć się na pewnym torze, który został stworzony przez kosmos lub mechaniczne siły, i przez jakiś czas mogą one biec przypadkowo wzdłuż tego toru, przyczyniając się do powstania złudzenia, że pewnego rodzaju cele zostały osiągnięte. Takie przypadkowe zbieganie się wyników z wcześniej założonymi przez nas celami, czy też osiąganie celów w drobnych sprawach, *które nie mogą mieć konsekwencji*, stwarza w

mechanicznym człowieku przekonanie, że jest on w stanie osiągnąć każdy cel, że – jak to się mówi – jest on w stanie “ujarzmzić przyrodę”, że jest w stanie “urządzić całość swojego życia”, itd.

Oczywiście, tak naprawdę nie jest on w stanie zrobić niczego w tym rodzaju, ponieważ nie tylko nie ma kontroli nad rzeczami na zewnątrz siebie, ale nawet nad tym, co znajduje się wewnątrz niego. To ostatnie należy wyraźnie zrozumieć i przyswoić sobie. Jednocześnie trzeba zrozumieć, że kontrola nad rzeczami zaczyna się od kontroli nad rzeczami w nas samych, *od kontroli nad nami samymi*. Człowiek, który nie jest w stanie kontrolować samego siebie, czy też tego, co się w nim dzieje, nie może niczego kontrolować.

W jaki sposób można osiągnąć kontrolę?

Część techniczną tej metody wyjaśnia prawo oktaw. Oktawy mogą nieprzerwanie i ciągle rozwijać się w pożądanym kierunku, jeśli we właściwych momentach, to znaczy w chwilach, gdy wibracje tracą swoją prędkość, włączają się w nie “dodatkowe wstrząsy”. Jeśli w odpowiednich chwilach “dodatkowe wstrząsy” się nie włączają, wówczas oktawy zmieniają swój kierunek. Łudzenie się, że “dodatkowe wstrząsy” przyjdą skądś same w odpowiednich chwilach, jest oczywiście nie do przyjęcia.

Człowiekowi zatem pozostaje wybór pomiędzy odnalezieniem takiego kierunku dla swoich działań, który odpowiada w danej chwili mechanicznej linii wydarzeń; innymi słowy, wybór pomiędzy “pójściem tam, gdzie wiatr zawieje” lub “popłynięciem z prądem” – nawet jeśli jest to sprzeczne z jego wewnętrznymi skłonnościami, przekonaniem i sympatiami – a pogodzeniem się z fiaskiem tego wszystkiego, czego się podejmuje. Albo też może on nauczyć się rozpoznawać momenty interwałów we wszystkich liniach swojej działalności i nauczyć się *tworzenia* “dodatkowych wstrząsów”; innymi słowy, nauczyć się stosowania do własnych działań metody, z której korzystają kosmiczne siły *przy tworzeniu* “dodatkowych wstrząsów” wówczas, gdy jest to konieczne.

Możliwość sztucznych, to znaczy specjalnie tworzonych “wstrząsów dodatkowych” nadaje poznawaniu prawa oktaw praktyczne znaczenie i sprawia, że to poznawanie staje się obowiązkiem i koniecznością, jeśli człowiek chce wyjść z roli biernego obserwatora tego, co się dzieje z nim i wokół niego.

“Człowiek-maszyna” nic nie może uczynić. Z nim i wkoło niego wszystko *się zdarza*. By *czynić*, konieczna jest znajomość prawa oktaw, znajomość momentów “interwałów” i zdolność tworzenia koniecznych “dodatkowych wstrząsów”.

Tego można się nauczyć tylko *w szkole*, to znaczy we właściwie zorganizowanej szkole, która podąża drogą wszystkich ezoterycznych tradycji. Bez pomocy szkoły człowiek sam nigdy nie zrozumie prawa oktaw, miejsca “interwałów” i porządku tworzenia “wstrząsów”. Nie może on tego zrozumieć, ponieważ do

tego konieczne są pewne warunki, a warunki te mogą być stworzone jedynie w szkole, *która sama została stworzona w oparciu o te zasady*.

Później zostanie wytłumaczone, w jaki sposób "szkoła" może powstać w oparciu o zasadę prawa oktaw. Pomoże to nam też w wyjaśnieniu jednego z aspektów związku istniejącego pomiędzy *prawem siedmiu i prawem trzech*. Tymczasem można tylko powiedzieć, że dzięki nauczaniu szkoły człowiek otrzymuje przykłady zarówno opadających (tworzących), jak i rosnących (lub ewolucyjnych) oktaw kosmicznych. Zachodnia myśl – nie wiedząc ani o oktawach, ani o prawie trzech – myli ze sobą linie rosnące i opadające, i nie rozumie, że linia ewolucji jest przeciwna do linii tworzenia, to znaczy, że biegnie w odwrotnym do niej kierunku, jakby pod prąd.

Przy poznawaniu prawa oktaw trzeba pamiętać o tym, że we wzajemnej relacji oktawy dzieli się na *podstawowe i podporządkowane*. Oktawę podstawową można porównać do pnia drzewa, który wypuszcza gałęzie ubocznych oktaw. Siedem podstawowych nut oktawy i dwa "interwały" – *nosiciele nowych kierunków* – tworzą razem dziewięć ogniw łańcucha, trzy grupy, z których każda zawiera trzy ogniwa.

Oktawy podstawowe są połączone z oktawami drugorzędnymi, czy też podporządkowanymi, w pewien określony sposób. Z oktaw podporządkowanych pierwszego rzędu biorą swój początek oktawy podporządkowane drugiego rzędu, itd. Budowę oktaw można porównać do budowy drzewa. Od podstawowego, prostego pnia odchodzą we wszystkie strony konary, które z kolei dzielą się na coraz to mniejsze gałęzie, by w końcu pokryć się liśćmi. Ten sam proces zachodzi przy budowie liści, w formowaniu się żyłek, podczas ząbkowania, itd.

Tak jak wszystko w przyrodzie, ludzkie ciało – reprezentujące pewną całość – zawiera w środku i na zewnątrz dokładnie te same związki. Zgodnie z liczbą nut w oktawie i jej "interwałami", ciało ludzkie ma dziewięć podstawowych miar wyrażonych za pomocą liczb o określonej wielkości. W poszczególnych jednostkach liczby te oczywiście mogą bardzo się od siebie różnić, ale tylko w pewnych, określonych granicach. Tych dziewięć podstawowych miar łącząc się w pewien określony sposób, tworzy pełną oktawę pierwszego rzędu i przechodzi w miary oktaw podporządkowanych, które z kolei dają początek innym podporządkowanym oktawom, itd. W ten sposób można uzyskać miary każdego członka albo każdej części ludzkiego ciała, ponieważ wszystkie one znajdują się w określonym stosunku do siebie.

Prawo oktaw wywołało oczywiście w naszej grupie wiele rozmów i dużo zakłopotania. G. cały czas ostrzegał nas przed nadmiernym teoretyzowaniem.

– Musicie zrozumieć i czuć to prawo w sobie – powiedział. – Tylko wtedy będziecie je widzieli poza sobą.

To było oczywiste. Ale trudność polegała nie tylko na tym. Samo "techniczne" zrozumienie prawa oktaw wymaga dużo czasu. I bez przerwy do tego prawa wracaliśmy, robiąc czasami nieoczekiwane odkrycia, a czasami gubiąc to, co zdawało się już być ustalone.

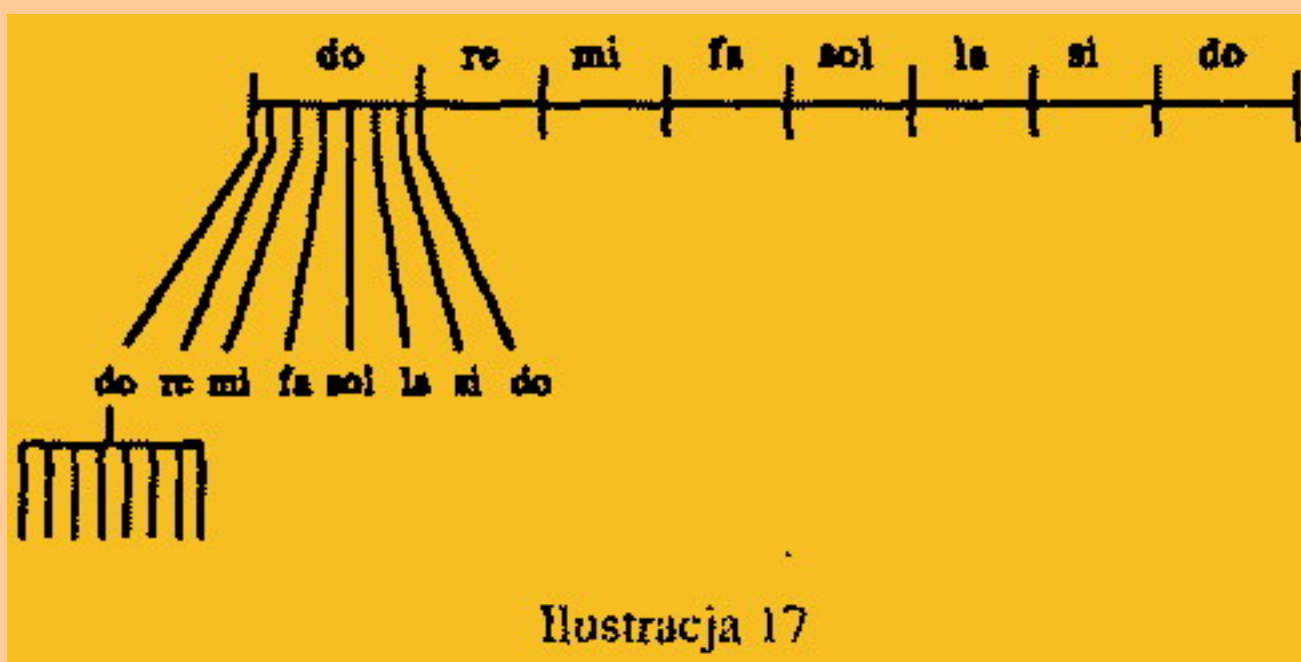
Trudno jest teraz przekazać, jak w różnych okresach to jedna, to znów druga idea stawała się środkiem ciężkości naszej pracy, przyciągała największą uwagę, wywoływała najwięcej rozmów. Idea prawa oktaw stała się na swój sposób stałym środkiem ciężkości. Wracaliśmy do niej przy każdej okazji, mówiliśmy o niej i dyskutowaliśmy o jej różnych aspektach na każdym spotkaniu, aż do czasu, gdy zaczęliśmy stopniowo myśleć o wszystkim z punktu widzenia tej idei.

W pierwszej rozmowie G. przedstawił tylko ogólny zarys idei i sam nieustannie do niej wracał, wskazując nam jej różne aspekty i znaczenia.

Podczas jednego z kolejnych spotkań, G. w bardzo ciekawy sposób przedstawił nam jeszcze inne znaczenie prawa oktaw, które dotyczyło samego sedna rzeczy:

– By lepiej zrozumieć znaczenie prawa oktaw, trzeba mieć jasny pogląd na temat jeszcze innej właściwości wibracji. Chodzi o tak zwane "wibracje wewnętrzne". Oznacza to, że wewnątrz wibracji postępują inne wibracje i że każdą oktawę można rozłożyć na dużą ilość wewnętrznych wibracji.

Każda nuta dowolnej oktawy może na innej płaszczyźnie być uznana za całą oktawę. Z kolei każda nuta wewnętrznych oktaw zawiera w sobie całą oktawę i tak dalej przez dłuższy czas, ale *nie ad infinitum*, ponieważ istnieje określona granica rozwoju wewnętrznych oktaw.



Ilustracja 17

Te wewnętrzne wibracje, zachodząc równocześnie w ciałach o różnej gęstości, nawzajem się przenikają, odbijają się w sobie, wzajemnie się zapoczątkowują, zatrzymują, wprawiają w ruch lub zmieniają się pod wzajemnym wpływem.

Wyobraźmy sobie wibrację substancji czy ciała o pewnej określonej gęstości. Przypuśćmy, że ta substancja lub ciało składa się z dość grubych atomów świata 48, z których każdy – jeśli można tak powiedzieć jest skupiskiem 48 pierwotnych atomów. Wibracje, które postępują w tym ciele, dzieli się na oktawy, a oktawy dzieli się na nuty. Wyobraźmy sobie, że w celu przeprowadzenia pewnego rodzaju badania zajmiemy a się jedną oktawą tych wibracji. Musimy zdać sobie sprawę, że w granicach tej oktawy postępują wibracje jeszcze subtelniejszej substancji. Substancja świata 48 jest nasączona substancją świata 24; wibracje w substancji świata 24 znajdują się w określonym stosunku do wibracji w substancji świata 48. Chodzi o to, że w wibracjach substancji świata 48 każda nuta zawiera całą oktawę substancji świata 24.

To są *wewnętrzne* oktawy.

Substancja świata 24 jest z kolei przeniknięta substancją świata 12. W tej substancji także znajdują się wibracje i każda nuta wibracji w świecie 24 zawiera całą oktawę wibracji w świecie 12. Substancja świata 12 przeniknięta jest substancją świata 6. Substancja świata 6 przeniknięta jest substancją świata 3. Świat 3 przeniknięty jest substancją świata 1. W każdym z tych światów istnieją odpowiednie wibracje i porządek pozostaje zawsze taki sam, mianowicie każda nuta wibracji substancji grubszej zawiera całą oktawę wibracji substancji subtelniejszej.

Jeśli zaczniemy od wibracji świata 48, to możemy powiedzieć, że jedna nuta wibracji w tym świecie zawiera oktawę lub siedem nut wibracji świata planetarnego. Każda nuta wibracji świata planetarnego zawiera siedem nut wibracji świata słonecznego. Każda nuta wibracji świata słonecznego będzie zawierała siedem nut wibracji świata gwiazdowego, itd.

Poznawanie wewnętrznych oktaw, poznawanie ich stosunku do oktaw zewnętrznych i możliwe oddziaływanie tych pierwszych na drugie, stanowi bardzo ważną część poznawania świata i człowieka.

Podczas następnego spotkania G. znów mówił o promieniu stworzenia, częściowo powtarzając, a częściowo uzupełniając i rozwijając to, co powiedział dotychczas.

– Promień stworzenia, tak jak każdy inny zakończony w danym momencie proces, można uważać za oktawę. Będzie to oktawa opadająca, w której do przechodzi w si, si w la, itd.

Absolut lub *Wszystko* (świat 1) będzie do; wszystkie światy (świat 3) – si; wszystkie słońca (świat 6) – la; nasze Słońce (świat 12) – sol; wszystkie planety (świat 24) – fa; Ziemia (świat 48) – mi; Księżyc (świat 96) – re. Promień stworzenia zaczyna się od Absolutu. Absolut jest *Wszystkim*. To jest do.



Promień stworzenia kończy się na Księżycu. Poza Księżycem jest *Nic*. To także jest Absolut – do.

Badając “promień stworzenia”, czy też “kosmiczną oktawę”, widzimy, że w rozwoju tej oktawy powinny pojawić się interwały: pierwszy między do i si, to znaczy między światem 1 i światem 3, między Absolutem i “wszystkimi światami”, oraz drugi między fa i mi, to znaczy między światem 24 i światem 48, między “wszystkimi planetami” i Ziemią. Ale pierwszy “interwał” wypełnia wola Absolutu. Jeden z przejawów woli Absolutu polega właśnie na wypełnianiu tego “interwału” za pomocą świadomej manifestacji siły neutralizującej, która wypełnia “interwał” istniejący między czynnymi i biernymi siłami. Z drugim “interwałem” sytuacja jest bardziej skomplikowana. Między planetami a Ziemią czegoś brakuje. Wpływy planetarne nie mogą w sposób ciągły i pełny docierać do Ziemi. Konieczny jest “dodatkowy wstrząs”; konieczne jest stworzenie pewnych nowych warunków dla zapewnienia właściwego przepływu sił.

Warunki zapewniające przepływ sił tworzone są poprzez umieszczenie pomiędzy planetami i Ziemią specjalnego mechanicznego przyrządu. Tym mechanicznym przyrządem, tą “stacją przekaźnikową sił” jest *życie organiczne na Ziemi*. Życie

organiczne na Ziemi zostało stworzone w celu wypełnienia interwału między planetami a Ziemią.

Życie organiczne, jeśli można tak powiedzieć, reprezentuje *narząd postrzegania Ziemi*. Życie organiczne formuje coś na kształt czulej powłoki, która pokrywa całą kulę ziemską i odbiera wpływy pochodzące ze sfery planetarnej, które inaczej nie byłyby w stanie dotrzeć do Ziemi. Pod tym względem królestwa roślinne, zwierzęce i ludzkie są dla Ziemi równie ważne. Pole pokryte jedynie trawą poddaje się wpływom planetarnym określonego rodzaju i przekazuje je Ziemi. To samo pole wypełnione tłumem ludzi będzie odbierało i przekazywało inne wpływy.

Ludność Europy odbiera jeden rodzaj wpływów planetarnych i przekazuje je Ziemi. Ludność Afryki odbiera wpływy planetarne innego rodzaju, itd.

Wszystkie wielkie wydarzenia w życiu mas ludzkich są powodowane przez wpływy planetarne. Są one wynikiem absorpcji wpływów planetarnych. Społeczeństwo ludzkie jest masą wysoce czułą na odbiór wpływów planetarnych. I każde przypadkowe małe napięcie w sferach planetarnych może całymi latami mieć swoje reperkusje w postaci wzrostu ożywienia w takiej lub innej sferze ludzkiej działalności. Oto w przestrzeni planetarnej zachodzi coś przypadkowego i bardzo krótkotrwałego; natychmiast zostaje to odebrane przez ludzkie masy i ludzie zaczynają nienawidzić się i zabijać nawzajem, uzasadniając swoje działania jakąś teorią braterstwa, równości, miłości lub sprawiedliwości.

Życie organiczne jest narządem postrzegania Ziemi i jednocześnie jest narządem promieniowania. Dzięki życiu organicznemu każda część powierzchni Ziemi zajmująca dany obszar, w każdej chwili wysyła pewien rodzaj promieni w kierunku Słońca, planet i Księżyca. Słońce potrzebuje jednego rodzaju promieniowań, planety innego rodzaju, a Księżyc jeszcze innego. Wszystko, co dzieje się na Ziemi, wytwarza tego rodzaju promieniowanie. I wiele rzeczy często *zdarza się* tylko dlatego, że od danego miejsca na powierzchni Ziemi wymaga się określonego rodzaju promieniowania.

Mówiąc o tym, G. szczególnie zwracał naszą uwagę na nieprzystawalność czasu, to znaczy czasu trwania wydarzeń w świecie planetarnym i w ludzkim życiu. Znaczenie tych słów dopiero później stało się dla mnie jasne.

Jednocześnie cały czas kładł on nacisk na fakt, że niezależnie od tego, co działo się w cienkiej powłoce życia organicznego, zawsze służyło to interesom Ziemi, Słońca, planet i Księżyca. Nic niepotrzebnego i nic niezależnego nie mogło się tu dziać, ponieważ wspomniana powłoka została stworzona w określonym celu i tylko jemu jest ona podporządkowana.

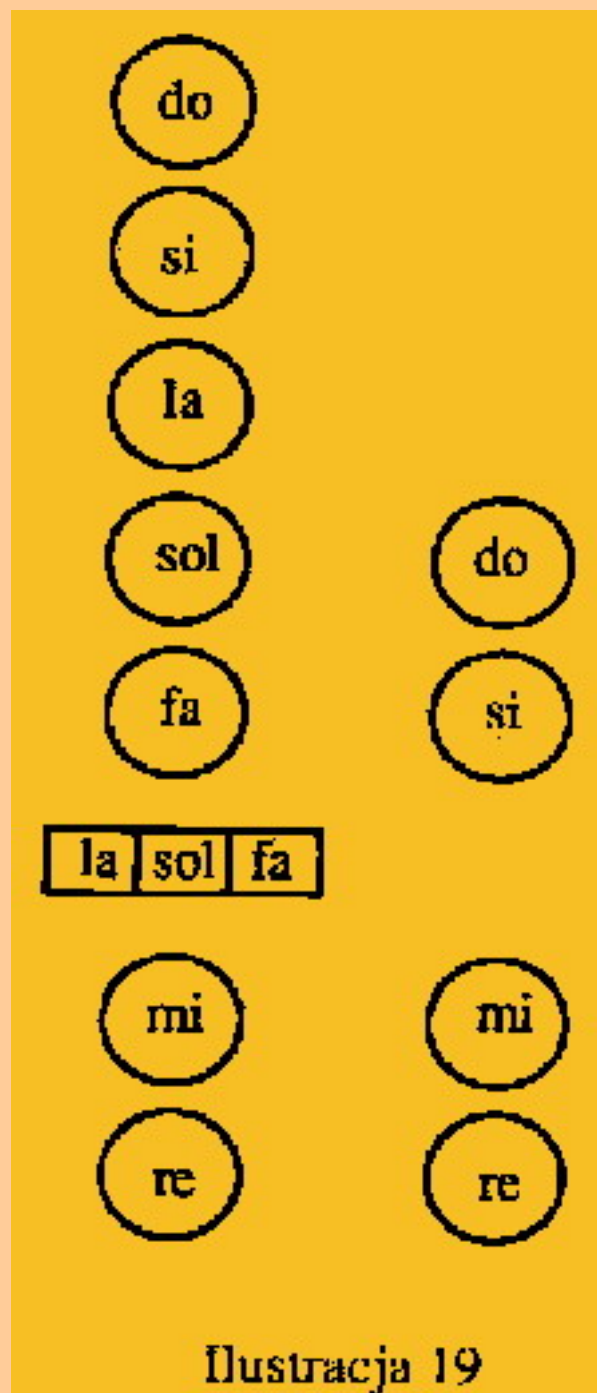
Pewne o razu, rozwijając ten temat, G. Pokazał nam wykres struktury oktawy, w którym jednym z ognisk było "życie organiczne na Ziemi".

– Ta dodatkowa, czy też poboczna, oktawa w promieniu stworzenia zaczyna się od Słońca – powiedział.

– Słońce, czyli sol w oktawie kosmicznej, zaczyna w pewnym momencie brzmieć jak do, sol – do.

Trzeba zdać sobie sprawę, że każda nuta w jakiegokolwiek oktawie – w tym wypadku każda nuta oktawy kosmicznej – może reprezentować do jakiejś innej, pochodzącej od niej, bocznej oktawy. Albo jeszcze dokładniej można by powiedzieć, że dowolna nuta dowolnej oktawy może być jednocześnie dowolną nutą dowolnej innej oktawy, przebiegającej przez nią.

W danym wypadku sol zaczyna brzmieć jako do. Schodząc do poziomu planet, ta nowa oktawa przechodzi w si; opadając niżej, wytwarza ona trzy nuty la, sol, fa, które stwarzają i stanowią życie organiczne na Ziemi w formie, w jakiej je znamy; mi tej oktawy łączy się z mi oktawy kosmicznej, to znaczy z Ziemią, a re łączy się z re oktawy kosmicznej, to znaczy z Księżycem.



Ilustracja 19

Ilustracja 19

Od razu poczuliśmy, że ta boczna oktawa jest pełna znaczenia. Przede wszystkim ukazywała ona, że życie organiczne, reprezentowane na wykresie przez trzy nuty, ma dwie wyższe nuty, jedną na poziomie planet i jedną na poziomie Słońca, i że *miało ono swój początek w Słońcu*. To ostatnie stanowi najważniejszy punkt, ponieważ po raz kolejny – jak wiele innych rzeczy w systemie G. – okazało się to sprzeczne z potoczną, współczesną ideą życia, które bierze swój początek, jeśli można tak powiedzieć, z *dołu*. Zgodnie z wyjaśnieniami G., życie przyszło z *góry*.

Później odbyło się wiele rozmów o nutach mi i re z pobocznej oktawy. Nie mogliśmy oczywiście zdefiniować, czym jest re. Ale było ono w oczywisty sposób powiązane z ideą pokarmu dla Księżyca. Jakiś produkt rozpadu życia organicznego docierał do Księżyca; to musiało być re. Co do mi, to można było mówić o tym z dużą dokładnością.

Bez wątplenia życie organiczne zanikało w Ziemi. Rola życia organicznego w strukturze powierzchni Ziemi nie podlega dyskusji. Następuje rozwój wysp koralowych i gór wapiennych, formowanie się pokładów węgla i gromadzenie ropy naftowej; przemiana gleby pod wpływem wegetacji, roślinność jezior, wytwarzanie przez robaki żyznych pól uprawnych, zmiana klimatu w wyniku odwadniania bagien i niszczenia lasów, jak również wiele innych rzeczy, o których wiemy i których nie wiemy. Co więcej, boczna oktawa szczególnie wyraźnie uwidoczniała, jak prosto i poprawnie zostały sklasyfikowane rzeczy w systemie, który poznawaliśmy. Wszystko, co nieprawidłowe, nieoczekiwane i przypadkowe, zniknęło i zaczął pojawiać się ogromny i dokładnie przemyślany plan wszechświata.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Podczas jednego z kolejnych wykładów G. powrócił do tematu świadomości.

– Nie da się zrozumieć psychicznych ani fizycznych funkcji człowieka, dopóki się nie pojmie, że mogą one działać w różnych stanach świadomości.

Istnieją cztery możliwe dla *człowieka* stany świadomości – zaakcentował słowo “człowiek”. – Ale zwykły człowiek, czyli człowiek nr 1, nr 2 i nr 3 żyje tylko w dwóch najniższych stanach świadomości. Dwa wyższe stany świadomości są dla niego niedostępne; i choć może on mieć przebłyski tych stanów, to nie może ich zrozumieć i osądza je z punktu widzenia tych stanów, w których zazwyczaj się znajduje.

Dwa zwykłe, to znaczy dwa najniższe stany świadomości, to po pierwsze *sen*, a więc stan bierny, w którym człowiek spędza jedną trzecią, a bardzo często połowę swojego życia; i po drugie stan, w którym ludzie spędzają resztę swojego życia, w którym chodzą ulicami, piszą książki, rozmawiają na podniosłe tematy, biorą udział w polityce, zabijają się nawzajem – stan, który uważają za czynny i nazywają “jasną świadomością” lub “stanem świadomości na jawie”. Pojęcie “jasna świadomość” lub “stan świadomości na jawie” wydaje się żartem, szczególnie gdy zdacie sobie sprawę, czym *jasna świadomość* powinna być, a czym jest stan, w którym człowiek rzeczywiście żyje i działa.

Trzecim stanem świadomości jest *pamiętanie siebie* lub świadomość siebie, świadomość własnego bycia. Zazwyczaj uważa się, że posiadamy ten stan świadomości lub że jeśli chcemy, to możemy go posiadać. Nasza nauka i filozofia przeoczyły fakt, że *nie posiadamy* tego stanu świadomości i nie możemy go wytworzyć w sobie poprzez samo tylko pragnienie czy podjęcie decyzji.

Czwarty stan świadomości nazywany jest *obiektywnym stanem świadomości*. W tym stanie człowiek może widzieć rzeczy *takimi, jakimi one są*. Człowiek może czasami mieć przebłyski tego stanu świadomości. W religiach wszystkich narodów wskazuje się na możliwość tego rodzaju stanu świadomości, który nazywany jest “oświeceniem” i wieloma innymi wyrazami, lecz którego nie da się opisać słowami. Ale jedyna właściwa droga do obiektywnej świadomości prowadzi przez rozwój świadomości siebie. Jeśli zwykły człowiek jest w sztuczny sposób wprowadzony w stan świadomości obiektywnej i następnie przeniesiony z powrotem do stanu zwykłego, to niczego nie będzie on pamiętał i będzie myślał, że stracił na ten czas świadomość. Ale w stanie świadomości siebie człowiek może mieć przebłyski świadomości obiektywnej, które będzie pamiętał.

Czwarty stan świadomości w człowieku oznacza całkiem inny stan bycia; jest on wynikiem wewnętrznego wzrostu i długiej oraz trudnej pracy nad sobą.

Ale trzeci stan świadomości stanowi naturalne prawo człowieka *takiego, jakim on jest*, i jeśli człowiek go nie posiada, to jedynie z powodu niewłaściwych warunków swego życia. Bez żadnej przesady można powiedzieć, że w obecnym czasie trzeci stan świadomości pojawia się w człowieku tylko w formie bardzo rzadkich przebłysków i że tylko dzięki specjalnemu treningowi może on się w nim mniej lub bardziej utrwalić.

Dla większości ludzi, nawet dla ludzi wykształconych i myślących, główną przeszkodą na drodze do osiągnięcia świadomości siebie jest to, iż myśla oni, że *ją posiadają*, to znaczy posiadają świadomość siebie i wszystko, co z nią związane: indywidualność w znaczeniu trwałego i niezmiennego "Ja", wolę, zdolność do *czynienia*, itd. Jest oczywiste, że człowiek nie będzie zainteresowany, jeśli powiecie mu, że przez długą i trudną pracę może osiągnąć coś, co według niego już ma. Wręcz przeciwnie, będzie myślał, że albo jesteście obłąkani, albo dla własnej korzyści próbujecie go oszukać.

Dwa wyższe stany świadomości: "świadomość siebie" i "świadomość obiektywna" związane są z funkcjonowaniem w człowieku *wyższych centrów*.

Poza centrami, o których dotychczas mówiliśmy, istnieją w człowieku dwa inne centra: "wyższe emocjonalne" i "wyższe myślowe". Centra te istnieją w nas; są one w pełni rozwinięte i przez cały czas pracują, ale ich praca nie dociera do naszej zwykłej świadomości. Przyczyna tego leży w specjalnych właściwościach naszej, tak zwanej "jasnej świadomości".

Aby zrozumieć, na czym polega różnica pomiędzy stanami świadomości, powróćmy do pierwszego stanu świadomości, którym jest sen. Jest to całkowicie subiektywny stan świadomości. Człowiek pogrożony jest w snach, bez względu na to, czy je pamięta, czy nie. Nawet jeśli dotrą do niego jakieś prawdziwe wrażenia, takie jak dźwięki, głosy, zimno, doznanie własnego ciała, to wywołają one w nim tylko fantastyczne, subiektywne obrazy. Potem człowiek się obudzi. Na pierwszy rzut oka będzie to zupełnie inny stan świadomości. Oto człowiek może się poruszać, może rozmawiać z innymi ludźmi, może z wyprzedzeniem robić obliczenia, może dostrzegać niebezpieczeństwo i uniknąć go, itd. Jest rzeczą zrozumiałą, że znajduje się on w lepszej sytuacji niż wówczas, gdy spał. Ale jeśli trochę bardziej wgłębimy się w rzeczy, jeśli spojrzymy na jego świat wewnętrzny, na jego myśli, na przyczyny jego działania, to powinniśmy zobaczyć, że jest on prawie w takim samym stanie jak wówczas, gdy spał. I jest to nawet gorsze, ponieważ we śnie jest on bierny, to znaczy nic nie może zrobić. W stanie jawy przez cały czas może coś robić, a rezultat wszystkich jego działań odbije się na nim albo na otaczających go ludziach. *I przy tym wszystkim nie pamięta on samego siebie*. Jest maszyną, z nim wszystko się zdarza. Nie może zatrzymać potoku swoich myśli, nie może kontrolować swojej wyobraźni, swoich emocji, swojej uwagi. Żyje w subiektywnym świecie "ja kocham", "ja nie kocham", "ja lubię", "ja nie lubię", "ja chce", "ja nie chcę", to znaczy w świecie tego, o czym

myśli, że to lubi albo tego nie lubi, o czym myśli, że tego chce albo tego nie chce. Nie widzi on rzeczywistego świata. Rzeczywisty świat jest dla niego ukryty za ścianą wyobraźni. *On żyje we śnie*. Śpi. To, co nazywa się "jasną świadomością", jest snem, i to snem o wiele bardziej niebezpiecznym od nocnego snu w łóżku.

Weźmy jakieś wydarzenie w życiu ludzkości. Na przykład wojnę. W tej chwili toczy się wojna. Co to oznacza? Oznacza to, że kilka milionów śpiących ludzi próbuje zniszczyć kilka milionów innych śpiących ludzi. Nie robiliby tego oczywiście, gdyby się obudzili. Wszystko, co się dzieje, jest skutkiem tego snu.

Oba stany świadomości, sen i jawa, są na równi subiektywne. Dopiero zaczynając *pamiętać samego siebie* człowiek naprawdę się budzi. I wtedy całe otaczające go życie nabiera dla niego innego aspektu i innego znaczenia. Widzi on, że jest to *życie śpiących ludzi*, życie we śnie. Wszystko, co ludzie mówią i wszystko, co robią, mówią i robią we śnie. Nic z tego nie może mieć żadnej wartości. Tylko przebudzenie i to, co prowadzi do przebudzenia, ma w rzeczywistości wartość.

Ile razy pytano mnie tutaj, czy można powstrzymać wojny? Oczywiście, można. Do tego konieczne jest tylko to, żeby ludzie się obudzili. Wydaje się to rzeczą małą. Jest to jednakże najtrudniejsza rzecz, jaka może istnieć, ponieważ ten sen jest pobudzany i podtrzymywany przez całe otaczające życie, przez wszystkie otaczające nas warunki.

Jak można się obudzić? Jak można uciec od tego snu? Są to najważniejsze i najbardziej żywotne pytania, jakie człowiek może sobie postawić. Ale zanim to się stanie, trzeba przekonać się o samym fakcie snu. A można się o tym przekonać jedynie próbując się obudzić. Kiedy człowiek rozumie, że nie pamięta samego siebie, i rozumie, że pamiętanie siebie oznacza do pewnego stopnia przebudzenie się, i gdy jednocześnie doświadczenie pokazuje mu, jak trudno jest pamiętać siebie, wówczas rozumie on, że nie może się obudzić przez samo tylko pragnienie tego. Jeszcze dokładniej można powiedzieć, że człowiek *sam siebie* nie może obudzić. Ale jeśli, powiedzmy, dwudziestu ludzi umówi się, że którykolwiek z nich pierwszy się obudzi, powinien obudzić resztę, to już wtedy mają oni jakąś szansę. Jednakże nawet to jest niewystarczające, bo wszystkich dwudziestu może pójść jednocześnie spać i śnić o tym, że się budzi. A zatem potrzeba jeszcze czegoś więcej. Musi nad nimi czuwać człowiek, który nie śpi albo który nie zasypia tak łatwo jak oni lub który, o ile jest to możliwe, idzie spać świadomie, gdy nie szkodzi to jemu samemu ani pozostałym. Muszą oni znaleźć takiego człowieka i *wynająć go*, by ich obudził i nie pozwolił, by ponownie zasnęli. Bez tego obudzenie się jest niemożliwe. To trzeba zrozumieć.

Można myśleć przez tysiąc lat; można napisać całe biblioteki książek, stworzyć miliony teorii, a wszystko to we śnie, bez żadnej możliwości przebudzenia. Wręcz przeciwnie, te książki i te teorie, napisane i stworzone we śnie, jedynie

uśpią innych ludzi, i tak dalej.

W idei snu nie ma niczego nowego. Niemal od stworzenia świata mówiono ludziom, że śpią i że muszą się obudzić. Ile razy mówi się o tym na przykład w Ewangeliach: "Obudźcie się", "czuwajcie", "nie śpijcie". Uczniowie Chrystusa spali nawet wówczas, gdy po raz ostatni modlił się On w ogrodzie Getsemani. Wszystko tam jest. Ale czy ludzie to rozumieją? Ludzie przyjmują to tylko za sposób mówienia, za wyrażenie, za przenośnię. Zupełnie nie rozumieją, że trzeba to przyjmować dosłownie. I znów łatwo jest zrozumieć, dlaczego tak się dzieje. Aby dosłownie to zrozumieć, trzeba choć trochę się przebudzić lub przynajmniej próbować się obudzić. Mówię wam poważnie, że wiele razy pytano mnie, dlaczego w Ewangeliach nie ma żadnej wzmianki na temat snu. Choć mówi się tam o tym na każdej stronie. To wskazuje, że ludzie czytają Ewangelię we śnie. Dopóki człowiek głęboko śpi i jest całkowicie pogrążony w snach, dopóty nie może nawet myśleć o tym, że śpi. Gdyby myślał o tym, że śpi, to by się obudził. I tak to wszystko się toczy. A ludzie nawet w najmniejszym stopniu nie zdają sobie sprawy, co tracą z powodu tego snu. Jak już powiedziałem, człowiek taki, jaki jest, to znaczy będąc takim, jakim stworzyła go przyroda, może być świadomym siebie istnieniem. Takim go stworzono i takim się rodzi. Ale rodzi się on pośród ludzi śpiących i oczywiście zasypia pośród nich dokładnie w chwili, gdy powinien zacząć być świadomy siebie. Wszystko ma w tym swój udział: mimowolne naśladowanie przez dziecko ludzi starszych, ich dobrowolna i mimowolna sugestia, jak również to, co nazywa się "wykształceniem". Każda podjęta przez dziecko próba, by się obudzić, jest natychmiast powściągana. Jest to nieuniknione. I bardzo dużo wysiłków, bardzo wiele wsparcia potrzeba do tego, by móc obudzić się później, kiedy nagromadziło się już tysiące nawyków zmuszających do snu. Zdarza się to zresztą bardzo rzadko. W większości wypadków człowiek traci możliwość przebudzenia będąc jeszcze dzieckiem; całe swoje życie żyje on we śnie i umiera we śnie. Co więcej, wielu ludzi umiera na długo przed swoją fizyczną śmiercią. Ale o takich wypadkach będziemy mówić później.

Zwróćcie teraz uwagę na to, na co wcześniej wam wskazałem. W pełni rozwinięty człowiek, którego nazywam "człowiekiem w pełnym tego słowa znaczeniu", powinien posiadać cztery stany świadomości. Zwykły człowiek, czyli człowiek nr 1, nr 2 i nr 3 żyje tylko w dwóch stanach świadomości. On wie lub przynajmniej może wiedzieć o istnieniu czwartego stanu świadomości. Wszystkie te tak zwane "stany mistyczne" i inne są błędnymi definicjami; lecz gdy nie są one kłamstwem i naśladownictwem, to są wówczas przebłyskami tego, co nazywamy obiektywnym stanem świadomości.

Człowiek nie wie ani nawet nie podejrzewa istnienia trzeciego stanu świadomości. I nie może go podejrzewać, ponieważ jeśli by się mu wytłumaczyło, czym jest trzeci stan świadomości, to znaczy na czym on polega, wówczas stwierdziłby, że jest to jego zwykły stan. Człowiek sam siebie uważa za istotę

świadomą, rządzącą swoim własnym życiem. Fakty, które temu przeczą, uważa za przypadkowe lub chwilowe, zmieniające się same przez się. Uważając, że z natury posiada on świadomość siebie, człowiek oczywiście nie będzie próbował zbliżyć się do niej ani jej osiągnąć. A tymczasem bez świadomości siebie, lub też bez trzeciego stanu, czwarty – z wyjątkiem rzadkich przebłysków – nie jest możliwy. Jednakże poznanie, rzeczywiste *obiektywne* poznanie, o które człowiek, jak sam twierdzi, walczy, jest możliwe tylko w czwartym stanie świadomości, to znaczy, że zależy od pełnego posiadania czwartego stanu świadomości. Poznanie uzyskane w zwykłym stanie świadomości jest wymieszane ze snami. Taki jest pełny obraz bycia człowieka nr 1, 2 i 3.

G. zaczął następną rozmowę w następujący sposób:

– Możliwości człowieka są olbrzymie. Nie jesteście w stanie pojąć nawet cienia tego, co człowiek jest zdolny osiągnąć. Ale niczego nie można osiągnąć we śnie. W świadomości śpiącego człowieka jego złudzenia, jego "sny", są wymieszane z rzeczywistością. Żyje on w subiektywnym świecie i nigdy nie może od niego uciec. To z tej przyczyny nie może on nigdy skorzystać ze wszystkich mocy, które ma, i dlatego też żyje zawsze tylko w niewielkiej części samego siebie.

Zostało wcześniej powiedziane, że poznawanie i obserwacja siebie, jeśli przeprowadzone są we właściwy sposób, zbliżają człowieka do uświadomienia sobie faktu, że coś jest nie w porządku z jego maszyną i z jego funkcjami w ich zwykłym stanie. Człowiek zdaje sobie sprawę, że jest tak właśnie dlatego, że śpi, żyje i pracuje niewielką częścią samego siebie. To właśnie z tego powodu olbrzymia większość jego mocy pozostaje nie wykorzystana. Człowiek czuje, że nie bierze od życia tego wszystkiego, co mógłby dostać, że nie udaje mu się to z powodu określonych wad czynnościowych jego maszyny, jego odbiornika. Idea poznawania siebie nabiera w jego oczach nowego znaczenia. Czuje, że być może nie jest nawet warte zachodu poznawanie siebie w taki sposób, w jaki on to teraz robi. Każdą funkcję widzi taką, jaką ona teraz jest i jaką mogłaby czy powinna być. Obserwacja siebie prowadzi człowieka do uświadomienia sobie konieczności zmiany siebie. I obserwując siebie, człowiek zauważa, że sama obserwacja siebie powoduje pewne zmiany w jego wewnętrznych procesach. Zaczyna rozumieć, że obserwacja siebie jest narzędziem zmiany siebie, środkiem przebudzenia. Obserwując siebie rzuca on jakby promień światła na swoje wewnętrzne procesy, które do tej pory odbywały się w zupełnej ciemności. I pod wpływem tego światła same procesy zaczynają ulegać zmianie.

Istnieje olbrzymia liczba procesów chemicznych, które zachodzą wyłącznie pod nieobecność światła. Dokładnie w ten sam sposób wiele procesów psychicznych może zachodzić tylko w ciemności. Nawet słabe światło świadomości wystarcza, by całkowicie zmienić charakter tych procesów, a wiele z nich wręcz uniemożliwić. Nasze wewnętrzne procesy psychiczne (nasza wewnętrzna alchemia) mają wiele wspólnego z tymi procesami chemicznymi, w których

światło zmienia charakter samego procesu, i podlegają one analogicznym prawom.

Kiedy człowiek zda sobie sprawę nie tylko z konieczności poznawania i obserwacji siebie, lecz także z konieczności pracy nad sobą w celu zmienienia siebie, to wówczas charakter jego obserwacji siebie musi ulec zmianie. Do tej pory poznawał on szczegóły pracy centrów, próbując tylko odnotować to lub inne zjawisko, próbując być bezstronnym świadkiem. Poznawał on pracę maszyny. Teraz musi zacząć widzieć samego siebie, to znaczy widzieć nie poszczególne detale, nie pracę małych kół i dźwigni, ale widzieć wszystko razem jako całość – całość samego siebie, takiego, jakim widzą go inni.

W tym celu człowiek musi nauczyć się robić w różnych momentach swojego życia i w różnych stanach emocjonalnych coś w rodzaju “umysłowych zdjęć” samego siebie; i to nie zdjęć szczegółów, lecz zdjęć całości, takiej, jaki zobaczył. Innymi słowy: zdjęcia te muszą równocześnie zawierać wszystko to, co w danej chwili człowiek może w sobie zobaczyć. Emocje, nastroje, myśli, doznania, pozy, ruchy, tony głosu, wyrazy twarzy, itd. Jeśli człowiekowi uda się uchwycić na tych zdjęciach interesujące momenty, wówczas bardzo szybko zgromadzi on cały album zdjęć samego siebie, które całkiem jasno pokażą mu, czym on jest. Ale wcale nie jest łatwo nauczyć się, jak robić te zdjęcia w najciekawszych i najbardziej charakterystycznych momentach, jak uchwycić charakterystyczne pozy, charakterystyczne wyrazy twarzy, charakterystyczne emocje i charakterystyczne myśli. Jeśli jednak uda się zrobić te zdjęcia i jeśli jest ich dostatecznie dużo, to człowiek wówczas zobaczy, że jego utarta koncepcja samego siebie, z którą żył z roku na rok, jest bardzo daleka od rzeczywistości.

Zamiast człowieka, za którego się uważał, zobaczy on całkiem innego człowieka. Ten “inny” człowiek jest nim samym i jednocześnie nie jest nim samym. To on, taki, jakiego znają inni ludzie, jakiego sam sobie wyobraża i jakim jawi się on w swoich działaniach, słowach, itd. Ale nie całkiem taki, jakim jest w rzeczywistości. Bo człowiek sam wie, że w owym innym człowieku, którego znają ludzie i którego on sam zna, wiele jest nierzeczywistego, wymyślnego i sztucznego. Musicie nauczyć się oddzielać rzeczywiste od wymyślnego. I po to, by rozpocząć obserwację i poznawanie siebie, trzeba samego siebie podzielić. Człowiek musi sobie zdać sprawę, że naprawdę składa się z dwóch ludzi.

Jeden z nich to człowiek, którego on nazywa “ja”, a którego inni nazywają “Uspieński”, “Zacharow” czy “Pietrow”. Drugim jest prawdziwy on, rzeczywiste Ja, które w jego życiu pojawia się tylko na bardzo krótkie chwile i które może stać się mocne i trwałe dopiero po bardzo długim okresie pracy.

Dopóki człowiek uważa się *za jedną osobę*, dopóty nie ruszy się z miejsca, w którym się znajduje. Jego praca nad sobą rozpoczyna się w chwili, kiedy zaczyna on czuć w sobie dwóch ludzi. Jeden z nich jest bierny i w najlepszym wypadku może tylko odnotować lub zaobserwować to, co się z nim dzieje. Ten

drugi, który nazywa siebie "ja", jest czynny, i mówi o sobie w pierwszej osobie, choć jest w rzeczywistości tylko "Uspieńskim", "Pietrowem" lub "Zacharowem".

Jest to pierwsze urzeczywistnienie, jakie może dokonać się w człowieku. Gdy zacznie on myśleć we właściwy sposób, wówczas bardzo szybko zobaczy, iż znajduje się całkowicie we władzy swojego "Uspieńskiego", "Pietrowa" lub "Zacharowa". Bez względu na to, co planuje albo co zamierza zrobić lub powiedzieć, to nie "on", nie jego "Ja" wywiąże się z tego czy tamtego, zrobi lub powie to czy tamto, lecz jego "Uspieński", "Pietrow" lub "Zacharow". Oczywiście oni to zrobią albo powiedzą nie w taki sposób, jak zrobiłoby lub powiedziałoby to jego "Ja", ale na swój własny sposób, nadając własny odcień znaczeniowy. I często ten odcień zupełnie zmienia to, co chciało zrobić "Ja".

Z tego punktu widzenia już od samego początku obserwacji siebie wyłania się bardzo konkretne niebezpieczeństwo. To "Ja" zaczyna obserwację siebie, ale natychmiast zostaje ono wchłonięte i dalszą obserwację prowadzi już "Uspieński", "Zacharow" lub "Pietrow". Tymczasem "Uspieński", "Zacharow" czy "Pietrow" już na wstępie wprowadzają do obserwacji siebie małą zmianę, zmianę, która wydaje się całkiem nieistotna, ale w rzeczywistości zmienia wszystko w sposób zasadniczy.

Przypuśćmy, że na przykład człowiek o nazwisku Iwanow słyszy opis tej metody obserwacji siebie. Powiedziano mu, że musi on siebie podzielić: z jednej strony na "on" lub "ja" i z drugiej na "Uspieńskiego", "Pietrowa" lub "Zacharowa". Po czym dzieli on siebie *dosłownie, tak jak to usłyszał*. To jest "ja", mówi, a to jest "Uspieński", "Pietrow" lub "Zacharow". Nigdy nie powie "Iwanow". Jest to dla niego nieprzyjemne, więc niewątpliwie będzie używał nazwiska lub imienia kogoś innego. Co więcej, to, co w sobie lubi, a przynajmniej to, co uważa za silne, nazywa: "ja", natomiast "Uspieńskim", "Pietrowem" lub "Zacharowem" nazywa to, czego nie lubi lub co uważa za słabe. Na tej podstawie zaczyna on rozumować na swój temat na wiele sposobów, oczywiście od samego początku całkiem błędnie, ponieważ sam się oszukał w najważniejszym punkcie, odmawiając ujżenia siebie takiego, jakim jest – to znaczy Iwanowa – i zajmując się rzekomym "Uspieńskim", "Pietrowem" lub "Zacharowem".

Trudno jest nawet sobie wyobrazić, jak często człowiek wzdraga się przed użyciem własnego imienia, mówiąc o sobie w trzeciej osobie. Na wszelkie sposoby próbuje tego uniknąć. Nadaje sobie inne imię, jak we wspomnianym przykładzie; wymyśla dla siebie jakieś sztuczne imię, którym nikt nigdy go nie nazywał i nigdy nie będzie nazywał, albo mówi o sobie po prostu "on". I nie stanowią tu wyjątku ludzie, którzy przywykli w swoich rozmowach w umyśle nazywać siebie po imieniu, po nazwisku albo używając przezwiska. Gdy przychodzi do obserwacji siebie, wola oni nazywać siebie "Uspieńskim" lub mówić "Uspieński we mnie", tak jakby "Uspieński" mógł w nich być. W zupełności wystarczy "Uspieńskiego" dla samego Uspieńskiego.

Ale kiedy człowiek rozumie swoje bezradność wobec "Uspieńskiego", to jego postawa wobec siebie i wobec "Uspieńskiego w nim" przestaje być obojętna czy beztroska.

Obserwacja siebie staje się obserwacją "Uspieńskiego". Człowiek rozumie, że nie jest "Uspieńskim", rozumie że "Uspieński" jest noszoną przez niego maską, rolą, którą nieświadomie odgrywa i której niestety nie może przestać grać; rolą, która nim rządzi i która sprawia, że robi on i mówi tysiące głupich rzeczy, tysiące rzeczy, których sam nigdy by nie zrobił ani nie powiedział.

Jeśli jest szczery wobec siebie, wówczas czuje, że znajduje się we władzy "Uspieńskiego" i jednocześnie czuje, iż nie jest "Uspieńskim".

Zaczyna bać się "Uspieńskiego", zaczyna czuć, że jest on jego wrogiem. Cokolwiek chciałby zrobić, "Uspieński" wszystko przechwytuje i zmienia. "Uspieński" jest jego wrogiem. Pragnienia, gusty, sympatie, antypatie, myśli, opinie "Uspieńskiego" są albo przeciwne jego poglądom, uczuciom i nastrojom, albo nie mają z nimi nic wspólnego. A jednocześnie "Uspieński" jest jego panem. On zaś jest niewolnikiem. Nie ma swojej własnej woli. Nie ma własnych środków wyrażania pragnień, ponieważ cokolwiek chciałby zrobić lub powiedzieć, "Uspieński" to robi za niego.

Na tym poziomie obserwacji siebie człowiek musi zrozumieć, że jego jedynym celem jest uwolnienie się od "Uspieńskiego". Skoro jednak w rzeczywistości nie może się uwolnić od "Uspieńskiego", ponieważ nim jest, musi zatem zdominować "Uspieńskiego" i spowodować, że będzie robił nie to, co "Uspieński" w danej chwili chce zrobić, lecz to, co *on sam* chce zrobić. Z pana "Uspieński" musi zmienić się w służbę.

Pierwsza faza pracy nad sobą polega na oddzieleniu w umyśle siebie od "Uspieńskiego", na faktycznym oddzieleniu się od niego, na trzymaniu się od niego z daleka. Ale trzeba pamiętać, że cała uwaga musi być skoncentrowana na "Uspieńskim", gdyż człowiek nie jest w stanie wytłumaczyć tego, *czym on sam rzeczywiście jest*. Jednakże może on sobie wytłumaczyć "Uspieńskiego" i od tego musi zacząć, pamiętając jednocześnie, że nie jest "Uspieńskim".

Najniebezpieczniejszą rzeczą w tym wypadku jest poleganie na swoim własnym osadzie. Jeśli człowiek ma szczęście, to może w tym czasie mieć obok siebie kogoś, kto potrafi mu powiedzieć gdzie jest on, a gdzie "Uspieński". Ponadto musi on ufać tej osobie, ponieważ bez wapienia będzie myślał, że sam wszystko rozumie i że wie, gdzie jest on, a gdzie "Uspieński". I nie tylko o sobie, ale też o innych ludziach będzie myślał że zna i widzi ich "Uspieńskich". To wszystko jest oczywiście oszukiwaniem siebie. Na tym etapie człowiek nie może widzieć niczego w sobie ani w innych. Im bardziej jest przekonany, że może, tym bardziej się myli; ale jeśli potrafi choćby w niewielkim stopniu być szczerym wobec siebie i jeśli rzeczywiście chce znać prawdę, to wówczas znajdzie

dokładną i niezawodną podstawę do właściwej oceny – najpierw siebie, a potem innych ludzi. Ale cała rzecz w tym, by być szczerym wobec siebie. A to wcale nie jest łatwe. Ludzie nie rozumieją, że szczerości trzeba się nauczyć. Wyobrażają sobie, że bycie szczerym albo nieszczerym zależy od ich własnego pragnienia albo decyzji.

Ale jak człowiek może być wobec siebie szczerzy, skoro w rzeczywistości nie widzi szczerze tego, co powinien w sobie widzieć? Ktoś musi mu to pokazać. I jego postawa wobec człowieka, który mu to pokazuje, musi być właściwa, to znaczy taka, że pomoże mu zobaczyć to, co mu się pokazuje, i nie będzie mu przeszkadzać – jak to się często zdarza, gdy zaczyna on myśleć, że sam lepiej już to wie.

Jest to bardzo ważna chwila w pracy. Człowiek, który w tej właśnie chwili zatracił swój kierunek, nigdy na nowo go nie odnajdzie. Trzeba pamiętać, że człowiek, taki jaki jest, nie ma środków do odróżniania w sobie "Ja" od "Uspieńskiego". Nawet jeśli tego spróbuje, to będzie siebie okłamywał i wymyślał różne rzeczy, tak że nigdy nie zobaczy siebie takiego, jakim rzeczywiście jest. Trzeba zrozumieć, że bez pomocy z zewnątrz człowiek nigdy nie może siebie zobaczyć.

By wiedzieć, dlaczego tak się dzieje, powinniście sobie przypomnieć to, co zostało wcześniej powiedziane. Mówiłem poprzednio o tym, że obserwacja siebie prowadzi człowieka do uświadomienia sobie faktu, iż nie pamięta on samego siebie. Niezdolność człowieka do pamiętania siebie jest jedną z głównych i najbardziej charakterystycznych cech jego bycia oraz przyczyną istnienia w nim wszystkiego innego. Ta niezdolność wyraża się na wiele sposobów. Człowiek nie pamięta swoich decyzji, nie pamięta złożonych przez siebie obietnic, nie pamięta, co powiedział lub co czuł miesiąc, tydzień, dzień albo nawet godzinę temu. Zaczyna pewnego rodzaju pracę i po upływie pewnego czasu nie pamięta już, *dlaczego* ją zaczął. Zdarza się to szczególnie często w związku z pracą nad samym sobą. Człowiek może pamiętać obietnicę złożoną innej osobie tylko dzięki sztucznym skojarzeniom – skojarzeniom, które zostały w nim *wykształcone* i które z kolei związane są z równie sztucznie stworzonymi pojęciami "honoru", "uczciwości", "obowiązku", itd.

Zgodnie z prawdą, ogólnie można rzec, że jeśli człowiek pamięta jedną rzecz, wówczas zapomina o dziesięciu innych rzeczach, których pamiętanie jest dla niego o wiele ważniejsze. Szczególnie łatwo człowiek zapomina to, co dotyczy jego samego, te "umysłowe zdjęcia" samego siebie, które być może wcześniej zrobił.

Pozbawia to poglądy i opinie człowieka jakiegokolwiek stabilności i precyzji. Człowiek nie pamięta tego, o czym myślał lub co powiedział; i nie pamięta, *w jaki sposób* myślał lub *w jaki sposób* mówił.

To z kolei jest związane z jedną z podstawowych cech charakteryzujących

postawę człowieka wobec samego siebie i wobec całego jego otoczenia. Chodzi o jego nieustanne "utożsamianie się" z tym, co w danej chwili przyciągnęło jego uwagę, jego myśli, pragnienia, wyobraźnię.

"Utożsamianie się" jest tak powszechną cechą, że trudno jest dla celów obserwacji oddzielić je od wszystkiego innego. Człowiek znajduje się zawsze w stanie utożsamienia; tylko przedmiot utożsamiania ulega zmianie.

Człowiek utożsamia się z małym problemem, na który natrafia i zupełnie zapomina o wielkich celach, z myślą o których rozpoczął swoje prace. Utożsamia się on z jedną myślą i zapomina o innych myślach; utożsamia się z jedną emocją, z jednym nastrojem, i zapomina o swoich własnych, sięgających dalej myślach, uczuciach i nastrojach. W pracy nad sobą ludzie tak bardzo utożsamiają się z poszczególnymi celami, że nie widzą lasu zza drzew. Dwa czy trzy najbliższe drzewa reprezentują dla nich cały las.

Utożsamianie się jest jednym z naszych najstraszniejszych wrogów, ponieważ przenika ono wszędzie i zwodzi człowieka w chwili, gdy wydaje mu się, że z nim walczy. Uwolnienie się od utożsamiania jest szczególnie trudne, ponieważ w naturalny sposób człowiek łatwo utożsamia się z rzeczami, które najbardziej go interesują, którym poświęca swój czas, swoją pracę i swoją uwagę. Aby uwolnić się od utożsamiania, człowiek musi bez przerwy czuwać i być bezlitosnym w stosunku do siebie, to znaczy nie może się obawiać ujawnienia wszystkich subtelnych i ukrytych form, jakie przybiera utożsamianie się.

Utożsamianie się trzeba widzieć i poznawać w sobie aż do samych jego korzeni. Trudność walki z utożsamianiem wzrasta jeszcze bardziej przez to, że ludzie obserwując je w sobie, uważają je za bardzo dobrą cechę i nazywają "entuzjazmem", "zapałem", "pasją" "spontanicznością", "natchnieniem" i tym podobnymi słowami. Uważają oni, że tylko w stanie utożsamienia człowiek może w dowolnej sferze wykonać dobrą pracę. W rzeczywistości jest to oczywiście złudzenie. Człowiek nie może zrobić nic świadomego, gdy znajduje się w stanie utożsamienia. Gdyby ludzie mogli zobaczyć, co oznacza stan utożsamienia, wówczas zmieniąby swoje zdanie. Człowiek staje się rzeczą, kawałkiem mięsa; zatracą nawet owo niewielkie podobieństwo do istoty ludzkiej, które przedtem go cechowało.

Na Wschodzie, gdzie ludzie palą haszysz i inne narkotyki, często się zdarza, że człowiek tak bardzo utożsamia się ze swoją fajką, że zaczyna uważać siebie samego za fajkę. To nie jest żart, lecz fakt. On naprawdę staje się fajką. To jest właśnie utożsamianie się. I do tego haszysz lub opium są zupełnie zbyteczne. Przyjrzyjcie się ludziom w sklepach, w teatrach, w restauracjach; zobaczcie, jak utożsamiają się oni ze słowami, kiedy kłócą się o coś albo próbują coś udowodnić, zwłaszcza coś, o czym sami nic nie wiedzą. Oni sami stają się łapczywością, pragnieniami lub *słowami*; z nich samych nie pozostaje nic.

Utożsamianie się stanowi główną przeszkodę w pamiętaniu siebie. Człowiek, który się z czymś utożsamia, nie jest w stanie pamiętać samego siebie. Aby pamiętać samego siebie, należy – przede wszystkim *nie utożsamiać się*. Po to jednak, by nauczyć się nie utożsamiać, człowiek musi najpierw *nie utożsamiać się z samym sobą*. Nie wolno mu nazywać siebie "ja" zawsze i przy każdej okazji. Musi pamiętać, że znajduje się w nim dwóch; że jest tam on sam, to znaczy Ja w nim, a także *ktos inny*, z kim musi się zmagać i którego musi pokonać, jeśli kiedyś chce cokolwiek osiągnąć. Dopóki człowiek utożsamia się lub może być utożsamiony, dopóty jest on niewolnikiem wszystkiego, co mu się przytrafia. Wolność jest przede wszystkim wolnością od utożsamiania się.

Po zbadaniu ogólnych form utożsamiania się trzeba zwrócić uwagę na jego poszczególne formy, mianowicie na utożsamianie się z ludźmi, które przybiera formę "zważania" na nich.

Istnieje kilka różnych rodzajów "zważania".

W większości wypadków człowiek utożsamia się z tym, co inni o nim myślą, jak go traktują, jaką wobec niego przyjmują postawę. Myśli zawsze, że ludzie go nie doceniają, że są niewystarczająco grzeczni i uprzejmi. Wszystko to męczy go i sprawia, że myśli, snuje podejrzenia i traci ogromną ilość energii na zgadywanie, na przypuszczenia, na: rozwijanie w sobie nieufnej i wrogiej postawy wobec ludzi. Olbrzymiego znaczenia nabiera dla niego to, jak ktoś na niego spojrział, co ktoś o nim pomyślał, co ktoś o nim powiedział.

I "zważa" on nie tylko na pojedyncze osoby, lecz także na społeczeństwo, na historycznie ukształtowane warunki. Wszystko, co nie zadawała takiego człowieka, wydaje się mu niesprawiedliwe, nielegalne, błędne i nielogiczne. Punktem wyjścia dla jego osądu jest zawsze to, że rzeczy mogą i powinny ulec zmianie. "Niesprawiedliwość" jest jednym ze słów, pod którymi bardzo często ukrywa się "zważanie".

Kiedy człowiek przekonał siebie, że jest oburzony na jakiś "niesprawiedliwość", to zaprzestanie zważania oznaczałoby w takim wypadku dla niego "pogodzenie się z tą niesprawiedliwością".

Istnieją ludzie, którzy potrafią "zważać" nie tylko na niesprawiedliwość lub na to, że inni niewystarczająco ich doceniają, ale którzy są w stanie zważać na przykład na pogodę. Wydaje się to śmieszne, ale to fakt. Ludzie potrafią zważać na klimat, upał, zimno, śnieg, deszcz; mogą być rozdrażnieni z powodu pogody, mogą być na nią oburzeni i źli.

Człowiek może wszystko traktować w tak osobisty sposób, jakby wszystko na świecie było specjalnie urządzone po to, by sprawiać mu przyjemność lub przeciwnie, by stwarzać mu niewygodę czy przykrość. Wszystko to i jeszcze wiele ponadto stanowi jedynie formy "utożsamiania się". Tego typu zważanie całkowicie opiera się na "wymaganiach". Człowiek wewnętrznie "wymaga" tego,

żeby wszyscy widzieli, jakim jest on wybitnym człowiekiem i żeby bez przerwy wyrażali swój szacunek dla niego, swoje wysokie mniemanie o nim i podziw dla niego za jego inteligencję, piękno, spryt, rozum, bystrość, jego oryginalność i wszystkie inne jego przymioty. Te "wymagania" z kolei oparte są na zupełnie fantastycznym mniemaniu o sobie, które bardzo często mają ludzie bardzo skromnie wyglądający. Na przykład różni pisarze, aktorzy, muzycy, artyści i politycy są prawie bez wyjątku ludźmi chorymi. I na co oni cierpią? Po pierwsze, na niezwykłą opinię o samych sobie, prócz tego na wymagania, i wreszcie na "zważanie", to znaczy na przygotowanie się zawczasu i bycie gotowym do tego, by czuć się dotkniętym brakiem zrozumienia i brakiem wyrazów uznania.

Istnieje jeszcze inny rodzaj zważania, który odbiera człowiekowi wiele energii. Zaczyna się od tego, że człowiek myśli *iż nie wystarczająco zważa na inną osobę*. Myśli, że ta druga osoba gniewa się na niego za to, że on nie wystarczająco na nią zważa. I wtedy zaczyna sądzić, że być może nie wystarczająco myśli o tej drugiej osobie, nie zwraca na nią w dostatecznym stopniu uwagi, nie dość jej ustępuje. Wszystko to jest po prostu słabością. Ludzie boją się siebie nawzajem. I może to mieć dalekosiężne skutki. Widziałem wiele takich wypadków. W ten sposób człowiek może ostatecznie utracić równowagę – jeśli kiedykolwiek ją miał – i rozpocząć zupełnie bezsensowne działania. Jest na siebie zły i czuje, że jest to głupie, ale nie może przestać; tymczasem w takich wypadkach cała rzecz polega właśnie na tym, by "nie zważać".

Inny przykład, być może jeszcze gorszy, to przykład człowieka, który uważa, iż koniecznie "powinien" coś zrobić, podczas gdy w rzeczywistości niczego nie powinien robić. "Powinien" i "nie powinien" to także trudny temat, to znaczy trudno jest zrozumieć, kiedy człowiek rzeczywiście "powinien", a kiedy "nie powinien". Do tego można podejść tylko z punktu widzenia "celu". Kiedy człowiek ma cel, wówczas "powinien" on robić tylko to, co prowadzi go do jego celu i "nie powinien" robić niczego, co przeszkadza mu w zmierzaniu do tego celu.

Jak już powiedziałem, ludzie bardzo często myślą, że jeśli zaczną walczyć w sobie ze „zważaniem”, to staną się „nieszczerzy”, i boją się tego, ponieważ myślą, że wówczas coś utracą, stracą część samych siebie. W tym wypadku zachodzi to samo, co podczas prób walki z zewnętrznym wyrażaniem nieprzyjemnych emocji. Jedyna różnica polega tu na tym, że w jednym wypadku człowiek walczy z zewnętrznym wyrażaniem emocji, a w drugim z wewnętrzną manifestacją być może tych samych emocji.

Ten strach przed utratą szczerości jest oczywiście oszukiwaniem siebie, jednym z tych wzorów kłamania, na którym opierają się ludzkie słabości. Człowiek nie może nie utożsamiać się czy nie zważać wewnątrz, a także nie potrafi nie wyrażać nieprzyjemnych emocji po prostu dlatego, że jest słaby. Utożsamianie się, zważanie, wyrażanie nieprzyjemnych emocji są manifestacjami jego

słabości, jego niemocy, jego niemożności kontrolowania samego siebie. A tymczasem swoją niechęć do przyznania się do tej słabości nazywa on "szczerością" albo "uczciwością" i mówi sobie, że nie chce walczyć ze swoją szczerością; podczas gdy w rzeczywistości nie jest on w stanie walczyć ze swoimi słabościami.

Szczerść i uczciwość są w istocie czymś zupełnie innym. To, co człowiek w tym wypadku nazywa "szczerością", jest po prostu niechęcią do powściągnięcia samego siebie i głęboko w sobie człowiek jest tego świadomy. Ale okłamuje siebie mówiąc, że nie chce utracić szczerości.

Do tej pory mówiłem o zważaniu wewnętrznym. Można by wskazać wiele innych przykładów, ale musicie zrobić to sami, to znaczy musicie szukać tych przykładów w waszych obserwacjach samych siebie i innych.

Przeciwieństwem wewnętrznego zważania i jednym ze środków do walki z nim jest zważanie zewnętrzne. Zważanie zewnętrzne polega na zupełnie innym stosunku do ludzi niż zważanie wewnętrzne. Jest to przystosowanie się do ludzi, do ich rozumienia, do ich wymagań. Zważając zewnętrznie, człowiek robi to, co ułatwia życie jemu i innym. Zewnętrzne zważanie wymaga znajomości ludzi, rozumienia ich gustów, nawyków i uprzedzeń. Jednocześnie zważanie zewnętrzne wiąże się z posiadaniem olbrzymiej władzy nad sobą i olbrzymiej nad sobą kontroli. Bardzo często człowiek szczerze pragnie wyrazić lub pokazać innemu człowiekowi, co naprawdę o nim myśli albo co czuje. I jeśli jest on słabym człowiekiem, to oczywiście ulegnie swojemu pragnieniu i później będzie sam się usprawiedliwiał twierdząc, że nie chciał kłamać, nie chciał udawać, chciał być szczerzy. Następnie będzie przekonywał samego siebie, że to wina tego drugiego człowieka. On naprawdę chciał na niego zważać, nawet mu ustąpić, nie kłócić się, itd., ale ten *inny* człowiek wcale nie chciał zważać na niego, tak że nic nie dało się z nim zrobić. Bardzo często zdarza się, że człowiek zaczyna od błogosławieństwa, a kończy na klatwie. Zaczyna od postanowienia, że nie będzie zważał, a potem wini innych ludzi za to, że nie zważają na niego. To jest przykład na to, jak zewnętrzne zważanie przechodzi w zważanie wewnętrzne. Ale jeśli człowiek naprawdę pamięta samego siebie, to rozumie, że inny człowiek jest maszyną tak samo jak on. I wtedy będzie mógł *wejść w położenie tego drugiego człowieka*, postawić się na jego miejscu i naprawdę zrozumieć i poczuć, co tamten myśli i czuje. Jeśli może to zrobić, to jego praca stanie się dla niego łatwiejsza; ale jeśli zbliży się do człowieka ze swoimi własnymi wymaganiami, to nigdy nie osiągnie niczego oprócz nowego wewnętrznego zważania.

Właściwe zewnętrzne zważanie jest bardzo ważne w pracy. Często zdarza się, że ludzie, którzy bardzo dobrze rozumieją konieczność zewnętrznego zważania w życiu, nie rozumieją konieczności zewnętrznego zważania w pracy. Uznają oni, że tylko z tego względu, iż pracują, mają prawo nie zważać. Natomiast w

rzeczywistości w pracy, to znaczy dla pomyślnej pracy samego człowieka, zewnętrzne zważanie jest potrzebne dziesięć razy bardziej niż w życiu, ponieważ *tylko* zewnętrzne zważanie ukazuje wartość, jaką nadaje on pracy i jego rozumienie tej pracy; powodzenie w pracy jest zawsze proporcjonalne do nadawanej jej wartości i do jej rozumienia. Pamiętajcie, że praca nie może się zacząć i przebiegać na poziomie niższym niż poziom *obywatela 1*, to znaczy na poziomie niższym od codziennego życia. Jest to bardzo ważna zasada, o której z takiego czy innego powodu bardzo łatwo się zapomina. Później będziemy mówić o tym oddzielnie.

G. rozpoczął jedną z następnych rozmów od stwierdzenia faktu, że zapominamy o trudnościach naszego położenia.

– Często myślicie w bardzo naiwny sposób – powiedział. – Myślicie już, że możecie *czynić*. Wyzbycie się tego przekonania jest dla człowieka rzeczą trudną, trudniejszą od czegokolwiek innego. Nie rozumiecie całej złożoności waszej struktury i nie zdajecie sobie sprawy, że każdy wysiłek oprócz pożądanых rezultatów, nawet jeśli je przynosi, przynosi też tysiące nieoczekiwanych i często niepożądanych rezultatów. Podstawową rzeczą, o której zapominacie, jest to, że nie zaczynacie od początku z piękną i czystą, nową maszyną. Stoi za wami wiele lat błędnego i głupiego życia, pobłażania sobie we wszelkiego rodzaju słabościach, zamykania oczu na własne błędy, prób unikania wszystkich nieprzyjemnych prawd, ciągłego okłamywania siebie, usprawiedliwiania siebie, winienia innych, itp. Wszystko to musi wpływać na maszynę. Maszyna jest brudna, miejscami zardzewiała. W niektórych miejscach uformowały się w niej sztuczne przyrządy, potrzebne ze względu na złą pracę samej maszyny.

Te sztuczne przyrządy będą teraz bardzo ingerowały we wszystkie wasze dobre zamiary. Nazywa się je "zderzakami".

"Zderzak" jest pojęciem, które wymaga specjalnego wyjaśnienia. Wiemy, co to są zderzaki na wagonach kolejowych. Są to urządzenia, które zmniejszają wstrząs, gdy zderzą się ze sobą dwa wagony lub dwa pojazdy. Gdyby nie było zderzaków, wstrząs przy zderzeniu jednego wagonu z drugim byłby bardzo nieprzyjemny i niebezpieczny. Zderzaki łagodzą skutki tych wstrząsów oraz czynią je niezauważalnymi.

Dokładnie takie same przyrządy formują się w człowieku. Są one tworzone nieświadomie, nie przez naturę, lecz bezwolnie przez samego człowieka. Powodem ich pojawienia się jest istnienie w człowieku wielu sprzeczności; sprzeczności opinii, uczuć, sympatii, słów i działań. Gdyby człowiek przez całe swoje życie czuł wszystkie znajdujące się w nim sprzeczności, to nie mógłby żyć i działać tak spokojnie, jak teraz żyje i działa. Odczuwałby nieustanne tarcie, nieustanny niepokój. Nie widzimy, jak sprzeczne i wrogie wobec siebie są różne "ja" naszej osobowości. Jeśli człowiek poczułby wszystkie te sprzeczności, to poczułby, *czym on naprawdę jest*. Poczułby, że jest obłąkany. A nikomu nie

sprawia przyjemności poczucie, że jest się obłąkanym. Co więcej, tego rodzaju myśl pozbawia człowieka pewności siebie, osłabia jego energię, pozbawia go "szacunku dla siebie". W taki lub inny sposób musi on opanować tę myśl albo ją porzucić. Musi albo zniszczyć sprzeczności, albo przestać je widzieć i czuć. Człowiek nie może zniszczyć sprzeczności, ale jeśli ukształtują się w nim "zderzaki", to może przestać je czuć i nie będzie wtedy odczuwał wstrząsu powstałego w wyniku zderzenia się ze sobą sprzecznych poglądów, sprzecznych emocji, sprzecznych słów.

"Zderzaki" wytwarzane są stopniowo i powoli. Bardzo wiele "zderzaków" zostaje sztucznie stworzonych przez "edukację". Inne formują się pod hipnotycznym wpływem całego otaczającego życia. Człowiek otoczony jest ludźmi, którzy żyją, mówią, myślą i czują za pomocą "zderzaków", Naśladując ich w opiniach, w działaniach i w słowach, człowiek mimowolnie stwarza w sobie podobne "zderzaki", które czynią jego życie łatwiejszym. Bardzo trudno jest żyć bez "zderzaków"; Ale to właśnie one odbierają człowiekowi możliwość wewnętrznego rozwoju, ponieważ "zderzaki" służą do łagodzenia wstrząsów, a tylko wstrząsy mogą wyprowadzić człowieka ze stanu, w jakim on żyje, to znaczy mogą go obudzić. "Zderzaki" usypiają człowieka, pozwalają mu na przyjemne i spokojne doznanie, że wszystko będzie dobrze, że sprzeczności nie istnieją i że może on spać w spokoju. *"Zderzaki" są przyrządami, dzięki którym człowiek zawsze może mieć rację.* "Zderzaki" przyczyniają się do tego, że człowiek nie czuje swojego sumienia.

"Sumienie" jest kolejnym pojęciem, które wymaga wyjaśnienia.

W życiu codziennym pojęcie "sumienie" traktowane jest nazbyt prosto. Tak jakbyśmy mieli sumienie. W rzeczywistości pojęcie "sumienie" w sferze emocji jest równoznaczne z pojęciem "świadomość" w sferze intelektu. I tak jak nie mamy świadomości, tak samo nie mamy sumienia.

Świadomość jest stanem, w którym człowiek *wie* naraz *wszystko to*, co w ogóle wie, i w którym może zobaczyć, jak mało wie i jak wiele sprzeczności znajduje się w tym, co wie.

Sumienie jest stanem, w którym człowiek *czuje* naraz *wszystko to*, ro w ogóle czuje albo może czuć. A ponieważ każdy ma w sobie tysiące sprzecznych uczuć – od głęboko ukrytego przekonania o własnej nicości i wszelkiego rodzaju obaw, aż do najgłupszej odmiany zarozumiałości, pewności siebie, zadowolenia z siebie, przechwalania się – przeto odczuwanie tego wszystkiego razem byłoby nie tylko bolesne, lecz dosłownie nie do zniesienia.

Jeśli człowiek, którego cały świat wewnętrzny składa się ze sprzeczności, nagle poczułby w sobie wszystkie te sprzeczności naraz, jeśli jednocześnie poczułby, że kocha wszystko to, czego nienawidzi i nienawidzi wszystkiego, co kocha, że kłamie, kiedy mówi prawdę i że mówi prawdę, kiedy kłamie, i jeśli mógłby poczuć

wstyd i grozę tego wszystkiego, to byłby to stan, który nazywamy "sumieniem". Człowiek nie może żyć w tym stanie; musi albo zniszczyć sprzeczności, albo zniszczyć sumienie. Nie może on zniszczyć sumienia, a jeśli nie może go zniszczyć, to może je uśpić, a więc może oddzielić nieprzenikalnymi barierami jedno doznanie siebie od drugiego, nigdy nie widzieć ich razem, nigdy nie czuć ich nieprzystawalności i absurdalności ich współistnienia.

Ale na szczęście dla człowieka, to znaczy dla jego spokoju i jego snu, ten stan sumienia jest rzadkością. Od wczesnego dzieciństwa zaczynają rozwijać się w nim i wzmacniać "zderzaki", odbierając mu możliwość widzenia wewnętrznych sprzeczności. Nie istnieje zatem dla niego żadne niebezpieczeństwo nagłego przebudzenia. Przebudzenie możliwe jest tylko dla tych, którzy go szukają i pragną, dla tych, którzy gotowi są zmagać się sami z sobą oraz pracować nad sobą przez bardzo długi czas i bardzo wytrwale, by je osiągnąć. Konieczne do tego jest zniszczenie "zderzaków", czyli wyjście na spotkanie wszystkim tym wewnętrznym cierpieniom, które związane są z doznawaniem sprzeczności. Ponadto samo zniszczenie "zderzaków" wymaga bardzo długiej pracy i człowiek musi na nią przystać, zdając sobie sprawę, że wynikiem jego pracy będzie wszelkiego rodzaju niewygodna i cierpienie towarzyszące przebudzeniu sumienia.

Jednakże sumienie jest ogniem, który jako jedyny może mieszać ze sobą wszystkie pyły we wspomnianej wcześniej szklanej retorcie i stworzyć jedność, której człowiekowi brakuje w stanie, w którym zaczyna poznawać siebie.

Pojęcie "sumienie" nie ma nic wspólnego z pojęciem "moralność".

Sumienie jest ogólnym i *trwałym* zjawiskiem. Sumienie jest takie samo dla wszystkich ludzi i jest ono możliwe tylko wówczas, gdy nieobecne są "zderzaki". Z punktu widzenia rozumienia różnych kategorii ludzi możemy powiedzieć, że istnieje sumienie człowieka, w którym nie ma sprzeczności. To sumienie nie jest cierpieniem; wręcz przeciwnie, jest ono radością o zupełnie nowym charakterze, której nie jesteśmy w stanie zrozumieć. Jednakże w człowieku, który ma tysiące różnych "ja", choćby tylko chwilowe przebudzenie sumienia musi pociągnąć za sobą cierpienie. I jeśli te chwile sumienia staną się dłuższe i jeśli człowiek nie boi się ich, lecz przeciwnie, współpracuje z nimi i próbuje je zachować i przedłużyć, to stopniowo pojawi się w tych chwilach element bardzo subtelnej radości, przedsmak przyszłej "jasnej świadomości".

W pojęciu "moralność" nie ma niczego ogólnego. Moralność składa się ze "zderzaków". Nie istnieje ogólna moralność. Co jest moralne w Chinach, jest niemoralne w Europie, a co jest moralne w Europie, jest niemoralne w Chinach. Co jest moralne na Kaukazie, jest niemoralne w Petersburgu. Co jest moralne w jednej klasie społecznej, jest niemoralne w innej, i vice versa. Moralność jest zawsze i wszędzie zjawiskiem sztucznym. Składa się ona z rozmaitych tabu, to znaczy z różnych ograniczeń i różnych wymagań, czasami zasadniczo rozsądnych, a czasami takich, które utraciły całe swoje znaczenie lub nigdy nie

miały żadnego znaczenia, gdyż zostały stworzone na fałszywej podstawie, na gruncie zabobonu i fałszywych obaw.

Moralność składa się ze "zderzaków". Ponieważ istnieją różnego rodzaju "zderzaki" i ponieważ warunki życia w różnych krajach, w różnych epokach i w różnych klasach społecznych są bardzo odmienne, przeto ukształtowane przez nie systemy moralności są także do siebie niepodobne i ze sobą sprzeczne. Nie istnieje moralność wspólna dla wszystkich. Nie można nawet powiedzieć, że na przykład w Europie istnieje jakaś ogólnie przyjęta idea moralności. Mówi się czasami, że w Europie ogólnie przyjętą moralnością jest "moralność chrześcijańska". Ale po pierwsze, już sama idea "chrześcijańskiej moralności" dopuszcza wiele różnych interpretacji i wiele różnych zbrodni usprawiedliwiono "chrześcijańską moralnością", a po drugie, współczesna Europa ma już bardzo niewiele wspólnego z "chrześcijańską moralnością", bez względu na to, jak tę moralność rozumiemy.

W każdym razie, jeśli "chrześcijańska moralność" doprowadziła Europę do toczącej się obecnie wojny, to czyż w takim wypadku nie byłoby najlepiej trzymać się z dala od takiej moralności?

– Wielu ludzi mówi, że nie rozumieją oni moralnej strony Twojego nauczania – powiedział jeden z nas. – A inni mówią, że Twoje nauczanie nie zawiera żadnej moralności.

– Oczywiście, że nie – powiedział G. – Ludzie bardzo lubią mówić o moralności. Ale moralność jest jedynie autosugestią. *To, co jest konieczne, to sumienie.* My nie uczymy moralności. My uczymy jak odnaleźć sumienie. Ludzie nie są zadowoleni, gdy to mówimy. Twierdzą, że nie mamy *miłości*. Tylko dlatego, że nie zachęcamy do słabości i hipokryzji, lecz przeciwnie, zdejmujemy wszystkie maski. Ten, kto pragnie prawdy, nie będzie mówił o miłości ani o chrześcijaństwie, ponieważ wie, jak daleko się od nich znajduje. Chrześcijańskie nauczanie jest dla chrześcijan, a chrześcijanie to ci, którzy żyją, to znaczy czynią wszystko zgodnie z naukami Chrystusa. Czy ci, którzy mówią o miłości i moralności, mogą żyć zgodnie z naukami Chrystusa? Oczywiście, że nie mogą, ale zawsze będzie tego rodzaju gadanie, zawsze będą ludzie, dla których słowa są cenniejsze niż cokolwiek innego. Ale to jest prawdziwy znak: ten, który mówi w ten sposób, jest pustym człowiekiem; nie warto tracić na niego czasu.

Moralność i sumienie to całkiem odmienne rzeczy. Jedno sumienie nigdy nie może przeciwstawiać się innemu sumieniu. Jedna moralność zawsze może bardzo łatwo przeciwstawiać się lub całkowicie zaprzeczać innej. Człowiek z wieloma "zderzakami" może być bardzo moralny. A "zderzaki" mogą znacznie się od siebie różnić, to znaczy dwóch bardzo moralnych ludzi może uważać się nawzajem za bardzo niemoralnych. Z reguły jest to prawie nieuniknione. Im bardziej człowiek jest "moralny", tym bardziej "niemoralni" wydają mu się inni ludzie.

Idea moralności związana jest z ideą dobrego i złego zachowania. Ale idea dobra i zła jest zawsze różna dla różnych ludzi. Dla człowieka nr 1, 2 i 3 jest ona zawsze subiektywna, związana tylko z daną chwilą lub daną sytuacją. Człowiek subiektywny nie może mieć ogólnej koncepcji dobra i zła. Dla człowieka subiektywnego złem jest wszystko to, co jest sprzeczne z jego pragnieniami, jego zainteresowaniami albo jego koncepcją dobra.

Można powiedzieć, że dla człowieka subiektywnego zło wcale nie istnieje, że istnieją dla niego różne koncepcje dobra. *Nikt nigdy nie robi niczego dobrowolnie w interesie zła, w imię zła.* Każdy działa w interesie dobra, *tak jak je rozumie.* Ale każdy rozumie je w inny sposób. W konsekwencji ludzie topią, mordują i zabijają się nawzajem *w interesie dobra.* Powód jest znów ten sam: ludzka niewiedza i głęboki sen, w którym żyją ludzie.

Jest to tak oczywiste, że nawet dziwne wydaje się, że ludzie nigdy przedtem o tym nie myśleli. Jednakże pozostaje faktem, że oni tego nie pojmują i że każdy uważa *“swoje dobro”* za jedyne, a całą resztę za zło. Nadzieja na to, że ludzie kiedykolwiek to zrozumieją i rozwiną ogólną i jednorodną ideę dobra, jest naiwna i płonna.

– Ale czy dobro i zło nie istnieją same w sobie, niezależnie od człowieka? – zapytał ktoś z obecnych.

– Istnieją – powiedział G. – Tylko że jest to bardzo odległa sprawa i nie warto, żebyście w obecnej chwili próbowali nawet to zrozumieć. Pa miętajcie tylko o jednej rzeczy. Jedyne możliwa, trwała idea dobra i zła jest związana z ideą ewolucji człowieka; oczywiście nie z ideą mechanicznej ewolucji, lecz z ideą rozwoju człowieka poprzez świadome wysiłki, z ideą przemiany jego bycia, ze stworzeniem w nim jedności i z ukształtowaniem trwałego Ja.

Trwała idea dobra i zła może uformować się w człowieku tylko w połączeniu z trwałym celem i trwałym rozumieniem. Jeśli człowiek rozumie, że śpi, i jeśli pragnie się obudzić, to wtedy wszystko, co pomaga mu się obudzić, będzie *dobrem*, a wszystko, co mu przeszkadza, wszystko, co przedłuża jego sen, będzie *złem*. Dokładnie w ten sam sposób rozumie on, co jest dobre i złe dla innych ludzi. To, co pomaga im w przebudzeniu, jest dobre; to, co przeszkadza, jest złe. Ale dotyczy to tylko tych, którzy chcą się obudzić, to znaczy tych, którzy rozumieją, że śpią. Ci, którzy nie rozumieją, że śpią i którzy nie pragną się obudzić, nie mogą mieć zrozumienia dobra i zła. A ponieważ przytłaczająca większość ludzi nie zdaje sobie sprawy i nigdy nie zda sobie sprawy z tego, że śpi, przeto ani dobro, ani zło nie mogą dla nich istnieć.

Jest to sprzeczne z ogólnie przyjętymi ideami. Ludzie przywykli myśleć, że *dobro i zło* istnieje dla każdego. W rzeczywistości dobro i zło istnieje jedynie dla niewielu, tylko dla tych, którzy mają cel i którzy dążą do tego celu. Wtedy to, co przeszkadza w dążeniu do tego celu jest złem, a to, co pomaga, jest dobrem.

Ale oczywiście większość śpiących ludzi powie, że ma cel i że dokądś zmierza. Uświadomienie sobie braku celu oraz tego, że człowiek zmierza donikąd, jest pierwszym znakiem zbliżającego się przebudzenia człowieka lub też powstania prawdziwej możliwości takiego przebudzenia. Przebudzenie rozpoczyna się, gdy człowiek zdaje sobie sprawę, że zmierza donikąd i że nie wie, dokąd iść.

Jak to już wcześniej wyjaśniono, istnieje wiele właściwości, które ludzie przypisują sobie, a które w rzeczywistości mogą należeć tylko do ludzi na wyższym stopniu rozwoju i na wyższym stopniu ewolucji niż człowiek nr 1, 2 i 3. Indywidualność, jedno i trwałe "Ja", świadomość, wola, *umiejętność "czynienia"*, stan wewnętrznej wolności, wszystko to są właściwości, których zwykły człowiek nie ma. Do tej samej kategorii należy idea dobra i zła, której samo istnienie związane jest z *trwałym* celem, z *trwałym* kierunkiem i z *trwałym* środkiem ciężkości.

Idea dobra i zła związana jest czasami z ideą prawdy i kłamstwa, ale tak jak dla zwykłego człowieka nie istnieje dobro ani zło, tak samo nie istnieje dla niego prawda ani kłamstwo.

Trwała prawda i trwałe kłamstwo mogą istnieć tylko dla trwałego człowieka. Jeśli człowiek sam ciągle się zmienia, to dla niego prawda i kłamstwo także będą się zmieniać. I jeśli w każdym dowolnym momencie różni ludzie znajdują się w wielu różnych stanach, to ich koncepcje prawdy muszą być tak samo zróżnicowane, jak ich koncepcje dobra. Człowiek nigdy nie spostrzega, jak zaczyna uważać za prawdę to, co wczoraj uważał za kłamstwo, i vice versa. Nie spostrzega on tych przemian, tak samo jak nie spostrzega przemian jednego ze swoich "ja" w inne.

W życiu zwykłego człowieka prawda i kłamstwo nie mają żadnej, moralnej wartości, ponieważ człowiek nigdy nie może trzymać się jednej prawdy. Jego prawda ulega zmianie. Jeśli nie zmienia się ona przez jakiś czas, to tylko dlatego, że jest podtrzymywana przez "zderzaki". I człowiek nigdy nie może *powiedzieć prawdy*. Czasami *"to mówi" prawdę*, czasami *"to mówi" kłamstwo*. W konsekwencji jego prawda i jego kłamstwo nie mają wartości; żadne z nich nie zależy od niego samego, obydwa zależą od przypadku. I jest to na równi prawdziwe w odniesieniu do słów człowieka, do jego myśli, do jego uczuć, jak też do jego koncepcji prawdy i kłamstwa.

By zrozumieć w życiu wzajemną relację prawdy do kłamstwa, człowiek musi zrozumieć swoje wewnętrzne zakłamanie, pojąć ciągłe, nieprzerwane kłamstwa, które sam sobie opowiada.

Kłamstwa te tworzone są przez "zderzaki". Aby zniszczyć okłamywanie się, a także kłamstwa nieświadomie mówione innym, trzeba, zniszczyć "zderzaki". Jednakże człowiek nie może żyć bez "zderzaków". "Zderzaki" automatycznie kontrolują działania, słowa, myśli i uczucia człowieka. Jeśli zniszczyłoby się "zderzaki", to zniknęłaby cała kontrola. Człowiek nie może istnieć bez kontroli,

nawet jeśli jest to tylko kontrola automatyczna. Tylko człowiek, który ma wolę, to znaczy świadomą kontrolę, może żyć bez "zderzaków". W konsekwencji, jeśli człowiek zacznie niszczyć w sobie "zderzaki", to musi on jednocześnie rozwijać wolę. A ponieważ woli nie da się stworzyć na zamówienie w krótkim czasie, więc człowiek może znaleźć się ze zburzonymi "zderzakami" i z wola, która jest jeszcze niedostatecznie wzmocniona. Jediną szansą, jaką ma on w tym okresie, jest bycie kontrolowanym przez inną wolę, która jest już wystarczająco mocna.

I to właśnie dlatego w pracy szkoły, pracy, która obejmuje niszczenie "zderzaków", człowiek musi być gotowy poddać się woli innego człowieka dopóty, dopóki jego własna wola nie rozwinię się w pełni. Zazwyczaj to podporządkowywanie się woli innego człowieka poznawane jest w pierwszej kolejności. Używam słowa "poznawane", ponieważ człowiek musi zrozumieć, dlaczego takie posłuszeństwo jest konieczne i musi się go nauczyć. To ostatnie wcale nie jest łatwe. Rozpoczynając pracę poznawania siebie w celu uzyskania kontroli nad sobą, człowiek przyzwyczajony jest do wiary we własne decyzje. Nawet sam fakt, że dostrzegł konieczność zmieniania siebie, pokazuje mu, że jego decyzje są słuszne i umacnia jego wiarę w nie. Ale kiedy człowiek zaczyna nad sobą pracować, musi wtedy porzucić swoje własne decyzje, "poświęcić swoje własne decyzje", gdyż inaczej wola człowieka, który nim kieruje, nie będzie w stanie kontrolować jego działań.

W szkołach drogi religijnej przede wszystkim wymaga się *posłuszeństwa*, a więc pełnego i bezwzględnego, choć pozbawionego rozumienia, poddania się. Szkoły czwartej drogi nade wszystko wymagają rozumienia. Rezultaty wysiłków zawsze są proporcjonalne do rozumienia.

Odrzucenie swoich własnych decyzji, poddanie się woli innej osoby, mogą okazać się dla człowieka trudnościami nie do pokonania, jeśli wcześniej nie udało mu się zrozumieć, że w rzeczywistości niczego nie poświęca ani niczego w swoim życiu nie zmienia, że przez całe życie był on podporządkowany jakiejś zewnętrznej woli i że nigdy nie podjął żadnej samodzielnej decyzji. Ale człowiek nie jest tego świadomy. Uważa, że ma prawo do wolnego wyboru. Trudno jest mu odrzucić złudzenie, że sam kieruje swoim własnym życiem i sam je organizuje. Jednakże żadna praca nad sobą nie jest możliwa, dopóki człowiek nie uwolni się od tego złudzenia. Musi zdać sobie sprawę, że *on nie istnieje*; musi sobie zdać sprawę, że niczego nie może stracić, ponieważ nie ma niczego do stracenia; musi on zdać sobie sprawę ze swojej własnej "nicości" w pełnym tego słowa znaczeniu.

Tylko ta *świadomość własnej nicości* może pokonać strach przed podporządkowaniem się czyjejś woli. Choć może się to wydawać dziwne; ów strach jest w rzeczywistości jedną z najpoważniejszych przeszkód na drodze człowieka. Człowiek obawia się, że będzie musiał robić rzeczy, które są sprzeczne z jego zasadami, poglądami i ideami. Co więcej, ten strach stwarza w

nim złudzenie, że on naprawdę ma zasady, poglądy i przekonania, których w rzeczywistości nigdy nie miał i nigdy nie mógł mieć. Człowiek, który nigdy w swoim życiu nie myślał o moralności, nagle zaczyna się bać, że będzie musiał zrobić coś niemoralnego. Człowiek, który nigdy nie myślał o swoim zdrowiu i który uczynił wszystko co możliwe, by je zniszczyć, zaczyna się bać, że będzie musiał zrobić coś, co mu zaszkodzi. Człowiek, który przez całe swoje życie w najbardziej bezczelny sposób okłamywał wszędzie wszystkich, nagle zaczyna się bać, że będzie musiał mówić kłamstwa, i tak dalej bez końca. Znałem pijaka, który najbardziej ze wszystkiego obawiał się, że będzie musiał pić.

Strach przed podporządkowaniem się woli innego człowieka często okazuje się mocniejszy od czegokolwiek innego. Człowiek nie zdaje sobie sprawy, że podporządkowanie, na które świadomie się godzi, jest jedyną drogą do osiągnięcia swojej własnej woli.

Następnym razem G. ponownie zaczął od kwestii woli:

– Kwestia woli, swojej własnej woli i woli innego człowieka, jest o wiele bardziej skomplikowana, niż to się wydaje na pierwszy rzut oka. Człowiek nie ma wystarczającej woli, by *czynić*, to znaczy by kontrolować siebie i wszystkie swoje działania; ma jednakże wystarczającą wolę, by być posłusznym innej osobie. I tylko w ten sposób może on uciec od *prawa przypadku*. Innego sposobu nie ma.

Wspominałem wcześniej o *przeznaczeniu i przypadku* w życiu człowieka. Zajmiemy się teraz bardziej szczegółowo znaczeniem tych słów. Przeznaczenie także istnieje, ale nie dla każdego. Większość ludzi jest oddzielona od przeznaczenia i żyje tylko według prawa przypadku. Przeznaczenie jest wynikiem wpływów planetarnych, które odpowiadają typowi człowieka. Później będziemy mówić o tych typach. Tymczasem musicie pojąć jedną rzecz. Człowiek może mieć przeznaczenie, które odpowiada jego typowi, lecz w praktyce nigdy go nie ma. Dzieje się tak, ponieważ przeznaczenie związane jest z jedną tylko częścią Człowieka, mianowicie z jego *esencją*.

Należy zrozumieć, że człowiek składa się z dwóch części: *esencji i osobowości*. Esencją w człowieku jest to, *co jest jego własne*. Osobowością w człowieku jest to, "co nie jest jego własne". "Nie jego własne" oznacza to, co przyszło z zewnątrz, czego się nauczył lub to, co sobą odzwierciedla; wszystkie zachowane w pamięci i w doznaniach ślady zewnętrznych wrażeń, wszystkie nauczone słowa i ruchy, wszystkie stworzone poprzez naśladowanie uczucia. Wszystko to jest "nie jego własne", wszystko to jest jego osobowością.

Z punktu widzenia zwykłej psychologii, trudno jest pojąć podział człowieka na osobowość i esencję. Dokładniej można powiedzieć, że w psychologii taki podział w ogóle nie istnieje.

Małe dziecko nie ma jeszcze osobowości. Jest ono tym, czym naprawdę jest. Jest esencją. Jego pragnienia, gusty, upodobania, uprzedzenia wyrażają jego

bycie, takie, jakim ono jest.

Ale gdy tylko rozpoczyna się tak zwana "edukacja", osobowość zaczyna się rozwijać. Osobowość częściowo jest stworzona przez zamierzone wpływy innych ludzi; to znaczy przez edukację, a częściowo przez mimowolne naśladowanie tych ludzi przez samo dziecko. W tworzeniu osobowości dziecka dużą rolę odgrywa także "opór" wobec otaczających go ludzi i próby ukrycia przed nimi czegoś, co jest "jego własne", co jest "rzeczywiste". Esencja jest w człowieku prawdą; osobowość jest kłamstwem. Proporcjonalnie do wzrostu osobowości esencja przejawia się coraz rzadziej i coraz słabiej, i często się zdarza, że w bardzo młodym wieku esencja zatrzymuje się w rozwoju i dalej już się nie rozwija. Często się zdarza, że esencja dorosłego człowieka, nawet bardzo inteligentnego i – w przyjętym znaczeniu tego słowa – wysoce wykształconego, zatrzymuje się na poziomie pięcioletniego lub sześciolatniego dziecka. Oznacza to, wszystko, co w tym człowieku widzimy, jest w rzeczywistości *nie jego własne*. To, co w człowieku jest jego własne, czyli jego esencja, zazwyczaj przejawia się tylko w jego instynktach i w jego najprostszych emocjach. Zdarzają się jednakże wypadki, kiedy to esencja człowieka rozwija się równoległe do jego osobowości. Takie wypadki stanowią bardzo rzadkie wyjątki, zwłaszcza w warunkach życia ludzi już "ukształtowanych". Esencja ma większe szanse rozwoju w ludziach żyjących bliżej natury, w ciężkich warunkach nieustannego zmagania się i stawiania czoła niebezpieczeństwom.

Jednakże z reguły osobowość takich ludzi jest bardzo słabo rozwinięta. Mają oni więcej tego, "co ich własne", ale bardzo niewiele tego, "co nie jest ich własne", to znaczy brakuje im wykształcenia czy wykształcenia, brakuje im kultury. Kultura stwarza osobowość i jednocześnie sama jest produktem i rezultatem osobowości. Nie zdajemy sobie sprawy, że całe nasze życie, wszystko to, co nazywamy cywilizacją, co nazywamy nauką, filozofią, sztuką i polityką, jest stworzone przez osobowość ludzi, czyli przez to, co w nich "nie jest ich własne".

Element, który "nie jest własny", różni się od tego, co w człowieku jest "jego własne" tym, że można go utracić, zmienić lub odebrać za pomocą sztucznych środków.

Istnieje możliwość doświadczalnej weryfikacji stosunku osobowości do esencji. W szkołach Wschodu znane są sposoby i środki, za pomocą których można oddzielić osobowość człowieka od jego esencji. W tym celu stosuje się czasem hipnozę, czasami specjalnego rodzaju ćwiczenia, a czasami używa się specjalnych narkotyków. Jeśli za pomocą jednego z tych środków osobowość w człowieku zostanie na pewien czas oddzielona od jego esencji, to tworzą się w nim jakby dwa istnienia, które mówią różnymi głosami, mają całkiem odmienne gusty, cele i interesy, a jedno z tych dwóch istnień często okazuje się na poziomie małego dziecka. Kontynuując doświadczenie, można jedno z tych istnień uśpić; doświadczenie może też zacząć się od uśpienia osobowości lub

esencji.

Niektóre narkotyki mają właściwość usypiania osobowości, bez wpływania na esencję. Po zażyciu takiego narkotyku na pewien czas osobowość człowieka jakby znika i pozostaje tylko jego esencja. I zdarza się, że człowiek pełen najróżniejszych wzniosłych idei, pełen sympatii i antypatii, miłości i nienawiści, przywiązań, patriotyzmu, nawyków, gustów, pragnień, przekonań, okazuje się nagle całkiem pusty, bez myśli, bez uczuć, bez przekonań, bez poglądów. Wszystko, co dotąd go podniecało, jest mu teraz całkowicie obojętne. Czasami widzi on sztuczność i urojony charakter swoich zwykłych nastrojów lub podniosłych słów, a czasami po prostu o nich zapomina, tak jakby nigdy nie istniały. Rzeczy, za które gotów był oddać swoje życie, wydają mu się teraz śmieszne, bez znaczenia i niewarte uwagi. Wszystko, co może w sobie znaleźć, to niewiele instynktownych skłonności i gustów. Lubi słodkie, lubi ciepło, nie lubi zimna, nie lubi myśleć o pracy, albo przeciwnie, podoba mu się idea fizycznego ruchu. I to wszystko.

Czasami, choć bardzo rzadko, i to wówczas, gdy najmniej się tego oczekuje, esencja w człowieku okazuje się w pełni dorosła i w pełni rozwinięta, nawet w wypadku nierozwiniętej osobowości. W takim wypadku esencja łączy wszystko to, co w człowieku jest poważne i prawdziwe.

Ale to zdarza się bardzo rzadko. Z reguły esencja człowieka jest bardzo prymitywna, dzika i dziecinna, albo po prostu głupia. Rozwój esencji uzależniony jest od pracy nad sobą.

Bardzo ważną chwilą w pracy nad sobą jest ta, gdy człowiek zaczyna odróżniać swoją osobowość od swojej esencji. Rzeczywiście "Ja" człowieka, jego indywidualność, może rozwijać się tylko z jego esencją. Można powiedzieć, że indywidualność człowieka jest jego dorosłą, dojrzałą esencją. Lecz po to, by umożliwić rozwój esencji, trzeba najpierw osłabić ciągły nacisk wywierany na nią przez osobowość, ponieważ przeszkody uniemożliwiające wzrost esencji znajdują się w osobowości.

Jeśli zajmiemy się przeciętnym, wykształconym człowiekiem, to zobaczymy, że – jak to bywa w większości wypadków – jego osobowość jest w nim elementem czynnym, natomiast esencja biernym. Wewnętrzny rozwój człowieka nie może się rozpocząć, dopóki ów porządek rzeczy nie ulegnie zmianie. Osobowość musi stać się bierna, a esencja musi stać się czynna. To może zdarzyć się tylko wówczas, gdy usunie się albo osłabi "zderzaki", ponieważ "zderzaki" są główną bronią, za pomocą której osobowość ujarzmia esencję.

Jak zostało to wcześniej powiedziane, u mniej wykształconych ludzi esencja często jest bardziej rozwinięta niż u człowieka wykształconego. Zdawałoby się zatem, że ci ludzie powinni znajdować się bliżej możliwości rozwoju, ale w rzeczywistości tak nie jest. Okazuje się, że ich osobowość jest niedostatecznie rozwinięta. Do wewnętrznego wzrostu, do pracy nad sobą, potrzeba zarówno

pewnego rozwoju osobowości, jak i pewnej siły esencji. Osobowość składa się z "rolek" i ze "zderzaków" powstałych w wyniku określonej pracy centrów. Niewystarczająco rozwinięta osobowość oznacza brak rolek, a więc brak wiedzy, brak informacji, brak materiału, na którym musi się opierać praca nad sobą. Bek pewnego zasobu wiedzy, bez pewnej ilości materiału, który "nie jest własny", człowiek nie może rozpocząć pracy nad sobą, nie może zacząć poznawać siebie, nie może zacząć walczyć ze swoimi mechanicznymi nawykami, a to dlatego, że po prostu nie będzie miał powodu ani motywacji do podjęcia takiej pracy.

Nie oznacza to, że wszystkie drogi są dla niego zamknięte. Droga fakira i droga mnicha, które nie wymagają żadnego rozwoju intelektualnego, pozostają dla niego otwarte. Jednakże metody i środki, które są możliwe dla człowieka o rozwiniętym intelekcie, są dla niego niemożliwe. A zatem ewolucja jest równie trudna dla wykształconego, jak i dla niewykształconego człowieka. Człowiek wykształcony żyje z dala od natury, z dala od naturalnych warunków egzystencji, w sztucznych warunkach życia, rozwijając swoją osobowość kosztem esencji. Mniej wykształcony człowiek, żyjący w bardziej normalnych i naturalnych warunkach, rozwija swoją esencję kosztem swojej osobowości. Pomyślny początek pracy nad sobą wymaga szczęśliwego połączenia równomiernego rozwoju osobowości i esencji. Takie połączenie jest największą gwarancją sukcesu. Jeśli esencja jest bardzo słabo rozwinięta, to wymagany jest bardzo długi okres pracy przygotowawczej i praca ta będzie całkiem bezowocna, jeśli esencja człowieka jest od wewnątrz przegniła lub też jeśli rozwinięta w sobie jakieś nie dające się naprawić wady. Warunki tego typu zdarzają się dość często. Anormalny rozwój osobowości bardzo często powstrzymuje rozwój esencji w tak wczesnym stadium, że esencja staje się małą, zniekształconą rzeczą. Z małej zniekształconej rzeczy niczego nie da się uzyskać.

Co więcej, całkiem często zdarza się, że esencja zamiera w człowieku, podczas gdy jego osobowość i jego ciało nadal jeszcze żyją. Wielu ludzi, których spotykamy na ulicach dużych miast, to ludzie w środku puści, to znaczy w rzeczywistości już *martwi*.

Szczęśliwie dla nas, nie widzimy tego i o tym nie wiemy. Gdybyśmy wiedzieli, ilu ludzi to w rzeczywistości ludzie martwi i jak wielu spośród nich rządzi naszym życiem, to zwariowalibyśmy ze zgrozy. I faktycznie, ludzie często wariują, ponieważ – bez właściwego przygotowania odkrywają coś w tym rodzaju, coś, czego nie powinni zobaczyć. By móc to zobaczyć bez narażania się na niebezpieczeństwo, trzeba być na drodze. Jeśli człowiek, który nic nie może zrobić, zobaczy prawdę, to z pewnością zwariuje. Tylko że to zdarza się rzadko. Zazwyczaj wszystko jest tak ułożone, że człowiek niczego przedwcześnie nie może zobaczyć. Osobowość widzi tylko to, co chce zobaczyć i co nie koliduje z jej życiem. Ona nigdy nie widzi tego, co jej się nie podoba. To jest zarówno dobre, jak i złe. Dobre, jeśli człowiek chce spać, złe, jeśli chce się obudzić.

– Jeśli esencja podlega wpływowi przeznaczenia, czy oznacza to, że przeznaczenie, w porównaniu z przypadkiem, zawsze człowiekowi sprzyja? – zapytał ktoś z obecnych. – I czy przeznaczenie może przywieść człowieka do pracy?

– Nie, to wcale tego nie oznacza – odpowiedział G. – Przeznaczenie jest lepsze od przypadku tylko w tym sensie, że można je wziąć w rachubę, że można je z góry znać, że można przygotować się na to, co ma nadejść. Co do przypadku, to niczego nie można przewidzieć. Ale przeznaczenie może być także nieprzyjemne lub trudne. W tym wypadku jednak istnieją środki na oddzielenie się od własnego przeznaczenia.

Pierwszym krokiem ku temu jest wyrwanie się spod *ogólnych praw*. Tak jak istnieje poszczególny przypadek, tak samo istnieje przypadek ogólny lub zbiorowy. I w ten sam sposób, tak jak istnieje poszczególne przeznaczenie, tak samo istnieje ogólne lub zbiorowe przeznaczenie. Zbiorowym przypadkiem i zbiorowym przeznaczeniem rządzą *ogólne prawa*.

Jeśli człowiek pragnie stworzyć swoją własną indywidualność, najpierw musi uwolnić się od *ogólnych praw*. Ogólne prawa w żaden sposób nie są dla człowieka obowiązkowe; od wielu z nich może się on uwolnić pod warunkiem, że uwolni się od "zderzaków" i od wyobraźni. Wszystko to związane jest z uwolnieniem się od osobowości. Osobowość żywi się wyobraźnią i kłamstwem. Jeśli zakłamanie, w którym żyje człowiek, zmniejszy się i jeśli wyobraźnia też się zmniejszy, to osobowość bardzo szybko osłabnie i człowiek zacznie być kontrolowany albo przez przeznaczenie, albo przez *linię pracy*, która z kolei kontrolowana jest przez wolę innego człowieka; ta wola będzie nim kierowała do czasu, gdy uformuje się jego własna wola, zdolna w razie potrzeby do przeciwstawienia się zarówno przypadkowi, jak i – gdy okaże się to konieczne – przeznaczeniu.

Przytoczone rozmowy obejmują okres kilku miesięcy. Rzecz jasna, że nie da się odtworzyć tych rozmów w ich dokładnym porządku, ponieważ G. podczas jednego wieczoru bardzo często poruszał dwadzieścia różnych tematów. Wiele rzeczy się powtarzało, wiele zależało od pytań stawianych przez obecnych, wiele idei było tak blisko ze sobą powiązanych, że tylko sztucznie można by je od siebie oddzielić.

W tym czasie pewnego określonego typu ludzie zaczęli już przejawiać negatywną postawę wobec naszej pracy. Oprócz braku "miłości" wielu ludzi oburzało się na wymagania opłaty pieniężnej. Było przy tym bardzo charakterystyczne to, że ci, którzy się oburzali, to nie byli ci, którzy z trudnością mogli zapłacić, lecz ludzie zamożni, dla których wymagana suma była drobnostką.

Ci, którzy nie mogli zapłacić, lub ci, którzy mogli zapłacić bardzo niewiele,

zawsze rozumieli, że nie mogą liczyć na otrzymanie czegoś za nic i że praca G., jego podróże do Petersburga i czas, który on i inni poświęcają na tę pracę, kosztuje. Tylko ci, którzy mieli pieniądze, nie rozumieli i nie chcieli tego zrozumieć.

– Czy oznacza to, że musimy zapłacić za wejście do Królestwa Niebieskiego? – mówili. – Ludzie nie płacą ani też za takie rzeczy nie żąda się pieniędzy. Chrystus powiedział do swoich uczniów: “Nie bierzcie ani torby, ani monety w trzosie” – a wy chcecie tysiąc rubli. Można by z tego zrobić bardzo dobry interes. Przypuśćmy, że macie stu uczniów. To dawałoby już sto tysięcy, a co jeśli byłoby ich dwustu, trzystu? Trzysta tysięcy na rok to bardzo duże pieniądze.

G. zawsze się uśmiechał, gdy mówiłem mu o tego rodzaju rozmowach. – Nie bierzcie ani torby, ani monety w trzosie! I biletu kolejowego też nie potrzeba? Ani zapłaty za hotel? Widzisz, ile zakłamania i hipokryzji tutaj mamy. Nie, nawet gdybyśmy wcale nie potrzebowali pieniędzy, to i tak trzeba by utrzymać tę opłatę. To od razu sprawia, że odchodzi od nas wielu bezużytecznych ludzi. Nic nam nie pokazuje ludzi tak, jak ich postawa wobec pieniędzy. Na osobiste zachcianki są gotowi wydawać tyle, ile ci się podoba, ale nie nadają żadnej wartości pracy innego człowieka. Ja muszę na nich pracować i dawać im za darmo wszystko to, co oni łaskawie zechcą ode mnie wziąć. Jak można *handlować poznaniem*? Ono powinno być za darmo. To właśnie z tego powodu wymaganie tej opłaty jest konieczne. Niektórzy ludzie nigdy pokonają tej bariery. A jeśli nie pokonają tej, to znaczy, że nigdy pokonają żadnej innej. Oprócz tego istnieją też inne względy. Zrozumiesz je później.

Inne względy były bardzo proste. Wielu ludzi rzeczywiście nie mogło zapłacić. I choć z reguły G. stawiał tę sprawę bardzo ostro, to w praktyce nigdy nie odmówił nikomu z tego powodu, że ów nie miał pieniędzy. A później okazało się nawet, że utrzymywał wielu ze swoich uczniów. Ludzie, którzy płacili tysiąc rubli, płacili nie tylko za siebie, lecz za innych.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Podczas jednego z wykładów G. zaczął rysować wykres wszechświata w zupełnie nowy sposób.

– Mówiliśmy do tej pory o siłach, które tworzą światy – powiedział – o zapoczątkowanym w Absolutie procesie tworzenia. Teraz będziemy mówić o procesach, które zachodzą w stworzonym już i istniejącym świecie. Ale musicie pamiętać o tym, że proces tworzenia nigdy się nie zatrzymuje, mimo że w skali planetarnej wzrost postępuje tak wolno, że jeśli rozpatrzymy go w naszym wymiarze czasu, to możemy uznać warunki planetarne za stałe dla nas.

Zajmijmy się zatem "promieniem stworzenia" już po stworzeniu wszechświata.

Działanie Absolutu na świat, czy światy przez niego lub w nim stworzone, przebiega dalej. Dokładnie w taki sam sposób przebiega dalej działanie tych światów na kolejne światy. "Wszystkie słońca" Drogi Mlecznej wpływają na nasze Słońce. Słońce wpływa na planety. "Wszystkie planety" wpływają na naszą Ziemię, a Ziemia wpływa na Księżyc. Wpływy te są przekazywane za pomocą promieniowań przepływających przez gwiazdne i międzyplanetarne przestrzenie.

W celu poznania tych promieniowań zajmiemy się "promieniem stworzenia" w skróconej formie: Absolut-Słońce-Ziemia-Księżyc lub, mówiąc inaczej, wyobraźmy sobie promień stworzenia w formie *trzech* oktaw *promieniowania*: pierwszej oktawy między Absolutem i Słońcem, drugiej oktawy między Słońcem i Ziemią i trzeciej oktawy między Ziemią i Księżycem; zbadajmy zatem przepływ promieniowania między tymi czterema fundamentalnymi punktami wszechświata.

Musimy odnaleźć nasze miejsce i zrozumieć nasze funkcje we wszechświecie ujętym w formie trzech oktaw promieniowania, między czterema punktami.

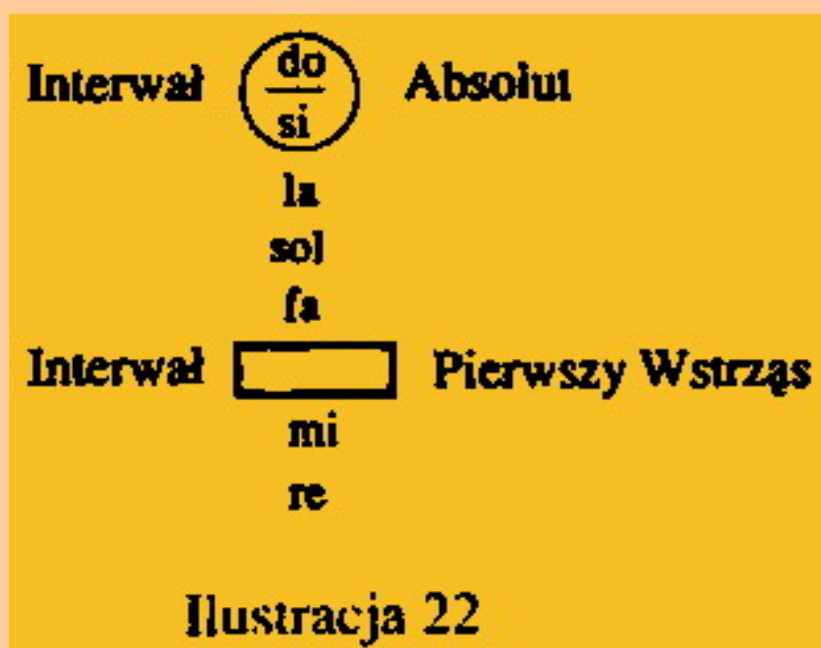
W pierwszej oktawie Absolut będzie zawierał dwie nuty, do i si, z istniejącym pomiędzy nimi "interwałem".



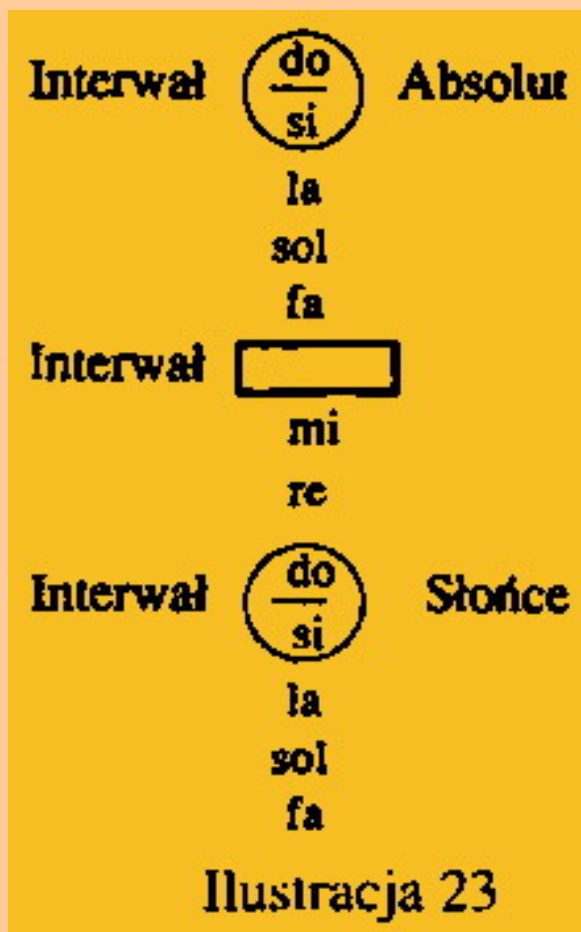
Następne nuty to la, sol, fa, a więc:



Z kolei “interwał” i wypełniający go, nie znany nam, niemniej jednak na pewno istniejący “wstrząs”. Następnie mi, re.

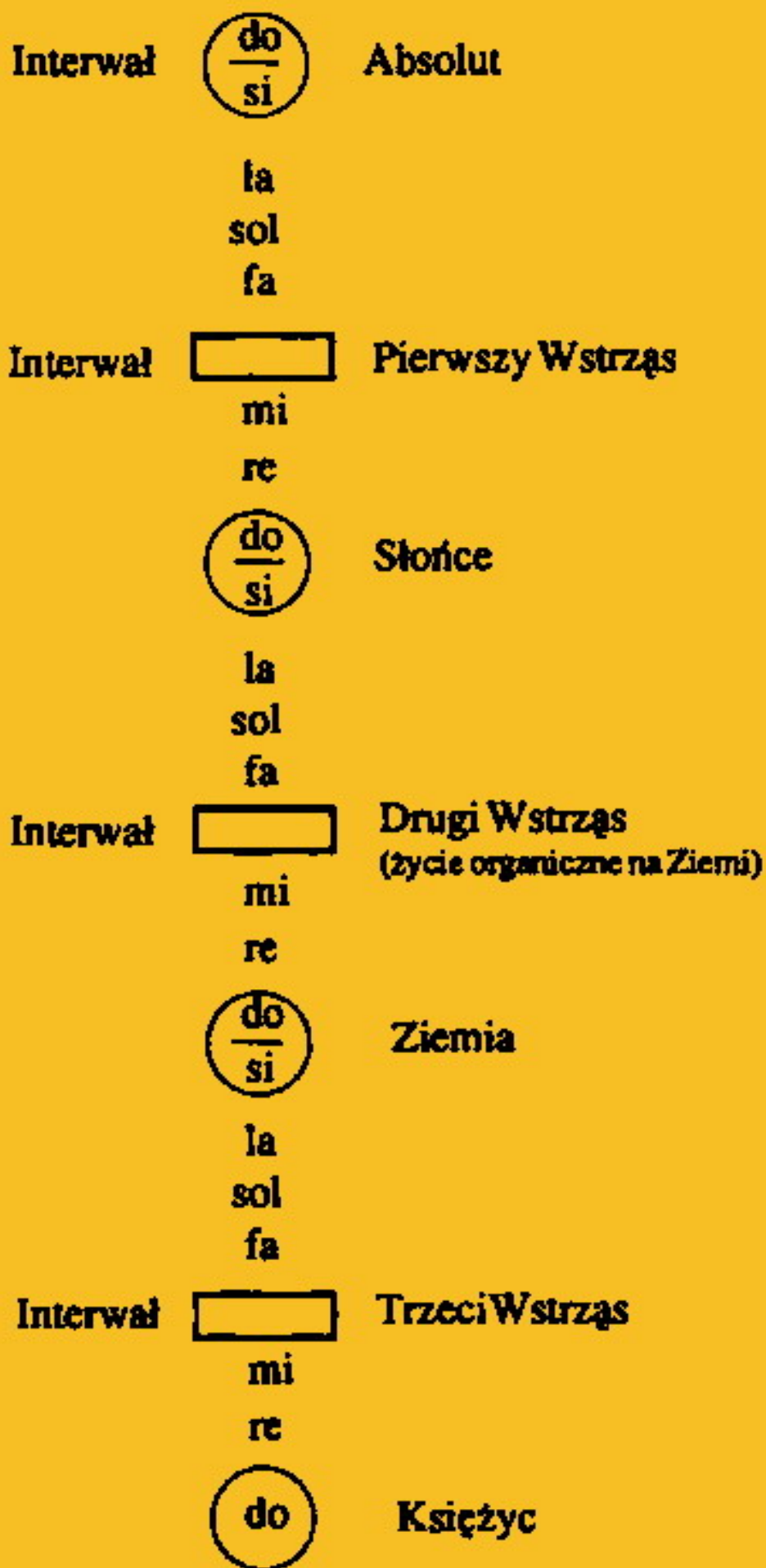


Promieniowanie dociera do Słońca. Dwie nuty zawarte są w samym Słońcu: do, “interwał” i si; następnie mamy la, sol, fa – promieniowania biegnące w kierunku Ziemi.



Z kolei "interwał" i wypełniający go "wstrząs" życia organicznego, następnie mi i re. Ziemia: do, "interwał", si, i dalej la, sol, fa – promieniowania biegnące w kierunku Księżyca; następnie znowu "interwał", nie znany nam "wstrząs", potem mi, re i Księżyc, czyli do.

Te trzy oktawy promieniowania, w formie których powinniśmy teraz wyobrazić sobie wszechświat, pozwala nam na wyjaśnienie relacji materii i sił, pochodzących z różnych płaszczyzn świata, do naszego własnego życia.



Ilustracja 24

Ilustracja 24

Trzeba zauważyć, że choć w tych trzech oktawach istnieje sześć "interwałów", to tylko trzy spośród nich wymagają uzupełnienia z zewnątrz. Pierwszy "interwał" między do i si wypełnia wola Absolutu. Drugi "interwał": do-si, wypełniony jest przez oddziaływanie masy Słońca na przebiegające przez nią promieniowanie. I trzeci "interwał" do-si wypełnia działanie masy Ziemi na przebiegające przez nią promieniowanie. Tylko "interwały" pomiędzy fa i mi muszą być wypełnione "dodatkowymi wstrząsami". Te "dodatkowe wstrząsy" mogą pochodzić albo z innych oktaw, które przechodzą przez dany punkt, albo z oktaw równoległych, które mają początek w wyższych punktach. Nic nie wiemy o naturze "wstrząsu" między mi-fa w pierwszej oktawie Absolut-Słońce. Ale w oktawie Słońce-Ziemia "wstrząsem" jest *życie organiczne na Ziemi*, to znaczy trzy nuty – la, sol, fa – oktawy, która ma początek w Słońcu. Charakter "wstrząsu" między mi i fa w oktawie Ziemia-Księżyc jest nam nie znany.

Trzeba zauważyć, że termin "punkt wszechświata", którego użyłem, ma całkiem określone znaczenie, mianowicie "punkt" przedstawia pewną kombinację wodorów, która zorganizowana jest w określonym miejscu i która w tym lub innym systemie spełnia określoną funkcję. Pojęcia "punkt" nie można zastąpić pojęciem "wodór", ponieważ "wodór" oznacza po prostu materię nieorganiczną w przestrzeni. Punkt jest zawsze ograniczony w przestrzeni. Jednocześnie "punkt wszechświata" można oznaczyć numerem wodoru, który w nim przeważa lub który zajmuje w nim centralne miejsce.

Jeśli z punktu widzenia Prawa Trzech zbadamy teraz pierwszą z trzech oktaw promieniowania, to znaczy oktawę Absolut-Słońce, to zobaczymy, że nuta do będzie przewodnikiem siły czynnej oznaczonej numerem 1, podczas gdy materia, w której działa ta siła, będzie "węglem" (C). "Czynna" siła, która w Absolutcie tworzy nutę do, reprezentuje maksymalną częstotliwość wibracji, czy też największą możliwą gęstość wibracji.

Wyrażenie "gęstość wibracji" odpowiada wyrażeniu "częstotliwość wibracji" i używane jest jako przeciwieństwo "gęstości materii", to znaczy, że im większa "gęstość materii", tym mniejsza "gęstość wibracji", i odwrotnie, im większa "gęstość wibracji", tym mniejsza "gęstość materii". Największa "gęstość wibracji" występuje w najsubtelniejszej i najbardziej rozrzedzonej materii. Natomiast w potencjalnie najgęstszej materii wibracje zwalniają i prawie ustają. Tak więc najsubtelniejsza materia odpowiada największej "gęstości wibracji".

W Absolutcie siła czynna reprezentuje maksymalną "gęstość wibracji", natomiast materia, w której przebiegają wibracje, czyli pierwszy "węgiel", reprezentuje minimalną "gęstość materii".

Nuta si będzie w Absolutcie przewodnikiem siły biernej, oznaczonej numerem 2. A materia, w której działa ta bierna siła, czy też w której brzmi nuta si, będzie

“tlenem” (0).

Nuta la będzie przewodnikiem siły neutralizującej, oznaczonej numerem 3, a materia, w której brzmi nuta la, będzie “azotem” (N).

Tak więc w porządku swego działania siły te, w kolejności 1, 2, 3, będą odpowiadać materiom “węgla”, “tlenu” i “azotu”. Jednakże ze względu na gęstość materii będą one stały w kolejności: “węgiel”, “azot”, “tlen” (czyli 1, 3, 2), ponieważ “azot”, zachowując numer 3, to znaczy będąc przewodnikiem siły neutralizującej, znajduje się, zgodnie ze swoją gęstością materii, między “węglem” i “tlenem”, który okazuje się najgęstszym z nich trzech.

“Węgiel”, “tlen” i “azot” łącznie dadzą materię czwartego rzędu, czy też “wodór” (H), którego gęstość oznaczymy numerem 6 (jako sumę 2, 3), czyli H₆:

Pierwsza triada

do	C	1	1	1	
si	O	2	3	2	H ₆
la	N	3	2	3	

C, O, N zachowują swoje numery 1, 2, 3. Węgiel zawsze jest 1, tlen zawsze jest 2 i azot zawsze jest 3.

Jednakże będąc bardziej aktywnym od tlenu, azot staje się pierwiastkiem czynnym w następnej triadzie, w której pojawia się on z gęstością 2. Innymi słowy, azot ma gęstość 2, a tlen gęstość 3.

Tak więc nuta la z pierwszej triady jest przewodnikiem czynnej siły w następnej triadzie, w której pojawia się ona z gęstością 2. Jeśli węgiel pojawia się z gęstością 2, to wtedy tlen i azot muszą odpowiadać mu swoimi gęstościami, powtarzając stosunek gęstości z pierwszej triady. W pierwszej triadzie stosunek gęstości był następujący: 1, 2, 3; w drugiej triadzie powinien on być taki: 2, 4, 6, to znaczy, że węgiel drugiej triady będzie miał gęstość 2, azot – gęstość 4, tlen – gęstość 6. Wszystkie razem dadzą one wodór 12 (H₁₂):

Druga triada

la	C	2	2	2	
sol	O	4	6	4	H ₁₂
fa	N	6	4	6	

Zgodnie z tym samym planem i tym samym porządkiem zostanie stworzona

kolejna triada: fa, "wstrząs", mi. Węgiel, który w drugiej triadzie był azotem, pojawia się z gęstością 4; odpowiadające mu azot i tlen muszą mieć gęstość 8 i 12; razem dadzą one wodór 24 (H₂₄):

Trzecia triada

fa	C	4	4	4	
---	O	8	12	8	H ₂₄
mi	N	12	8	12	

Następna triada – mi, re, do – zgodnie z tym samym planem i porządkiem da wodór 48 (H₄₈):

Czwarta triada

mi	C	8	8	8	
re	O	16	24	16	H ₄₈
do	N	24	16	24	

Triada do, si, la da wodór 96 (H₉₆):

Piąta triada

do	C	16	16	16	
si	O	32	48	32	H ₉₆
la	N	48	32	48	

Triada la, sol, fa – wodór 192 (H₁₉₂):

Szósta triada

la	C	32	32	32	
sol	O	64	96	64	H ₁₉₂
fa	N	96	64	96	fa

Fa, "wstrząs", mi – wodór 384 (H₃₈₄):

Siódma triada

fa	C	64	64	64	
--	O	128	192	128	H ₃₈₄

mi N 192 128 192

Mi, re, do – wodór 768 (H768):

Ósma triada

mi C 128 128 128

re O 256 384 256 H768

do N 384 256 384

Do, si, la – wodór 1536 (H 1536):

Dziewiąta triada

do C 256 256 256

si O 512 768 512 H1536

la N 768 512 768

La, sol, fa – wodór 3072 (H3072):

Dziesiąta triada

la C 512 512 512

sol O 1024 1536 1024 H3072

fa N 1536 1024 1536

Fa, "wstrząs", mi – wodór 6144 (H6144):

Jedenasta triada

fa C 1024 1024 1024

– – – O 2048 3072 2048 H6144

mi N 3072 2048 3072

Mi, re, do – wodór 12288 (H12288):

Dwunasta triada

mi C 2048 2048 2048

re O 4096 6144 4096 H12288

do N 6144 4096 6144

Otrzymuje się w ten sposób dwanaście wodorów o gęstościach od 6 do 12288 (Tablica 1).

Tych dwanaście wodorów reprezentuje dwanaście kategorii zawartej we wszechświecie materii, od Absolutu do Księżyca; i jeśli byłoby możliwe dokładne ustalenie, które z tych materii składają się na organizm człowieka i działają w nim, to już samo to określiłoby miejsce zajmowane przez człowieka w świecie.

do	C	1	1	1	H ₆					do	H ₆		
si	O	2	3	2						si			
la	N	3	2	3						la			
sol					C	2	2	2	H ₁₂	sol	H ₁₂		
fa	C	4	4	4	O	4	6	4				fa	
--	O	8	12	8	N	6	4	6				--	
mi	N	12	8	12	H ₂₄					mi	H ₂₄		
re						C	8	8	8			re	
do	C	16	16	16		O	16	24	16	H ₄₈		do	H ₄₈
si	O	32	48	32	N	24	16	24			si		
la	N	48	32	48	H ₉₆						la	H ₉₆	
sol						C	32	32	32		sol		
fa	C	64	64	64		O	64	96	64	H ₁₉₂	fa		H ₁₉₂
--	O	128	192	128	N	96	64	96			--		
mi	N	192	128	192	H ₃₈₄						mi	H ₃₈₄	
re						C	128	128	128		re		
do	C	256	256	256		O	256	384	256	H ₇₆₈	do		H ₇₆₈
si	O	512	768	512	N	384	256	384			si		
la	N	768	512	768	H ₁₅₃₆						la	H ₁₅₃₆	
sol						C	512	512	512		sol		
fa	C	1024	1024	1024		O	1024	1536	1024	H ₃₀₇₂	fa		H ₃₀₇₂
--	O	2048	3072	2048	N	1536	1024	1536			--		
mi	N	3072	2048	3072	H ₆₁₄₄						mi	H ₆₁₄₄	
re						C	2048	2048	2048		re		
do						O	4096	6144	4096	H ₁₂₂₈₈	do		H ₁₂₂₈₈
					N	6144	4096	6144					

TABLICA 1

Jednakże w miejscu, w którym się znajdujemy, wodór 6 jest nierozkładalny w granicach naszych zwykłych mocy i zdolności; możemy zatem przyjąć go za wodór 1; z kolei wodór 12 za wodór 6. Dzieląc przez 2 wszystkie następne wodory otrzymamy skalę od wodoru 1 do wodoru 6144 (Tablica 2).

do]	H ₆	H ₁
si			
la]	H ₁₂	H ₆
sol			
fa]	H ₂₄	H ₁₂
--			
mi]	H ₄₈	H ₂₄
re			
do]	H ₉₆	H ₄₈
si			
la]	H ₁₉₂	H ₉₆
sol			
fa]	H ₃₈₄	H ₁₉₂
--			
mi]	H ₇₆₈	H ₃₈₄
re			
do]	H ₁₅₃₆	H ₇₆₈
si			
la]	H ₃₀₇₂	H ₁₅₃₆
sol			
fa]	H ₆₁₄₄	H ₃₀₇₂
--			
mi]	H ₁₂₂₈₈	H ₆₁₄₄
re			
do]		

TABLICA 2

Ale wodór 6 jest także dla nas nierozkładalny. Tak więc również możemy uznać go za wodór 1, a następujący po nim wodór za wodór 6, i ponownie podzielić wszystkie kolejne wodory przez dwa. Otrzymana w ten sposób skala od 1 do 3072 może służyć nam do poznawania człowieka. (Tablica 3 – Tablica Wodorów).

do]	H ₆	H ₁	
si				
la]	H ₁₂	H ₆	H ₁
sol				
fa]	H ₂₄	H ₁₂	H ₆
--				
mi]	H ₄₈	H ₂₄	H ₁₂
re				
do]	H ₉₆	H ₄₈	H ₂₄
si				
la]	H ₁₉₂	H ₉₆	H ₄₈
sol				
fa]	H ₃₈₄	H ₁₉₂	H ₉₆
--				
mi]	H ₇₆₈	H ₃₈₄	H ₁₉₂
re				
do]	H ₁₅₃₆	H ₇₆₈	H ₃₈₄
si				
la]	H ₃₀₇₂	H ₁₅₃₆	H ₇₆₈
sol				
fa]	H ₆₁₄₄	H ₃₀₇₂	H ₁₅₃₆
--				
mi]	H ₁₂₂₈₈	H ₆₁₄₄	H ₃₀₇₂
re				
do				

TABLICA 3 - TABLICA WODORÓW

Wszystkie materie, od wodoru 6 do wodoru 3072, znajdują się w ludzkim organizmie i odgrywają w nim pewną rolę. Każdy z tych wodorów zawiera bardzo dużą liczbę znanych nam substancji chemicznych, które łączą się poprzez pewnego rodzaju funkcje, związane z naszym organizmem. Innymi słowy, nie wolno zapominać o tym, że pojęcie wodorów ma bardzo szerokie znaczenie. Każdy pierwiastek prosty jest wodorem o pewnej gęstości, ale każda kombinacja pierwiastków, która w świecie albo w ludzkim organizmie spełnia określone funkcje, także jest wodorem.

Tego rodzaju definicja materii umożliwia nam klasyfikację różnych materii według ich relacji do życia i do funkcji naszego organizmu. Zaczniemy od wodoru 768. Wodór ten określony jest jako *pokarm*; innymi słowy, wodór 768 zawiera wszystkie substancje, które mogą służyć człowiekowi jako pokarm. Substancje, które nie mogą służyć człowiekowi jako pokarm, takie jak na przykład kawałek drzewa, związane są z wodorem 1536; kawałek żelaza – z wodorem 3072. Z drugiej strony, materia rozrzedzona, mająca słabe własności odżywcze, bliższa będzie wodorowi 384.

Wodór 384 uznajemy za *wodę*.

Wodór 192 jest powietrzem naszej atmosfery, którym oddychamy.

Wodór 96 reprezentowany jest przez rozrzedzone gazy, którymi człowiek nie może oddychać, ale które odgrywają bardzo ważną rolę w jego życiu; ponadto jest to materia zwierzęcego magnetyzmu, emanacji pochodzących z ludzkiego ciała, promieni N, hormonów, witamin, itd. Innymi słowy na wodórze 96 kończy się to, co nasza fizyka i chemia nazywają lub uważają za materię. Wodór 96 zawiera także materie, które dla naszej chemii są prawie niezauważalne lub można je zauważyć tylko dzięki ich śladom lub rezultatom. Niektórzy teoretycy zakładają, że one istnieją, inni temu zaprzeczają.

Wodory 48, 24, 12 i 6 są materiami nie znanymi fizyce ani chemii, materiami naszego psychicznego i duchowego życia, na różnych jego poziomach.

Badając "Tablicę Wodorów" zawsze trzeba pamiętać o tym, że każdy wodór z tej tablicy zawiera olbrzymie liczbę różnych substancji, które w organizmie są powiązane jedną i tą samą funkcją i reprezentuje określone "ugrupowania kosmiczne".

Wodór 12 odpowiada wodorowi chemicznemu (ciężar atomowy 1). Węgiel, azot i tlen (chemiczne) mają ciężary atomowe: 12, 14 i 16.

Poza tym w układzie okresowym można wskazać pierwiastki, które odpowiadają pewnym wodom, to znaczy pierwiastki, których ciężary atomowe pozostają do siebie w stosunku prawie dokładnej *oktawy*. Tak więc wodór 24 odpowiada fluorowi (F), ciężar atomowy 19; wodór 48 odpowiada chlorowi (Cl), ciężar atomowy 35.5; wodór 96 odpowiada bromowi (Br), ciężar atomowy 80; i wodór 192 odpowiada jodowi (I), ciężar atomowy 127. Ciężary atomowe tych pierwiastków pozostają do siebie w stosunku prawie dokładnie oktawy; innymi słowy ciężar atomowy kolejnego z nich jest prawie dwukrotnie większy od ciężaru atomowego poprzedniego. Mała nieścisłość, to znaczy niepełny stosunek oktawy, jest wynikiem tego, że zwykła chemia nie bierze pod uwagę wszystkich właściwości substancji, a mianowicie, nie bierze o pod uwagę właściwości "kosmicznych". Chemia, o której tutaj mówimy, bada materię na innej podstawie niż zwykła chemia i bierze ona pod uwagę nie tylko chemiczne i fizyczne, lecz także psychiczne i kosmiczne właściwości materii.

Ta chemia, czy też alchemia, zajmuje się przede wszystkim materią z punktu widzenia jej funkcji, które określają jej miejsce we wszechświecie i jej związki z innymi materiami, a dopiero potem z punktu widzenia jej stosunku do człowieka i do jego funkcji. Za "atom substancji" uważa się pewną małą ilość danej substancji, która zachowuje wszystkie chemiczne, kosmiczne i psychiczne własności; oprócz własności kosmicznych każda substancja ma także właściwości psychiczne, to znaczy pewien stopień inteligencji. Pojęcie "atomu" może zatem odnosić się tylko do pierwiastków, ale także do wszystkich materii złożonych,

które spełniają określone funkcje we wszechświecie lub w życiu człowieka. Może zatem istnieć atom wody, atom powietrza (czyli powietrza atmosferycznego, którym człowiek jest w stanie oddychać), atom chleba, atom mięsa, itd. Atomem wody będzie w tym wypadku jedna dziesiąta jednej dziesiątej milimetra sześciennego wody, pobranej w określonej temperaturze, przy użyciu specjalnego termometru. Będzie to mała kropla wody, którą w pewnych warunkach można zobaczyć gołym okiem.

Atom ten jest najmniejszą ilością wody, która *zachowuje wszystkie właściwości wody*. Przy dalszym podziale, niektóre z tych właściwości zanikają, a więc nie będzie to już woda, ale coś zbliżonego do gazowego stanu wody, pary, która chemicznie wcale się nie różni od wody w stanie płynnym, jednakże spełnia inne funkcje, a zatem ma inne właściwości kosmiczne i psychiczne.

"Tablica Wodorów" umożliwia zbadanie wszystkich substancji, które składają się na organizm człowieka, z punktu widzenia ich stosunku do różnych płaszczyzn wszechświata. A ponieważ każda funkcja człowieka jest wynikiem działania określonych substancji, a każda substancja jest związana z określoną płaszczyzną we wszechświecie, fakt ten umożliwia nam ustalenie związku zachodzącego pomiędzy funkcjami człowieka i płaszczyznami wszechświata.

W tym miejscu powinienem powiedzieć, iż przez długi czas "trzy oktawy promieniowania" i wywodząca się z nich "Tablica Wodorów" były progiem, o który się potykaliśmy. Dopiero później zrozumiałem fundamentalną i najbardziej istotną zasadę przemiany triad i struktury materii, i będę o tym mówił w stosownym miejscu.

W moim przedstawieniu wykładów G. próbuję na ogół zachować porządek chronologiczny, choć nie zawsze jest to możliwe, gdyż niektóre rzeczy były wielokrotnie powtarzane i w takiej czy innej formie pojawiały się prawie w każdym wykładzie.

"Tablica Wodorów" wywarła na mnie bardzo silne wrażenie, które później jeszcze się wzmocniło. Czułem, że jest ona "drabiną sięgającą z ziemi do nieba". To uczucie było bardzo podobne do doznań świata, które miałem kilka lat wcześniej, podczas moich dziwnych doświadczeń, kiedy to tak mocno odczuwałem powiązanie, całościowość i "matematyczność" wszystkiego na świecie. Wykłady, w różnych wariantach, był wielokrotnie powtarzany w celu wyjaśnienia "promienia stworzenia" lub wyjaśnienia "prawa oktaw". Ale mimo że wywołał on we mnie dziwne doznanie, to gdy wysłuchałem go po raz pierwszy, byłem jeszcze bardzo daleki od nadania mu właściwej wartości. A nade wszystko, od razu pojąłem, że idee te są o wiele trudniejsze do przyswojenia i w swej treści o wiele głębsze, niż to się wydawało po ich prostym wyłożeniu.

Zachowałem w pamięci pewien epizod. Miało to miejsce podczas jednego z powtórzeń wykładu o strukturze materii w powiązaniu z mechaniką wszechświata. Wykład ten był czytany przez P., młodego inżyniera należącego do grupy

moskiewskiej, o którym wcześniej wspominałem.

Przybyłem już po rozpoczęciu wykładu. Słyszając znane mi słowa postanowiłem, że sobie ten wykład daruję. Siedząc w kącie dużego salonu, paliłem papierosy i myślałem o czymś innym. G. też tam był.

– Dlaczego nie słuchałeś wykładu? – zapytał mnie po jego zakończeniu.

– Ależ ja go już wcześniej słyszałem – odpowiedziałem. G. potrząsnął z wyrzutem głową. I naprawdę nie rozumiałem, czego ode mnie oczekiwał i dlaczego po raz drugi miałem słuchać tego samego wykładu.

Zrozumiałem to dopiero o wiele później, już po zakończeniu wykładów, kiedy próbowałem w umyśle podsumować wszystko, co usłyszałem. Często zastanawiając się ponownie nad jakąś kwestią dość wyraźnie przypominałem sobie, że była o niej mowa podczas jednego z wykładów. Ale niestety w żaden sposób nie byłem w stanie sobie przypomnieć, co dokładnie było powiedziane i dużo bym dał, żeby móc to jeszcze raz usłyszeć.

Niespełna dwa lata później, w listopadzie 1917 roku, niewielka grupa składająca się z sześciu osób zamieszkała wraz z G. nad brzegiem Morza Czarnego, 40 kilometrów na północ od Tuapse, w małym wiejskim domu, oddalonym o ponad 2 kilometry od najbliższego ludzkiego siedliska. Pewnego wieczoru siedzieliśmy i rozmawialiśmy. Było już późno i pogoda była bardzo zła, wiał północno-wschodni wiatr, który w porywach przynosił to deszcz, to śnieg.

Myślałem właśnie o pewnych wnioskach wynikających z analizy "Tablicy Wodorów", głównie o pewnej istniejącej w tym wykresie niekonsekwencji, widocznej w zestawieniu z innym wykresem, o którym dowiedzieliśmy się później. Moje pytanie dotyczyło wodorów znajdujących się poniżej normalnego poziomu. Później wytłumaczę dokładnie, o co zapytałem i co – znacznie później – odpowiedział mi G.

Tym razem nie dał mi on dokładnej odpowiedzi.

– Powinieneś to wiedzieć – rzekł – była o tym mowa na wykładach w Petersburgu. Musiałeś nie słuchać. Czy pamiętasz wykład, którego nie chciałeś wysłuchać, stwierdziwszy, że już go znasz? A to, co wtedy zostało powiedziane, to jest właśnie to, o co teraz pytasz. – Po chwili milczenia powiedział: – Dobrze. Jeśli teraz dowiedziałbyś się, że ktoś ma poprowadzić ten sam wykład w Tuapse, to czy poszedłbyś tam na piechotę?

– Poszedłbym – odparłem.

I rzeczywiście, chociaż bardzo wyraźnie czułem, jak długa, trudna i mroźna byłaby to droga, jednocześnie wiedziałem, że nie mogłoby to mnie powstrzymać.

G. zaśmiał się.

– Czy naprawdę byś poszedł? – zapytał. – Pomyśl: czterdzieści kilometrów, ciemność, śnieg, deszcz, wiatr.

– Nad czym mam się zastanawiać? – powiedziałem. – Wiesz przecież, że nie raz przeszedłem całą tę drogę, kiedy nie było koni albo brakowało dla mnie miejsca na wozie, i to nie dla nagrody, ale dlatego, że nic innego nie pozostawało do zrobienia. Poszedłbym bez jednego słowa, jeśli ktoś miałby w Tuapse poprowadzić wykład na ten temat.

– Tak – powiedział G. – Gdyby tylko ludzie naprawdę w ten sposób rozumowali. Ale w rzeczywistości rozumują oni w sposób dokładnie przeciwny. Bez żadnej potrzeby stawiają czoła przypadkowym trudnościom. Natomiast w sprawie wielkiej wagi, która naprawdę może coś przynieść, nie ruszą nawet palcem. Taka jest ludzka natura. Człowiek nigdy, w żadnym wypadku, nie chce za nic płacić, a zwłaszcza nie chce płacić za to, co jest dla niego najważniejsze. Wiesz teraz, że za wszystko trzeba płacić i że trzeba zapłacić proporcjonalnie do tego, co się otrzymuje. Jednak z reguły człowiek myśli na odwrót. Zapłaci każdą cenę za głupstwa, za rzeczy, które są mu zupełnie niepotrzebne. Ale za coś ważnego, nigdy. To ma przyjść do niego samo.

Co do wykładu, to o tym, o co zapytałeś, rzeczywiście była mowa Petersburgu. Gdybyś wtedy słuchał, rozumiałbyś teraz, że pomiędzy wykresami nie istnieje i nie może istnieć żadna sprzeczność.

Ale wróćmy do Petersburga.

Spoglądając teraz wstecz, nie mogę się nadziwić, jak szybko G. przekazał nam podstawowe idee swojego systemu. Oczywiście wiele zależało od jego sposobu wykładania, od jego zadziwiającej zdolności do szybkiego uwypuklania wszystkich podstawowych i istotnych punktów, od umiejętności unikania niepotrzebnych szczegółów, dopóki podstawowe punkty nie zostały jeszcze zrozumiane.

Po "wodorach" G. kontynuował:

– Chcemy "czynić", ale we wszystkim, co robimy, jesteśmy związani i ograniczeni ilością produkowanej przez nasz organizm energii. Każda funkcja, każdy stan, każde działanie, każda myśl, każda emocja wymaga pewnej określonej energii, pewnej określonej substancji.

Dochodzimy do wniosku, że musimy "pamiętać samych siebie". Jednakże możemy "pamiętać samych siebie" tylko wówczas, gdy mamy w sobie energię do "pamiętania siebie". Możemy coś poznawać, rozumieć lub coś czuć tylko wtedy, gdy mamy energię do rozumienia, czucia i poznawania.

Co zatem ma zrobić człowiek, gdy zacznie zdawać sobie sprawę, że nie ma on dostatecznie dużo energii do osiągnięcia postawionych sobie celów?

Odpowiedź na to pytanie brzmi: każdy normalny człowiek ma zupełnie wystarczającą ilość energii do *rozpoczęcia* pracy nad sobą. Trzeba tylko, zamiast bezproduktywnie marnować energię, nauczyć się jej więcej oszczędzać na rzecz użytecznej pracy.

Energię zużywa się głównie na niepotrzebne i nieprzyjemne emocje, na oczekiwanie na możliwe i niemożliwe nieprzyjemne rzeczy, na złe nastroje, na niepotrzebny pośpiech, nerwowość, drażliwość, wyobraźnię, śnienie na jawie, itd. Energię marnuje się przez złą pracę centrów; z powodu niepotrzebnego napięcia mięśni, zupełnie niewspółmiernego do wykonywanej pracy; na nieustanne gadanie, które pochłania olbrzymią jej ilość; na ciągłe interesowanie się przytrafiającymi się – nam lub innym ludziom – okolicznościami, które wcale nas w gruncie rzeczy nie obchodzą; przez rozpraszenie siły "uwagi", i tak dalej.

Walcząc z tymi wszystkimi nawykowymi stronami swojego życia, człowiek zaczyna oszczędzać olbrzymie ilości energii i z pomocą tej energii łatwo może rozpocząć pracę poznawania i doskonalenia siebie.

Z czasem jednak problem staje się coraz trudniejszy. Po zrównoważeniu do pewnego stopnia swojej maszyny i upewnieniu się, że produkuje ona o wiele więcej energii, niż się wydawało, człowiek pomimo to dochodzi do wniosku, że energia ta nie wystarcza i że jeśli chce on kontynuować pracę, to musi zwiększyć ilość produkowanej energii.

Poznanie pracy ludzkiego organizmu pokazuje, że jest to całkiem możliwe. Organizm ludzki można przyrównać do fabryki chemicznej, nastawionej na bardzo dużą produkcję. Ale w zwykłych warunkach życia fabryka nigdy nie osiąga w produkcji pełnej, możliwej wydajności, ponieważ wykorzystuje się tylko małą część maszyn, która jedynie produkuje taką ilość materiału, jaka jest jej potrzebna do zapewnienia swojej własnej egzystencji. Oczywiście tego rodzaju praca fabryki jest w najwyższym stopniu nieekonomiczna. W rzeczywistości fabryka niczego nie produkuje: cała jej maszyna i cały jej znakomity sprzęt nie służą faktycznie żadnemu celowi, ponieważ ona tylko podtrzymuje z trudnością swoją własną egzystencję.

Praca fabryki polega na przetwarzaniu jednego rodzaju materii na drugi, mianowicie materii grubszej – w znaczeniu kosmicznym – w materię bardziej subtelną. Fabryka otrzymuje od świata zewnętrznego jako surowiec pewną liczbę grubych "wodorów" i poprzez całą serię skomplikowanych procesów *alchemicznych* przetwarza je w delikatniejsze "wodory". Jednakże produkowanie delikatniejszych wodorów – które ze względu na możliwość wyższych stanów świadomości i pracy wyższych centrów szczególnie nas interesują – przez ludzką maszynę w zwykłych warunkach życia jest niewystarczające; wszystkie one bowiem marnowane są na samo utrzymywanie przy życiu tej fabryki. Gdyby udało nam się podnieść tę produkcję do możliwie maksymalnego poziomu, moglibyśmy zacząć oszczędzać delikatne wodory. Wtedy to całe ciało, wszystkie tkanki, wszystkie komórki zostałyby nasycone tymi delikatnymi wodorami, które stopniowo by się w nich usadowiły, krystalizując się w pewien określony sposób. Ta krystalizacja delikatnych wodorów stopniowo podniosłaby cały organizm na wyższy poziom, na wyższą płaszczyznę bycia.

To jednakże nie może zdarzyć się w zwykłych warunkach życia, ponieważ "fabryka" zużywa wszystko to, co produkuje.

"Naucz się odróżniać subtelne od grubego" – ta zasada, pochodząca "Smaragdowych Tablic Hermesa Trismegista", dotyczy pracy ludzkiej fabryki; i jeśli człowiek nauczy się oddzielać subtelne od grubego, to znaczy jeśli podniesie produkcję delikatnych wodorów do maksimum, to już przez sam ten fakt stworzy on dla siebie możliwość wewnętrznego wzrostu, której w żaden inny sposób nie da się stworzyć. Wewnętrzny wzrost, wzrost wewnętrznych ciał człowieka (astralnego, umysłowego, itd.) jest procesem materialnym, zupełnie analogicznym do wzrostu ciała fizycznego. Aby dziecko rosło, musi ono otrzymywać dobry pokarm; aby z tego pokarmu przygotować materiał potrzebny do wzrostu tkanek, organizm dziecka musi być zdrowy. To samo potrzebne jest do wzrostu "ciała astralnego". Z różnych pojawiających się w organizmie rodzajów pokarmu tenże organizm musi wyprodukować substancje potrzebne do wzrostu "ciała astralnego". I co więcej, "ciało astralne" wymaga do swojego wzrostu tych samych substancji, które konieczne są do utrzymywania ciała fizycznego, tylko że w znacznie większych ilościach.

Jeśli organizm fizyczny zacznie produkować dostateczną ilość tych delikatnych substancji, i jeśli uformuje się w nim "ciało astralne", to ten astralny organizm będzie potrzebował na swoje utrzymanie mniej owych substancji, niż potrzebował ich podczas swojego wzrostu. Nadwyżka tych substancji może być wykorzystana do ukształtowania i wzrostu "ciała umysłowego", które będzie rosło dzięki tym samym substancjom, które karmią "ciało astralne". Ale oczywiście wzrost "ciała umysłowego" będzie wymagał więcej tych substancji niż wzrost i karmienie "ciała astralnego". Nadwyżka substancji, pozostała po nakarmieniu "ciała umysłowego", będzie wykorzystana do wzrostu "czwartego ciała". Jednakże we wszystkich tych wypadkach nadwyżka musi być bardzo duża. Wszystkie delikatne substancje, konieczne do wzrostu i nakarmienia wyższych ciał, muszą zostać wyprodukowane w organizmie fizycznym, który jest w stanie je wyprodukować pod warunkiem, że ludzka fabryka działa właściwie i ekonomicznie.

Wszystkie substancje konieczne do utrzymywania życia organizmu, jego pracy psychicznej, wyższych funkcji świadomości i wzrostu wyższych ciał, produkowane są w organizmie z pokarmu, który przychodzi do niego z zewnątrz.

Ludzki organizm otrzymuje trzy rodzaje pokarmu:

1. Zwykły pokarm, który spożywamy.
2. Powietrze, którym oddychamy.
3. Nasze wrażenia.

Nietrudno zgodzić się z tym, że powietrze jest dla naszego organizmu rodzajem pokarmu. Ale na pierwszy rzut oka może wydawać się trudne do zrozumienia, w jaki sposób wrażenia mogą być pokarmem. Musimy jednak pamiętać, że z

każdym zewnętrznym wrażeniem, czy w formie dźwięku, widoku czy zapachu, otrzymujemy z zewnątrz pewną ilość energii, pewną liczbę wibracji; ta energia z zewnątrz, która pojawia się w organizmie, jest pokarmem. Co więcej, jak zostało wcześniej powiedziane, energia nie może być przekazywana bez materii. Jeśli zewnętrzne wrażenie przynosi ze sobą do organizmu zewnętrzną energię, oznacza to, że pojawia się w nim także zewnętrzna materia, która w pełnym tego słowa znaczeniu "karmi" organizm.

Dla swojej normalnej egzystencji organizm musi otrzymywać wszystkie trzy rodzaje pokarmu, czyli pokarm fizyczny, powietrze i wrażenia. Organizm nie może funkcjonować dzięki jednemu czy nawet dwóm rodzajom pokarmu; potrzebne są mu wszystkie trzy. Ale wzajemne stosunki między tymi pokarmami i ich znaczenie dla organizmu nie są takie same. Organizm może stosunkowo długo egzystować bez dostawy świeżego fizycznego pokarmu. Znane są wypadki głodowania przez ponad sześćdziesiąt dni, kiedy to organizm nie stracił nic ze swojej witalności, i gdy tylko zaczął na nowo otrzymywać pokarm, bardzo szybko doszedł z powrotem do siebie. Oczywiście tego rodzaju wyголоdzenia nie można uważać za całkowite, jako że we wszystkich wypadkach takiego sztucznego głodowania ludzie pili wodę. Jednak człowiek może przez kilka dni żyć bez pokarmu – nawet bez wody.

Bez powietrza może żyć tylko przez kilka minut, nie więcej niż lub trzy; przeważnie po czterech minutach bez powietrza człowiek umiera.

Bez wrażeń człowiek nie może żyć nawet jednej chwili. Gdyby w jakiś sposób zatrzymano napływ wrażeń lub pozbawiono organizm zdolności do odbierania wrażeń, to natychmiast by umarł. Napływ wrażeń z zewnątrz stanowi swoisty pas napędowy, który przekazuje nam ruch. Naszym podstawowym motorem jest przyroda, otaczający nas świat. Wraz z naszymi wrażeniami przyroda przekazuje nam energię, dzięki której żyjemy, poruszamy się i mamy nasze bycie. Jeśli napływ energii zostanie zatrzymany, to nasza maszyna natychmiast przestanie pracować. Tak więc spośród trzech rodzajów pokarmu najważniejsze dla nas są wrażenia, choć jasne jest, że samymi wrażeniami człowiek długo żyć nie może. Wrażenia i powietrze umożliwiają człowiekowi trochę dłuższe istnienie. Wrażenia, powietrze i fizyczny pokarm umożliwiają organizmowi istnienie do końca jego normalnego okresu życia i umożliwiają mu produkowanie substancji koniecznych nie tylko do utrzymania się przy życiu, lecz także do tworzenia i wzrostu wyższych ciał.

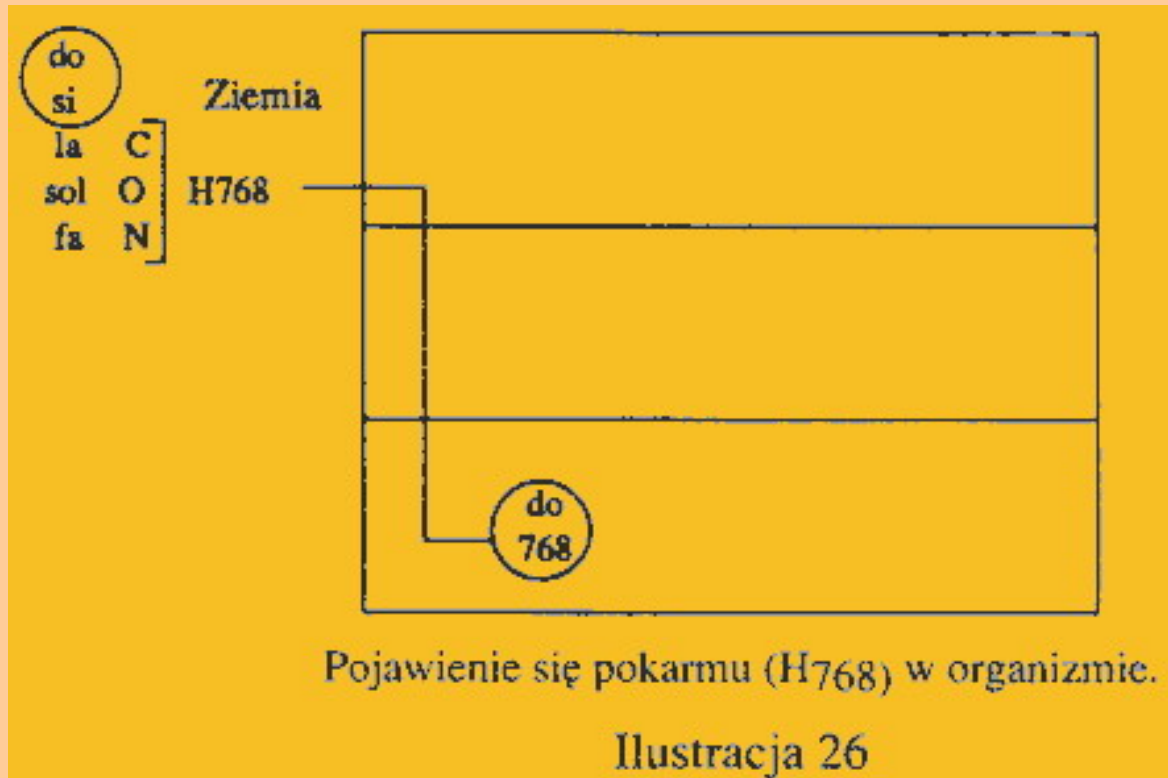
Proces przetwarzania substancji pojawiających się w organizmie na substancje delikatniejsze rządzone jest przez *prawo oktaf*.

Wyobraźmy sobie organizm ludzki w formie trzypiętrowej fabryki. Górne piętro tej fabryki składa się z ludzkiej głowy, środkowe z klatki piersiowej, a najniższe z żołądka, pleców i dolnej części ciała.

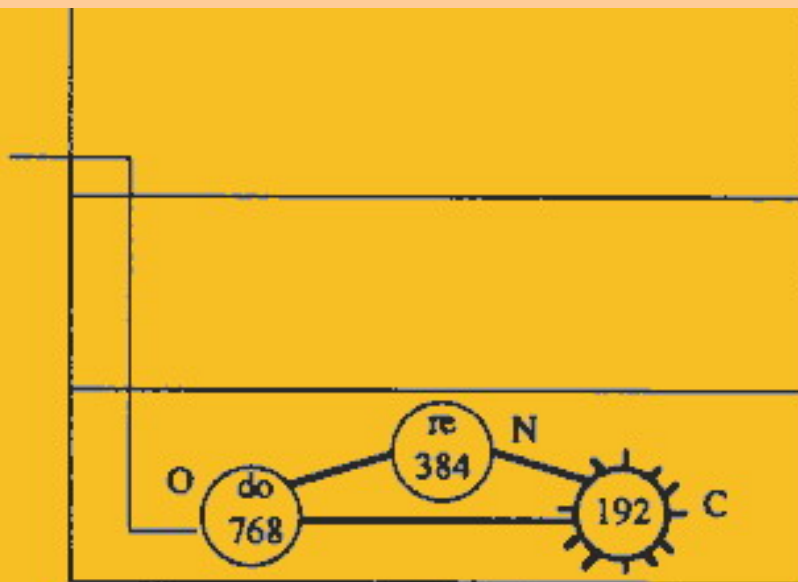
GŁOWA
KLATKA PIERSIOWA
PLECY I DOLNA CZĘŚĆ CIAŁA

Ilustracja 25

Pokarmem fizycznym jest H768, czyli la, sol, fa trzeciej kosmicznej oktawy promieniowania. Wodór ten pojawia się na niższym piętrze organizmu w postaci "tlenu", do 768.



Tlen 768 spotyka się z węglem 192, który znajduje się w organizmie. Z połączenia 0768 i C192 otrzymuje się N384. N384 jest następną nutą, re.



Początek trawienia pokarmu (H768) w organizmie.

Uwaga: Węgłe znajdujące się w organizmie oznaczone są:



Ilustracja 27

Re 384, które w następnej triadzie staje się tlenem, spotyka się w organizmie z węglem 96 i razem z nim produkuje nowy azot 192, który jest nutą mi 192.

Interwał $\frac{\text{do}}{\text{si}}$ Absolut

la
sol
fa

Interwał

mi
re

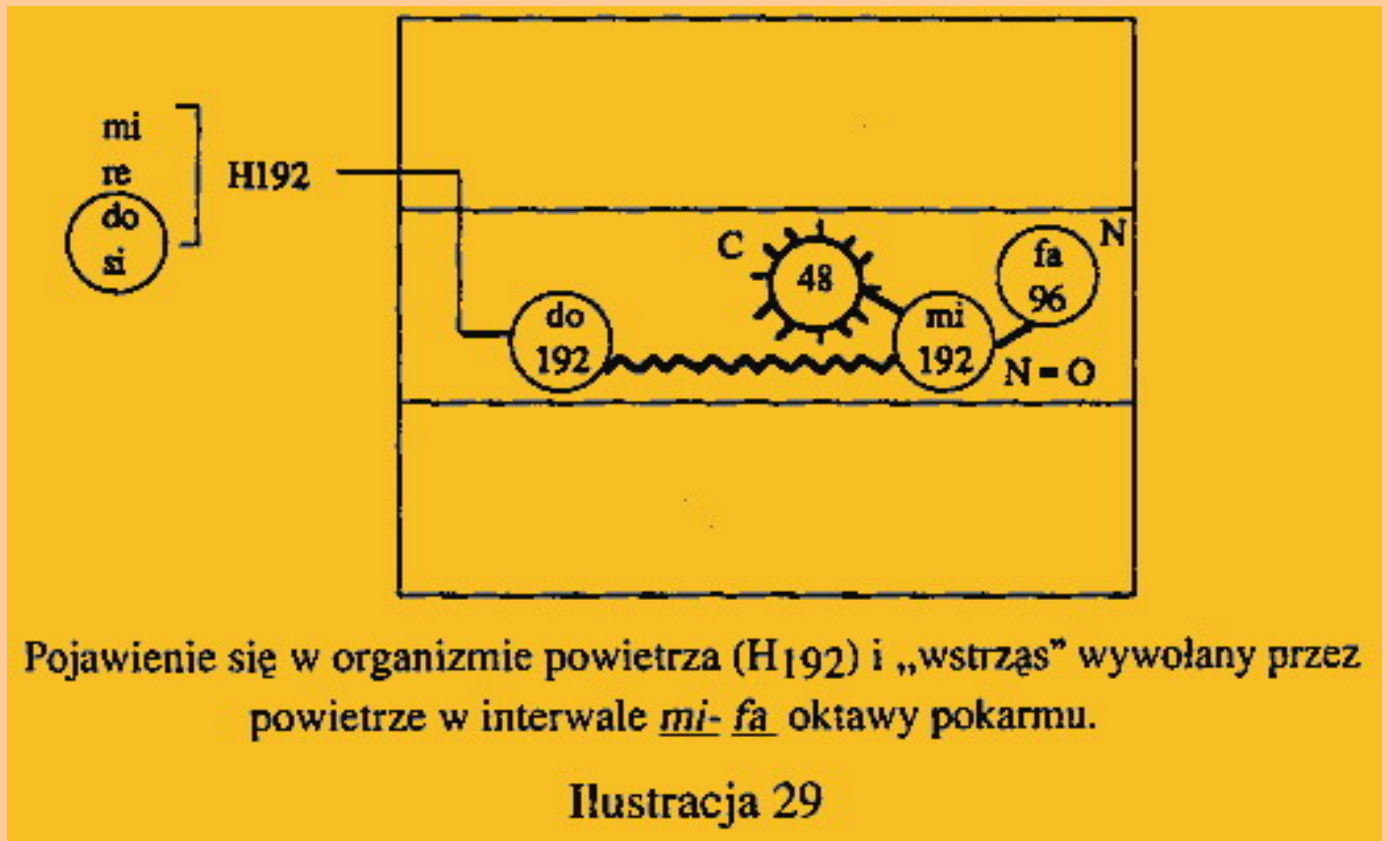
Interwał $\frac{\text{do}}{\text{si}}$ Stońce

la
sol
fa

Ilustracja 23

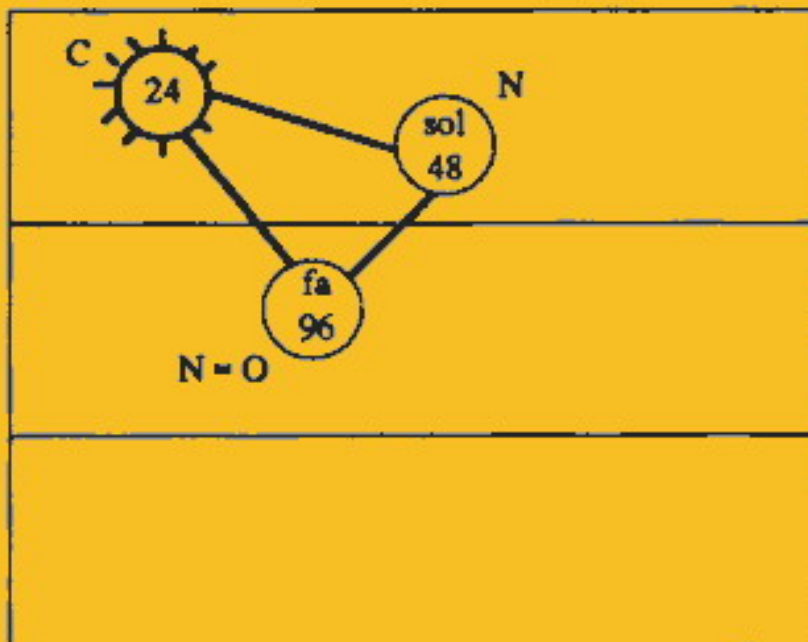
Jak wiadomo z prawa oktaw, mi w oktawie rosnącej nie może przejść niezależnie w fa; konieczny jest "dodatkowy wstrząs". Bez otrzymania "dodatkowego

wstrząsu", substancja mi 192 nie może sama z siebie przejść w pełną nutę fa.



W danym miejscu w organizmie, gdzie pozornie mi 192 powinno się zatrzymać, pojawia się drugi pokarm – powietrze – w postaci do 192, czyli mi, re, do, drugiej kosmicznej oktawy promieniowania. Nuta do zawiera wszystkie wymagane półtony, to znaczy energię konieczną do przejścia do następnej nuty, i oddaje ona jakby część swojej energii nucie, która ma taką samą jak ona gęstość. Energia do daje mi 192 – które jednocześnie łączy się ze znajdującym się w organizmie węglem 48 – dostateczną siłą do przejścia w azot 96. Azot 96 będzie nutą fa.

Fa 96, łącząc się z obecnym w organizmie węglem 24, przechodzi w azot 48 – nutę sol.

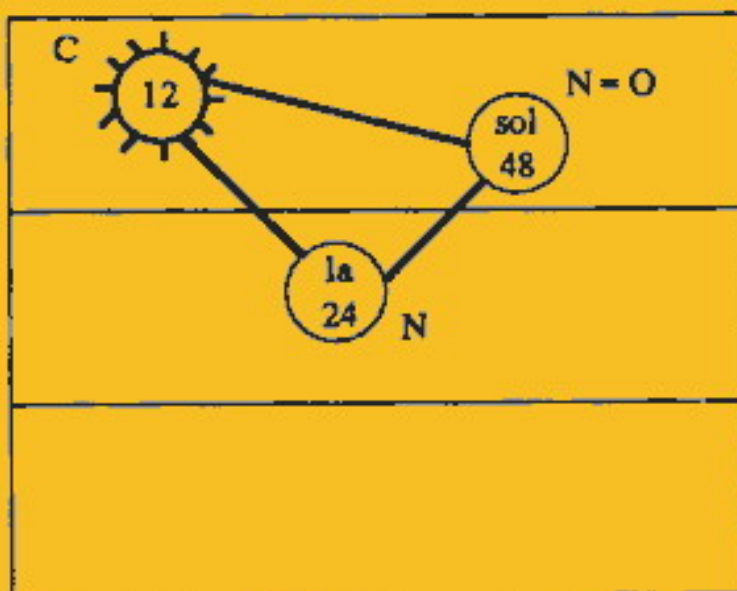


Dalszy ciąg oktawy pokarmu, przejście produktów pożywienia w sol 48.

Ilustracja 30

Nuta sol 48, przez połączenie się z obecnym w organizmie węglem 12, przechodzi w azot 24 – la 24.

La 24 łączy się z obecnym w organizmie węglem 6 i zostaje przekształcone w azot 12, czy też w si 12.

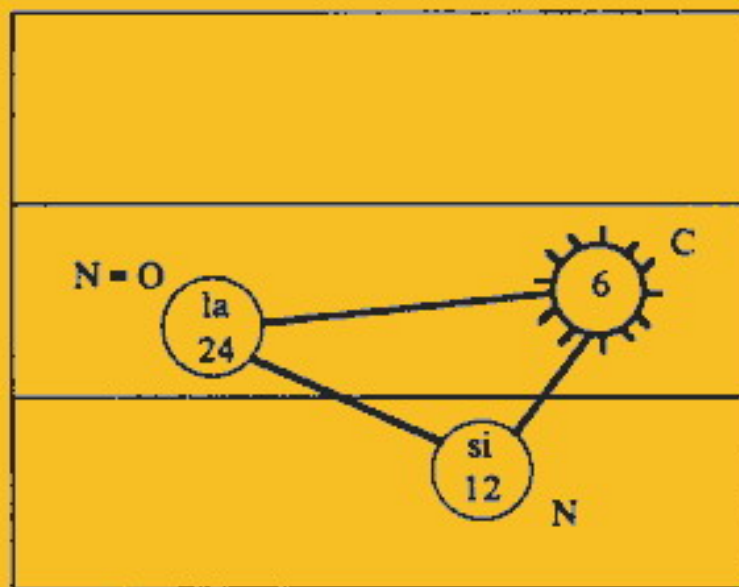


Dalszy ciąg oktawy pokarmu, przejście produktów pożywienia w la 24.

Ilustracja 31

Si 12 jest najwyższą substancją, która może być wyprodukowana w organizmie z

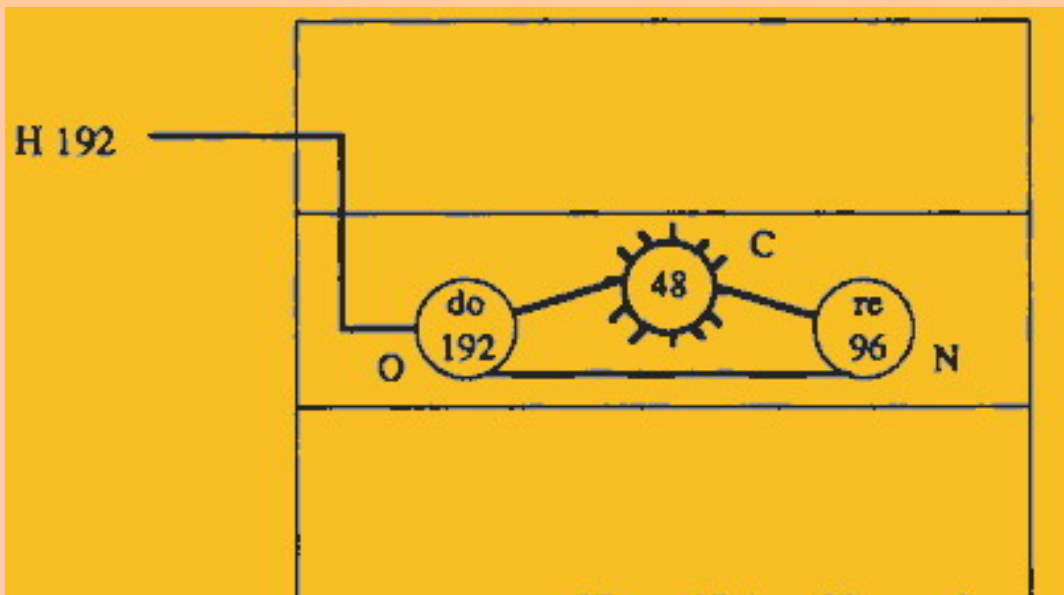
fizycznego pokarmu, z pomocą uzyskanego z powietrza "dodatkowego wstrząsu".



Dalszy ciąg oktawy pokarmu, przejście produktów pożywienia w si 12.

Ilustracja 32

Do 192 (powietrze), pojawiając się na środkowym piętrze fabryki w charakterze tlenu i oddając część swojej energii mi 192, łączy się z kolei w pewnym miejscu z obecnym w organizmie węglem 48 i przechodzi w re 96.

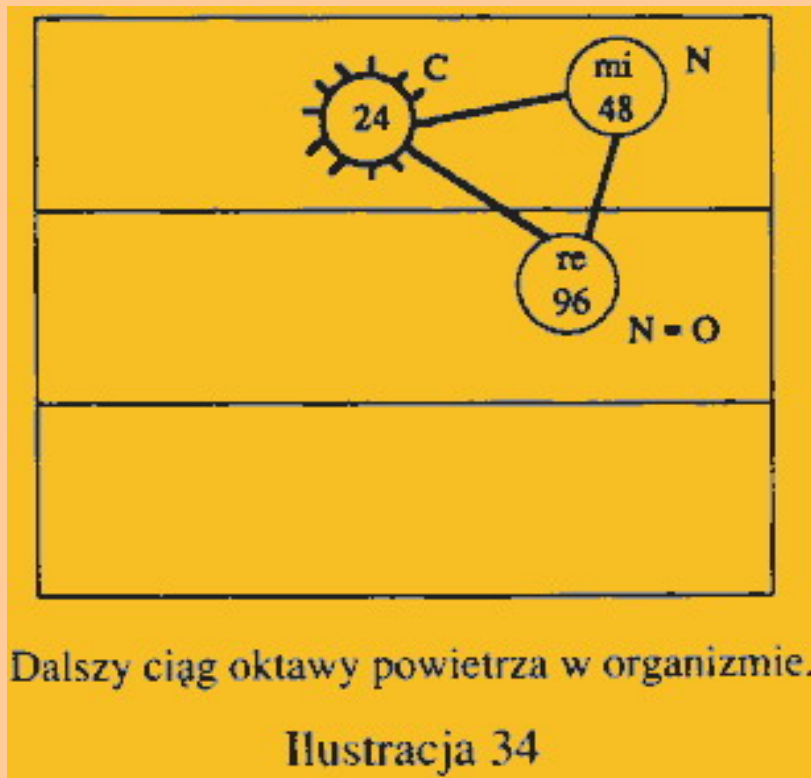


Początek trawienia powietrza w organizmie.

Ilustracja 33

Re 96 z pomocą węgla 24 przechodzi w mi 48 i na tym kończy się rozwój drugiej oktawy. Do przejścia mi w fa konieczny jest dodatkowy wstrząs, ale przyroda nie przygotowała w tym miejscu żadnego dodatkowego wstrząsu i druga oktawa, czyli oktawa powietrza, nie może dalej się rozwijać i w zwykłych warunkach życia dalej

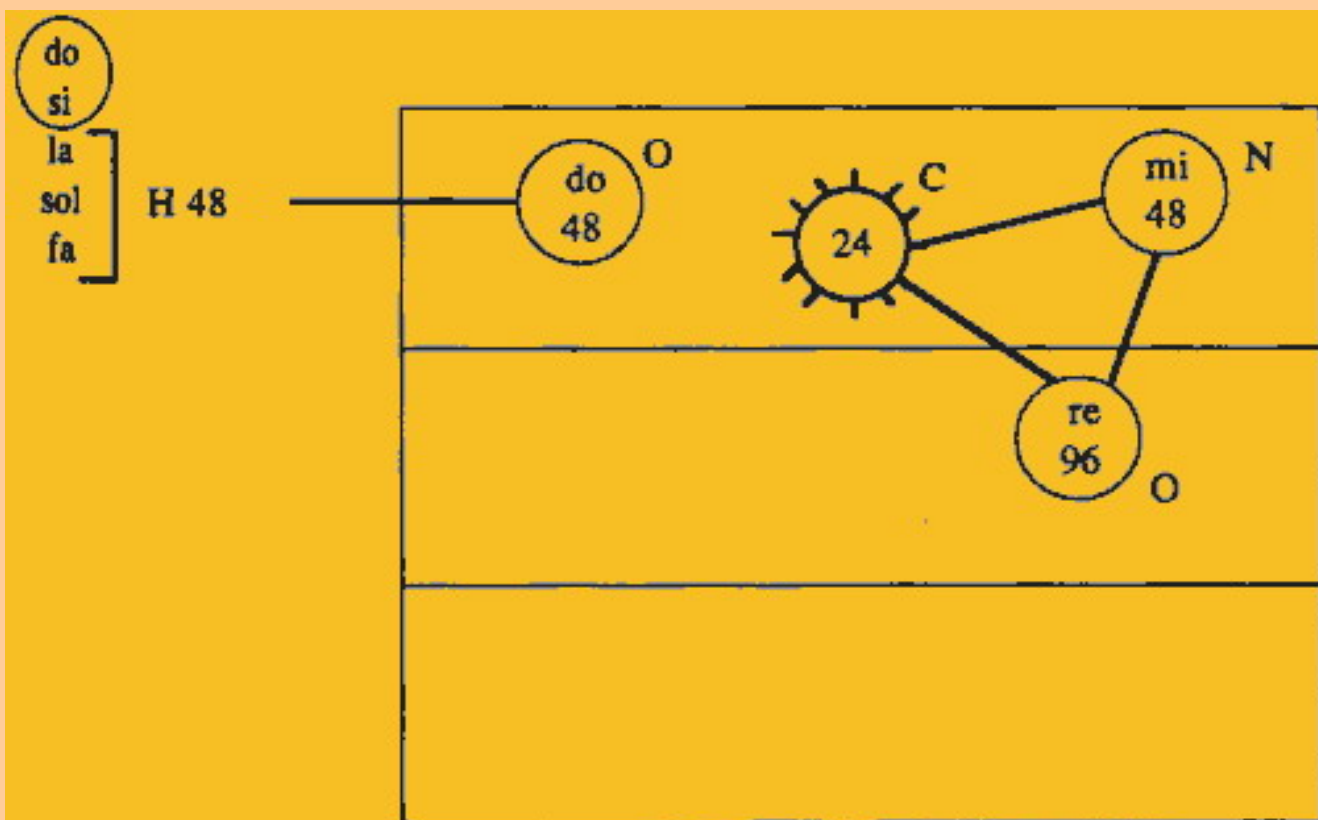
się nie rozwija.



Trzecia oktawa zaczyna się od do 48.

Wrażenia pojawiają się w organizmie w postaci tlenu 48, czyli la, sol, fa drugiej kosmicznej oktawy Słońce-Ziemia.

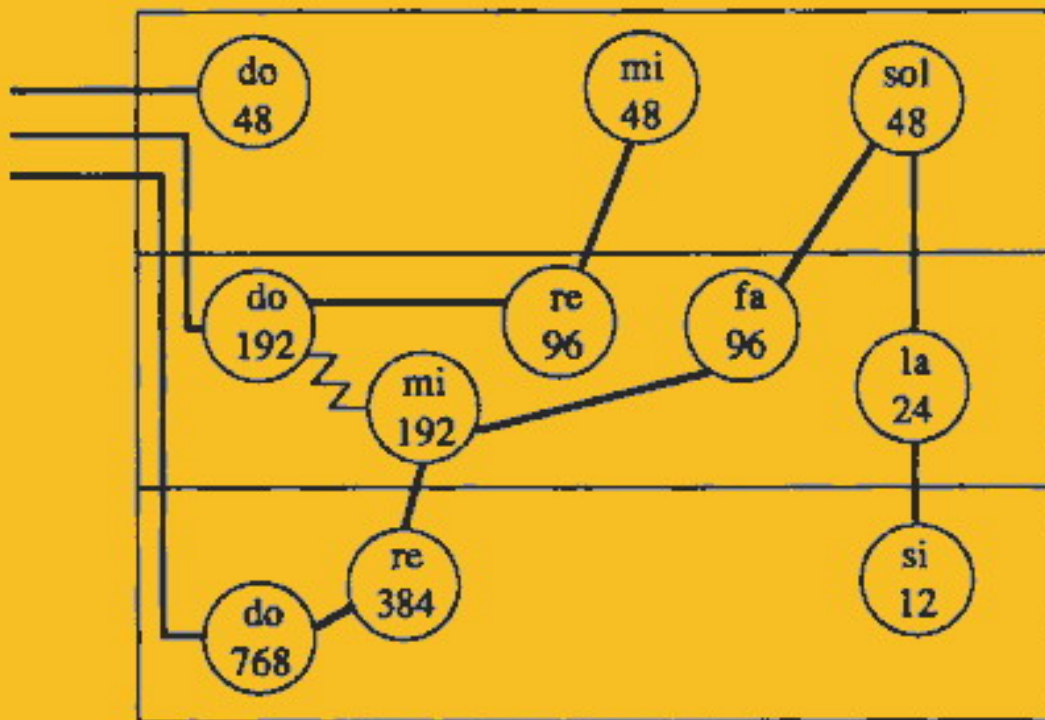
Do 48 ma wystarczającą energię do przejścia w kolejną nutę, ale w tym miejscu w organizmie, gdzie pojawia się do 48, konieczny do tego węgiel 12 jest nieobecny. Jednocześnie do 48 nie wchodzi w kontakt z mi 48, w związku z czym samo nie może przejść w wyższą nutę ani nie może oddać części swojej energii mi 48.



Pojawienie się w organizmie wrażeń.

Ilustracja 35

W normalnych warunkach; to znaczy w warunkach normalnej egzystencji, w tym punkcie fabryka przestaje produkować delikatne materie i trzecia oktawa brzmi tylko jako do. Najwyższą substancją produkowaną przez fabrykę jest si 12 i do swoich wyższych funkcji fabryka jest w stanie używać wyłącznie tej wyższej materii.



Trzy rodzaje pokarmu i trawienie w organizmie H_{768} i H_{192} z pomocą jednego *mechanicznego* wstrząsu. Normalny stan organizmu i normalna produkcja delikatniejszych substancji z produktów pożywienia.

Ilustracja 36

Istnieje jednak możliwość wzrostu wydajności, to znaczy umożliwienia oktawie powietrza i oktawie wrażeń dalszego rozwoju. W tym celu konieczne jest stworzenie specjalnego rodzaju "sztucznego wstrząsu" w miejscu, gdzie zatrzymał się początek trzeciej oktawy. Oznacza to, że "sztuczny wstrząs" musi zostać zastosowany przy *nucie do 48*.

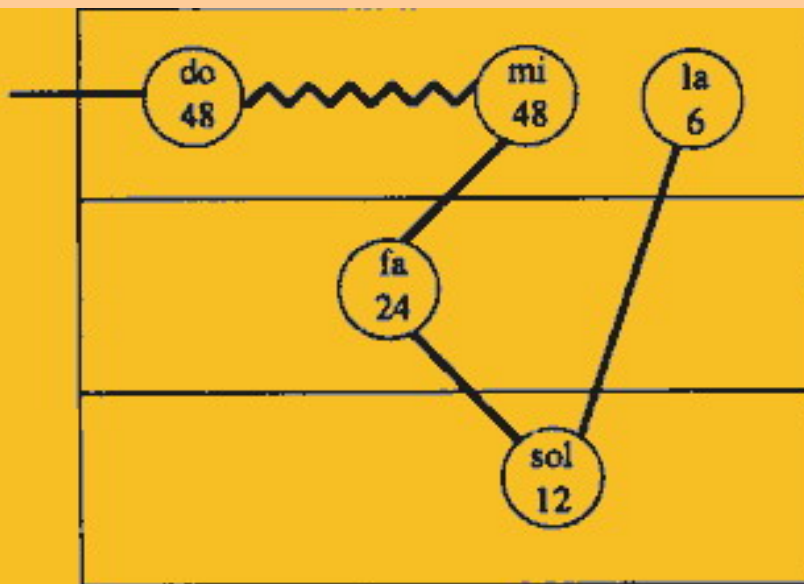
Ale co rozumiemy przez "sztuczny wstrząs"? Ma to związek z chwilą odbioru wrażenia. Nuta *do 48* oznacza chwilę, w której wrażenie pojawia się w naszej świadomości. Sztuczny wstrząs w tym miejscu oznacza pewnego rodzaju wysięk, zrobiony w chwili odbioru wrażenia.

Wcześniej zostało wyjaśnione, że w zwykłych warunkach życia nie pamiętamy samych siebie; *nie pamiętamy samych siebie*, to znaczy nie mamy doznania samych siebie, nie jesteśmy sobie świadomi w chwili postrzegania, emocji, myśli lub działania. Jeśli człowiek to rozumie i próbuje siebie samego pamiętać, to każde wrażenie, które odbiera, pamiętając samego siebie, będzie – jeśli można tak powiedzieć – podwojone. W zwykłym stanie psychicznym ja po prostu patrzę na ulicę. Ale jeśli "pamiętam samego siebie", to nie tylko patrzę na ulicę; ja czuję, że patrzę, tak jakbym mówił do samego siebie: "Ja patrzę". Zamiast jednego wrażenia ulicy mam dwa wrażenia: jedno ulicy, a drugie mnie samego patrzącego na nią. To drugie wrażenie – wywołane tym, że "pamiętam samego siebie" – jest

“dodatkowym wstrząsem”. Ponadto bardzo często się zdarza, że dodatkowe doznanie związane z “pamiętaniem siebie” niesie ze sobą element emocji, to znaczy, że praca maszyny przyciąga do danego miejsca pewną ilość węgla I2. Wysiłek pamiętania samego siebie, obserwacja samego siebie w chwili odbioru wrażenia, obserwacja własnych wrażeń w chwili ich odbioru, “rejestrowanie” jeśli można tak powiedzieć – odbioru wrażeń i równocześnie definiowanie odbieranych wrażeń, wszystko to razem podwaja intensywność wrażeń i przenosi do 48 do re 24. Jednocześnie wysiłek związany z przechodzeniem jednej nuty w drugą i samo przejście z do 48 do re 24 umożliwia do 48 z trzeciej oktawy wejście w kontakt z mi 48 drugiej oktawy i przekazanie tej nucie potrzebnej ilości energii, wymaganej do tego, aby doszło do przejścia mi w fa. W ten sposób wstrząs zadany do 48 przenosi się także na mi 48, co z kolei umożliwia rozwój drugiej oktawy.

Mi 48 przechodzi w fa 24; fa 24 przechodzi w sol I2; sol I2 przechodzi w la 6. La 6 jest najwyższej jakości materia, wytwarzaną przez organizm z powietrza, czyli z drugiego rodzaju pokarmu. *To jednakże uzyskuje się tylko dzięki podjęciu świadomego wysiłku w chwili odbioru wrażenia.*

Trzeba zrozumieć, co to oznacza. Wszyscy oddychamy tym samym powietrzem. Oprócz znanych naszej nauce pierwiastków powietrze zawiera olbrzymią liczbę substancji nie znanych nauce, których nie może ona zdefiniować i które nie są dostępne jej obserwacji. Ale dokładna analiza, zarówno powietrza wdychanego, jak i wydychanego, jest możliwa. Ta dokładna analiza pokazuje, że choć powietrze wdychane przez różnych ludzi jest dokładnie takie samo, to powietrze wydychane – całkiem odmienne. Przypuśćmy, że powietrze, którym oddychamy, składa się z dwudziestu różnych, nie znanych naszej nauce pierwiastków. Oddychając, każdy człowiek przyswaja pewną liczbę tych pierwiastków. Przypuśćmy, że spośród tych pierwiastków pięć jest zawsze przyswajanych. W konsekwencji powietrze wydychane przez każdego człowieka składa się z piętnastu pierwiastków; pięć spośród nich zostało zużytych na karmienie organizmu. Jednakże niektórzy ludzie wydychają nie piętnaście, lecz tylko dziesięć pierwiastków, to znaczy, że przyswajają jeszcze pięć innych pierwiastków. Tymi pięcioma pierwiastkami są wyższe wodory. Te wyższe wodory znajdują się w każdej czystce wdychanego przez nas powietrza. Wdychając powietrze wprowadzamy w siebie te wyższe wodory, ale jeśli nasz organizm nie wie, jak je wydobyć z cząsteczek powietrza i jak je zatrzymać, to są one z powrotem wydychane w powietrze. Jeśli organizm jest w stanie wydobyć je i zatrzymać, to one w nim pozostaną. W ten sposób wszyscy oddychamy tym samym powietrzem, ale pobieramy z niego różne substancje. Niektórzy pobierają więcej, inni mniej.



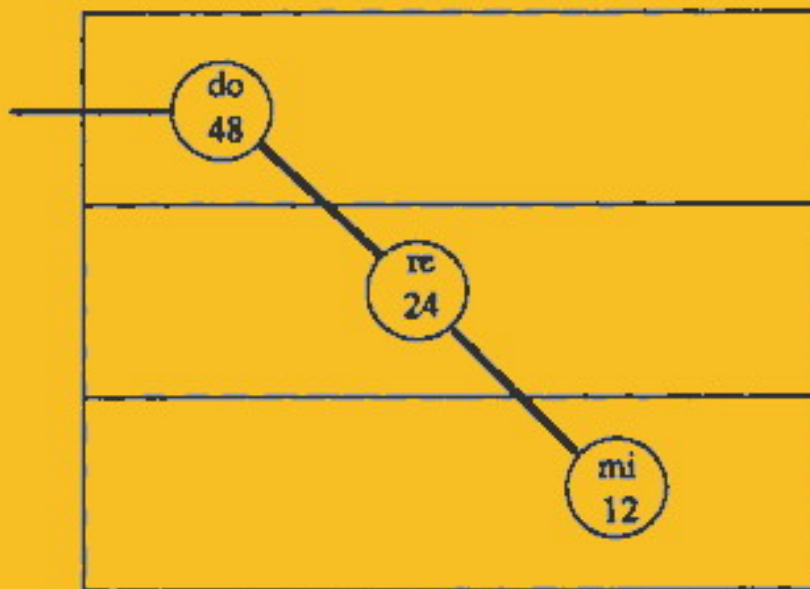
Rozwój oktawy powietrza po pierwszym świadomym wstrząsie.

Ilustracja 37

Po to, by pobierać więcej, powinniśmy już mieć w naszym organizmie pewną ilość odpowiednich delikatnych substancji. Wtedy to zawarte w organizmie delikatne substancje działają jak *magnes* na delikatne substancje zawarte we wdychanym przez nas powietrzu. Tak więc znowu powracamy do starego alchemicznego prawa: "Aby otrzymać złoto, trzeba najpierw posiadać pewną ilość prawdziwego złota. Jeśli nie posiada się złota, to w żaden sposób nie da się go otrzymać".

Cała alchemia nie jest niczym innym, jak tylko alegorycznym opisem ludzkiej fabryki i jej pracy przetwarzania metali nieszlachetnych (substancji grubych) w szlachetne (substancje delikatne).

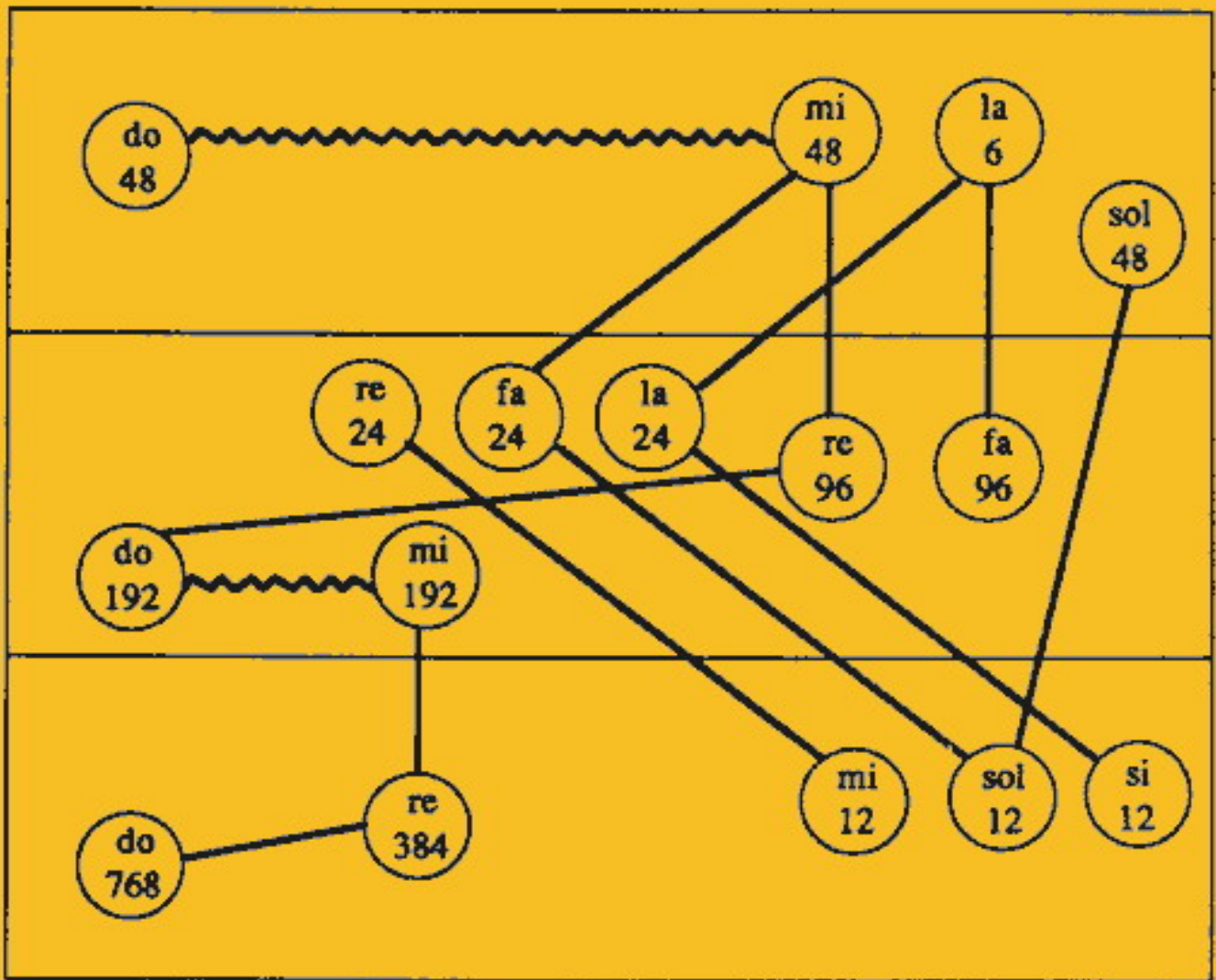
Prześledziliśmy rozwój dwóch oktaw. Trzecia oktawa, czyli oktawa wrażeń, zaczyna się od *świadomego* wysiłku. Do 48 przechodzi w re 24; re 24 przechodzi w mi 12. W tym punkcie rozwój oktawy zatrzymuje się.



Rozwój oktawy wrażeń po pierwszym *świadomym* wstrząsie.

Ilustracja 38

Jeśli prześledzimy teraz wynik rozwoju tych trzech oktaw, to zobaczymy, że pierwsza oktawa osiągnęła si 12, druga la 6, a trzecia mi 12. Tak więc pierwsza i trzecia oktawa zatrzymują się na nutach, które nie są w stanie przejść w kolejne nuty.



Pełny obraz intensywnej pracy organizmu i intensywnej produkcji substancji produktów pożywienia - po pierwszym świadomym wstrząsie.

Ilustracja 39

Do dalszego rozwoju tych dwóch oktaw potrzebny jest w pewnym punkcie maszyny drugi świadomy wstrząs, nowy świadomy wysiłek, który to właśnie umożliwi dwu oktawom ich dalszy rozwój. Natura tego wysiłku wymaga specjalnego zbadania. Z punktu widzenia ogólnej pracy maszyny, generalnie można powiedzieć, że wysiłek ten związany jest z życiem emocjonalnym, że jest to specjalny rodzaj oddziaływania na własne emocje. Ale czym naprawdę jest ten rodzaj oddziaływania i w jaki sposób należy go wyprodukować, da się wytłumaczyć tylko w związku z ogólnym opisem pracy fabryki czy też ludzkiej maszyny.

Praktyka niewyrażania nieprzyjemnych emocji, nie utożsamiania się, nie zważania wewnątrznie, jest przygotowaniem do drugiego wysiłku.

Jeśli potraktujemy teraz w całości pracę ludzkiej fabryki, to w chwilach kiedy

zatrzymuje się produkcja delikatniejszych substancji, powinniśmy być w stanie dostrzec, za pomocą jakich środków możemy zwiększyć wydajność fabryki. Widzimy, że w zwykłych warunkach, pracując z jednym mechanicznym wstrząsem, fabryka wytwarza bardzo małą ilość delikatnych substancji, w rzeczywistości tylko si 12. Pracując z jednym mechanicznym i jednym świadomym wstrząsem, fabryka produkuje już znacznie większą ilość delikatnych substancji. Pracując z dwoma świadomymi wstrząsami, fabryka będzie wytwarzała taką ilość delikatnych substancji, która z czasem całkowicie zmieni charakter samej fabryki.

Trzypiętrowa fabryka przedstawia w miniaturze wszechświat i jest zbudowana zgodnie z tymi samymi prawami i według tego samego planu co cały wszechświat.

Aby zrozumieć analogię między człowiekiem, ludzkim organizmem i wszechświatem, wyobraźmy sobie – jak to zrobiliśmy przedtem – świat w postaci trzech oktaw biegnących od Absolutu do Słońca, od Słońca do Ziemi, i od Ziemi do Księżyca. Każdej z tych oktaw między fa i mi brakuje półtonu i w każdej oktawie miejsce tego brakującego półtonu zajmuje pewnego rodzaju wstrząs, sztucznie w danym momencie stworzony. Jeśli zaczniemy teraz szukać analogii między trzypiętrową fabryką i trzema oktawami wszechświata, to powinniśmy zdać sobie sprawę, że trzy "dodatkowe wstrząsy" w trzech oktawach wszechświata odpowiadają trzem rodzajom pokarmu, pojawiającym się w ludzkim organizmie. Wstrząs w niższej oktawie odpowiada pokarmowi fizycznemu; owym wstrząsem jest do 768 trzypiętrowej kosmicznej fabryki. Wstrząs w środkowej oktawie odpowiada powietrzu: jest to do 192 kosmicznej fabryki. Wstrząs w górnej oktawie odpowiada wrażeniom: jest to do 48 kosmicznej fabryki. W wewnętrznej pracy tej trzypiętrowej kosmicznej fabryki wszystkie trzy rodzaje pokarmu przekształcają się tak samo jak w ludzkiej fabryce – według tego samego planu i zgodnie z tymi samymi prawami. Dalsze poznawanie analogii pomiędzy człowiekiem i wszechświatem możliwe jest tylko po dokładnym zbadaniu ludzkiej maszyny i po tym, gdy odpowiednie "miejsca" każdego z wodorów zostały już dokładnie ustalone w naszym organizmie. Oznacza to, że musimy odkryć dokładny cel istnienia każdego z wodorów, czyli każdy wodór musi zostać zdefiniowany chemicznie, psychologicznie, fizjologicznie i anatomicznie; innymi słowy, muszą zostać określone jego funkcje, jego miejsce w ludzkim organizmie i, jeśli to możliwe, związane z nim doznania.

Poznawanie pracy ludzkiego organizmu jako fabryki wskazuje nam trzy etapy w ewolucji ludzkiej maszyny.

Pierwszy etap odnosi się do pracy organizmu ludzkiego takiego, jakim stworzyła go przyroda – to znaczy do życia i funkcji człowieka nr 1, 2 i 3. Pierwsza oktawa, to jest oktawa pokarmu, rozwija się normalny sposób do mi 192. Po dojściu do tego punktu otrzymuje ona automatycznie wstrząs w momencie rozpoczęcia się drugiej oktawy i jej rozwój przebiega nieprzerwanie aż do si 12. Druga oktawa, czyli oktawa powietrza, zaczyna się od do 192 i rozwija się do mi 48, na którym

się zatrzymuje. Trzecia oktawa, czyli oktawa wrażeń, zaczyna się od do 48 i tam też się zatrzymuje. Tak więc siedem nut pierwszej oktawy, trzy nuty drugiej i jedna nuta trzeciej, przedstawiają pełny obraz pracy "ludzkiej fabryki", w jej pierwszym czy też naturalnym stadium. Przyroda dostarczyła nam tylko jednego "wstrząsu", który otrzymywany jest momencie pojawienia się drugiej oktawy i który pomaga mi pierwszej oktawy w przejściu w fa. Ale przyroda nie przewidziała i nie zapewniła drugiego "wstrząsu", to znaczy "wstrząsu", który pomógłby w rozwoju trzeciej oktawy, a zatem umożliwiłby mi z drugiej oktawy przejście w fa. Jeśli człowiek pragnie zwiększyć produkcję delikatnych wodorów w swoim organizmie, to musi stworzyć ten "wstrząs" za pomocą własnych, osobistych wysiłków.

Drugi etap odnosi się do pracy ludzkiego organizmu, kiedy to człowiek stwarza świadomy, wolicjonalny "wstrząs" w punkcie do 48. Najpierw ten wolicjonalny "wstrząs" przekazywany jest do drugiej oktawy, która rozwija się aż do sol 12 lub – jeśli praca organizmu jest dostatecznie intensywna – nawet do la 6, i jeszcze dalej. Ten sam wstrząs umożliwia także rozwój trzeciej oktawie, czyli oktawie wrażeń, która w tym wypadku osiąga mi 12. Żadna z tych oktaw nie może rozwijać się dalej bez otrzymania nowego "wstrząsu". Nie da się natury tego drugiego "wstrząsu" tak łatwo opisać, jak natury pierwszego wolicjonalnego "wstrząsu" w do 48. Aby móc zrozumieć naturę tego "wstrząsu", konieczne jest zrozumienie znaczenia si 12 i mi 12.

Wysiłek, który wytwarza ten "wstrząs", musi polegać na pracy nad emocjami, na przekształcaniu i transmutacji emocji. Ta transmutacja emocji pomoże z kolei transmutacji si 12 w ludzkim organizmie. Bez tej transmutacji nie jest możliwy żaden poważny wzrost, to znaczy żaden wzrost wyższych ciał w organizmie. Idea tej transmutacji znana była wielu starożytnym, jak i stosunkowo nowszym naukom, takim jak na przykład średniowieczna alchemia. Przy czym alchemicy wyrażali się o tej transmutacji w alegorycznych formach, dotyczących przekształcenia metali nieszlachetnych w szlachetne. W rzeczywistości jednakże mieli oni na myśli przekształcenie w ludzkim organizmie wodorów grubych w wodory delikatniejsze, to jest głównie przekształcenie mi 12. O człowieku, który jest w stanie dokonać takiego przekształcenia, można powiedzieć, że osiągnął to, do czego dążył; jednocześnie można też powiedzieć, że dopóki to przekształcenie nie jest możliwe, wszystkie osiągnięte przez człowieka wyniki mogą zostać utracone, ponieważ nie zostaje one w nim w żaden sposób utrwalone; ponadto uzyskuje się je tylko w sferach myśli i emocji. Rzeczywiste, obiektywne wyniki można osiągnąć dopiero po rozpoczęciu transmutacji mi 12.

Alchemicy, którzy mówili o tej transmutacji, bezpośrednio od niej zaczęli. Nie wiedzieli oni nic – albo przynajmniej nic nie mówili – o naturze pierwszego wolicjonalnego "wstrząsu". A jednak to właśnie od niego wszystko zależy. Drugi wolicjonalny "wstrząs" i transmutacja stają się fizycznie możliwe dopiero po długiej praktyce z pierwszym wolicjonalnym "wstrząsem", polegającej na "pamiętaniu siebie" "obserwowaniu odbieranych wrażeń". Na drodze mnicha i na drodze fakira

praca nad drugim "wstrząsem" rozpoczyna się przed pracą nad pierwszym "wstrząsem"; ponieważ jednak mi 12 powstaje tylko w wyniku pierwszego wstrząsu, więc praca ta – z powodu braku innego materiału – musi koncentrować się na si 12 i dość często przynosi ona złe rezultaty. Na czwartej drodze właściwy rozwój musi zaczynać się pierwszego wolicjonalnego "wstrząsu" i następnie przejść do drugiego "wstrząsu" w punkcie mi 12.

Trzeci etap pracy ludzkiego organizmu zaczyna się wówczas, gdy człowiek w punkcie mi 12 stwarza w sobie drugi świadomy, wolicjonalny "wstrząs" i kiedy rozpoczyna się w nim przekształcanie oraz transmutacja tych wodorów w wyższe wodory. Drugi etap i początek trzeciego etapu dotyczy życia i funkcji człowieka nr 4. Aby dokonało się przejście człowieka nr 4 na poziom człowieka nr 5, potrzebny jest bardzo długi okres transmutacji i krystalizacji.

Dostateczne zrozumienie "Tablicy Wodorów" natychmiast wskazuje na wiele nowych cech pracy ludzkiej maszyny i pozwala przede wszystkim ustalić przyczyny różnic pomiędzy centrami i związanymi z nimi funkcjami.

Centra maszyny ludzkiej pracują z różnymi wodorami. To stanowi o ich głównych różnicach. Centrum pracujące z grubszym, cięższym, gęstszym wodorem pracuje wolniej. Centrum pracujące z lekkim, bardziej ruchliwym wodorem pracuje szybciej.

Spośród zbadanych przez nas do tej pory centrów centrum myślowe, czy też intelektualne, jest najwolniejsze. Pracuje ono za pomocą wodoru 48 (zgodnie z trzecią skalą "Tablicy Wodorów").

Centrum ruchowe pracuje za pomocą wodoru 24. Wodór 24 jest wielokrotnie szybszy i bardziej ruchliwy niż wodór 48. Centrum intelektualne nigdy nie jest w stanie nadążyć za pracą centrum ruchowego. Nie jesteśmy w stanie śledzić własnych ruchów ani ruchów innych ludzi, jeśli nie są one sztucznie zwolnione. W jeszcze mniejszym stopniu jesteśmy w stanie śledzić wewnętrzną pracę naszego organizmu: jego funkcje instynktowe, pracę instynktowego umysłu, który stanowi jakby jeden aspekt centrum ruchowego.

Centrum emocjonalne może pracować za pomocą wodoru 12. Jednakże w rzeczywistości bardzo rzadko pracuje ono z tak delikatnym wodorem i przeważnie jego praca intensywnością i szybkością bardzo niewiele różni się od pracy centrum ruchowego czy centrum instynktowego.

Aby zrozumieć pracę maszyny ludzkiej i jej możliwości, trzeba wiedzieć, że oprócz tych trzech, a także innych związanych z nimi centrów, mamy jeszcze dwa w pełni rozwinięte i właściwie działające centra, które nie są jednak związane z naszym zwykłym życiem ani z trzema centrami, w których jesteśmy sami siebie świadomi.

Istnienie w nas tych wyższych centrów stanowi większą zagadkę niż ów ukryty skarb, którego ludzie wierzący w istnienie tajemniczego i cudownego szukali od najdawniejszych czasów.

Wszystkie mistyczne i okultystyczne systemy uznają, że w człowieku istnieją wyższe siły i zdolności – choć w wielu wypadkach dopuszcza się myśl, że siły te istnieją tylko w postaci możliwości – i mówi się o konieczności *rozwijania* w człowieku tych ukrytych sił. Niniejsze nauczanie różni się od wielu innych tym, że twierdzi ono, iż w człowieku istnieją wyższe centra i że są one w pełni rozwinięte.

To niższe centra są nierozwinięte. I to właśnie ten niedostateczny rozwój czy też niepełne funkcjonowanie niższych centrów uniemożliwia nam korzystanie z pracy wyższych centrów.

Jak wcześniej powiedziano, istnieją dwa wyższe centra:

- wyższe centrum emocjonalne, pracujące za pomocą wodoru 12
- wyższe centrum myślowe, pracujące za pomocą wodoru 6.

Jeśli spojrzymy na pracę ludzkiej maszyny z punktu widzenia kierujących pracą centrów wodorów, to zobaczymy, dlaczego wyższe centra nie mogą być połączone z niższymi.

Centrum intelektualne pracuje za pomocą wodoru 48; centrum ruchowe we za pomocą wodoru 24.

Gdyby centrum emocjonalne pracowało za pomocą wodoru 12, jego praca byłaby związana z pracą wyższego centrum emocjonalnego. W tych wypadkach, gdzie praca centrum emocjonalnego osiąga intensywność i predkość przeżywania nadaną przez wodór 12, zachodzi tymczasowe połączenie się z wyższym centrum emocjonalnym i człowiek doświadcza wtedy nowych emocji, nowych wrażeń, do tej pory zupełnie mu nie znanych i do opisania których brakuje mu słów i wyrażen. Ale w zwykłych warunkach różnica pomiędzy predkością naszych zwyczajnych emocji i predkością wyższego centrum emocjonalnego jest tak wielka, że żadne połączenie nie może mieć miejsca i nie udaje nam się słyszeć głosów, które mówią do nas *i przywołują nas* z wyższego centrum emocjonalnego.

Wyższe centrum myślowe, pracujące za pomocą wodoru 6, jest jeszcze bardziej od nas oddalone, jeszcze mniej dostępne. Kontakt z nim możliwy jest tylko poprzez wyższe centrum emocjonalne. Przypadki takich kontaktów znamy jedynie z opisów doświadczeń mistycznych, stanów ekstatycznych, itd. Takie stany mogą pojawiać się w związku z emocjami religijnymi lub też – na krótko – po zażyciu specjalnych narkotyków, jak również w niektórych stanach patologicznych, takich jak ataki epilepsji lub przypadkowe traumatyczne uszkodzenie mózgu – i w takim wypadku trudno jest powiedzieć, co jest przyczyną, a co skutkiem, to znaczy, czy patologiczny stan jest wynikiem wspomnianego kontaktu, czy też jego przyczyną.

Gdybyśmy z własnej woli i na własne życzenie mogli połączyć centra naszej zwykłej świadomości z wyższym centrum myślowym, to i tak w naszym obecnym stanie na nic by się nam to nie zdało. W większości wypadków, kiedy ma miejsce przypadkowy kontakt z wyższym centrum myślowym, człowiek traci przytomność. Umysł odmawia przyjęcia napływu myśli, emocji, obrazów i idei, które nagle na

niego nacierają. I zamiast żywej myśli, czy też żywej emocji, pojawia się coś przeciwnego – zupełna pustka i stan nieświadomości. W pamięci utrwala się tylko pierwsza chwila, gdy ten napływ jakby wtargnął do umysłu, i chwila ostatnia, kiedy to zaczął on opadać i powróciła świadomość. Ale nawet te chwile są tak pełne niezwykłych odcieni i kolorów, że nie da się ich przyrównać do niczego spośród potocznych doznań życia. To z reguły wszystko, co pozostaje z tak zwanych “mistycznych” i “ekstazy” doświadczeń, które odzwierciedlają chwilowe połączenie się z wyższym centrum. Bardzo rzadko się zdarza, że lepiej przygotowany umysł potrafi uchwycić i zapamiętać coś z tego, co się rozumiało i czuło w chwili ekstazy. Ale nawet w takich wypadkach centra myślowe, ruchowe i emocjonalne pamiętają i przekazują wszystko na swój własny sposób, tłumacząc na język zwykłych, codziennych doznań zupełnie nowe i nigdy przedtem nie doświadczane doznania; redukują one do form trójwymiarowego świata rzeczy, które całkowicie wykraczają poza granice naszych potocznych miar; w ten sposób oczywiście całkowicie wypaczają one wszystkie pozostałe w pamięci ślady owych niezwykłych doświadczeń. Nasze zwykłe centra, przekazujące wrażenia pochodzące z wyższych centrów, można porównać do ślepcy mówiącego o kolorach lub do człowieka głuchego mówiącego o muzyce.

Aby uzyskać właściwe i trwałe połączenie pomiędzy niższymi i wyższymi centrami, trzeba wyregulować i przyspieszyć pracę niższych centrów.

Ponadto, jak zostało to wcześniej powiedziane, niższe centra pracują źle, gdyż zamiast spełniać właściwe im funkcje, to jedno czy drugie z nich wyręcza w pracy inne centra. W znacznym stopniu obniża to prędkość ogólnej pracy maszyny i sprawia, że bardzo trudno jest przyspieszyć pracę centrów. Gdy więc chodzi o to, by wyregulować i przyspieszyć pracę niższych centrów, celem powinno stać się uwolnienie każdego centrum od obcej mu i nienaturalnej dla niego pracy oraz ukierunkowanie go z powrotem ku jego własnej pracy, którą może wykonywać ono lepiej niż jakiegokolwiek inne centrum.

Olbrzymia ilość energii zużywana jest na zupełnie niepotrzebną i pod każdym względem szkodliwą pracę, taką jak działanie nieprzyjemnych emocji, wyrażanie nieprzyjemnych doznań, martwienie, niepokojenie się, pośpiech i całą serię całkiem zbytecznych, automatycznych działań. Nietrudno jest znaleźć przykłady takiej niepotrzebnej aktywności. Przede wszystkim chodzi tu o nieustannie przepływający przez nasz umysł potok myśli, którego nie możemy ani zatrzymać, ani kontrolować, a który pochłania olbrzymią ilość naszej energii. Następnie chodzi o zupełnie zbyteczne, nieustanne napinanie *mięśni* w naszym organizmie. Nasze mięśnie napięte są nawet wówczas, gdy nic nie robimy. Nawet gdy zabieramy się tylko do małej i błahej pracy, zostaje wprowadzony ruch cały system mięśni potrzebny do najtrudniejszej i najbardziej wyczerpującej pracy. Podnosząc igłę z podłogi, zużywamy na to tyle energii, ile potrzeba do podniesienia człowieka o naszej wadze. Piszemy krótki list i zużywamy przy tym tyle mięśniowej energii, że wystarczyłaby ona do napisania grubego tomu. Ale

najważniejszą sprawą jest to, że zużywamy energię mięśniową nieustannie i przez cały czas, nawet wtedy, gdy nic nie robimy. Gdy chodzimy, mięśnie naszych ramion i rąk są niepotrzebnie napięte; kiedy siedzimy, mięśnie naszych nóg, szyi, pleców i brzucha są tak samo niepotrzebnie napięte. Nawet śpimy z napiętymi mięśniami naszych rąk, naszych nóg, naszej twarzy, całego naszego ciała i nie zdajemy sobie sprawy, że na tę ciągłą gotowość do pracy, której nigdy nie wykonamy, zużywamy więcej energii niż na całą rzeczywistą i przydatną pracę, którą wykonujemy w czasie naszego życia.

Następnie możemy wskazać na nawyk nieustannego rozmawiania z kimkolwiek i o czymkolwiek, a gdy nie ma z kim, to z samymi sobą; na nawyk pobłażania sobie w fantazjowaniu, w śnieniu na jawie; na nieustanną zmianę nastrojów, uczuć, emocji i mnóstwo całkiem bezużytecznych rzeczy, o których człowiek uważa, że zobowiązany jest je czuć, robić, o nich myśleć i mówić.

Aby wyregulować i zrównoważyć pracę trzech centrów, których funkcje składają się na nasze życie, trzeba nauczyć się gospodarować wyprodukowaną przez nasz organizm energią i nie marnować jej na niepotrzebne funkcjonowanie, ale oszczędzać na taką działalność, która stopniowo połączy niższe centra z wyższymi.

Wszystko to, co zostało wcześniej powiedziane o pracy nad samym sobą, o formowaniu wewnętrznej jedności i o przechodzeniu z poziomu człowieka nr 1, nr 2 i nr 3 na poziom człowieka nr 4 i dalej, zmierza do jednego i tego samego celu. To, co według jednej terminologii nazywane jest "ciałem astralnym", w innej terminologii nazywa się "wyższym centrum emocjonalnym" (choć w tym wypadku różnica polega nie tylko na samej terminologii). Są to, mówiąc dokładniej, różne aspekty następnego etapu ewolucji człowieka. Można powiedzieć, że "ciało astralne" jest konieczne do pełnego i właściwego funkcjonowania "wyższego centrum emocjonalnego" w zgodzie z niższym centrum. Lub można też powiedzieć, że "wyższe centrum emocjonalne" jest konieczne do pracy "ciała astralnego".

"Ciało umysłowe" odpowiada "wyższemu centrum myślowemu". Błędem byłoby powiedzenie, iż są one jednym i tym samym. Ale każde z nich potrzebuje drugiego i nie może bez niego istnieć; jedno wyraża pewne aspekty i funkcje tego drugiego.

"Czwarte ciało" wymaga pełnej i harmonijnej pracy wszystkich centrów; i zakłada ono, lub też wyraża, całkowitą kontrolę nad tą pracą.

To, co trzeba zrozumieć (w uchwyceniu tego pomaga nam "Tablica Wodorów"), to ideę całkowitej materialności wszystkich naszych psychicznych, intelektualnych, emocjonalnych, wolicjonalnych i innych wewnętrznych procesów, włączając w to najbardziej podniosłe poetyckie natchnienia, religijne ekstazy i mistyczne objawienia.

Materialność procesów oznacza ich uzależnienie od jakości użytego do nich

materiału lub substancji. Jeden proces wymaga zużycia, to znaczy jakby spalania wodoru 48; innego procesu nie można uzyskać z pomocą wodoru 48; wymaga on bardziej delikatnej, *bardziej łatwopalnej* substancji – wodoru 24. Do trzeciego procesu wodor 24 jest za słaby; ten proces wymaga wodoru 12.

Widzimy zatem, że nasz organizm ma dla różnych centrów różnego rodzaju paliwo. Można porównać te centra do maszyn pracujących na paliwie różnej jakości. Jedna maszyna może pracować na osadach ropy lub na samej ropie naftowej. Inna wymaga nafty; trzecia nie będzie pracowała na nafcie, wymaga za to benzyny. Delikatne substancje naszego organizmu można przyrównać do substancji o różnych temperaturach zapłonu; natomiast sam organizm może być przyrównany do laboratorium, w którym z różnego rodzaju surowców przygotowuje się materiały łatwopalne o różnej mocy, potrzebne różnym centrom. Niestety coś jest nie w porządku z tym laboratorium. Siły sprawujące kontrolę nad dystrybucją materiałów łatwopalnych między różne centra często popełniają błędy i w wyniku tego centra otrzymują albo za słabe, albo zbyt łatwopalne paliwo. Ponadto olbrzymia ilość wyprodukowanych środków łatwopalnych jest zużywana całkiem bezproduktywnie; one po prostu wyciekają – zostają utracone. Oprócz tego w laboratorium często zdarzają się eksplozje, które w jednym wybuchu niszczą całe przygotowane na następny dzień – a możliwe, że nawet na dłuższy okres – paliwo i które potrafią spowodować nienaprawialne szkody w całej fabryce.

Trzeba zauważyć, że w ciągu jednego dnia organizm zazwyczaj produkuje wszystkie substancje potrzebne na dzień następny. I bardzo często się zdarza, że wszystkie te substancje są spalane i zużywane na jakąś niepotrzebną i przeważnie nieprzyjemną emocję. Złe nastroje, martwienie się, oczekiwanie czegoś nieprzyjemnego, wątpliwości, strach, uczucie pokrzywdzenia, drażliwość – każda z tych emocji, osiągając pewien stopień nasilenia, może w ciągu pół godziny lub nawet pół minuty zużyć wszystkie przygotowane na następny dzień substancje; co więcej, jeden błysk złości lub jakaś inna gwałtowna emocja może spowodować wybuch wszystkich przygotowanych w laboratorium substancji, pozostawiając człowieka na długi czas lub nawet na zawsze pustym.

Wszystkie procesy psychiczne są materialne. Nie istnieje żaden proces, który nie wymagałby zużycia pewnej odpowiedniej substancji. Jeśli substancja ta jest obecna, to proces toczy się dalej. Gdy substancja zostanie wyczerpana, proces zatrzymuje się.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Pewnego razu odbyła się rozmowa z dużą liczbą ludzi, którzy nigdy przedtem nie uczestniczyli w naszych spotkaniach. Jeden z nich zapytał; "Od czego zaczyna się droga?" Osoba, która zadała to pytanie, nie słyszała opisu czterech dróg przedstawionego przez G. i użyła słowa "droga" w potocznym, religijno-mistycznym znaczeniu.

– Główna trudność w zrozumieniu idei drogi – powiedział G. – polega na tym, że ludzie zazwyczaj myślą, iż *droga* – podkreślił to słowo – zaczyna się na tym samym poziomie, na którym toczy się życie. To całkiem nie tak. Droga rozpoczyna się na innym, o wiele wyższym poziomie. To właśnie tego ludzie zazwyczaj nie rozumieją. Uważa się, że początek drogi jest łatwiejszy lub prostszy niż w rzeczywistości. Spróbuję to wytłumaczyć.

Człowiek żyje *podlegając prawu przypadku* oraz dwu – także rządzonego przez przypadek – rodzajom wpływów.

Wpływy pierwszego rodzaju stworzone są w samym *życiu* albo przez samo życie. Są to wpływy rasy, narodu, kraju, klimatu, rodziny, wykształcenia, społeczeństwa, zawodu, sposobów zachowania się i obyczajów, dobrobytu, biedy, aktualnych idei, itd. Wpływy drugiego rodzaju stworzone są *poza tym życiem*, są to wpływy kregu wewnętrznego czy też wpływy ezoteryczne; innymi słowy, chodzi o wpływy stworzone także na Ziemi, ale według innych praw. Wpływy te różnią się od poprzednich przede wszystkim tym, że są w chwili swego powstania *świadome*. Oznacza to, że zostały one świadomie stworzone przez świadomych ludzi w określonym celu. Wpływy tego rodzaju są zazwyczaj ujmowane w postaci systemów i nauczania religijnych, filozoficznych doktryn, dzieł sztuki, itd.

Zostają one wprowadzone w życie w określonym celu i wymieszane z wpływami pierwszego rodzaju. Ale trzeba pamiętać, że wpływy te są świadome tylko w chwili powstania. Wpadając w ogólny wir życia, zaczynają one podlegać ogólnemu prawu przypadku i działać *mechanicznie*, to znaczy, że na pewnego określonego człowieka mogą one działać lub nie; mogą do niego docierać albo nie. Ulegając w życiu, poprzez przekaz i interpretację, zmianie i wypaczeniu, wpływy drugiego rodzaju zostają przekształcone we wpływy pierwszego rodzaju, a więc zostają jakby wcielone do wpływów pierwszego rodzaju.

Jeśli się nad tym zastanowimy, to zobaczymy, że wcale nie jest nam trudno odróżnić wpływy stworzone w życiu od wpływów, których źródło leży poza życiem. Niemożliwe jest ich wyliczenie, sporządzenie katalogu jednych czy drugich. Trzeba to *zrozumieć*; i wszystko zależy od tego rozumienia. Mówiliśmy o początku drogi. Początek drogi zależy właśnie od tego rozumienia lub też od

umiejętności rozróżnienia obu rodzajów wpływów. Oczywiście ich dystrybucja jest nierówna. Jeden człowiek otrzymuje więcej wpływów, których źródło leży poza życiem, inny mniej; trzeci jest od nich prawie zupełnie oddzielony. Ale temu nie można zaradzić. To już jest przeznaczenie. Gdy ogólnie mówimy o normalnym życiu, normalnych warunkach i normalnym człowieku, to trzeba rzec, że warunki są mniej więcej takie same, to znaczy – mówiąc ściślej – trudność jest jednakowa dla wszystkich. Polega ona na rozdzieleniu dwóch rodzajów wpływów. Jeśli człowiek otrzymując te wpływy, nie rozdziela ich, a więc jeśli nie widzi lub nie czuje istniejącej pomiędzy nimi różnicy, to wtedy ich oddziaływanie na niego też nie jest wyodrebnione, to znaczy, że działają one w ten sam sposób, na tym samym poziomie, dając takie same rezultaty. Ale jeśli człowiek, otrzymując te wpływy, zacznie je rozróżniać i odkładać na bok te, które nie są stworzone w samym życiu, to stopniowo samo rozróżnianie tych wpływów stanie się coraz łatwiejsze, tak że po pewnym czasie człowiek nie będzie już ich mylił ze zwykłymi wpływami życia.

Skutki wpływów, których źródło leży poza życiem, wszystkie razem się w nim gromadzą; on *pamięta* je razem, *czuje* je razem. Zaczynają one formować w nim pewną całość. On sam nie zdaje sobie jasno, sprawy, o co chodzi; nie wyjaśnia sobie co, jak i dlaczego, a jeśli to robi, to popełnia błędy. Ale nie w tym rzecz. Chodzi o to, że skutki tych wpływów razem się w nim gromadzą i po pewnym czasie formują w nim swego rodzaju *centrum magnetyczne*, które zaczyna przyciągać pokrewne wpływy i dzięki temu rośnie. Jeśli centrum magnetyczne otrzymuje wystarczająco dużo pożywienia i jeśli inne strony ludzkiej osobowości, będące skutkiem wpływów stworzonych w życiu, nie stawiają oporu, wtedy centrum magnetyczne zaczyna oddziaływać na orientację człowieka, zmuszając go do obrócenia się, a nawet poruszania w pewnym kierunku. Kiedy centrum magnetyczne osiąga dostateczną siłę i rozwój, człowiek rozumie już ideę drogi i zaczyna szukać tej drogi. Poszukiwanie drogi może zająć wiele lat i prowadzić donikąd. Zależy to od warunków, od okoliczności, od mocy centrum magnetycznego, od mocy i ukierunkowania wewnętrznych tendencji, które nie są zainteresowane tym poszukiwaniem i które mogą odwrócić uwagę człowieka dokładnie w chwili, kiedy pojawia się możliwość znalezienia drogi.

Jeśli centrum magnetyczne działa właściwie i jeśli człowiek naprawdę szuka – lub nawet jeśli nie szuka aktywnie – ale właściwie czuje, to może on spotkać *innego człowieka*, który zna drogę i który bezpośrednio lub przez innych ludzi związany jest z ośrodkiem istniejącym poza prawem przypadku, z ośrodkiem, z którego pochodziły idee, które stworzyły centrum magnetyczne.

I tu znowu pojawia się wiele możliwości, ale o tym będziemy mówić później. Przez chwilę wyobraźmy sobie, że oto człowiek spotyka kogoś, kto naprawdę zna drogę i kto gotów jest mu pomóc. Oddziaływanie tego kogoś na człowieka przebiega przez jego centrum magnetyczne. Wtedy, *w tym punkcie*, człowiek wyzwala się spod prawa przypadku. To należy zrozumieć. Wpływ człowieka,

który zna drogę, na pierwszego człowieka jest specjalnego rodzaju wpływem różnicym się od dwu poprzednich. Po pierwsze, jest to wpływ *bezpośredni*, a po drugie, to wpływ *świadomy*. Wpływy drugiego rodzaju, które tworzą centrum magnetyczne, są w chwili powstania świadome, później jednak zostają one wrzucone w ogólny wir życia, wymieszane z wpływami stworzonymi przez samo życie i na równi z nimi podlegają prawu przypadku. Wpływy trzeciego rodzaju nigdy nie podlegają prawu przypadku; same znajdują się poza prawem przypadku i ich działanie ma miejsce także poza prawem przypadku. Wpływy drugiego rodzaju mogą pochodzić z książek, z systemów filozoficznych, z obrzędów. Wpływy trzeciego rodzaju mogą przechodzić tylko bezpośrednio z jednej osoby na drugą drogą ustnego przekazu.

Chwila, w której człowiek szukający drogi spotyka człowieka, który zna drogę, nazywana jest *pierwszym progiem* lub *pierwszym krokiem*. Od tego pierwszego progu zaczynają się *schody*. Pomiędzy "życiem i "drogą" znajdują się "schody". Dopiero idąc po "schodach", człowiek może wejść na "drogę". W dodatku człowiek wchodzi po tych schodach z pomocą człowieka, który jest jego przewodnikiem; nie może on wchodzić po schodach sam. *Droga* zaczyna się tam, gdzie kończą się *schody*, to znaczy *po ostatnim progu schodów*, na poziomie o wiele wyższym od zwykłego poziomu życia.

Tak więc nie można odpowiedzieć na pytanie: *od czego zaczyna się droga?* Droga zaczyna się od czegoś, czego nie ma wcale w życiu, a zatem nie można powiedzieć, od czego. Mówi się czasami: wchodząc po schodach człowiek niczego nie jest pewien, może we wszystko zważyć, w swoje własne moce, w to, czy to, co robi, jest właściwe, w *przewodnika*, w jego wiedzę i jego moce. Jednocześnie to, co osiąga, jest bardzo niestabilne; nawet jeśli wszedł już dosyć wysoko po schodach, to w każdej chwili może spaść na sam dół i będzie musiał zacząć wszystko od początku. Ale gdy przekroczył ostatni próg i wszedł na drogę, wszystko się zmienia. Po pierwsze, znikają wszelkie jego wątpliwości co do przewodnika i jednocześnie przewodnik zaczyna być mu o wiele mniej potrzebny niż przedtem. Pod wieloma względami może stać się on niezależny i może wiedzieć, dokąd zmierza. Po drugie, nie może już tak łatwo utracić efektów swojej pracy i nie może znaleźć się z powrotem w zwyczajnym życiu. Nawet jeśli porzuci drogę, to nie będzie w stanie powrócić tam, skąd wystartował.

To prawie wszystko, co można ogólnie powiedzieć na temat "schodów" i "drogi", jako że istnieją różne drogi. Mówiliśmy już o tym przedtem. Na przykład na czwartej drodze istnieją specjalne warunki, których nie może być na innych drogach. I tak: na czwartej drodze warunkiem wejścia po schodach jest to, że człowiek nie może wejść na wyższy stopień, dopóki nie umieści innego człowieka na swoim miejscu. Ten drugi z kolei, by wejść wyżej, musi postawić na swoim miejscu trzeciego człowieka. Tak więc im wyżej człowiek wchodzi, tym bardziej jest on zależny od tych, którzy podążają za nim. Jeśli oni się zatrzymają, on także się zatrzyma. Tego rodzaju sytuacje mogą zdarzyć się na drodze.

Człowiek może coś osiągnąć, na przykład jakieś specjalne moce, i później może poświęcić te moce, by podnieść innych ludzi na swój poziom. Jeśli ludzie, z którymi pracuje, osiągną jego poziom, to otrzyma on z powrotem wszystko to, co poświęcił. Ale jeśli nie osiągną, to może on wszystko stracić.

Istnieją także różne możliwości dotyczące sytuacji nauczyciela w odniesieniu do ośrodka ezoterycznego; mianowicie może on wiedzieć więcej lub mniej o ośrodku ezoterycznym, może wiedzieć dokładnie, gdzie ten ośrodek się znajduje oraz w jaki sposób czerpało się lub czerpie z niego wiedzę i otrzymuje pomoc; może też nic o tym nie wiedzieć, a jedynie znać człowieka, od którego on sam otrzymał swoją wiedzę. W większości wypadków ludzie zaczynają właśnie od punktu, w którym rozpoznają tylko jeden stopień wyżej od tego, na którym się znajdują. I dopiero w miarę swojego własnego rozwoju zaczynają oni proporcjonalnie widzieć dalej i rozpoznawać, skąd to, co wiedzą, do nich przyszło.

Małe znaczenie ma to, czy człowiek, który przyjmuje na siebie rolę nauczyciela, zna dokładne pochodzenie tego, czego uczy, czy nie zna; wyniki jego pracy zależą przede wszystkim od tego, czy jego idee *rzeczywiście* pochodzą z ośrodka ezoterycznego i czy on sam rozumie i potrafi odróżnić *idee ezoteryczne*, to znaczy idee poznania obiektywnego, od idei subiektywnych, naukowych i filozoficznych.

Do tej pory mówiłem o prawdziwym centrum magnetycznym, o prawdziwym przewodniku i o prawdziwej drodze. Ale możliwa jest też sytuacja, w której centrum magnetyczne zostało błędnie ukształtowane. Może ono samo w sobie być podzielone, to znaczy może zawierać sprzeczności. Co więcej, mogą pojawić się w nim wpływy pierwszego rodzaju – czyli te stworzone w życiu – jakby w przebraniu wpływów drugiego rodzaju, albo też ślady wpływów drugiego rodzaju, wypaczonych do tego stopnia, że stały się już one swoim własnym przeciwieństwem. Takie błędnie ukształtowane centrum magnetyczne nie może dać właściwej orientacji.

Człowiek z tego rodzaju błędnym centrum magnetycznym także może szukać drogi i może spotkać drugiego człowieka, który będzie nazywał siebie nauczycielem i który będzie mówił, że zna drogę i że jest on związany z ośrodkiem znajdującym się poza prawem przypadku. W rzeczywistości człowiek ten może nie znać drogi ani nie być związany z takim ośrodkiem. Co więcej, istnieje tutaj znów wiele możliwości:

- po pierwsze, może on autentycznie się mylić i myśleć, że coś wie, podczas gdy w rzeczywistości nie wie nic.
- po drugie, może on wierzyć innemu człowiekowi, który z kolei sam może się mylić.
- po trzecie, może on świadomie wprowadzać w błąd.

Tak więc jeśli człowiek, który szuka drogi, mu wierzy, to może on tego człowieka poprowadzić w zupełnie innym kierunku, niż obiecuje; może on go zawieść bardzo daleko od właściwej drogi i spowodować w nim skutki dokładnie odwrotne od skutków, które pojawiają się na właściwej drodze.

Ale na szczęście zdarza się to bardzo rzadko, to znaczy istnieją liczne błędne drogi, ale w większości wypadków donikąd one nie prowadzą. Człowiek po prostu kreci się w kółko w jednym miejscu i myśli, że dokądś zmierza.

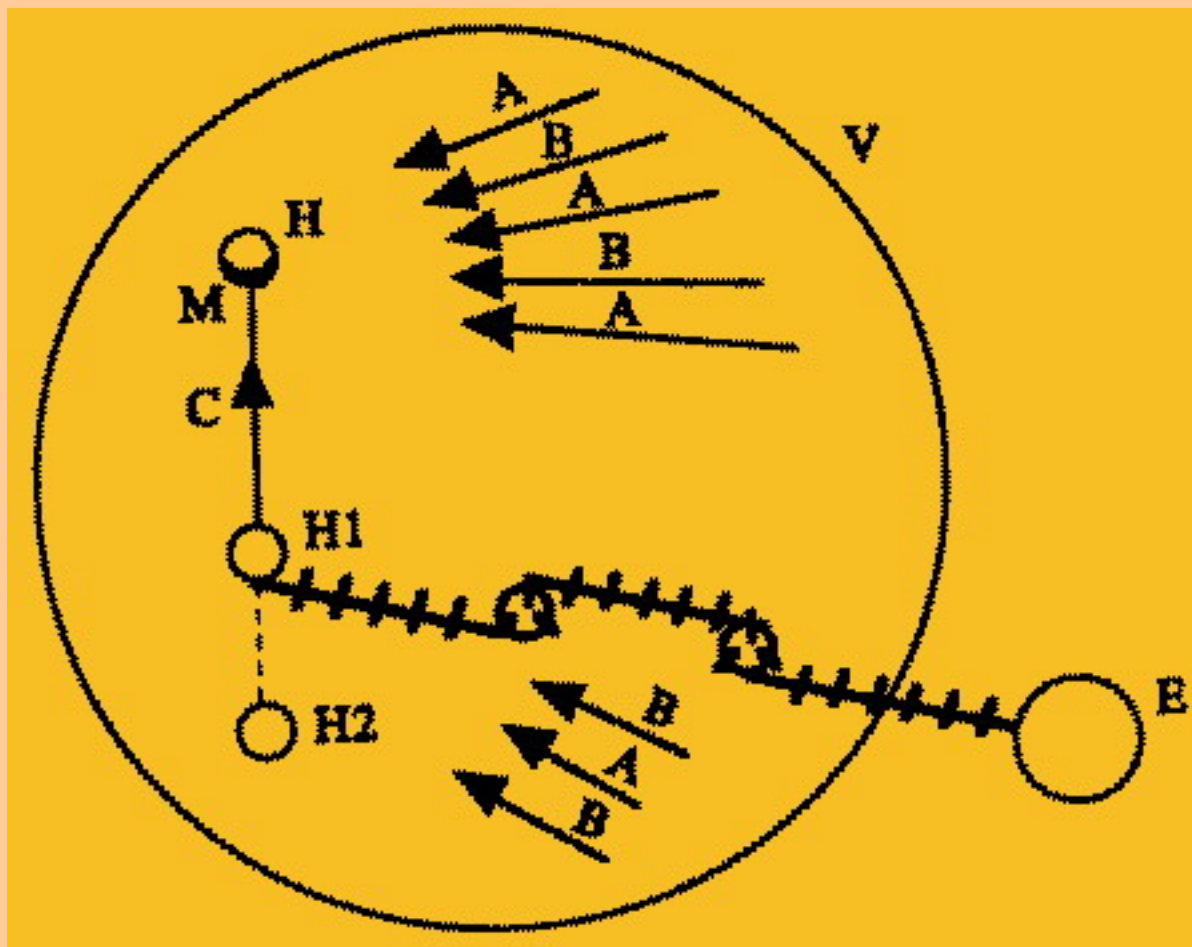
– Jak można rozpoznać błędną drogę? – zapytał ktoś.

– Jak można ją rozpoznać? – powiedział G. – Niemożliwe jest rozpoznanie błędnej drogi, jeśli się nie zna prawdziwej drogi. Oznacza to, że nie ma sensu martwić się o to, jak rozpoznać błędną drogę. Trzeba myśleć o tym, jak odnaleźć prawdziwą drogę. To o tym przez cały czas mówimy. Nie da się tego powiedzieć w dwóch słowach. Ale z tego, co rzekłem, możecie wyciągnąć wiele pożytecznych wniosków, pod warunkiem, że pamiętacie wszystko to, co zostało powiedziane i wszystko, co z tego wynika. Na przykład możecie zobaczyć, że nauczyciel zawsze odpowiada poziomowi ucznia. Im wyżej jest uczeń, tym wyżej musi się znaleźć nauczyciel. Ale uczeń na niezbyt wysokim poziomie nie może liczyć na nauczyciela na bardzo wysokim poziomie. W rzeczywistości uczeń nigdy nie może dostrzec poziomu nauczyciela. To jest prawo. Nikt nie może widzieć powyżej swojego własnego poziomu. A z reguły ludzie nie tylko tego nie widzą, ale wręcz przeciwnie, im niżej oni sami się znajdują, tym wyższego poziomu nauczyciela się domagają.

Właściwe rozumienie tego punktu jest bardzo znaczące. Jednak bardzo rzadko to się zdarza. Zazwyczaj człowiek sam nie jest wart złamanego grosza, ale za nauczyciela musi on mieć nie kogo innego, jak tylko samego Jezusa Chrystusa. Na mniej się nie zgadza. Nigdy nie przyjdzie mu do głowy, że nawet jeśli spotkałby takiego nauczyciela jak Jezus Chrystus – przyjmując go takim, jak Ów został opisany w Ewangeliach – to nie byłby w stanie za Nim iść, ponieważ aby zostać uczniem Chrystusa, sam musiałby się znaleźć na poziomie apostoła. Jest to określone prawo. Im wyżej znajduje się nauczyciel, tym trudniej jest uczniowi, a jeśli różnica poziomów nauczyciela i ucznia przekroczy pewną granicę, to trudności na ścieżce ucznia stają się nie do pokonania. To właśnie w związku z tym prawem pojawia się jedna z podstawowych zasad czwartej drogi. Na czwartej drodze nie ma *jednego* nauczyciela. Kto jest starszy, ten jest nauczycielem. I tak jak nauczyciel jest potrzebny uczniowi, tak samo uczeń jest potrzebny nauczycielowi. Uczeń nie może iść do przodu bez nauczyciela i nauczyciel nie może iść do przodu bez uczniów. Nie jest to wzgląd ogólny, lecz niezbędna i całkiem konkretna zasada stanowiąca podstawę prawa, zgodnie z którym człowiek podąża wzwyż. Jak zostało wcześniej powiedziane, *nikt nie może wejść na wyższy stopień, jeśli nie umieścił innego człowieka na swoim miejscu*. To, co człowiek sam otrzymał, musi natychmiast oddać; tylko wtedy

może otrzymać więcej. Inaczej zostanie odebrane mu nawet to, co już dostał.

Podczas jednego z kolejnych spotkań, w obecności G., który kazał mi powtórzyć to, co powiedział na temat drogi i centrum magnetycznego, ująłem jego ideę w wykresie (ilustracja 40).



Ilustracja 40

V – życie

H – pojedynczy człowiek

A – wpływy stworzone w życiu przez samo życie – wpływy pierwszego rodzaju

B – wpływy stworzone poza życiem, ale wrzucone w ogólny wir życia – wpływy drugiego rodzaju

H1 – człowiek związany drogą sukcesji z ośrodkiem ezoterycznym lub roszcący sobie do tego pretensje

E – ośrodek ezoteryczny znajdujący się poza ogólnymi prawami życia

M – centrum magnetyczne w człowieku

C – wpływ człowieka H1 na człowieka H; w razie istnienia rzeczywistego związku – bezpośrednio lub przez sukcesję – z ośrodkiem ezoterycznym, powstaje wpływ trzeciego rodzaju; jest to wpływ świadomy i w wyniku jego działania w punkcie M, to znaczy w centrum magnetycznym, człowiek wyzwala się od prawa przypadku.

H2 – człowiek sam siebie okłamujący lub okłamujący innych, który nie ma żadnego – ani bezpośredniego, ani drogą sukcesji – związku z ośrodkiem ezoterycznym

W trakcie kolejnego spotkania, po dosyć długiej rozmowie na temat bycia i wiedzy, G. powiedział:

– Ściśle mówiąc, nie macie jeszcze prawa rozmawiać na temat wiedzy, ponieważ nie wiecie, od czego wiedza się zaczyna.

Wiedza zaczyna się od nauczania o kosmosach.

Znacie słowa “makrokosmos” i “mikrokosmos”. Oznaczaj one “wielki kosmos” i “mały kosmos”, “wielki świat” i “mały świat”. Uważa się, że wszechświat to “wielki kosmos”, a człowiek to analogiczny do wielkiego – “mały kosmos”. Ustanawia to jakby ideę jedności i podobieństwa świata i człowieka.

Doktryna dwóch światów znana jest z Kabały i z innych starożytnych systemów. Ale doktryna ta jest *niepełna* i niczego nie da się z niej wyprowadzić, jako że to nauczanie jest jedynie odłupanym fragmentem innego, o wiele pełniejszego, pradawnego, ezoterycznego nauczania o kosmosach lub zawartych w sobie światach, które są stworzone na obraz i podobieństwo największego z nich, zawierającego w sobie wszystkie pozostałe. “Jak w górze, tak na dole” – jest to wyrażenie, które odnosi się do kosmosów.

Ale ważne jednak, by wiedzieć, że *pełne* nauczanie o kosmosach traktuje nie o dwóch, ale o siedmiu zawartych w sobie kosmosach. Tylko siedem kosmosów, ujętych razem we wzajemnych relacjach, przedstawia kompletny obraz wszechświata. Idea dwóch analogicznych kosmosów, przypadkowo zachowana i pochodząca z wielkiego i całościowego nauczania, jest tak niepełna, że nie może ona dać żadnego pojęcia na temat analogii między człowiekiem i światem.

Nauczanie o kosmosach zajmuje się siedmioma kosmosami:

Pierwszym kosmosem jest *Protokosmos* (Protocosmos) – “pierwszy kosmos”.

Drugim kosmosem jest *Ajokosmos* (Ayocosmos) – “święty kosmos albo też Megalokosmos, “wielki kosmos”.

Trzecim kosmosem jest *Makrokosmos* (Macrocosmos) – “rozległy kosmos”.

Czwartym kosmosem jest *Deuterokosmos* (Deuterocosmos) – “drugi kosmos”.

Piątym kosmosem jest *Mezokosmos* (Mesocosmos) – “kosmos”.

Szóstym kosmosem jest *Tritokosmos* (Tritocosmos) – “trzeci kosmos”.

Siódmym kosmosem jest *Mikrokosmos* (Microcosmos) – “mały kosmos”.

Protokosmos jest Absolutem w promieniu stworzenia, światem 1. *Ajokosmos* jest światem 3”) wszystkie światy” w promieniu stworzenia). *Makrokosmos* jest naszym gwiazdowym światem, czy też Drogą Mleczną (świat 6 w promieniu

stworzenia). *Deuterokosmos* jest Słońcem, systemem słonecznym (świat 12). *Mezokosmos* jest "wszystkimi planetami" (światem 24) lub też Ziemią jako przedstawicielem świata planetarnego. *Tritokosmos* to człowiek. *Mikrokosmos* to "atom".

Jak już wcześniej wyjaśniłem – mówił G. – "atomem" nazywamy najmniejszą ilość dowolnej substancji, w której substancja ta zachowuje wszystkie swoje fizyczne, chemiczne, psychiczne i kosmiczne właściwości. Z tego punktu widzenia może istnieć, na przykład, "atom wody".

Widzicie, że w ogólnym porządku siedmiu kosmosów *Mikrokosmos* i *Makrokosmos* są tak bardzo od siebie oddalone, że niemożliwe jest zobaczenie lub ustalenie jakiegokolwiek bezpośredniej analogii pomiędzy nimi.

Każdy kosmos jest żywą istotą, która żyje, oddycha, myśli, czuje, rodzi się i umiera.

Wszystkie kosmosy powstają w wyniku działania tych samych sił i tych samych praw. Prawa są wszędzie jednakowe. Ale na różnych płaszczyznach wszechświata, czyli na różnych poziomach, przejawiają się one w różny lub przynajmniej, w nie zupełnie taki sam sposób. W konsekwencji kosmosy nie są do siebie nawzajem całkowicie analogiczne. Gdyby nie istniało prawo oktaw, to analogia pomiędzy nimi byłaby całkowita; ale z powodu istnienia prawa oktaw nie zachodzi pomiędzy nimi całkowita analogia, tak samo jak nie ma całkowitej analogii pomiędzy różnymi nutami oktawy. I tylko *trzy* kosmosy wzięte razem są podobne i analogiczne do dowolnej grupy trzech innych kosmosów.

Warunki działania praw na każdej płaszczyźnie, to znaczy w każdym kosmosie, określone są przez dwa przylegające do niego kosmosy, jeden na górze i jeden na dole. Trzy położone obok siebie kosmosy stanowią całkowity obraz manifestacji praw we wszechświecie. Jeden kosmos nie może dać całkowitego obrazu. A zatem, by znać jeden kosmos, trzeba znać przylegające do niego kosmosy, ten nad nim i ten pod nim, czyli jeden większy i jeden mniejszy. Te dwa kosmosy wspólnie określają kosmos leżący pomiędzy nimi. I tak *Mezokosmos* i *Mikrokosmos* wspólnie określają *Tritokosmos*. *Deuterokosmos* i *Tritokosmos* określają *Mezokosmos*, itd.

Stosunek jednego kosmosu do drugiego różni się od stosunku jednego świata do drugiego w astronomicznym "promieniu stworzenia". W "promieniu stworzenia" światy ujęte są w takim właśnie stosunku, jaki z naszego punktu widzenia istnieje we wszechświecie: Księżyc, Ziemia, planety, Słońce, Droga Mleczna, itd. Tak więc w "promieniu stworzenia" wzajemny stosunek liczbowy między światami jest nietrwały. W jednym wypadku lub na jednym poziomie jest on większy – na przykład stosunek "wszystkich słońc" do naszego Słońca; w innym wypadku, na innym poziomie, jest mniejszy – na przykład stosunek Ziemi do Księżyca. Natomiast wzajemny stosunek między kosmosami jest trwały i zawsze taki sam.

Innymi słowy, jeden kosmos tak się ma do drugiego, jak zero do nieskończoności. Oznacza to, że stosunek Mikrokosmosu do Tritokosmosu jest taki, jak stosunek zera do nieskończoności; stosunek Tritokosmosu do Mezokosmosu jest stosunkiem zera do nieskończoności; stosunek Mezokosmosu do Deuterokosmosu jest stosunkiem zera do nieskończoności, itd.

Aby pojąć znaczenie podziału na kosmosy i wzajemny stosunek między kosmosami, trzeba zrozumieć, co oznacza stosunek zera do nieskończoności. Jeśli zrozumiemy, co to oznacza, to zasada podziału wszechświata na kosmosy, konieczność takiego podziału i niemożliwość naszkicowania – bez takiego podziału – mniej lub bardziej przejrzystego obrazu świata staną się dla nas natychmiast oczywiste.

Idea kosmosów pomaga nam zrozumieć nasze miejsce w świecie i rozwiązuje wiele problemów, jak na przykład te związane z przestrzenią i czasem, itp.

A nade wszystko, idea ta służy do dokładnego ustanowienia zasady *względności*. To ostatnie jest szczególnie ważne, ponieważ nie można mieć dokładnej koncepcji świata bez ustanowienia zasady względności.

Idea kosmosów umożliwia nam oparcie badania względności na solidnej podstawie. Na pierwszy rzut oka wiele rzeczy w systemie kosmosów wygląda paradoksalnie. W rzeczywistości jednak ten pozorny paradoks jest po prostu względnością.

Między ideą możliwości poszerzenia świadomości człowieka i rozwoju jego zdolności poznania a nauczaniem o kosmosach istnieje bezpośrednia zależność. W swoim zwykłym stanie człowiek jest sobie świadomy *w jednym kosmosie* i na wszystkie pozostałe kosmosy patrzy on z punktu widzenia jednego kosmosu. Równoczesne poszerzenie jego świadomości i nasilenie funkcji psychicznych wprowadza go w sferę działania i życia *dwóch innych* kosmosów, tego na górze i tego dole, czyli jednego większego i jednego mniejszego. Poszerzenie świadomości następuje nie tylko w jednym kierunku, to znaczy nie tylko w kierunku wyższych kosmosów; zmierzając do góry, świadomość zmierza jednocześnie w dół.

Ta ostatnia idea wyjaśni wam być może niektóre zwroty, na które mogliście natrafić w literaturze okultystycznej. Przykładem jest powiedzenie, że "droga w górę jest jednocześnie drogą w dół". Wyrażenie to z reguły interpretuje się zupełnie błędnie.

W rzeczywistości oznacza ono, że jeśli na przykład człowiek zaczyna czuć życie planet albo jeśli jego świadomość przechodzi na poziom świata planetarnego, to w tym samym czasie zaczyna on czuć życie atomów lub też jego świadomość przechodzi na ich poziom. W sposób poszerzanie świadomości postępuje jednocześnie w dwóch kierunkach: ku temu, co większe, i ku temu, co mniejsze.

Poznanie zarówno wielkiego, jak i małego wymaga od człowieka podobnej wewnętrznej przemiany. Szukając podobieństw i analogii pomiędzy kosmosami, możemy każdy z kosmosów rozpatrywać na trzy sposoby. Możemy zajmować się:

- po pierwsze, stosunkiem danego kosmosu do samego siebie,
- po drugie, jego stosunkiem do wyższego lub większego kosmosu,
- po trzecie, stosunkiem tego kosmosu do niższego lub mniejszego kosmosu.

Manifestacja praw jednego kosmosu w innym kosmosie stanowi to, co nazywamy *cudem*. Żaden inny rodzaj cudu nie może istnieć. Cud nie jest łamaniem praw ani nie jest zjawiskiem spoza praw. Jest to zjawisko, które zachodzi zgodnie z prawami innego kosmosu. Prawa te są dla nas niezrozumiałe i nie znane, i dlatego *cudowne*.

Dla zrozumienia praw względności bardzo przydatne okazuje się zbadanie życia oraz zjawisk jednego kosmosu tak, jakby spoglądało się na nie z innego kosmosu, to znaczy zbadanie ich z punktu widzenia praw innego kosmosu. Wszystkie zjawiska życia danego kosmosu, badane z punktu widzenia innego kosmosu, nabierają zupełnie innego charakteru i mają zupełnie inne znaczenie. Pojawia się wiele nowych zjawisk, a wiele innych zanika. Ogólnie mówiąc, całkowicie zmienia to obraz świata i rzeczy.

Jak zostało to wcześniej powiedziane, sama idea kosmosów może dać solidne podstawy do ustanowienia praw względności. Prawdziwa nauka i prawdziwa filozofia powinny opierać się na zrozumieniu praw względności. *W konsekwencji można powiedzieć, że nauka i filozofia, w prawdziwym znaczeniu tych terminów, zaczynają się od idei kosmosów.*

Po wypowiedzeniu tych słów i po dosyć długim milczeniu G. zwrócił się do mnie i dodał:

- Wszystko to, co teraz posiedziałem, spróbuj rozpatrzyć z punktu widzenia "Twoich wymiarów".
- Wszystko, co powiedziałaś – odparłem – bez wątpienia odnosi się do zagadnienia wymiarów. Ale zanim do nich przejdę, chciałbym zrozumieć jeden punkt, który nie jest dla mnie całkiem jasny. Chodzi o to, co powiedziałaś o Mikrokosmosie. Przywykliśmy wiązać ideę Mikrokosmosu z człowiekiem. Oznacza to, że człowiek sam w sobie reprezentuje świat – świat analogiczny do olbrzymiego świata, do Makrokosmosu. Ale Ty nadajesz człowiekowi nazwę Tritokosmosu, czyli trzeciego kosmosu. Dlaczego trzeciego? Pierwszym jest Protokosmos; drugim jest Słońce lub Deuterokosmos. Dlaczego człowiek jest trzecim kosmosem?
- Trudno jest to w obecnej chwili wytłumaczyć – powiedział G. – Zrozumiesz to później.

– Ale czy rzeczywiście uważasz, że pojęcia Mikrokosmosu nie można stosować do człowieka? – zapytał ktoś ze słuchaczy. – Stwarza to dziwną różnicę w terminologii.

– Tak, tak – powiedział G. – Człowiek jest Tritokosmosem. Mikrokosmos jest atomem, czy też raczej – przerwał jakby szukając słowa – mikroblem. Ale nie zatrzymujcie się nad tym pytaniem. Wszystko zostanie wyjaśnione później.

Następnie znowu zwrócił się do mnie:

– Co zatem możesz rzec z twojego punktu widzenia, przyjmując wszystko tak, jak to powiedziałem.

– Przede wszystkim musimy zbadać, co oznacza stosunek zera nieskończoności – powiedziałem. – Jeśli to zrozumiemy, to powinniśmy zrozumieć stosunek jednego kosmosu do drugiego. W dostępnym dla naszych badań świecie mamy doskonały przykład stosunku zera do nieskończoności. W geometrii jest to stosunek jednej jednostki o pewnej liczbie wymiarów do innej jednostki o większej liczbie wymiarów. Stosunek punktu do linii, linii do płaszczyzny, płaszczyzny do bryły, to znaczy ciała trójwymiarowego, do ciała o czterech wymiarach itd.

Jeśli przyjmujemy ten punkt widzenia, to musimy uznać, że stosunek jednego kosmosu do drugiego jest stosunkiem między dwoma ciałami o różnych wymiarach. Jeśli jeden kosmos jest trójwymiarowy, to następny kosmos, to znaczy ten nad nim, musi być czterowymiarowy, następny pięciowymiarowy, itd. Jeśli przyjmujemy, że "atom", czy też – jak powiedziałeś – "mikrob", czyli Mikrokosmos, jest punktem, to w stosunku do tego punktu człowiek będzie *linią*, to znaczy figurą mającą jeden wymiar. Następny kosmos – Ziemia – w stosunku do człowieka będzie płaszczyzną, a więc będzie miał on dwa wymiary, co jest zgodne z naszym bezpośrednim postrzeganiem. Słońce, system słoneczny, będą dla Ziemi trójwymiarowe. Świat gwiazdny będzie dla Słońca czterowymiarowy. "Wszystkie światy" są pięciowymiarowe, a Absolut czy też Protokosmos, jest sześciowymiarowy.

Mnie osobiście najbardziej interesuje w tym systemie kosmosów to, że widzę w nich pełny "okres wymiarów" z mojej książki *Nowy Model Wszechświata*. Nie jest to jedynie zbieżność szczegółów: są one zupełnie identyczne. Nie wiem, jak do tego doszło; nigdy nie słyszałem o siedmiu kosmosach, między którymi zachodzi taka relacja, jak zero do nieskończoności. Pomimo to mój "okres wymiarów" bardzo dokładnie temu odpowiada.

"Okres wymiarów" zawiera w sobie siedem wymiarów: zerowy, pierwszy, drugi, i tak dalej, aż do szóstego wymiaru. Wymiar zero, czy też punkt, jest pewną *granica*. Oznacza to, że widzimy coś jako punkt, ale nie wiemy, co się ukrywa za tym punktem. To może rzeczywiście być punkt, a więc ciało nie mające wymiarów, a może to także być cały świat, ale świat tak bardzo od nas oddalony

albo tak mały, że wydaje nam się punktem. Ruch tego punktu w przestrzeni wydaje nam się linią. Tym sposobem punkt będzie widział w postaci linii przestrzeń, wzdłuż której się porusza. Ruch linii w kierunku do niej prostopadłym będzie płaszczyzną, a sama linia będzie widziała przestrzeń, wzdłuż której się porusza, w kształcie płaszczyzny.

Do tej pory badałem linię z punktu widzenia punktu, a płaszczyznę z punktu widzenia linii. Ale na punkt, linię i płaszczyznę można także spojrzeć z punktu widzenia ciała trójwymiarowego. W takim wypadku płaszczyzna będzie granicą ciała, jego bokiem lub jego przekrojem. Linia będzie granicą, która wyznacza płaszczyznę albo przekrój płaszczyzny. Punkt będzie granicą albo przekrojem linii.

Ciało trójwymiarowe tym się różni od punktu, linii i płaszczyzny, że w naszym postrzeganiu ma ono realne fizyczne istnienie.

Płaszczyzna w rzeczywistości jest tylko rzutowaniem ciała, linia rzutowaniem płaszczyzny, a punkt jest rzutowaniem linii.

"Ciało" ma niezależne fizyczne istnienie, to znaczy ma ono różne fizyczne własności.

Ale kiedy mówimy, że jakaś rzecz "istnieje", mamy na myśli istnienie w czasie. W przestrzeni trójwymiarowej nie ma jednak czasu. Czas leży poza przestrzenią trójwymiarową. Czas, tak jak go czujemy, jest czwartym wymiarem. Istnienie jest dla nas istnieniem w czasie. Istnienie w czasie jest ruchem lub wzrostem wzdłuż czwartego wymiaru.

Jeśli przyjmiemy istnienie za wzrost wzdłuż czwartego wymiaru i jeśli pomyślimy o życiu jako o czterowymiarowym ciele, to trójwymiarowe ciało będzie jego przekrojem, jego rzutowaniem albo jego granicą.

Jednakże istnienie w czasie nie obejmuje wszystkich aspektów istnienia. Oprócz istnienia w czasie wszystko, co istnieje, istnieje też w wieczności.

Wieczność jest nieskończonym istnieniem każdej chwili czasu. Jeśli wyobrazimy sobie czas jako linię, to wtedy linia ta będzie w każdym punkcie przecięta liniami wieczności. Każdy punkt linii czasu będzie linią w wieczności. Linia czasu będzie płaszczyzną wieczności. Wieczność ma o jeden wymiar więcej niż czas. Jeśli zatem czas jest czwartym wymiarem, to wieczność jest piątym. Jeśli przestrzeń czasu jest czterowymiarowa, to przestrzeń wieczności jest pięciowymiarowa.

Aby z kolei zrozumieć ideę piątego i szóstego wymiaru, trzeba przyjąć pewnego rodzaju pojęcie czasu.

Każda chwila czasu zawiera pewną liczbę możliwości, czasami mniejszą, czasami większą, ale nigdy nie nieskończoną. Trzeba zdać sobie sprawę, że istnieją możliwości i istnieją niemożliwości. Mogę wziąć z tego stołu kawałek papieru, ołówek albo popielniczkę i zrzucić na podłogę, ale nie mogę wziąć ze

stołu i zrzucić na podłogę pomarańczy, której na tym stole nie ma. To określa jasno różnicę pomiędzy możliwością i niemożliwością. Co się tyczy rzeczy, które mogą być zrzucone ze stołu na podłogę, to istnieje kilka możliwych kombinacji. Mogę zrzucić ołówek albo kawałek papieru, albo popielniczkę lub też ołówek i kawałek papieru, albo ołówek i popielniczkę, albo kawałek papieru i popielniczkę lub wszystkie trzy przedmioty naraz, albo mogę w ogóle niczego nie zrzucić. Istnieją tylko te możliwości. Jeśli przyjmiemy, że chwila czasu jest chwilą istnienia danych możliwości, to następna chwila będzie chwilą spełnienia się jednej z tych możliwości. Ołówek zostaje zrzuty na podłogę. Jest to spełnienie jednej z możliwości. Potem przychodzi następna chwila. Ta chwila także, w pewnym określonym znaczeniu, ma pewną określoną liczbę możliwości. I następna chwila będzie znowu chwilą spełnienia jednej z tych możliwości. Następowanie po sobie chwil spełniania jednej z danych możliwości stanowi linię czasu. Ale każda chwila czasu ma nieskończone istnienie w wieczności. Możliwości, które się spełniły, nadal nieskończenie spełniają się w wieczności, podczas gdy nie spełnione możliwości pozostają dalej nie spełnione i niemożliwe do spełnienia.

Jednakże wszystkie – stworzone albo zapoczątkowane w świecie – możliwości muszą zostać spełnione. Spełnienie wszystkich stworzonych albo zapoczątkowanych możliwości stanowi o byciu świata. Jednocześnie w granicach wieczności nie ma miejsca na spełnianie się tych możliwości. W wieczności wszystko, co zostało spełnione, spełnia się nadal, a wszystko, co nie zostało spełnione, pozostaje nie spełnione. Wieczność jednakże jest tylko płaszczyzną, którą przecina linia czasu. W każdym punkcie tej linii pozostaje pewna liczba nie spełnionych możliwości. Jeśli wyobrazimy sobie linie spełnienia tych możliwości, to będą one przebiegały wzdłuż promieni wyprowadzonych z jednego punktu pod różnym kątem w stosunku do linii czasu i do linii wieczności. Linie te będą prowadziły poza wieczność, poza pięciowymiarową przestrzeń, w "wieczność wyższą" lub też w przestrzeń sześciowymiarową, w szósty wymiar.

Szósty wymiar jest linią spełnienia się wszystkich możliwości.

Piąty wymiar jest linią wiekuistego istnienia lub powtarzania się spełnionych możliwości.

Czwarty wymiar jest ciągiem chwil spełnienia jednej możliwości. Jak powiedziałem, siedem wymiarów, od wymiaru zero do szóstego wymiaru, to pełny "okres wymiarów". Poza tym okresem nie ma nic – lub też ten sam okres może się powtórzyć w innej skali.

Jak już mówiłem, w systemie kosmosów, który dopiero co został nam przedstawiony, uderza mnie to, że w pełni odpowiada on „okresowi wymiarów”, będącego podstawą mojej książki. Jedyna różnica polega na tym, że ów system kosmosów idzie jeszcze dalej i tłumaczy wiele rzeczy, które w moim modelu wszechświata nie są jasne.

Jeśli więc weźmiemy Mikrokosmos, czyli "atom" albo, jak to G. określił, "mikrob", to Tritokosmos będzie dla niego przestrzenią czterowymiarową, Mezokosmos przestrzenią pięciowymiarową, a Deuterokosmos przestrzenią sześciowymiarową.

Oznacza to także, że wszystkie możliwości "atomu" lub "mikrobu" są spełnione w granicach układu słonecznego.

Jeśli przyjmiemy, że człowiek to Tritokosmos, to dla niego Mezokosmos będzie przestrzenią czterowymiarową, Deuterokosmos przestrzenią pięciowymiarową, a Makrokosmos przestrzenią sześciowymiarową. Oznacza to, że wszystkie możliwości Tritokosmosu zostają spełnione w Makrokosmosie.

A zatem, zgodnie z tym, wszystkie możliwości Mezokosmosu zostają spełnione w Ajokosmosie, a wszystkie możliwości Deuterokosmosu lub Słońca zostają spełnione w Protokosmosie lub w Absolucie.

Ponieważ każdy kosmos istnieje fizycznie, przeto każdy kosmos jest dla siebie lub w sobie, trójwymiarowy. W stosunku do kosmosu niższego jest on czterowymiarowy, w stosunku do wyższego kosmosu jest on punktem. Ujmując to inaczej: sam w sobie jest on trójwymiarowy, ale czwarty wymiar znajduje się dla niego w kosmosie powyżej i w kosmosie poniżej.

Ten ostatni punkt jest być może najbardziej paradoksalny, a jednak wszystko jest tu tak, jak być powinno. Dla trójwymiarowego ciała, takiego jak kosmos, czwarty wymiar znajduje się zarówno w obszarze olbrzymich, jak i w obszarze bardzo małych wielkości; w obszarze tego, co rzeczywiście jest nieskończonością, jak również w obszarze tego, co rzeczywiście jest zerem.

Następnie musimy zrozumieć, że trójwymiarowość nawet jednego i tego samego ciała może być różna. Tylko ciało sześciowymiarowe może być całkowicie rzeczywiste. Ciało pięciowymiarowe jest jedynie niepełnym obrazem ciała sześciowymiarowego, ciało czterowymiarowe jest niepełnym obrazem ciała pięciowymiarowego, ciało trójwymiarowe jest niepełnym obrazem ciała czterowymiarowego. I oczywiście płaszczyzna jest niepełnym obrazem ciała trójwymiarowego, to znaczy obrazem tylko jednego z jego boków. Na tej samej zasadzie linia jest niepełnym obrazem płaszczyzny, a punkt niepełnym obrazem linii.

Ponadto, choć nie wiemy, jak to się dzieje, ciało sześciowymiarowe może widzieć samo siebie jako trójwymiarowe. Ktoś spoglądający na nie z zewnątrz też może widzieć je jako ciało trójwymiarowe, ale w zupełnie innym rodzaju trójwymiarowości. Na przykład wyobrażamy sobie Ziemię jako trójwymiarową. Ta trójwymiarowość jest tylko urojona. Jako ciało trójwymiarowe, Ziemia jest dla siebie samej czymś odmiennym od tego, czym jest ona dla nas. Mamy jej niepełny obraz, widzimy ją jako przekrój przekroju, przekroju jej całkowitego istnienia.

„Kula ziemską” jest ciałem urojonym. Jest to przekrój przekroju, przekroju Ziemi sześciowymiarowej. Ale ta sześciowymiarowa Ziemia dla siebie samej może być także trójwymiarowa, tylko że my nie możemy wiedzieć ani nie możemy mieć pojęcia, w jakiej formie Ziemia sama siebie widzi.

Możliwości Ziemi są spełnione w Ajokosmosie; oznacza to, że w Ajokosmosie Ziemia jest ciałem sześciowymiarowym. I rzeczywiście do pewnego stopnia możemy zobaczyć, w jaki to sposób forma Ziemi musi ulec zmianie. W Deuterokosmosie, czyli w stosunku do Słońca, Ziemia nie jest już punktem (uznając punkt za redukcję ciała trójwymiarowego), lecz linią, którą śledzimy jako drogę Ziemi dookoła Słońca.

Jeśli weźmiemy Słońce w Makrokosmosie, to znaczy jeśli wyobrazimy sobie wzrokowo linię ruchu Słońca, to wtedy linia ruchu Ziemi będzie spiralą okrążającą linię ruchu Słońca. Jeśli wyobrazimy sobie lateralny ruch tej spirali, to wtedy ruch ten zakreśli figurę, której nie możemy sobie wyobrazić, ponieważ nie znamy natury tego ruchu, ale pomimo to będzie sześciowymiarową figurą Ziemi. Tę ostatnią sama Ziemia może widzieć jako figurę trójwymiarową. Trzeba to ustalić i zrozumieć, ponieważ w innym wypadku idea trójwymiarowości kosmosów będzie związana z naszą ideą ciał trójwymiarowych.

Trójwymiarowość nawet jednego i tego samego ciała może być różna.

I ten ostatni punkt, jak mi się wydaje, jest związany z tym, co G. nazywa „zasadą względności”. Jego zasada względności nie ma nic wspólnego z zasadą względności w mechanice czy też zasadą względności Einsteina. Chodzi tu o to samo, co opisałem w *Nowym Modelu Wszechświata* – jest to zasada względności istnienia.

Na tym zakończyłem mój przegląd systemów kosmosów, dokonany z punktu widzenia wielu wymiarów.

– To, co powiedziałeś, zawiera bardzo dużo materiału – powiedział G. – ale ten materiał trzeba dopracować. Jeśli odkryjesz, jak dopracować materiał, którym teraz dysponujesz, to zrozumiesz wiele z tego, co do tej pory nawet nie przyszło ci na myśl. Na przykład to, że czas jest różny w różnych kosmosach. I można go dokładnie wyliczyć, to znaczy możliwe jest dokładne ustalenie, jaki jest stosunek czasu w jednym kosmosie do czasu w innym kosmosie.

Dodam tylko jeszcze jedną rzecz:

Czas jest oddechem – spróbuj to zrozumieć.

Nic więcej nie powiedział.

Jeden z moskiewskich uczniów G. uzupełnił to później tym, że rozmawiając kiedyś z nimi o kosmosach i o różnym czasie w różnych kosmosach, G. stwierdził, iż *sen i jawa* żywych istot i roślin, to znaczy dwadzieścia cztery godziny, czyli dzień i noc, stanowi „oddech życia organicznego”.

Wykład G. o kosmosach i rozmowa, która miała miejsce potem, ogromnie mnie zaintrygowały. Było to bezpośrednio przejście od "trójwymiarowego wszechświata", od którego zaczęliśmy, do zagadnień, którymi zajmowałem się w *Nowym Modelu Wszechświata*, to znaczy do zagadnień przestrzeni, czasu i wyższych wymiarów, nad którymi pracowałem już od kilku lat.

Przez ponad rok G. niczego więcej nie dodał do tego, co powiedział o kosmosach.

Niektórzy z nas próbowali podejść do tych zagadnień z wielu różnych stron, ale mimo że wszyscy wyczuwaliśmy w idei kosmosów olbrzymią ilość potencjalnej energii, przez długi czas nie udawało nam się uzyskać żadnych rezultatów. W zakłopotanie wprawiał nas szczególnie Mikrokosmos.

– Jeśli można by uznać człowieka za Mikrokosmos, a ludzką rasę, czy też raczej życie organiczne, za Tritokosmos, to znacznie łatwiej byłoby ustalić relację człowieka do innych kosmosów – powiedział w związku z tym Z., który razem ze mną próbował zrozumieć i rozwinąć ideę kosmosów.

Jednakże G., ilekroć próbowaliśmy z nim o tym mówić, zawsze obstawał przy swoich definicjach.

Pamiętam, że gdy wyjeżdżał z Petersburga – był to chyba jego ostatni wyjazd w 1917 roku – jeden z nas zapytał go na dworcu o coś, co dotyczyło kosmosów.

– Spróbuj zrozumieć, co oznacza Mikrokosmos – odpowiedział G. – Jeśli uda ci się to zrozumieć, to wtedy wszystko, o co pytasz, stanie się dla ciebie jasne.

Pamiętam, że gdy rozmawialiśmy o tym później – przyjąwszy, iż człowiek jest Mikrokosmosem – kwestia ta okazywała się całkiem łatwa do rozwiązania.

Z pewnością to ostatnie założenie było warunkowe, pozostawało jednak w pełnej zgodzie z całym systemem, który badał człowieka i świat. Każdą pojedynczą żywą istotę – psa, kota, drzewo – można było uznać za Mikrokosmos; zbiór wszystkich istot żyjących stanowił wtedy Tritokosmos, czy też "życie organiczne na Ziemi". Jedynie te definicje wydawały mi się logicznie możliwe. I nie mogłem zrozumieć, dlaczego G się przeciwstawił.

W każdym razie trochę później, kiedy ponownie wróciłem do zagadnienia kosmosów, postanowiłem przyjąć, że człowiek to Mikrokosmos, a Tritokosmos uznać za życie organiczne na Ziemi.

Przy takiej konstrukcji dużo spraw okazało się bardziej ze sobą związanych. Przeglądając kiedyś przekazany mi przez G. rękopis "Przebłysków Prawdy" – to znaczy początek owego nie dokończonego opowiadania, które czytane było w grupie moskiewskiej, gdy po raz pierwszy ją odwiedziłem – natrafiłem na wyrażenia "Makrokosmos" i "Mikrokosmos"; co więcej, "Mikrokosmos" oznaczał tam człowieka:

Teraz masz już pewną ideę praw rządzących Makrokosmosem i powracasz na Ziemię. Przypomnij sobie: "Jak w górze, tak i na dole". Myślę, że już bez żadnych dalszych wyjaśnień nie będziesz kwestionował twierdzenia, iż życiem pojedynczego człowieka, to jest Mikrokosmosu, rządzą te same prawa.

"Przebłycki Prawdy"

To jeszcze bardziej umocniło nas w przekonaniu, że postąpiliśmy słusznie uznając Mikrokosmos za termin odnoszący się do człowieka. Później stało się dla nas jasne, dlaczego G. chciał, byśmy stosowali pojęcie "Mikrokosmosu" w odniesieniu do małych – w porównaniu z człowiekiem – wielkości i ku czemu chciał on w ten sposób skierować nasze myśli.

Pamiętam pewną rozmowę na ten temat.

– Jeśli chcemy graficznie przedstawić wzajemny stosunek między kosmosami – powiedziałem – to musimy przyjąć, że Mikrokosmos, czyli człowiek, jest punktem; to znaczy, że musimy rozpatrzeć go w bardzo małej skali i tak, jakby znajdował się on w bardzo dużej od nas odległości. Wtedy jego życie w Tritokosmosie, czyli wśród innych ludzi i w otoczeniu przyrody, będzie linią, którą zakreśla on na powierzchni kuli ziemskiej, w miarę jak przemieszcza się z miejsca na miejsce. W Mezokosmosie, to znaczy w powiązaniu z dwudziestoczterogodzinnym ruchem Ziemi dookoła własnej osi, linia ta stanie się płaszczyzną, a w odniesieniu do Słońca, to znaczy uwzględniając ruch Ziemi dookoła Słońca, stanie się ona ciałem trójwymiarowym lub, innymi słowy, stanie się ona czymś realnie istniejącym, czymś spełnionym.

Ponieważ jednak podstawowy punkt, to znaczy człowiek lub Mikrokosmos, też jest ciałem trójwymiarowym, więc tym sposobem mamy dwie trójwymiarowości.

W tym wypadku wszystkie możliwości człowieka spełniają się w Słońcu. Odpowiada to temu, co wcześniej zostało powiedziane, a mianowicie, że człowiek *nr 7 staje się nieśmiertelny w granicach układu słonecznego.*

Poza Słońcem, czyli poza układem słonecznym, nie ma on i nie może mieć żadnego istnienia lub też, innymi słowy, z punktu widzenia następnego kosmosu nie istnieje wcale. W Makrokosmosie człowiek w ogóle nie istnieje.

Makrokosmos to kosmos, w którym spełniają się możliwości Tritokosmosu. Możliwości Ziemi są spełnione w Megakosmosie, a możliwości Słońca spełniają się w Protokosmosie.

Jeśli Mikrokosmos, czy też człowiek, jest ciałem trójwymiarowym, to Tritokosmos – życie organiczne na Ziemi – jest ciałem czterowymiarowym. Ziemia ma zatem pięć wymiarów, a Słońce – sześć.

Zgodnie z potocznym poglądem naukowym, człowieka uznaje się za ciało trójwymiarowe; "życie organiczne na Ziemi" jako całość uważa się bardziej za zjawisko niż za ciało trójwymiarowe; z tego punktu widzenia Ziemia jest także

ciałem trójwymiarowym; Słońce jest ciałem trójwymiarowym, system słoneczny jest ciałem trójwymiarowym i Droga Mleczna jest ciałem trójwymiarowym.

Nieścistość takiego poglądu staje się oczywista, jeśli spróbujemy wyobrazić sobie istnienie jednego kosmosu wewnątrz drugiego, to znaczy niższego kosmosu w wyższym lub mniejszego kosmosu w większym – na przykład istnienie człowieka w życiu organicznym lub w stosunku do życia organicznego. W takim wypadku, życie organiczne należy nieuchronnie ująć w czasie. Istnienie w czasie jest wzrostem wzdłuż czwartego wymiaru.

Tak samo nie można uznać Ziemi za ciało trójwymiarowe. Byłaby trójwymiarowa, gdyby była nieruchoma. Jej ruch dookoła własnej osi czyni człowieka istotą pięciowymiarową, natomiast jej ruch dookoła Słońca czyni samą Ziemię czterowymiarową. Ziemia nie jest kulą, ale spiralą okrążającą Słońce, a Słońce nie jest kulą, lecz rodzajem wrzeciona wewnątrz tej spirali. Spirala i wrzeciono wspólnie muszą wykonywać w następnym kosmosie ruch lateralny; ale o następstwach tego ruchu nie możemy wiedzieć, gdyż nie znamy ani jego natury, ani kierunku.

Następnie: siedem kosmosów reprezentuje "okres wymiarów", ale to nie oznacza, że łańcuch kosmosów kończy się na Mikrokosmosie. Jeśli człowiek jest Mikrokosmosem, to znaczy jeśli sam w sobie jest kosmosem, to mikroskopijne komórki składające się na jego ciało będą się znajdowały mniej więcej w takim samym stosunku do niego, w jakim on sam znajduje się do życia organicznego na Ziemi. Mikroskopijna komórka, zakreślająca granice mikroskopijnej widoczności, składa się z miliardów molekuł, które zawierają kolejny stopień, następny kosmos. Idąc jeszcze dalej, możemy powiedzieć, że kolejnym kosmosem będzie elektron. Tak więc otrzymaliśmy drugi Mikrokosmos – komórkę, trzeci Mikrokosmos – molekułę, i czwarty Mikrokosmos – elektron. Te podziały i definicje mianowicie "komórki", "molekuły" i "elektrony" – są prawdopodobnie bardzo niedoskonałe; być może z czasem nauka ustali jakieś inne, jednakże zasada pozostanie zawsze taka sama i niższe kosmosy będą zawsze pozostawały dokładnie w takim samym stosunku do Mikrokosmosu.

Trudno jest odtworzyć wszystkie, przeprowadzone przez nas rozmowy na temat kosmosów.

Ja sam szczególnie często powracałem do słów G. na temat różnicy czasu w różnych kosmosach. Czułem, że tkwiła w tym zagadka, którą mogłem i którą musiałem rozwiązać.

Postanawiając w końcu zebrać razem wszystko to, co na ten temat myślałem, uznałem człowieka za Mikrokosmos. Przyjąłem, że następny po człowieku kosmos stanowi "życie organiczne na Ziemi", które nazwałem "Tritokosmosem". Sam nie rozumiałem tej nazwy, ponieważ nie byłem w stanie odpowiedzieć na pytanie, dlaczego życie organiczne na Ziemi jest "trzecim" kosmosem. Ale nazwa jest nieistotna. Dalej wszystko było już zgodne z systemem G. Poniżej

człowieka, a więc następnym mniejszym kosmosem, była "komórka". Nie dowolna komórka ani nie komórka znajdująca się w dowolnych warunkach, lecz komórka całkiem duża, taka jak na przykład komórka zarodkowa ludzkiego organizmu. Za następny kosmos można przyjąć małą *ultramikroskopijną* komórkę. Idea istnienia dwóch kosmosów w mikroskopijnym świecie, to znaczy idea dwóch mikroskopijnych istot różniących się od siebie tak, jak człowiek różni się od komórki zarodkowej, jest w bakteriologii zupełnie jasna.

Następnym kosmosem była molekula, a kolejnym elektron. Ani "molekula", ani "elektron" nie wydawały mi się trafnymi czy też wiarygodnymi definicjami, ale z braku innych, można było na razie z nich skorzystać.

Taka kolejność niewątpliwie wprowadzała lub też utrzymywała całkowitą niewspółmierność pomiędzy kosmosami, to znaczy zachowywała ona stosunek zera do nieskończoności. I później system ten stworzył możliwość powstania wielu interesujących konstrukcji.

Dalsze rozwinięcie idei kosmosów miało miejsce dopiero w rok po tym, gdy o niej usłyszeliśmy, to jest wiosną 1917 roku, kiedy to po raz pierwszy udało mi się skonstruować "tablicę czasu w różnych kosmosach". Ale o tablicy tej będę mówił później. Dodam tylko, że pomimo obietnic, G. nigdy nie wyjaśnił nazw kosmosów i pochodzenia tych nazw.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

– Często zadaje mi się pytania związane z różnymi tekstami i przypowieściami pochodzącymi z Ewangelii – powiedział kiedyś G. – Według mnie nie nadeszła jeszcze pora, byśmy mówili o Ewangelii. Wymaga to o wiele więcej wiedzy. Ale od czasu do czasu jakiś tekst z Ewangelii posłuży nam jako punkt wyjścia do dalszych dyskusji. Nauczy to was traktowania ich we właściwy sposób, a nade wszystko pozwoli wam zdać sobie sprawę z tego, że w tekstach, które są nam znane, z reguły brakuje najistotniejszych punktów.

Na początek zajmijmy się dobrze znanym tekstem o ziarnie, które musi umrzeć po to, by się narodzić. “Jeśli ziarno pszeniczne, wpadłszy w ziemię, nie obumrze, samo zostawa; lecz jeśli obumrze, wielki owoc przynosi”.

Tekst ten ma wiele różnych znaczeń i często będziemy do niego powracać. Ale przede wszystkim trzeba w pełni znać zawartą w tym tekście zasadę, stosującą się do człowieka.

Istnieje księga aforyzmów, która nigdy nie była i prawdopodobnie nigdy nie będzie opublikowana. Wspominałem wcześniej o tej księdze w związku z pytaniem o znaczenie wiedzy i zacytowałem wtedy jeden z aforyzmów pochodzących z tej księgi. A propos tego, o czym mówimy teraz, księga ta powiada, co następuje:

“Człowiek może się narodzić, ale po to, by się narodzić, musi on najpierw umrzeć, a po to, by umrzeć, musi najpierw się obudzić”.

W innym miejscu mówi ona:

“Gdy człowiek się obudzi, to może umrzeć; gdy umrze, to może się narodzić”.

Musimy odkryć, co to oznacza.

“Obudzić się”, “umrzeć”, “narodzić się”. Są to trzy następujące po sobie etapy. Jeśli będziecie uważnie badać Ewangelie, zobaczycie, że często wspomina się tam o możliwości “narodzenia się”, że kilka razy wspomina się też o konieczności “umierania” i że znajduje się tam bardzo wiele wzmianek na temat konieczności “obudzenia się”: “Uważajcie, czuwajcie, bo nie wiecie, kiedy czas ten nadejdzie...” itd. Ale trzy możliwości: obudzić się (to znaczy nie śnić), umrzeć i narodzić się, nie są przedstawione we wzajemnym powiązaniu. A to właśnie w tym cała rzecz. Jeśli człowiek umrze nie przebudziwszy się, to nie może się narodzić. Jeśli człowiek nie umierając, rodzi się, to może stać się on “rzeczą nieśmiertelną”. A zatem to, że “nie umarł”, uniemożliwia mu “narodzenie się”; to, że się nie obudził, uniemożliwia mu “umieranie”; jeśli miałby się on urodzić nie umarłszy wcześniej, to uniemożliwi mu to “bycie”.

Wystarczająco dużo mówiliśmy o znaczeniu "narodzin". Narodzenie się oznacza początek nowego wzrostu esencji, początek formowania się indywidualności, początek pojawienia się jednego, niepodzielnego „Ja”.

Jednakże aby móc to osiągnąć lub przynajmniej zacząć zmierzać tym kierunkiem, człowiek musi umrzeć, to znaczy musi uwolnić się tysięcy drobnych przywiązań i utożsamień, które utrzymują go w jego obecnym położeniu. Jest on przywiązany do wszystkiego w swoim życiu: przywiązany do własnej wyobraźni, przywiązany do własnej głupoty, przywiązany nawet do własnych cierpień – i prawdopodobnie bardziej do własnych cierpień niż do czegokolwiek innego. Musi się uwolnić od tego przywiązania. Przywiązanie do rzeczy, utożsamianie się z rzeczami, utrzymuje w człowieku przy życiu tysiąc bezużytecznych „ja”. Te „ja” muszą umrzeć po to, by duże Ja mogło się narodzić. Ale jak je zmusić do tego, by umarły? One nie chcą umrzeć. I właśnie w tym momencie przychodzi z pomocą możliwość obudzenia się. Obudzić się to znaczy zdać sobie sprawę z własnej nicości, to znaczy zdać sobie sprawę ze swojej całkowitej i absolutnej mechaniczności, ze swojej całkowitej i absolutnej bezradności. Nie wystarczy zdać sobie z tego sprawę filozoficznie, w słowach. Trzeba zdać sobie sprawę poprzez jasne, proste i konkretne fakty, poprzez osobiste fakty. Kiedy człowiek już trochę siebie pozna, to będzie wiedział o sobie wiele rzeczy, które z pewnością go przerażą. Dopóki człowiek nie jest sam sobą przerażony, dopóty nic o sobie nie wie.

Człowiek zobaczył w sobie coś, co go przeraża. Postanawia to wyrzucić, powstrzymać, skończyć z tym. Ale chociaż włoży w to wiele wysiłku, czuje, że nie może tego zrobić, że wszystko pozostaje tak, jak było. Ujrzy on dzięki temu swoją niemoc, swoją bezradność i swoją nicość. Albo: kiedy człowiek trochę pozna samego siebie, to zobaczy, że nie ma niczego, co jest jego własne, to znaczy, że wszystko, co uważał za swoje własne – swoje poglądy, myśli, przekonania, gusty, nawyki, nawet swoje braki i wady – nie jest jego własne, lecz zostało albo ukształtowane przez naśladowanie, albo też zostało skądś zapożyczone jako gotowe. Czując to, człowiek może poczuć swoją nicość. A odczuwając swoją nicość, człowiek powinien widzieć siebie takim, jakim naprawdę jest; i to nie na sekundę, nie na chwilę, ale bez przerwy, i nigdy o tym nie powinien zapomnieć.

Owa nieustanna świadomość własnej nicości i własnej bezradności da człowiekowi w końcu odwagę do tego, by „umrzeć”, to znaczy umrzeć nie tylko intelektualnie lub w swojej własnej świadomości, lecz umrzeć faktycznie i naprawdę, na zawsze odrzucając te aspekty samego siebie, które są niepotrzebne z punktu widzenia wewnętrznego wzrostu albo które w tym wzroście przeszkadzają. Tymi aspektami są: przede wszystkim „fałszywe Ja”, a następnie wszystkie fantastyczne idee na temat własnej „indywidualności”, „woli”, „świadomości”, „zdolności czynienia”, własnej mocy, inicjatywy, determinacji, itd.

Jednakże aby wiedzieć coś zawsze, trzeba najpierw to wiedzieć choćby przez jedną sekundę. Wszystkie nowe moce i zdolności urzeczywistniania czegoś przychodzą zawsze w jeden i ten sam sposób. Najpierw pojawiają się rzadko i na krótką chwilę w postaci prześwytów; później pojawiają się częściej i trwają dłużej; aż w końcu, po bardzo długiej pracy, stają się rzeczą trwałą. To samo dotyczy przebudzenia. Niemożliwe jest nagle, całkowite przebudzenie; najpierw trzeba zacząć się budzić na krótkie chwile. *Ale umrzeć trzeba w całości, naraz i na zawsze*, po włożeniu pewnego wysiłku, po pokonaniu pewnej przeszkody, po podjęciu pewnej decyzji, od której nie ma odwrotu. Bez powolnego, stopniowego budzenia się, które to poprzedza, byłoby to dla człowieka trudne, a nawet niemożliwe.

Ale istnieją tysiące rzeczy, które uniemożliwiają człowiekowi obudzenie się, które trzymają go w mocy jego snów. Aby świadomie działać z zamiarem obudzenia się, trzeba znać naturę sił, które utrzymują człowieka w stanie snu.

Po pierwsze, trzeba zdać sobie sprawę, że sen, w którym żyje człowiek, nie jest snem normalnym, lecz hipnotycznym. Człowiek jest zahipnotyzowany i ten hipnotyczny stan nieustannie jest w nim podtrzymywany i wzmacniany. Można by pomyśleć, że istnieją siły, dla których utrzymywanie człowieka w stanie hipnotycznym i uniemożliwianie zobaczenia prawdy oraz zrozumienia własnego położenia, jest pożyteczne i korzystne.

Jest taka wschodnia bajka, która mówi o bardzo bogatym czarodzieju, który posiadał olbrzymie stado owiec. Ale jednocześnie czarodziej był bardzo skąpy. Nie chciał zatrudnić pasterzy ani wybudować płotu wokoło pastwiska, na którym pasły się owce. Z tego powodu owce często gubiły się w lesie, wpadały w parowy, a nade wszystko uciekały, ponieważ wiedziały, że czarodziej chce ich mięsa i skóry, a to im się nie podobało.

Czarodziej znalazł w końcu na to lekarstwo. *Zahipnotyzował* owce i zasugerował im, co następuje: po pierwsze, że są nieśmiertelne, że obdzierając je ze skóry nie czyni się im żadnej krzywdy, a przeciwnie, że jest to dla nich dobre, a nawet przyjemne; po drugie, czarodziej zasugerował im, że jest *dobrym pasterzem*, który tak bardzo kocha swoje stado, że jest gotów dla niego zrobić wszystko na świecie; i po trzecie, zasugerował im, że jeśli cokolwiek miałoby się im przydarzyć, to nie przydarzy się to teraz, a w każdym razie nie tego dnia, a zatem nie potrzebują o tym myśleć. Następnie czarodziej zasugerował swoim owcom, że wcale nie są owcami; niektórym z nich zasugerował, że są *lwami*, innym, że *orłami*, innym, że są *ludźmi*, a jeszcze innym, że *czarodziejami*.

Na tym skończyły się wszystkie jego troski i zmartwienia dotyczące owiec. Owce nigdy już nie uciekały, ale spokojnie oczekiwały chwili, kiedy czarodziej obedrze je z mięsa i skór.

Opowiadanie to bardzo dobrze ilustruje sytuację człowieka.

W tak zwanej literaturze "okultystycznej" spotkaliście się zapewne z wyrażeniami: "Kundalini", "ogień Kundalini" albo "wąż Kundalini". Często używa się tego wyrażenia do oznaczenia pewnego rodzaju dziwnej, obecnej w człowieku siły, którą można rozbudzić. Ale żadna z istniejących teorii nie daje właściwego objaśnienia siły Kundalini. Niekiedy wiąże się ją z seksem, z energią seksualną, to znaczy z ideą możliwości użycia energii seksualnej do innych celów. To stwierdzenie jest całkowicie błędne, ponieważ Kundalini może znajdować się w czymkolwiek. A zwłaszcza w rozwoju człowieka nie jest ona niczym pożądanym ani pożytecznym. To bardzo ciekawe, jak ci okultyści "dobrali się" do słowa, którego znaczenie całkowicie zmienili, i z rzeczy bardzo niebezpiecznej oraz przerażającej uczynili coś, na co powinno się mieć nadzieję i czego powinno się oczekiwać niby błogostawieństwa.

W istocie Kundalini jest mocą wyobraźni, mocą fantazji, *która zajmuje miejsce rzeczywistej funkcji*. Kiedy człowiek, zamiast działać, śni, kiedy jego sny zajmują miejsce rzeczywistości, kiedy człowiek sobie wyobraża, że jest orłem, lwem albo czarodziejem, to jest to działająca w nim siła Kundalini. Kundalini może działać we wszystkich centrach i za jej pomocą wszystkie centra mogą zaspokajać się tym, co urojone, zamiast tym, co rzeczywiste. Owca, która uważa się za lwa lub czarodzieja, znajduje się we władzy Kundalini.

Kundalini jest siłą, która została ludziom dana po to, by ich utrzymać w ich obecnym stanie. Gdyby ludzie rzeczywiście potrafili dostrzec swoje prawdziwe położenie i zobaczyć, jak jest ono przerażające, to nawet przez jedną sekundę nie mogliby pozostać tam, gdzie się właśnie znajdują. Zaczęliby szukać drogi wyjścia i szybko by ją znaleźli, bo *droga wyjścia istnieje*; ludzie jednak nie mogą jej dostrzec prostu dlatego, że są zahipnotyzowani. Kundalini jest siłą, która utrzymuje ich w stanie hipnozy.

"Obudzić się" to dla człowieka znaczy "zostać odhipnotyzowanym". Na tym polega główna trudność, ale w tym leży także gwarancja możliwości, bowiem nie istnieje żadna organiczna przyczyna snu i człowiek *może się obudzić*.

Teoretycznie może, ale praktycznie jest to prawie niemożliwe, gdyż jeśli nawet człowiek obudzi się na chwilę i otworzy oczy, to z dziesięciokrotnie większą energią zaczynają wtedy na niego działać wszystkie siły, które go uśpiły, tak że natychmiast zasypia ponownie i bardzo często zaczyna *śnić* o tym, że się obudził albo że się właśnie budzi.

W zwykłym śnie istnieją stany, w których człowiek chce się obudzić, lecz nie może. Mówi do siebie, że się obudził, ale w rzeczywistości nadal śpi – i może się to powtórzyć kilka razy, zanim w końcu się obudzi. Ale po przebudzeniu ze zwykłego snu człowiek znajduje się w nowym stanie. W śnie hipnotycznym rzecz wygląda inaczej: nie ma' tutaj, w każdym razie na początku budzenia się, żadnych obiektywnych oznak przebudzenia; człowiek nie może się uszczypnąć, by upewnić się, że nie śpi. A jeśli – nie daj Boże – człowiek kiedyś słyszał coś o,

obiektywnych oznakach, to Kundalini natychmiast przekształca to w wyobraźnię i sny.

Jedynie człowiek, który w pełni zda sobie sprawę, jak trudno się obudzić, może zrozumieć, że do tego, by się obudzić, konieczna jest długa i ciężka praca.

Czego potrzeba, mówiąc ogólnie, do obudzenia śpiącego człowieka? Konieczny jest porządny wstrząs. Ale jeśli człowiek śpi głębokim snem, to wtedy jeden wstrząs nie wystarczy. Potrzebny jest długi okres nieustannych wstrząsów. W konsekwencji potrzebny jest ktoś, kto będzie te wstrząsy powodował.

Wcześniej powiedziałem, że jeśli człowiek chce się obudzić, to musi wynająć kogoś, kto będzie przez długi czas nieustannie nim trząsł. Ale kogo może on wynająć, skoro wszyscy śpią? Człowiek wynajmie kogoś, kto ma go obudzić, ale ten ktoś też zaśnie. Jaki byłby wtedy z niego pożytek? Z kolei człowiek, który rzeczywiście potrafi nie spać, prawdopodobnie nie będzie chciał tracić swojego czasu na budzenie innych, albowiem może on mieć do wykonania swoją własną, o wiele ważniejszą pracę.

Można zostać obudzonym za pomocą środków mechanicznych. Człowieka może obudzić budzik. Ale kłopot polega na tym, że człowiek zbyt szybko przyzwyczaja się do budzika i przestaje go słyszeć. Potrzebnych jest wiele budzików, i to ciągle nowych. Człowiek musi dosłownie otoczyć się budzikami, które uniemożliwią mu sen. Ale tutaj znowu pojawiają się pewne trudności. Budziki muszą być nakrecające; aby je nakrecać, trzeba o nich pamiętać; aby pamiętać, trzeba się często budzić. Ale jeszcze gorsze jest to, że człowiek przyzwyczaja się do wszystkich budzików i po pewnym czasie nawet lepiej mu się przy nich śpi. Trzeba więc bez przerwy zmieniać budziki i nieustannie wymyślać nowe. Z biegiem czasu może to pomóc człowiekowi się obudzić. Ale istnieje bardzo mała szansa na to, że człowiek sam, bez żadnej pomocy z zewnątrz, będzie w stanie wykonywać całą pracę związaną z nakrecaniem, wymyślaniem i zmienianiem zegarków. Jest o wiele bardziej prawdopodobne, że po rozpoczęciu tej pracy z czasem pogrąży się we śnie i we śnie będzie śnił o wynajdywaniu budzików, o ich nakrecaniu i zmienianiu – i to wszystko spowoduje, że będzie spał coraz głębiej.

Tak więc do tego, by się obudzić, potrzebne jest połączenie wielu wysiłków. Konieczne jest, by ktoś człowieka obudził; konieczne jest, by ktoś inny czuwał nad człowiekiem, który go budzi; konieczne jest posiadanie budzików i konieczne jest także nieustanne wymyślanie nowych budzików.

By to wszystko osiągnąć i uzyskać jakieś wyniki, pewna liczba ludzi musi pracować razem.

Jeden człowiek niczego nie może zrobić.

Przed wszystkim potrzebuje on pomocy. Ale pomoc nie może nadejść jako pomoc dla jednego tylko człowieka. Ci, którzy są w stanie pomóc, bardzo cenią

sobie swój czas. I oczywiście woleliby pomóc, powiedzmy, dwudziestu czy trzydziestu osobom, które chcą się obudzić, niż jednemu tylko człowiekowi. Co więcej, jak zostało to wcześniej powiedziane, jeden człowiek może bardzo łatwo ludzię się co do swojego przebudzenia i po prostu brać nowy sen za przebudzenie. Jeśli kilku ludzi postanowi razem walczyć ze snem, to nawzajem się oni obudzą. Bardzo często może się zdarzyć, że dwudziestu z nich będzie spało, ale dwudziesty pierwszy będzie czuwał i obudzi pozostałych. Dokładnie tak samo rzecz się ma z budzikami. Jeden człowiek wymyśli jeden budzik, inny człowiek wymyśli drugi, a potem mogą się nimi wymienić. Wzajemnie mogą sobie bardzo pomóc. Bez takiej pomocy nikt niczego nie może osiągnąć.

A zatem człowiek, który chce się obudzić, musi szukać innych ludzi, którzy też chcą się obudzić, i musi razem z nimi pracować. Jednakże łatwiej jest to powiedzieć, niż zrobić, ponieważ rozpoczęcie i zorganizowanie takiej pracy wymaga wiedzy; której zwykły człowiek może posiadać. Praca musi być zorganizowana i ktoś musi ją prowadzić. Tylko w takim wypadku może ona dać oczekiwane rezultaty. Bez spełnienia tych warunków żaden wysiłek nie może przynieść jakiegokolwiek rezultatu. Ludzie mogą się katować, ale te katusze ich nie obudzą. Dla niektórych ludzi jest to najtrudniejsza rzecz do zrozumienia. Sami z siebie, z własnej inicjatywy mogą być zdolni do wielkich wysiłków i wielkich poświęceń. Ale gdy ich pierwszym wysiłkiem i pierwszym poświęceniem ma być posłuszeństwo, wtedy nic na świecie nie może skłonić ich do tego, by słuchali kogoś innego. Nie chcą pogodzić się z myślą, że wszystkie ich wysiłki i wszystkie ofiary są bezużyteczne.

Praca musi być zorganizowana. A może ona być zorganizowana tylko przez człowieka, który zna jej problemy i cele, który zna jej metody; przez człowieka, który w swoim czasie sam przeszedł przez taką zorganizowaną pracę.

Z reguły praca rozpoczyna się w małej grupie. Grupa ta jest zazwyczaj powiązana z całą serią podobnych, znajdujących się na różnych poziomach grup, które stanowią coś, co można by nazwać "szkołą przygotowawczą".

Pierwszą i najważniejszą cechą tych grup jest to, że nie są one tworzone zgodnie z życzeniami i preferencjami ich członków. Grupy tworzone są przez nauczyciela. Wybiera on typy ludzi, które z punktu widzenia jego celów mogą być dla siebie nawzajem przydatne.

Żadna praca w grupach nie jest możliwa bez nauczyciela. Praca grup ze złym nauczycielem może dać tylko negatywne wyniki.

Następną ważną cechą pracy w grupach jest to, że grupy mogą być związane z pewnym *celem*, o jakim ci, którzy zaczynają w nich pracować, nie mają żadnego pojęcia. Nie można go im nawet wyjaśnić do czasu, aż zrozumieją istotę i zasady pracy oraz związane z tą pracą idee. Jednakże ów cel, ku któremu ludzie zdążają i któremu służą, mimo że go nie znają, stanowi konieczną i

równoważącą zasadę ich własnej pracy. Ich pierwszym zadaniem jest zrozumienie tego celu, to znaczy celu nauczyciela. Kiedy zrozumieją ów cel, choćby na początku nie w pełni, ich własna praca stanie się bardziej świadoma, a więc da również lepsze wyniki. Ale, jak to już wcześniej powiedziałem, często się zdarza, że na początku cel nauczyciela nie może być wyjaśniony.

Tak więc na początku pracy w grupie pierwszym celem człowieka winno być *poznawanie siebie*. Praca nad poznawaniem siebie ma odbywać się tylko we właściwie zorganizowanych grupach. Człowiek sam nie może siebie zobaczyć. Ale jeśli pewna liczba ludzi zbierze się w tym celu razem, to nawet mimowolnie będą oni sobie nawzajem pomagać. Jest to zwykła cecha ludzkiej natury, że człowiek łatwiej dostrzega wady innych niż swoje własne. Jednocześnie na ścieżce poznawania siebie dowiaduje się, iż on sam ma wszystkie te wady, które znajduje u innych. Ale istnieje też wiele rzeczy, których on sam u siebie nie widzi, a które zaczyna dostrzegać u innych. Jednakże, jak już wcześniej powiedziałem, w tym wypadku dowie się on, że są to jego własne cechy, więc inni członkowie grupy służą mu jako zwierciadła, w których będzie mógł zobaczyć siebie samego. Ale, oczywiście, by w wadach innych ludzi rozpoznawać siebie, a nie tylko widzieć wady innych, człowiek musi bardzo strzec się samego siebie i być wobec siebie bardzo szczery.

Musi pamiętać, że nie jest jednym: że pewną jego część stanowi człowiek, który chce się obudzić, a pozostałą część stanowią "Iwanow", "Pietrow" albo "Zacharow", którzy wcale nie chcą się obudzić i których trzeba obudzić siłą.

Grupa jest zazwyczaj paktem zawartym pomiędzy kilkoma *Ja* pewnej grupy ludzi w celu podjęcia wspólnej walki z "Iwanowem", "Pietrowem" i "Zacharowem", to znaczy z ich własnymi "fałszywymi osobowościami".

Zajmijmy się Pietrowem. Pietrow składa się z dwóch części: *Ja* i "Pietrowa". Ale *Ja* jest wobec "Pietrowa" bezsilne. "Pietrow" jest panem. Przypuśćmy, że mamy dwudziestu ludzi; dwadzieścia *Ja* zaczyna walczyć z jednym "Pietrowem". Mogą się one okazać silniejsze od niego. W każdym razie mogą zakłócić jego sen; nie będzie on już dłużej w stanie spać tak spokojnie, jak dotychczas. I oto cały cel.

Ponadto w trakcie pracy nad poznawaniem siebie człowiek zaczyna gromadzić materiał pochodzący z obserwacji siebie. Dwudziestu ludzi będzie dysponować dwudziestokrotnie większym materiałem. I każdy z nich będzie mógł korzystać z całości takiego materiału, ponieważ wymiana obserwacji jest jednym z celów istnienia grupy.

Przy organizowaniu grupy jej członkom stawiane są pewne warunki; najpierw ogólne warunki dla wszystkich członków, a następnie szczegółowe warunki dla indywidualnych członków.

Na początku pracy warunki ogólne są zazwyczaj następujące: najpierw tłumaczy się wszystkim członkom grupy, iż muszą oni zachować w tajemnicy wszystko, co

słyszają lub czego uczą się w grupie, i to nie tylko wówczas, gdy są jej członkami, lecz także potem.

Jest to warunek, który nie podlega dyskusji, warunek, którego znaczenie od samego początku powinno być dla nich jasne. Innymi słowy, powinno być dla nich jasne, że nie chodzi o próbę robienia tajemnicy z czegoś, co w gruncie rzeczy nie jest tajemnicą, ani że nie chodzi o umyślne pozbawianie ich prawa do wymiany poglądów z bliskimi lub z przyjaciółmi. Sens tego ograniczenia polega na tym, że *nie są oni* w stanie należycie przekazać tego, o czym się mówi w grupach. Bardzo szybko zaczynają się uczyć – *na podstawie własnego, osobistego doświadczenia* – jak wiele wysiłku, jak wiele czasu i jak wiele wyjaśnień potrzeba, by pojąć to, o czym mówi się w grupach. Staje się dla nich jasne, iż nie są w stanie przekazać swoim przyjaciołom właściwej koncepcji tego, czego sami się nauczyli. Jednocześnie zaczynają rozumieć, że przekazując swoim przyjaciołom *błędne idee*, pozbawiają ich możliwości zbliżenia się kiedykolwiek i w jakikolwiek sposób do pracy oraz zrozumienia czegokolwiek, co się wiąże z nią – nie licząc tego, że w ten sposób stwarzają sobie bardzo wiele trudności na przyszłość, a nawet bardzo wiele nieprzyjemności. Jeśli pomimo to człowiek próbuje przekazać swoim przyjaciołom to, co słyszy w grupie, bardzo szybko się przekonuje, iż wysiłki zmierzające w tym kierunku dają całkowicie nieoczekiwane i niepożądane wyniki. Ludzie zaczynają się z nim sprzeczać albo sami nie chcąc go słuchać, oczekują od niego, że będzie wysłuchiwał *ich* teorii, lub też błędnie interpretują wszystko to, co im powiedział, nadając wszystkiemu, co od niego usłyszeli, całkowicie odmienne znaczenie. Widząc to i rozumiejąc bezużyteczność takich prób, człowiek zaczyna dostrzegać jeden z aspektów powyższego ograniczenia.

Inny, nie mniej istotny jego powód polega na tym, że człowiekowi bardzo trudno jest zachować milczenie na temat rzeczy, które go interesują. Chciałby o nich rozmawiać z każdym, z kim, jak to określa, przywykł dzielić się własnymi myślami. Jest to najbardziej mechaniczne ze wszystkich pragnień i w tym wypadku milczenie jest najtrudniejszą ze wszystkich form wstrzemięźliwości. I jeśli człowiek to pojmuje albo jeśli przynajmniej trzyma się takiej zasady, to będzie ona stanowić dla niego najlepsze możliwe ćwiczenie na pamiętanie siebie i rozwój woli. Tylko człowiek, który – kiedy jest to konieczne – potrafi milczeć, może być panem samego siebie.

Jednakże wielu ludziom bardzo trudno jest się pogodzić z myślą, że jedną z ich głównych cech charakterystycznych jest niepotrzebna gadatliwość. Zwłaszcza dotyczy to osób, które zwykły uważać siebie za osoby poważne i całkiem rozsądne albo też tych, którzy uważają się za milczków lubujących się w samotności i rozmyślaniach. Z tego powodu wymaganie to jest szczególnie ważne. Pamiętając o nim i wypełniając je człowiek zaczyna widzieć te strony samego siebie, których nigdy do tej pory nie zauważał.

Następne wymaganie stawiane członkom grupy jest takie, że muszą oni *nauczycielowi* grupy mówić całą prawdę.

To także musi być jasno i właściwie zrozumiane. Ludzie nie zdają sobie sprawy, jak ważne miejsce w ich życiu zajmuje kłamanie lub choćby tylko *ukrywanie prawdy*. Ludzie nie są w stanie być szczerzy ani wobec samych siebie, ani wobec innych. Nie rozumieją nawet tego, że uczenie się bycia szczerym *wówczas, gdy jest to konieczne*, jest jedną z najtrudniejszych rzeczy na świecie. Wyobrażają sobie, że mówienie albo nie mówienie prawdy, bycie albo nie bycie szczerym, zależy od nich. Muszą oni zatem nauczyć się bycia szczerym, i to nauczyć się tego zwłaszcza wobec *nauczyciela* ich pracy.

Umyślne mówienie nauczycielowi kłamstw albo bycie wobec niego nieszczerym lub też ukrywanie czegoś sprawia, że ich obecność w grupie staje się zupełnie bezużyteczna. Jest to gorsze od bycia niegrzecznym czy nieuprzejmym wobec nauczyciela lub w jego obecności.

Następnym wymaganiem stawianym członkom grupy jest to, że muszą oni *pamiętać, dlaczego przyszli do grupy*. Przyszli po to, by się uczyć i by pracować nad sobą, i to uczyć się i pracować nie tak, jak oni sami to rozumieją, lecz tak jak im się każe. A zatem jeśli zaczynają oni, będąc już w grupie, czuć lub wyrażać brak zaufania do nauczyciela, krytykować jego działania, udowadniać, że wiedzą lepiej, jak grupa powinna być prowadzona, a w szczególności jeśli cechuje ich brak zewnętrznego zważania w stosunku do nauczyciela, brak szacunku dla niego, opryskliwość, niecierpliwość, skłonność do sprzecznania się, to natychmiast zamyka to jakakolwiek możliwość pracy, ponieważ praca możliwa jest tylko dopóty, dopóki ludzie pamiętają, że przyszli po to, by się uczyć, a nie po to, by uczyć innych.

Jeśli człowiek przestaje ufać nauczycielowi, to nauczyciel staje mu się niepotrzebny, a i on staje się niepotrzebny nauczycielowi. I w takim wypadku lepiej jest, żeby taki człowiek odszedł i poszukał sobie innego nauczyciela albo żeby spróbował pracować bez nauczyciela. Co prawda na nic mu się to nie zda, ale wyrządzi to mniej szkody niż okłamywanie nauczyciela, ukrywanie przed nim prawdy, opieranie się mu czy też okazywanie mu braku zaufania.

Niezależnie od tych podstawowych wymagań zakłada się oczywiście, że członkowie grupy muszą pracować. Jeśli uczęszczają na spotkania grupy i nie pracują, a jedynie sobie wyobrażają, że pracują, lub jeśli uważają, że praca polega na samej tylko obecności w grupie, czy też, jak to się często zdarza, jeśli traktują swoją obecność w grupie jako rozrywkę, okazję do nawiązania przyjemnych znajomości, itd., to jest bardzo prawdopodobne, że ich obecność w grupie stanie się zupełnie bezużyteczna. I im wcześniej zostaną oni odesłani lub odejdą z własnej woli, tym lepiej dla nich samych i dla innych.

Podstawowe wymagania, które zostały wyliczone, stanowią reguły, które

obowiązują wszystkich członków grupy. Po pierwsze, reguły pomagają każdemu, kto chce pracować, uniknąć tego wszystkiego, co może mu przeszkadzać w pracy lub jej szkodzić. Po drugie, *pomagają mu one pamiętać samego siebie*.

Bardzo często się zdarza, że na początku pracy członkom grupy nie podoba się ta albo inna reguła. I nawet pytają: *czyż nie możemy pracować bez reguł?* Wydaje im się, że reguły niepotrzebnie krepują wolność lub są tylko męczącą formalnością, a przypominanie o regułach to oznaka złej woli albo niezadowolenia ze strony nauczyciela.

W rzeczywistości reguły są główną i pierwszą formą *pomocy*, jaką otrzymują oni od *pracy*. Jest rzeczą zrozumiałą, że reguły nie są to, by dostarczać im rozrywki czy zadowolenia, albo też ułatwiać pewne rzeczy. Reguły mają określony cel: chodzi o to, by uczniowie zachowywali się tak, jak zachowywaliby się, *“gdyby byli”*; to znaczy, gdyby pamiętali samych siebie i zdawali sobie sprawę z tego, jak jak winni się zachowywać wobec ludzi spoza pracy, ludzi w pracy i wobec nauczyciela. Gdyby pamiętali siebie i zdawali sobie z tego wszystkiego sprawę, to reguły byłyby im niepotrzebne. Ale na początku pracy nie są oni w stanie ani siebie pamiętać, ani tego zrozumieć. A zatem reguły są niezbędne – choć nigdy nie są one łatwe, przyjemne albo wygodne. Przeciwnie, powinny być trudne, nieprzyjemne i niewygodne; inaczej nie spełniałyby swojego celu. Reguły są budzikami, które budzą śpiącego człowieka. Tymczasem człowiek, otwierając na sekundę oczy, oburza się na budzik i pyta: *Czyż nie można się obudzić bez tych wszystkich budzików?*

Oprócz ogólnych reguł, istnieją też pewne warunki indywidualne, stawiane oddzielnie każdej osobie, które z zasady mają związek z *“główną wadą”* lub *główną cechą* tej osoby.

To wymaga pewnego wyjaśnienia.

Każdy człowiek ma w swoim charakterze pewną cechę, która zajmuje centralne miejsce. Jest ona jakby osią, wokół której obraca się cała jego *“fałszywa osobowość”*. Osobista praca każdego człowieka musi polegać na walce z tą *główną wadą*. To tłumaczy, dlaczego nie może być żadnych generalnych reguł pracy i dlaczego wszystkie systemy, które próbują tworzyć takie reguły, albo do niczego nie prowadzą, albo wyrządzają szkodę. Jak mogą istnieć generalne reguły? Co dla jednej osoby jest korzystne, dla drugiej jest szkodliwe. Jeden człowiek mówi za dużo; musi on nauczyć się milczeć. Inny człowiek milczy, kiedy powinien mówić, więc musi się nauczyć mówić. I tak to się zawsze i ze wszystkim dzieje. Ogólne reguły pracy grup odnoszą się do każdego. Osobistych wskazówek można udzielić tylko indywidualnie. Jednakże człowiek sam nie może określić swojej *głównej cechy*, swojej *głównej wady*. Jest to praktycznie prawem. Nauczyciel musi wskazać mu tę *cechę* i pokazać mu, jak z nią walczyć. Nikt oprócz nauczyciela nie może tego zrobić.

Poznawanie "głównej wady" i walka z nią stanowią jakby indywidualną ścieżkę człowieka, ale cel musi być dla wszystkich ten sam. Tym celem jest zdanie sobie sprawy z własnej nicości. Dopiero gdy człowiek naprawdę i szczerze dochodzi do przekonania o swojej własnej bezradności i nicości, i dopiero gdy nieustannie je odczuwa, *tylko wówczas będzie on gotowy do następnych, o wiele trudniejszych etapów pracy*

Wszystko, co do tej pory zostało powiedziane, odnosi się do rzeczywistych grup, związanych z rzeczywistą i konkretną pracą, która z kolei związana jest z tym, co nazwano "czwartą drogą". Ale istnieje też wiele naśladowczych dróg, naśladowczych grup i naśladowczej pracy. I nie chodzi tu nawet o "czarną magię".

Podczas tych wykładów często zadawano pytanie, czym jest "czarna magia", a ja odpowiadałem na to, że żadna czerwona, zielona ani złota magia nie istnieje. Istnieje mechanika, czyli to, co się "zdarza", i istnieje "czynienie"., "Czynienie" jest magią, i istnieje tylko jeden rodzaj "czynienia". Nie mogą istnieć dwa rodzaje "czynienia". Ale może istnieć podrabianie, zewnętrzna imitacja "czynienia", które nie może dać żadnych obiektywnych wyników, ale może zwodzić naiwnych ludzi i wzbudzać w nich wiarę, zaślepienie, entuzjazm, a nawet fanatyzm.

To właśnie dlatego w prawdziwej pracy, to znaczy w prawdziwym "czynieniu", wzbudzanie w ludziach zaślepienia jest niedozwolone. T co nazywacie "czarną magią", opiera się na zaślepieniu i na graniu na ludzkich słabościach. "Czarna magia" nie oznacza wcale magii zła. Powiedziałem już wcześniej, że nikt nigdy nie robi niczego w imię zła, w interesie zła. Każdy zawsze robi wszystko w interesie dobra, *tak jak je rozumie*. I na tej samej zasadzie całkiem błędne jest twierdzenie, że czarna magia musi być koniecznie *egoistyczna*, że poprzez czarną magię człowiek usiłuje osiągnąć dla siebie pewne rezultaty. To zupełnie nie tak. Czarna magia może być bardzo altruistyczna i może dążyć do wybawienia ludzkości od rzeczywistego lub urojonego zła albo do działania dla dobra ludzkości. Ale to, co nazywane jest "czarną magią", ma zawsze jedną określoną cechę charakterystyczną. Tą cechą jest skłonność do używania ludzi do jakichś, nawet najlepszych celów, *bez ich wiedzy i zrozumienia*, poprzez wzbudzanie w nich wiary i zaślepienia albo poprzez wywoływanie w nich strachu.

Ale trzeba tutaj pamiętać, że każdy "czarny mag", czy to dobry, czy zły, uczęszczał do szkoły. Nauczył się czegoś, usłyszał coś, wie o czymś. Jest po prostu "na wpół wykształconym człowiekiem", który albo został wyrzucony ze szkoły, albo sam z niej odszedł, uznawszy, że dosyć już wie, nie chce być dłużej podporządkowany i dlatego może sam niezależnie pracować, a nawet kierować pracą innych. Wszelka "praca" tego rodzaju może dać tylko subiektywne wyniki, to znaczy zamiast do pomniejszania procesu okłamywania się, może ona prowadzić wyłącznie do jego powiększenia i pogłębienia snu. Pomimo to, od "czarnego maga" można się jednak czegoś nauczyć, choć w błędny sposób.

Czasami przypadkowo może on nawet powiedzieć prawdę. Mówię to dlatego, że istnieje wiele rzeczy gorszych od "czarnej magii". Są to na przykład rozmaite towarzystwa i grupy "okultystyczne" i "teozoficzne". Ich nauczyciele nie tylko sami nigdy nie byli w żadnej szkole, ale także nigdy nawet nie spotkali nikogo, kto był w pobliżu szkoły. Ich praca polega po prostu na małpowaniu. Ale praca naśladowcza tego rodzaju dostarcza bardzo dużo zadowolenia z siebie. Ktoś czuje, że jest "nauczycielem", inni czują, że są "uczniami" i wszyscy są zadowoleni. Nie istnieje tutaj żadna możliwość uświadomienia sobie własnej nicości. Jeśli nawet ludzie twierdzą, że sobie ją uświadomili, to jest to tylko złudzeniem i okłamywaniem siebie, po prostu zwykłym oszustwem. Bo przeciwnie, zamiast zdać sobie sprawę ze swojej własnej nicości, członkowie takich kregów uzyskują świadomość swego własnego znaczenia i nadmuchują swoje fałszywą osobowość.

Na początku bardzo trudno jest sprawdzić, czy praca jest właściwa, czy błędna, czy otrzymane wskazówki są słuszne, czy też niesłuszne. Pod tym względem teoretyczna część pracy może okazać się użyteczna, jako że łatwiej jest człowiekowi potem właściwie oceniać. Człowiek wie, co wie, a czego nie wie. Wie, czego można się nauczyć za pomocy zwykłych środków, a czego nie można. I jeśli nauczy się czegoś nowego, czego w zwykły sposób z książek i podobnych źródeł nie można się nauczyć – to stanowi to do pewnego stopnia gwarancję, że ta inna, praktyczna strona, też może mieć właściwy charakter.

Ale oczywiście daleko stąd do pełnej gwarancji, ponieważ błędy także są tutaj możliwe. Wszystkie okultystyczne i spirytystyczne towarzystwa i kregi twierdzą, że posiadły nową wiedzę. I są ludzie, którzy w to wierzą.

We właściwie zorganizowanych grupach nie wymaga się wiary; wymaga się po prostu tylko odrobiny zaufania, i to na krótki czas, bo im wcześniej człowiek sam zacznie sprawdzać wszystko, co słyszy, tym lepiej dla niego samego.

Walka z "fałszywym Ja", z własną główną cechą lub główną wadą, stanowi najważniejszą część pracy i musi odbywać się w działaniu, a nie słowach. W tym celu nauczyciel przydziela każdemu człowiekowi określone zadania. Żeby im sprostać, człowiek musi przezwyciężyć swą główną wadę. Wypełniając te zadania, człowiek walczy z samym sobą, pracuje nad sobą. Jeśli unika on zadań, próbuje ich nie wypełniać, oznacza to, że albo nie chce, albo nie może pracować.

Z reguły na początku przydzielane są tylko bardzo łatwe zadania, których nauczyciel nawet nie nazywa zadaniami, i nie mówi o nich dużo, lecz przedstawia je w formie aluzji. Jeśli widzi on, że jest rozumiany i zadania są spełniane, to przechodzi do zadań coraz trudniejszych.

Trudniejsze zadania, choć tylko subiektywnie są one trudne, nazywane są "barierami". Osobliwość barier polega na tym, że po pokonaniu poważnej bariery człowiek nie może już wrócić do zwykłego snu, zwykłego życia. I jeśli po

pokonaniu pierwszej bariery czuje on strach przed kolejnymi i nie idzie już dalej, to zatrzymuje się jakby pomiędzy dwiema barierami, nie będąc w stanie się ruszyć w tył ani w przód. Jest to najgorsza rzecz, jaka może się przytrafić człowiekowi. Dlatego też nauczyciel jest zazwyczaj bardzo ostrożny przy wyborze zadań i barier; innymi słowy, bierze on na siebie pewne ryzyko i przydziela określone zadania, które wymagają pokonania wewnętrznych barier, tylko tym ludziom, którzy okazali się wystarczająco silni przy pokonywaniu mniejszych barier.

Często się zdarza, że po zatrzymaniu się przed jakąś – zazwyczaj najmniejszą i najprostszą – barierą, ludzie zwracają się przeciwko pracy, przeciwko nauczycielowi i przeciwko innym członkom grupy, oskarżając ich o to, co właśnie w nich samych zostało ujawnione.

Czasami okazują skruchę i sami się obwiniają, potem znów winią innych, po czym jeszcze raz okazują skruchę, itd. Ale nic tak nie charakteryzuje człowieka, jak jego postawa wobec pracy i nauczyciela, którą przybiera, *kiedy już od nich odejdzie*. Niekiedy celowo poddaje się kogoś takiej próbie. Człowiek zostaje postawiony w takiej sytuacji, że *zobowiązany jest odejść*; jego żal do nauczyciela lub jakiejś innej osoby jest wówczas w pełni usprawiedliwiony. Obserwuje się więc, jak będzie się on zachowywać. Porządny człowiek będzie zachowywał się porządnie, nawet jeśli myśli, że potraktowano go źle lub niesprawiedliwie. Ale wielu ludzi w takich okolicznościach pokazuje tę stronę swej natury, której inaczej nigdy by nie pokazali. I czasami użycie tego sposobu jest konieczne do ujawnienia natury człowieka. Dopóki jesteś dobry dla człowieka, dopóty i on jest dobry dla ciebie. Ale jaki on będzie, jeśli lekko go zadraśniesz?

Jednakże to nie jest główną sprawą. To, co jest istotne, to jego osobista postawa, jego własna *ocena* idei, które otrzymuje lub otrzymał, jego przyjęcie lub odrzucenie tej oceny. Człowiek może przez długi czas całkiem szczerze myśleć, że chce pracować i może nawet podejmować wielkie wysiłki, a potem wszystko to odrzucić i nawet zdecydowanie zwrócić się przeciwko pracy; może się usprawiedliwiać, wymyślać różne rzeczy, celowo przypisywać błędne znaczenie temu, co usłyszał, itd.

– Co go za to czeka? – zapytał ktoś ze słuchaczy.

– Nic – cóż mogłoby go czekać? – powiedział G. – *On sam jest dla siebie karą*. Czy może być coś gorszego?

Nie da się w pełni opisać sposobu, w jaki prowadzona jest praca w grupie – kontynuował G. – Trzeba przez to przejść. Wszystko, co zostało do tej pory powiedziane, to tylko aluzje, których prawdziwe znaczenie objawione zostanie jedynie tym, którzy będą dalej pracować i których doświadczenie nauczy, co oznaczają "bariery" i jakiego rodzaju trudności one stanowią.

Mówiąc ogólnie: najtrudniejszą barierą jest przezwyciężenie kłamania. Człowiek

tyle kłamie i tak często okłamuje siebie i innych, że przestaje to zauważać. Pomimo to kłamanie musi zostać przewyciężone. I pierwszym wysiłkiem, którego się wymaga od człowieka, jest przewyciężenie kłamstwa w stosunku do nauczyciela. Człowiek musi od razu zdecydować, że będzie mówił mu tylko prawdę, albo też powinien od razu ze wszystkiego zrezygnować.

Musicie zdać sobie sprawę, że nauczyciel podejmuje się bardzo trudnego zadania, zadania oczyszczenia i naprawienia ludzkich maszyn. Oczywiście przyjmuje on tylko te maszyny, których naprawa leży w jego mocy. Jeśli w maszynie popsuło się albo nie działa coś istotnego, odmawia on zajmowania się nią. Ale nawet takie maszyny, które dało się oczyścić, stają się całkowicie beznadziejne, jeśli zaczynają mówić kłamstwa. Nawet zupełnie nieistotne okłamywanie nauczyciela czy wszelkiego rodzaju skrytość – na przykład ukrywanie czegoś, co na czyjąś prośbę stanowi tajemnicę – kładzie kres pracy człowieka, zwłaszcza jeśli poprzednio podjął on już jakieś wysiłki.

Jest tutaj coś, o czym musicie pamiętać. Każdy podjęty przez człowieka wysiłek podwyższa stawiane mu wymagania. Dopóki człowiek nie podjął żadnego poważnego wysiłku, dopóty stawiane mu wymagania są bardzo małe; natomiast jego własne wysiłki natychmiast powodują, że wymagania, które mu się stawia, są podwyższane. Im większe są podejmowane wysiłki, tym większe są nowe wymagania.

Na tym etapie ludzie bardzo często popełniają błąd, który stale jest popełniany. Myślą, że wcześniej podjęte wysiłki, czy też, jeśli można tak powiedzieć, ich dotychczasowe zasługi dają im pewnego rodzaju prawa lub przewagę, że *obniżają* stawiane im wymagania i mogą stanowić jakby wymówkę, w razie gdyby nie pracowali albo też zrobili coś źle w przyszłości. Jest to oczywiście najbardziej fałszywe przeświadczenie. Nic z tego, co człowiek zrobił wczoraj, nie usprawiedliwia go dzisiaj. Całkiem na odwrót, jeśli człowiek nic wczoraj nie zrobił, to dzisiaj niczego się od niego nie wymaga; jeśli wczoraj coś zrobił, oznacza to, że dzisiaj musi zrobić jeszcze więcej. Z pewnością nie oznacza to, że lepiej jest nic nie robić. Kto nic nie robi, niczego też nie otrzymuje.

Jak już powiedziałem, jednym z pierwszych wymagań jest szczerowość. Ale istnieją różne rodzaje szczerowości. Istnieje inteligentna szczerowość i głupia szczerowość, tak samo jak istnieje inteligentna oraz głupia nieszczerowość. Zarówno głupia szczerowość, jak i głupia nieszczerowość, są jednakowo mechaniczne. Ale jeśli człowiek pragnie nauczyć się *być inteligentnie szczerym*, to przede wszystkim musi on być szczerzy wobec swojego nauczyciela i wobec ludzi, którzy są już dłużej od niego w tej pracy. To będzie inteligentna szczerowość. Trzeba tutaj jednak zauważyć, że szczerowość nie może stać się "brakiem szacunku". Jak już powiedziałem, brak poważania dla nauczyciela albo dla wyznaczonych przez niego osób niszczy wszelki możliwość jakiegokolwiek pracy.

Jeśli człowiek pragnie nauczyć się bycia *inteligentnie nieszczerym*, to musi on

być nieszczerzy mówiąc o pracy i musi nauczyć się milczeć wtedy, kiedy powinien milczeć, to jest wobec ludzi, którzy znajdują się poza pracą i którzy nie mogą jej ani zrozumieć, ani docenić. Jednakże w grupie szczerłość jest wymaganiem bezwzględnym, ponieważ, jeśli człowiek w grupie będzie kłamał w ten sam sposób, w jaki okłamuje siebie i innych w życiu, to nigdy nie nauczy się odróżniać prawdy od kłamstwa.

Drugą barierą bardzo często jest pokonanie lęku. Człowiek zazwyczaj ma wiele niepotrzebnych, urojonych lęków. Kłamstwa i lęki – to jest atmosfera, w jakiej żyje zwykły człowiek. Pokonanie lęku, tak samo jak przezwyciężenie kłamstwa, jest sprawą indywidualną. Każdy człowiek ma swoje własne, tylko jemu właściwe lęki. Trzeba najpierw te lęki rozpoznać, a potem je zniszczyć. Lęki, o których mówię, są zazwyczaj związane z kłamstwami, pośród których człowiek żyje. Musicie sobie zdać sprawę, że owe lęki nie mają nic wspólnego ze zwykłym lękiem przed pająkiem, myszami czy ciemnością w pokoju, ani też z niewytłumaczalnymi lękami nerwowymi.

Walka z kłamanem w sobie i z lękami jest pierwszą pozytywną pracą, jaką człowiek podejmuje.

Trzeba ogólnie zdać sobie sprawę z tego, że pozytywne wysiłki, a nawet ponoszone ofiary w pracy nie usprawiedliwiają ani nie tłumaczą błędów, które po nich następują. Przeciwnie, rzeczy, jakie można wybaczyć człowiekowi, który nie podjął żadnych wysiłków i niczego nie poświęcił, nie będą wybaczone temu, kto już poniósł wielkie ofiary.

Wydaje się to niesprawiedliwe, ale trzeba zrozumieć prawo. Dla każdego człowieka sporządza się jakby oddzielny rachunek. Po jednej stronie księgi zapisywane są jego wysiłki i ofiary, a po drugiej jego błędy i przewinienia. To, co zapisane jest po stronie dodatniej, nigdy nie może zadośćuczynić temu, co zapisane jest po ujemnej stronie. To, co jest pisane po stronie ujemnej, może być zmasane tylko przez prawdę, to znaczy przez natychmiastowe i całkowite wypowiedanie się przed sobą samym i innymi, a nade wszystko przed nauczycielem.

Jeśli człowiek widzi swoją winę, ale nadal siebie usprawiedliwia, to mała obraza może wtedy zniszczyć wynik wieloletniej pracy i wysiłku. W pracy zatem często lepiej jest przyznać się do winy, nawet jeśli nie jest się winnym. Ale to znów jest sprawa delikatna i nie wolno z tym przesadzać. Inaczej skutkiem będzie ponowne kłamanie, i to kłamanie wywołane strachem.

Przy innej okazji, mówiąc o grupach, G. powiedział:

– Nie myślcie, że możemy rozpocząć od razu od tworzenia grupy. Grupa to duża sprawa. Grupę zakłada się w celu *zgodnej* pracy. To bardzo określony cel. Ja musiałbym wam w tej pracy zaufać, a wy musielibyście zaufać mi i sobie nawzajem. Wtedy byłaby to grupa. Do czasu rozpoczęcia ogólnej pracy, grupa

jest tylko grupą przygotowawczą. Powinniśmy się przygotować tak, by z czasem stać się grupą. A przygotowanie się do utworzenia grupy możliwe jest tylko poprzez próby upodabniania jej do takiej grupy, jaką być powinna – oczywiście poprzez upodobnienie jej wewnątrznie, a nie zewnątrznie.

Co jest do tego konieczne? Po pierwsze, musicie zrozumieć, że w grupie wszyscy są za siebie odpowiedzialni. Błąd popełniony przez jedną osobę uważa się za błąd popełniony przez wszystkich. To jest prawo. I prawo to ma właściwe podstawy, ponieważ, jak to później zobaczycie, to, co osiąga jedna osoba, osiągają także wszyscy.

Trzeba zawsze pamiętać o zasadzie zbiorowej odpowiedzialności. Ta zasada ma także inną stronę. Członkowie grupy są odpowiedzialni nie tylko za błędy popełnione przez innych, lecz także za ich niepowodzenia. Sukces jednej osoby jest sukcesem wszystkich. Niepowodzenie jednej osoby jest niepowodzeniem wszystkich. Poważny błąd jednej osoby, taki jak na przykład złamanie podstawowej reguły, musi nieuchronnie prowadzić do rozwiązania całej grupy.

Grupa musi pracować tak jak jedna maszyna. Części maszyny muszą znać się nawzajem i nawzajem sobie pomagać. Nie mogą istnieć interesy osobiste, sprzeczne z interesami innych lub sprzeczne z interesami pracy; nie może być osobistych sympatii lub antypatii, które przeszkadzają w pracy. Wszyscy członkowie grupy są przyjaciółmi i braćmi, ale jeśli jeden z nich odejdzie, szczególnie jeśli zostanie on odprawiony przez nauczyciela, to przestaje być przyjacielem i bratem, i natychmiast staje się kimś obcym, tak jak ktoś odseparowany. Często staje się to bardzo trudną regułą, ale mimo to konieczną. Ludzie mogą być przyjaciółmi przez całe życie i mogą razem przyłączyć się do grupy. Potem jeden z nich odchodzi. Drugi nie ma wtedy prawa rozmawiać z nim na temat pracy grupy. Człowiek, który odszedł, czuje się urażony, nie rozumie tego, i obaj zaczynają się kłócić. By tego uniknąć, gdy w grę wchodzi związek, takie jak mąż i żona, matka i córka, itd., traktujemy je jako "jedno", to znaczy, że mąż i żona uważani są za jednego członka grupy. A zatem jeśli jedno z nich nie może dalej pracować i odchodzi, drugie uznawane jest za winnego i także musi odejść.

Co więcej, musicie pamiętać, że ja mogę wam pomóc tylko w takim stopniu, w jakim wy możecie mi pomóc. Ponadto wasza pomoc, szczególnie na początku, policzona będzie nie na podstawie konkretnych wyników, które prawie na pewno będą zerowe, ale na podstawie ilości i rozmiarów waszych wysiłków.

Potem G. przeszedł do indywidualnych zadań i do definiowania naszych "głównych wad". Następnie przydzielił nam kilka określonych zadań, od których to rozpoczęła się praca naszej grupy.

Później, w 1917 roku, kiedy przebywaliśmy na Kaukazie, G. pewnego razu dodał kilka interesujących obserwacji do ogólnych zasad kształtowania się grup.

Sadzę, że muszę je tutaj przytoczyć.

– Bierzecie to wszystko nazbyt teoretycznie – powiedział. – Powinniście teraz już więcej wiedzieć. Nie ma żadnego szczególnego pożytku z samego tylko istnienia grupy, ani należenie do grupy nie jest żadną szczególną zasługą. Korzyść czy też pożytek z istnienia grup określone są przez ich wyniki.

Praca każdego człowieka może podążać w trzech kierunkach. Może on być pożyteczny dla *pracy*. Może on być pożyteczny dla *mnie*. I może on być pożyteczny dla *siebie samego*. Jest oczywiście pożądane, by praca człowieka przynosiła rezultaty we wszystkich trzech kierunkach. Jeśli to się nie uda, to można poprzestać na korzyściach płynących w dwóch kierunkach. Na przykład: jeśli człowiek jest pożyteczny dla *mnie*, to już przez sam ten fakt jest on także pożyteczny dla *pracy*. Lub jeśli jest on pożyteczny dla *pracy*, to jest on także pożyteczny dla *mnie*; jeśli, powiedzmy, człowiek jest pożyteczny dla *pracy* i pożyteczny dla *mnie*, ale nie jest w stanie być pożyteczny dla samego siebie, to jest to sytuacja o wiele gorsza, ponieważ nie może ona długo trwać. Jeśli człowiek sam z niczego nie korzysta i nie zmienia się, jeśli pozostaje taki, jakim był dotychczas, to wtedy fakt, że przypadkowo przez krótki czas był pożyteczny, nie liczy się na jego korzyść, i co jeszcze ważniejsze, w konsekwencji jego przydatność nie trwa długo. Praca się rozwija i zmienia. Jeśli człowiek sam się nie rozwija lub nie zmienia, to nie może nadażyć za pracą. Praca zostawia go z tyłu, a wówczas akurat to, co było pożyteczne, może zacząć być szkodliwe.

Latem 1916 roku wróciłem do Petersburga.

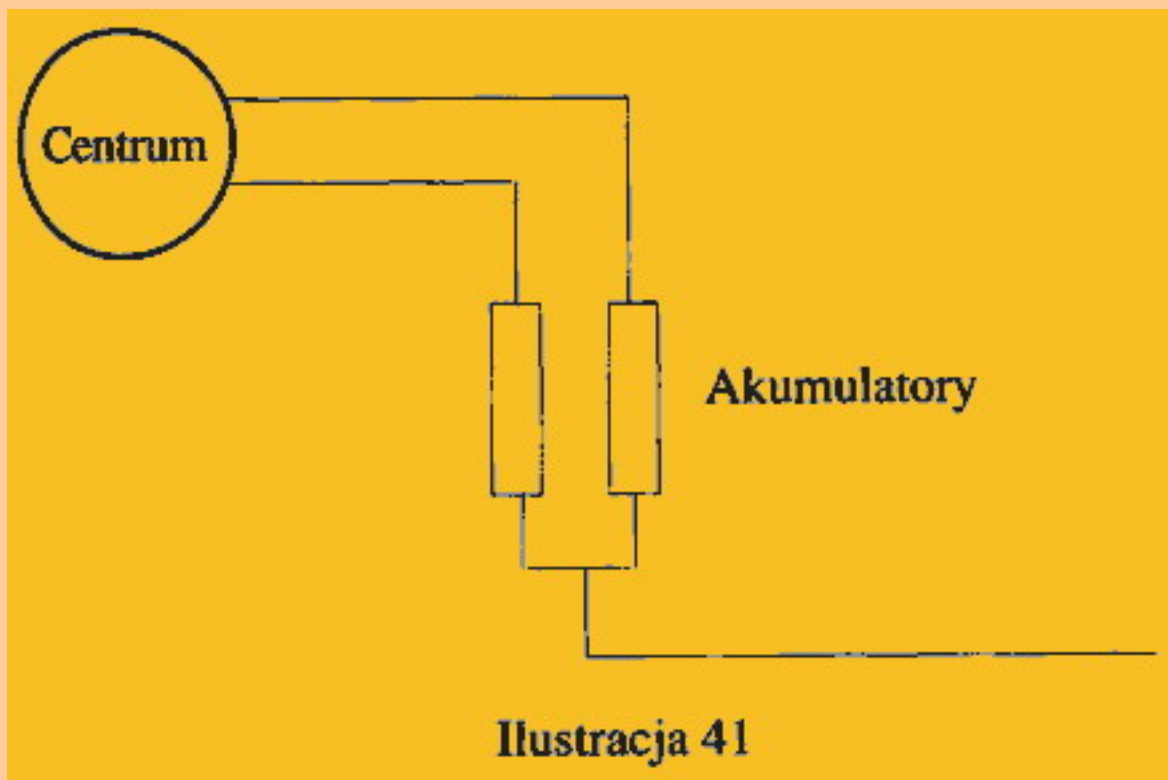
Wkrótce po utworzeniu naszej grupy, czy też “grupy przygotowawczej”, G. mówił nam o wysiłkach związanych z zadaniami, które nam wyznaczył.

– Musicie zrozumieć – powiedział – że zwykłe wysiłki się nie liczą. *Liczą się tylko nadwysiłki*. I tak to jest zawsze i ze wszystkim. Ci, którzy nie chcą podjąć nadwysiłków, lepiej żeby porzucili wszystko i zadbali o swoje zdrowie.

– Czy nadwysiłki mogą być niebezpieczne? – zapytał jeden ze słuchaczy, który szczególnie troszczył się o swoje zdrowie.

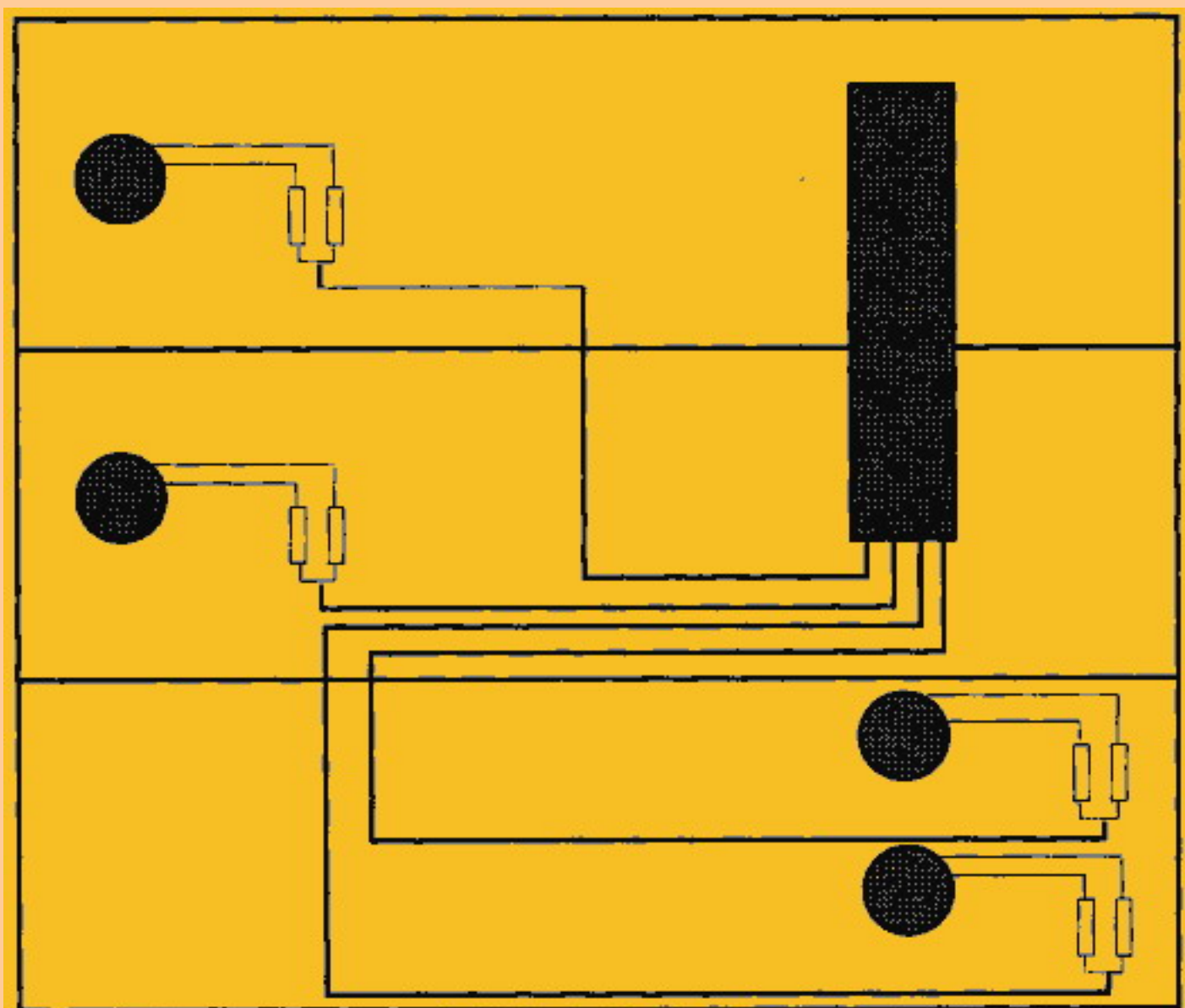
– Oczywiście, że mogą – powiedział G. – ale lepiej jest umrzeć usiłując się obudzić, niż żyć we śnie. To jedna rzecz. A inna rzecz to to, że nie jest tak łatwo umrzeć z wysiłku. Mamy o wiele więcej siły niż myślimy. Ale nigdy z niej nie korzystamy. Musicie zrozumieć pewien aspekt organizacji ludzkiej maszyny.

Bardzo ważną rolę w ludzkiej maszynie odgrywa pewnego rodzaju akumulator. W pobliżu każdego centrum znajdują się dwa małe akumulatory, wypełnione szczególną, konieczną do pracy danego centrum substancją.



Oprócz tego w organizmie znajduje się duży akumulator, który zasila małe. Małe akumulatory są ze sobą połączone, a dalej każdy z nich połączony jest zarówno ze znajdującym się w jego pobliżu centrum, jak i z dużym akumulatorem.

G. narysował wykres "ludzkiej maszyny", i wskazał na pozycje dużego i małych akumulatorów oraz na istniejące pomiędzy nimi połączenia.



Ilustracja 42

– Akumulatory działają w następujący sposób – powiedział. – Przypuśćmy, że człowiek pracuje albo czyta jakąś trudną książkę, próbując ją zrozumieć. W tym wypadku kilka "rolek" obraca się w aparacie myślowym, znajdującym się w jego głowie. Albo przypuśćmy, że idzie on pod górę i zaczyna odczuwać zmęczenie; w tym wypadku "rolki" obracają się w centrum ruchowym.

W pierwszym wypadku centrum intelektualne, a w drugim centrum ruchowe, pobierają konieczną do ich pracy energię z małych akumulatorów. Kiedy akumulator jest prawie pusty, człowiek odczuwa zmęczenie. Chciałby przerwać, usiąść, jeśli idzie, pomyśleć o czymś innym, jeśli rozwiązuje trudne zagadnienie. Ale całkiem nieoczekiwanie odczuwa przyływ siły i znów jest w stanie iść albo pracować. Oznacza to, że dane centrum połączyło się z drugim akumulatorem i że pobiera od niego energię. Tymczasem pierwszy akumulator na nowo napełnia się energią z dużego akumulatora. Praca centrum toczy się dalej. Człowiek w dalszym ciągu idzie albo pracuje. Czasami do zapewnienia tego połączenia potrzebny jest krótki odpoczynek. Czasami wstrząs, czasami wysiłek. W każdym

razie praca toczy się dalej. Po pewnym czasie zapas energii w drugim akumulatorze także się wyczerpuje. Człowiek ponownie odczuwa zmęczenie.

Znowu zewnętrzny wstrząs, krótki odpoczynek, papieros albo wysiłek i połączenie z pierwszym akumulatorem zostaje wznowione. Jednakże łatwo może się zdarzyć, że centrum tak szybko nabierze energii z drugiego akumulatora, że pierwszy, nie zdążywszy jeszcze do końca napełnić się energią z dużego akumulatora, pobierze tylko połowę energii, jaką może dysponować; jest więc tylko w połowie pełny.

Po ponownym połączeniu się z pierwszym akumulatorem centrum zaczyna pobierać z niego energię, podczas gdy drugi akumulator łączy się z dużym akumulatorem i pobiera z niego energię. Ale tym razem pierwszy akumulator był tylko w połowie pełny. Centrum szybko wyczerpuje jego energię, a tymczasem drugi akumulator zdążył się napełnić tylko w jednej czwartej. Centrum łączy się z nim, predko wyczerpuje całą swoją energię i ponownie łączy się z pierwszym akumulatorem. I tak dalej. Po pewnym czasie organizm zostaje doprowadzony do takiego stanu, że żaden z małych akumulatorów nie dysponuje już ani kroplą energii. Tym razem człowiek naprawdę czuje się zmęczony. Niemal upada, sen prawie ścina go z nóg; wszystko to wpływa na organizm; zaczyna więc dokuczać mu ból głowy, ma palpacje serca, czuje się chory.

I niespodziewanie kolejny krótki odpoczynek; zewnętrzny wstrząs albo wysiłek powoduje nowy przyływ energii, tak że człowiek znowu jest w stanie myśleć, iść albo pracować.

Oznacza to, że centrum zostało bezpośrednio połączone z dużym akumulatorem. Duży akumulator dysponuje olbrzymią ilością energii. Będąc podłączony do dużego akumulatora, człowiek jest w stanie dosłownie czynić cuda. Gdy jednak "rolki" będą się dalej obracać, tak że energia pobrana z atmosfery, pokarmu i wrażeń będzie w dalszym ciągu szybciej uchodziła z dużego akumulatora, niż do niego napływać, to oczywiście nadejdzie chwila, kiedy duży akumulator zostanie opróżniony z wszelkiej energii i organizm umrze. Ale to zdarza się bardzo rzadko. Zazwyczaj na długo przed tym organizm automatycznie przestaje pracować. Do tego, by organizm umarł, po wyczerpaniu całej swojej energii, konieczne są specjalne warunki. W zwykłych warunkach człowiek zaśnie albo zemdleje, lub też rozwinie w sobie jakieś wewnętrzne powikłania, które spowodują, że organizm nie będzie w stanie kontynuować pracy na długo przed pojawieniem się rzeczywistego niebezpieczeństwa.

Nie trzeba zatem obawiać się wysiłków; niebezpieczeństwo zgonu z ich powodu nie jest wcale takie duże. O wiele łatwiej jest umrzeć z bezczynności, z lenistwa i z lęku przed podjęciem wysiłku.

Naszym celem jest nauczyć się łączyć właściwe centrum z dużym akumulatorem. Dopóki nie jesteśmy w stanie tego robić, cała nasza praca idzie na marne, gdyż zapadniemy w sen, zanim nasze wysiłki przyniosą jakiegokolwiek

rezultaty.

Małe akumulatory wystarczają w życiu na zwykłą, codzienną pracę. Ale na pracę nad sobą, na wewnętrzny wzrost i na wysiłki, których wymaga się od człowieka wchodzącego na drogę, energia pochodząca z tych małych akumulatorów nie wystarcza.

Musimy nauczyć się pobierać energię wprost z dużego akumulatora. To jednakże możliwe jest jedynie z pomocą centrum emocjonalnego. Zrozumienie tego jest bardzo istotne. Połączenie z dużym akumulatorem można przeprowadzić tylko za pomocą centrum emocjonalnego. Centra instynktowe, ruchowe i intelektualne same mogą być zasilane wyłącznie przez małe akumulatory.

Tego właśnie ludzie nie rozumieją. I dlatego ich celem musi być rozwój aktywności centrum emocjonalnego. Centrum emocjonalne jest aparatem o wiele bardziej subtelnym niż centrum intelektualne, szczególnie jeśli weźmiemy pod uwagę fakt, że jedyną częścią pracującą w całym centrum intelektualnym jest aparat formatywny i że istnieje wiele rzeczy zupełnie niedostępnych dla centrum intelektualnego. Jeśli ktokolwiek pragnie wiedzieć i rozumieć więcej, niż wie i rozumie obecnie, to musi pamiętać, że to nowe poznanie i to nowe rozumienie przyjdzie poprzez centrum emocjonalne, a nie poprzez centrum intelektualne.

Oprócz tego, co powiedział na temat akumulatorów, G. poczynił także kilka bardzo ciekawych uwag na temat *ziewania i śmiechu*.

– Istnieją dwie niezrozumiałe funkcje naszego organizmu, niewytłumaczalne z naukowego punktu widzenia – rzeź – choć oczywiście nauka nie chce przyznać, że są one niewytłumaczalne. Chodzi o ziewanie i śmiech. Ani jedna, ani druga funkcja nie mogą być właściwie zrozumiane i wyjaśnione bez wiedzy o akumulatorach i o roli, jaką odgrywają one w organizmie.

Zauważyliście, że ziewacie, gdy jesteście zmęczeni. Na przykład szczególnie rzuca się to w oczy, kiedy człowiek nieprzywykły do chodzenia po górach wchodząc pod górę bez przerwy ziewa. Ziewanie jest pompowaniem energii do małych akumulatorów. Kiedy opróżniają się one zbyt szybko, to znaczy kiedy jeden z nich nie zdąży się jeszcze napełnić, podczas gdy drugi się opróżnia, ziewanie prawie ustaje. Istnieją pewne warunki chorobowe, które mogą nawet spowodować ustanie pracy serca, gdy człowiek chcąc ziewać nie jest w stanie tego robić; znane są też innego rodzaju warunki, kiedy psuje się coś w "pompie", powodując, że działa ona bez skutku – człowiek wtedy bez przerwy ziewa, ale nie pompuje przy tym do środka żadnej energii.

Poznawanie i obserwacja ziewania z powyższego punktu widzenia mogą więc ujawnić wiele nowych i interesujących faktów.

Śmiech jest także bezpośrednio związany z akumulatorami. Jednak śmiech jest funkcją przeciwstawną ziewaniu. Nie jest to wpompowywanie, lecz wypompowywanie, to znaczy wypompowywanie i pozbywanie się nadmiaru zgromadzonej w akumulatorach energii. Śmiech nie istnieje we wszystkich centrach, a jedynie w centrach dzielących się na dwie połowy – dodatnią i ujemną. Jeśli jeszcze szczegółowo o tym nie mówiłem, to zrobię to, gdy zaczniemy dokładniej poznawać centra; na razie zajmiemy się tylko centrum intelektualnym. Istnieją wrażenia, które docierają jednocześnie do obu połówek centrum i wytwarzają jednocześnie stanowcze "tak" i "nie". Takie równoczesne "tak" i "nie" wywołuje w centrum rodzaj konwulsji. Nie będąc w stanie zharmonizować i przetrwać tych dwóch przeciwstawnych wrażeń wywołanych jedną okolicznością, centrum zaczyna pod postacią śmiechu wyrzucać z siebie energię pochodzącą z akumulatora, do którego to centrum jest właśnie podłączone. Z kolei zdarza się, że w akumulatorze nagromadziło się zbyt dużo energii, której centra nie potrafią zużyć. Wtedy to każde najzwyklejsze wrażenie może zostać odebrane jako podwójne, to znaczy może ono jednocześnie dotrzeć do obu połówek centrum i wywołać śmiech, czyli spowodować pozbycie się energii.

Musicie zrozumieć, że przedstawiam wam sprawę tylko w ogólnym zarysie i musicie pamiętać, że zarówno ziewanie, jak i śmiech są bardzo zaraźliwe. To wskazuje, że zasadniczo są one funkcjami centrum instynktowego i ruchowego.

– Dlaczego śmiech jest tak przyjemny? – ktoś zapytał.

– Ponieważ – odpowiedział G. – śmiech wyzwala z nas nadmiar energii, która, jeśli pozostałaby nie zużyta, mogłaby się stać energią ujemną, czyli trucizną. Zawsze mamy w sobie pełno tej trucizny. Śmiech jest odtrutką. Ale ta odtrutka potrzebna jest tylko dopóty, dopóki nie potrafimy zużywać całej energii na pożyteczną pracę. Mówi się, że Chrystus nigdy się nie śmiał. I rzeczywiście, nie znajdziecie w Ewangeliach żadnej wskazówki ani wzmianki o tym, że Chrystus kiedykolwiek się śmiał. Ale istnieją różne sposoby *nie śmiania się*. Są ludzie, którzy nie śmieją się, ponieważ są całkowicie pogrążeni w negatywnych emocjach, w złości, w lęku, w nienawiści, w podejrzliwości. I mogą też istnieć inni; tacy, którzy się nie śmieją, ponieważ nie mogą mieć negatywnych emocji. Zrozumcie jedną rzecz. W wyższych centrach śmiech nie może istnieć, ponieważ w wyższych centrach nie ma podziału ani nie ma "tak" i "nie".

ROZDZIAŁ DWUNASTY

W tym czasie, w środku lata 1916 roku, praca w naszych grup zaczęła przyjmować nowe i coraz to bardziej intensywne formy. G. spędzał większość czasu w Petersburgu, wyjeżdżając do Moskwy tylko na kilka dni i zazwyczaj wracając z dwoma lub trzema ze swoich moskiewskich uczniów. Nasze wykłady i spotkania straciły już wtedy swój formalny charakter; wszyscy poznaliśmy się już lepiej i choć istniały małe tarcia, to jako całość stanowiliśmy bardzo zwartą grupę. Łączyło nas zainteresowanie nowymi ideami, których się uczyliśmy, i nowymi możliwościami zdobycia wiedzy i poznania siebie, które zostały przed nami otwarte. W owym czasie było nas około trzydziestu osób. Spotykaliśmy się prawie każdego wieczora. Kilka razy po powrocie z Moskwy G. zorganizował wyprawy na wieś, wielkie przyjęcia i pikniki z szaszłykami, które jakoś zupełnie nie przystawały do życia w Petersburgu. Szczególnie utrwaliła mi się w pamięci wycieczka do Ostrówki w górę rzeki Newy, ponieważ podczas tej wycieczki zdałem sobie sprawę, dlaczego G. organizował te pozornie całkiem bezcelowe rozrywki. Zrozumiałem, że przez cały czas nas obserwował i że w trakcie tych wycieczek wielu z nas pokazywało całkiem nowe aspekty samych siebie, które podczas naszych formalnych spotkań w Petersburgu pozostawały dobrze ukryte.

Moje kontakty z moskiewskimi uczniami G. zupełnie nie przypominały mojego pierwszego spotkania z nimi wiosny poprzedniego roku. Nie wydawali mi się oni teraz sztuczni ani jakby grający wyuczoną na pamięć rolę. Przeciwnie, zawsze z zapałem oczekiwałem ich przyjazdu i próbowałem się od nich dowiedzieć, na czym polega ich praca w Moskwie i czy G. powiedział im coś, o czym my nie wiedzieliśmy. Dowiedziałem się od nich wielu rzeczy, które później okazały się bardzo pożyteczne w mojej pracy. W moich ponownych rozmowach z nimi dostrzegłem rozwój bardzo określonego planu. Uczyliśmy się nie tylko od G., ale musieliśmy też uczyć się od siebie nawzajem. Zaczynałem widzieć grupy G. niczym "szkołę" jakiegoś średniowiecznego malarza, z którym uczniowie razem żyją i pracują, ucząc się od niego i jednocześnie ucząc siebie nawzajem. W tym samym czasie zrozumiałem, dlaczego moskiewscy uczniowie G. nie mogli odpowiedzieć na moje pytania podczas naszego pierwszego spotkania. Zdałem sobie sprawę, jak zupełnie naiwne były moje pytania: "Na czym opiera się wasza praca nad samymi sobą?", "Co składa się na system, który poznajecie?" "Jakie jest pochodzenie tego systemu?", i tak dalej.

Zrozumiałem teraz, że na te pytania nie mogło być odpowiedzi. Aby to zrozumieć, trzeba się uczyć. A w owym czasie, to znaczy niewiele ponad rok temu uważałem, że mam prawo stawiać podobne pytania; dokładnie tak jak nowi ludzie, którzy przychodzili teraz do nas, zaczynali od tego samego rodzaju pytań i dziwili się, że na nie nie odpowiadaliśmy, a także – jak już byliśmy to w stanie

widzieć – uważali nas za sztucznych lub grających wyuczoną rolę.

Ale nowi ludzie pojawiali się tylko podczas dużych spotkań, w których brał udział G. Spotkania pierwotnej grupy odbywały się wtedy oddzielnie. I było całkowicie zrozumiałe, dlaczego tak się działo. My zaczynaliśmy już uwalniać się od pewności siebie i od wiary we własną wszechwiedzę, czyli od postawy, z którą ludzie zawsze przystępowali do pracy; byliśmy też w stanie rozumieć G. lepiej niż przedtem.

Ale podczas ogólnych spotkań rzeczą niezwykle interesującą było dla nas słuchanie, jak nowi ludzie stawiają te same pytania, które na początku my sami zadawaliśmy. Nie rozumieli oni tych samych podstawowych, prostych rzeczy, których na początku my sami nie byliśmy w stanie zrozumieć. Owe spotkania z nowymi ludźmi dostarczyły nam sporo zadowolenia z siebie.

Ale kiedy znowu zostawaliśmy sam na sam z G., on często jednym słowem burzył wszystko, co sobie zbudowaliśmy i zmuszał nas do zdania sobie sprawy, że na razie w rzeczywistości nic nie wiemy i niczego nie rozumiemy ani w nas samych, ani w innych .

– Cały kłopot polega na tym, że jesteście całkowicie przekonani, iż zawsze jesteście jednym i tym samym – powiedział G. – Ale ja zupełnie odmiennie was widzę. Na przykład widzę, że dzisiaj przyszedł tutaj jeden Uspieński, natomiast wczoraj był tu inny Uspieński. Albo Doktor: przed waszym przyjściem siedzieliśmy tutaj razem i rozmawialiśmy; był on wtedy jedną osobą. Potem wy wszyscy przyszliście. Przypadkiem na niego spojrzałem i widzę, że to zupełnie inny Doktor tam siedzi. A tego, którego ja widzę, gdy jestem z nim sam na sam, wy widujecie bardzo rzadko .

Musicie zdać sobie sprawę, że każdy człowiek ma określony repertuar ról, które w zwykłych okolicznościach odgrywa – mówił dalej G. – Ma on rolę na każdego rodzaju okoliczność, jaka przytrafia mu się normalnie w życiu; ale postawcie go w trochę tylko odmiennych okolicznościach, a okaże się, że nie będzie już potrafił znaleźć odpowiedniej roli i *na krótko stanie się wtedy samym sobą*. Poznawanie ról odgrywanych przez człowieka stanowi niezbędną część poznania siebie. Repertuar każdego człowieka jest bardzo ograniczony. I jeśli człowiek mówi po prostu "Ja" i "Iwan Iwanicz", to nie zobaczy on całego siebie, ponieważ "Iwan Iwanicz" też nie jest jeden; w człowieku jest ich przynajmniej pięciu albo sześciu: jeden lub dwóch dla swojej własnej rodziny, jeden lub dwóch w biurze (jeden dla swoich podwładnych i jeden dla swoich przełożonych), jeden dla przyjaciół w restauracji i być może jeden, którego interesują wzniosłe idee i który lubi intelektualną rozmowę. Przy różnych okazjach człowiek całkowicie utożsamia się z którymś z nich i nie jest w stanie się od niego oddzielić. Widzieć rolę, znać swój własny repertuar, a w szczególności wiedzieć, jak jest on ograniczony, to znaczy już wiedzieć bardzo dużo. Ale rzecz w tym, że wykraczając poza repertuar człowiek czuje się bardzo nieswojo i jeśli coś,

choćby nawet tylko chwilowo, wytraci go z rutyny, to z całych sił będzie próbował powrócić do jednej ze swoich zwyczajowych ról. Gdy tylko zawróci na stary tor, to wszystko od razu znowu idzie gładko, a uczucie zakłopotania i napięcie znikają. Tak to jest w życiu; natomiast w pracy, aby samego siebie obserwować, trzeba pogodzić się z tym zakłopotaniem i napięciem, z uczuciem niewygody i bezradności. Dopiero doświadczając tej niewygody, człowiek naprawdę może siebie obserwować. I jasne jest, dlaczego tak się dzieje. Kiedy człowiek nie gra żadnej ze swoich zwykłych ról, kiedy nie może w swoim repertuarze znaleźć odpowiedniej roli, to czuje się rozebrany. Wstydzi się i jest mu zimno, i chce od wszystkich uciec. Ale powstaje pytanie: czego on chce? Mieć spokojne życie czy pracować nad sobą? Jeśli chce mieć spokojne życie, to z pewnością przede wszystkim nigdy nie powinien wykraczać poza swój repertuar. W swoich zwykłych rolach czuje się wygodnie i spokojnie. Ale jeśli chce pracować nad samym sobą, to musi zburzyć swój spokój. Pracy i spokoju nie da się w żaden sposób pogodzić. Człowiek musi dokonać wyboru. Jednakże wynikiem wyboru bardzo często jest oszustwo, to znaczy, że człowiek samego siebie próbuje oszukać. W słowach wybiera on *pracę*, ale w rzeczywistości nie chce stracić swojego *spokoju*. Wskutek tego siedzi pomiędzy dwoma stołkami. Jest to najbardziej niewygodna pozycja ze wszystkich. Człowiek w ogóle nie pracuje, a zatem nic nie dodaje mu otuchy. Bardzo trudno jest mu zdecydować się, żeby rzucić wszystko do diabła i rozpocząć rzeczywistą pracę. A dlaczego jest to trudne? Z zasady dlatego, że *jego życie jest zbyt łatwe*, a nawet jeśli uważa je za złe, to jest już do niego przyzwyczajony. Lepiej, żeby było złe, ale za to znane. A tutaj pojawia się coś nowego i nieznanego. Nie wie on nawet, czy przyniesie to jakiegokolwiek rezultaty. A poza tym najtrudniejsze jest to, że trzeba kogoś słuchać, trzeba się komuś podporządkować. Jeśli człowiek potrafiłby sam dla siebie wymyślić trudności i poświęcenia, to niekiedy mógłby bardzo daleko zajść. Ale rzecz w tym, że nie jest to możliwe. Trzeba kogoś słuchać albo podążać zgodnie z kierunkiem ogólnej pracy, nad którą kontrolę może sprawować tylko jedna osoba. Takie podporządkowanie jest najtrudniejszą rzeczą dla człowieka, który myśli, że potrafi o czymkolwiek zadecydować czy też cokolwiek zrobić. Oczywiście, gdy pozbędzie się tych wyobrażeń i zobaczy, czym naprawdę jest, trudność zniknie. To jednakże może mieć miejsce tylko w toku pracy. Ale rozpoczęcie pracy, a w szczególności jej kontynuowanie, jest bardzo trudne, dlatego, że życie biegnie zbyt gładko.

Przy jednej z okazji, kontynuując tę rozmowę o pracy grup, G. powiedział:

– Z czasem zobaczycie, że w pracy każdemu przydzielone jest jego własne indywidualne zadanie, odpowiednie dla jego typu, jego głównej cechy lub jego głównej wady, a więc coś, co umożliwi mu podjęcie bardziej intensywnej walki ze swoją główną wadą. Ale oprócz zadań indywidualnych istnieją też zadania ogólne, które przydzielane są całej grupie; i wówczas cała grupa jest odpowiedzialna za ich wykonanie bądź niewykonanie, choć w niektórych

wypadkach grupa bywa też odpowiedzialna za zadania indywidualne. Ale najpierw zajmijmy się zadaniami ogólnymi. Na przykład: powinniście już w części rozumieć strukturę systemu i jego podstawowe metody, a także powinniście być w stanie przekazać te idee innym. Pamiętajcie, że na początku byłem przeciwny rozmowom o ideach systemu, prowadzonym poza grupą. Istniała wręcz określona reguła, zgodnie z którą żaden z was, z wyjątkiem osób specjalnie przez mnie w tym celu poinstruowanych, nie powinien z nikim rozmawiać o grupach, wykładach czy ideach. I wytłumaczyłem wtedy, dlaczego jest to konieczne. Nie bylibyście w stanie przekazać właściwego obrazu, właściwego wrażenia. Zamiast stworzyć ludziom możliwość zapoznania się z tymi ideami, odstraszylibyście ich. Pozbawilibyście ich nawet możliwości zapoznania się z tymi ideami w przyszłości. Ale teraz sytuacja jest inna. Dosyć się już nasłuchaliście. I jeśli naprawdę dokonaliście wysiłku, aby zrozumieć to, co wam powiedziałem, to w takim razie powinniście być w stanie przekazać to innym. A zatem wyznaczę wam wszystkim określone zadanie.

– Spróbujcie sprowadzić rozmowy z waszymi przyjaciółmi i znajomymi na te tematy, spróbujcie przygotować tych, którzy wykażą zainteresowanie i jeśli was o to poproszą, przyprowadzajcie ich na spotkania. Ale każdy musi sobie zdać sprawę, że jest to jego własne zadanie i nie powinien oczekiwać, że inni zrobią to za niego. Właściwe wykonanie tego zadania przez każdego z was wykaże po pierwsze, że już coś sobie przyswoiliście, coś zrozumieliście, i po drugie, że jesteście w stanie oceniać ludzi, rozumieć, z kim warto, a z kim nie warto rozmawiać, ponieważ większość ludzi nie może sobie przyswoić żadnej z tych idei i rozmowa z nimi jest zupełnie bezużyteczna. Ale jednocześnie istnieją ludzie, którzy mogą sobie przyswoić te idee i z którymi warto jest rozmawiać.

Następne spotkanie okazało się bardzo interesujące. Każdy pełen był wrażeń z rozmów z przyjaciółmi; każdy miał mnóstwo pytań; każdy był trochę zniechęcony i rozczarowany.

Okazało się, że przyjaciele i znajomi zadawali bardzo inteligentne pytania, na które większość z nas nie umiała odpowiedzieć. Na przykład pytali, co dała nam praca, i otwarcie wyrażali wątpliwości co do naszego "pamiętania samych siebie". Z drugiej strony, inni nie mieli żadnych wątpliwości co do tego, że *oni* "pamiętali samych siebie". Jeszcze innym "promień stworzenia" i "siedem kosmosów" wydały się śmieszne i bezużyteczne. "Co ma do tego 'geografia'?" – zapytał bardzo dowcipnie jeden z moich przyjaciół, parodiując zdanie z zabawnej, granej niedawno temu sztuki. Niektórzy pytali, kto widział centra i jak można je zobaczyć. Jedni uznali za absurdalną ideę, że nie możemy *czynić*. Innym idea ezoteryzmu wydała się "zajmująca, ale nieprzekonywająca". Jeszcze inni mówili, że generalnie idea ta jest tylko "nowym wymysłem". Niektórzy nie byli gotowi poświęcić teorii swojego pochodzenia "od małp", innym zdawało się, że w tym systemie brakuje idei "umiłowania rodzaju ludzkiego". Niektórzy mówili też, że nasze idee są bezkompromisowym materializmem, że chcemy z ludzi zrobić

maszyny; że nie ma w tym idei "cudownego", nie ma idealizmu, itp.

G. śmiał się, kiedy mu opowiadaliśmy o rozmowach z naszymi przyjaciółmi.

– To jeszcze nic – powiedział. – Gdybyście zebrali razem wszystko, co ludzie potrafią powiedzieć na temat tego systemu, to sami byście w to nie uwierzyli. System ten ma cudowną właściwość: sam tylko kontakt z nim wyzwala w ludziach to, co najlepsze albo to, co najgorsze. Możecie człowieka znać przez całe życie i uważać, że jest on całkiem sympatycznym gościem, że jest nawet dosyć inteligentny. Ale spróbujcie porozmawiać z nim o tych ideach, a od razu zobaczycie, że jest on skończonym głupcem. Z drugiej strony, inny człowiek może sprawiać wrażenie, jakby nic w sobie nie miał, ale porozmawiajcie z nim na te tematy, a zobaczycie, że on myśli i to myśli bardzo poważnie.

– W jaki sposób możemy rozpoznać ludzi, którzy są w stanie przyłączyć się do pracy? – zapytał jeden z obecnych.

– W jaki sposób ich *rozpoznać*, to jest już inne pytanie – powiedział G. – By to zrobić, trzeba do pewnego stopnia "być". Ale zanim zaczniemy o tym mówić, trzeba ustalić, jakiego rodzaju ludzie są w stanie przyłączyć się do pracy, a jakiego rodzaju nie.

Musicie zrozumieć, że po pierwsze, człowiek powinien mieć pewne przygotowanie, pewien bagaż. Powinien wiedzieć to, czego *zwykłymi kanałami* można się dowiedzieć o ideach ezoteryzmu, o ukrytym poznaniu, o możliwościach wewnętrznej ewolucji człowieka, itd. Mam na myśli to, że te idee nie powinny wydać mu się czymś całkowicie nowym. Inaczej trudno jest z takim człowiekiem rozmawiać. Dobrze, jeśli ma on choć trochę naukowego albo filozoficznego przygotowania, Dobra znajomość religii także może okazać się mu przydatna. Ale jeśli jest on przywiązany do religijnych form i nie rozumie ich istoty, to będzie to dla niego bardzo trudne. Ogólnie mówiąc, jeśli człowiek tylko trochę wie, tylko trochę czytał, tylko trochę myślał, to trudno jest z nim rozmawiać; lecz jeśli ma dobrą esencję, to istnieje wtedy dla niego inna droga, nie wymagająca żadnych rozmów; ale w takim wypadku musi być posłuszny, musi zrezygnować ze swojej woli. I musi też do tego dojść w taki lub inny sposób. Można powiedzieć, że dla wszystkich istnieje jedna generalna zasada. Aby poważnie podejść do tego systemu, ludzie muszą być *rozczarowani*, przede wszystkim do samych siebie, to znaczy do swoich możliwości, a po drugie, do wszystkich starych sposobów. Człowiek nie może odczuć tego, co najbardziej wartościowe w systemie, jeśli nie jest rozczarowany do tego, co robił, rozczarowany do tego, czego szukał. Jeśli jest naukowcem, to powinien być rozczarowany do swojej nauki. Jeśli jest człowiekiem religijnym, to powinien być rozczarowany do swojej religii. Jeśli jest politykiem, to powinien być rozczarowany do polityki. Jeśli jest filozofem, to powinien być rozczarowany do filozofii. Jeśli jest teozofem, to powinien być rozczarowany do teozofii. Jeśli jest okultystą, to powinien być rozczarowany do okultyzmu. I tak dalej. Ale musicie

zrozumieć, co to oznacza. Na przykład mówię, że człowiek religijny powinien być rozczarowany do religii. Nie oznacza to, że powinien on stracić swoją wiarę. Przeciwnie: oznacza to bycie "rozczarowanym" *do samego tylko nauczania religijnego i do jego metod*, ponieważ człowiek zdaje sobie sprawę, że religia – taka, jaką ją znamy – nie wystarcza i donikąd nie może prowadzić.

Wszystkie nauczania religijne – z wyjątkiem oczywiście zupełnie zwyrodniałych religii dzikich oraz wymyślonych religii i sekt z czasów współczesnych – składają się z dwóch części: widocznej i ukrytej. Rozczarowanie do religii oznacza rozczarowanie do części widocznej i odczuwanie konieczności odnalezienia ukrytej i nieznannej części religii. Bycie rozczarowanym do nauki nie oznacza utraty zainteresowania poznaniem. Oznacza to, że jest się przekonany, iż zwykłe metody naukowe są nie tylko bezużyteczne, lecz także prowadzą do budowania absurdalnych i sprzecznych teorii; oznacza to również, że to przekonanie prowadzi do rozpoczęcia poszukiwań innych metod. Rozczarowanie do filozofii oznacza przekonanie, że zwykła filozofia jest jedynie – jak mówi rosyjskie przysłowie – "przelewaniem z pustego w próżne" i że ludzie nie wiedzą nawet, co oznacza filozofia, chociaż prawdziwa filozofia także może i powinna istnieć. Rozczarowanie do okultyzmu nie oznacza utraty wiary w "cudowne". Jest to tylko przekonanie się o tym, że zwykły, dostępny, a nawet ten "dobrze poinformowany" okultyzm, jakkolwiek by się nazywał – to po prostu szarlataneria i okłamywanie siebie; i że choć *coś gdzieś* istnieje, to wszystko to, co człowiek wie i czego w zwykły sposób może się nauczyć, nie jest tym, czego potrzebuje.

Tak że bez względu na to, co człowiek zwykł do tej pory robić, bez względu na to, czym zwykł się interesować, jeśli osiągnął stan rozczarowania do dróg możliwych i dostępnych, to warto jest z nim rozmawiać o naszym systemie i może później przyłączy się on do pracy. Ale jeśli nadal myśli, że może cokolwiek znaleźć na swojej starej drodze albo że jeszcze nie wypróbował wszystkich dróg, albo że sam musi coś znaleźć albo coś robić, oznacza to, że nie jest gotowy. Nie chodzi o to, że musi on rzucić wszystko, co zwykł do tej pory robić. Jest to zupełnie niepotrzebne. Wręcz przeciwnie, często jest nawet lepiej, jeśli nadal robi to, co zwykł robić. Ale musi on zdać sobie sprawę, że to tylko jego zawód, nawyk albo konieczność. W takim wypadku jest to inna sprawa; będzie on w stanie nie "utożsamiać się".

Istnieje tylko jedna rzecz niemożliwa do pogodzenia z pracą. Jest nią "zawodowy okultyzm", innymi słowy, zawodowe szarlatanstwo. Wszyscy owi spirytyści, uzdrowiciele, jasnowidze, itd., a nawet ludzie blisko z nimi związani, na nic nam się nie przydadzą. I musicie zawsze tym pamiętać i uważać, żeby za dużo im nie powiedzieć, ponieważ wszystkiego, czego się od was nauczą, mogą użyć do swoich własnych celów, to znaczy do robienia z innych ludzi głupców.

Są jeszcze inne niedobre kategorie ludzi, ale będziemy mówić o nich później. Na razie zapamiętajcie tylko jedną rzecz: człowiek musi być wystarczająco

rozczarowany do zwykłych dróg i musi jednocześnie myśleć albo być w stanie zaakceptować ideę, że coś gdzieś może istnieć. Jeśli przyjdzie wam rozmawiać z takim człowiekiem, to niezależnie tego, jak nieporadnie się wyrażacie, może on w tym, co mówicie, odnaleźć posmak prawdy. Ale jeśli przyjdzie wam rozmawiać z człowiekiem, który przekonany jest o czymś innym, to wszystko, co powiecie, będzie zdawało się mu absurdalne i nigdy nie będzie słuchał was poważnie. Nie warto tracić na niego czasu. Ten system jest dla tych, którzy już szukali i *sparzyli się*. Ci, którzy nie szukali i nie szukają, nie potrzebują go. I ci, którzy się jeszcze nie sparzyli, także go nie potrzebują.

– Ale ludzie nie od tego zaczynają – powiedział ktoś z naszej grupy. – Pytają, czy uznajemy istnienie eteru? Albo jak patrzymy na ewolucję? Albo dlaczego nie wierzymy w postęp? Albo dlaczego nie uważamy, że ludzie mogą i powinni organizować życie, opierając się na sprawiedliwości i idei wspólnego dobra? I inne rzeczy tego rodzaju...

– Wszystkie pytania są dobre – odpowiedział G. – I możecie zacząć od każdego pytania, *jeśli tylko jest ono szczere*. Zrozumcie, mam na myśli to, że samo pytanie o eter albo o postęp czy też o wspólne dobro może być postawione przez człowieka jedynie po to, by coś powiedzieć lub powtórzyć – powtórzyć to, co powiedział ktoś inny albo o czym ten człowiek przeczytał w jakiejś książce. Z drugiej strony, może on zadać to samo pytanie, ponieważ jest to pytanie, które go dręczy. Jeśli jest to dręczące pytanie, to możecie mu na nie odpowiedzieć i tym sposobem poprzez jakiegokolwiek pytanie – przywieść go do systemu. Ale musi to być koniecznie dręczące pytanie.

Nasze rozmowy na temat ludzi, którzy mogliby się zainteresować systemem i dołączyć do pracy, mimowolnie doprowadziły nas do oceny naszych przyjaciół z zupełnie nowego punktu widzenia. Pod tymi względem wszyscy doznaliśmy gorzkiego rozczarowania. Zanim G. formalnie nas poprosił o to, byśmy rozmawiali o systemie z naszymi przyjaciółmi, oczywiście próbowaliśmy już wcześniej na różne sposoby mówić o tym przynajmniej z tymi spośród nich, z którymi najczęściej się spotykaliśmy, 1 w większości wypadków nasz entuzjazm dotyczący idei systemu spotykał się z bardzo chłodnym przyjęciem. Nie rozumieli nas; idee, które nam wydawały się nowe i oryginalne, naszym przyjaciołom wydawały się stare i nudne, prowadzące donikąd, a nawet odpychające.

To właśnie dziwiło nas bardziej niż cokolwiek innego. Byliśmy zdumieni, że ludzie, którzy byli nam bliscy i z którymi poprzednio potrafiliśmy rozmawiać o wszystkich niepokojących nas pytaniach, u których niegdyś znajdowaliśmy odzew, mogą widzieć coś zupełnie przeciwnego. Muszę powiedzieć, że co się tyczy mojego własnego; osobistego doświadczenia, to wywołało to wszystko we mnie bardzo dziwne, a nawet bolesne wrażenie. Mówię tutaj o absolutnej niemożności znalezienia zrozumienia u ludzi. Oczywiście jesteśmy przyzwyczajeni do tego w życiu codziennym, w świecie potocznych pytań, i

wiemy, że ludzie, którzy są w głębi serca wrogo do nas nastawieni albo ograniczeni lub niezdolni do myślenia, mogą nas źle zrozumieć, przekręcić czy wypaczyć coś, co powiemy; mogą oni przypisywać nam myśli, których nigdy nie mieliśmy, słowa, których nigdy nie wypowiedzieliśmy, itd. Ale teraz zobaczyliśmy, że to samo robią ci, których zwykliśmy uważać za ludzi *naszego pokroju*, z którymi zwykliśmy spędzać bardzo dużo czasu, i którzy do tej pory zdawali się rozumieć nas lepiej niż ktokolwiek inny – wzbudziło to w nas bardzo zniechęcające wrażenie. Takie wypadki stanowiły oczywiście wyjątki; większości naszych przyjaciół to wszystko było po prostu obojętne, a wszystkie nasze usiłowania “zarażenia” ich naszym zainteresowaniem systemem G., do niczego nie doprowadziły. Ale czasami sami wywieraliśmy na ludziach bardzo osobliwe wrażenie. Nie pamiętam teraz, kto pierwszy zauważył, że w opinii naszych przyjaciół zaczęliśmy zmieniać się na gorsze. Wydawali się im mniej interesujący niż poprzednio; mówili nam, że staliśmy się bezbarwni, jakbyśmy spłowieli, stracili naszą dotychczasową spontaniczność, naszą dotychczasową wrażliwość na wszystko; mówili, że stajemy się “maszynami”, że przestajemy oryginalnie myśleć, przestajemy czuć, że tylko jak papugi powtarzamy to, co usłyszeliśmy od G.

G. śmiał się, gdy mu o tym opowiedzieliśmy.

– Poczekajcie, przyjdzie jeszcze gorsze – powiedział. – Czy rozumiecie, co to naprawdę oznacza? Oznacza to, że przestaliście kłamać, a w każdym razie, że nie kłamacie już tak dobrze, to znaczy nie możecie już kłamać w sposób tak interesujący, jak dotychczas. Interesującym człowiekiem jest ten, kto dobrze kłamie. Ale wy już wstydzicie się kłamać. Jesteście teraz w stanie przyznać czasami przed sobą, że istnieje coś, o czym nie wiecie lub czego nie rozumiecie, i nie możecie już rozmawiać tak, jakbyście wszystko o wszystkim wiedzieli. Oczywiście oznacza to, że staliście się mniej interesujący, mniej oryginalni i mniej jak to mówi – *wrażliwi*. Więc teraz rzeczywiście możecie dostrzec, jakiego rodzaju ludźmi są wasi przyjaciele. Co się ich tyczy – jest im was żal. I na swój sposób mają rację. Wy już zaczęliście *umierać* – położył nacisk na to słowo. – To jeszcze długa droga do całkowitej śmierci, niemniej jednak pewna porcja bezmyślności z was uchodzi. Nie możecie tak szczerze, jak dotychczas okłamywać samych siebie. Poznaliście już teraz smak prawdy.

– Dlaczego teraz czasami mi się wydaje, że zupełnie nic nie rozumiem? – zapytał jeden z obecnych. – Poprzednio zwykłem myśleć, że przynajmniej od czasu do czasu coś rozumiem, ale teraz niczego już nie rozumiem.

– Oznacza to, że zacząłeś rozumieć – powiedział G. – Kiedy niczego nie rozumiałeś, myślałeś, że wszystko rozumiesz lub przynajmniej, że jesteś w stanie wszystko zrozumieć. Teraz, kiedy zacząłeś rozumieć, to myślisz, że nie rozumiesz. Dzieje się tak, ponieważ smak *rozumienia* był ci dotychczas zupełnie nie znany. A teraz smak rozumienia wydaje ci się brakiem rozumienia.

W naszych rozmowach często powracaliśmy do wrażeń, jakie wywarliśmy na naszych przyjaciółach i do naszych własnych nowych wrażeń dotyczących tych przyjaciół. I zaczęliśmy zdawać sobie sprawę, że idee te bardziej niż cokolwiek innego, mogły albo łączyć ludzi, albo ich rozdzielać.

Pewnego razu miała miejsce bardzo długa i interesująca rozmowa na temat "typów". G. powtórzył wszystko to, co do tej pory na ten temat powiedział, dodając wiele uzupełnień i wskazówek dotyczących osobistej pracy.

– Każdy z was – powiedział – spotkał prawdopodobnie w życiu ludzi jednego i tego samego typu. Tacy ludzie często nawet jednakowo wyglądają, a ich wewnętrzne reakcje są dokładnie takie same. To, co jeden lubi, drugi też będzie lubił. Czemu jeden nie lubi, drugi też nie będzie lubił. Musicie zapamiętywać takie sytuacje, ponieważ *naukę o typach* możecie poznawać tylko poprzez spotykanie typów. Inna metoda nie istnieje. Wszystko poza tym jest wyobraźnią. Musicie zrozumieć, że w warunkach, w jakich żyjecie, nie możecie spotkać więcej niż sześć czy siedem typów, choć w życiu występuje większa liczba podstawowych typów. A resztę stanowią tylko kombinacje tych podstawowych typów.

– Ile jest wszystkich podstawowych typów? – zapytał ktoś.

– Niektórzy ludzie mówią, że dwanaście – powiedział G. – Jak głosi legenda, dwunastu apostołów reprezentowało dwanaście typów. Inni twierdzą, że jest ich więcej.

Przerwał na chwilę.

– Czy możemy poznać te dwanaście typów, to znaczy ich definicje i cechy charakterystyczne? – zapytał ktoś z obecnych.

– Spodziewałem się tego pytania – powiedział G. – Ilekroć mówiłem o typach, to jeszcze nigdy się nie zdarzyło, żeby jakaś sprytna osoba nie zadała tego pytania. Jak to jest, że nie rozumiecie, że gdyby można to było wyjaśnić, to już dawno temu zostałoby to wyjaśnione. Ale rzecz w tym, że typów i różnic między nimi nie da się określić w języku potocznym; a tego języka, w którym można by je określić, wy jeszcze nie znacie i przez długi czas nie będziecie znali. To jest dokładnie samo, jak z "czterdziestoma ośmioma prawami". Nieustannie ktoś pyta, czy nie mógłby poznać tych czterdziestu ośmiu praw. Tak, jakby to było możliwe. Zrozumcie, że jest wam dane to wszystko, co może być dane. Z pomocą tego, co jest wam dane, musicie odnaleźć resztę: Ale wiem, że mówiąc o tym, marnuję teraz czas. Ciągłe mnie nie rozumiecie i jeszcze przez długi czas nie będziecie rozumieć. Pomyślcie o różnicy pomiędzy wiedzą i byciem. Do zrozumienia pewnych rzeczy konieczna jest zmiana bycia.

– Jeśli wokół nas nie występuje więcej niż siedem typów, to dlaczego nie możemy ich poznać, to znaczy poznać głównej różnicy pomiędzy nimi, tak by spotykając je, móc je rozpoznawać i rozróżniać? – zapytał jeden z nas.

– Musisz zacząć od samego siebie i od obserwacji, o których mówiłem wcześniej – powiedział G. – Inaczej byłaby to wiedza, z której nie mógłbyś korzystać. Niektórzy z was myślą, że mogą zobaczyć typy, ale to wcale nie są te same typy, które widzicie. Po to, by widzieć typy, trzeba znać swój własny typ i móc od niego “wystartować”. Aby poznać swój własny typ, należy przeprowadzić solidne badanie własnego życia, całego swojego życia od samego początku; trzeba wiedzieć, jak i dlaczego zdarzyły się rzeczy.

Chcę wam wszystkim przydzielić zadanie. Będzie to jednocześnie ogólne, jak i indywidualne zadanie. Niech każdy z was opowie w grupie o swoim życiu. Wszystko musi być opowiedziane szczegółowo, bez upiększania i bez ukrywania czegokolwiek. Połóżcie nacisk na rzeczy podstawowe i istotne, nie zatrzymując się na drobiazgach i szczegółach. Musicie być szczerzy i nie powinniście się obawiać, że inni źle to przyjmą, ponieważ każdy znajduje się w tej samej sytuacji; każdy musi się obnażyć; każdy musi pokazać się takim, jakim jest. Zadanie to pokaże wam jeszcze raz, dlaczego nie wolno niczego wynosić poza grupę. Nikt nie ośmieliłby się mówić, jeśliby myślał lub podejrzewał, że to, co powie w grupie, będzie powtórzone na zewnątrz. I każdy powinien być w pełni i stanowczo przekonany, że nic nie będzie powtórzone. Wówczas będzie w stanie mówić bez lęku, rozumiejąc, że inni muszą zrobić to samo.

Wkrótce potem G. wyjechał do Moskwy i pod jego nieobecność próbowaliśmy na różne sposoby wykonywać wyznaczone nam zadanie. Przede wszystkim, by je sobie ułatwić, niektórzy z nas – w wyniku mojej propozycji – spróbowali opowiedzieć historię swojego życia nie na ogólnym spotkaniu grupy, ale w małych grupach, złożonych z najlepiej im znanych ludzi.

Muszę przyznać, że wszystkie te próby spęły na niczym. Niektórzy powiedzieli za dużo, inni powiedzieli za mało. Niektórzy wdawali się w niepotrzebne szczegóły albo w opisy tego, co uważali za swoje specyficzne i oryginalne cechy charakterystyczne; inni skupiali się na swoich “grzechach” i błędach. Ale wszystko to razem nie przyniosło tego, czego najwyraźniej G. oczekiwał. Rezultatem były anegdoty albo nie interesujące nikogo chronologiczne wspomnienia i rodzinne wspominki, które doprowadzały ludzi do ziewania. Coś było nie tak, ale co dokładnie, tego nawet ci, którzy próbowali być tak szczerzy, jak tylko potrafili, nie byli w stanie ustalić. Pamiętam moje własne próby. Starłem się przede wszystkim przekazać pewne wrażenia pochodzące z wczesnego dzieciństwa, które wydawały mi się psychologicznie interesujące, ponieważ pamiętałem siebie z bardzo młodego wieku i zawsze zadziwiały mnie niektóre z tych wczesnych wrażeń. Jednakże nikogo to nie interesowało i wkrótce zobaczyłem, że to na pewno nie było to, czego ode mnie wymagano. Mówiłem dalej, *ale niemal natychmiast poczułem pewność, że jest wiele rzeczy, których wcale nie mam zamiaru powiedzieć*. Było to całkiem nieoczekiwane spostrzeżenie. Przyjąłem pomysł G. bez najmniejszego sprzeciwu sądząc, że będę w stanie opowiedzieć historię swojego życia bez żadnej szczególnej

trudności. Ale w rzeczywistości okazało się to zupełnie niemożliwe. Coś we mnie przeciwstawiało się temu tak gwałtownie, że nawet nie próbowałem z tym walczyć, a mówiąc o pewnych okresach mojego życia, starałem się jedynie przedstawić ogólny zarys i znaczenie tych faktów, o których nie chciałem mówić. Przy tej okazji spostrzegłem, że mój głos i intonacja zmieniają się, kiedy mówię w ten sposób. To mi pomogło zrozumieć innych ludzi. Zacząłem słyszeć, że oni także, opowiadając o sobie i o swoim życiu, mówią różnymi głosami i z różną intonacją. Istniały szczególnego rodzaju intonacje, które najpierw usłyszałem w samym sobie i które wskazywały na to że ludzie chcą coś ukryć w tym, o czym mówili. Ale intonacje ich zdradzały. Obserwacja intonacji pozwoliła mi później zrozumieć wiele innych spraw.

Kiedy G. przyjechał następnym razem do Petersburga (tym razem przebywał w Moskwie przez dwa lub trzy tygodnie), opowiedzieliśmy mu o naszych próbach; on wszystkiego wysłuchał i powiedział jedynie, że nie wiedzieliśmy jak oddzielić "osobowość" od "esencji".

– Osobowość chowa się za esencją – powiedział – a esencja chowa się za osobowością i nawzajem się zasłaniają.

– Jak można oddzielić esencję od osobowości? – zapytał jeden z obecnych.

– Jak oddzieliłbyś to, co jest twoje własne, od tego, co nie jest twoje. własne? – odpowiedział G. – Trzeba myśleć, trzeba wiedzieć, skąd się wzięła jedna czy druga z twoich cech charakterystycznych. I trzeba sobie zdawać sprawę, że wielu ludzi, szczególnie w twoim środowisku, ma bardzo mało tego, co jest naprawdę ich własne. Wszystko, co posiadają, nie jest ich własne, lecz przeważnie jest przywłaszczzone; wszystko, co nazywają ideami, przekonaniem, poglądami, koncepcjami świata, zostało skradzione z różnych źródeł. A to wszystko razem składa się na osobowość i należy to odłożyć na bok.

– Ale ty sam powiedziałeś, że praca zaczyna się od osobowości – rzekł ktoś.

– To poniekąd prawda – odpowiedział G. – A zatem musimy przede wszystkim ustalić, o czym dokładnie mówimy, o jakim momencie w rozwoju człowieka i o jakim poziomie bycia. W tej chwili mówiłem po prostu o człowieku w życiu, który nie ma żadnego związku z pracą. Taki człowiek, szczególnie jeśli należy do klasy "intelektualistów", prawie wyłącznie składa się z osobowości. W większości wypadków esencja już w bardzo młodym wieku przestaje się rozwijać.

Znam szanowanych ojców rodzin, profesorów przepełnionych różnymi ideami, dobrze znanych autorów i dygnitarzy, w których esencja przestała się rozwijać w wieku lat dwunastu. I to wcale nie jest źle. Zdarza się czasami, że niektóre aspekty esencji zatrzymują się w rozwoju ludzi w wieku pięciu lub sześciu lat i wszystko się wtedy kończy. To, co przychodzi potem, nie jest już ich własne; to zamknięty repertuar, coś, co zostało zaczerpnięte z książek lub stworzone przez naśladowców gotowych modeli.

Po tym nastąpiło wiele rozmów z udziałem G., podczas których próbowaliśmy odnaleźć przyczynę naszego niepowodzenia w wypełnieniu zadania postawionego przez G. Ale im więcej rozmawialiśmy, tym mniej rozumieliśmy, czego on właściwie od nas oczekuje.

– To tylko pokazuje, do jakiego stopnia nie znacie samych siebie – powiedział G.

– Nie wątpię, że przynajmniej niektórzy z was pragnęli szczerze robić to, co powiedziałem, to znaczy opowiedzieć historię swojego życia. Jednocześnie widzą, że nie mogą tego zrobić, a nawet nie wiedzą, jak zacząć. Ale pamiętajcie, że wcześniej czy później będziecie musieli przez to przejść. Jest to, jak to się mówi, jeden z pierwszych *sprawdzianów* na drodze. Bez przejścia przez ten sprawdzian nikt nie może iść dalej.

– Co to jest to, czego nie rozumiemy? – zapytał ktoś.

– Nie rozumiecie, co oznacza być szczerym – powiedział G. – Tak przywykliście do okłamywania siebie i innych, że kiedy pragniecie mówić prawdę, to nie możecie znaleźć ani słów, ani myśli. Bardzo trudno jest powiedzieć o sobie całą prawdę. Ale zanim się ją powie, trzeba ją poznać. A wy nawet nie wiecie, z czego się składa prawda o was samych. Kiedyś powiem każdemu z was, jaka jest jego główna cecha lub główna wada. Wtedy zobaczymy, czy mnie zrozumiecie, czy nie.

W tym czasie miała miejsce pewna bardzo interesująca rozmowa. Niezwykle mocno odczuwałem wszystko to, co się wówczas działo; szczególnie mocno czułem, że pomimo wszelkich wysiłków nie jestem w stanie przez jakikolwiek odcinek czasu pamiętać samego siebie. Na początku wydawało się, że coś mi się udaje, ale potem to wszystko minęło i bez wapienia odczuwałem głęboki sen, w którym byłem pogrążony. Niepowodzenia w trakcie prób opowiedzenia historii mojego życia, a w szczególności fakt, że nie udało mi się jasno zrozumieć, czego G. oczekiwał, wprawiły mnie w jeszcze gorszy humor, który jednakże, jak to zawsze ze mną bywało – wyrażał się nie w depresji, lecz w rozdrażnieniu.

W tym stanie poszedłem kiedyś z G. na obiad do restauracji na Sadowskiej naprzeciwko Gostinego Dworu. Byłem prawdopodobnie na przemian bardzo szorstki i bardzo milczący.

– Co się z tobą dzisiaj dzieje? – zapytał G.

– Ja sam nie wiem – powiedziałem. – Tylko zaczynam czuć, że nic się nam nie udaje osiągnąć, czy też raczej, że ja niczego nie osiągam. Nie mogę mówić o innych. Ale przestaję Ciebie rozumieć i Ty niczego już nie tłumaczysz, tak jak to zwykłeś robić na początku. Czuję, że w ten sposób niczego się nie osiągnie.

– Poczekaj trochę – powiedział G. – Wkrótce rozpoczną się rozmowy. Postaraj się mnie zrozumieć; do tej pory próbowaliśmy odnaleźć miejsce każdej rzeczy. Niedługo zaczniemy nazywać rzeczy po imieniu.

Słowa G. utkwiły mi w pamięci, ale nie wgłębiałem się w nie i kontynuowałem swoje własne rozmyślenia.

– Jak to ma znaczenie – powiedziałem – w jaki sposób będziemy nazywać rzeczy, skoro niczego nie mogę ze sobą powiązać? Nigdy nie odpowiadasz na żadne pytanie, które Ci zadaję.

– Dobrze – odparł G., śmiejąc się. – Obiecuję ci teraz odpowiedzieć na każde pytanie, które Cię interesuje, tak jak to się dzieje w bajkach.

Czułem, że chciał mnie wyciągnąć ze złego humoru i w środku byłem mu wdzięczny, choć coś we mnie nie chciało złagodnieć.

I nagle sobie przypomniałem, że nade wszystko chciałem wiedzieć, co G. myśli o “wiecznym powrocie”, o – jak to rozumiałem – powtarzaniu się żyć. Wiele razy próbowałem zacząć rozmowę na ten temat i przedstawić G. moje poglądy. Ale te rozmowy zawsze pozostawały niemal samymi tylko monologami. G. w milczeniu słuchał, a potem zaczynał mówić o czymś innym.

– Bardzo dobrze – powiedziałem. – Powiedz mi, co myślisz o “wiecznym powrocie”. Czy tkwi w tym jakaś prawda, czy też nic w tym nie ma. Mam na myśli to, czy żyjemy tylko ten jeden raz i potem znikamy, też wszystko ciągle się powtarza, być może nieskończenie wiele razy, tylko że my o tym nie wiemy i tego nie pamiętamy?

– Idea powtarzania się – powiedział G. – nie jest pełną i niepodważalną prawdą, ale jest największym przybliżeniem prawdy. W tym wypadku prawdy nie da się wyrazić w słowach. Ale to, co mówisz, jest jej bardzo bliskie. A jeśli zrozumiesz, dlaczego nigdy o tym nie wspominam, będziesz jej jeszcze bliższy. Jaki jest pożytek z człowieka, który wie o “wiecznym powrocie”, lecz nie jest go świadomy i sam siebie nie zmienia? Można nawet powiedzieć, że jeśli człowiek się nie zmienia; “powtarzanie się” dla niego nie istnieje. Jeśli mu powiesz o powtarzaniu się, powiększy to tylko jego sen. Po co ma podejmować dzisiaj jakikolwiek wysiłek, gdy jest tyle czasu i tyle możliwości w przyszłości – cała wieczność? Po co ma się dzisiaj martwić? To dlatego właśnie system nic nie mówi o powtarzaniu się i zajmuje się tylko tym jednym życiem, które znamy.

Ten system nie ma żadnego znaczenia ani sensu, jeśli się nie dąży do zmiany w sobie. A praca nad tą zmianą siebie musi rozpocząć się dzisiaj, natychmiast. Wszystkie prawa można zobaczyć w jednym życiu. Wiedza o powtarzaniu się żyć niczego nie da człowiekowi, jeśli nie widzi on, jak wszystko się powtarza w jednym życiu, to znaczy w tym życiu, i jeśli nie dąży on do zmiany samego siebie po to, by uciec od tego powtarzania się. Ale jeśli zmieni on w sobie coś istotnego, a więc jeśli coś osiągnie, to nie może to zostać stracone.

– Czy właściwy jest zatem wniosek, że wszystkie wrodzone albo nabyte skłonności muszą się rozwijać? – zapytałem.

– Tak i nie – powiedział G. – W większości wypadków tak się dzieje, tak właśnie jak to się dzieje na przestrzeni jednego życia. Jednakże w dużej skali mogą pojawić się nowe siły. Nie będę w tej chwili tego tłumaczył. Ale pomyśl o tym, co teraz powiem: wpływy planetarne też mogą się zmienić. One nie są trwałe. Oprócz tego, same skłonności mogą być różne; istnieją skłonności, które po pojawieniu się dalej “trwają” i rozwijają mechanicznie same przez się; i istnieją też inne, które potrzebują nieustannego popychania i które, jeśli człowiek przestanie nad nimi pracować, natychmiast słabną i mogą nawet całkowicie zniknąć lub przekształcić się po prostu w marzenia. Ponadto na wszystko istnieje *określony* czas, *określony* termin. Na *wszystko* – podkreślił te słowa – istnieją możliwości, ale tylko przez określony czas.

Ogromnie mnie to zainteresowało. Wiele rzeczy, które powiedział G., już wcześniej “odgadłem”. Jednakże fakt, że uznawał on moje podstawowe przesłanki oraz wszystko to, co do nich wniósł, miało dla mnie olbrzymie znaczenie. Wszystko zaczęło się od razu ze sobą łączyć. Poczułem, że ujrzałem zarys “majestatycznej budowli”, o której była mowa w “Przebłyskach Prawdy”. Nawet nie spostrzegłem, kiedy zniknął mój zły humor.

G. siedział uśmiechając się.

– Widzisz, jak łatwo jest tobą *zawirować!* A być może ja tylko *opowiadałem ci historyjki*, być może “wieczny powrót” wcale nie istnieje. Cóż to za przyjemność widzieć, że Uspieński siedzi tutaj ponury, nie je i nie pije. “Spróbujmy go rozweselić”, pomyślałem sobie. A jak można kogoś rozweselić? Jedna osoba lubi śmieszne historyjki. Komuś innemu wystarczy, by odnaleźć jego konika. A ja wiem, że Uspieński ma swojego konika – “wieczny powrót”. Więc zaproponowałem, że odpowiem na każde jego pytanie. Wiedziałem, o co zapyta.

Ale drwiny G. nie miały na mnie żadnego wpływu. Dał mi coś bardzo konkretnego i nie mogłem tego odebrać. Nie wierzyłem w jego żarty, nie wierzyłem, że mógł wymyślić to, co powiedział na temat “wiecznego powrotu”. Nauczyłem się także rozumieć tony jego głosu. Przyszłość pokazała, że miałem rację, bo choć przedstawiając system G. nie wprowadził idei “wiecznego powrotu”, to kilka razy odwoływał się do tej idei, mówiąc głównie o utraconych możliwościach ludzi, którzy zbliżyli się do systemu, a następnie się od niego oddalili.

Rozmowy w grupach toczyły się dalej. Kiedyś G. powiedział nam, że chce przeprowadzić doświadczenie nad oddzielaniem osobowości od esencji. Wszyscy bardzo tym byliśmy zainteresowani, ponieważ od dawna obiecywał nam “doświadczenia”, ale do tej pory niczego jeszcze nie zobaczyliśmy. Nie będę opisywał jego metod, opiszę jedynie ludzi, których tego pierwszego wieczoru wybrał do doświadczenia. Jeden z nich był już niemłodym człowiekiem, który zajmował wysoką pozycję społeczną. Podczas naszych spotkań dużo i często mówił o sobie, o swojej rodzinie, chrześcijaństwie, a także o bieżących, związanych z wojną i z wszelkiego rodzaju “skandalami” wydarzeniach, które

budziły w nim wstręt. Drugi mężczyzna był młodszy. Wielu z nas nie uważało go za osobę poważną. Bardzo często udawał głupiego albo, dla odmiany, wszczynał nie kończące się formalne spory na temat jakichś szczegółów systemu, które nie miały żadnego związku z całością. Bardzo trudno było go zrozumieć. Nawet o najprostszych rzeczach mówił w chaotyczny i bardzo zagmatwany sposób, mieszając ze sobą różne punkty widzenia i słowa należące do różnych kategorii i poziomów.

Pominę początek doświadczenia.

Siedzieliśmy w dużym salonie. Rozmowa toczyła się tak, jak zazwyczaj.

– Obserwujcie teraz – szeptem powiedział do nas G.

Wspomniany starszy mężczyzna, który z zapalem o czymś mówił, zamilkł nagle w pół zdania i zdawało się, że zapada się w swoim fotelu, patrząc przed siebie. Na znak dany przez G. rozmawialiśmy dalej, nie patrząc na niego. Młodszy mężczyzna zaczął przysłuchiwać się rozmowie, a następnie sam zaczął mówić. Wszyscy popatrzyliśmy na siebie. Jego głos uległ zmianie. Przedstawił nam on swoje obserwacje dotyczące siebie w jasny, prosty i czytelny sposób, bez niepotrzebnych słów, bez ekstrawagancji i bez bufonady. Potem zamilkł; palił papierosa i najwyraźniej o czymś myślał. Pierwszy mężczyzna ciągle siedział bez ruchu, jakby zwinięty w kłębek.

– Spytajcie go, o czym myśli – powiedział spokojnie G.

– Ja? – tamten podniósł głowę; tak jakby to pytanie go obudziło. – O niczym.

Słabiutko się uśmiechnął, jakby przepraszająco lub jakby się dziwił, że ktoś go pyta, o czym myśli.

– Wiesz, dopiero co mówiłeś o wojnie – powiedział jeden z nas. – O tym, co by się zdarzyło, gdybyśmy podpisali pokój z Niemcami; czy cały czas tak samo myślisz?

– Naprawdę nie wiem – powiedział niepewnym głosem. – Czy ja to mówiłem?

– Tak, z pewnością przed chwilą powiedziałeś, że każdy powinien o tym myśleć, że nikt nie ma prawa o tym nie myśleć i że nikt nie ma prawa zapominać o wojnie; każdy powinien mieć określoną opinię: tak albo nie – za albo przeciwko wojnie.

Słuchał on tak, jakby nie chwycił tego, co mówiła osoba zadająca pytanie.

– Tak? – powiedział. – Jakież to dziwne. Nic z tego nie pamiętam.

– Ale czy to cię nie interesuje?

– Nie, wcale mnie to nie interesuje.

– Czy nie myślisz o konsekwencjach tego wszystkiego, co się teraz dzieje, o skutkach tego dla Rosji, dla całej cywilizacji?

Jakby z żalem potrząsnął głową.

– Nie rozumiem, o czym mówisz – powiedział. – Wcale mnie to nie interesuje i nic o tym nie wiem.

– Dobrze, ale przedtem mówiłeś o swojej rodzinie. Czyż nie byłoby o wiele łatwiej, gdyby zainteresowała się ona naszymi ideami i przyłączyła do pracy?

– Tak, być może – odpowiedział znowu niepewnym głosem. – Ale dlaczego miałbym o tym myśleć?

– Wiesz, powiedziałeś, że obawiasz się, jak to wyraziłeś, rosnącej pomiędzy tobą i nimi przepaści.

Bez odpowiedzi.

– Ale co teraz o tym myślisz?

– Wcale o tym nie myślę.

– Gdyby cię zapytano, na co masz ochotę, to co byś odpowiedział?

Znowu zdumione spojrzenie.

– Na nic nie mam ochoty.

Na małym stole obok niego stała niedokończona szklanka herbaty. Długo się w nią wpatrywał, jakby coś rozważał. Dwukrotnie rozejrzał się wkoło, potem znowu popatrzył na szklankę i powiedział głosem tak poważnym i z tak poważną intonacją, że aż popatrzyliśmy po sobie.

– *Myślę, że miałbym ochotę na trochę malinowego dżemu.*

– Po co go wypytujecie? – odezwał się z kąta głos, który z trudem rozpoznaliśmy.

To było drugie “doświadczenie”.

-Czy nie potraficie dostrzec, że on śpi?

-A ty? – zapytał ktoś z nas.

– Ja, przeciwnie, obudziłem się.

– Dlaczego on zasnął, podczas gdy ty się obudziłeś?

– Nie wiem.

Na tym zakończyło się doświadczenie.

Żaden z nich następnego dnia niczego nie pamiętał. G. wyjaśnił nam, że w wypadku pierwszego człowieka, wszystko, co składało się na jego zwykłe rozmowy, jego pobudzenie i podniecenie, znajdowało się w osobowości. Po uśpieniu osobowości nic praktycznie nie pozostało. Osobowość drugiej osoby także cechowała niepotrzebna gadatliwość, ale za osobowością ukrywała się

esencja, która wiedziała tyle, ile osobowość i wiedziała to lepiej; tak że kiedy osobowość została uśpiona, esencja zajęła jej miejsce, do którego miała o wiele większe prawo.

– Zauważcie, że wbrew swojemu zwyczajowi bardzo niewiele on mówił – powiedział G. – Ale obserwował was wszystkich oraz wszystko to, co się działo, i nic mu nie umknęło.

– Ale na co mu się to przyda, jeśli on także nie pamięta? – spytał jeden z nas.

– Esencja pamięta – odpowiedział G. – Osobowość zapomniała. I było to konieczne, ponieważ w innym wypadku osobowość wypaczyłaby wszystko i wszystko przypisałaby sobie samej.

– Ale to jest rodzaj czarnej magii – powiedział jeden z nas.

– Gorzej – odpowiedział G. – Poczekaj, a zobaczysz coś jeszcze gorszego.

Opowiadając o “typach”, G. powiedział kiedyś:

– Czy zauważyliście, jak olbrzymią rolę odgrywa typ w stosunku między mężczyzną i kobietą?

– Ja zauważyłem – powiedziałem – że przez całe swoje życie każdy mężczyzna wchodzi w kontakt z określonego typu kobietami, a każda kobieta wchodzi w kontakt z określonego typu mężczyznami. Tak jakby dla każdego mężczyzny istniał z góry ustalony typ kobiety, a dla każdej kobiety istniał z góry ustalony typ mężczyzny.

– W tym, co mówisz jest wiele prawdy – powiedział G. – Ale oczywiście w tej postaci, jest to zbyt duże uogólnienie. W istocie widzisz typy wydarzeń, a nie typy mężczyzn i kobiet. To, o czym ja mówię, odnosi się do rzeczywistego typu, czyli do esencji. Gdyby ludzie żyli w esencji, to określony typ mężczyzny zawsze odnalazłby odpowiedni typ kobiety, a niewłaściwe typy nigdy by się nie zeszły. Ale ludzie żyją w osobowości. Osobowość ma swoje własne zainteresowania i własne gusta, które nie mają nic wspólnego z zainteresowaniami i gustami esencji. W naszym wypadku osobowość jest wynikiem błędnej pracy centrów. Z tego powodu osobowość może nie lubić dokładnie tego, co lubi esencja, oraz lubić to, czego esencja nie lubi. To tutaj ma początek walka między esencją i osobowością. Esencja wie, czego chce, ale nie może tego wytłumaczyć. Osobowość nie chce o tym słyszeć i nie zwraca na to uwagi. Ona ma swoje własne pragnienia. I działa na swój własny sposób. Ale na tym kończy się jej władza. Potem dwie esencje zmuszone są w taki lub inny sposób żyć razem i... nienawidzą się nawzajem. Żadnego rodzaju gra tutaj nie pomoże. W ten czy inny sposób, esencja, czy też typ, zawsze przeważa i decyduje.

Ani umysł, ani wyrachowanie, nic tutaj nie mogą działać. Nic też nie może pomóc tak zwana “miłość”, ponieważ w prawdziwym znaczeniu tego słowa mechaniczny człowiek nie może kochać – u niego *to kocha* albo *to nie kocha*.

Jednocześnie olbrzymią rolę w zachowaniu mechaniczności odgrywa seks. Wszystko, co ludzie robią, związane jest z "sekssem": polityka, religia, sztuka, teatr, muzyka, wszystko to jest "seks". Myślicie, że ludzie chodzi do teatru albo do kościoła po to, żeby się modlić albo żeby zobaczyć jakąś nową sztukę? To tylko dla zachowania pozorów. Rzeczą zasadniczą, zarówno w teatrze, jak i w kościele, jest to, że będzie tam wiele kobiet i wielu mężczyzn. Jest to środek ciężkości wszystkich zgromadzeń. Jak myślicie, co sprowadza ludzi do kawiarni, restauracji i na różne zabawy? Tylko jedna rzecz: Seks. Jest to podstawowa siła motywująca wszelką mechaniczność. Wszelki sen, wszelka hipnoza, są od niej uzależnione.

Musicie spróbować zrozumieć, co mam na myśli. Mechaniczność jest szczególnie niebezpieczna, kiedy ludzie próbują ją tłumaczyć nie poprzez to, czym ona naprawdę jest, ale poprzez coś innego. Gdy seks jest sam siebie wyraźnie świadomy i niczym innym się nie zasłania, to nie jest to wtedy mechaniczność, o której mówię. Wręcz przeciwnie, seks, który istnieje sam przez się i od niczego innego nie zależy, jest wielkim osiągnięciem. Ale zło tkwi w tym nieustannym oszukiwaniu siebie!

– Co zatem z tego wynika? Czy to tak powinno być, czy powinno się to zmienić?
– ktoś zapytał.

G. uśmiechnął się.

– To jest coś, o co ludzie zawsze pytają – powiedział. – Niezależnie od tego, o czym mówię, pytaj: "Czy to tak powinno być i jak można to zmienić, a więc co w takim wypadku należy zrobić?" Tak jakby można było cokolwiek zmienić, jakby można było cokolwiek zrobić. Powinieneś już do tej pory zrozumieć przynajmniej to, jak naiwne są takie pytania. Siły kosmiczne stworzyły ten stan rzeczy i siły kosmiczne nad tym stanem rzeczy sprawują kontrolę. A ty pytasz: czy można to tak zostawić, czy też powinno się to zmienić! Sam Bóg niczego nie mógłby zmienić. Czy pamiętasz, co zostało powiedziane o czterdziestu ośmiu prawach? Nie można ich zmienić, ale możliwe jest wyzwolenie się od znacznej ich części, czyli że można zmienić stan rzeczy *dla samego siebie*, można uciec od ogólnego prawa. Tym bardziej, że w prawie, o którym mówię, to znaczy w sprawowaniu władzy nad ludźmi przez seks, zawartych jest wiele różnych możliwości. Zawiera ono główną formę niewoli, a także główną możliwość wyzwolenia. To właśnie musicie zrozumieć.

"Nowe narodziny", o których wcześniej mówiliśmy, tak samo jak narodziny fizyczne i przedłużanie gatunku, zależą od energii seksualnej.

"Wodór" si 12 jest "wodorem", który reprezentuje końcowy produkt przekształcania pokarmu w ludzkim organizmie. Jest to materia, za pomocą której pracuje seks i którą seks wytwarza. Jest to "nasienie" "owoc".

"Wodór" si 12 może z pomocą "dodatkowego wstrząsu" przejść w do następnej

oktawy. Ale ten "wstrząs" może być dwoistej natury i mogą też zacząć rozwijać się różne oktawy: jedna na zewnątrz organizmu, który wyprodukował si, a druga w samym tym organizmie. Połączenie się męskiego i żeńskiego si 12 oraz wszystko, co temu towarzyszy, stanowi pierwszego rodzaju "wstrząs", a rozpoczęta za jego pomocą oktawa rozwija się niezależnie jako nowy organizm albo nowe życie.

Jest to normalny i naturalny sposób zużywania energii si 12. Ale w tym samym organizmie istnieje jeszcze inna możliwość. Jest to możliwość stworzenia nowego życia wewnątrz tego samego organizmu, w którym zostało wytworzone si 12, bez połączenia się dwóch składników: męskiego i żeńskiego. Nowa oktawa rozwija się wtedy wewnątrz, a nie na zewnątrz organizmu. Są to narodziny "ciała astralnego". Musicie zrozumieć, że "ciało astralne" rodzi się z tego samego materiału, z tej samej materii, co ciało fizyczne, tylko proces jest inny. Całość ciała fizycznego, wszystkie jego komórki są, jeśli można tak powiedzieć, przeniknięte emanacjami materii si 12. A kiedy są już wystarczająco nasączone, to wtedy materia si 12 zaczyna się krystalizować. Krystalizacja tej materii stanowi formowanie się "ciała astralnego".

Przejście materii si 12 w emanacje i stopniowe nasycenie nimi organizmu jest tym, co alchemia nazywa przekształceniem albo "transmutacją". To właśnie owo przekształcenie ciała fizycznego w ciało astralne alchemia nazwała transmutacją *grubego w subtelne*, lub też przekształceniem metali nieszlachetnych w złoto.

Całkowita transmutacja, to znaczy powstanie "ciała astralnego", możliwa jest tylko w zdrowym, normalnie funkcjonującym organizmie. W chorym, wypaczonym albo uszkodzonym organizmie żadna transmutacja nie jest możliwa.

– Czy do transmutacji konieczna jest całkowita wstrzeźliwość seksualna i czy w ogóle wstrzeźliwość seksualna jest pożyteczna dla pracy nad sobą? – zapytał ktoś.

– Nie jest to jedno, lecz wiele pytań – powiedział G. – Przede wszystkim wstrzeźliwość seksualna konieczna jest do transmutacji tylko w niektórych wypadkach, to znaczy dla pewnych typów ludzi. Innym jest ona zupełnie niepotrzebna. U jeszcze innych sama się pojawia, kiedy rozpoczyna się transmutacja. Wytłumaczę to jeszcze dokładniej. Dla niektórych typów *do rozpoczęcia* transmutacji konieczna jest długa i całkowita wstrzeźliwość seksualna; innymi słowy, oznacza to, że bez długiej i całkowitej wstrzeźliwości seksualnej transmutacja ta się nie rozpocznie. Ale po jej rozpoczęciu wstrzeźliwość nie jest już dłużej potrzebna. W innych wypadkach, to znaczy u innych typów, transmutacja może się rozpocząć przy normalnym życiu seksualnym – i wręcz można powiedzieć, że zacznie się ona wcześniej i będzie lepiej przebiegała przy bardzo dużym zużyciu energii seksualnej. W trzecim wypadku na początku transmutacji niepotrzebna jest

wstrzemięźliwość, ale już po jej rozpoczęciu, transmutacja pochłania cały energię seksualną, tak że kładzie kres normalnemu życiu seksualnemu czy też wydatkowaniu energii seksualnej.

A teraz następne pytanie: "Czy wstrzemięźliwość seksualna jest pożyteczna dla pracy, czy nie?"

Jest ona pożyteczna, jeśli wstrzemięźliwość występuje we wszystkich centrach. Jeśli wstrzemięźliwość ma miejsce tylko w jednym centrum, a we wszystkich innych panuje pełna swoboda wyobraźni, to nic gorszego od tego nie istnieje. A poza tym wstrzemięźliwość może być pożyteczna tylko wówczas, gdy człowiek wie, co robić z zaoszczędzoną w ten sposób energią. Jeśli nie wie, co z nią zrobić, to niczego nie da się przez wstrzemięźliwość osiągnąć.

Jaka jest w związku z tym, mówiąc ogólnie, najwłaściwsza forma życia z punktu widzenia pracy?

Nie da się tego powiedzieć. Powtarzam, że dopóki człowiek *nie wie*, to lepiej, żeby niczego nie próbował. Zanim nie zdobędzie on nowego, *dokładnego* poznania, zupełnie wystarcza, jeśli jego życiem będą kierowały zwykłe reguły i zasady. Jeśli człowiek zacznie w tej sferze teoretyzować i wymyślać, to doprowadzi go to tylko do psychopatii. Trzeba znowu pamiętać o tym, że tylko osoba, która pod względem seksu jest całkowicie normalna, ma jakiś szansę w pracy. Wszelkiego rodzaju "oryginalność", dziwne gusty, dziwne pożądanie, czy też, z drugiej strony, lęki i nieustannie pracujące "zderzaki", muszą zostać zniszczone już samym początku. Współczesna edukacja i współczesne życie stwarzają ogromną liczbę psychopatów seksualnych. Nie mają oni żadnej szansy w pracy.

Mówiąc ogólnie, istnieją tylko dwie właściwe drogi wydatkowania energii seksualnej: normalne życie seksualne i transmutacja. W tej sferze wszelkiego rodzaju wymysły są bardzo niebezpieczne.

Ludzie od niepamiętnych czasów próbowali wstrzemięźliwości. Czasami, bardzo rzadko, do czegoś to prowadziło, ale w większości wypadków to, co nazywa się wstrzemięźliwością, jest tylko zamianą normalnych doznań na nienormalne, ponieważ te nienormalne łatwiej jest ukryć. Jednakże to nie o tym chciałem mówić. Musicie zrozumieć, gdzie leży główne zło i co prowadzi do niewoli. Nie tkwi ono w samym seksie, lecz w *nadużywaniu* seksu. Ale z kolei błędnie się rozumie, co oznacza nadużywanie seksu. Ludzie zazwyczaj myślą, że oznacza to nadmiar albo zboczenie. To są stosunkowo niewinne formy nadużywania seksu. By uchwycić, czym jest nadużywanie seksu, w rzeczywistym znaczeniu tych słów, trzeba znać bardzo dobrze ludzką maszynę. Oznacza ono błędne działanie innych centrów w stosunku do seksu. Czyli działanie centrum seksualnego poprzez inne centra i działanie innych centrów poprzez centrum seksualne; lub też, by być jeszcze bardziej dokładnym, oznacza to

funkcjonowanie centrum seksualnego dzięki energii pożyczonej od innych centrów i funkcjonowanie innych centrów dzięki energii pożyczonej od centrum seksualnego.

– Czy można uważać seks za niezależne centrum? – zapytał jeden z obecnych.

– Można – odpowiedział G. – Jednocześnie, jeśli całe niższe piętro uzna się za jedną całość, to wtedy można przyjąć, że seks jest neutralizującą częścią centrum ruchowego.

– Za pomocą jakiego “wodoru” pracuje centrum seksualne? – zapytał ktoś inny.

Pytanie to już od dawna nas interesowało, ale do tej pory nie byliśmy w stanie na nie odpowiedzieć. I sam G., gdy go przedtem o to pytano, nigdy nie udzielił nam bezpośredniej odpowiedzi.

Centrum seksualne pracuje za pomocą “wodoru” 12 – powiedział tym razem – to znaczy, powinno ono za jego pomocą pracować. To właśnie jest si 12. Ale faktem jest, że bardzo rzadko pracuje ono za pomocą swojego właściwego wodoru. Nieprawidłowości w pracy centrum seksualnego wymagają specjalnego zbadania.

Po pierwsze, trzeba zauważyć, że *normalnie* w centrum seksualnym, a także w wyższym centrum emocjonalnym i w wyższym centrum myślowym, nie istnieje strona ujemna. We wszystkich pozostałych centrach (z wyjątkiem wyższych), a więc w centrum myślowym, emocjonalnym, ruchowym i instynktowym, istnieją, jeśli można tak powiedzieć, dwie połowy – dodatnia i ujemna; są to twierdzenie i zaprzeczenie, czyli “tak” i “nie” w centrum myślowym, a przyjemne i nieprzyjemne doznania w centrach ruchowym i instynktowym. W centrum seksualnym taki podział nie istnieje. Nie ma w nim strony dodatniej i ujemnej. Nie ma nieprzyjemnych doznań ani nieprzyjemnych uczuć; jest tam przyjemne doznania, przyjemne uczucie, albo też nie ma nic – brak jakiegokolwiek doznania, całkowita obojętność. Ale na skutek nieprawidłowej pracy centrów często się zdarza, że centrum seksualne łączy się z ujemną częścią centrum emocjonalnego albo z ujemną częścią centrum instynktowego. I wtedy to pewnego rodzaju pobudzenie albo też jakiegokolwiek pobudzenie centrum seksualnego wywołuje nieprzyjemne uczucia, nieprzyjemne doznania. Ludzie, którzy doświadczają nieprzyjemnych uczuć i doznań wywołanych przez związane z seksem koncepcje albo wyobrażenia, skłonni są uważać je za wielką cnotę lub za coś oryginalnego; w rzeczywistości jest to po prostu choroba. Wszystko, co jest związane z seksem, powinno być albo przyjemne, albo obojętne. Wszystkie nieprzyjemne uczucia i doznania pochodzą albo z centrum emocjonalnego, albo z centrum instynktowego.

To jest właśnie “nadużywanie seksu”. Z kolei trzeba pamiętać, że centrum seksualne pracuje za pomocą “wodoru” 12. Oznacza to, że jest ono mocniejsze i szybsze od wszystkich pozostałych centrów. Seks faktycznie rządzi wszystkimi

pozostałymi centrami. W normalnych okolicznościach, a więc kiedy człowiek nie ma ani świadomości, ani woli, jedyną rzeczą, która utrzymuje seks w ryzach, są "zderzaki". "Zderzaki" mogą go zupełnie unicestwić, to znaczy mogą powstrzymywać jego normalne przejawy. Nie mogą jednak zniszczyć jego energii. Energia pozostaje i przemieszcza się do innych centrów, znajdując w nich swój wyraz; innymi słowy, inne centra okradają centrum seksualne z energii, której ono samo nie zużywa. Energię centrum seksualnego można rozpoznać w pracy centrum myślowego, emocjonalnego i ruchowego poprzez szczególny "smak", szczególny zapach, gwałtowność, której natura danej sprawy nie wymaga. Centrum myślowe pisze książki, ale korzystając z energii centrum seksualnego, nie zajmuje się ono wyłącznie filozofią, nauką czy polityką – zawsze z czymś walczy, sprzecza się, krytykuje, tworzy nowe, subiektywne teorie. Centrum emocjonalne głosi chrześcijaństwo, wstrzemięźliwość, ascetyzm czy też trwogę i lęk przed grzechem, piekłem, mękami grzeszników, wiecznym ogniem, i wszystko to za pomocą energii centrum seksualnego... lub też, z drugiej strony doprowadza ono do rewolucji, okrada, pali i zabija, znowu za pomocą tej samej energii. Centrum ruchowe zajmuje się sportem, bije różne rekordy, wspina się po górach, skacze, przeskakuje, mocuje się, walczy, itd. Wszystkie te przykłady, to znaczy zarówno funkcjonowanie centrum myślowego, jak i funkcjonowanie centrów emocjonalnego i ruchowego, gdy pracują one przy pomocy energii centrum seksualnego, świadczą zawsze o jednej ogólnej cesze charakterystycznej, którą jest pewna szczególna gwałtowność i połączona z nią *bezużyteczność* wykonywanej pracy. Ani centrum myślowe, ani centra emocjonalne i ruchowe nigdy nie mogą stworzyć niczego *pożytecznego* za pomocą energii centrum seksualnego. I to jest właśnie przykład "nadużywania seksu".

Ale to dopiero jeden aspekt. Drugi aspekt polega na tym, że kiedy energia centrum seksualnego zostaje zagrabiona przez inne centra i zużyta na bezużyteczną pracę, to nic nie zostaje wtedy dla niego samego i musi ono kraść energię z innych centrów – energię o wiele niższej jakości, znacznie mniej subtelną niż jego własna. Jednocześnie centrum seksualne jest bardzo ważne dla ogólnego działania, w szczególności dla wewnętrznego wzrostu organizmu, ponieważ pracując z "wodorem" 12, może ono otrzymywać bardzo delikatny *pokarm z wrażeń*, jakiego żadne ze zwykłych centrów nie może otrzymać. Delikatny pokarm z wrażeń jest bardzo ważny dla wytwarzania wyższych "wodorów". Ale kiedy centrum seksualne pracuje za pomocą nie swojej energii, a więc za pomocą względnie niskich "wodorów" 48 i 24, jego wrażenia stają się o wiele "cięższe" i przestaje ono wtedy odgrywać w organizmie rolę, którą mogłoby odgrywać. Jednocześnie połączenie się centrum seksualnego z centrum myślowym i zużywanie jego energii przez centrum myślowe pobudza zbytnio wyobraźnię seksualną i wywołuje *skłonność do* zaspokajania się tą *wyobraźnią*. Połączenie centrum seksualnego z emocjonalnym prowadzi do sentymentalizmu albo, wręcz przeciwnie, do zazdrości i okrucieństwa. To znów jest obraz

“nadużywania seksu”.

– Co trzeba robić, by walczyć z “nadużywaniem seksu?” – zapytał ktoś z obecnych.

G. zaśmiał się.

– Właśnie czekałem na to pytanie – powiedział. – Ale ty powinieneś już rozumieć, że tak samo niemożliwe jest wytłumaczenie człowiekowi, który jeszcze nie zaczął pracować nad samym sobą i który nie zna struktury maszyny, co oznacza “nadużywanie seksu”, jak niemożliwe jest powiedzenie, co należy robić, by uniknąć tych nadużyć. Właściwa praca nad samym sobą zaczyna się od stworzenia *trwałego środka ciężkości*. Po utworzeniu trwałego środka ciężkości wszystko inne zostaje rozmieszczone i rozprowadzone, będąc mu jednocześnie podporządkowane. Pytanie sprowadza się do tego: z czego i jak można utworzyć trwały środek ciężkości? A na to można odpowiedzieć tylko tyle, że postawa człowieka wobec pracy, szkoły, jego wartościowanie pracy i uświadomienie sobie przez niego mechaniczności i bezcelowości wszystkiego innego, mogą ukształtować w nim stały środek ciężkości.

Rola odgrywana przez centrum seksualne w tworzeniu ogólnej równowagi i trwałego środka ciężkości może być bardzo duża. Pod względem jego energii, to znaczy jeśli korzysta ono ze swojej własnej energii, centrum seksualne znajduje się na tym samym poziomie, co wyższe centrum emocjonalne. I wszystkie pozostałe centra mu podlegają. A zatem byłaby to wielka rzecz, gdyby pracowało ono za pomocą swojej własnej energii. To by także wskazywało na stosunkowo wysoki poziom bycia. I w takim wypadku, to znaczy gdyby centrum seksualne pracowało za pomocą swojej własnej energii i na swoim własnym miejscu, także wszystkie pozostałe centra mogłyby prawidłowo pracować na swoich własnych miejscach i za pomocą swoich własnych energii.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Okres ten, środek lata 1916 roku, utrwalił się w pamięci wszystkich członków naszych grup jako czas olbrzymiego natężenia naszej wewnętrznej pracy. Wszyscy czuliśmy, że musimy się spieszyć, że w porównaniu z ogromem zadań, jakie sobie postawiliśmy, robimy zbyt mało. Zdaliśmy sobie sprawę, że nasza szansa nauczenia się czegoś więcej może tak samo niespodziewanie zniknąć, jak się pojawiła; próbowaliśmy zatem zwiększyć istniejące w nas napięcie powodowane przez pracę i dopóki istniały sprzyjające warunki, robić wszystko, co było w naszej mocy.

Ja rozpocząłem wówczas serię eksperymentów czy też ćwiczeń, korzystając z pewnego doświadczenia w tym kierunku, które zdobyłem wcześniej. Przeprowadziłem serie krótkich, ale bardzo intensywnych postów. Nazywam je "intensywnymi", ponieważ nie robiłem ich w celach higienicznych, ale wręcz przeciwnie, próbowałem dostarczyć organizmowi możliwie jak najsilniejszych wstrząsów. Oprócz tego zacząłem "oddychać" według określonego systemu, co w połączeniu z poszczeniem już wcześniej dało interesujące psychologiczne rezultaty; powróciłem też do "powtarzania" zgodnie z metodą "modlitwy umysłu", co bardzo mi poprzednio pomogło w skupieniu uwagi i w obserwowaniu samego siebie. Przeprowadziłem także serię dosyć skomplikowanych umysłowych ćwiczeń na skupianie uwagi. Nie opisuję tutaj szczegółowo tych doświadczeń i ćwiczeń, ponieważ w końcu były to próby wycucia mojej własnej drogi, a mnie brakowało dokładnej wiedzy o możliwych rezultatach.

Ale wszystkie te rzeczy razem, jak również nasze rozmowy i spotkania, utrzymywały mnie w stanie niezwykłego napięcia i oczywiście w dużym stopniu przygotowały mnie do serii niezwykłych doświadczeń, którym miałem być poddany w sierpniu 1916 roku, ponieważ G. dotrzymał słowa i ujrzałem *fakty*, a jednocześnie zrozumiałem, co G. miał myśli mówiąc, że przed faktami koniecznych jest wiele innych rzeczy!

Składało się na nie zrozumienie pewnych idei, osiągnięcie pewnego stanu. Ten stan emocjonalny jest właśnie tym, czego nie rozumiemy, to znaczy nie rozumiemy, że jest on niezbędny i że bez niego fakty są niemożliwe.

Dochodzę teraz do rzeczy najtrudniejszej, ponieważ nie ma żadnej możliwości opisanie samych faktów.

Dlaczego?

Często zadawałem sobie to pytanie. Mogłem na nie jedynie odpowiedzieć, że w tych faktach zbyt dużo było tego, co osobiste, by mogły się one stać własności ogółu. I myślę, że nie działało się tak tylko moim wypadku, *ale że zawsze tak się dzieje.*

Pamiętam, że tego rodzaju stwierdzenia zawsze mnie oburzały, ilekroć natrafiłem na nie we wspomnieniach albo zapiskach ludzi, którzy przeszli przez jakieś niezwykle doświadczenia, a następnie odmawiali opisanie ich. Szukali oni cudownego i myśleli, że w takiej lub innej formie je znaleźli. A kiedy znaleźli to, czego szukali, niezmiennie mówili: "Znalazłem to. Ale nie mogę opisać tego, co znalazłem". Zawsze wydawało mi się to sztuczne i fałszywe.

A teraz sam znalazłem się w dokładnie takiej samej sytuacji. Znalazłem to, czego szukałem. Widziałem i obserwowałem fakty, całkowicie wykraczające poza sferę tego, co uważamy za możliwe, uznane lub dopuszczalne i nic nie mogę o nich powiedzieć.

Zasadniczą częścią tych doświadczeń była ich wewnętrzna treść i nowe, przychodzące wraz z nimi poznanie. Ale nawet zewnętrzny aspekt można opisać tylko w bardzo przybliżony sposób. Jak już powiedziałem, po wszystkich moich postach i innych eksperymentach znajdowałem się w stanie podniecenia i pewnej nerwowości, a fizycznie byłem nie tak silny jak zazwyczaj. Przybyłem do wiejskiego domu E.N.M. w Finlandii, w którego mieszkaniu w Petersburgu często ostatnio odbywaliśmy spotkania. Znajdował się tam G. i jeszcze około ośmiu z naszych ludzi. Nasze wieczorne rozmowy dotyczyły prób opowiedzenia swojego życia. G. był bardzo surowy i sarkastyczny, tak jakby chciał sprowokować to jednego, to drugiego z nas, i nieustannie podkreślał nasze tchórzostwo i lenistwo w myśleniu.

Poczułem się szczególnie dotknięty, gdy w obecności wszystkich, zaczął powtarzać coś, co mu powiedziałem w całkowitej tajemnicy na temat tego, co myślałem o Doktorze S. To, co mówił, było dla mnie nieprzyjemne głównie dlatego, że sam zawsze potępiałem innych za tego rodzaju uwagi.

Myślę, że było gdzieś około dziesiątej, gdy wezwał do małego, oddzielnego pokoju mnie, Doktora S. i Z. Usiedliśmy na podłodze "po turecku" i G. zaczął nam objaśniać i pokazywać pewne pozycje i ruchy. Nie mogłem nie zauważyć zadziwiającej pewności i precyzji we wszystkich jego ruchach, choć same ruchy nie wydawały się szczególnie skomplikowane i dobry gimnastyk wykonałby je bez większej trudności. Nigdy nie pretendowałem do roli atlety, ale zewnętrznie mogłem je naśladować. G. wytłumaczył nam, że choć gimnastyk może oczywiście wykonać te ruchy, to jednak zrobiłby to inaczej, ponieważ G. wykonuje je w specjalny sposób, z rozluźnionymi mięśniami.

Potem G. ponownie wrócił do pytania, dlaczego nie jesteśmy w stanie opowiedzieć historii swojego życia.

I od tego zaczął się "cud".

Z całkowitą pewnością mogę powiedzieć, że G. nie zastosował żadnych zewnętrznych środków, to znaczy nie dał mi żadnych narkotyków ani mnie nie zahipnotyzował za pomocą którejś ze znanych metod.

Wszystko zaczęło się od tego, że zacząłem *słyszeć jego myśli*. Siedzieliśmy w małym pokoju na drewnianej podłodze bez dywanu, jak to często się zdarza w wiejskich domach. Ja siedziałem naprzeciwko a Doktor S. i Z. po obu jego stronach. G. mówił o naszych "cechach" naszej niemożności widzenia albo mówienia prawdy. Jego słowa bardzo mnie wzburzyły. I nagle spostrzegłem, że pośród słów wypowiedzianych do nas wszystkich znajdowały się "myśli" przeznaczone dla mnie. Uchwyciłem jedną z tych myśli i odpowiedziałem na nią, mówiąc w zwykły sposób na głos. G. skinął na mnie i przestał mówić. Nastąpiła dosyć długa przerwa. G. siedział bez ruchu, nie odzywając się. Po chwili usłyszałem wewnątrz siebie jego głos, tak jakby ten głos znajdował się klatce piersiowej, niedaleko serca. G. zadał mi konkretne pytanie. Spojrzałem na niego; siedział i uśmiechał się. Jego pytanie wzbudziło mnie bardzo silne emocje. Ale odpowiedziałem twierdząco.

– Dlaczego on to powiedział? – zapytał G., spoglądając najpierw na mnie, a potem na Doktora S. – Czy ja go o cokolwiek pytałem?

I od razu, w ten sam sposób co przedtem, zadał mi następne, jeszcze trudniejsze pytanie. A ja znowu naturalnym głosem na nie odpowiedziałem. Z. i S. byli wyraźnie zdumieni tym, co się działo, szczególnie Z. Rozmowa ta, jeśli można nazwać ją rozmową, toczyła się dalej w ten sam sposób przez co najmniej pół godziny. G. bez słów zadawał mi pytania, a ja głośno na nie odpowiadałem. Byłem bardzo podniecony tym, co powiedział mi G. i tym, o co mnie zapytał, a czego nie mogę przekazać. Dotyczyło to pewnych warunków, które albo musiałem przyjąć, albo *porzucić pracę*. G. dał mi na to miesiąc. Nie chciałem korzystać z tego czasu i powiedziałem, że niezależnie od tego, jak trudne jest to, czego ode mnie żąda, od razu się tego podejmę. Ale G. nalegał i mówił o terminie miesiąca.

W końcu wstał i wyszedł na werandę. Po drugiej stronie domu znajdowała się jeszcze jedna duża weranda, gdzie siedziała reszta naszych ludzi.

Bardzo mało mogę powiedzieć o tym, co działo się potem, choć to właśnie potem wydarzyły się rzeczy najistotniejsze. G. rozmawiał z Z. i S. W pewnej chwili coś, co powiedział o mnie, tak silnie na mnie podziałało, że zerwałem się z krzesła i wyszedłem do ogrodu. Stamtąd poszedłem do lasu. Chodziłem tak przez długi czas po ciemku, znajdując się całkowicie we władaniu najbardziej niezwykłych myśli i uczuć. Chwilami wydawało mi się, że coś odnalazłem, a potem znowu, że to zgubiłem.

Trwało to gdzieś przez godzinę albo dwie. W końcu w momencie, który wydawał się szczytowym punktem sprzeczności i wewnętrznego zamętu, przebiegła przez mój umysł pewna myśl; podążając za nią bardzo szybko osiągnąłem jasne i właściwe zrozumienie tego wszystkiego, co powiedział G., a także mojej własnej sytuacji. Zobaczyłem, że G. ma rację: to, co uważałem w sobie za solidne i godne zaufania, w rzeczywistości nie istniało. Odnalazłem natomiast coś innego.

Wiedziałem, że G. mi nie uwierzy i że będzie się ze mnie śmiał, jeśli mu o tym powiem. Ale dla mnie było to czymś, co nie podlegało wątpliwości i to, co wydarzyło się później, pokazało, że miałem rację.

Przez długi czas siedziałem na jakiejś polanie i paliłem papierosy. Kiedy wróciłem do domu, na małej werandzie zrobiło się już ciemno. Myśląc, że wszyscy poszli spać, udałem do mojego pokoju i też się położyłem. Okazało się, że w tym czasie G. i pozostałe osoby jadły kolację na dużej werandzie. Wkrótce potem, gdy się położyłem, znowu poczułem w sobie dziwne podniecenie, moje tętno zaczęło silnie pulsować i ponownie w mojej klatce piersiowej usłyszałem głos G. Tym razem nie tylko słyszałem, lecz także *odpowiadałem w umyśle*, a G. to słyszał i odpowiadał mi. Było coś bardzo dziwnego w tej rozmowie.

Próbowałem znaleźć coś, co by potwierdziło fakt jej istnienia, ale bez skutku. I mimo wszystko mogła to być "wyobraźnia" albo sen na jawie, bo choć próbowałem zapytać G. o coś konkretnego, co nie pozostawiałoby żadnej wątpliwości co do realności tej rozmowy czy jego w niej udziału, to nie mogłem wymyślić niczego dostatecznie przekonywającego. Niektóre z pytań, które mu zadałem i na które mi odpowiedział, mogłem sam zadać i sam sobie na nie odpowiedzieć. Odniosłem nawet wrażenie, że G. unikał konkretnych odpowiedzi, które mogłyby później posłużyć jako "dowody", i że na jedno lub dwa z moich pytań celowo udzielił nieprecyzyjnych odpowiedzi. Ale *poczucie, że była to rozmowa*, było bardzo silne, zupełnie nowe i niepodobne do niczego innego.

Po dosyć długiej przerwie, G. zapytał mnie o coś, co od razu postawiło mnie całego w stan pogotowia; potem zamilkł, jakby czekając na odpowiedź.

To, co powiedział, położyło niespodziewanie kres wszystkim moim myślom i uczuciom. Nie był to lęk, a przynajmniej nie był to świadomy lęk, kiedy się wie, czego można się obawiać, jednakże cały dygotałem i coś mnie dosłownie całkowicie sparaliżowało, tak że nie byłem w stanie wypowiedzieć ani jednego słowa, choć robiłem ogromne wysiłki, by odpowiedzieć mu twierdząco.

Czułem, że G. czeka i że nie będzie długo czekał.

– Dobrze, teraz jesteś już zmęczony – powiedział w końcu. – Zostawmy to do następnego razu.

Zacząłem coś mówić; myślę, że prosiłem go, żeby poczekał, żeby da mi trochę czasu, bym mógł przywyknąć do tej myśli.

– Innym razem – odpowiedział jego głos. – Śpij. – I głos urwał się.

Przez długi czas nie mogłem zasnąć. Rano, kiedy wyszedłem na małą werandę, na której rozmawialiśmy poprzedniego wieczoru, G. siedział dwadzieścia metrów dalej, w ogrodzie, w pobliżu okrągłego stołu; razem z nim było trzech z naszych ludzi.

– Zapytajcie go, co zdarzyło się ostatniej nocy – powiedział G. Z jakiegoś

powodu mnie to rozzłościło. Odwróciłem się i ruszyłem w stronę werandy. Gdy do niej doszedłem, znów usłyszałem w mojej klatce piersiowej głos G.

– Zatrzymaj się!

Zatrzymałem się i zawróciłem w stronę G. Uśmiechał się.

– Dokąd idziesz, usiądź tutaj – powiedział swoim normalnym głosem.

Usiadłem koło niego, ale niczego nie mogłem powiedzieć ani też wcale nie chciałem mówić. Jednocześnie odczuwałem coś w rodzaju niezwyklej jasności myśli i postanowiłem skupić się nad pewnymi problemami, które wydawały mi się szczególnie trudne. W moim umyśle pojawiła się myśl, że być może w tym niezwykłym stanie będę mógł znaleźć odpowiedzi na pytania, na które w normalny sposób nie mogłem odpowiedzieć.

Zacząłem myśleć o pierwszej triadzie "promienia stworzenia", o trzech siłach, które składały się na jedną siłę. Co mogły oznaczać? Czy możemy je zdefiniować? Czy możemy zdać sobie sprawę z ich znaczenia? Coś zaczęło formować się w mojej głowie, ale gdy tylko próbowałem przełożyć to na słowa, wszystko zniknęło. "Wola, świadomość... i jaka była trzecia siła?" – zapytałem siebie. Wydawało mi się, że gdybym mógł nazwać tę trzecią, to zrozumiałbym od razu całą resztę.

– Zostaw to – powiedział głośno G.

Skierowałem wzrok w jego stronę; patrzył na mnie.

– Jeszcze bardzo daleka droga do tego – powiedział. – Nie możesz teraz znaleźć na to odpowiedzi. Lepiej pomyśl o samym sobie, o swojej pracy.

Ludzie, którzy siedzieli z nami, spoglądali na nas z zakłopotaniem. G. odpowiedział na moje myśli.

Potem zaczęło się coś bardzo dziwnego, co trwało przez cały ten dzień, a także później. W Finlandii pozostaliśmy przez następne trzy dni.

W tym czasie odbyło się bardzo dużo rozmów na najrozmaitsze tematy. Ja przez cały ten czas znajdowałem się w niezwykłym stanie emocjonalnym, który chwilami stawał się uciążliwy.

– Nie mogę już tego dłużej znieść. Jak można się tego pozbyć? – zwróciłem się do G.

– Czy chcesz zasnąć? – zapytał.

– Z pewnością nie – odpowiedziałem.

– To w takim razie o co pytasz? To jest to, czego chciałeś, wykorzystaj to. *Ty w tej chwili nie śpisz!*

Nie sadzę, że była to całkowita prawda. Bez wapienia chwilami "spałem".

Wiele rzeczy, które wtedy powiedziałem, musiało bardzo zdziwić moich współtowarzyszy w tej dziwnej przygodzie. I wiele rzeczy dziwiło mnie samego. Wiele rzeczy było jak sen, wiele rzeczy nie miało żadnego związku z rzeczywistością. Niewątpliwie sam dużo wymyśliłem. Później bardzo dziwne było dla mnie przypominanie sobie tego, co wówczas powiedziałem.

W końcu wróciliśmy do Petersburga. G. wyjechał do Moskwy, a my prosto z Dworca Finlandzkiego udaliśmy się na Dworzec Nikołajewski.

Dosyć duża grupa zebrała się, żeby go pożegnać. G. odjechał.

Ale "cudowne" wciąż jeszcze nie dobiegało końca. Później tego samego wieczoru znowu miały miejsce nowe i bardzo dziwne zjawiska: "rozmawiałem" z G., *widząc* go w przedziale pociągu jadącego do Moskwy.

Po tym nastąpił dziwny okres. Trwało to około trzech tygodni. I w tym czasie kilkakrotnie widziałem "śpiących ludzi".

Ale wymaga to specjalnego wyjaśnienia.

Dwa albo trzy dni po wyjeździe G. szedłem ulicą Troickiego i nagle zobaczyłem, że człowiek, który idzie w moją stronę, *śpi*. Nie mogło być co do tego żadnych wątpliwości. Mimo że jego oczy były otwarte, szedł najwyraźniej pogrążony w snach, które jak chmury przebiegały przez jego twarz. Przyszło mi do głowy, że gdybym dostatecznie długo mógł na niego patrzeć, to powinienem zobaczyć jego sny, to znaczy powinienem zrozumieć, co on widzi w snach. Ale poszedł dalej. Po nim nadszedł następny, też śpiący. Śpiący dorożkarz przejechał z dwoma śpiącymi pasażerami. Nagle znalazłem się w sytuacji księcia ze "Śpiącej królowej". Wkoło mnie wszyscy spali. Było to niepodważalne i wyraźne doznanie. Zrozumiałem, co znaczyło to, że wiele rzeczy, których zazwyczaj nie widzimy, można *zobaczyć* naszymi oczami. Te doznania trwały przez kilka minut. Potem z mniejszą intensywnością powtórzyły się następnego dnia. Niemniej natychmiast odkryłem, że *próbując pamiętać samego siebie*, jestem w stanie wzmacniać i przedłużać te doznania dopóty, dopóki mam dostatecznie dużo energii, by się nie rozpraszać, to znaczy nie dopuszczać do tego, by rzeczy i wszystko wkoło przyciągało moje uwagę. Gdy uwaga zmieniała kierunek, przestawałem widzieć "śpiących ludzi", ponieważ najwidoczniej sam zasypiałem.

O tych eksperymentach opowiedziałem tylko kilku z naszych ludzi i dwoje z nich, próbując pamiętać samych siebie, miało podobne doznania.

Potem wszystko stało się normalne.

Nie mogłem sobie dokładnie wytłumaczyć, co właściwie zaszło. Ale wszystko we mnie zostało wywrócone do góry nogami. I nie ma wątpliwości co do tego, że w tym wszystkim, co w ciągu tych trzech tygodni mówiłem i myślałem, sporo było fantazjowania.

Jednakże zobaczyłem siebie samego, to znaczy zobaczyłem w sobie rzeczy,

których nigdy przedtem nie widziałem. Nie może być co do tego żadnej wątpliwości, i choć później zrobiłem się taki sam jak przedtem, to nie mogłem *nie wiedzieć*, że to zaszło i niczego nie mogłem zapomnieć.

Jedną rzecz rozumiałem wtedy z niewątpliwą jasnością, a mianowicie, że żadnych zjawisk wyższego rzędu – to znaczy wykraczających poza kategorie zwykłych, codziennie obserwowanych rzeczy, czy też zjawisk czasami nazywanych “metafizycznymi” – nie można obserwować ani badać tak jak zjawisk fizycznych, czyli za pomocą *zwykłych środków*, w zwykłym stanie świadomości. Całkowitym absurdem jest myślenie, że zjawiska wyższego rzędu, takie jak “telepatia”, “jasnowidzenie”, “przepowiadanie przyszłości”, zjawiska mediumiczne, itd., można poznawać w taki sam sposób, jak zjawiska elektryczne, chemiczne lub meteorologiczne. W zjawiskach wyższego rzędu istnieje coś, co, jeśli chce się *je obserwować i poznawać*, wymaga szczególnego stanu emocjonalnego. I wyklucza to wszelki możliwość “właściwie przeprowadzonych” laboratoryjnych doświadczeń i obserwacji.

Już poprzednio doszedłem do tych samych wniosków po przeprowadzeniu moich własnych doświadczeń opisanych w *Nowym Modelu Wszechświata*, w rozdziale “Mistycyzm doświadczalny”, ale teraz rozumiałem przyczynę, dla której było to niemożliwe.

Druga interesująca konkluzja, do której doszedłem, jest o wiele trudniejsza do opisanania.

Dotyczy ona pewnej zmiany, jaki spostrzegłem w niektórych z moich poglądów, w niektórych sformułowaniach moich celów, pragnień i dążeń. Wiele jej aspektów rozumiałem dopiero później. Ale wówczas wyraźnie zobaczyłem, że to właśnie w tym czasie rozpoczęły się pewne bardzo określone zmiany w moich przeświadczeniach o samym sobie i o tych, którzy znajdowali się wokół mnie, a zwłaszcza o “metodach działania”, jeśli można tak powiedzieć, nie formułując dokładniejszej definicji. Bardzo trudno jest opisać same zmiany. Mogę tylko powiedzieć, że nie były one w żaden sposób związane z tym, *co zostało powiedziane* w Finlandii, lecz pojawiły się jako rezultat emocji, których tam doświadczyłem. Pierwszą rzeczą, którą mogłem zauważyć, było osłabienie we mnie skrajnego indywidualizmu, który do tej pory był podstawową cechą mojej postawy wobec życia. Zacząłem częściej widywać się z ludźmi, bardziej odczuwać wspólnotę z nimi. A drugą rzeczą było to, że głęboko w sobie pojąłem ezoteryczną zasadę niemożliwości przemocy, to znaczy bezużyteczności stosowania gwałtownych środków, gdy się chce cokolwiek osiągnąć. Z niewątpliwą jasnością zobaczyłem i nigdy potem nie zatraciłem tego poczucia, że w *jakiegokolwiek sferze* gwałtowne środki i metody będą niezawodnie przynosiły ujemne skutki, to znaczy skutki przeciwne celom, dla których zostały one zastosowane. To, do czego doszedłem, na pozór wydawało się głośzonym przez Tołstoja “niesprzeciwianiem się złu przemocą”, ale to wcale nie było owo

“niesprzeciwianie się złu przemocą”, albowiem doszedłem do tego nie od strony etycznego, lecz praktycznego punktu widzenia, nie zajmując stanowiska wobec tego, co jest lepsze lub co gorsze, ale co jest bardziej skuteczne i celowe.

Następnym razem G. przyjechał do Petersburga na początku września. Próbowałem go wypytać, co rzeczywiście zdarzyło się w Finlandii – czy to prawda, że powiedział coś, co mnie przeraziło i dlaczego mnie to przeraziło?

– Jeśli tak się sprawa przedstawiała, to znaczy, że nie byłeś gotowy – powiedział G.

Niczego więcej nie wyjaśnił.

Podczas tej wizyty środkiem ciężkości naszych rozmów była “główna cecha” czy też “główna wada” każdego z nas.

G. był bardzo pomysłowy w definiowaniu tych cech. Zdałem sobie wtedy sprawę, że nie u każdego można zdefiniować główną cechę. U niektórych ludzi cecha ta może być tak ukryta pod różnymi konwencjonalnymi przejawami, że jej odnalezienie staje się prawie niemożliwe. Człowiek może też uważać *siebie* samego za swoją główną cechę – tak jak ja mógłbym nazwać swoją główną cechę “Uspieński” lub też, jak G. zawsze ją nazywał, “Piotr Demianowicz”. Nie może być tu żadnych pomyłek, ponieważ “Piotr Demianowicz” każdej osoby kształtuje się jakby “wokół jego głównej cechy”.

Gdy tylko ktoś nie zgadzał się ze sformułowaną przez G. definicją jego głównej cechy, G. zawsze wtedy mówił, że już sam fakt, że ta osoba się z nim nie zgadza, wskazuje na to, że ma on rację.

– Nie zgadzam się tylko z tym, że to, co mówisz jest rzeczywiście moją główną cechą – powiedział jeden z naszych ludzi. – *Główna cecha*, którą w sobie znam, jest o wiele gorsza. Ale nie przeczę, że ludzie mogą mnie widzieć tak, jak Ty to opisujesz.

– Ty niczego w sobie nie znasz – odparł mu G. – Gdybyś znał, to nie miałbyś tej cechy. I ludzie z pewnością widzą cię tak, jak ci to powiedziałem. Ale ty nie widzisz, jak oni cię widzą. Jeśli to, co ci powiedziałem, uznasz za swoją główną cechę, to zrozumiesz, jak ludzie cię widzą. I jeśli znajdziesz sposób walki z tą cechą, jeśli ją zniszczysz, to znaczy jeśli zniszczysz jej *mimowolne ujawnianie się* – G. zaakcentował te słowa – to nie będziesz na ludziach wywierał takiego wrażenia jak teraz, lecz takie, jakie będziesz chciał wyrzeć.

Od tego zaczęły się długie rozmowy o wrażeniach wywieranych przez człowieka na innych ludziach i o tym, w jaki sposób można wyrzeć pożądane albo niepożądane wrażenie.

Ludzie, z którymi żyjemy, zawsze widzą naszą główną cechę, choćby nawet była ona ukryta. Oczywiście nie zawsze potrafią ją zdefiniować. Ale często ich definicje są bardzo dobre i bardzo bliskie prawdy. Weźmy na przykład

pseudonimy. Pseudonimy czasami bardzo trafnie definiują główne cechy.

Rozmowa o wrażeniach ponownie przywiodła nas do "wewnętrznego" i "zewnętrznego zważania".

– Właściwe "zewnętrzne zważanie" nie może mieć miejsca, jeśli człowiek tkwi w swojej "głównej cesze" – powiedział G. – Oto przykład. Taki to a taki – tu wymienił jednego z naszej grupy. – Jego cechą jest to, że *nigdy go nie ma w domu*. Jak może on zważać na cokolwiek lub kogokolwiek?

Zdumiało mnie artystyczne "wykończenie" cech przedstawianych przez G. To nie była już nawet psychologia, to była sztuka.

– I psychologia powinna być sztuką – odpowiedział G. – Psychologia nigdy nie może być po prostu nauką.

Komuś innemu z naszej grupy powiedział, że jego cechą jest to, iż *on wcale nie istnieje*.

– Rozumiesz, ja *ciebie nie widzę* – powiedział G. – Nie znaczy to, że zawsze taki jesteś. Ale kiedy jesteś taki jak teraz, to wcale nie istniejesz.

Innemu z kolei powiedział, że jego główną cechą jest skłonność do kłócenia się zawsze, z każdym i o wszystko.

– *Ale ja przecież nigdy się nie kłócę* – człowiek ten odpowiedział od razu bardzo gorączkowo.

Nikt nie mógł powstrzymać się od śmiechu. G. powiedział innej osobie z naszej grupy – był to mężczyzna w średnim wieku, nad którym przeprowadził doświadczenie polegające na oddzieleniu osobowości od esencji i który poprosił o malinowy dżem – że jego cechą jest to, iż *nie ma on sumienia*. Następnego dnia mężczyzna ten przyszedł i powiedział, że był w bibliotece publicznej i że szukał tam w słownikach encyklopedycznych znaczenia słowa "sumienie" w czterech językach.

G. tylko machnął ręką.

Drugiemu mężczyźnie – współtowarzyszowi tamtego z doświadczenia – G. rzekł, że *nie ma on wstydu*, a ten z miejsca opowiedział dość zabawny żart na swój temat.

Tym razem G. zatrzymał się w swojej siedzibie na Litejnym, niedaleko Newskiego. Był mocno przeziębiony i spotykaliśmy się w jego mieszkaniu, w małych grupach.

Kiedyś powiedział nam, że nie ma sensu, abyśmy kontynuowali pracę w ten sam sposób i że powinniśmy podjąć stanowczą decyzję co do tego, czy chcemy dalej z nim iść tą drogą, czy chcemy pracować, czy może byłoby dla nas lepiej, gdybyśmy porzucili wszystkie usiłowania z tym związane, gdyż podejście na w pół poważne nie może przynieść żadnych rezultatów. Dodał, że będzie

kontynuował pracę tylko z tymi, którzy podejmą stanowczą i poważną decyzję walki z własnym snem i z własną mechanicznością.

– Teraz już wiecie – powiedział – że nie wymaga się od was niczego strasznego. Ale siedzenie pomiędzy dwoma stołkami nie ma sensu. Kto nie chce się obudzić, to przynajmniej niechaj dobrze śpi.

Zapowiedział, że będzie z każdym z nas oddzielnie rozmawiał i każdy z nas musi podać wystarczający powód, dlaczego on, G., powinien zawracać sobie nim głowę.

– Pewnie myślicie, że to sprawia mi dużo satysfakcji – powiedział. – Albo pewnie myślicie, że nie mam nic innego do roboty. Jeśli tak jest, w obu wypadkach bardzo poważnie się mylicie. Istnieje wiele innych rzeczy, które mógłbym robić. I jeśli poświęcam *temu* swój czas, to tylko dlatego, że mam określony cel. Teraz powinniście już lepiej rozumieć, co stanowi mój cel i powinniście już widzieć, czy znajdujecie się na tej samej drodze co ja, czy nie. Nic więcej nie powiem. Jednakże w przyszłości będę pracował tylko z tymi, którzy mogą okazać się przydatni do osiągnięcia mojego celu. I tylko tacy ludzie mogą być dla mnie przydatni, którzy postanowili zdecydowanie walczyć z samymi sobą, to znaczy walczyć z własną mechanicznością.

Na tym rozmowa się zakończyła. Spotkania G. z członkami trwały około tygodnia. Z niektórymi rozmawiał bardzo długo, z innymi znacznie krócej. W końcu prawie wszyscy pozostali.

P., mężczyzna w średnim wieku, o którym wspominałem w związku doświadczeniem nad oddzieleniem osobowości od esencji, wyszedł z tej sytuacji z honorem i w niedługim czasie stał się bardzo aktywnym członkiem naszej grupy, z rzadka tylko zbaczając na drogę “postawy formalnej” czy “dosłownego rozumienia”.

Odpadły tylko dwie osoby, które, jak nam się wydawało, dzięki jakiemuś rodzajowi magii, nagle przestały cokolwiek rozumieć i we wszystkim, co mówił G., zaczęły dopatrywać się *braku zrozumienia z jego strony*, a u pozostałych braku sympatii i uczuć.

Ta z początku nieufna i podejrzliwa, a potem otwarcie wroga postawa wobec nas, która nie wiadomo skąd się wzięła, postawa pełna dziwnych i całkiem nieoczekiwanych oskarżeń, bardzo nas zdumiała.

“Ze wszystkiego robiliśmy tajemnicę”. Nie przekazywaliśmy im, co G. mówił pod ich nieobecność. Opowiadaliśmy G. historie na ich temat, próbując wzbudzić w nim nieufność do nich. Relacjonowaliśmy mu wszystkie nasze rozmowy z nimi i nieustannie wprowadzaliśmy go w błąd wypaczając wszystkie fakty i dążąc do przedstawienia wszystkiego w fałszywym świetle. *Przekazaliśmy G. nieprawdziwe wrażenia na ich temat*, sprawiając, że wszystko, co widział, było dalekie od prawdy.

Jednocześnie sam G. "całkowicie się zmienił"; zrobił się zupełnie inny niż przedtem – stał się szorstki, wymagający, stracił wszelką serdeczność, nie wykazywał najmniejszego zainteresowania poszczególnymi osobami, przestał wymagać od ludzi prawdy; wolał otaczać się ludźmi, którzy bali się mu powiedzieć prawdę, którzy byli hipokrytami, którzy rzucali sobie nawzajem kwiaty pod nogi, a jednocześnie donosili na innych.

Wszystkie te i podobne rozmowy wzbudziły w nas zdumienie. Natychmiast też wytworzyły wśród nas całkowicie nową atmosferę, zupełnie dotychczas nam nieznaną. Dziwiło nas to szczególnie, ponieważ właśnie w owym czasie większość z nas znajdowała się w stanie silnego pobudzenia emocjonalnego i byliśmy wyjątkowo dobrze nastawieni wobec tych dwóch protestujących członków naszej grupy.

Wiele razy próbowaliśmy o nich rozmawiać z G. Śmiał się, gdy mu mówiliśmy, że według nich zawsze przekazywaliśmy mu "błędne wrażenia" na ich temat.

– Jaką wartość nadają oni pracy – powiedział – i jakim skończonym idiotą jestem z ich punktu widzenia! Jak łatwo można mnie oszukać! Widzicie, oni przestali rozumieć najważniejszą rzecz. W pracy nauczyciel nie może dać się oszukać. Jest to prawo wynikające z tego, co zostało powiedziane o wiedzy i o byciu. Ja mogę was oszukiwać, jeśli zechcę. Ale wy nie możecie mnie oszukać. W przeciwnym razie, to nie wy uczylibyście się ode mnie, ale ja musiałbym się uczyć od was.

– W jaki sposób powinniśmy z nimi rozmawiać i jak możemy im pomóc w powrocie do grupy? – niektórzy z nas zapytywali G.

– Nie tylko nie możecie nic zrobić – powiedział G. – ale nie powinniście nawet tego próbować, ponieważ przez takie usiłowania zniszczycie ich ostatnią szansę zrozumienia i zobaczenia samych siebie. *Powrócić jest zawsze bardzo trudno*. I musi to być całkowicie dobrowolna decyzja, bez jakiegokolwiek perswazji albo przymusu. Powinniście zrozumieć, że wszystko, co mówią o mnie i o was, jest wyłącznie próbą usprawiedliwiania siebie, jest usiłowaniem obwiniania innych po to, by samemu czuć, że ma się rację. Oznacza to coraz więcej kłamstwa. I to kłamstwo należy zniszczyć; a można je zniszczyć tylko poprzez cierpienie. Jeśli przedtem trudno im było zobaczyć samych siebie, to teraz będzie to dziesięć razy trudniejsze.

– Jak mogło do tego dojść? – zapytali inni. – Dlaczego tak niespodziewanie zmieniła się ich postawa wobec nas wszystkich i Ciebie?

– Dla was jest to pierwszy wypadek – powiedział G. – i dlatego wydaje się wam to dziwne, ale później zobaczycie, że zdarza się to bardzo często; zobaczycie też, że zawsze dzieje się to w dokładnie ten sam sposób. Głównym powodem jest to, że niemożliwe jest siedzenie między dwoma stołkami. A ludzie zazwyczaj myślą, że mogą siedzieć mi dwoma stołkami, to znaczy, że mogą zyskać nowe

zachowując stare. Oczywiście świadomie o tym nie myślą, ale to na jedno wychodzi.

I cóż to takiego jest to, co oni najbardziej pragną zachować? Po pierwsze, prawo do własnego wartościowania idei i ludzi, czyli to, co jest najbardziej dla nich szkodliwe. Są głupcami i już o tym wiedzą, to znaczy, zdali już sobie z tego sprawę. I dlatego przyszli tu, by się uczyć. Ale po chwili zupełnie o tym zapominają i zaczynają wnosić do pracy swoją własną, lichą i subiektywną postawę, to znaczy zaczynają oceniać mnie i wszystkich innych, tak jakby byli w stanie cokolwiek ocenić. I natychmiast odbija się to na ich postawie wobec idei i wobec tego, co mówię. Już “przyjmują jedną rzecz”, a “nie przyjmują drugiej”; z jedną rzeczą się zgadzają, a z inną się nie zgadzają; w jednej sprawie mi ufają, a w drugiej nie.

A najbardziej zabawne jest to, że wyobrażają sobie, iż w takich warunkach mogą “pracować”, to znaczy pracować nie ufając mi i nie akceptując wszystkiego. W rzeczywistości jest to zupełnie niemożliwe. Nie przyjmując czegoś albo czemuś nie dowierzając, natychmiast wymyślają w to miejsce coś swojego własnego. Zaczynają się “błyskotliwe improwizacje” – nowe teorie i nowe wyjaśnienia, które nie mają nic wspólnego z pracą ani z tym, co powiedziałem. Następnie zaczynają wynajdywać błędy i nieścisłości we wszystkim, co mówię lub co robię, a także we wszystkim, co inni mówią lub robią. Od tego momentu ja zaczynam mówić o rzeczach, o których nic nie wiem, a nawet o rzeczach, o których nie mam pojęcia, ale które *oni sami* znają i rozumieją o wiele lepiej ode mnie; wszyscy członkowie grupy stają się głupcami, idiotami. I tak dalej, i tak dalej... jak katarynki.

Jeśli człowiek mówi coś w tym rodzaju, to ja już z góry wiem, co on powie później. W konsekwencji wy także będziecie to wiedzieli. Zabawne, że ludzie potrafią to zobaczyć u innych. Ale kiedy sami zaczynają robić rzeczy pozbawione sensu, to od razu przestają zauważać to u siebie. To jest prawo. Trudno jest wspiąć się na górę, ale bardzo łatwo jest ześlizgnąć się w dół. Oni nie czują nawet zakłopotania, rozmawiając w taki sposób ze mną albo z innymi ludźmi. A przede wszystkim sądzą, że można to połączyć z jakiegoś rodzaju “pracą”. Nie chcą nawet zrozumieć, że kiedy doszli do tego punktu, to ich pioseneczka już przebrzmiała.

I zauważcie jeszcze jedną rzecz. Jest ich dwóch. Gdyby byli rozdzieleni, gdyby każdy podążał własną drogą, łatwiej byłoby im dostrzec swoją sytuację i wrócić. Ale jest ich dwóch, są przyjaciółmi i jeden wspiera drugiego dokładnie w jego słabościach. Teraz jeden nie już wrócić bez drugiego. I nawet gdyby chcieli wrócić, to przyjmę tylko jednego z nich.

– Dlaczego? – zapytał jeden z obecnych.

– To całkowicie odrębna kwestia – powiedział G. – W tym wypadku po prostu

dlatego, żeby umożliwić drugiemu postawienie pytania: kto jest dla niego najważniejszy, ja czy jego przyjaciel. Jeśli on jest najważniejszy, to nie ma o czym mówić, ale jeśli ja jestem najważniejszy, to musi on opuścić swojego przyjaciela i wrócić sam. I wtedy, po jakimś czasie drugi też może wrócić. Ale mówię wam, że oni uczepili się siebie i nawzajem sobie przeszkadzają. Jest to dokładny przykład na to, jak ludzie robią możliwie najgorszą dla nich samych rzecz, kiedy odchodzą od tego, co jest w nich dobre.

W październiku byłem z G. w Moskwie.

Zdumiała mnie specyficzna atmosfera mieszkania G. na Bolszoi Dmitrowce, w którym podłogi i ściany pokryte były dywanami we wschodnim stylu, a z sufitów zwisały jedwabne szale. Ludzie, którzy tu przychodzili – wszyscy będący uczniami G. – *nie obawiali się milczenia*. Już samo to było czymś niezwykłym. Przychodzili, siadali, palili papierosy, często przez wiele godzin nie wypowiadając jednego słowa. I tym milczeniu nie było niczego uciążliwego ani nieprzyjemnego; wręcz przeciwnie, było w nim poczucie pewności i uwolnienia się od konieczności odgrywania przymusowej i wymyślonej roli. Jednakże na przypadkowych i ciekawskich gościach to milczenie wywierało niezwykle dziwne wrażenie. Zaczynali mówić i mówili bez przerwy, tak jakby obawiali się przerwać i coś poczuć. Inni z kolei czuli się urażeni; uważali, że "milczenie" jest wymierzone przeciwko nim i ma im pokazać, jak bardzo uczniowie G. ich przewyższają oraz to, że z nimi samymi nie warto jest nawet rozmawiać. Niektórym milczenie to wydawało się głupie, zabawne, "nienaturalne", a także ujawniało nasze najgorsze cechy, szczególnie naszą słabość i całkowite podporządkowanie się G., który "nas gnębił".

P. postanowił nawet prowadzić zapis reakcji różnych ludzi na to "milczenie". Ja zdałem sobie wtedy sprawę, że ludzie boją się milczenia bardziej niż cegokolwiek innego, że nasza skłonność do mówienia wynika z potrzeby samoobrony i jest zawsze oparta na niechęci do zobaczenia czegoś, niechęci do przyznania się do czegoś przed samym sobą.

Wkrótce też zauważyłem jeszcze dziwniejszą cechę mieszkania G. *Nie można było tam kłamać*. Kłamstwo natychmiast stawało się widoczne, oczywiste, dotykalne, nie podlegające wątpliwości.

Pewnego razu przyszedł tam znajomy G., którego poznałem wcześniej i który czasami uczęszczał na spotkania grup G. Oprócz mnie w mieszkaniu znajdowały się jeszcze dwie lub trzy osoby. G. był nieobecny. Po chwili siedzenia w milczeniu nasz gość zaczął mówić o tym, jak to właśnie spotkał człowieka, który opowiedział mu niezwykle interesujące rzeczy o wojnie, o możliwościach zawarcia pokoju, itd. I nagle, w sposób zupełnie dla mnie nieoczekiwany, poczułem, że *on kłamie*. Z nikim się nie spotkał i nikt mu niczego nie opowiedział. Wszystko to zostało przez niego wymyślone na poczekaniu, po prostu dlatego, że nie mógł znieść milczenia.

Spoglądając na niego, czułem się niezręcznie. Wydawało mi się, że gdyby napotkał mój wzrok, zdałby sobie sprawę, że widzę, iż on kłamie.

Popatrzyłem na innych i zobaczyłem, że oni czuli to samo i z trudem powstrzymywali się od śmiechu. Potem spojrziałem na tego, który mówił i zobaczyłem, że tylko on niczego nie zauważył; w dalszym ciągu mówił bardzo szybko, coraz silniej dając się ponieść swojemu tematowi i nie zauważając spojrzeń, które mimowolnie wymienialiśmy między sobą.

Nie był to jedyny wypadek. Nagle przypomniałem sobie próby opisanego życia podejmowane przez nas latem i "intonacje", z jakimi mówiliśmy, kiedy usiłowaliśmy coś ukryć. Zdałem sobie sprawę, że tym razem cała rzecz polega na intonacjach. Kiedy człowiek gawędzi albo po prostu czeka na sposobność, by zacząć mówić, to nie dostrzega intonacji innych osób i nie jest w stanie odróżnić kłamstw od prawdy. Ale jeśli sam jest spokojny, a więc jeśli trochę się przebudzi, to słyszy wtedy różne intonacje i zaczyna rozpoznawać kłamstwa innych.

Wielokrotnie poruszałem ten temat w rozmowach z innymi uczniami G. Opowiedziałem im o tym, co zdarzyło się w Finlandii i o "śpiących ludziach", których widziałem na ulicach Petersburga. To, co czułem w mieszkaniu G. w obecności osób, które mechanicznie kłamały, bardzo przypominało mi to, co odczuwałem widząc "śpiących ludzi".

Bardzo chciałem zapoznać G. z niektórymi z moich moskiewskich przyjaciół; ale spośród tych, z którymi w owym czasie się spotykałem, tylko jeden, W. A. A., mój stary przyjaciel z redakcji, sprawiał wrażenie kogoś wystarczająco ożywionego, mimo że jak zwykle był przeciążony pracą i bez przerwy dokądś gonił. Ale bardzo się zaciekał, gdy powiedziałem mu o G. Za zgodą G. zaprosiłem go na obiad do mieszkania G. G. zwołał około piętnastu ze swoich ludzi i wydał obiad, który jak na owe czasy, był bardzo luksusowy, z zakąskami, pasztetami, szaszłykami, winem z Kachetii, itd. Innymi słowy, był to jeden z tych kaukaskich obiadów, które zaczynają się w południe i trwają do wieczora. G. posadził A. koło siebie, był dla niego bardzo miły, cały czas go zabawiał, dolewał mu wina. Zbladłem nagle, gdy zdałem sobie sprawę, na jakiego rodzaju próbę wystawiłem mojego starego przyjaciela. Wszyscy siedzieli w milczeniu. A. wytrzymał przez pięć minut. Potem zaczął mówić. Mówił o wojnie, o wszystkich naszych sojusznikach i wrogach razem, i o każdym z osobna. Przedstawił opinie wszystkich osób publicznych z Moskwy i z Petersburga na wszelkie możliwe tematy; potem mówił o suszeniu warzyw dla wojska (którym wtedy zajmował się poza swoją pracą dziennikarską), w szczególności o suszeniu cebuli, następnie o sztucznych nawozach, chemii rolniczej i o chemii w ogóle, o nawożeniu gleby, o spirytyzmie, "materializowaniu się dłoni" i nie pamiętam, o czym jeszcze. Ani G., ani nikt inny nie wypowiedział nawet jednego słowa. Ja sam z obawy, że A. się obrazi, nieomal zacząłem mówić, ale G. spojrział na mnie tak srogo, że się powstrzymałem. Poza tym moje obawy okazały się płonne. Biedny A. niczego

nie zauważył; tak się dał ponieść swojemu mówieniu i swojej własnej elokwencji, że szczęśliwy siedział przy stole i mówił bez przerwy aż do czwartej. Następnie niezwykle serdecznie wymienił uścisk dłoni z G. i podziękował mu za "bardzo ciekawą rozmowę". G. spoglądając na mnie, chytrze się uśmiechał.

Byłem bardzo zawstydzony. Z biednego A. zrobili głupka. Z pewnością nie mógł się czegoś takiego spodziewać, więc dał się złapać. Zdałem sobie sprawę, że G. urządził pokaz dla swoich ludzi.

– Widzisz więc – powiedział po wyjściu A. – Mówi się, że jest on inteligentnym człowiekiem. Ale nawet by nie zauważył, gdybym zdjął z niego spodnie. Pozwól mu tylko mówić. Niczego innego nie pragnie. I wszyscy są tacy. Ten był dużo lepszy od wielu innych. Nie mówił kłamstw. I naprawdę wiedział, o czym mówi, oczywiście na swój własny sposób. Ale pomyśl, jaki z niego pożytek? Nie jest już młody. I być może była to jedyna okazja w jego życiu, gdy miał możliwość usłyszenia prawdy. A on przez cały czas sam mówił.

Z moskiewskich rozmów z G. pamiętam jedną, która wiąże się z inną, przedstawioną już przeze mnie rozmową z Petersburga.

Tym razem G. sam zaczął mówić.

– Co spośród tego, czego się do tej pory nauczyłeś, jest dla ciebie rzeczą najważniejszą? – zapytał mnie.

– Oczywiście doświadczenia, które miałem w sierpniu – powiedziałem. – Gdybym był w stanie przywołać je na życzenie i z nich skorzystać, byłoby to wszystko, czego bym pragnął, ponieważ myślę, że wtedy mógłbym odnaleźć całą resztę. Ale jednocześnie wiem, że te "doświadczenia", używam tego słowa tylko dlatego, że nie ma innego, ale rozumiesz, o czym mówię – G. skinął głową – były uzależnione od stanu emocjonalnego, w którym się wtedy znajdowałem. I wiem, że zawsze będą od niego uzależnione. Gdybym potrafił wytworzyć w sobie taki stan emocjonalny, to bardzo szybko mógłbym dojść do tych doświadczeń. Ale czuję się nieskończenie daleki od tego stanu emocjonalnego, tak jakbym spał. To jest "snem", tamto było "jawą". Jak można stworzyć ten stan emocjonalny? Powiedz mi.

– Istnieją trzy sposoby – powiedział G. – Pierwszy, kiedy stan przychodzi sam z siebie, przypadkowo. Drugi, gdy ktoś inny wytwarza go w tobie. I trzeci, kiedy sam go możesz wytworzyć. Którą z nich chcesz wybrać?

Wyznaję, że przez chwilę miałem bardzo silne pragnienie, by powiedzieć, że wolałbym, by ktoś inny, to znaczy on wytworzył we mnie stan emocjonalny, o którym mówiłem. Ale od razu zdałem sobie sprawę, że wtedy G. powie mi, że już raz to zrobił i że teraz powinienem czekać, aż to przyjdzie samo albo że sam powinienem coś zrobić, by to osiągnąć.

– Oczywiście, sam chciałbym go wytworzyć – powiedziałem. – Ale ja to można

zrobić?

– Już wcześniej ci powiedziałem, że konieczna jest ofiara – odpowiedział G. – Bez ofiary niczego nie można uzyskać. Ale jeśli na świecie istnieje coś, czego ludzie nie rozumieją, to jest to idea ofiary. Myślą, że muszą poświęcić coś, co mają. Na przykład powiedziałem kiedyś, że muszą poświęcić “wiarę”, “spokój”, “zdrowie”. Oni rozumieją to dosłownie. Ale rzecz w tym, że nie mają oni ani wiary, ani spokoju, ani zdrowia. Wszystkie te słowa trzeba ująć w cudzysłów. W rzeczywistości muszą oni poświęcić tylko to, co sobie wyobrażają, że mają, a czego faktycznie nie mają. Muszą poświęcić swoje fantazje. Ale jest to dla nich trudne. O wiele łatwiej jest poświęcić rzeczy istniejące.

Następną rzeczą, którą ludzie muszą poświęcić, *jest ich cierpienie*. Bardzo trudno jest poświęcić własne cierpienie. Człowiek odmówi sobie wszelkiej przyjemności, ale nie porzuci swojego cierpienia. Człowiek zbudowany jest w taki sposób, że nigdy nie przywiązuje się do niczego tak, jak do swojego cierpienia. A od cierpienia trzeba się uwolnić. Nikt, kto nie jest wolny od cierpienia, kto nie poświęcił swojego cierpienia, nie może pracować. Później będę miał jeszcze dużo do powiedzenia na ten temat. Bez cierpienia niczego nie da się osiągnąć, ale jednocześnie trzeba zacząć od poświęcenia cierpienia. Teraz rozszyfruj, co to oznacza.

Zatrzymałem się w Moskwie na mniej więcej tydzień i do Petersburga wróciłem ze świeżym zapasem idei i wrażeń. Wtedy właśnie miało miejsce bardzo ciekawe zdarzenie, które wyjaśniło mi wiele spraw w systemie i w metodach instruowania stosowanych przez G.

Podczas mojego pobytu w Moskwie uczniowie G. wyjaśniali mi różne prawa odnoszące się do człowieka i do świata. Między innymi pokazali mi jeszcze raz “Tablicę Wodorów” – jak nazywaliśmy ją w Petersburgu – ale w znacznie poszerzonej formie. Oprócz trzech skal “wodorów” przedstawionych nam wcześniej przez G., przeprowadzili dalszą redukcję i uzyskali w sumie dwanaście skal (Tablica 4).

H 6	H 1										
H 12	H 6	H 1									
H 24	H 12	H 6	H 1								
H 48	H 24	H 12	H 6	H 1							
H 96	H 48	H 24	H 12	H 6	H 1						
H 192	H 96	H 48	H 24	H 12	H 6	H 1					
H 384	H 192	H 96	H 48	H 24	H 12	H 6	H 1				
H 768	H 384	H 192	H 96	H 48	H 24	H 12	H 6	H 1			
H1536	H 768	H 384	H 192	H 96	H 48	H 24	H 12	H 6	H 1		

H3072	H1536	H 768	H 384	H 192	H 96	H 48	H 24	H 12	H 6	H 1	
H6144	H3072	H1536	H 768	H 384	H 192	H 96	H 48	H 24	H 12	H 6	H 1
H 12288	H6144	H3072	H1536	H 768	H 384	H 192	H 96	H 48	H 24	H 12	H 6

TABLICA 4

W tej postaci tablica była ledwo zrozumiała. Nie potrafiłem się przekonać o konieczności zredukowania skal.

– Weźmy na przykład siódmą skalę – powiedział P. – Absolut jest tutaj “wodorem ”96. *Ogień* może służyć za przykład “wodoru ”96. *Ogień* zatem jest Absolutem dla kawałka drewna. Weźmy dziewiątą skalę. Tutaj Absolutem jest “wodór” 384, czyli *woda*. Woda będzie Absolutem dla kawałka cukru.

Nie byłem jednak w stanie uchwycić zasady, na podstawie której dałoby się dokładnie ustalić, kiedy można korzystać z takiej skali. P. pokazał mi tablicę uzupełnioną do piątego stopnia i odnoszącą się do równoległych poziomów w różnych światach. Ale niczego z tego nie umiałem wywnioskować. Zacząłem myśleć, czy nie byłoby możliwe połączenie wszystkich tych różnych skal z różnymi kosmosami. Pochłonięty tą myślą, zacząłem podążać w zupełnie błędnym kierunku, ponieważ kosmosy oczywiście nie miały żadnego związku z podziałem skali. Jednocześnie miałem ogólne wrażenie, że przestałem rozumieć cokolwiek na temat “trzech oktaw promieniowania”, z których została wyprowadzona pierwsza skala “wodorów”. Podstawową trudnością, o którą “się potykałem”, był tutaj związek trzech sił 1, 2, 3 oraz 1, 3, 2, a także związek między “węglem”, “tlenem” i “azotem”.

Jednocześnie zdawałem sobie sprawę, że zawierało się w tym coś ważnego. I opuszczałem Moskwę z nieprzyjemnym uczuciem, że nie tylko nie zyskałem niczego nowego, ale że być może utraciłem też “stare”, a więc to, o czym myślałem, że już to rozumiem.

Zawarliśmy w naszej grupie umowę, że gdyby którykolwiek z nas pojechał do Moskwy i usłyszał tam jakieś nowe wyjaśnienia lub wykłady, to po powrocie do Petersburga musi to wszystko przekazać innym. Ale w drodze do Petersburga, starannie przypominając sobie moskiewskie rozmowy, czułem, że nie będę umiał przekazać im podstawowej rzeczy, ponieważ sam jej nie rozumiem. Drażniło mnie to i nie wiedziałem, co mam robić. W tym stanie dotarłem do Petersburga i następnego dnia poszedłem na nasze spotkanie.

Starając się możliwie najdokładniej naszkicować początek “wykresów” – jak nazywaliśmy tę część systemu G., która zajmowała się generalnymi zagadnieniami i prawami – zacząłem przekazywać ogólne

wrażenia z mojej podróży. Ale przez cały czas, gdy mówiłem o jednej rzeczy, przez moją głowę przewijało się coś innego: W jaki sposób powinienem zacząć? Co oznacza przejście 1, 2, 3 w 1, 3, 2? Czy w znanych nam zjawiskach można

odnaleźć przykłady takiego przejścia?

Czułem, że teraz, natychmiast muszę coś odkryć, bo jeśli sam najpierw nie odkryję, to nic nie będę mógł przekazać innym.

Zacząłem rysować wykres na tablicy. Był to wykres promieniowań w trzech oktawaх *Absolut – Słońce – Ziemia – Księżyc*. Przyzwyczailiśmy się już do tej terminologii i do tej formy przedstawiania, jaką stosował G., ale nie miałem pojęcia, co powiem oprócz tego, co wszyscy już wiedzą.

I nagle jedno słowo, które przyszło mi do głowy, *a którego w Moskwie nikt nie wymówił*, powiązało i wyjaśniło wszystko: "wykres ruchomy". Zdałem sobie sprawę, że trzeba było wyobrazić sobie wykres jako *wykres ruchomy*, w którym wszystkie ogniwa łańcucha zamieniają się miejscami, jakby w jakimś mistycznym tańcu.

Wyczułem tak bogatą treść w tym jednym słowie, że sam nie słyszałem, co mówiłem. Ale gdy pozbierałem swoje myśli, zobaczyłem, inni mnie słuchają, i że wyjaśniłem wszystko to, czego idąc na spotkanie sam jeszcze nie rozumiałem. Wywołało to we mnie niezwykle silne i wyraźne doznanie, tak jakbym odkrył dla siebie nowe możliwości, nową metodę postrzegania i rozumienia *poprzez udzielanie wyjaśnień innym ludziom*. I pod wpływem tego doznania, gdy tylko powiedziałem, że przykładów i analogii przechodzenia sił 1, 2, 3 w 1, 3, 2 należy szukać w rzeczywistym świecie, od razu znalazłem potrzebne przykłady zarówno w ludzkim organizmie, w świecie astronomii, jak i w ruchu fal w mechanice.

Rozmawiałem później z G. na temat różnych skal, których nie rozumiałem.

– Tracimy czas na rozwiązywanie zagadek – powiedziałem. – Czyż nie byłoby prościej pomóc nam szybciej je rozwiązać? Wiesz, że przed nami znajduje się jeszcze wiele innych trudności i w tym tempie nigdy nawet do nich nie dotrzemy. Sam często mówiłeś, że mamy bardzo mało czasu.

– To właśnie dlatego, że jest mało czasu i że czeka nas wiele trudności, jest konieczne, żebym robił to, co robię – odrzekł G. – Jeśli obawiasz się tych trudności, to co będzie później? Czy myślisz, że w szkołach cokolwiek jest podane w ostatecznej formie? Bardzo naiwnie na to patrzysz. Musisz być cwany, udawać, "podprowadzać" w rozmowach do tematów. Czasami wiele można się nauczyć z żartów, z opowiadań. A ty chcesz, żeby wszystko było bardzo proste. Nigdy tak się nie dzieje. Musisz wiedzieć jak brać, gdy się nie dostaje, jak, jeśli to konieczne, *ukraść*, a nie czekać, aż ktoś przyjdzie i ci to podaruje.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Istniały pewne tematy, do których G. niezmiennie powracał w rozmowach z nami po zakończeniu publicznych wykładów, na które mogli przychodzić ludzie z zewnątrz.

Pierwszym z nich było "pamiętanie siebie" i związana z tym konieczność nieustannej pracy nad sobą; drugim była kwestia niedoskonałości naszego języka i trudności z przekazywaniem "obiektywnych prawd" przy pomocy słów.

Jak już wcześniej wspominałem, G. używał wyrażen "obiektywne" i "subiektywne" w specjalnym znaczeniu, związanym z podziałem "subiektywne" i "obiektywne" stany świadomości. Całą naszą zwykłą wiedzę, która oparta jest na zwykłych metodach obserwacji i weryfikacji obserwacji, wszystkie naukowe teorie wyprowadzone z obserwacji faktów dostępnych w subiektywnych stanach świadomości, nazwał *subiektywnymi*. Z kolei, wiedza oparta na pradawnych metodach i zasadach obserwacji, wiedza o rzeczach samych w sobie, wiedza towarzysząca "obiektywnemu stanowi świadomości", *wiedza o Wszystkim*, była dla niego *wiedzą obiektywną*.

To, co nastąpiło potem, spróbuję przekazać tak, jak to pamiętam, częściowo korzystając z notatek zrobionych przez niektórych z moskiewskich uczniów G., a częściowo z moich własnych notatek z rozmów w Petersburgu.

– Jedną z centralnych idei obiektywnej wiedzy – powiedział G. – jest idea jedności wszystkiego, jedności w różnorodności. Od pradawnych czasów ludzie, którzy rozumieli treść i znaczenie tej idei i którzy widzieli w niej podstawę obiektywnej wiedzy, usiłowali znaleźć sposób przekazania tej idei w postaci zrozumiałej dla innych. Przekaz idei obiektywnej wiedzy był zawsze częścią zadania przypadającego tym, którzy tę wiedzę posiadali. W takich wypadkach idea jedności wszystkiego, stanowiąca fundamentalną i centralną ideę tej wiedzy, musiała być przekazana jako pierwsza, i to przekazana całościowo i z należytą dokładnością. Dlatego też ideę tę należało przedstawiać w takich formach, które zapewniały właściwe jej postrzeganie przez innych, a także zapobiegały możliwym wypaczeniom i zafałszowaniom przy jej przekazie. W tym celu od ludzi, którym ta idea była przekazywana, wymagano poddania się właściwemu przygotowaniu; sama idea zaś była przedstawiana albo w postaci logicznej – na przykład w systemach filozoficznych usiłujących stworzyć definicję "podstawowej zasady" czy też arch (arche), z której wywodzi się wszystko inne – albo w postaci nauczania religijnych próbujących stworzyć element wiary i wywołać falę emocji, która wznosi ludzi na poziom "obiektywnej świadomości". Zarówno jedne, jak i drugie wysiłki – czasami mniej, czasami bardziej skuteczne – przewijają się przez całą historię ludzkości od najpradawniejszych czasów aż do dnia dzisiejszego, i przyjmując formę religijnych oraz filozoficznych doktryn

stanęły one jak pomniki na tych drogach, gdzie próbowano jednać myśl rodzaju ludzkiego z myślą ezoteryczną.

Jednakże wiedza obiektywna, włączając w to ideę jedności, przynależy do świadomości obiektywnej. Wyrażające tę wiedzę formy, postrzegane przez świadomość subiektywną, są nieuchronnie wypaczane i, zamiast do prawdy, prowadzą one do coraz częstszych złudzeń. Mając świadomość obiektywną można widzieć i odczuwać jedność wszystkiego. Natomiast dla świadomości subiektywnej świat jest rozłożony na miliony oddzielnych i nie powiązanych ze sobą zjawisk. Naukowe i filozoficzne próby powiązania tych zjawisk w jakiegoś rodzaju system, do niczego nie prowadzą, ponieważ. człowiek nie może zrekonstruować idei całości wychodząc od poszczególnych faktów, a także nie może domyślić się zasad podziału całości bez znajomości praw, na których ten podział się opiera.

Niemniej jednak idea jedności wszystkiego istnieje także w myśli intelektualnej, ale jej dokładnego stosunku do różnorodności nigdy nie się jasno wyrazić za pomocą słów lub logicznych form. Zawsze istnieją tu nieprzezwyciężalne trudności językowe. Język, który został ukształtowany poprzez wyrażanie wrażeń wielorakości i różnorodności w subiektywnych stanach świadomości, nie może nigdy z wystarczającą jasnością przekazać idei jedności, która jest czytelna i oczywista jedynie w obiektywnym stanie świadomości.

Zdając sobie sprawę z niedoskonałości i słabości potocznego języka ludzie, którzy posiadli obiektywną wiedzę, próbowali wyrazić ideę jedności za pomocą "mitów", "symboli", a także w szczególnych "formułach słownych", które – przekazywane bez zmian – przenosiły ideę szkoły do szkoły, a często z jednej do drugiej epoki.

Wcześniej zostało już powiedziane, że w wyższych stanach świadomości działają w człowieku wyższe centra psychiczne: "wyższe emocjonalne" i "wyższe intelektualne". Celem "mitów" i "symboli" jest dotarcie do wyższych centrów człowieka i przekazanie mu idei niedostępnych dla intelektu, i to przekazanie ich w takich formach, które wykluczyłyby możliwość fałszywych interpretacji. "Mity" przeznaczone są dla wyższego centrum emocjonalnego, "symbole" zaś dla wyższego centrum myślowego. I z tego względu wszystkie próby zrozumienia lub wyjaśnienia "mitów" i "symboli" za pomocą umysłu, czy też za pomocą streszczających ich treść formuł i wyrażeń, są z góry skazane na niepowodzenie. Wszystko można zawsze zrozumieć, ale wyłącznie za pomocą odpowiedniego centrum. Jednakże przygotowanie, bez którego nie jest się stanie przyjąć idei należących do wiedzy obiektywnej, musi odbyć się umyśle, bo tylko odpowiednio przygotowany umysł może przekazać idee do wyższych centrów, nie wprowadzając elementów dla nich obcych.

Pośród symboli używanych do przekazywania idei należących do obiektywnej wiedzy znajdowały się wykresy fundamentalnych praw wszechświata, które nie

tylko przekazywały samą wiedzę, lecz także wskazywały drogę do niej. Poznawanie symboli, ich budowy i znaczenia stanowiło bardzo ważną część przygotowania do otrzymania obiektywnej wiedzy i było samo w sobie sprawdzianem, ponieważ dosłowne albo pozorne zrozumienie symboli uniemożliwiało otrzymanie jakiegokolwiek dalszego poznania.

Symbole dzieliły się na podstawowe i podporządkowane; pierwsze z nich zawierały zasady poszczególnych dziedzin wiedzy, te drugie wyrażały podstawową naturę zjawisk w ich stosunku do jedności.

Pośród formuł streszczających zawartość wielu symboli znajdowała się jedna, która miała szczególne znaczenie, mianowicie formuła pochodząca ze "Smaragdowych Tablic Hermesa Trismegista": *Jak w górze, tak na dole*. Formuła ta stwierdzała, że wszystkie prawa kosmosu można odnaleźć w atomie lub też w innym dowolnym zjawisku, które zgodnie z pewnymi prawami istnieje jako coś skończonego. To samo znaczenie zawarte było w analogii przeprowadzonej pomiędzy *mikrokosmosem* – człowiekiem i *makrokosmosem* – wszechświatem. Podstawowe prawa triad i oktaw przenikają wszystko i powinno się je poznawać równocześnie w świecie i w człowieku. Ale dla siebie samego człowiek jest bliższym i bardziej dostępnym przedmiotem poznania i wiedzy niż znajdujący się poza nim świat zjawisk. Zatem dążąc do poznania wszechświata, człowiek powinien zacząć od poznawania samego siebie i od uświadomienia sobie podstawowych praw w sobie samym.

Z tego punktu widzenia inna formuła – *Poznaj samego siebie* – nabiera szczególnie głębokiego znaczenia; jest to jeden z symboli prowadzących do znajomości prawdy. Tak więc poznawanie świata i poznawanie człowieka będą się nawzajem wspomagać. Poznając świat i jego prawa, człowiek poznaje siebie, a poznając samego siebie, poznaje świat. W tym sensie każdy symbol uczy nas czegoś o nas samych.

Do rozumienia symboli można podejść w następujący sposób: poznając świat zjawisk, człowiek najpierw widzi we wszystkim manifestowanie się dwóch zasad – jednej sprzecznej z drugą – które w zależności od tego, czy się łączą, czy się sobie przeciwstawiają, dają ten lub inny wynik, to znaczy odzwierciedlają istotę zasad, które je stworzyły. To manifestowanie się wielkich praw *dwoistości i troistości* człowiek widzi równocześnie tak w kosmosie, jak i w samym sobie. Ale w odniesieniu do kosmosu, jest on jedynie widzem, i to takim, który widzi tylko zewnętrzną warstwę zjawisk poruszających się w rozmaitych kierunkach – choć jemu samemu wydaje się, że poruszają się one w jednym kierunku. Natomiast w odniesieniu do samego siebie jego zrozumienie praw dwoistości i troistości może przybrać formę praktyczną; po zrozumieniu tych praw w samym sobie człowiek może jakby ograniczyć manifestowanie się praw dwoistości i troistości do trwałej linii walki z samym sobą, na drodze do poznania siebie. W ten sposób wprowadzi on *linię woli* najpierw w okrąg czasu, a następnie w cykl wieczności;

dokonanie tego wytworzy w nim wielki symbol, znany pod nazwą *Pieczęci Salomona* – gwiazdy sześcioramiennej.

Przekazanie znaczenia symboli człowiekowi, który nie osiągnął jeszcze zrozumienia ich w samym sobie, jest niemożliwe. Brzmi to jak paradoks, ale znaczenie symbolu i ujawnienie jego istoty może być dane tylko temu i zrozumiane tylko przez tego, który sam już wie, co symbol zawiera. Wtedy symbol staje się dlań syntezą jego poznania i służy mu do wyrażania oraz przekazywania tego poznania, tak jak służył przedtem człowiekowi, który go skonstruował.

Najprostsze symbole:



lub wyrażające je liczby 2, 3, 4, 5, 6 mają określone znaczenie w odniesieniu do wewnętrznego rozwoju człowieka; wskazują one na różne etapy na drodze człowieka do doskonalenia siebie i do wzrostu jego bycia.

Człowiek w normalnym, naturalnym dla niego stanie, traktowany jest jako *dwoistość*. Składa się on całkowicie z dwoistości czy też "par przeciwieństw". Wszystkie doznania, wrażenia, uczucia i myśli człowieka dzielą się na dodatnie i ujemne, pożyteczne i szkodliwe, konieczne i niekonieczne, dobre i złe, przyjemne i nieprzyjemne, Praca centrów toczy się pod znakiem tego podziału. Myśli przeciwstawiają się uczuciom. Impulsy ruchowe przeciwstawiają się instynktownemu pragnieniu spokoju. Jest to dwoistość, w której zawierają się wszystkie postrzeżenia, wszystkie reakcje, całe życie człowieka. Każdy człowiek, który choć trochę obserwuje samego siebie, może sam w sobie dostrzec tę dwoistość. Przy czym dwoistość ta będzie wydawała się zmienna; to, co dzisiaj zwycięża, jutro staje się "pokonanym"; to, co dzisiaj dominuje, jutro staje się drugorzędne i podporządkowane. I wszystko jest jednakowo mechaniczne, jednakowo niezależne od woli, i jednakowo nie prowadzi do żadnego celu. Zrozumienie w samym sobie dwoistości zaczyna się od uświadomienia sobie mechaniczności i zdania sobie sprawy z różnicy między tym, co mechaniczne, a tym, co świadome. Zrozumienie to musi być poprzedzone zniszczeniem okłamywania siebie, w którym człowiek żyje, uważając swoje nawet najbardziej mechaniczne działania za wolicjonalne i świadome, a siebie samego za *jednego* i całego.

Kiedy to okłamywanie siebie zostaje zniszczone i człowiek zaczyna widzieć różnicę pomiędzy tym, co jest w nim mechaniczne, a tym, co jest świadome, zaczyna się walka o urzeczywistnienie w życiu świadomości i podporządkowanie tego, co mechaniczne, temu, co świadome. W tym celu człowiek zaczyna od prób podjęcia określonej *decyzji*, wynikającej ze świadomych motywów i wymierzonej przeciwko mechanicznym procesom, które zachodzą zgodnie z prawami dwoistości. Stworzenie trwałej trzeciej zasady oznacza dla człowieka *przekształcenie dwoistości w troistość*.

Umocnienie się w tej decyzji oraz nieustanne i niezawodne postępowanie w zgodzie z nią we wszystkich tych sytuacjach, gdzie poprzednio działały zazwyczaj przypadkowe, neutralizujące "wstrząsy" (które przynoszą tylko przypadkowe wyniki), daje trwałą linię wyników w czasie i jest *przekształceniem troistości w czteroistość*.

Następny etap, przekształcenie czteroistości w pięcioistość oraz *zbudowanie pentagramu*, ma w odniesieniu do człowieka nie jedno, lecz wiele znaczeń. Pierwszym, którego uczy się człowiek, jest to najbardziej niepodważalne, dotyczące pracy centrów.

Rozwój maszyny ludzkiej i wzbogacanie bycia zaczyna się od nowego i niezwykłego funkcjonowania tej maszyny. Wiemy, że człowiek ma pięć centrów: myślowe, emocjonalne, ruchowe, instynktowe i seksualne. Nadmierny, odbywający się kosztem innych rozwój jednego z centrów stwarza niezwykle jednostronny, niezdolny do dalszego rozwoju typ człowieka. Ale jeśli człowiek doprowadzi pracę centrów w sobie do harmonijnej zgody, to "zamyka on w sobie pentagram" i staje się ukształtowanym typem doskonałego fizycznie człowieka.

Pełne i właściwe funkcjonowanie pięciu centrów prowadzi do połączenia ich z wyższymi centrami, które to z kolei dostarczają brakującego składnika i zapewniają człowiekowi bezpośredni i trwały związek obiektywnej świadomości z obiektywną wiedzą.

I wtedy człowiek staje się *gwiazdą sześcioramienną*, to znaczy będąc zamkniętym wewnątrz niezależnego i zamkniętego w sobie kręgu zostaje oddzielony od obcych wpływów lub przypadkowych wstrząsów; uosabia wówczas *Pieczęć Salomona*.

Przedstawioną w tym przykładzie serię symboli – 2, 3, 4, 5 i 6 – interpretuje się w zastosowaniu do jednego procesu. Ale nawet ta interpretacja jest niepełna, ponieważ symbol nie może nigdy być w pełni zinterpretowany. Można go tylko doświadczyć, tak samo jak, na przykład, trzeba doświadczyć idei *poznania siebie*.

Ten sam proces harmonijnego rozwoju człowieka można rozpatrywać z punktu widzenia prawa oktaw. Prawo oktaw dostarcza nam innego systemu symboli. Według prawa oktaw każdy zakończony proces jest przejściem nuty do przez

serię kolejnych tonów do do następnej oktawy. Siedem podstawowych tonów oktawy wyraża prawo siedmiu. Dodanie do niego do następnej oktawy, a więc ukoronowanie całego procesu, daje nam ósmy stopień. Siedem podstawowych tonów wraz z dwoma "interwałami" i "dodatkowymi wstrząsami" tworzy dziewięć stopni. Dodając do następnej oktawy, otrzymujemy dziesięć stopni. Ostatni, dziesiąty stopień jest końcem poprzedniego i początkiem następnego cyklu. W ten sposób prawo oktaw i wyrażany przez nie proces rozwoju zawiera liczby od 1 do 10. W tym punkcie dochodzimy do tego, co można by nazwać *symboliką liczb*. Symboliki liczb nie da się zrozumieć bez prawa oktaw czy też bez jasnej koncepcji tego, jak wyrażone są oktawy w *systemie dziesiętkowym* i vice versa.

W zachodnich systemach okultystycznych istnieje metoda znana pod nazwą "sumy teozoficznej", to znaczy metoda określania liczb składających się z dwóch lub więcej cyfr poprzez sumę tych cyfr. Ludziom, którzy nie rozumieją symboliki liczb, ta metoda syntetyzowania liczb wydaje się całkowicie arbitralna i prowadząca donikąd. Jednakże dla człowieka, który rozumie jedność wszystkiego, co istnieje, i posiada klucz do tej jedności, metoda sumy teozoficznej ma głębokie znaczenie, ponieważ rozkłada ona całą różnorodność na rządzące nią fundamentalne prawa, wyrażone liczbami od 1 do 10.

Jak zostało to powiedziane wcześniej, w symbolice figur *liczby* odpowiadają określonym *figurom geometrycznym* i wzajemnie się z nimi dopełniają. W Kabale używa się także *symboliki liter* oraz w kombinacji z symboliką liter – *symboliki słów*. Kombinacja czterech metod symboliki – poprzez liczby, figury geometryczne, litery i słowa – daje skomplikowaną, ale za to doskonalszą metodę.

Istnieje ponadto *symbolika magii*, *symbolika alchemii* i *symbolika astrologii*, a także *symbole Tarotu*, które łączą te symboliki w jedną całość. Każdy z tych systemów może służyć jako środek do *przekazywania* idei jedności. Ale w niekompetentnych i nieświadomych, choć pełnych dobrych zamiarów rękach ten sam symbol staje się "narzędziem do wprowadzania w błąd". Powodem tego jest fakt, że *symbolu* nigdy nie można przyjąć w jego ostatecznym i zdefiniowanym znaczeniu. Wyrażając prawa jedności w nieskończonej różnorodności, sam symbol ma nieskończenie wiele aspektów, w których można go rozpatrywać, i wymaga on od zajmującego się nim człowieka zdolności do równoczesnego patrzenia z różnych punktów widzenia. Symbole przełożone na słowa potocznego języka robią się schematyczne, niejasne i bardzo łatwo stają się "swoim własnym zaprzeczeniem", zamykając znaczenie w wąskich dogmatycznych ramach i nie stwarzając nawet możliwości względnie swobodnego *logicznego* zbadania tematu. Powodem tego jest dosłowne rozumienie symboli i przypisywanie symbolowi tylko jednego znaczenia. Prawda znów zostaje przesłonięta zewnętrzną warstwą kłamstwa, a odkrycie jej wymaga dokonania olbrzymich wysiłków negacji, w których zatracą się idea samego symbolu. Dobrze wiadomo, jakiego rodzaju złudzenia powstały u tych, którzy religijne,

alchemiczne, a szczególności magiczne symbole brali dosłownie i tylko w jednym znaczeniu.

Równocześnie, właściwe rozumienie symbolu nie może prowadzić do sporów. Pogłębia ono poznanie i nie może pozostać teoretyczne, ponieważ wzmaga ono dążenie do osiągnięcia rzeczywistych wyników, do jedności wiedzy i bycia, to znaczy *do Wielkiego Czynienia*. Nie można przekazać czystego poznania, ale gdy wyrażane jest ono w symbolach, to zostaje jakby zakryte przesłoną, która dla tych, którzy pragną i którzy wiedzą jak patrzeć, staje się przezroczysta.

W tym sensie można mówić o symbolice mowy, choć ta symbolika nie dla wszystkich jest zrozumiała. Zrozumienie wewnętrznego znaczenia tego, co się mówi, możliwe jest tylko na pewnym poziomie rozwoju i w połączeniu z odpowiednimi wysiłkami i stanem słuchacza. Tymczasem człowiek, słysząc rzeczy dla siebie nowe, zamiast próbować je zrozumieć, najpierw zaczyna się z nimi spierać albo udowadniać ich niesłuszność, przeciwstawiając im opinię, którą uważa za zgodną z prawdą, a która z reguły nie ma z nimi żadnego związku. W ten sposób traci wszelką szansę na odkrycie czegoś nowego. Aby móc rozumieć mowę, gdy staje się ona symboliczna, trzeba najpierw nauczyć się słuchać. Słuchanie jest nauką. Bez tej nauki wszelkie próby dosłownego rozumienia – tam gdzie mowa jest związana z obiektywnym poznaniem i z kwestią zespolenia różnorodności z jednością – są z góry skazane na niepowodzenie, a w większości wypadków prowadzą tylko do dalszych złudzeń.

Trzeba się nad tym zatrzymać, ponieważ intelektualny charakter współczesnego wychowania napawa ludzi skłonnością i tendencją do szukania logicznych definicji i logicznych dowodów na wszystko, o czym usłyszą; ludzie nie spostrzegają, że nieświadomie wiążą sobie ręce swoim pragnieniem "ściśłości" w tych sferach, gdzie ściśle definicje, z samej ich natury, zakładają nieściśłość znaczenia.

Tak więc z powodu opisanej skłonności w naszym myśleniu często się zdarza, że ścisła wiedza dotycząca szczegółów, przekazana człowiekowi, który nie posiadał jeszcze rozumienia istoty rzeczy, tylko utrudnia mu zrozumienie tej istoty. Nie oznacza to, że na drodze prawdziwej wiedzy nie istnieją ściśle definicje; wręcz przeciwnie, jedynie tam one istnieją, jednakże bardzo różnią się od tego, co my zazwyczaj uważamy za ściśle definicje. I jeśli ktokolwiek przypuszcza, że może iść drogą poznania siebie, wiedziony dokładną znajomością wszystkich szczegółów, i jeśli oczekuje, że uzyska taką znajomość nie podejmując wysiłku przyswojenia sobie otrzymanych wskazówek, które dotyczą jego własnej pracy, to przede wszystkim powinien zrozumieć, że nie zdobędzie żadnej znajomości, dopóki nie poczyni koniecznych wysiłków, i że tylko sam z siebie i dzięki swoim własnym wysiłkom może osiągnąć to, czego szuka. Nikt nie może dać mu tego, czego on sam wcześniej nie posiadał; nikt nie może wykonać za niego pracy, którą on sam powinien wykonać. Wszystko, co ktoś inny może dla niego zrobić,

to dodać mu bodźca do pracy; z tego punktu widzenia właściwie rozumiana symbolika pełni rolę tego rodzaju bodźca dla naszej wiedzy.

Wcześniej mówiliśmy o prawie oktaw, o tym, że każdy proces, niezależnie od skali, na której zachodzi, jest w swoim stopniowym rozwoju całkowicie zdeterminowany przez prawo struktury siedmionowej skali. W związku z tym zostało powiedziane, że każda nuta, każdy ton ujęty w innej skali stanowi ponownie całą oktawę. "Interwały" między mi i fa oraz między si i do, których nie może wypełnić natężenie energii zachodzącego procesu, łączą ze sobą różne procesy poprzez fakt, że wymagają one zewnętrznego "wstrząsu" lub, jeśli można tak powiedzieć, pomocy z zewnątrz. Wynika z tego, że prawo oktaw łączy w sobie wszystkie procesy zachodzące we wszechświecie, i komuś, kto zna gamy przejściowe i prawa struktury oktawy, ukazuje możliwość dokładnego poznania wszystkiego, jak również poznania istoty każdego zjawiska z osobna oraz wszystkich wzajemnych relacji między tym zjawiskiem a zjawiskami i rzeczami z nim związanymi.

Istnieje pewien symbol, który wszelką wiedzę związaną z prawem struktury oktawy ujmuje w całość: przybiera on postać okręgu podzielonego na dziewięć części, z ułożonymi w pewnym porządku liniami, które łączą dziewięć punktów znajdujących się na obwodzie tego okręgu.

Zanim zapoznamy się z samym symbolem, istotne jest zrozumienie pewnych aspektów nauczania, które posługuje się tym symbolem, jak również stosunku tego nauczania do innych systemów korzystających z metod symbolicznych przekazu poznania.

Aby zrozumieć wzajemną relację między tymi nauczaniem, należy zawsze pamiętać, że drogi prowadzące do poznania jedności zbliżają się niego jak promienie koła poruszające się w kierunku środka; i im bliżej środka się znajdują, tym bardziej do siebie są zbliżone.

W rezultacie, teoretyczne twierdzenia tworzące podstawę jednej linii można czasem wyjaśnić z punktu widzenia twierdzeń innej linii i vice versa. Z tego względu niekiedy możliwe jest wytyczenie pewnej linii prostej, biegnącej pomiędzy dwoma przylegającymi liniami. Ale wobec braku pełnego poznania i zrozumienia podstawowych linii, takie pośrednie drogi mogą łatwo prowadzić do wymieszania linii, do zamętu i pomyłek.

Wśród podstawowych, mniej lub bardziej znanych linii nauczania można wymienić cztery:

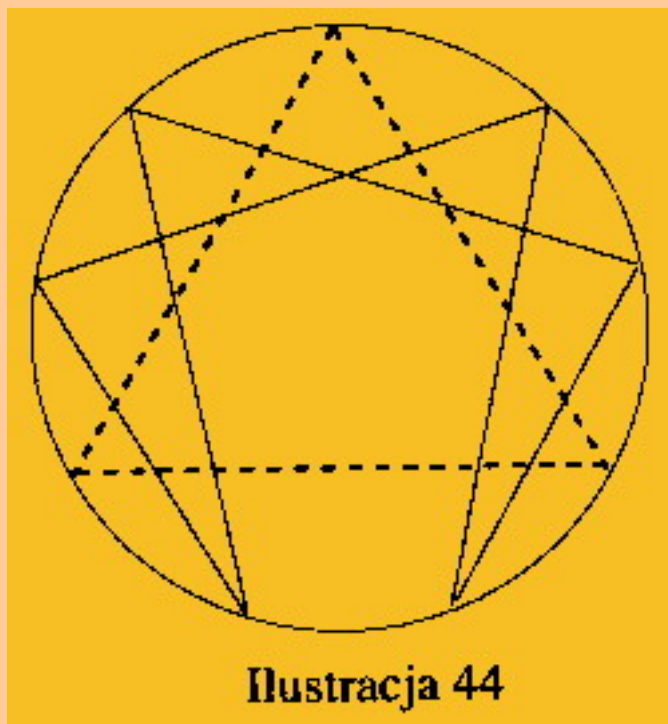
- 1) hebrajską
- 2) egipską
- 3) perską
- 4) hinduską

Przy czym z tej ostatniej znamy tylko filozofię, a z trzech pierwszych fragmenty teorii.

Prócz nich istnieją także dwie linie znane w Europie, a mianowicie *teozofia* i tak zwany *okultyzm zachodni*. Powstały one w wyniku wymieszania linii podstawowych. Obie te linie zawierają ziarna prawdy, ale żadna z nich nie posiada pełnej wiedzy, i stad też próby zastosowania ich w życiu przynoszą tylko negatywne wyniki.

Nauczanie, którego dotyczy przedstawiona tutaj teoria, jest całkowicie samowystarczalne i niezależne od innych linii, i do tej pory było one zupełnie nieznanne. Podobnie jak inne nauczania, korzysta ono z metody symbolicznej i jednym z jego podstawowych symboli jest figura, o której już wcześniej wspomiano, a mianowicie okrąg podzielony na dziewięć części.

Symbol ten przybiera następującą postać:



Okrąg podzielony jest na dziewięć równych części. Sześć punktów łączy figura, która jest symetryczna względem średnicy przebiegającej przez najwyższy punkt podziału obwodu. Poza tym, ten najwyższy punkt podziału jest wierzchołkiem trójkąta równobocznego, łączącego punkty podziału, które nie tworzą pierwotnej, skomplikowanej figury.

Symbol ten jest nie znany "okultystom". Nie znajdzie się go ani w ich książkach, ani w przekazach ustnych. Ci, którzy o nim wiedzieli, nadali mu takie znaczenie, iż uznali za konieczne zachowanie go w tajemnicy.

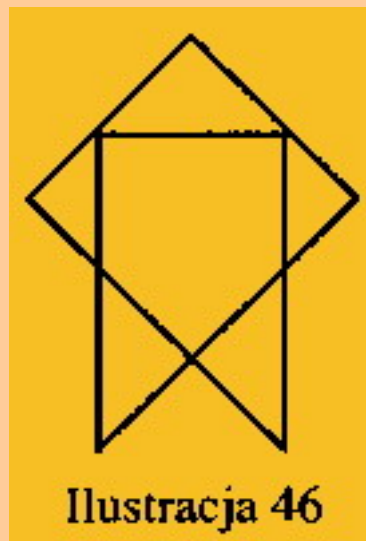
W literaturze można natrafić tylko na jakieś jego ślady i fragmentaryczne przedstawienia.

Można zatem natrafić na taki rysunek:



Ilustracja 45

A także jeszcze inny:



Ilustracja 46

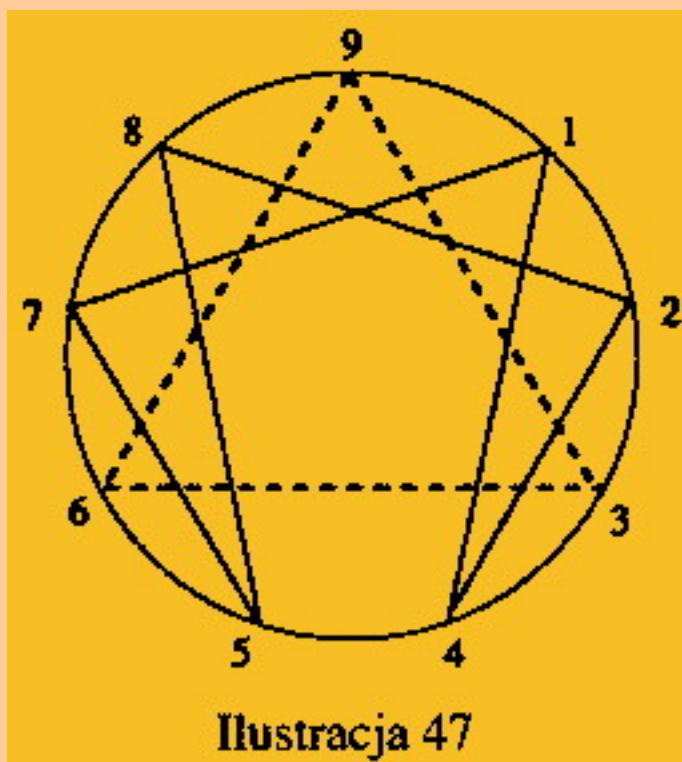
Symbol przyjmujący postać okręgu podzielonego na dziewięć części wraz z łączącymi je liniami wyraża prawo siedmiu w powiązaniu z prawem trzech.

Oktawa ma siedem tonów, a ósmy ton jest powtórzeniem pierwszego. Razem z dwoma "dodatkowymi wstrząsami", które wypełniają interwały mi-fa i si-do, zawiera ona dziewięć elementów.

Cała konstrukcja tego symbolu, która umożliwia pełne wyrażenie prawa oktaw, jest bardziej skomplikowana od konstrukcji przedstawionej. Ale nawet ta konstrukcja ilustruje wewnętrzne prawa *jednej oktawy* i wskazuje metodę poznania istoty rzeczy, badanej samej w sobie.

Wyodrębnione istnienie badanej rzeczy albo zjawiska jest zamkniętym okręgiem wiecznie powracającego i nieprzerwanie płynącego procesu. Okrąg symbolizuje ten proces. Poszczególne punkty podziału obwodu symbolizują stopnie tego procesu. Symbol jako całość stanowi do, czyli coś, czego istnienie jest uporządkowane i pełne. Jest to okrąg – zakończony cykl; jest to *zero* naszego układu dziesiętnego. W swoim zapisie reprezentuje on zamknięty cykl. Zawiera w sobie wszystko, co potrzebne mu do istnienia. Jest oddzielony od tego, co go otacza. Następowanie kolejnych etapów tego procesu musi być związane z

następowaniem liczb od 1 do 9. Obecność dziewiątego stopnia, wypełniającego "interwał" si-do, zamyka cykl, to znaczy zamyka okrąg, który w tym punkcie zaczyna się od nowa. Wierzchołek trójkąta zamyka dwoistość jego podstawy, stwarzając możliwość manifestowania się jego w wielorakich formach w najróżnorodniejszych trójkątach – w taki sam sposób, w jaki punkt wierzchołka trójkąta nieskończenie pomnaża się w linii jego podstawy. Tak więc każdy początek i zakończenie cyklu znajduje się na wierzchołku trójkąta, w punkcie, gdzie początek łączy się z końcem, gdzie okrąg się zamyka, w punkcie, który w niekończącym się cyklu brzmi jak dwa do w oktawie. I to właśnie dziewiąty stopień zamyka i rozpoczyna od nowa cykl. A zatem w górnym punkcie trójkąta, odpowiadającym do, znajduje się liczba 9, a między pozostałe punkty rozdzielone są liczby od 1 do 8.



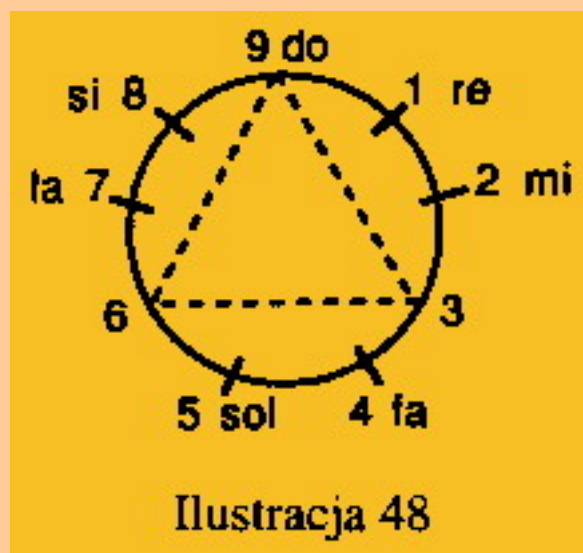
Przechodząc do badania skomplikowanej figury znajdującej się wewnątrz okręgu, powinniśmy przede wszystkim zrozumieć prawa jej konstrukcji. Prawa jedności odzwierciedlają się we wszystkich zjawiskach. System dziesiętny zbudowany jest na podstawie tych samych praw. Jeśli przyjmiemy za jednostkę jedną nutę, która mieści w sobie całą oktawę, to aby otrzymać siedem nut tej oktawy, musimy tę jednostkę podzielić na siedem nierównych części. Jednakże w przedstawieniu graficznym nierówność części nie jest brana pod uwagę i do budowy wykresu najpierw bierze się jedną siódmą, potem dwie siódme, potem trzy siódme, cztery siódme, pięć siódmych, sześć siódmych i siedem siódmych. Obliczając te części w ułamkach dziesiętnych otrzymujemy:

1/7	0.142857...
2/7	0.285714...
3/7	0.428571...
4/7	0.571428...
5/7	0.714285...
6/7	0.857142...
7/7	0.999999...

Przyglądając się serii uzyskanych okresowych ułamków dziesiętnych, widzimy od razu, że we wszystkich – z wyjątkiem ostatniego – okresy składają się dokładnie z tych samych sześciu cyfr, występujących w określonej kolejności; tak że znając pierwszą cyfrę okresu, można odtworzyć cały okres.

Jeśli rozmieścimy teraz na obwodzie wszystkie dziewięć liczb od 1 do 9 i połączymy te, które składają się na okres, liniami prostymi – w takiej samej kolejności, w jakiej liczby te występują w okresie, czyli w zależności od tego, od której liczby zaczniemy – to otrzymamy wtedy figurę, która znajduje się w środku okręgu. Liczby 3, 6 i 9 nie występują w okresie. Tworzą one oddzielny trójkąt – wolną trójkę tego symbolu.

Dodając liczby składające się na okres i stosując “sumę teozoficzną” otrzymamy *dziewięć*, to znaczy całą oktawę. A z kolei każda poszczególna nuta będzie zawierała całą oktawę, podlegającą takim samym prawom jak pierwsza oktawa. Położenie nut będzie odpowiadało liczbom okresu, a rysunek oktawy będzie wyglądał następująco:

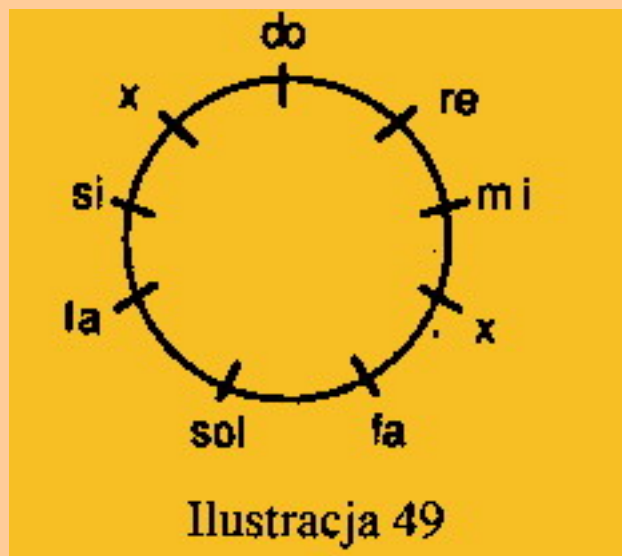


Trójkąt 9-3-6, który zespala w jedną całość trzy, nie należące do okresu punkty obwodu, łączy ze sobą prawo siedmiu i prawo trzech. Liczby 3-6-9 nie występuje w okresie; dwie z nich, 3 i 6, odpowiadaj dwóm “interwałom” oktawy; trzecia jest, że tak powiem, zbyteczna i jednocześnie zastępuje ona podstawową nutę, która nie należy do okresu. Ponadto każde zjawisko, które jest w stanie współdziałać z podobnym do siebie zjawiskiem, brzmi w odpowiedniej oktawie jako nuta do. Tak więc do może wydstać się poza swój okrąg i wejść w uporządkowaną relację z

innym okręgiem, to znaczy, odgrywać w innym cyklu tę rolę, którą w rozpatrywanym cyklu odgrywają "wstrząsy" wypełniające "interwały" w oktawie. I dzięki tej możliwości, do także i tutaj jest połączone za pomocą trójkąta 3-6-9 z tymi miejscami w oktawie, gdzie pojawiają się wstrząsy pochodzące z zewnątrz, gdzie można przeniknąć oktawę, by nawiązać kontakt z tym, co istnieje poza nią. Prawo trzech wyodrębnia się, jeśli można tak powiedzieć, z prawa siedmiu; trójka przenika w głąb okresu i te dwie figury wspólnie tworzą wewnętrzną strukturę oktawy i jej nut.

W tym momencie całkowicie słuszne byłoby postawienie pytania: dlaczego jeden z "interwałów", ten oznaczony liczbą 3, znajduje się na właściwym mu miejscu, między nutami mi i fa, a drugi, oznaczony liczbą 6, znajduje się między sol i la, gdy tymczasem jego właściwe miejsce jest między si i do.

Gdyby dochowane zostały warunki pojawienia się drugiego interwału (6) na właściwym mu miejscu, to powinniśmy otrzymać następujący okrąg:

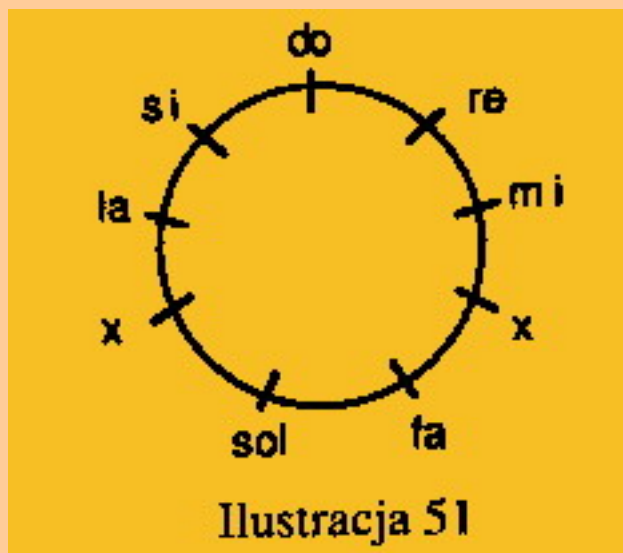


Dziewięć elementów zamkniętego cyklu zostałyby symetrycznie zgrupowanych w następujący sposób:

			do	re	mi			
la	si	x				x	fa	sol

Ilustracja 50

Rozmieszczenie, które otrzymujemy:



może dać tylko taki szereg:

			si	do	re			
sol	x	la				mi	x	fa

Ilustracja 52

To znaczy, że x raz znajduje się między mi i fa, a innym razem między sol i la, gdzie wcale nie jest potrzebne.

Pozorne umieszczenie interwału w *niewłaściwym miejscu* wskazuje tym, którzy są w stanie odczytać ten symbol, jakiego rodzaju "wstrząs" niezbędny jest do przejścia si w do.

By to zrozumieć, istotne jest przypomnienie sobie tego, co zostałon powiedziane o roli "wstrząsów" w procesach zachodzących w człowieku i we wszechświecie.

Kiedy zajmowaliśmy się zastosowaniem prawa oktaw do kosmosu, etap "Słońce-Ziemia" przedstawiony został w następujący sposób:



Co się tyczy trzech oktaw promieniowania, to była mowa o tym, że przejście od do do si, czyli wypełnienie interwału, odbywa się wewnątrz samego organizmu słonecznego. W związku z “interwałem” do-si zostało powiedziane, że w oktawie kosmicznej przejście to dokonuje się dzięki oddziaływaniu masy Słońca na przebiegające przez nią promieniowania. Przejście od fa do mi dokonuje się w oktawie kosmicznej mechanicznie, za pomocą specjalnej maszyny, która umożliwia pojawiającemu się w niej fa uzyskanie – dzięki serii procesów wewnętrznych – cech charakterystycznych znajdującego się nad nim sol, i to bez zmiany własnej nuty; innymi słowy, ta specjalna maszyna zezwala fa na nagromadzenie jakby wewnętrznej energii, potrzebnej do samodzielnego przejścia w następną nutę, mi.

Dokładnie taki sam związek powtarza się we wszystkich zakończonych procesach. Badając w ludzkim organizmie proces pobierania pokarmu i przetwarzania substancji pobieranych przez organizm, odnajdujemy w tych procesach dokładnie te same “interwały” i “wstrząsy”.

Jak to wcześniej wykazaliśmy, człowiek pobiera trzy rodzaje pokarmu. Każdy z nich jest początkiem nowej oktawy. Druga oktawa, czyli oktawa powietrza, łączy się z pierwszą, czyli z oktawą pożywienia i płynu w punkcie, gdzie pierwsza oktawa zatrzymuje się w swoim rozwoju na nucie mi. A trzecia oktawa łączy się z drugą w punkcie, gdzie druga oktawa zatrzymuje się w swoim rozwoju na nucie mi.

Należy jednak zrozumieć, że tak jak w wielu procesach chemicznych tylko określone *ilości* substancji, dokładnie wyznaczone przez przyrodę, dają związki o wymaganej jakości, tak samo w ludzkim organizmie "trzy rodzaje pokarmu" muszą być wymieszane w określonych proporcjach.

Końcowa substancja, powstała w wyniku procesu rozwoju oktawy pokarmu, jest substancją si ("wodór" 12 w trzeciej skali), która do przejścia w nowe do potrzebuje "dodatkowego wstrząsu". Ponieważ jednak w produkcji tej substancji brały udział trzy oktawy, przeto mają one także wpływ, poprzez określenie jej jakości, na końcowy wynik. Jakość i ilość mogą być regulowane, ponieważ regulowany może być dopływ trzech rodzajów pokarmów dostarczanych organizmowi. Tylko przy pełnej zgodności i harmonii między wszystkimi trzema rodzajami pokarmu, tylko poprzez wzmacnianie lub osłabianie różnych części procesu, można uzyskać pożądaną jakość.

Istotne jest jednak, aby pamiętać, że żadne samowolne próby regulowania, w dosłownym tego słowa znaczeniu, pokarmu lub oddychania nie mogą prowadzić do pożądanego celu, jeśli nie wie się dokładnie, co się robi, dlaczego się to robi i jakiego rodzaju rezultat to przyniesie.

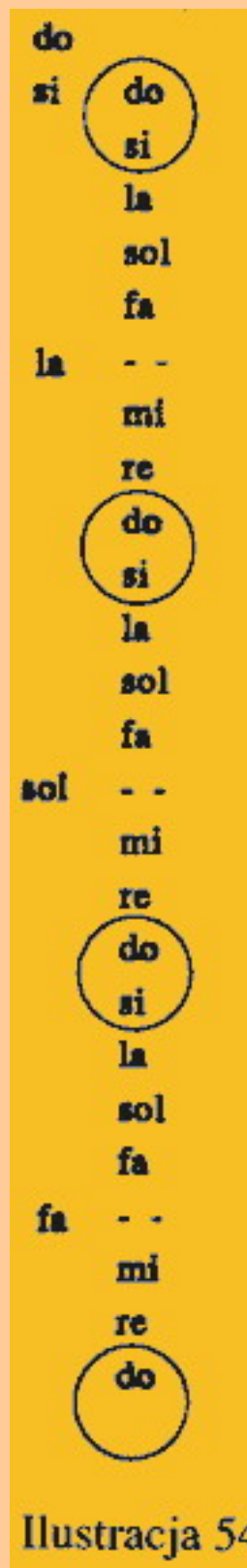
A ponadto, nawet jeśli człowiek byłby w stanie regulować dwa składniki procesu: pobieranie pokarmu i oddychanie, to i tak by to nie wystarczyło, ponieważ jeszcze ważniejsza jest wiedza o tym, jak regulować pokarm trzeciego piętra, czyli "wrażenia".

Tak więc, zanim nawet zacznie się myśleć o praktycznym oddziaływaniu na wewnętrzne procesy, istotne jest, by zrozumieć, jaki jest dokładny wzajemny stosunek między substancjami pojawiającymi się w organizmie, a także zrozumieć naturę możliwych "wstrząsów" i prawa rządzące przechodzeniem jednej nuty w drugą. Te prawa są wszędzie takie same. Poznając człowieka, poznajemy kosmos; poznając kosmos, poznajemy człowieka.

Zgodnie z prawem trzech, kosmiczna oktawa "Absolut-Księżyc" została podzielona na trzy podporządkowane sobie oktawy. W tych trzech oktawach kosmos przypomina człowieka: te same "trzy piętra", te same "trzy wstrząsy".

Tam, gdzie w kosmicznej oktawie promieniowania pojawia się – tak samo jak w ludzkim ciele – interwał fa-mi, na wykresie zaznaczone są "maszyny".

Oto najbardziej schematyczny sposób przedstawienia procesu przejścia fa w mi: kosmiczne fa pojawia się w tej maszynie tak jak pokarm najniższego piętra i rozpoczyna swój cykl przemian. A zatem na początku brzmi ono w maszynie jak do. Substancja sol kosmicznej oktawy służy jako substancja, która pojawia się na środkowym piętrze – tak jak powietrze w oddychaniu – i pomaga znajdującej się wewnątrz maszyny nucie fa przejść w nutę mi. To sol, pojawiając się w maszynie, także brzmi jak do. Otrzymała materia łączy się teraz na górnym piętrze z substancją kosmicznego la, które się tam pojawia, także jako do.



Ilustracja 54

Jak widzimy, nuty la, sol, fa służą maszynie za pokarm. Według ich kolejności i zgodnie z prawem trzech, la będzie elementem czynnym, sol – neutralizującym, a fa – biernym. Reakcja zasady czynnej z bierną (to znaczy ich połączenie się za pomocy zasady neutralizującej) daje pewien określony wynik. Symbolicznie można go przedstawić w następujący sposób:



Symbol ten pokazuje, że w wyniku zmieszania substancji fa z substancją la powstaje substancja sol. A ponieważ proces ten zachodzi w oktawie, rozwijając się jakby wewnątrz nuty fa, można powiedzieć, że fa, nie zmieniając wysokości swojego nastrojenia, nabywa właściwości sol.

Wszystko to, co zostało powiedziane na temat oktaw p romieniowania i rozwijających się w ludzkim organizmie oktaw pokarmu, ma bezpośredni związek z symbolem składającym się z okręgu podzielonego na dziewięć części. Symbol ten, będąc wyrazem doskonałej syntezy, zawiera wszystkie składniki przedstawianych przez siebie praw i można z niego wyprowadzić, a także z jego pomocą przekazać, wszystko, co jest związane z tymi oktawami i jeszcze wiele ponad to.

Wielokrotnie przy różnych okazjach G. powracał do enneagramu.

– Każda zamknięta całość, każdy kosmos, każdy organizm, *każda roślina* jest enneagramem – powiedział. – Ale nie każdy z tych enneagramów ma trójkąt wewnętrzny. Zgodnie ze skalą "wodorów", wewnętrzny trójkąt oznacza obecność w danym organizmie wyższych elementów.

Ten wewnętrzny trójkąt mają takie rośliny, jak na przykład konopie, mak, chmiel, herbata, kawa, tytoń, jak również wiele innych roślin, odgrywających określoną rolę w życiu człowieka. Badając te rośliny, możemy odkryć wiele rzeczy dotyczących enneagramu.

Mówiąc ogólnie, trzeba zrozumieć, że enneagram jest *symbolem uniwersalnym*. Cała wiedza może być zawarta w enneagramie i za jego pomocą można ją zinterpretować. I w związku z tym człowiek rzeczywiście *wie*, to znaczy rozumie tylko to, co potrafi umieścić wewnątrz enneagramu. Czego nie może umieścić wewnątrz enneagramu, tego nie rozumie. Dla człowieka, który jest w stanie korzystać z enneagramu, niepotrzebne są książki i biblioteki. *Wszystko* może być zawarte w enneagramie i odczytane z niego. Człowiek znajdujący się zupełnie sam na pustyni może odtworzyć sobie na piasku enneagram i odczytać niego wieczne prawa wszechświata. I za każdym razem może on nauczyć się czegoś nowego, czegoś, czego dotychczas nie wiedział.

Jeśli spotyka się dwóch ludzi, którzy byli w różnych szkołach, i jeśli narysują oni

enneagram, to z jego pomocą będą w stanie od razu ustalić, który z nich wie więcej, czyli który jest starszy, który jest nauczycielem a który uczniem, i na jakim szczeblu drabiny znajduje się każdy z nich. Enneagram jest podstawowym hieroglifem uniwersalnego języka, który ma tyle różnych znaczeń, ile jest poziomów ludzi.

Enneagram to *perpetuum mobile*, to samo perpetuum mobile, które ludzie szukali od najdawniejszych czasów i nigdy nie mogli znaleźć. Jest oczywiście, dlaczego nie mogli go znaleźć. Poza sobą szukali tego, co znajdowało się w nich; próbowali *zbudować* perpetuum mobile tak, jak buduje się maszynę; podczas gdy rzeczywiste perpetuum mobile stanowi część innego perpetuum mobile, i nie można go stworzyć w oderwaniu od niego. Enneagram jest schematycznym wykresem perpetuum mobile, czyli maszyny wiecznego ruchu. Ale oczywiście trzeba wiedzieć, jak odczytać ten wykres. Zrozumienie tego symbolu i umiejętność posługiwania się nim nadaje człowiekowi wielką moc. Jest to *perpetuum mobile* i jest to także *kamień filozoficzny* poszukiwany przez alchemików.

Wiedza o enneagramie przez długi czas utrzymywana była w tajemnicy, i jeśli teraz jest ona, że tak powiem, dostępna dla wszystkich, to tylko w bardzo niepełnej i teoretycznej postaci, z której nikt bez otrzymania instrukcji od człowieka, który wie, nie mógłby w żaden praktyczny sposób skorzystać.

Aby zrozumieć enneagram, trzeba myśleć o nim jako o znajdującym się w ruchu, poruszającym się. Nieruchomy enneagram jest symbolem martwym; żywy symbol jest w ruchu.

O wiele później – było to w roku 1922 – kiedy G. zorganizował swój Instytut we Francji i kiedy jego uczniowie zapoznawali się z tańcami i ćwiczeniami derwiszów, G. pokazał im ćwiczenia związane z "ruchem enneagramu". Na podłodze sali, w której odbywały się ćwiczenia, narysowany został olbrzymi enneagram, a uczestniczący w ćwiczeniach uczniowie stanęli na miejscach oznaczonych numerami od 1 do 9. Następnie zaczęli się oni przemieszczać w kierunku kolejnych liczb okresu w bardzo ciekawym ruchu, obracając się jeden wokół drugiego w miejscach spotkania, czyli w punktach, gdzie w enneagramie przecinają się linie.

W tym czasie G. powiedział, że ćwiczenia oparte na ruchu zgodnym z budową enneagramu będą zajmowały ważne miejsce w jego balecie "Walka Magów". I dodał, że bez uczestnictwa w tych ćwiczeniach, bez zajmowania w nich jakiegoś miejsca zrozumienie enneagramu jest prawie niemożliwe.

– Enneagramu można doświadczyć poprzez ruch – rzekł. – Już sam rytm tych ruchów sugeruje potrzebne idee i utrzymuje potrzebne napięcia; bez nich nie można poczuć tego, co najważniejsze.

Istniał jeszcze inny rysunek enneagramu, wykonany pod kierunkiem G. w roku

1920 w Konstantynopolu. Na rysunku tym wewnątrz enneagramu znajdowały się cztery zwierzęta Apokalipsy – Wół, Lew, Człowiek i Orzeł – a wraz z nimi gołębica. Te dodatkowe symbole związane były z “centrami”.

W związku z rozmowami o znaczeniu enneagramu jako uniwersalnego symbolu G. jeszcze raz wspomniał o istnieniu uniwersalnego języka filozoficznego.

– Ludzie już od dawna próbują wymyślić język uniwersalny – powiedział. – W tym, jak i w wielu innych wypadkach, szukają czegoś, co już dawno temu zostało odnalezione, próbują *wymyślić* coś, co istnieje i jest znane już od dawna. Powiedziałem wcześniej, że istnieje nie jeden, lecz trzy języki uniwersalne, a jeszcze dokładniej, trzy jego poziomy. Już pierwszy poziom tego języka umożliwia człowiekowi wyrażanie myśli własnych i rozumienie myśli innych ludzi, myśli o rzeczach, wobec których język potoczny jest bezradny.

– W jakiej relacji do sztuki znajdują się te języki? – zapytał ktoś. – I czy sama sztuka nie reprezentuje tego “języka filozoficznego”, którego inni szukają na drodze intelektualnej?

– Nie wiem, o jakiej sztuce mówisz – powiedział G. – Istnieje sztuka i sztuka. Niewątpliwie spostrzegłeś, że podczas naszych wykładów i rozmów często zadawano mi różne pytania dotyczące sztuki, ale ja zawsze unikałem tego tematu. A działo się tak dlatego, że wszystkie zwykłe rozmowy na temat sztuki uważam za całkowicie bezwartościowe. Ludzie mówią o jednej rzeczy, implikując coś zupełnie innego i nie mają żadnego pojęcia o tym, co implikują. Równocześnie, całkiem bezużyteczne są próby wyjaśnienia rzeczywistej wzajemnej relacji między rzeczami człowiekowi, który nie zna własnego “A B C”, to znaczy “A B C” człowieka. My już przez pewien czas mieliśmy okazję rozmawiać i powinniście już znać to “A B C”, tak że pewnie mogę teraz rozmawiać wami nawet o sztuce.

Przede wszystkim musicie pamiętać, że istnieją dwa rodzaje sztuki, jeden całkiem odmienny od drugiego: sztuka obiektywna i sztuka subiektywna. Wszystko to, co znacie, co nazywacie sztuką, jest sztuką subiektywną, czyli czymś, czego ja nie nazywam sztuką, albowiem ja nazywam sztuką tylko sztukę obiektywną.

Zdefiniowanie tego, co ja nazywam sztuką obiektywną, jest trudne. Po pierwsze dlatego, że wy przypisujecie sztuce subiektywnej cechy charakterystyczne dla sztuki obiektywnej, a po drugie dlatego, że kiedy napotykalicie obiektywne dzieła sztuki, to odbieracie je na tym samym poziomie, co subiektywne dzieła sztuki.

Spróbuję to wyjaśnić. Mówicie: artysta tworzy. Ja mówię to tylko w odniesieniu do sztuki obiektywnej. Gdy mam do czynienia ze sztuką subiektywną, powiadam, że u artysty “to się tworzy”. Wy nie dokonujecie tego rozróżnienia, a to właśnie na tym polega cała różnica. Ponadto przypisujecie sztuce subiektywnej działanie nie ulegające zmianom, to znaczy oczekujecie, że dzieła sztuki subiektywnej

będą wywoływać w każdym takie same reakcje. Na przykład myślicie, że marsz pogrzebowy powinien wywoływać we wszystkich smutne i uroczyste myśli, a wszelka muzyka taneczna, jak choćby *komariński*, będzie wywoływać myśli radosne. Ale w rzeczywistości wcale tak nie jest. Wszystko zależy od skojarzenia. Jeśli w dniu, kiedy spotyka mnie wielkie nieszczęście, usłyszę po raz pierwszy jakiś żwawą melodię, to przez resztę życia melodia ta będzie wywoływała we mnie smutne i bolesne myśli. Natomiast jeśli w dniu, kiedy jestem szczególnie szczęśliwy, usłyszę smutną melodię, to melodia ta zawsze będzie wywoływała radosne myśli. I tak to jest ze wszystkim.

Różnica pomiędzy sztuką obiektywną i sztuką subiektywną polega na tym, że w wypadku sztuki obiektywnej artysta rzeczywiście "tworzy", a więc robi to, co miał zamiar zrobić, zawiera w swoim dziele te idee i uczucia, które chce w nim zawrzeć. I oddziaływanie tego rodzaju dzieła na ludzi jest całkowicie określone; odbierają oni, każdy oczywiście odpowiednio do poziomu, na którym się znajduje, te same idee i te same uczucia, które artysta chciał im przekazać. Ani w tworzeniu, ani w odbiorze sztuki obiektywnej nie może być nic przypadkowego.

W sztuce subiektywnej wszystko jest przypadkowe. Jak już powiedziałem, artysta nie tworzy; u niego "to tworzy się samo". Oznacza to, że znajduje się on we władaniu idei, myśli i nastrojów, których sam nie rozumie i nad którymi nie ma żadnej kontroli. One nim rządzą i, w czy innej formie, same znajdują swój wyraz. I kiedy przypadkowo przybiorą taką lub inną formę, to forma ta również przypadkowo oddziałuje na drugiego człowieka, w zależności od jego nastroju, gustów, nawyków, typu hipnozy, w której żyje, itd. Nie ma w tym nic niezmiennego, nic tutaj nie jest ściśle określone. W sztuce obiektywnej przeciwnie: wszystko jest określone.

– Czy będąc tak ściśle określoną, sama sztuka nie zaniknie? – zapytał jeden z nas. – I czyż pewna nieokreśloność, nieuchwytność nie jest dokładnie tym, co odróżnia sztukę od, powiedzmy, nauki? Jeśli odbierze się jej tę nieokreśloność, jeśli artysta wie, co osiągnie lub jakie wrażenie jego dzieło wywrze na ludziach, to jest to wtedy "księga", a nie sztuka.

– Nie wiem, o czym mówisz – odparł G. – Mamy różne normy: mierzę wartość sztuki miarą jej *świadomości*, a ty mierzysz ją miarą jej *nieświadomości*. Nie możemy się wzajemnie zrozumieć. Dzieło sztuki obiektywnej powinno być, jak to nazywasz, "księgą"; różni się ono od tej ostatniej jedynie tym, że artysta przekazuje swoje idee nie bezpośrednio za pomocą słów, znaków lub hieroglifów, lecz poprzez pewne uczucia, które wywołuje świadomie i w sposób uporządkowany, wiedząc, co robi i dlaczego to robi.

– Zachowały się – powiedział jeden z obecnych – legendy o posągach bogów w starożytnych świątyniach greckich, na przykład o posągu Zeusa na Olimpie. Posagi te na każdym wywierają określone i takie samo wrażenie.

– To prawda – powiedział G. – i już sam fakt, że istnieją takie przekazy, świadczy o tym, że ludzie rozumieli, iż różnica pomiędzy rzeczywistością a nierzeczywistą sztuką polega właśnie na tym sposobie oddziaływania, z jednej strony nie ulegającym zmianie, a z drugiej – przypadkowym.

– Czy mógłbyś wskazać inne dzieła sztuki obiektywnej?

– Czy w sztuce współczesnej istnieje cokolwiek, co można by nazwać obiektywnym?

-Kiedy zostało stworzone ostatnie dzieło sztuki obiektywnej?

Prawie każdy z obecnych zaczął zadawać G. podobne pytania.

– Zanim zaczniesz o tym mówić – powiedział G. – trzeba najpierw zrozumieć podstawy. Jeśli uchwycicie podstawowe zasady, to sami będziecie w stanie odpowiedzieć na te pytania. Ale jeśli ich nie uchwycicie, to nic z tego, co wam powiem, niczego wam nie wyjaśni. To właśnie o tym powiedziano: będą słuchali, a nie zrozumieją, będą patrzyli, a nie zobaczą.

Podam tutaj tylko jeden przykład – muzykę. Cała obiektywna muzyka opiera się na “wewnętrznych oktavach”. I może ona wywołać nie tylko określone efekty psychologiczne, lecz także określone efekty fizyczne. Może istnieć taka muzyka, która zamrozi wodę. Może istnieć taka muzyka, która z miejsca zabije człowieka. Biblijna legenda o zburzeniu przez muzykę murów Jerycha jest legendą mówiącą właśnie o obiektywnej muzyce. Zwykła muzyka, obojętnie jakiego rodzaju, nie zburzy murów, ale muzyka obiektywna naprawdę może to spowodować. I nie tylko może zburzyć, lecz także może zbudować. W legendzie o Orfeuszu znajduje się aluzje do muzyki obiektywnej, ponieważ Orfeusz miał zwyczaj komunikować wiedzę za pomocy muzyki. Na Wschodzie muzyka “zaklinaczy węży” jest bardzo prymitywnym, oczywiście, rodzajem muzyki obiektywnej. Bardzo często jest to po prostu jedna, grana przez długi czas nuta, raz nieco rosnąca, raz opadająca; w tej pojedynczej nucie ciągle pojawiają się “wewnętrzne oktawy” oraz nieuchwytnie dla uszu, ale odczuwane przez centrum emocjonalne melodie “wewnętrznych oktav”. Wąż słyszy tę muzykę, czy też mówiąc dokładniej, czuje ją i jest jej posłuszny. Takiej samej, tylko trochę bardziej skomplikowanej muzyce byliby też posłuszni ludzie.

Widzicie więc, że sztuka nie jest tylko językiem, lecz czymś więcej. I jeśli powiążecie to, co teraz powiedziałem, z tym, co wcześniej mówiłem o różnych poziomach bycia człowieka, to zrozumiecie, co zostało powiedziane o sztuce. Mechaniczna ludzkość składa się z ludzi nr 1, 2 lub 3, i oczywiście ludzie ci mogą mieć tylko sztukę subiektywną. Sztuka obiektywna wymaga przynajmniej przebłysków obiektywnej świadomości; aby właściwie zrozumieć te przebłyski i właściwie z nich korzystać, konieczna jest ogromna wewnętrzna jedność i ogromna kontrola nad samym sobą.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

W rozmowach z opisywanego przeze mnie okresu, to znaczy z końca 1916 roku, G. kilka razy zajął się zagadnieniami związanymi z religią. Ilekroć pytano go o cokolwiek, co wiąże się z religią, G. niezmiennie rozpoczynał od podkreślenia faktu, że jakiś bardzo poważny błąd leży u podstaw przyjętej przez nas postawy wobec problemów religii.

– Przede wszystkim – zawsze mawiał – religia jest pojęciem względnym; odpowiada ona poziomowi bycia człowieka. Religia jednego człowieka wcale nie musi odpowiadać drugiemu człowiekowi, to znaczy religia człowieka z jednego poziomu bycia nie odpowiada człowiekowi znajdującemu się na innym poziomie bycia.

Trzeba zrozumieć, że religia człowieka nr 1 to religia jednego rodzaju, religia człowieka nr 2 to religia innego rodzaju, a religia człowieka nr 3 to religia jeszcze innego rodzaju. Religia człowieka nr 4, nr 5 i dalej jest czymś zupełnie odmiennym od religii człowieka nr 1, 2 i 3.

Po drugie, religia jest czynieniem; człowiek nie tylko *myśli* lub *czuje* swoją religię, ale w miarę możliwości *żyje* nią, bo inaczej nie jest to religia, lecz fantazjowanie lub filozofia. I czy mu się to podoba, czy nie, poprzez swoje działania człowiek ujawnia swoją postawę wobec religii, i *tylko poprzez swoje działania* może ujawnić swoją postawę. Tak więc, jeśli jego działania są sprzeczne z wymaganiami danej religii, to nie może on się uważać za kogoś, kto przynależy do tej religii. Olbrzymia większość ludzi, którzy nazywają siebie chrześcijanami, nie ma do tego żadnego prawa, ponieważ nie tylko nie spełniają oni stawianych przez ich religię wymagań, ale nawet nie myślą o tym, że powinni te wymagania spełniać.

Chrześcijaństwo zabrania mordowania. A tymczasem cały nasz postęp sprowadza się do postępu w technice mordowania i postępu w sztuce wojennej. Jakim prawem możemy nazywać siebie chrześcijanami?

Nikt, kto nie postępuje zgodnie z naukami Chrystusa, nie może nazywać siebie chrześcijaninem. Człowiek, jeśli próbuje stosować się do tych nauk, może powiedzieć, że *pragnie* być chrześcijaninem. Jeśli wcale nich nie myśli lub wyśmiewa się z nich, albo też zastępuje je jakimiś swoimi własnymi wymysłami lub o nich zapomina, to nie ma żadnego prawa do nazywania siebie chrześcijaninem.

Podaliśmy przykład wojny, ponieważ jest to przykład najbardziej uderzający. Ale nawet bez wojny całe życie jest dokładnie takie samo. Ludzie nazywają siebie chrześcijanami, nie zdając sobie sprawy, że nie tylko nie chcą, ale też nie są w stanie być chrześcijanami, ponieważ po to, aby być chrześcijaninem, konieczne

jest nie tylko pragnienie, lecz także *bycie w stanie*, bycie jednym.

Człowiek sam w sobie nie jest jednym, on nie jest "Ja", on jest "my" lub mówiąc dokładniej, on jest "oni". Wszystko z tego wynika. Przypuśćmy, że człowiek postanawia zgodnie z Ewangelią nadstawić lewy policzek, jeśli ktoś uderzy go w prawy. I jedno "ja" podejmuje decyzje o tym w umyśle albo w centrum emocjonalnym. Jedno "ja" wie o tym i jedno "ja" o tym pamięta – a inne nie.

Wyobraźmy sobie, że rzeczywiście to się zdarza, że ktoś uderzy tego człowieka. Czy myślicie, że nadstawi lewy policzek? Nigdy. Nie będzie miał czasu o tym pomyśleć. Albo uderzy w twarz człowieka, który go uderzył, albo zacznie wzywać policję, albo po prostu ucieknie. Jego centrum ruchowe zareaguje, zanim człowiek ten zda sobie sprawę z tego co robi.

Do tego, by nadstawić policzek, konieczny jest długotrwały instruktaż, długotrwały trening. Ale jeśli jest to trening mechaniczny, to nie ma żadnej wartości, ponieważ w tym wypadku będzie to oznaczało, że człowiek nadstawi policzek, bo nic innego nie potrafi zrobić.

– Czy modlitwa nie może człowiekowi pomóc w tym, by żył jak chrześcijanin ? – zapytał ktoś.

– To zależy od tego, czyja jest to modlitwa – powiedział G. – Modlitwa człowieka subiektywnego, to znaczy człowieka nr 1, 2 i 3, może prowadzić tylko do subiektywnych rezultatów, a więc autosugestii, pocieszania i hipnotyzowania siebie. Nie może ona dać rezultatów obiektywnych.

– Ale czy modlitwa w ogóle nie może przynieść obiektywnych wyników? – zapytał jeden z obecnych.

– Powiedziałem już, że to zależy od tego, czyja jest to modlitwa – odpowiedział G.

– Trzeba nauczyć się modlić, tak jak trzeba się nauczyć wszystkiego innego. Jeśli ktoś wie, jak się modlić i jak we właściwy sposób się skupić, to jego modlitwa może przynieść rezultaty. Należy jednak zrozumieć, że istnieją różne modlitwy i że dają one różne wyniki. Nawet ze zwykłego nabożeństwa można się o tym dowiedzieć. Tymczasem my, kiedy mówimy o modlitwie albo o rezultatach modlitwy, mamy na myśli zawsze tylko jeden rodzaj modlitwy – prośbę, albo też uważamy, że prośbę da się połączyć ze wszystkimi innymi rodzajami modlitwy. Jest to oczywiście nieprawda. Większość modlitw nie ma nic wspólnego z prośbami; wiele z nich jest znacznie starszych niż chrześcijaństwo. Modlitwy te są, że tak powiem, *rekapitulacjami*; powtarzając je na głos albo w myślach, człowiek usiłuje doświadczyć za pomocą swojego umysłu i swoich emocji tego, co jest w nich zawarte. I zawsze człowiek może stworzyć dla siebie nowe modlitwy. Na przykład mówi: "Ja chcę być poważny". Ale cała rzecz w tym, jak on to mówi. Jeśli powtarza to nawet dziesięć tysięcy razy na dzień, a jednocześnie myśli o tym, kiedy to się skończy i co będzie dzisiaj na obiad, to

wtedy nie jest to modlitwa, lecz po prostu oszukiwaniem siebie. Ale te same słowa mogą stać się modlitwą, jeśli człowiek wypowiada je w następujący sposób: mówi "JA" i jednocześnie stara się myśleć o wszystkim, co wie o "Ja". Ono nie istnieje, nie istnieje jedno "Ja", jest mnóstwo drobnych, krzykliwych i kłótliwych "ja". Ale on chce być jednym "Ja" – panem; przypomina sobie o wozie, koniu, woźnicy i panu. "Ja" jest panem. "CHCĘ" – człowiek myśli o znaczeniu "Ja chcę". Czy jest w stanie chcieć? U niego przez cały czas "to chce" lub "to nie chce". I temu "to chce" i "to nie chce" próbuje on przeciwstawić swoje własne "Ja chcę", które powiązane jest z celami pracy nad samym sobą; czyli, że do potocznej kombinacji dwóch sił: "to chce" i "to nie chce", próbuje on wprowadzić trzecią siłę. "BYĆ" – człowiek myśli o tym, co "być", co "bycie" oznacza. Bycie mechanicznego człowieka, z którym wszystko się zdarza. Bycie człowieka, który może czynić. Można "być" na różne sposoby. On chce "być" nie tylko znaczeniu egzystencjalnym, lecz także w znaczeniu wielkości posiadanej mocy. Słowo "być" nabiera dla niego wagi, nowego znaczenia. Być "POWAŻNYM" – człowiek myśli o tym, co to znaczy "być poważnym". Bardzo ważne jest, jak sobie na to odpowie. Jeśli rozumie, co to oznacza, jeśli właściwie zdefiniuje dla siebie, co to znaczy "być poważnym" i jeśli czuje, że naprawdę tego pragnie, to wtedy jego modlitwa może przynieść rezultat w tym sensie, że może mu przybyć więcej siły, że częściej będzie zauważał, że nie jest poważny, że łatwiej będzie mu się przemóc i że sam sprawi w końcu, że będzie poważny.

Dokładnie w ten sam sposób człowiek może "się modlić": "Ja chcę pamiętać siebie samego". "PAMIĘTAĆ" – co to znaczy "pamiętać"? Człowiek musi myśleć o pamięci. Jak niewiele pamięta! Jak często zapomina o tym, co postanowił, co widział, co wie! Całe jego życie byłoby inne, gdyby mógł pamiętać. Wszystkie nieszczęścia biorą się z tego, że nie pamięta. Pamiętać "SIEBIE SAMEGO" – człowiek znowu powraca do siebie. Którego "siebie" chce pamiętać? Czy warto jest pamiętać całego siebie? Jak może odróżnić to, co chce pamiętać? Idea pracy! W jaki sposób może powiązać to z ideą pracy, itd.

W chrześcijańskim obrządku istnieje bardzo wiele właśnie takich modlitw, podczas których należy zastanawiać się nad każdym słowem. Tracą one cały swój sens i znaczenie, gdy się je powtarza albo śpiewa mechanicznie.

Za przykład weźcie dobrze znam modlitwę: "*Boże zmiłuj się nade mną!*" Co to znaczy? Człowiek odwołuje się do Boga. Powinien trochę pomyśleć, powinien zrobić porównanie i zapytać siebie, czym jest Bóg i czym jest on sam. Następnie prosi Boga, by się nad nim *zmiłował*. Lecz przecież, by to się stało, Bóg musi o *nim myśleć, musi go zauważyć*. Ale czy warto jest zwracać na niego uwagę? Co takiego jest w nim, o czym warto myśleć? I kto ma o nim myśleć? Sam Bóg. Widzicie, wszystkie te i jeszcze wiele innych myśli powinno przebiegać przez umysł człowieka, gdy wypowiada tę prostą modlitwę. *1 to właśnie te myśli mogą sprawić to, o co prosi on Boga*. Ale o czym może myśleć i jaki rezultat może przynieść modlitwa, jeśli tylko jak papuga powtarza: "Boże zmiłuj się! Boże zmiłuj

się! Boże zmiłuj się!" Sami wiecie, że to nie może dać żadnych wyników.

Mówiąc ogólnie, bardzo niewiele wiemy o chrześcijaństwie i o formie chrześcijańskiego obrządku. Na przykład kościół, czyli świątynia, w której gromadzą się wierni i w której zgodnie ze specjalnymi rytuałami odbywają się nabożeństwa – skąd to się wzięło? Wielu ludzi w ogóle o tym nie myśli. Wielu ludzi uważa, że zewnętrzna forma obrządku, rytuały, śpiewanie kantyków itd. – zostały wymyślane przez Ojców Kościoła. Inni sądzą, że ta zewnętrzna forma została częściowo przejęta z religii pogańskich, a częściowo od Żydów. Ale to wszystko nieprawda. Pytanie dotyczące źródła kościoła chrześcijańskiego, to znaczy chrześcijańskiej świątyni, jest dużo bardziej interesujące, niż myślimy. Zacznijmy od tego, że kościół i obrządek w tej formie, w jakiej istniały w pierwszych wiekach chrześcijaństwa, nie mogły zostać zapożyczone z pogaństwa, ponieważ nic takiego nie istniało ani w greckich, ani w rzymskich kultach, ani w judaizmie. Żydowska synagoga, żydowska świątynia oraz poświęcone różnym bogom świątynie greckie i rzymskie były czymś zupełnie odmiennym od kościoła chrześcijańskiego, który pojawił się w pierwszym i drugim stuleciu. Kościół chrześcijański jest szkołą. o której ludzie zapomnieli – zapomnieli, że jest to szkoła. Wyobraźcie sobie szkołę, w której nauczyciele prowadzą wykłady i organizują pokazy wyjaśniające, nie wiedząc o tym, że są to wykłady i pokazy, i gdzie uczniowie, lub też po prostu ludzie, którzy przychodzą do szkoły, uważają te wykłady i pokazy za ceremonie, za rytuały lub "sakramenty", czyli za magię. Oto w przybliżeniu współczesny nam kościół chrześcijański.

Kościół chrześcijański, chrześcijańska forma obrządku, nie zostały wymyślane przez Ojców Kościoła. Wszystko to zostało przejęte w gotowej formie z Egiptu; tylko że nie z Egiptu, który my znamy, lecz tego, którego nie znamy. Egipt ów znajdował się dokładnie w tym samym miejscu co ten znany nam, tyle że istniał o wiele wcześniej. Jedynie małe jego "fragmenty" przetrwały do czasów historycznych. "Fragmenty" te są przechowywane w tajemnicy, i to tak dobrze, że nawet nie wiemy, gdzie.

Wielu ludziom wyda się dziwne, gdy powiem, że ów prehistoryczny Egipt był chrześcijański wiele tysięcy lat przed narodzinami Chrystusa, to znaczy, że na jego religię składały się te same zasady i idee, które stanowią prawdziwe chrześcijaństwo. W tym prehistorycznym Egipcie istniały specjalne szkoły, nazywane "szkołami powtarzania". W szkołach tych w określone dni, a w niektórych może nawet codziennie, przedstawiano w skondensowanej formie "powtórzenie" całego kursu nauk, które można było poznać w tych szkołach. Czasami "powtórzenie" to trwało tydzień albo miesiąc. Dzięki "powtórzeniom" ludzie, którzy przeszli kurs, nie tracili swojego związku ze szkołą i zachowywali w pamięci wszystko, czego się nauczyli. Czasami przybywali oni z bardzo daleka, by wysłuchać "powtórzenia", po czym odchodzili, czując swój związek ze szkołą. W ciągu roku wyznaczano specjalne dni, kiedy "powtórzenia" były wyjątkowo

szczegółowe, kiedy przeprowadzano je w sposób niezwykle uroczysty. Same te dni miały znaczenie symboliczne.

“Szkoly powtarzania” posłużyły za model kościołom chrześcijańskim. Forma obrządku w kościołach chrześcijańskich prawie w całości stanowi “kurs powtórzenia” nauk zajmujących się wszechświatem i człowiekiem. Indywidualne modlitwy, hymny, responsorium, wszystko to wraz ze świętami i wszystkimi symbolami religijnymi miało w tym powtórzeniu swoje własne znaczenie, choć znaczenie to zostało już dawno temu zapomniane.

Kontynuując, G. przytoczył kilka bardzo interesujących przykładów objaśnień różnych części liturgii prawosławnej. Niestety nie zrobiono wtedy żadnych notatek, a ja nie podejmę się odtworzenia tego z pamięci.

Chodziło o to, że już od pierwszych słów liturgia przedstawia jakby przechodzenie przez proces stworzenia, rejestrując zarazem wszystkie jego stadia i etapy. Co mnie szczególnie zdumiało w wyjaśnieniach G. to fakt, do jakiego stopnia zostało to zachowane w niezminionej formie, a jednocześnie jak mało z tego wszystkiego rozumieliśmy. Jego wyjaśnienia bardzo różniły się od tradycyjnych teologicznych, a nawet mistycznych interpretacji. Podstawowa różnica polegała tu na tym, że odrzucił on bardzo wiele alegorii. Mam na myśli fakt, że z jego wyjaśnień w oczywisty sposób wynikało, że wiele rzeczy uważamy za alegorie, a tymczasem nie są to żadne alegorie, lecz coś, co powinno być rozumiane znacznie prościej i w bardziej psychologiczny sposób. To, co powiedział wcześniej o Ostatniej Wieczerzy, może posłużyć tutaj za dobry przykład.

– Każda ceremonia albo rytuał mają wartość, jeśli odprawia się je bez zmian – powiedział. – Ceremonia jest księgą, w której zapisano bardzo dużo rzeczy. Każdy, kto rozumie, może ją czytać. Jeden rytuał często zawiera więcej materiału niż sto książek.

Mówiąc o tym, co zachowało się do naszych czasów, G. jednocześnie zwrócił uwagę na to, co zostało utracone i zapomniane. Mówił nam o świętych tańcach, które towarzyszyły “nabożeństwom” w “świątyniach powtarzania”, a które nie zostały uwzględnione w chrześcijańskiej formie obrządku. Mówił także o rozmaitych ćwiczeniach i o specjalnych pozycjach ciała podczas różnych modlitw, to znaczy podczas różnych rodzajów medytacji; mówił o uzyskiwaniu kontroli nad oddychaniem i o konieczności posiadania na zawołanie umiejętności napinania i rozluźniania dowolnej grupy mięśni czy też mięśni całego ciała. Opowiadał o wielu rzeczach związanych, jeśli można tak powiedzieć, z “techniką” religii.

Pewnego razu, przy okazji opisywania ćwiczeń na koncentrację i przenoszenie uwagi z jednej części ciała do drugiej, G. zapytał:

– Kiedy wymawiacie na głos słowo “Ja”, czy spostrzegacie *gdzie w was brzmi to*

słowo?

Nie od razu zrozumieliśmy, o co mu chodziło. Niemniej bardzo szybko zaczęliśmy zauważać, że wymawiając słowo "Ja" niektórzy z nas zdecydowanie odczuwali, jak słowo to *brzmi* w głowie, inni czuli je w klatce piersiowej, a jeszcze inni nad głową – poza ciałem.

Muszę tutaj wspomnieć, że osobiście w ogóle nie byłem w stanie wywołać w sobie tego doznania i musiałem polegać na innych.

G. przysłuchiwał się tym wszystkim uwagom, po czym powiedział, że istnieje związane z tym ćwiczenie, które według niego zostało przechowane do dzisiejszych czasów w klasztorach na Górze Atos.

Mnich klęczy albo stoi w określonej pozycji i podnosząc ręce, które są zgięte w łokciach, mówi przeciągle na głos: *Ego*, wsłuchując się jednocześnie, gdzie to słowo brzmi.

Celem tego ćwiczenia jest czucie własnego "Ja" za każdym razem, gdy człowiek myśli o sobie, i przenoszenie swojego "Ja" z jednego centrum do drugiego.

G. wiele razy wskazywał na konieczność poznawania tej zapomnianej "techniki", jak również na niemożność uzyskania bez niej jakichkolwiek, za wyjątkiem całkowicie subiektywnych, rezultatów.

– Musicie zrozumieć – powiedział – że każda rzeczywista religia, czyli taka, która w określonym celu została stworzona przez ludzi prawdziwie uczonych, składa się z dwóch części. Jedna część uczy tego, *co należy zrobić*. Ta część staje się wiedzą ogółu, z czasem się wypacza i odbiega od swojego źródła. Druga część uczy, *jak zrobić* to, czego uczy pierwsza część. Ta część przechowywana jest w tajemnicy w specjalnych szkołach i z jej pomocą można zawsze sprostować to, co zostało wypaczone w pierwszej części, lub też przywrócić to, co zostało zapomniane.

Bez tej drugiej części znajomość religii nie byłaby możliwa, a w każdym razie byłaby to znajomość niepełna i bardzo subiektywna.

Ta część utrzymywana w tajemnicy istnieje zarówno w chrześcijaństwie, jak i w innych religiach, i uczy ona tego, jak wypełniać nauki Chrystusa i co one naprawdę znaczą.

Muszę wspomnieć o jeszcze jednej rozmowie o kosmosach.

– Istnieje tutaj związek z ideami fenomenów i noumenów Kanta – powiedziałem.
– I w tym cała rzecz. Ziemia jako ciało trójwymiarowe jest "fenomenem", a jako ciało sześciowymiarowe stanowi "noumen".

– Dokładnie tak – odparł G. – Tylko dodaj do tego jeszcze ideę skali. Jeśli Kant uwzględniłby w swoich dowodach ideę skali, to wiele z tego, co napisał, miałoby bardzo dużą wartość. Tylko tej jednej rzeczy mu brakowało.

Słuchając G. pomyślałem, że wypowiedź ta bardzo zdziwiłaby Kanta. Ale idea skali była mi bardzo bliska. I zdałem sobie sprawę, że przyjmując ją za punkt wyjściowy, można było odnaleźć bardzo wiele tego, co nowe i nieoczekiwane w rzeczach, które wydaje się nam być znane.

Mniej więcej rok później, rozwijając ideę kosmosów w odniesieniu do zagadnień czasu, otrzymałem tablicę czasu w różnych kosmosach, o której będę mówił nieco dalej.

Pewnego razu, mówiąc o uporządkowanym powiązaniu wszystkiego we wszechświecie, G. zajął się tematem “życia organicznego na Ziemi”.

– Z punktu widzenia zwykłej wiedzy – powiedział – życie organiczne to swego rodzaju przypadkowy dodatek, który narusza integralność mechanicznego systemu. Zwyczajna wiedza z niczym go nie wiąże i z faktu jego istnienia nie wyciąga żadnych wniosków. Wy jednak powinniście już rozumieć, że w przyrodzie nie ma nic przypadkowego i niepotrzebnego, i że nic takiego być nie może; wszystko ma określoną funkcję, wszystko służy określonemu celowi. A zatem życie organiczne stanowi w łańcuchu światów niezbędne ogniwo, bez którego te światy nie mogą istnieć, tak samo jak ono nie może istnieć bez tych światów.

Wcześniej zostało powiedziane, że życie organiczne przekazuje na Ziemię różnego rodzaju wpływy planetarne i że jego zadaniem jest dostarczanie pokarmu Księżycowi, który dzięki temu wzmacnia się i rośnie. Ale Ziemia także rośnie. Nie w sensie powiększania rozmiarów, ale w znaczeniu wzrostu świadomości i wrażliwości. Wpływy planetarne, które w pewnym okresie były dla niej wystarczające, stają się niedostateczne i Ziemia potrzebuje bardziej subtelnych wpływów. Do odbioru subtelniejszych wpływów niezbędny jest subtelniejszy i bardziej wrażliwy przyrząd. Życie organiczne musi zatem ewoluować, by dostosować się do potrzeb planet i Ziemi. Podobnie jest z Księżycem: przez pewien okres zadowalała się on pokarmem określonej jakości, dostarczany mu przez życie organiczne; ale potem nadchodzi czas, gdy pokarm ten przestaje go zadowalać, nie wystarcza mu już do wzrostu, Księżyc zaczyna być głodny. Życie organiczne musi umieć zaspokoić ten głód, bo inaczej nie będzie ono spełniać swojego zadania, nie będzie realizować swojego celu. Oznacza to, że aby spełnić swój cel, życie organiczne musi ewoluować i dostosować się do poziomu potrzeb planet, Ziemi i Księżyca.

Musimy pamiętać, że promień stworzenia, w przyjętej przez nas formie: od Absolutu do Księżyca, przypomina gałąź drzewa – gałąź rosnącą. Księżyc jest końcem tej gałęzi, końcem, z którego wyrastają nowe pędy. Jeśli Księżyc przestanie rosnąć, jeśli nie wypuści nowych pędów, będzie to oznaczało, że cały promień stworzenia zatrzyma się w rozwoju albo musi znaleźć jakąś inną drogę wzrostu, wypuścić jakąś boczną gałąź. Jednocześnie, z tego, co zostało wcześniej powiedziane, widać, że wzrost Księżyca jest uzależniony od życia

organicznego na Ziemi. Wynika z tego, że także wzrost promienia stworzenia jest uzależniony od życia organicznego na Ziemi. Jeśli życie organiczne zaniknie lub umrze, to zwiędnie natychmiast cała gałąź, a przynajmniej cała ta część gałęzi, która znajduje się za życiem organicznym. To samo, tylko znacznie wolniej, będzie zachodziło, jeśli życie organiczne zatrzyma się w swoim rozwoju, w swojej ewolucji, i nie sprosta stawianym mu wymaganiom. Gałąź może zwiędnąć. Trzeba o tym pamiętać. Promieniowi stworzenia lub, powiedzmy, jego części od Ziemi do Księżyca dano taką samą możliwość rozwoju i wzrostu, jak każdej oddzielnej gałęzi dużego drzewa. Ale wcale nie gwarantuje to tego wzrostu. Zależy on od harmonijnego i właściwego działania tkanek samej gałęzi. Gdy zatrzymuje się rozwój jednej tkanki, to wszystkie inne też się zatrzymują w rozwoju. Wszystko, co można powiedzieć o promieniu stworzenia lub o jego części od Ziemi do Księżyca, odnosi się również do życia organicznego na Ziemi. Życie organiczne na Ziemi jest złożonym zjawiskiem, którego poszczególne części są wzajemnie od siebie uzależnione. Ogólny wzrost możliwy jest tylko pod warunkiem, że sam "koniec gałęzi" rośnie. Albo, mówiąc dokładniej, w życiu organicznym istnieją tkanki, które ewoluują, oraz inne tkanki, które służą im za pokarm i środowisko. Następnie, wewnątrz tkanek ewoluujących istnieją komórki ewoluujące oraz komórki, które służą za środowisko i pokarm tym, które ewoluują. W każdej poszczególnej ewoluującej komórce znajdują się części, które ewoluują, a także części, które służą za pokarm tym, które ewoluują. Jednakże zawsze i wszędzie trzeba pamiętać, że nie ma żadnej gwarancji ewolucji, że jest ona jedynie możliwością i że w dowolnej chwili i w dowolnym miejscu może się ona zatrzymać.

Ludzkość stanowi ewoluującą część życia organicznego. Sama ludzkość także ma swoją ewoluującą część. Ale o tym będziemy mówić później; tymczasem potraktujemy ludzkość jako jedną całość. Jeśli ludzkość nie ewoluuje, znaczy to, że zatrzymuje się ewolucja życia organicznego, a to z kolei powoduje zatrzymanie wzrostu promienia stworzenia. Równocześnie, jeśli ludzkość przestaje ewoluować, to z punktu widzenia celów, dla których ją stworzono, staje się bezużyteczna i jako taka może zostać zniszczona. W ten sposób zahamowanie ewolucji może oznaczać zagładę ludzkości.

Nie mamy wskazówek, które pozwoliłyby nam stwierdzić, w jakim okresie ewolucji planetarnej się znajdujemy i czy Księżyc oraz Ziemia doczekają się odpowiedniej ewolucji życia organicznego, czy też nie. Jednakże ci ludzie, którzy wiedzą, mogą oczywiście mieć na ten temat dokładne informacje, to znaczy mogą wiedzieć, na jakim etapie możliwej ewolucji znajduje się Ziemia, Księżyc i ludzkość. My tego nie możemy wiedzieć, ale nie wolno nam zapominać, że liczba możliwości nigdy nie jest nieskończona.

Jednocześnie, badając życie ludzkości, tak jak je znamy z historii, musimy przyznać, że ludzkość zatacza koło. W jednym stuleciu niszczy wszystko to, co zostało stworzone w innym. Mechaniczny postęp ostatnich stu lat odbył się

kosztem wielu, być może dużo ważniejszych dla niej rzeczy. Mówiąc ogólnie, mamy wszelkie powody do tego, by myśleć i twierdzić, że ludzkość znajduje się w martwym punkcie, z którego prowadzi prosta droga do upadku i degeneracji. Martwy punkt oznacza, że proces został zrównoważony. Pojawienie się jednej jakości powoduje natychmiastowe pojawienie się innej, przeciwstawnej jakości. Wzrost wiedzy w jednej dziedzinie powoduje wzrost niewiedzy w innej dziedzinie, subtelność wywołuje wulgarność, wolność pociąga za sobą niewolę, zanik niektórych przesądów powoduje pojawienie się i rozwój innych. I tak dalej.

Jeśli przypomnimy sobie teraz prawo oktaw, to dostrzeżemy, że przebiegający w pewien sposób, zrównoważony proces nie może w dowolnie wybranym momencie ulec zmianie. Może się zmienić i obrać nowy kierunek tylko na pewnych "rozdrożach". Pomiędzy "rozdrożami" nic się nie da zrobić.

Jednocześnie, jeśli proces minie "rozdroże" i nic się nie zdarzy, nic nie zostanie zrobione, to później także nic nie można już zrobić i proces będzie rozwijał się zgodnie z mechanicznymi prawami. I nawet jeśli uczestniczący w tym procesie ludzie przewidzą nieuchronną całkowitą zagładę, to i tak nic nie będą w stanie zrobić. Powtarzam, można coś zrobić tylko w pewnych momentach, które przed chwilą nazwałem "rozdrożami", a które w oktawach nazwaliśmy "interwałami" mi-fa i si-do.

Istnieje oczywiście bardzo wielu ludzi, którzy uważają, że życie ludzkości nie przebiega w taki sposób, w jaki, zgodnie z ich poglądami, powinno przebiegać. I wymyślają oni rozmaite teorie, które według nich powinny zmienić całe życie ludzkości. Jeden człowiek wymyśla pewną teorię. Ktoś inny natychmiast wymyśla sprzeczną z nią teorię. I obaj oczekują, że wszyscy będą im wierzyć. I rzeczywiście wielu ludzi wierzy jednemu albo drugiemu z nich. Życie naturalnie biegnie swoim tokiem, ale ludzie nie przestają wierzyć w swoje własne teorie, ani te stworzone przez innych. Wierzą, że coś można zrobić. Wszystkie tego typu teorie są z pewnością całkiem fantastyczne, głównie dlatego, że nie biorą one pod uwagę rzeczy najważniejszej, a mianowicie tego, że ludzkość i życie organiczne odgrywają w procesie kosmicznym jedynie drugorzędą rolę. Teorie intelektualne umieszczają człowieka w samym centrum wszystkiego; wszystko istnieje specjalnie dla niego: Słońce, gwiazdy, Księżyc, Ziemia. Zapominają one nawet o względnie małych rozmiarach człowieka, o jego nicości, jego przemijającym istnieniu, itd. Twierdzą, że człowiek, jeśli tylko tego pragnie, jest w stanie zmienić całe swoje życie, to znaczy zorganizować je opierając się na racjonalnych zasadach. Bez przerwy pojawiają się nowe teorie, które z kolei wywołują teorie do nich przeciwstawne. Wszystkie te teorie i istniejące między nimi sprzeczności stanowią bez wątpienia jedną z sił, które utrzymują ludzkość w jej obecnym stanie. Poza tym wszystkie te teorie o "ogólnym dobrobycie" i "powszechnej równości" są nie tylko nie do zrealizowania, ale ich zastosowanie byłoby fatalne w skutkach. W przyrodzie wszystko ma swój cel i swoje znaczenie: nierówność ludzi, jak i ich cierpienie. Zniszczenie nierówności

oznaczałoby zniszczenie możliwości ewolucji. Usunięcie cierpienia oznaczałoby po pierwsze zniszczenie całej serii postrzeżeń, dla których człowiek został stworzony, a po drugie, zniszczenie "wstrząsu", a więc jedynej siły, która jest stanie zmienić sytuację. I tak to jest ze wszystkimi intelektualnymi teoriami.

Proces ewolucji, ewolucji możliwej dla całej ludzkości, jest zupełnie analogiczny do procesu ewolucji możliwej dla pojedynczego człowieka. I zaczyna się on jednakowo: pewna grupa komórek stopniowo staje się świadoma, po czym przyciąga do siebie inne komórki, a jeszcze inne sobie podporządkowuje i stopniowo doprowadza do tego, że cały organizm służy jej celom, a nie tylko je, pije i śpi. To jest ewolucja; żaden inny rodzaj ewolucji nie istnieje. U ludzkości, tak samo jak w każdym człowieku, wszystko zaczyna się od ukształtowania świadomego załączka. Wszystkie mechaniczne siły życia walczą z kształtowaniem się w ludzkości tego świadomego załączka, dokładnie w taki sam sposób, jaki wszystkie mechaniczne nawyki, gusty i słabości walczą w człowieku ze świadomym pamiętaniem siebie.

– Czy istnieje jakaś *świadoma siła*, która walczy z ewolucją? – zapytałem.

– Z pewnego punktu widzenia można tak powiedzieć – rzekł G.

Odnoszę to, gdyż może się to wydać sprzeczne z tym, co powiedział on wcześniej, a mianowicie, że na świecie istnieją tylko dwie walczące ze sobą siły, "świadomość" i "mechaniczność".

– Skąd bierze się ta siła? – zapytałem.

– Wyjaśnienie tego zajęłoby dużo czasu – odpowiedział G. – W obecnej chwili nie może to mieć dla nas praktycznego znaczenia. Istnieją procesy, nazywane czasami "inwolucyjnym" i "ewolucyjnym". Różnica pomiędzy nimi jest następująca: proces inwolucyjny ma swój świadomy początek w Absolucie, ale już w następnym stadium staje się on mechaniczny i w trakcie swego rozwoju staje się on coraz bardziej mechaniczny. Proces ewolucyjny, przeciwnie, zaczyna się na wpół świadomie, ale w trakcie rozwoju staje się coraz bardziej świadomy. Jednakże świadomość i świadomy opór wobec procesu ewolucyjnego mogą także pojawić się w pewnych momentach procesu inwolucyjnego.

Skąd bierze się ta świadomość? Oczywiście z procesu ewolucyjnego. Proces ewolucyjny musi toczyć się bez przerwy. Każde zatrzymanie powoduje przerwanie podstawowego procesu. Pojedyncze fragmenty świadomości, które zostały zatrzymane w rozwoju, także mogą się połączyć i przynajmniej przez pewien czas żyć dzięki temu, że walczą z procesem ewolucyjnym. W końcu czyni to proces ewolucyjny jeszcze bardziej interesującym. Zamiast walki z siłami mechanicznymi może chwilami pojawiać się walka z celowym oporem, stawianym przez całkiem potężne siły – choć oczywiście nie da się ich porównać z tymi, które kierują procesem ewolucyjnym.

Te stawiające opór siły czasami mogą nawet zwyciężyć. Powodem tego jest fakt, że siły kierujące ewolucją mają bardziej ograniczony wybór środków. Innymi słowy, mogą one stosować tylko pewne środki i pewne metody. Siły stawiające opór nie są ograniczone w wyborze środków i mogą stosować wszystkie środki, nawet te, które prowadzą tylko do tymczasowego sukcesu, a w ostatecznym rozrachunku niszczą w danym punkcie zarówno ewolucję, jak i inwolucję.

Ale jak już powiedziałem, pytanie to nie ma dla nas praktycznego znaczenia. Dla nas ważne jest tylko to, by ustalić, gdzie rozpoczyna się ewolucja i w jaki sposób ona przebiega. I jeśli pamiętamy o całkowitej analogii zachodzącej pomiędzy ludzkością a człowiekiem, to nie będzie trudne ustalić, czy ludzkość można uważać za ewoluującą.

Czy możemy na przykład powiedzieć, że życiem rządzi grupa świadomych ludzi? Gdzie się oni znajdują? Kim są? To, co widzimy, całkowicie temu przeczy: światem rządzą ci, którzy są najmniej świadomi, ci, którzy najmocniej śpią.

Czy możemy powiedzieć, że obserwujemy w życiu przewagę tego, co najlepsze, najsilniejsze, najbardziej odważne? Nic z tych rzeczy. Wręcz przeciwnie, widzimy przewagę wszelkiego rodzaju wulgarności i głupoty.

Czy możemy powiedzieć, że obserwujemy w życiu dążenia do jedności, do zjednoczenia? Oczywiście nic podobnego. Widzimy tylko nowe podziały, nową wrogość, nowe nieporozumienia.

A zatem w obecnej sytuacji ludzkości nic nie wskazuje na postępującą ewolucję. Wręcz przeciwnie, jeśli przyrównamy ludzkość do człowieka, to całkiem wyraźnie dostrzegamy, że osobowość wzrasta kosztem esencji, to znaczy to, co sztuczne, nierzeczywiste i obce, wzrasta kosztem tego, co naturalne, rzeczywiste i własne.

Wraz z tym widzimy wzrost automatyzmu.

Kultura współczesna wymaga automatów. I ludzie niewątpliwie zatracają swe nabyte nawyki niezależności i zamieniają się w roboty, w tryby maszyn. Nie da się przewidzieć, jak to się skończy i jak z tego wybrnąć. Tylko jedna rzecz jest pewna: zniewolenie człowieka rośnie i powiększa się. Człowiek staje się dobrowolnym niewolnikiem. Nie potrzeba mu już nawet łańcuchów. Zaczyna on lubić swoją niewolę, zaczyna być niej dumny. I jest to najokropniejsza rzecz, jaka może się człowiekowi przytrafić.

Wszystko, co do tej pory powiedziałem, dotyczyło całej ludzkości. Ale, jak już wcześniej podkreśliłem, ewolucja ludzkości może postępować tylko dzięki ewolucji pewnej grupy, która z kolei będzie przewodzić i oddziaływać na resztę ludzkości.

Czy możemy powiedzieć, że taka grupa istnieje? Być może na podstawie pewnych oznak moglibyśmy to stwierdzić. W każdym razie musimy przyznać, że jest to bardzo mała grupa i z pewnością całkiem niewystarczająca do tego, by

podporządkować sobie resztę ludzkości. Spoglądając na to z innego punktu widzenia, możemy powiedzieć, że ludzkość znajduje się w takim stanie, że nie potrafi zaakceptować przewodnictwa świadomej grupy.

– Ile osób może należeć do tej świadomej grupy? – zapytał ktoś.

– Tylko oni sami to wiedzą – powiedział G.

– Czy oznacza to, że oni wszyscy nawzajem się znają? – spytała znowu ta sama osoba.

– Jakże mogłoby być inaczej? Wyobraź sobie, że w tłumie śpiących ludzi znajdują się dwie lub trzy osoby, które nie śpią. Z pewnością będą się znały. Natomiast ci, którzy śpią, nie mogą ich znać. Ile ich jest? Nie wiemy tego i dopóki nie staniemy się tacy jak oni, nie możemy tego wiedzieć. Wcześniej zostało wyraźnie powiedziane, że każdy człowiek może widzieć tylko z poziomu swojego własnego bycia. Ale *dwustu świadomych ludzi*, gdyby tacy istnieli i gdyby uważali to za konieczne i słuszne, mogłoby zmienić w całości życie na Ziemi. Jednakże albo nie jest ich wystarczająco dużo, albo tego nie chcą, albo być może nie nadszedł jeszcze czas, albo też inni ludzie śpią zbyt mocno.

Dochodzimy tutaj zatem do zagadnień ezoteryzmu.

Wcześniej, kiedy mówiliśmy o historii ludzkości, zostało powiedziane, że życiem ludzkości, do której należymy, rządzą siły pochodzące z dwóch różnych źródeł. Pierwszym są wpływy planetarne, które działają zupełnie mechanicznie i są odbierane całkiem mimowolnie i nieświadomie zarówno przez masy ludzkie, jak i przez poszczególnych ludzi. Drugim są wpływy pochodzące z wewnętrznych kręgów ludzkości, wpływy, których istnienia i znaczenia olbrzymia większość ludzi nie podejrzewa, tak samo jak nie podejrzewa istnienia wpływów planetarnych.

Ludzkość, do której my należymy, czyli ogół znanej nauce i cywilizacji, historycznej i prehistorycznej ludzkości, w rzeczywistości stanowi tylko *zewnątrzny krąg ludzkości*, wewnątrz którego znajduje się kilka innych kręgów.

Można zatem sobie wyobrazić ogół zarówno znanej, jak i nie znanej nam ludzkości jako szereg koncentrycznych okręgów.

Wewnętrzny krąg nazywany jest "ezoterycznym". Krąg ten składa się z ludzi, którzy osiągnęli najwyższy z możliwych dla człowieka stopień rozwoju. Każdy z tych ludzi ma w pełni rozwiniętą indywidualność, to znaczy niepodzielne "Ja"; wszystkie dostępne człowiekowi stany świadomości, całkowitą kontrolę nad tymi stanami, pełnię osiągalnego przez człowieka poznania oraz wolną i niezależną wolę. Nie mogą oni podejmować działań sprzecznych z ich rozumieniem ani też mieć rozumienia, które nie wyraża się w działaniach. Równocześnie nie może być między nimi niezgody lub jakichś różnic w rozumieniu. Ich działania są więc całkowicie skoordynowane i bez poczucia jakiegokolwiek przymusu prowadzą do

jednego wspólnego celu, albowiem opierają się na wspólnym i jednakowym rozumieniu.

Następny krąg nazywany jest "mezoterycznym", czyli środkowym. Ludzie należący do tego kręgu mają wszystkie cechy członków kręgu ezoterycznego, z tą jednak różnicą, że ich wiedza jest bardziej teoretyczna. Oczywiście dotyczy to wiedzy o charakterze kosmicznym. Ludzie ci znają i rozumieją wiele spraw, które nie znalazły jeszcze wyrazu w ich działaniach. Wiedzą więcej, niż są w stanie zrobić. Jednakże ich rozumienie jest równie dokładne, a zatem identyczne z rozumieniem ludzi należących do kręgu ezoterycznego. Pomiędzy nimi nie może być zgody ani nieporozumień. Jeden rozumie tak samo, jak wszyscy, a wszyscy rozumieją tak samo, jak każdy z osobna. Ale, jak wcześniej zostało powiedziane, rozumienie to, w porównaniu z rozumieniem kręgu ezoterycznego, jest do pewnego stopnia bardziej teoretyczne.

Trzeci krąg zwany jest "egzoterycznym", czyli zewnętrznym, ponieważ jest to zewnętrzny krąg wewnętrznej części ludzkości. Ludzie należący do tego kręgu mają wiele wspólnego z ludźmi z kręgu ezoterycznego i mezoterycznego, lecz ich wiedza kosmiczna ma charakter bardziej filozoficzny, to znaczy jest bardziej abstrakcyjna od wiedzy kręgu mezoterycznego. Członek kręgu mezoterycznego *wylicza*, członek kręgu egzoterycznego *kontempluje*. Rozumienie ludzi z kręgu egzoterycznego nie może wyrażać się w działaniach. Ale nie mogą występować między nimi różnice w rozumieniu. To, co rozumie jeden, wszyscy inni też rozumieją.

W literaturze, która uznaje istnienie ezoteryzmu, ludzkość z reguły podzielona jest tylko na dwa kręgi, i "krąg egzoteryczny", w przeciwieństwie do "ezoterycznego", nazywany jest zwyczajnym życiem. W rzeczywistości, jak widzimy, "krąg egzoteryczny" jest czymś bardzo od nas odległym i bardzo wzniosłym. Dla zwykłego człowieka już samo to jest "ezoteryzmem".

"Kąg zewnętrzny" to krąg mechanicznej ludzkości, do której my sami należymy, i jedyny krąg, który znamy. Pierwszym znakiem rozpoznawczym tego kręgu jest to, że pomiędzy należącymi do niego ludźmi nie ma i nie może być wzajemnego zrozumienia. Każdy "rozumie" na swój własny, odmienny od wszystkich innych sposób. Czasami krąg ten zwany jest kręgiem "pomieszania języków", czyli kręgiem, w którym każdy mówi swoim własnym językiem, gdzie nikt nikogo nie rozumie i nie próbuje zrozumieć. W tym kręgu niemożliwe jest wzajemne zrozumienie się między ludźmi, z wyjątkiem rzadkich chwil i gdy dotyczy to jedynie spraw zupełnie nieistotnych, które nie wykraczają poza granice danego *bycia*.

Jeśli należący do tego kręgu ludzie *uświadomią sobie ów ogólny brak zrozumienia* i zapragną rozumieć i być rozumianymi, to będzie oznaczało, iż istnieje w nich nieświadoma skłonność do zmierniania ku kręgowi wewnętrznemu, ponieważ wzajemne rozumienie zaczyna się w kręgu

egzoterycznym i tylko tam jest możliwe. Jednakże świadomość braku rozumienia zazwyczaj pojawia się u ludzi w zupełnie innej postaci.

A zatem u ludzi możliwość rozumienia zależy od możliwości przeniknięcia do kręgu egzoterycznego, gdzie to rozumienie ma swój początek.

Jeśli wyobrazimy sobie ludzkość w postaci czterech koncentrycznych okręgów, to na obwodzie trzeciego, wewnętrznego koła, czyli kręgu egzoterycznego, możemy wyobrazić sobie cztery bramy, poprzez które mogą przenikać ludzie należący do kręgu mechanicznego.

Te cztery bramy odpowiadają czterem opisanym wcześniej drogom.

Pierwsza droga jest drogą fakira, drogą ludzi nr 1, ludzi ciała fizycznego; ludzi instynktu, ruchu i zmysłów, którzy mają niewiele rozumu i niewiele serca.

Druga droga jest drogą mnicha, drogą religijną, drogą ludzi nr 2, to znaczy ludzi, którymi rządzą emocje. W tym wypadku umysł i ciało nie powinny być zbyt silne.

Trzecia droga jest drogą jogina. Jest to droga umysłu, droga ludzi nr 3. Serce i ciało nie powinny być tutaj szczególnie mocne, gdyż w przeciwnym razie mogą one na tej drodze przeszkadzać.

Oprócz tych trzech istnieje jeszcze czwarta droga, którą mogą po podążać ci, którzy nie są w stanie iść żadną z trzech pierwszych dróg.

Podstawowa różnica pomiędzy trzema pierwszymi drogami, czyli drogą fakira, drogą mnicha i drogą jogina, a czwartą drogą polega na tym, że te pierwsze związane są z ustalonymi formami, które bez prawie żadnych zmian przetrwały długie okresy historii. Ich wspólną podstawą jest religia. Tam, gdzie istnieją szkoły joginów, zewnętrznie bardzo niewiele się one różnią od szkół religijnych. Podobnie, w różnych okresach historycznych i w różnych krajach istniały i ciągle jeszcze istnieją rozmaite bractwa czy zakony fakirów. W naszym okresie historycznym te tradycyjne drogi są drogami *trwałymi*

Dwa lub trzy tysiące lat temu istniały jeszcze inne drogi, których obecnie już nie ma, a i te, które nadal istnieją, nie były tak od siebie oddzielone, lecz znacznie sobie bliższe.

Czwarta droga różni się od starych i nowych dróg tym, że nigdy nie jest drogą trwałą. Nie ma ona ustalonych form i nie są z nią związane żadne instytucje. Pojawia się i znika, rządzona przez pewne szczególne, tylko jej przynależne prawa.

Czwartej drodze zawsze towarzyszy pewna *praca* o określonym znaczeniu. Występuje ona tylko w związku z jakimś *przedsięwzięciem*, które stanowi podstawę i jedyne uzasadnienie jej istnienia. Kiedy praca dobiega końca, a więc kiedy wyznaczony cel zostaje osiągnięty, czwarta droga znika, to znaczy znika z danego miejsca i znika w danej formie, być może nadal istniejąc w innym

miejscu i w innej formie. Szkoły czwartej drogi występują jako szkoły służące pracy prowadzonej w związku z zamierzonym przedsięwzięciem. Nigdy nie występują jako szkoły stawiające sobie za cel tylko dawanie wykształcenia i udzielanie instruktażu.

Żadna praca czwartej drogi nie wymaga mechanicznej pomocy. We wszystkich przedsięwzięciach czwartej drogi tylko świadoma praca może być pożyteczna. Człowiek mechaniczny nie może podjąć świadomej pracy. A zatem pierwszym zadaniem ludzi, którzy rozpoczynają taką pracę, jest przygotowanie świadomych asystentów.

Sama *praca czwartej drogi* może przybierać bardzo wiele form i mieć wiele znaczeń. W warunkach zwyczajnego życia, dla człowieka jedyną szansą znalezienia takiej "drogi" jest trafienie na początek tego rodzaju pracy. Szansa na zetknięcie się z taką pracą, jak również możliwość wykorzystania tej szansy zależy od wielu okoliczności i warunków.

Im szybciej człowiek pojmie cel wykonywanej pracy, tym szybciej może stać się w niej przydatny i tym więcej będzie mógł z niej czerpać dla siebie.

Ale niezależnie od tego, co jest podstawowym celem pracy, szkoła istnieje tylko wówczas, gdy praca się toczy. Gdy praca zostaje wykonana, szkoły się zamyka. Ludzie, którzy zapoczątkowali pracę, opuszczają scenę. Ci, którzy nauczyli się od nich tego, czego można było się nauczyć, i którzy uzyskali możliwość samodzielnego kontynuowania drogi, w takiej czy innej postaci rozpoczynają swoją własną, osobistą pracę.

Czasami jednak się zdarza, że po zamknięciu szkoły, pozostaje pewna liczba ludzi, którzy krążyli *wokół* pracy i poznali jej zewnętrzny aspekt, którzy *całość* pracy *ujrzeli tylko w tym zewnętrznym aspekcie*.

Nie mając żadnych wątpliwości co do samych siebie ani co do słuszności własnych wniosków i własnego rozumienia, postanawiają kontynuować pracę. W tym celu tworzą nowe szkoły, uczą ludzi tego, czego sami się nauczyli, składają takie same obietnice, jakie im robiono. Naturalnie wszystko to może być tylko powierzchowną imitacją. Kiedy jednak spoglądamy wstecz na historię, to prawie nie możemy odróżnić, gdzie kończy się to, co prawdziwe, a gdzie zaczyna imitacja. W każdy razie niemal wszystko, co wiemy o rozmaitych szkołach okultystycznych, masońskich i alchemicznych, wiąże się z taką właśnie imitacją. O prawdziwych szkołach nie wiemy praktycznie nic, co najwyżej znamy wyniki ich pracy, i to tylko wówczas, gdy jesteśmy w stanie odróżnić wyniki rzeczywistej pracy od fałszerstw i naśladownictwa.

Ale takie systemy pseudoezoteryczne także odgrywają swoją rolę w pracy i w działalności kręgów ezoterycznych. Są one mianowicie pośrednikami między całkowicie pograżoną w materialistycznym życiu ludzkością a szkołami, które zarówno ze względu na ich własną egzystencję, jak i być może ze względu na

prowadzoną przez nie pracę o charakterze *kosmicznym* zainteresowane są kształceniem pewnej liczby ludzi. Sama idea ezoteryzmu, idea wtajemniczenia, w większości wypadków dociera do ludzi poprzez pseudoezoteryczne systemy i szkoły; gdyby nie te pseudoezoteryczne szkoły, to przytłaczająca większość ludzkości nie miałaby żadnej możliwości usłyszenia lub dowiedzenia się o istnieniu czegokolwiek większego niż życie, ponieważ prawda, w swej czystej formie, byłaby dla nich niedostępna. Z powodu wielu cech charakterystycznych bycia człowieka, w szczególności zaś bycia człowieka współczesnego, prawda może dotrzeć do ludzi wyłącznie w *postaci kłamstwa*. Tylko w tej formie ludzie mogą ją przyjąć; tylko w tej formie mogą ją przetrwać i przyswoić. Sama nieskażona prawda byłaby dla nich pokarmem nie do strawienia.

Ponadto, czasami można odnaleźć ziarno prawdy w ruchach ezoterycznych, w religiach Kościoła, w szkołach okultystycznych i teozoficznych. Może być ono zachowane w ich pismach, w ich rytuałach, w ich tradycji, w ich podejściu do kwestii hierarchii, w ich dogmatach i regułach.

Szkoły ezoteryczne, to znaczy nie pseudoezoteryczne, które być może istnieją w niektórych państwach Wschodu, trudno jest odnaleźć, ponieważ występują tam "w przebraniu" zwykłych klasztorów i świątyń. Klasztory tybetańskie zazwyczaj budowano na planie czterech koncentrycznych okręgów lub czterech koncentrycznych krużganków, oddzielonych od siebie wysokim murem. Świątynie indyjskie, szczególnie na południu Indii, były budowane według tego samego planu, tyle że w formie zawierających się w sobie kwadratów. Wierni mają zazwyczaj dostęp do pierwszego, zewnętrznego krużganku i czasami wyjątkowo mają do niego dostęp także wyznawcy innych religii oraz Europejczycy. Do drugiego krużganku mają dostęp tylko ludzie z określonej kasty lub ci, którzy mają specjalne zezwolenie. Do trzeciego krużganku mają dostęp jedynie ludzie należący do świątyni, a do czwartego bramini i kapłani. Struktury tego typu, z niewielkimi odstępstwami, istnieją wszędzie; to właśnie dzięki nim szkoły ezoteryczne istnieją, lecz nie są rozpoznawane. Wśród dziesiątek klasztorów tylko jeden jest szkołą. Jak można ją rozpoznać? Jeśli dostaniesz się do środka, to dotrzesz zaledwie do pierwszego krużganku; do drugiego krużganku dostęp mają jedynie uczniowie. Ale ty o tym nie wiesz. Tobie się mówi, że należą oni do specjalnej kasty. Co się zaś tyczy trzeciego i czwartego krużganku, to nic nawet o nich nie możesz wiedzieć. W istocie ten sam porządek można zaobserwować we wszystkich świątyniach; i dopóki ci się o tym nie powie, nie zdołasz odróżnić ezoterycznej świątyni lub klasztoru od zwykłej świątyni lub zwykłego klasztoru.

Idea wtajemniczenia, która dotarła do nas dzięki systemom pseudoezoterycznym, została nam także przekazana całkowicie błędnie. Legendy dotyczące zewnętrznych obrzędów wtajemniczenia stworzono ze strzępków informacji, które dotyczy pradawnych misterii. Misteria stanowiły specjalny rodzaj drogi – a w trakcie trudnego i długotrwałego okresu studiów,

organizowano także specjalnego typu przedstawienia teatralne, które w alegorycznych formach opisywały całą drogę ewolucji człowieka i świata.

Specjalne ceremonie prezentacji, czyli wtajemniczenia odnotowywały przejście z jednego poziomu bycia na drugi. Jednakże żaden rytuał nie może spowodować zmiany bycia. Rytuały mogą dać jedynie wyraz dokonaniem już przejściu. I tylko w systemach pseudoezoterycznych, w których nie ma nic oprócz rytuałów, zaczyna się im nadawać niezależne znaczenie. Przypuszcza się, że rytuał przekształca się w sakrament, przekazuje lub komunikuje osobie wtajemniczanej pewne siły. To znów odnosi się do psychologii drogi imitacji. Nie ma żadnego zewnętrznego wtajemniczenia i nie może być. W rzeczywistości istnieje tylko wtajemniczenie samego siebie. Systemy i szkoły mogą wskazać metody i drogi, ale żaden system ani żadna szkoła nie może zrobić za człowieka tego, co on sam musi zrobić. Wewnętrzny rozwój i zmiana bycia zależy wyłącznie od pracy człowieka nad samym sobą.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

Listopad 1916 roku. Sytuacja w Rosji stawała się coraz bardziej niepokojąca. Do tego czasu jakimś cudem przynajmniej większości z nas udawało się trzymać z dala od "wydarzeń". Teraz "wydarzenia" zaczęły się coraz bardziej do nas zbliżać, to znaczy zaczęły się zbliżać do każdego z nas osobiście i nie mogliśmy już do nich nie przywiązywać wagi.

Nie jest moim zadaniem ani opisywanie, ani analiza ówczesnych wypadków. Jednocześnie był to okres tak wyjątkowy, że nie mogę zupełnie pominąć tego, co się wkoło nas działo, gdyż oznaczałoby to, że byłem zarówno ślepy, jak i głuchy. Poza tym, jedynie obserwacja wydarzeń tego okresu mogła dostarczyć tak interesującego materiału do poznawania "mechaniczności" wydarzeń, to znaczy całkowitego braku w nich elementu woli. Niektóre rzeczy wydawały się lub mogły się wydawać zależne od czyjejś woli, ale nawet to okazywało się złudzeniem; w rzeczywistości nigdy do tej pory nie było tak wyraźnie widać, że wszystko się *zdarza* i że nikt niczego *nie czyni*.

Przede wszystkim dla każdego, kto był w stanie i kto chciał to zobaczyć, było jasne, że wojna zbliża się do końca. Działo się to samo przez się; dzięki jakiemuś głębokiemu, wewnętrznemu znużeniu oraz przyćmionej i niewyraźnej, lecz głęboko zakorzenionej świadomości zupełnego braku sensu całej tej okropności. Nikt nie wierzył już żadnym słowom i żadne próby "ożywienia" wojny nie mogły być skuteczne. Jednocześnie niczego nie dało się powstrzymać i całe to gadanie o konieczności kontynuowania wojny lub konieczności jej zakończenia świadczyło tylko o bezradności ludzkiego umysłu, który nie był nawet w stanie zdawać sobie sprawy ze swej własnej bezradności. Poza tym stało się jasne, że wkrótce wszystko się zawali. Jasne było także to, że nikt nie może niczego powstrzymać ani też odwrócić biegu wydarzeń lub skierować ich na jakieś bezpieczne tory. Wszystko toczyło się w jedz możliwy sposób i w żaden inny sposób nie mogło się toczyć. W tym czasie szczególnie mnie uderzyło stanowisko zawodowych polityków lewicy, którzy do tej pory odgrywali bierną rolę, a teraz szykowali się do działania. W rzeczywistości okazali się najbardziej zaślepieni, najgorzej przygotowani i zupełnie niezdolni do zrozumienia tego, co naprawdę robią, dokąd zmierzają i co, także samym sobie gotują.

Bardzo dobrze pamiętam Petersburg podczas ostatniej zimy jego istnienia. Kto, zakładając nawet najgorsze, mógł wtedy przewidzieć, że była to jego ostatnia zima? Ale zbyt wielu ludzi nienawidziło tego miasta, zbyt wielu się go bało i jego dni były już policzone.

Nasze spotkania odbywały się nadal. Podczas ostatnich miesięcy 1916 roku G. przestał przyjeżdżać do Petersburga, niemniej niektórzy członkowie naszej grupy jeździli do Moskwy i przywozili stamtąd wykresy oraz notatki sporządzone przez uczniów G. pod jego kierunkiem.

W owym czasie pojawiło się w naszej grupie wielu nowych ludzi choć było jasne, że wszystko musi zbliżać się do jakiegoś nieznanego końca, to jednak system G. dał nam pewne poczucie ufności i bezpieczeństwa.

Często w tym czasie rozmawialiśmy o tym, jakbyśmy się czuli pośród całego tego zamieszania, gdybyśmy nie mieli systemu, który coraz bardziej stawał się naszym własnym systemem. Nie potrafiliśmy już teraz sobie wyobrazić, jak moglibyśmy bez niego żyć i odnaleźć własną drogę w labiryncie wszystkich istniejących wówczas sprzeczności.

W tym okresie zaczęliśmy rozmawiać na temat Arki Noego. Sam zawsze uważałem mit o Arce Noego za ezoteryczną alegorię. Wielu nas ujrzało teraz, że nie była to jedynie alegoria ogólnej idei ezoteryzmu, lecz że jednocześnie był to plan jakiegokolwiek ezoterycznej pracy, w tym również naszej. Sam system był "arką", dzięki której mieliśmy nadzieję przetrwać czas "potopu".

G. przyjechał dopiero na początku lutego 1917 roku. Podczas jednej z pierwszych rozmów przedstawił nam wszystko to, o czym do tej pory mówił, z zupełnie innej strony.

– Dotychczas – powiedział – przyjmowaliśmy, że Tablica Wodorów to tablica wibracji i gęstości materii, które są do nich odwrotnie proporcjonalne. Teraz musimy zdać sobie sprawę z tego, że

gęstość wibracji i gęstość materii wyrażają wiele innych właściwości materii. Na przykład do tej pory nie mówiliśmy nic o *inteligencji* albo *świadomości* materii. Prędkość wibracji materii wskazuje na stopień inteligencji danej materii. Musicie pamiętać, że w przyrodzie nie ma nic martwego ani nieożywionego. Wszystko na swój własny sposób jest żywe, wszystko na swój własny sposób jest inteligentne i świadome. Tylko że ta świadomość lub inteligencja w różny sposób wyraża się na różnych poziomach bycia, to znaczy w różnych skalach. Ale raz na zawsze musicie zrozumieć, że w przyrodzie nie ma nic martwego ani nieożywionego, że istnieją tylko różne stopnie ożywienia i różne skale.

Tablica Wodorów, służąca do określania gęstości materii i prędkości wibracji, służy jednocześnie do określania stopnia inteligencji i świadomości, ponieważ stopień świadomości odpowiada stopniowi gęstości lub prędkości wibracji. Oznacza to, że im gęstsza jest *materia*, tym mniej jest ona świadoma, tym mniej inteligentna. I im gęstsze są *wibracje*, tym bardziej świadoma i bardziej inteligentna jest materia.

Prawdziwie martwa materia zaczyna się dopiero tam, gdzie ustają wibracje. Jednakże w zwykłych warunkach życia na powierzchni Ziemi nie musimy się troszczyć o *martwą materię*. Nauka też nie może jej dostarczyć. Wszelka znana nam materia jest żywa i na swój sposób inteligentna.

Ustalając poziom gęstości materii, Tablica Wodorów ustala poprzez to również stopień inteligencji, co oznacza, że porównując materie zajmujące różne miejsca na Tablicy Wodorów, ustalamy nie tylko ich gęstość, ale także ich inteligencję. Możemy więc nie tylko powiedzieć, ile razy ten czy tamten wodór jest gęstszy lub lżejszy od innego, ale ile razy jeden wodór jest inteligentniejszy od drugiego.

Zastosowanie "Tablicy Wodorów" do ustalenia różnych cech przedmiotów i żywych istot składających się z wielu wodorów opiera się na zasadzie, że w każdym żywym stworzeniu i w każdej rzeczy znajduje się jeden ściśle określony wodór, który stanowi środek ciężkości. Jeśli można tak powiedzieć, jest to "przeciętny wodór" wszystkich wodorów składających się na dane stworzenie czy rzecz. W celu ustalenia tego "przeciętnego wodoru" najpierw zajmiemy się żywymi stworzeniami. Po pierwsze, konieczna jest do tego znajomość poziomu bycia danego stworzenia. Poziom bycia jest przede wszystkim określony liczbą pięter w danej maszynie. Do tej pory mówiliśmy tylko o człowieku. I potraktowaliśmy człowieka jako trzypiętrową strukturę. Nie można równocześnie mówić o zwierzętach i o człowieku, ponieważ zwierzęta w radykalny sposób różnią się od człowieka. Wyższe spośród znanych nam zwierząt składają się z dwóch pięter, a niższe tylko z jednego piętra.

G. wykonał rysunek:

CZŁOWIEK				
		OWCA		
				ROBAK

Ilustracja 56

Człowiek składa się z trzech pięter.

Owca składa się z dwóch pięter.

Robak składa się tylko z jednego piętra.

Jednocześnie dolne i środkowe piętra człowieka odpowiadają, jeśli można tak powiedzieć, owcy i robakowi. Można zatem stwierdzić, że człowiek składa się z człowieka, owcy i robaka, a owca składa się z owcy i robaka. Człowiek jest istotą złożoną; poziom jego bycia zdeterminowany jest przez poziom bycia składających się nań istot. Owca i robak mogą odgrywać w człowieku mniejszą lub większą rolę. Tak więc w człowieku nr 1 największą rolę odgrywa robak; w człowieku nr 2 owca, a w człowieku nr 3 – człowiek. Jednakże definicje te mają znaczenie tylko w poszczególnych wypadkach. Generalnie "człowiek" zdeterminowany jest przez środek ciężkości środkowego piętra.

Środkiem ciężkości środkowego piętra człowieka jest wodór 96. Inteligencja wodoru 96 określa przeciętną inteligencję "człowieka", to znaczy fizycznego ciała człowieka. Środkiem ciężkości "ciała astralnego" będzie wodór 48. Środkiem ciężkości trzeciego ciała będzie wodór 24, a środkiem ciężkości czwartego ciała wodór 12.

Jeśli pamiętacie przedstawiony wcześniej wykres czterech ciał człowieka, na którym pokazane zostały "przeciętne wodory" ostatniego piętra, to łatwiej będzie wam zrozumieć, o czym teraz mówię.

G. narysował wykres:

48	24	12	6
96	48	24	12
192	96	48	24

Ilustracja 57

Środek ciężkości ostatniego piętra znajduje się tylko o jeden wodór wyżej niż środek ciężkości środkowego piętra. A środek ciężkości środkowego piętra znajduje się tylko o jeden wodór wyżej niż środek ciężkości dolnego piętra.

Ale, jak już powiedziałem, do ustalenia poziomu bycia za pomocą Tablicy Wodorów używa się zazwyczaj środkowego piętra.

Przyjmując to za punkt wyjścia, można na przykład rozwiązać następujące zagadnienie:

Zakładając, że Jezus Chrystus jest człowiekiem nr 8, ile razy jest on inteligentniejszy od stołu?

Stół nie ma pięter. Według trzeciej skali Tablicy Wodorów znajduje się on pomiędzy wodorem 1536 i wodorem 3072. Człowiek nr 8 jest wodorem 6. Jest to środek ciężkości środkowego piętra człowieka nr 8. Jeśli zdołamy obliczyć, ile razy wodór 6 jest inteligentniejszy od wodoru 1536, to dowiemy się, ile razy człowiek nr 8 jest inteligentniejszy od stołu. Trzeba tutaj jednak pamiętać, że "inteligencję" określa nie gęstość materii, lecz gęstość wibracji. A gęstość wibracji nie zwiększa się tak, jak w oktawach wodorów, czyli poprzez podwojenie, ale w zupełnie innym tempie, wielokrotnie przewyższającym to pierwsze.

Gdybyście znali dokładny współczynnik tego wzrostu, moglibyście wtedy rozwiązać to zagadnienie. Ja chcę jedynie pokazać, że niezależnie od tego, jak dziwne się ono wydaje, zagadnienie to można rozwiązać.

W związku z tym, co właśnie powiedziałem, konieczne jest, abyście zrozumieli zasady klasyfikacji i definiowania żywych istot z kosmicznego punktu widzenia, a więc z punktu widzenia ich kosmicznej egzystencji. Zwyczajna nauka przeprowadza klasyfikację według cech zewnętrznych – kości, zęby, funkcje, ssaki, kręgowce, gryzonie... itd. *W ścisłej wiedzy* klasyfikacja dokonywana jest według cech kosmicznych. I w praktyce istnieją ściśle określone cechy, jednakowe dla wszystkiego, co żyje, które pozwalają nam ustalić z jak największą dokładnością klasę i gatunek danego stworzenia, to znaczy jego miejsce w stosunku do innych stworzeń i jego miejsce we wszechświecie.

Te cechy są cechami bycia. Kosmiczny poziom bycia każdego żywego stworzenia określony jest przez:

- po pierwsze, to, co dane stworzenie je,
- po drugie, to, czym ono oddycha, i
- po trzecie, środowisko, w którym żyje.

Są to trzy kosmiczne cechy bycia.

Weźmy dla przykładu człowieka. Spożywa on wodór 768, oddycha wodorem 192 i żyje w wodorze 192. Na naszej planecie nie ma żadnej podobnej do niego istoty. Aczkolwiek istnieją istoty znajdujące się wyżej od człowieka. Zwierzęta, takie jak pies, *mogą* spożywać wodór 768, ale mogą też spożywać niższy wodór, nie 768, lecz bliski 1536, czyli pokarm nie nadający się dla człowieka. Pszczoła żywi się wodorem o wiele wyższym od 768, nawet wyższym niż 384, ale żyje ona w ulu, w

środowisku, w jakim człowiek nie byłby w stanie żyć. Z zewnętrznego punktu widzenia człowiek jest zwierzęciem, ale jest on zwierzęciem innego rzędu niż wszystkie pozostałe zwierzęta.

Weźmy inny przykład: molik mączny. Spożywa on mąkę, wodór o wiele grubszy niż wodór 768, gdyż robak ten może się żywić też zepsutą mąką. Przyjmujemy, że jest to także wodór 1536. Molik oddycha wodorem 192 i żyje w wodorze 1536.

Ryba spożywa wodór 1536, żyje w wodorze 384 i oddycha wodorem 192.

Drzewo żywi się wodorem 1536, oddycha częściowo wodorem 192 i częściowo wodorem 96, a żyje częściowo w wodorze 192 i częściowo w wodorze 3072 (w glebie).

Jeśli będziecie w dalszym ciągu stosować tę definicję, to zobaczycie, że ten tak prosty na pierwszy rzut oka plan pozwala na dokonanie najbardziej subtelnych rozróżnień pomiędzy różnymi klasami żywych istot, szczególnie jeśli pamiętamy, że wodory, w dotychczasowym ujęciu, czyli w oktawach – to pojęcia bardzo szerokie. Na przykład przyjęliśmy, że pies, ryba i molik mączny żywią się wodorem 1536, to znaczy substancjami pochodzenia organicznego, które nie nadają się pokarm dla człowieka. Jeśli teraz zdamy sobie sprawę, że te substancje mogą z kolei zostać podzielone na określone klasy, to ujrzymy możliwość sformułowania ścisłych definicji. Dokładnie to samo dzieje się z powietrzem i z danym środowiskiem.

Te kosmiczne cechy bycia są natychmiast odnoszone do przyjętej zgodnie z Tablicą Wodorów definicji inteligencji.

Inteligencję *materii* określa stworzenie, któremu może ona służyć pokarm. Na przykład, co z tego punktu widzenia będzie bardziej inteligentne: surowy czy upieczony ziemniak? Surowy ziemniak może służyć jako pokarm dla świń, a upieczony ziemniak jako pokarm dla człowieka. A zatem pieczony ziemniak jest bardziej inteligentny od surowego.

Jeśli te zasady klasyfikacji i definiowania rozumie się właściwy sposób, to wyjaśni to i pomoże zrozumieć wiele rzeczy. Żadna istota nie może z własnej woli zmieniać swojego pokarmu, powietrza, którym oddycha, ani środowiska, w którym żyje. Kosmiczny rząd każdego istnienia określa jego pokarm, jak również powietrze, którym oddycha, i środowisko, w którym żyje.

Kiedy mówiliśmy wcześniej o oktawach pokarmu w trzypiętrowej fabryce, widzieliśmy, że wszystkie subtelniejsze wodory, które potrzebne są do pracy, do wzrostu i do ewolucji organizmu, przygotowywane były z trzech rodzajów pokarmu, to znaczy z *pokarmu* w ścisłym tego słowa znaczeniu (rzeczy do jedzenia i do picia), z *powietrza*, którym oddychamy, i z *wrażień*. Przypuśćmy teraz, że moglibyśmy poprawić jakość pokarmu i powietrza i, powiedzmy, żywić się wodorem 38 (zamiast 768) i oddychać wodorem 96 (zamiast 192). O ileż prostsze i łatwiejsze byłoby wtedy przygotowanie w organizmie subtelniejszych materii. Ale cała rzecz w tym, że jest to niemożliwe. Organizm przystosowany jest do przekształcania *tych* właśnie grubych materii w materie subtelniejsze i jeśli dostarczycie mu zamiast materii grubych materie subtelne, to nie będzie on w stanie ich przekształcić i bardzo szybko umrze.

Nie można zmienić ani powietrza, ani pokarmu. Natomiast wrażenia, to znaczy jakość dostępnych człowiekowi wrażeń, nie podlegają żadnemu kosmicznemu prawu. Człowiek nie może ulepszyć swojego pokarmu i nie może ulepszyć powietrza. W tym wypadku *ulepszenie* byłoby w rzeczywistości *pogorszeniem*. Na przykład wodór 96 użyty zamiast wodoru 192 byłby albo bardzo rozrzedzonym powietrzem, albo gorącymi, żarzącymi się gazami, którymi człowiek w żaden sposób nie może oddychać; wodorem 96 jest *ogień*. Tak samo rzecz się ma z pokarmem. Wodór 384 jest wodą. Gdyby człowiek mógł ulepszyć swój pokarm, to znaczy uczynić go subtelniejszym, musiałby żywić się wodą i oddychać ogniem. Rzecz jasna jest to niemożliwe. Ale mimo że nie może on ulepszyć własnego pokarmu i powietrza, jednocześnie może on w znacznym stopniu ulepszyć swoje wrażenia, i w ten sposób wprowadzić do własnego organizmu subtelne wodory. Na tym właśnie opiera się możliwość ewolucji. Człowiek nie ma żadnego obowiązku żywić się nieciekawymi wrażeniami H48, lecz może mieć dostęp do H24, H12, H6, a nawet do H3. To zmienia cały obraz, i człowiek, który z wyższych wodorów pobiera pokarm dla górnego piętra swojej maszyny, z

pewnością będzie się różnił od człowieka, który żywi się niższymi wodorami.

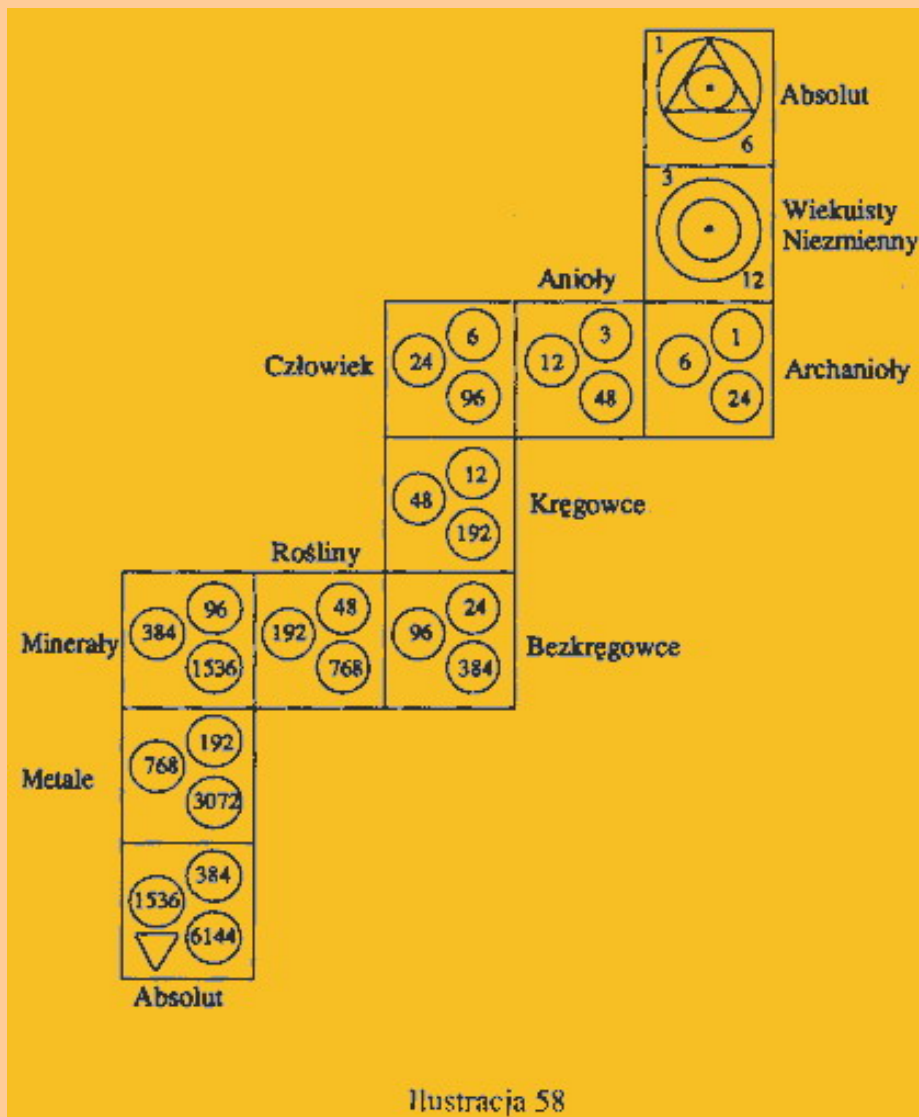
W jednej z kolejnych rozmów G. ponownie zajął się tematem klasyfikacji według cech kosmicznych.

– Istnieje jeszcze inna klasyfikacja – powiedział – którą także powinniście zrozumieć. Jest to klasyfikacja według zupełnie odmiennego, liczbowego stosunku oktaw. Pierwsza klasyfikacja, dokonana według kryterium pokarmu, powietrza i środowiska, odnosi się do istot takich jakie znamy, włączając w to rośliny, czyli do jednostek.

Inna klasyfikacja, o której będę teraz mówił, prowadzi nas daleko poza granicę tego, co nazywamy istotami żywymi – zarówno w górę, to znaczy powyżej istot żywych, jak i w dół, to znaczy poniżej istot żywych; zajmuje się ona nie poszczególnymi jednostkami, lecz klasami, w bardzo szerokim tego słowa znaczeniu. Klasyfikacja ta przede wszystkim ukazuje, że w przyrodzie nie ma żadnych przeskoków. W przyrodzie wszystko jest ze sobą powiązane i wszystko jest żywe. Wykres klasyfikacji nazywany jest "Wykresem Wszystkiego, co Żyje".

Zgodnie z tym wykresem, każde stworzenie, każdy poziom określony jest *przez to, co służy mu za pokarm, a także przez to, czemu ono samo służy za pokarm*, albowiem w kosmicznym porządku klasa stworzenia żywi się określoną klasą niższych stworzeń i stanowi pokarm dla określonej klasy wyższych stworzeń.

G. narysował wykres w formie drabiny z jedenastoma kwadratami. W każdym z kwadratów, z wyjątkiem dwóch najwyższych, umieścił trzy okręgi oznaczone numerami (ilustracja 58).



– Każdy kwadrat oznacza jeden poziom bycia – powiedział.

– Wodór znajdujący się w dolnym okręgu wskazuje, czym dane stworzenie się żywi. Wodór umieszczony w górnym okręgu wskazuje klasę, która żywi się danymi stworzeniami. Natomiast

wodór znajdujący się w środkowym okręgu jest "przeciętnym wodorem" danej klasy. Wskazuje on, czym są te stworzenia.

Człowiek zajmuje siódmy kwadrat od dołu czy też piąty od góry. Zgodnie z tym wykresem człowiek jest wodorem 24, żywi się wodorem 96, i sam stanowi pokarm dla wodoru 6. W kwadracie poniżej człowieka znajdują się kręgowce, a pod nimi bezkręgowce. Bezkręgowce są wodorem 96. Człowiek zatem żywi się bezkręgowcami.

Nie doszukujcie się w tym sprzeczności, lecz spróbujcie zrozumieć, co to może oznaczać. I analogicznie, nie porównujcie tego wykresu z innymi. Zgodnie z wykresem pokarmu, człowiek żywi się wodorem 768, a według tego wykresu wodorem 96. Dlaczego? Co to oznacza? Oba wykresy są prawidłowe. Później, kiedy to pojmiecie, będziecie mogli wszystko złożyć w jedni całość.

Posuwając się w dół: następny kwadrat to "rośliny". Kolejny – "minerały", a dalej "metale", które pośród minerałów stanowią oddzielną kosmiczną grupę. Ostatni kwadrat nie ma nazwy w naszym języku, ponieważ na powierzchni Ziemi nigdy nie spotykamy materii w takim stanie. Ten kwadrat ma związek z Absolutem. Jak pamiętacie, wcześniej mówiliśmy o Świętym Mocnym. To jest właśnie Święty Mocny.

Na dole ostatniego kwadratu G. umieścił mały trójkąt z wierzchołkiem skierowanym w dół.

– Z kolei po prawej stronie człowieka znajduje się kwadrat "3, 12, 48". Jest to nie znana nam klasa stworzeń. Nazwijmy je "aniołami". Następny kwadrat to "1, 6, 24"; te stworzenia nazwijmy "archaniołami".

W kolejnym kwadracie G. umieścił liczby 3 i 12 oraz dwa okręgi o wspólnym środku, zaznaczonym punktem. Kwadrat ten nazwał "Wiekuiстым Niezmiennym". W następnym kwadracie umieścił liczby 1 i 6, a w środku narysował okrąg opisany na trójkącie, w który z kolei wpisany był okrąg z zaznaczonym w środku punktem. Kwadrat ten nazwał "Absolutem".

– Wykres ten z początku będzie się wam wydawał mało zrozumiały – powiedział. – Ale stopniowo nauczycie się go rozszyfrowywać. Przy czym przez długi czas będziecie musieli zajmować się nim niezależnie od całej reszty.

W rzeczywistości było to wszystko, co usłyszałem od G. o tym dziwnym wykresie, który zdawał się podważać wiele z tego, co zostało przedtem powiedziane.

Rozmawiając na temat tego wykresu bardzo szybko postanowiliśmy przyjąć, że "anioły" to planety, a "archanioły" to słońca. Stopniowo też wyjaśniło się wiele innych rzeczy. Ale tym, co wywołało duży zamęt, było pojawienie się wodoru 6144. Wodoru tego nie było w poprzedniej skali wodorów, to znaczy w trzeciej skali, która kończyła się na wodrze 3072. Jednocześnie G. upierał się, aby oznaczyć wodory według trzeciej skali.

Dopiero dużo później zapytałem go, co to miało znaczyć.

– Jest to wodór niepełny – powiedział. – Wodór bez Ducha Świętego. Przynależy on do tej samej skali, czyli do skali trzeciej, ale jest nie dokończony.

Każdy skończony wodór składa się z węgla, tlenu i azotu. I tak ostatni wodór trzeciej skali, wodór 3072, składa się z węgla 512, tlenu 1536 i azotu 1024.

Z kolei azot w następnej triadzie staje się węglem, ale brakuje mu tlenu i azotu. A zatem dzięki kondensacji sam staje się wodorem 6144. *Ale jest to martwy wodór*, wodór nie mający możliwości dalszej przemiany; jest to wodór bez Ducha Świętego.

Była to ostatnia wizyta G. w Petersburgu. Próbowałem rozmawiać z nim o nadchodzących wydarzeniach. Ale nie powiedział nic konkretnego, na czym mógłbym oprzeć swoje działanie.

W związku z jego odjazdem miało miejsce bardzo interesujące wydarzenie. Zdarzyło się to na stacji kolejowej. Wszyscy poszliśmy odprowadzić go na Dworzec Nikołajewski. G. stał na peronie obok swego bagażu i rozmawiał z nami. Był to ten sam G., jakiego zawsze znaliśmy. Po drugim dzwonku wszedł do wagonu – jego przedział znajdował się tuż koło drzwi – i podszedł do okna.

To był inny człowiek! W oknie zobaczyliśmy innego człowieka, nie tego, który wsiadł do pociągu. W ciągu tych kilku sekund całkowicie się zmienił. Bardzo trudno jest opisać, na czym polegała ta różnica. Na peronie był zwykłym człowiekiem, takim jak wszyscy. Tymczasem z okna wagonu spoglądał na nas człowiek, którego każde spojrzenie i każdy ruch mówiły o wyjątkowej godności i wyjątkowym znaczeniu. Tak jakby nagle stał się rządzającym księciem albo przedstawicielem jakiegoś nieznanego królestwa, którego właśnie żegnamy przed odjazdem.

Niektórzy z naszej grupy niezbyt jasno zdawali sobie wtedy sprawę z tego, co się wydarzyło, ale czuli i w emocjonalny sposób doświadczyli czegoś, co wykraczało poza zwykły bieg życia. Wszystko to trwało zaledwie kilka sekund. Po drugim dzwonku prawie natychmiast zabrzmiał trzeci i pociąg ruszył.

Nie pamiętam już, kto pierwszy zaczął mówić o tej "transfiguracji" G., kiedy zostaliśmy sami. Okazało się, że wszyscy ją spostrzeżliśmy choć wtedy, gdy to się działo, nie wszyscy jednakowo zdawaliśmy sobie sprawę z tego, co to było. Ale wszyscy bez wyjątku czuliśmy w tym coś niezwykłego.

Wcześniej G. wyjaśnił nam, że jeśli ktoś opanuje sztukę "plastyki", to może zupełnie zmienić swój wygląd. Powiedział nam, że w ten sposób można stać się pięknym albo wstrętnym, można zwracać na siebie uwagę albo stać się *rzeczywiście niewidzialnym*.

Co to zatem było? Być może był to właśnie przykład "plastyki".

Ale historia na tym się nie kończy. W tym samym wagonie, co G., podróżował A. (dobrze znany dziennikarz), który został właśnie oddelegowany z Petersburga (działo się to przed samą rewolucją). My, którzy odprowadzaliśmy G., staliśmy przy jednym końcu wagonu, a przy drugim stała grupa odprowadzająca A.

Ja sam nie znałem A. osobiście, ale wśród odprowadzających go było kilku moich znajomych, a nawet kilku przyjaciół; dwóch czy trzech spośród nich brało udział w naszych spotkaniach i na peronie przechodzili oni od jednej grupy do drugiej.

Kilka dni później w gazecie, dla której pisywał A., zamieszczono artykuł zatytułowany "W drodze". A. opisywał w nim swoje myśli i wrażenia z podróży z Petersburga do Moskwy. Oto w tym samym wagonie jechał razem z nim dziwny człowiek o wschodnich rysach, który uderzającym spokojem i niezwykle godnym zachowaniem odróżniał się od wypełniającego wagon, hałaśliwego tłumu spekulantów. Tak jakby ludzie ci byli dla niego małymi muszkami, na które on spoglądał z niedostępnych wyżyn. A. uznał, że człowiek ów jest "królem ropy naftowej" z Baku, a kilka zamienionych z nim w rozmowie enigmatycznych zdań jeszcze bardziej umocniło go w przekonaniu, że ma przed sobą człowieka, którego fortuna pomnaża się w czasie snu i który z góry patrzy na ludzi zaprzątniętych walką o byt czy zdobywaniem pieniędzy.

– Mój towarzysz podróży – pisał A. – trzymał się na uboczu; był to Pers albo Tatar, milczący człowiek w drogiej, karakułowej czapce. Pod pachą trzymał francuską powieść. Pił herbatę, ostrożnie stawiając szklankę na małym stoliku przy oknie, by się ochłodziła. Od czasu do czasu z krańcową pogardą spoglądał na krzątanicę i zamęt robiony przez tych hałaśliwych, gestykulujących ludzi. A oni z kolei, jak mi się zdawało, patrzyli na niego z wielką uwagą, jeśli nie z pełnym szacunku lękiem. Najbardziej zainteresował mnie fakt, że wydawał się on tym samym południowym, bliskowschodnim typem, co reszta spekulantów, owe stado sępów lecących ku jakiejś padlinie. Miał śniadą cerę, czarne oczy i wąsy jak Zelim Chan... Dlaczego tak unikał i tak pogardzał swoim własnym ciałem i krwią? Na szczęście zaczął ze mną rozmawiać:

– Oni są bardzo zakłopotani – powiedział. Na jego nieruchomej i bladej twarzy, jak u człowieka Wschodu, z lekka uśmiechały się czarne oczy.

Po chwili milczenia zaczął mówić dalej:

– Tak, w obecnej chwili w Rosji sprytny człowiek na wielu rzeczach może zrobić duże pieniądze. – I po kolejnej chwili milczenia wyjaśnił:

– W końcu jest wojna. Każdy chce być milionerem.

W jego chłodnym i spokojnym tonie głosu wyczuwałem rodzaj fatalistycznego i bezlitosnego przechwalania się, graniczącego prawie z cynizmem. Bez ogródek zapytałem go:

– A Pan?

– Co? – odpowiedział.

– Czy pan nie chce zostać milionerem?

Odpowiedział niejasnym i lekko ironicznym gestem. Wydawało mi się, że nie usłyszał albo nie zrozumiał pytania, więc powtórzyłem:

– Czy pan też na tym nie zyskuje?

Niezwykłe spokojnie uśmiechnął się i z powagi odpowiedział:

– My zawsze zyskujemy. To nas nie dotyczy. Wojna czy pokój – dla nas to wszystko jedno. My zawsze zyskujemy.

– Czym zatem handlujecie?

– Energią słoneczną...

G. miał na myśli pracę ezoteryczną, "zdobywanie" poznania i tworzenie grup. Ale A. zrozumiał, iż mówi on o "ropie naftowej".

Ciekawa byłaby dłuższa rozmowa i bliższe zapoznanie się z psychologią człowieka, którego kapitał całkowicie zależy od porządku w układzie słonecznym, człowieka, którego nic nie wyprowadza z równowagi i którego zainteresowania dlatego właśnie daleko wykraczają poza problemy wojny i pokoju...

Na tym A. zakończył opis epizodu z "królem ropy naftowej".

Szczególnie zdziwiła nas "francuska powieść" w rękach G. Albo A., uzupełniając swoje wrażenia, wymyślił ją, albo G. rzeczywiście sprawił, że A. "zobaczył" – albo tylko wydało mu się, że zobaczył – francuską powieść w małym wydaniu, w żółtej (czy też nawet nie w żółtej) okładce. G. oczywiście nie czytał po francusku.

Po wyjeździe G. do Moskwy, w okresie przed rewolucją tylko raz czy dwa dotarły do nas wieści o nim.

Już dawno temu wszystkie moje plany poszły w rozsypkę. Nie udało mi się opublikować książek, które chciałem opublikować. Nie udało mi się przygotować niczego dla zagranicznych wydawnictw, choć od samego początku wojny wiedziałem, że moja praca literacka będzie musiała przenieść się za granicę. Przez ostatnie dwa lata cały swój czas poświęcałem na pracę z G., na jego grupy, rozmowy związane z pracą, podróże z Petersburga. Zupełnie zaniedbałem swoje własne sprawy.

Tymczasem atmosfera stawała się coraz bardziej ponura. Czulo się, że coś musi się zdarzyć, i to już wkrótce. I tylko ci, od których, jak się zdawało, zależał bieg wydarzeń, nie potrafili tego dostrzec ani poczuć. Byli jak marionetki, które nie potrafią pojąć sensu grożącego im niebezpieczeństwa i nie rozumieją tego, że ten sam sznurek, który powoduje, iż łotr z nożem w ręku wychodzi zza krzaka, zmusza je do tego, by się obróciły i spojrzały na Księżyc. Teatr marionetek działa w taki właśnie sposób.

W końcu wybuchła burza. Była to "wielka bezkrwawa rewolucja"... najbardziej absurdalne i bijące w oczy kłamstwo, jakie można wymyślić. Ale najbardziej niesamowity był fakt, że ludzie tkwiący w samym środku wydarzeń potrafili uwierzyć w to kłamstwo i mówić o "bezkrwawej rewolucji" w otoczeniu wszystkich, mających wówczas miejsce morderstw.

Pamiętam, że w tym czasie rozmawialiśmy o "mocy teorii". Ludzie, którzy oczekiwali rewolucji, którzy pokładali w niej wszystkie swoje nadzieje i którzy widzieli w niej drogę prowadzącą do uwolnienia się od czegoś, nie mogli i nie chcieli zobaczyć tego, co *naprawdę* się działo, i widzieli

tylko to, co według nich powinno się dziać.

Kiedy przeczytałem ulotkę (zadrukowaną z jednej tylko strony) z wiadomością o abdykacji Mikołaja II, poczułem, że tu właśnie leży środek ciężkości wszystkiego, co się dzieje.

– Iłowajski może wstać z grobu i dopisać na końcu swojej książki: "Marzec 1917 roku, koniec historii Rosji" – powiedziałem do siebie.

Nie żywiłem żadnych specjalnych uczuć dla dynastii, ale po prostu nie chciałem, tak jak robiło to wtedy wielu innych, oszukiwać samego siebie.

Zawsze interesowała mnie postać cara Mikołaja II; wydawał się on pod wieloma względami człowiekiem godnym uwagi; ale był zupełnie nie zrozumiany i sam siebie nie rozumiał. O tym, że miałem rację, świadczy zakończenie jego dziennika opublikowanego przez bolszewików, dotyczącego okresu, kiedy opuszczony i zdradzony przez wszystkich pokazał niezwykłą siłę, a nawet wielkość swojego umysłu.

Ale w końcu sprawa nie dotyczyła jego osoby, lecz zasady *jedności władzy* i odpowiedzialności wobec tej władzy, którą sobą reprezentował. Prawdą jest, że zasadę tę odrzucała znaczna część rosyjskiej inteligencji. Słowo "car" już dawno temu straciło dla ludzi jakiegokolwiek znaczenie. Słowo to jednak ciągle jeszcze miało bardzo duże znaczenie dla armii i dla biurokratycznej maszyny, która, choć bardzo niedoskonała, działała jednak i utrzymywała wszystko w kupie. "Car" był niezastąpioną i centralną częścią tej maszyny. Abdykacja cara w takim momencie musiała pociągnąć za sobą jej zniszczenie. *A my niczego innego nie mieliśmy*. Oślawiona "wzajemna pomoc społeczna", której stworzenie wymagało tylu poświęceń, okazała się, jak można było oczekiwać, błagą. Tworzenie czegoś na poczekaniu było niemożliwe. Wydarzenia toczyły się z zapierającą dech prędkością. Armia rozpadła się w ciągu kilku dni. Wojna w rzeczywistości już wcześniej dobiegła końca. Ale nowy rząd nie chciał uznać tego faktu. Zaczęto używać jakiegoś nowego kłamstwa. Jednakże najbardziej zadziwiło mnie to, że ludzie potrafili być z czegoś zadowoleni. Nie mówię tutaj o żołnierzach, którzy uciekli z baraków albo z pociągów, które wiozły ich na rzeź. Zadziwiła mnie nasza "inteligencja", która z "patriotów" natychmiast przemieniła się w "rewolucjonistów" i "socjalistów". Nawet *Nowe Czasy* stały się nagle gazetą socjalistyczną. A słynny Menszиков napisał pewien artykuł "O wolności", ale widać sam nie mógł go przełknąć i zrezygnował z niego.

Myślę, że było to gdzieś w tydzień po *rewolucji*, gdy w mieszkaniu Doktora S. udało mi się zgromadzić najaktywniejszych członków naszej grupy, którym przedstawiłem swoje poglądy na temat aktualnej sytuacji. Powiedziałem wtedy, że według mnie pozostawanie w Rosji nie ma żadnego sensu, że powinniśmy wyjechać za granicę i że najprawdopodobniej nastąpi teraz krótki okres względnego spokoju, po czym wszystko zacznie się rozpadać i walić; że w niczym nie będziemy mogli tutaj pomóc, a nasza własna praca okaże się niemożliwa.

Nie mogę powiedzieć, że moja idea spotkała się z aprobatą. Większość członków naszej grupy nie zdawała sobie sprawy z powagi sytuacji. Wydawało im się możliwe, że wszystko jeszcze się uspokoi i wróci do normy. Jeszcze inni ulegali tradycyjnemu złudzeniu, że wszystko, co się dzieje, dzieje się dla naszego dobra. Uważali, że przesadzam. W żadnym razie nie widzieli oni powodu do pośpiechu. Z kolei dla innych największa trudność polegała na tym, że nie mieliśmy żadnych wiadomości od G. i od dłuższego już czasu nic o nim nie słyszeliśmy. Od rozpoczęcia rewolucji dotarł do nas z Moskwy tylko jeden list, z którego można było wywnioskować, że G. dokądś wyjechał, ale nikt nie wiedział dokąd. Ostatecznie postanowiliśmy czekać.

W tym czasie istniały dwie grupy podstawowe, liczące razem około czterdziestu osób, a poza tym były także grupy dodatkowe, które zbierały się w nieregularnych odstępach czasu.

Wkrótce po spotkaniu w mieszkaniu Doktora S. otrzymałem pocztówkę od G., który napisał miesiąc wcześniej jadąc pociągiem z Moskwy na Kaukaz. Z powodu całego panującego bałaganu kartka ta do tej pory leżała na poczcie. Wynikało z niej jasno, że G. wyjechał z Moskwy przed rewolucją, a kiedy ją pisał, nic jeszcze nie wiedział o mających miejsce wydarzeniach. Napisał, że wybiera się do Aleksandropola. Prosił mnie, żebym do jego przyjazdu prowadził dalej pracę grup i obiecywał, że

wróci przed Wielkanocą.

Informacje te sprawiły, że stanąłem przed bardzo trudnym dylematem. Pozostanie w Rosji uważałem za bezsensowne i głupie. Jednocześnie nie chciałem wyjechać bez zgody G. lub, mówiąc szczerzej, bez niego. G. tymczasem pojechał na Kaukaz, a jego kartka napisana w lutym, to znaczy przed rewolucją, nie mogła mieć żadnego związku z obecną sytuacją. W końcu postanowiłem czekać, choć zdawałem sobie sprawę, że to, co było jeszcze możliwe dzisiaj, jutro może stać się już niemożliwe.

Nadeszła Wielkanoc. Nie mieliśmy żadnych wiadomości od G. W tydzień po Wielkanocy przyszedł telegram, w którym pisał, że przyjedzie w maju. Pierwszy "rząd tymczasowy" upadł. Coraz trudniej było wyjechać za granicę. Nasze grupy nadal się spotykały i oczekiwały na przyjazd G.

W naszych rozmowach często wracaliśmy do "wykresów", szczególnie kiedy musieliśmy rozmawiać z nowymi ludźmi. Przez cały czas wydawało mi się, że w tych "wykresach", które przekazał nam G., wiele rzeczy było nie dopowiedzianych, i często myślałem, że być może stopniowo, poprzez coraz wnikliwsze poznawanie "wykresów", zostanie nam objawione całe ich wewnętrzne znaczenie.

Pewnego razu przeglądałem, zrobione przeze mnie przed rokiem, notatki na temat "kosmosów". Napisałem wcześniej, że "kosmosy" interesowały mnie szczególnie, ponieważ całkowicie pokrywały się z "okresem wymiarów" z *Nowego Modelu Wszechświata*. Wspomniałem także o trudnościach, na które natrafiliśmy podczas prób zrozumienia "Mikrokosmosu" i "Tritokosmosu". Postanowiliśmy uznać "człowieka" za "Mikrokosmos", a *życie organiczne na Ziemi* za "Tritokosmos". W trakcie ostatniej naszej rozmowy G. milcząco na to przystał. Uwagi G. dotyczące różnego czasu w różnych kosmosach bardzo mnie zaintrygowały. Próbowałem sobie przypomnieć, co P. powiedział mi na temat "snu i jawy" oraz na temat "oddechu życia organicznego". Przez długi czas nic z tego nie potrafiłem zrozumieć. I wtedy przypomniałem sobie, jak G. mówił, że "czas jest oddechem".

– Co to jest oddech? – zapytałem siebie.

– Trzy sekundy. W normalnym stanie człowiek w ciągu minuty może wziąć dwadzieścia pełnych oddechów, to znaczy zrobić dwadzieścia wdechów i wydechów. Wynika z tego, że pełny oddech trwa około trzech sekund.

Dlaczego "sen i jawa" są oddechem życia organicznego? Co to jest sen i jawa?

Dla człowieka i dla wszystkich żyjących w podobnych warunkach, porównywalnych z nim organizmów, czyli nawet dla roślin – są to *dwadzieścia cztery godziny*. Jednocześnie sen i jawa są *oddechem*. Dla przykładu rośliny, kiedy śpią, to znaczy w nocy, wydychają, a gdy nie śpią, to znaczy w ciągu dnia, wdychają powietrze; i dokładnie w ten sam sposób u wszystkich ssaków, w tym także u człowieka, występuje różnica między przyswajaniem tlenu a wydalaniem dwutlenku węgla w nocy i w ciągu dnia, we śnie i na jawie.

Tak rozumując, w następujący sposób ustaliłem okresy trwania oddechu oraz snu i jawy:

<i>Mikrokosmos</i>	Oddech Sen i jawa	3 sekundy 24 godziny
<i>Tritokosmos</i>	Oddech Sen i jawa	24 godziny ?

TABLICA 5

Uzyskałem prostą "regułę trzech". Dzieląc 24 godziny przez 3 sekundy, otrzymałem 28 800. Dzieląc 28 800 (dni i nocy) przez 365 otrzymałem, z dokładnością do małego ułamka, 79 lat. To mnie zainteresowało. Kontynuując poprzednie rozumowanie doszedłem do tego, że siedemdziesiąt dziewięć lat stanowi sen i jawę "życia organicznego". Nie przychodziło mi na myśl nic takiego, czemu liczba ta mogłaby odpowiadać w życiu organicznym, natomiast reprezentowała ona długość życia człowieka.

– Czy nie można by pójść dalej w tym porównaniu? – zapytałem siebie samego. Otrzymane przeze mnie liczby zestawilem w następujący sposób:

<i>Mikrokosmos</i> Człowiek	<i>Tritokosmos</i> Życie organiczne	<i>Mezokosmos</i> Ziemia
Oddech: 3 sekundy Dzień i Noc: 24 godziny Życie: 79 lat	Oddech: 24 godziny Dzień i Noc: 79 lat	Oddech: 79 lat

TABLICA 6

79 lat nic nie znaczyło w życiu Ziemi. Pomnożyłem zatem 79 lat przez 28 800 i otrzymałem nieco mniej niż dwa i pół miliona lat. Mnożąc 2 500 000 – dla uproszczenia – przez 30 000, otrzymałem liczbę złożoną z jedenastu cyfr, 75 000 000 000 lat. Liczba ta powinna oznaczać długość życia Ziemi. Do tego miejsca liczby te wydawały się logicznie możliwe; dwa i pół miliona lat dla życia organicznego i siedemdziesiąt pięć miliardów lat dla Ziemi.

– Ale przecież istnieją też kosmosy podrzędne wobec człowieka powiedziałem do siebie. – Zobaczmy, w jakim stosunku będą się znajdowały do tej tablicy.

Postanowiłem zająć się dwoma kosmosami położonymi (na wykresie) *na lewo* od Mikrokosmosu, przyjmując, że pierwszy to stosunkowo duże, widoczne pod mikroskopem komórki, a drugi to najmniejsze (dopuszczalne) komórki, niemal niedostrzegalne.

Nie można powiedzieć, że taki podział komórek na dwie kategorie jest całkowicie uznawany przez naukę. Ale jeśli pomyślimy o wymiarach wewnątrz "mikroświata", to nie można nie zauważyć, że ów świat składa się z dwóch światów, tak różniących się od siebie, jak świat ludzi i świat względnie dużych mikroorganizmów oraz komórek.

Otrzymałem zatem następującą tablicę:

	Małe komórki	Duże komórki	<i>Mikrokosmos</i> (Człowiek)	Życie organiczne	Ziemia
Oddech	---	---	3 sek.	24 godz.	79 lat
Dzień i noc	---	3 sek.	24 godz.	79 lat	2,5 miliona lat
Życie	3 sek.	24 godz.	79 lat	2, 5 miliona lat	75 miliardów lat

TABLICA 7

Stawało się to coraz bardziej interesujące. Dwadzieścia cztery godziny stanowiły okres życia komórki. I choć nie można przyjąć, że jest to raz na zawsze ustalony okres życia pojedynczej komórki, wielu badaczy doszło do wniosku, że dla wyspecjalizowanej komórki, takiej jak komórka ludzkiego organizmu, okres życia wynosi *dokładnie 24 godziny*. "Dzień i noc" dużej komórki trwa 3 sekundy. Nic mi to nie mówiło. Ale 3 sekundy życia małej komórki mówiły mi bardzo wiele, a zwłaszcza wyjaśniały, dlaczego tak trudno jest te komórki zobaczyć, mimo że ze względu na ich rozmiary powinny być one widoczne pod dobrym mikroskopem.

Następnie chciałem zobaczyć, co otrzyma się, jeśli "oddech", to znaczy 3 sekundy, podzieli się przez 30 000. Uzyskałem *jedną dziesięciotysięczną sekundy*. Jest to okres trwania iskry elektrycznej i jednocześnie czas *trwania najkrótszego wrażenia wzrokowego*. Dla wygody przy obliczaniu i dla jasności, zamiast 28 800 przyjąłem 30 000. W ten sposób cztery okresy łączył ze sobą lub rozdzielał jeden i ten sam współczynnik: 30 000. Tymi okresami były: najkrótsze wrażenie wzrokowe, oddech lub czas trwania wdechu i wydechu, okres snu i jawy oraz przeciętna maksymalna długość życia. Jednocześnie każdy z tych okresów oznaczał odpowiadający mu, lecz niższy okres w wyższym kosmosie, a także odpowiadający mu wyższy okres w niższym kosmosie. Nie wyciągając na razie żadnych wniosków, spróbowałem ułożyć pełniejszą tablicę, to znaczy nanieść na nią wszystkie kosmosy i wprowadzić dodatkowo jeszcze dwa niższe. Pierwszy z nich nazwałem "molekułą", a drugą "elektronem". Z kolei przy mnożeniu przez 30 000, ponownie dla jasności wziąłem tylko zaokrąglone liczby i jedynie dwa współczynniki: 3 i 9. Przyjąłem zatem, że 2 500 000 to 3 000 000, 75 000 000 000 to 90 000 000 000; a 79 to 80 i tak dalej.

W ten sposób uzyskałem "tablicę czasu w różnych kosmosach" (Tablica 8).

	ELEK- TRON	MOLE- KUŁA	MAŁE KOMÓRKI	DUŻE KOMÓRKI	MIKRO- KOSMOS (Człowiek)	TRITO- KOSMOS	MEZO- KOSMOS	DEUTERO- KOSMOS	MAKRO- KOSMOS	AJO- KOSMOS	PROTO- KOSMOS
WRA- ŻENIA					1/10000 sekundy	3 sekundy	24 godziny	80 lat	3mln lat	90mln lat	3x10 ¹⁵ lat
ODDECH				1/10000 sekundy	3 sekundy	24 godziny	80 lat	3mln lat	90mln lat	3x10 ¹⁵ lat	9x10 ¹⁹ lat
DZIEŃ I NOC			1/10000 sekundy	3 sekundy	24 godziny	80 lat	3mln lat	90mln lat	3x10 ¹⁵ lat	9x10 ¹⁹ lat	3x10 ²³ lat
ŻYCIE	1/300mln sekundy	1/10000 sekundy	3 sekundy	24 godziny	80 lat	3mln lat	90mln lat	3x10 ¹⁵ lat	9x10 ¹⁹ lat	3x10 ²³ lat	9x10 ²⁸ lat

TABLICA 8

Tablica ta natychmiast nasunęła mi wiele myśli. Nie potrafiłem jeszcze stwierdzić, czy można było uznać ją za prawidłową, za taką, która dokładnie ustala relację między jednym kosmosem a drugim. Współczynnik 30 000 wydawał się zbyt duży. Ale jednocześnie pamiętałem, że stosunek jednego kosmosu do drugiego równał się stosunkowi "zera do nieskończoności". A przy takiej relacji żaden współczynnik nie mógł być zbyt duży. Stosunek "zera do nieskończoności" był stosunkiem wielkości przynależących do różnych wymiarów.

G. powiedział, że każdy kosmos był sam dla siebie trójwymiarowy. Oznaczało to, że kosmos znajdujący się nad nim był dla niego czterowymiarowy, a kosmos położony pod nim był dla niego dwuwymiarowy. Następny kosmos, leżący powyżej, był pięciowymiarowy, a kolejny poniżej – jednowymiarowy. Jeden kosmos w stosunku do drugiego stanowi wielkość o większej lub mniejszej liczbie wymiarów. Skoro jednak istnieje tylko sześć lub, uwzględniając zero, siedem wymiarów, otrzymamy tablicę zawierającą jedenaście kosmosów.

Na pierwszy rzut oka wydaje się to dziwne, ale tylko na pierwszy rzut oka, ponieważ z chwilą, gdy uwzględniłem czas istnienia któregośkolwiek z kosmosów w odniesieniu do wyższych kosmosów, niższe kosmosy zniknęły na długo przed osiągnięciem siódmego wymiaru.

Weźmy dla przykładu *człowieka* w relacji do *Słońca*. Jeśli przyjąć, że człowiek to pierwszy kosmos, to Słońce okazuje się w stosunku do niego czwartym kosmosem; jednakże osiemdziesiąt lat życia człowieka to dla Słońca tyle, co iskra elektryczna, czyli najkrótsze z możliwych wrażenie wzrokowe.

Próbowałem przypomnieć sobie wszystko to, co G. powiedział o kosmosach.

"Każdy kosmos jest ożywionym i inteligentnym istnieniem. Każdy kosmos rodzi się, żyje i umiera. Jeden kosmos nie pozwala zrozumieć wszystkich praw wszechświata, natomiast *trzy kosmosy zawierają wspólnie* wszystkie prawa wszechświata; innymi słowy, dwa kosmosy, ten znajdujący się powyżej i ten poniżej, określają kosmos położony pośrodku. Człowiek przechodzący w swojej świadomości na poziom wyższego kosmosu już przez sam ten fakt schodzi także na poziom kosmosu niższego".

Czułem, że w każdym słowie tkwił tutaj klucz do zrozumienia struktury świata. Tylko że tych kluczy było zbyt wiele, a ja nie wiedziałem, od którego zacząć.

W jaki sposób pojawia się ruch między kosmosami, a także gdzie i kiedy ten ruch zanika? Jaki byłby stosunek ustalonych w przybliżeniu danych liczbowych, które dotyczą ruchów kosmicznych – na przykład prędkości ruchu ciał niebieskich, prędkości ruchu elektronów w atomie, prędkości światła – do liczb, które odkryłem?

Porównując ze sobą ruchy różnych kosmosów uzyskałem bardzo uderzające korelacje. Dla przykładu: okres obrotu Ziemi wokół własnej osi wynosił dla niej jedni dziesięcioletnią sekundę, to znaczy równał się czasowi trwania jednej iskry elektrycznej. Wątpię, żeby przy takiej szybkości Ziemia mogła zauważać swój obrót dokoła własnej osi. Jeśli wyobrazimy sobie człowieka krążącego z taką samą szybkością dokoła Słońca, to obrót ten będzie trwał około jednej dwudziestej piątej sekundy, to znaczy tyle, co zdjęcie migawkowe. A zważywszy na fakt, że Ziemia musi w tym czasie pokonać olbrzymi dystans, nasuwa się nieunikniony wniosek, że Ziemia nie może być siebie świadoma w taki sposób, w jaki my ją znamy, to znaczy w postaci kuli, ale musi mieć świadomość

siebie jako *pierścienia*, czy też *długiej spirali* pierścieni. To ostatnie wydawało się bardziej prawdopodobne przy założeniu, że *teraźniejszość* jest czasem jednego oddechu. Była to pierwsza myśl, która przyszła mi do głowy, kiedy rok wcześniej, po pierwszym wykładzie na temat kosmosów G. przedstawił ideę, że *czas jest oddechem*. Pomyślałem wtedy, że być może chodzi mu o to, że oddech jest jednostką czasu, czyli, że w bezpośrednim doznaniu okres trwania oddechu odczuwany jest jako *teraźniejszość*. Wychodząc od tego i jednocześnie zakładając, że doznawanie siebie, to znaczy własnego ciała, związane jest z doznawaniem teraźniejszości, doszedłem do wniosku, że dla Ziemi – przyjmując, że jeden oddech trwa osiemdziesiąt lat – doznanie samej siebie powinno odpowiadać osiemdziesięciu pierścieniom spirali.

Otrzymałem zatem zupełnie nieoczekiwane potwierdzenie wszystkich wniosków i konkluzji zawartych w moim *Nowym Modelu Wszechświata*.

Przechodząc do niższych kosmosów, to znaczy do kosmosów, które na mojej tablicy znajdowały się *na lewo* od człowieka, już w pierwszym z nich znalazłem od razu wyjaśnienie tego, co w pracy naszego organizmu zawsze wydawało mi się najbardziej zagadkowe i niewytłumaczalne, a mianowicie wyjaśnienie zadziwiającej, niemal "błyskawicznej" prędkości wielu procesów wewnętrznych. Nieprzywiązywanie do tego faktu odpowiedniej wagi zawsze uważałem za swego rodzaju szarlatanstwo ze strony fizjologów. Nauka oczywiście wyjaśnia tylko to, co może wytłumaczyć. W tym jednak wypadku, według mnie, nie powinna ukrywać ani pomijać tego faktu, tak jakby wcale nie istniał, ale przeciwnie powinna nieustannie zwracać na niego uwagę i odnotowywać go przy każdej nadarzającej się sposobności.

Człowieka, który nie zastanawia się nad zagadnieniami fizjologii, może nie zdziwi fakt, że wypicie kubka mocnej kawy, kieliszka koniaku czy wdychanie dymu z papierosa jest natychmiast odczuwane w całym ciele i zmienia wszystkie wewnętrzne korelacje sił oraz formę i charakter reakcji; natomiast dla fizjologa powinno być jasne, że w tym całkiem niepostrzegalnym czasie, równym w przybliżeniu jednemu oddechowi w organizmie, dokonuje się długa seria skomplikowanych procesów chemicznych, a także innych procesów. Pojawiająca się w organizmie substancja jest ostrożnie analizowana; najmniejsze odchylenie od normy zostaje natychmiast zauważone. W tym procesie analizy substancja przechodzi przez cały szereg laboratoriów; zostaje rozłożona na czynniki pierwsze, następnie zmieszana z innymi substancjami i w postaci mieszanki dodana do paliwa, które napędza różne ośrodki nerwowe. Wszystko to musi zajmować mnóstwo czasu, ale jeśli weźmiemy pod uwagę, jak krótkie – według naszych norm czasu – są sekundy, w których się to dokonuje, wszystko staje się zupełnie fantastyczne i cudowne. Jednakże cała ta fantastyczna strona znika, gdy zdamy sobie sprawę, że dla dużych komórek, które bez wątplenia rządzą życiem organizmu, jeden nasz oddech trwa ponad *dwadzieścia cztery godziny*. Można sobie wyobrazić, że w ten uporządkowany sposób wszystkie wymienione procesy dokonują się w ciągu dwudziestu czterech godzin, a nawet w połowie lub w jednej trzeciej tego czasu, to znaczy w ciągu ośmiu godzin (równych jednej sekundzie), zupełnie tak, jakby przeprowadzano je w dużej, dobrze zorganizowanej "fabryce chemicznej" o wielu rozmaitych laboratoriach.

Przechodząc następnie do kosmosu małych komórek, który znajduje się na granicy lub też poza granicą widzialności mikroskopowej, ponownie znalazłem wyjaśnienie tego, co zdawało się niewytłumaczalne. Oto przykład: wypadki nieomal natychmiastowego zarażania się chorobami epidemicznymi czy zakaźnymi, szczególnie wtedy, gdy nie można ustalić przyczyn zakażenia. Jeśli dla tego rodzaju małej komórki trzy sekundy stanowią granicę długości życia i porównywalne są z długim życiem człowieka, to jakaż jest prędkość ich rozmnażania się, skoro piętnaście sekund równa się dla nich czterem stuleciom!

Przechodząc z kolei do świata molekuł, przede wszystkim zetknąłem się z faktem, że krótkotrwałość istnienia molekuł jest ideą niemal zaskakującą. Zazwyczaj przypuszcza się, że molekuła, choć strukturalnie bardzo skomplikowana, jest podstawowym, jeśli można tak powiedzieć, *żywym wnętrzem* pierwiastków, z których składa się materia, i że istnieje ona dopóty, dopóki istnieje sama materia. Musimy teraz rozstać się z tą przyjemną i uspokajającą myślą. Molekuła, która jest w *środku żywa*, nie może być na *zewnątrz martwa*; musi tak samo, jak wszystko, co żywe rodzić się,

żyć i umierać. Czas trwania jej życia, równy iskrze elektrycznej lub jednej dziesięciotysięcznej sekundy, jest zbyt krótki, by mógł oddziaływać na naszą wyobraźnię. By to zrozumieć, musimy odwołać się do jakiegoś porównania, do jakiejś analogii. Fakt, że komórki naszego organizmu umierają i są zastępowane nowymi komórkami, być może przybliży nam tę ideę. Materia nieożywiona, żelazo, miedź, granit – musi *od wewnątrz* odnawiać się o wiele szybciej niż nasz własny organizm. W rzeczywistości zmienia się ona na naszych oczach. Jeśli patrząc na kamień, zamkniesz oczy i natychmiast je otworzysz, to nie będzie to już ten sam kamień, który widziałeś przed chwilą; nie pozostała w nim żadna z molekuł, które widziałeś za pierwszym razem. A nawet wówczas nie widziałeś samych molekuł, lecz jedynie ich ślady. Ponownie doszedłem tutaj do *Nowego Modelu Wszechświata*. Wyjaśniło mi to także, "dlaczego nie możemy widzieć molekuł", czym zajmowałem się w drugim rozdziale mojej książki.

Co się tyczy ostatniego kosmosu, czyli świata elektronu, to od samego początku czułem, że mam do czynienia ze światem o sześciu wymiarach. Zadałem sobie pytanie, czy nie można by dopracować kwestii wzajemnej relacji między wymiarami. Uznanie elektronu za ciało trójwymiarowe jest zdecydowanie niezadowolające. Zaczniemy od tego, że istnieje on przez jedną, trzystumilionową sekundę. Wielkość ta dalece wykracza poza granice naszej wyobraźni. Uważa się, że wewnątrz atomu elektron krąży po swojej orbicie w czasie wyrażanym ułamkiem, którego licznikiem jest jeden, a mianownikiem liczba piętnastocyfrowa. A ponieważ całe życie elektronu równa się części sekundy wyrażanej cyfrą jeden podzieloną przez pewną liczbę dziewięciocyfrową, przeto liczba okrążeń, które elektron wykonuje wokół własnego "słońca" w czasie swojego życia, da się przedstawić w postaci liczby sześciocyfrowej lub, jeśli uwzględnimy mnożnik, siedmiocyfrowej.

Jeśli wyobrazimy sobie Ziemię krążącą dokoła Słońca, to zgodnie z moją tablicą, liczba wykonywanych przez nią w ciągu życia okrążeń wokół Słońca wyraża się liczbą jedenastocyfrową. Wydaje się, że różnica pomiędzy siedmio- i jedenastocyfrową liczbą jest olbrzymia; ale jeśli porównamy elektron z Neptunem zamiast z Ziemią, to różnica ta będzie znacznie mniejsza; będzie to różnica między liczbą siedmio- i dziewięciocyfrową, to znaczy różnica dwóch cyfr, a nie czterech. A poza tym prędkość obiegu elektronu w atomie jest wielkości bardzo przybliżoną. Trzeba pamiętać, że różnica w okresach obiegu planet dokoła Słońca w naszym systemie to liczba trzycyfrowa, ponieważ Merkury krąży 460 razy szybciej niż Neptun.

Możemy zatem w następujący sposób przedstawić relację między życiem elektronu a naszym postrzeganiem. Nasza najszybsza percepcja wzrokowa równa się 1/10 000 sekundy. Czas istnienia elektronu wynosi 1/30 000 część 1/10 000 sekundy, czyli 1/300 000 000 sekundy, w trakcie której elektron wykonuje siedem milionów okrążeń dokoła protonu. Jeśli zatem zobaczylibyśmy elektron jako błysk trwający 1/10 000 sekundy, to nie widzielibyśmy elektronu w ścisłym tego słowa znaczeniu, lecz jego *ślad*, składający się z siedmiu milionów okrążeń pomnożonych przez trzydzieści tysięcy, to znaczy spiralę z trzynastocyfrową liczbą pierścieni, czy też, używając języka z *Nowego Modelu Wszechświata*, trzydzieści tysięcy powrotów elektronu w wieczności.

Zgodnie z otrzymaną przeze mnie tablicą, czas bez wątplenia wykraczał poza cztery wymiary. Byłem ciekaw, czy nie można by do tej tablicy zastosować równania Minkowskiego: $\sqrt{-1}$ *ct*, uznając czas za czwartą "współrzędną" świata. Według mnie "świat" Minkowskiego odpowiadał dokładnie każdemu z kosmosów. Postanowiłem zacząć od "świata elektronów" i za *t* uznać czas trwania życia elektronu. Było to zbieżne z jedną z tez zawartych w *Nowym Modelu Wszechświata*, z tą mianowicie, że *czas jest życiem*. W wyniku powinniśmy otrzymać odległość (w kilometrach), jaką przebywa światło podczas życia elektronu.

W następnym kosmosie powinniśmy otrzymać odległość, jaką przebywa światło w ciągu życia molekuły, w kolejnym – w ciągu życia małej komórki, następnie podczas życia dużej komórki, a dalej podczas życia człowieka itd. Dla wszystkich kosmosów powinno się uzyskać wyniki w miarach liniowych, to znaczy powinny być one wyrażane w ułamkach kilometra lub w kilometrach.

Pomnożenie liczby kilometrów przez $\sqrt{-1}$, czyli przez pierwiastek z minus jednego, powinno ukazać, że nie mamy do czynienia z miarami liniowymi i że otrzymana liczba jest *miarą czasu*.

Wprowadzenie do tego wzoru pierwiastka z minus jednego nie zmienia go liczbowo, a przy tym

pokazuje, że cały wzór odnosi się do innego wymiaru.

W ten sposób wzór Minkowskiego przybiera następującą postać w odniesieniu do kosmosu elektronów:

$$\sqrt{-1 \times 3\,000\,000 \times 3 \times 10^{-7}}$$

Oznacza to, że pierwiastek z minus jednego, należy pomnożyć przez 300 000 (to jest c , czyli prędkość światła, 300 000 kilometrów na sekundę) i przez $1/300\,000\,000$ sekundy, to jest czas życia elektronu. Mnożąc 300 000 przez $1/300\,000\,000$ otrzymamy $1/1000$ kilometra, czyli jeden metr.

"Jeden metr" stanowi odległość pokonywaną przez światło w ciągu życia elektronu przy prędkości 300 000 kilometrów na sekundę. Pierwiastek z minus jednego, który powoduje, że "jeden metr" staje się wielkością urojoną, oznacza, że w tym wypadku miara liniowa jednego metra jest "miarą czasu", czyli czwartą współrzędną.

Jeśli chodzi o "świat molekuł", to wzór Minkowskiego przedstawia się następująco:

$$\sqrt{-1 \times 3000\,000 \times 1 / 10\,000}$$

Zgodnie z tablicą, życie molekuly trwa jedną dziesięciotysięczną sekundy. Mnożąc 300 000 kilometrów przez $1/10\,000$ otrzymamy 30 kilometrów. "Czas" w świecie molekuł obliczamy ze wzoru:

$\sqrt{-1 \times 30}$. Trzydzieści kilometrów stanowi odległość, którą przebywa światło w ciągu życia molekuly, to znaczy w ciągu $1/10\,000$ sekundy.

W "świecie małych komórek" wzór Minkowskiego przedstawia się następująco:

$$\sqrt{-1 \times 3\,000\,000 \times 3}$$
 albo

$$\sqrt{-1 \times 9\,000\,000}$$

Oznacza to: 900 000 kilometrów pomnożonych przez pierwiastek z minus jednego. 900 000 kilometrów równa się odległości, którą przebywa światło w ciągu życia małej komórki, czyli w ciągu 3 sekund.

Dokonując podobnych obliczeń dla kolejnych kosmosów, uzyskałem dla "dużych komórek" liczbę jedenastocyfrową, stanowiącą odległość, którą światło przebywa w ciągu 24 godzin. Dla "Mikrokosmosu" uzyskałem liczbę szesnastocyfrową stanowiącą odległość w kilometrach przebywaną przez światło w ciągu 80 lat; dla "Tritokosmosu" uzyskałem liczbę dwudziestocyfrową; dla "Mezokosmosu" liczbę dwudziestopięciocyfrową; dla "Deuterokosmosu" liczbę dwudziestodwucyfrową; dla "Makrokosmosu" liczbę trzydziestoczwycyfrową; dla "Ajokosmosu" liczbę trzydziestośmiocyfrową; dla "Protokosmosu" liczbę czterdziestodwucyfrową, to jest $\sqrt{-1 \times 9 \times 10^{41}}$. Innymi słowy, oznacza to, że w ciągu życia "Protokosmosu" promień światła przebywa 900 000 000 000 000 000 000 000 000 000 000 000 000 000 kilometrów.

Zastosowanie wzoru Minkowskiego do otrzymanej przeze mnie tablicy czasu, moim zdaniem wskazywało bardzo wyraźnie, że "czwartą współrzędną" można ustalić za każdym razem tylko dla jednego kosmosu. Kosmos ten staje się wtedy "czterowymiarowym światem" Minkowskiego. Dwóch, trzech albo większej liczby kosmosów nie można uznać za "świat czterowymiarowy" i do ich opisania potrzeba pięciu albo sześciu współrzędnych. Co się zaś tyczy wszystkich kosmosów, to wzór Minkowskiego wskazuje na zależność występującą pomiędzy czwartą współrzędną jednego kosmosu a czwartą współrzędną innego kosmosu. Zależność ta, innymi słowy, stosunek między czterema głównymi okresami każdego kosmosu, jak również między jednym okresem jednego kosmosu a odpowiadającym mu, czyli podobnie nazwanym okresem innego kosmosu wynosi trzydzieści tysięcy.

$$\text{Świat elektronów } \sqrt{-1 \times ct} = \sqrt{-1 \times 300\,000 \times 1/300\,000\,000} = \sqrt{-1 \times 1/1000}$$

$$\text{Świat molekuł } \sqrt{-1 \times ct} = \sqrt{-1 \times 300\,000 \times 1/10\,000} = \sqrt{-1 \times 30}$$

$$\text{Świat małych komórek } \sqrt{-1 \times ct} = \sqrt{-1 \times 300\,000 \times 3} = \sqrt{-1 \times 9 \times 10^5}$$

Świat dużych komórek $\sqrt{-1} \times ct = \sqrt{-1} \times 300\,000 \times 30\,000 = \sqrt{-1} \times 3 \times 10^{10}$

Mikrokosmos (człowiek) $\sqrt{-1} \times ct = \sqrt{-1} \times 300\,000 \times 3 \times 10^9 = \sqrt{-1} \times 9 \times 10^{14}$

Tritokosmos (życie organiczne) $\sqrt{-1} \times ct = \sqrt{-1} \times 300\,000 \times 9 \times 10^{13} = \sqrt{-1} \times 3 \times 10^{19}$

Mezokosmos (planety) $\sqrt{-1} \times ct = \sqrt{-1} \times 300\,000 \times 3 \times 10^{18} = \sqrt{-1} \times 9 \times 10^{23}$

Deuterokosmos (słońce) $\sqrt{-1} \times ct = \sqrt{-1} \times 300\,000 \times 9 \times 10^{22} = \sqrt{-1} \times 3 \times 10^{28}$

Makrokosmos (Droga Mleczna) $\sqrt{-1} \times ct = \sqrt{-1} \times 300\,000 \times 3 \times 10^{27} = \sqrt{-1} \times 9 \times 10^{32}$

Ajokosmos (wszystkie światy) $\sqrt{-1} \times ct = \sqrt{-1} \times 300\,000 \times 9 \times 10^{31} = \sqrt{-1} \times 3 \times 10^{37}$

Protokosmos (Absolut) $\sqrt{-1} \times ct = \sqrt{-1} \times 300\,000 \times 3 \times 10^{36} = \sqrt{-1} \times 3 \times 10^{41}$

TABLICA 9

Następną rzeczą, która mnie zaciekała w tej, jak ją nazywałem, "tablicy czasu w różnych kosmosach", był stosunek kosmosów i czasu w różnych kosmosach do centrów ludzkiego ciała.

G. wielokrotnie wspominał o olbrzymiej różnicy w prędkości działania różnych centrów. Przytoczone wcześniej rozumowanie dotyczące prędkości wewnętrznej pracy organizmu nasunęło mi przypuszczenie, że prędkość ta przynależy do *centrum instynktowego*. Uznając to za podstawę, zająłem się najpierw centrum myślowym, za jednostkę jego pracy przyjmując, na przykład, czas potrzebny na jedno pełne postrzeżenie, a więc na odebranie, zaklasyfikowanie i identyfikację zewnętrznego wrażenia – tudzież na odpowiednią reakcję.

Zakładając następnie, że centra rzeczywiście znajdują się w takim samym stosunku do siebie, jak kosmosy, można by rzec, iż w dokładnie tym samym czasie przez centrum instynktowe może przebiegać trzydzieści tysięcy postrzeżeń, przez wyższe centrum emocjonalne i przez centrum seksualne trzydzieści tysięcy postrzeżeń do potęgi drugiej, a przez wyższe centrum myślowe trzydzieści tysięcy postrzeżeń do potęgi trzeciej.

Jednocześnie, zgodnie z przedstawionym przez G. prawem wzajemnej relacji między kosmosami, centrum instynktowe powinno w odniesieniu do głowy, czy też centrum myślowego, obejmować *dwa kosmosy*, a więc drugi Mikrokosmos i Tritokosmos. Z kolei wyższe centrum emocjonalne i centrum seksualne powinny, każde z osobna, obejmować trzeci Mikrokosmos i Mezokosmos. I wreszcie wyższe centrum myślowe powinno obejmować czwarty Mikrokosmos i Deuterokosmos.

Jednakże to ostatnie centrum odnosi się do wyższego rozwoju, to znaczy do takiego rozwoju człowieka, którego nie osiąga się ani przez przypadek, ani w naturalny sposób. U człowieka w normalnym stanie centrum seksualne powinno mieć ogromną przewagę nad wszystkimi pozostałymi centrami ze względu na prędkość pracy. Pracuje ono 30 000 razy szybciej od centrum instynktowego i ruchowego oraz 30002 razy szybciej niż centrum intelektualne.

Mówiąc ogólnie, z mojego punktu widzenia otworzyło się tutaj bardzo wiele możliwości badania wzajemnej zależności między centrami a kosmosami.

Następnie zwróciłem uwagę na fakt, że moja tablica była zbieżna z niektórymi ideami, a nawet, jeśli można tak powiedzieć, wynikami "kosmicznych obliczeń czasu", które odnajdujemy u gnostyków i w Indiach.

Dzień światła jest tysiącem lat świata, a trzydzieści sześć miriad lat i pół miriady lat świata (365 000) są tylko jednym rokiem Światła.

W tym wypadku nie występuje zbieżność liczb, ale w tekstach indyjskich w niektórych wypadkach zgodność ta nie ulegała wątpliwości. Mówi się tam o "oddechu Brahmy", o "dniach i nocach Brahmy", o "wieku Brahmy".

Jeśli przyjrzymy się liczbom podanym w tekstach indyjskich, zobaczymy, że Mahamanwantara, czyli "wiek Brahmy", inaczej 311 040 000 000 000 lat (liczba piętnastocyfrowa) niemal się pokrywa z

okresem istnienia *Słońca* (liczba szesnastocyfrowa), a "dzień i noc Brahmy" 8 640 000 000 lat (liczba dziesięciocyfrowa), prawie się pokrywa z "dniem i nocą Słońca" (liczba jedenastocyfrowa).

Jeśli zajmiemy się, z pominięciem liczb, indyjskimi ideami czasu kosmicznego, to pojawią się także inne interesujące zbieżności. Jeśli zatem uznamy Brahme za Protokosmos, to wyrażenie "Brahma wdycha i wydycha wszechświat" zgodne jest z tablicą, ponieważ oddech Brahmy (czy też Protokosmos – liczba dwudziestocyfrowa) pokrywa się z życiem Makrokosmosu, to znaczy naszego widzialnego wszechświata lub świata gwiazdnego.

Dużo rozmawiałem z Z. o "tablicy czasu" i byliśmy bardzo ciekawi, co powie o niej G., gdy go zobaczymy.

Tymczasem mijały miesiące. W końcu – było to już na początku czerwca – otrzymałem telegram z Aleksandropola: "Jeśli chcesz odpocząć, przyjedź tutaj do mnie". To był cały G.!

Dwa dni później wyjechałem z Petersburga. Rosja "bez przedstawicieli władzy", reprezentowała bardzo ciekawe widowisko. Wydawało się, że wszystko istnieje i trzyma się w kupie tylko siłą rozpędu. Ale pociągi cały czas kursowały regularnie, a na dworcach kontrolerzy wyrzucali z wagonów oburzony tłum pasażerów bez biletów. Podróż do Tyflisu zajęła mi pięć dni zamiast trzech.

Pociąg przyjechał do Tyflisu w nocy. Chodzenie po mieście było niemożliwe. Musiałem przeczekać do rana w bufecie dworcowym. Cały dworzec wypełniony był żołnierzami, którzy na własną rękę wrócili z frontu kaukaskiego. Wielu z nich było pijanych. Przez całą noc na peronie widocznym z okien bufetu odbywały się "spotkania", podczas których podejmowano jakieś decyzje. W trakcie tych spotkań odbyły się trzy "sądy wojenne" i trzy osoby zostały zastrzelone na peronie. Pijany "towarzysz", który pojawił się w bufecie, wytłumaczył wszystkim, że pierwszy człowiek został zastrzelony za kradzież. Drugiego zastrzelono przez pomyłkę, ponieważ wzięto go za pierwszego; trzeciego też zastrzelono przez pomyłkę, bo wzięto go za drugiego.

Musiałem spędzić jeden dzień w Tyflisie. Pociąg do Aleksandropola odchodził dopiero wieczorem. Przyjechałem tam następnego dnia rano. G. zastałem przy instalowaniu prądnicy dla brata.

I znów miałem okazję zaobserwować jego godną podziwu zdolność dostosowywania się do wszelkiego rodzaju pracy, wszelkiego rodzaju przedsięwzięć.

Poznałem jego rodzinę, jego ojca i matkę. Byli to ludzie należący do bardzo starej i bardzo szczególnej kultury. Ojciec G. był miłośnikiem miejscowych opowiadań, legend i tradycji, kimś w rodzaju "barda"; znał na pamięć tysiące wierszy w lokalnych dialektach. Rodzice G. byli Grekami pochodzącymi z Azji Mniejszej, ale w domu, jak zresztą wszędzie w Aleksandropolu, mówiono po ormiańsku.

Przez kilka pierwszych dni po moim przyjeździe G. był tak bardzo zajęty, że nie miałem nawet okazji go zapytać, co myśli o ogólnej sytuacji, lub też, co ma zamiar zrobić. Ale kiedy w końcu znalazłem sposobność, by z nim o tym porozmawiać, G. powiedział mi, że się ze mną nie zgadza, że według niego wszystko wkrótce się uspokoi, że będziemy nadal mogli pracować w Rosji. Potem dodał, że w każdym razie chce pojechać do Petersburga, by zobaczyć Newski ze straganiarzami sprzedającymi nasiona słonecznika – o których mu opowiadałem – i na miejscu zdecydować, co najlepiej będzie zrobić. Nie mogłem traktować serio tego, co powiedział. Znałem już wtedy jego sposób mówienia i czekałem, co nastąpi potem.

I rzeczywiście: z pozoru mówił o tym z całą powagą, a jednocześnie powiedział coś całkiem odmiennego, to mianowicie, że byłoby dobrze wyjechać do Persji albo nawet dalej, że zna takie miejsce na Zakaukaziu, gdzie można by żyć przez kilka lat i nikt by o tym nie wiedział.

Wszystko to pozostawiło we mnie uczucie niepewności, ale jednocześnie miałem nadzieję, że w drodze do Petersburga uda mi się go nakłonić do wyjazdu za granicę, gdyby to jeszcze było możliwe.

G. wyraźnie na coś czekał. Prądnica działała bez zarzutu, ale my wciąż nie ruszaliśmy się z miejsca. W domu znajdował się interesujący portret G., który dużo mi o nim powiedział. Był to duży,

powiększony portret całkiem jeszcze młodego G., ubranego w czarny surdut, z kręconymi włosami zaczesanymi do tyłu. Portret G. pozwolił mi z całkowitą pewnością określić, jaki był wówczas jego zawód (choć sam G. nigdy o tym nie wspominał). Odkrycie to nasunęło mi wiele ciekawych myśli. Ale ponieważ było to moje osobiste odkrycie, zachowam je dla siebie.

Kilka razy próbowałem rozmawiać z G. o mojej "tablicy czasu w różnych kosmosach", ale on unikał wszelkich teoretycznych rozmów.

Bardzo polubiłem Aleksandropol. W tym mieście było coś szczególnego i oryginalnego. Wygląd jego ormiańskiej części przywoływał na myśl miasta z Egiptu lub z północnych Indii. Domy pokryte były płaskimi, porośniętymi trawą dachami. Znajdował się tam bardzo stary ormiański cmentarz, położony na wzgórzu. Można było stamtąd zobaczyć pokryty śniegiem szczyt góry Ararat. W jednym z ormiańskich kościołów znajdował się też cudowny obraz Madonny. Samo centrum miasta przypominało rosyjskie miasteczko, ale zaraz obok niego znajdował się bazar, całkowicie wschodni z wyglądu (zwłaszcza ta jego część, gdzie kotlarze pracowali w odkrytych stoiskach). Była tam też zewnętrznie najmniej interesująca – dzielnica grecka, w której znajdował się dom G., a także rozsiane po wąwozach tatarskie przedmieście, bardzo malownicze, ale według tych, którzy mieszkali w innych częściach miasta, raczej niebezpieczne miejsce.

Nie wiem, co pozostało z Aleksandropola po utworzeniu tych wszystkich okręgów autonomicznych, republik, federacji itd. Myślę, że można ręczyć tylko za widok na górę Ararat.

Prawie nigdy nie przebywałem z G. sam na sam i tylko rzadko udawało mi się z nim rozmawiać. Bardzo dużo czasu spędzał ze swoimi rodzicami. Bardzo podobał mi się jego pełen szacunku stosunek do ojca. Ojciec G. był krzepkim, starszym mężczyzną średniego wzrostu, z nieodłączną fajką i karakułową czapką. Trudno było uwierzyć, że miał już ponad osiemdziesiąt lat. Mówił bardzo słabo po rosyjsku. Ale z G. rozmawiał godzinami, i zawsze bardzo lubiłem się przyglądać, jak G. go słuchał, niekiedy trochę żartując, ale nigdy nawet na chwilę nie tracąc wątku rozmowy i przez cały czas podtrzymując ją swoimi pytaniami i uwagami. Starca najwyraźniej bardzo radował te rozmowy i G. poświęcał mu cały swój wolny czas; nie tylko nigdy nie okazywał najmniejszych oznak zniecierpliwienia, ale wręcz przeciwnie, przez cały czas objawiał bardzo duże zainteresowanie tym, co starzec miał do powiedzenia. I nawet jeśli było ono odgrywane, to tylko po części; w żadnym wypadku nie mogło dotyczyć wszystkiego, bo nie miałyby to wtedy żadnego sensu.

Bardzo mnie interesowało i jednocześnie pociągało owo okazywanie uczuć przez G.

W Aleksandropolu spędziłem około dwóch tygodni. Pewnego poranka G. nareszcie oznajmił, że za dwa dni wyruszamy do Petersburga, i tak też się stało.

W Tyflisie spotkaliśmy się z generałem S., który w swoim czasie przychodził na spotkania naszej petersburskiej grupy. Wyglądało na to że rozmowa z nim odświeżyła spojrzenie G. na ogólną sytuację i spowodowała pewną zmianę w jego planach.

Z podróży z Tyflisu pamiętam interesującą rozmowę, którą odbyłem z G. na jednej z małych stacji pomiędzy Baku i Dierbientem. Pociąg nasz miał tam długi postój, ponieważ przepuszczano pociągi jadące z "towarzyszami" z frontu kaukaskiego. Było bardzo gorąco, w oddali połyskiwało Morze Kaspijskie, a wszędzie wkoło nas błyszczał krzemień. Na horyzoncie rysowały się sylwetki dwóch wielbłądów.

Próbowałem sprowadzić rozmowę na temat najbliższej przyszłości naszej pracy. Chciałem zrozumieć, jakie G. miał zamiary i czego od nas oczekiwał.

– Wydarzenia są przeciwko nam – powiedziałem. – Już w tej chwili widać wyraźnie, że w tym masowym obłędzie niczego nie da się robić.

– Dopiero teraz można coś robić – odpowiedział G. – A wydarzenia wcale nie są przeciwko nam. Tylko że toczą się zbyt szybko. Na tym polega cały kłopot. Poczekaj pięć lat, a zobaczysz, że to, co dziś przeszkadza, okaże się dla nas przydatne.

Nie wiedziałem, co G. miał na myśli. I ani po pięciu, ani po piętnastu latach nie udało mi się tego

zrozumieć. Patrząc na to z punktu widzenia "faktów", trudno było sobie wyobrazić, w jaki sposób mogłyby nam pomóc takie wydarzenia, jak wojna domowa, morderstwa, epidemie, głód, cała Rosja popadająca w stan barbarzyństwa, nie mające końca zakłamanie europejskiej polityki i niewątpliwie wynikający z niego, ogólny kryzys.

Ale jeśli spojrzymy na to nie z punktu widzenia "faktów", lecz z punktu widzenia zasad ezoterycznych, wtedy to, co powiedział G., staje się bardziej zrozumiałe.

Dlaczego idee te nie pojawiły się wcześniej? Dlaczego nie mieliśmy do nich dostępu wówczas, gdy Rosja jeszcze istniała, a Europa była wygodnym i przyjemnym miejscem "za granicą"? To tu przypuszczalnie znajduje się wyjaśnienie enigmatycznej uwagi G.

Dlaczego zabrakło tych idei? Prawdopodobnie dlatego, że idee te mogły pojawić się tylko w takim czasie, gdy uwaga większości zwrócona jest w jakimś innym kierunku i idee te mogą dotrzeć jedynie do tych, którzy ich szukają. Z punktu widzenia "faktów" miałem rację. Nic nie mogło przeszkadzać nam bardziej niż "wydarzenia". Jednocześnie jest możliwe, że właśnie dzięki "wydarzeniom" otrzymaliśmy to, co zostało nam dane.

Utkwiła mi w pamięci jeszcze jedna rozmowa z tej podróży. Podczas długiego postoju na jakiejś stacji, kiedy nasi towarzysze podróży wyszli na peron, zadałem G. pytanie, na które nie mogłem znaleźć odpowiedzi. Brzmiało ono następująco: Jeżeli dzielę siebie na "Ja" i "Uspieńskiego", to jak można wzmocnić czucie "Ja" i działanie tego "Ja"?

– Nic nie możesz na to poradzić – powiedział G. – To powinno pojawić się jako wynik *wszystkich* twoich wysiłków – zaakcentował słowo "wszystkich". – Weź na przykład samego siebie. Powinieneś już inaczej czuć swoje "Ja". Zapytaj siebie, czy spostrzegłeś różnicę, czy nie.

Próbowałem "mieć doznanie siebie", tak jak nauczył nas tego G., ale muszę przyznać, że nie dostrzegłem żadnej różnicy w porównaniu z tym, co czułem poprzednio.

– To przyjdzie – powiedział G. – A kiedy przyjdzie, będziesz o tym wiedział. Nie ma tu miejsca na żadne wątpliwości. Jest to całkiem odmienne doznanie.

Później zrozumiałem, co miał na myśli, to znaczy jakiego rodzaju doznanie i jakiego rodzaju zmianę. Ale zacząłem to dostrzegać dopiero w dwa lata po tej rozmowie.

Trzeciego dnia naszej podróży z Tyflisu, podczas postoju w Mozdoku G. oznajmił nam (było nas czworo), że ja powinienem sam pojechać do Petersburga, a on i pozostali zatrzymają się w Mineralnych Wodach i stamtąd wyruszą do Kisłowodzka.

– Zatrzymaj się w Moskwie, a potem pojedź do Petersburga – powiedział do mnie. – W Moskwie i w Petersburgu powiedz ludziom, że zaczynam tutaj nową pracę. Ci, którzy chcą ze mną pracować, mogą tu przyjechać. I radzę ci, byś nie zatrzymywał się tam na długo.

W Mineralnych Wodach pożegnałem się z G. i jego współtowarzyszami, i dalej pojechałem sam. Stało się jasne, że z moich planów wyjazdu za granicę nic nie wyjdzie. Ale już się tym nie przejmowałem. Nie miałem wątpliwości co do tego, że przyjdzie nam żyć w bardzo ciężkich czasach, teraz jednak nie miało to dla mnie prawie żadnego znaczenia.

Zdałem sobie sprawę, czego się boję. Nie obawiałem się rzeczywistych, istniejących niebezpieczeństw, lecz tego, że głupio postąpię, to znaczy nie wyjadę na czas, mimo że doskonale wiedziałem, czego należy się spodziewać. Teraz wydawało się, że cała odpowiedzialność za samego siebie została mi odebrana. Moje poglądy się nie zmieniły. Mogłem powiedzieć to samo, co przedtem: pozostanie w Rosji było szaleństwem. Ale mój stosunek do tego był całkiem obojętny. Nie była to moja własna decyzja.

Ciągle jeszcze podróżowałem tak jak dawniej, samotnie, w przedziale pierwszej klasy. Już blisko Moskwy musiałem zapłacić karę, ponieważ miałem rezerwację w jedną stronę, a mój bilet wystawiony był w przeciwną. Innymi słowy, wszystko było po staremu. Jednakże gazety, które kupiłem w drodze, pełne były wiadomości o strzelaninie na ulicach Petersburga. I co więcej, tymi, którzy strzelali do tłumu byli teraz bolszewicy; to oni próbowali swoich sił.

Sytuacja w tym czasie coraz bardziej się krystalizowała. Po jednej stronie znajdowali się bolszewicy, nie zdający sobie jeszcze w pełni sprawy z oczekującego ich nieprawdopodobnego sukcesu, ale już zaczynający odczuwać brak oporu i zachowujący się coraz bezczelniej. Po drugiej stronie był "drugi rząd tymczasowy", złożony z ludzi poważnych, rozumiejących sytuację, ale zajmujących podrzędne stanowiska, i jednocześnie pełen teoretyków i nic nie znaczących gadułów, którzy objęli stanowiska główne. Istniała też inteligencja, w dużym stopniu zdziesiątkowana przez wojnę, jak również resztki dawnych partii i kręgów wojskowych.

Wszyscy oni razem dzielili się ponownie na dwie grupy. Do pierwszej należeli ci, którzy wbrew wszystkim faktom i wbrew zdrowemu rozsądkowi dopuszczali możliwość pokojowych pertraktacji z bolszewikami. Ci ostatni w oczywisty sposób to wykorzystywali, zajmując stopniowo wszystkie stanowiska. Do drugiej grupy należeli ci, którzy zdając sobie sprawę z niemożności podejmowania jakichkolwiek negocjacji z bolszewikami, nie potrafili się zjednoczyć i otwarcie działać.

Naród milczał, choć być może nigdy w historii wola narodu nie była tak jasno wyrażona – a była to *wola zakończenia wojny!*

Kto mógł zakończyć wojnę? Było to wtedy główne pytanie. Rząd tymczasowy się nie ośmielił. Oczywiście nie mogło to wyjść z kręgów wojskowych. A przecież było wiadomo, że władza znajdzie się w rękach tego kto pierwszy powie słowo: *Pokój*. I jak to się często zdarza w takich wypadkach, właściwe słowo zostało wypowiedziane przez niewłaściwą stronę. Zrobili to bolszewicy. Przede wszystkim dlatego, że to, co mówili, było im całkowicie obojętne. Nie mieli najmniejszego zamiaru spełniać obietnic i dlatego mogli ich robić tyle, ile tylko im się podobało. Na tym polegała ich główna przewaga i ich główna broń.

Poza tym było jeszcze coś innego. Niszczenie jest zawsze o wiele łatwiejsze od budowania. O ileż łatwiej jest spalić dom, niż go zbudować.

Bolszewicy byli przedstawicielami zniszczenia. I ani wtedy, ani nigdy później nie mogli być niczym innym. Pomimo całego ich przechwalania się i mimo całego poparcia, jakiego udzielali im jawni i ukryci przyjaciele. Mogli, i nadal mogą, doskonale niszczyć, i to nie tyle poprzez samo działanie, ile przez sam fakt swego istnienia, które korumpuje i powoduje rozpad wszystkiego dokoła. Ta ich specyficzna cecha stanowiła wyjaśnienie nadchodzącego zwycięstwa i wszystkiego, co się zdarzyło później.

My, którzy spoglądaliśmy na rzeczy z punktu widzenia systemu, mogliśmy zobaczyć nie tylko to, że wszystko *się zdarza*, lecz nawet jak to się zdarza, to znaczy jak łatwo wszystko stacza się w dół i pod wpływem zaledwie jednego silnego impulsu rozpada się na kawałki.

Nie zatrzymałem się w Moskwie, ale kiedy czekałem na wieczorny pociąg do Petersburga, udało mi się spotkać z kilkoma osobami i przekazać im to, co powiedział G. Następnie pojechałem do Petersburga i tę samą wiadomość przekazałem członkom naszej grupy.

Po dwunastu dniach ponownie wróciłem na Kaukaz. W Piatigorsku dowiedziałem się, że G. nie mieszka w Kisłowodsku, lecz w Jessientuki, i już po dwu godzinach spotkałem się z nim w małej wiejskiej dacy na ulicy Panteleimona.

G. szczegółowo mnie wypytał o wszystkie osoby, które spotkałem, o to, co każda z nich powiedziała, kto miał zamiar przyjechać, a kto nie. Następnego dnia przybyły w ślad za mną z Petersburga trzy osoby, a potem jeszcze dwie, itd. Nie licząc G. i mnie, zebrano się tam dwanaście osób.

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

Ilekcroć przypominam sobie ten okres, zawsze ogarnia mnie bardzo dziwne uczucie. Spędziliśmy wtedy w Jessientuki około sześciu tygodni. Ale teraz wydaje się to być całkiem nieprawdopodobne. Kiedy rozmawiam z kimś, kto był tam obecny, to nikomu nie chce się wierzyć, że trwało to tylko sześć tygodni. Nawet sześć lat nie wystarczyłoby, żeby, pomieścić to wszystko, co wiązało się z tym czasem; tak bardzo był on wypełniony.

Połowa z nas, w tym także ja, mieszkała wtedy razem z G. w małym domu na peryferiach miasteczka; pozostali przychodzili tam rano i zostawali do późna w nocy. Chodziliśmy spać bardzo późno i wstawaliśmy bardzo wcześnie. Spaliśmy cztery lub najwyżej pięć godzin. Wykonywaliśmy wszystkie prace gospodarcze, o których będę mówił później. Kilka razy G. zorganizował wyprawy do Kisłowodzka, Żeleznowodzka, Piatigorska, Beštau.

G. nadzorował kuchnię i często sam przygotowywał posiłki. Okazał się wyśmienitym kucharzem, znającym setki wykwintnych wschodnich przepisów. Codziennie zatem mieliśmy inne danie, w stylu jakiegoś wschodniego kraju: Tybetu, Persji, itp.

Nie podejmuję się opisać tego wszystkiego, co działo się w Jessientuki; wymagałoby to napisania całej książki. G. prowadził nas w szybkim tempie, nie tracąc ani chwili. Dużo rzeczy wytłumaczył nam podczas wspólnych spacerów, przy dźwiękach muzyki w parku w Jessientuki i w trakcie naszych zajęć domowych.

Podczas tego krótkiego pobytu w Jessientuki, G. rozwinął przed nami plan całej pracy. Ujrzeliśmy początki wszystkich metod, wszystkich idei, ich wzajemne powiązania, zależności i ich kierunek. Wielu rzeczy nie zrozumieliśmy; inne zrozumieliśmy niewłaściwie, ale w każdym razie przekazano nam pewne ogólne założenia, które – jak mi się wydawało – mogły nami pokierować w przyszłości.

Wszystkie .poznane przez nas w tym czasie idee sprawiły, że musieliśmy stanąć przed szeregiem pytań związanych z praktycznym przeprowadzeniem pracy nad sobą i wywołały oczywiście wiele dyskusji wśród członków naszej grupy.

G, zawsze uczestniczył w tych dyskusjach, wyjaśniając nam różne aspekty organizacji szkół.

– Szkoły są niezbędne – powiedział kiedyś – przede wszystkim ze względu na złożoność ludzkiej struktury. Człowiek nie może *czuwać nad całym sobą*, to znaczy nad swoimi różnymi stronami. Może to robić jedynie szkoła, jej metody, dyscyplina; człowiek jest zbyt leniwy. Niemal wszystko robi bez wymaganej intensywności albo też nic nie robi, myśląc, że właśnie coś robi; nad czymś, co

nie wymaga intensywności, będzie pracował bardzo intensywnie, a jednocześnie przegapi te momenty, gdy intensywność jest niezbędna. Poza tym się oszczędza; obawia się robić cokolwiek nieprzyjemnego. Sam nigdy nie osiągnie koniecznej intensywności pracy. Jeżeli we właściwy sposób obserwowaliście samych siebie, to się z tym zgodzicie. Gdy człowiek podejmuje się jakiegoś zadania, bardzo szybko zaczyna sobie pobłażać. Próbuje wykonać to zadanie w możliwie najłatwiejszy sposób: to nie jest praca. W pracy liczą się tylko *nadwysiłki*, które wykraczają poza to, co normalne, poza to, co konieczne; zwykłe wysiłki się nie liczą.

– Co oznacza nadwysiłek? – zapytał ktoś.

– Jest to wysiłek, który wykracza poza wysiłek konieczny do osiągnięcia danego celu – odpowiedział G. – Wyobraź sobie, że byłem w drodze przez cały dzień i jestem bardzo zmęczony. Pogoda jest zła, pada deszcz i jest zimno. Wracam do domu wieczorem. Przeszedłem być może czterdzieści kilometrów. W domu czeka na mnie kolacja; jest tam ciepło i przyjemnie. Ale zamiast zasiąść do stołu, znowu wychodzę na deszcz i postanawiam przejść jeszcze trzy czy cztery kilometry, i dopiero wtedy wrócić do domu. To byłby nadwysiłek. Kiedy szedłem do domu, był to tylko wysiłek i to się nie liczy. Wracałem do domu: zimno, głód, deszcz – wszystko to powodowało, że szedłem. W drugim wypadku szedłem, ponieważ tak zdecydowałem. Tego rodzaju nadwysiłek staje się jeszcze trudniejszy, kiedy nie podejmuję decyzji sam, ale jestem posłuszny nauczycielowi, który w nieoczekiwanych momentach – gdy myślę, że już dość się dzisiaj napracowałem – wymaga ode mnie podjęcia nowych wysiłków.

Inną formą nadwysiłku jest wykonywanie jakiegokolwiek pracy w tempie szybszym, niż tego wymaga charakter samej pracy. Robisz coś, powiedzmy, zmywasz naczynia albo rąbiesz drzewo. Masz pracy na godzinę. Zrób to wszystko w pół godziny – to będzie nadwysiłek.

Jednakże w praktyce człowiek nigdy nie może się zmusić do podejmowania nadwysiłków w sposób ciągły albo przez dłuższy czas; do tego potrzebna jest wola innej osoby, która nie czuje litości i która zna metodę.

Gdyby człowiek był w stanie pracować nad sobą, wszystko byłoby bardzo proste i szkoły okazałyby się niepotrzebne. Ale nie jest w stanie i przyczyny tego tkwią bardzo głęboko w jego naturze. Pozostawię na razie na boku jego nieszczerłość wobec samego siebie, nieustanne kłamstwa, które sobie powtarza, i zajmę się wyłącznie podziałem centrów. Już samo to sprawia, że samodzielna praca człowieka nad samym sobą jest niemożliwa. Musicie zrozumieć, że trzy podstawowe centra, a więc myślowe, emocjonalne i ruchowe, są ze sobą powiązane i w normalnym człowieku działają symultanicznie. To właśnie stanowi główną trudność w pracy nad samym sobą. Co oznacza ta symultaniczność? Oznacza, że określona praca centrum myślowego związana jest z określoną pracą centrum emocjonalnego i ruchowego, a więc pewien rodzaj myśli

nieuchronnie związany jest z pewnego rodzaju emocją (lub stanem ducha) i z pewnego rodzaju ruchem (lub pozycją ciała); jedno wywołuje drugie, to znaczy pewnego rodzaju emocja (lub stan ducha) wywołuje pewne ruchy lub pozycje ciała, jak również pewne myśli; a pewnego rodzaju ruch lub pozycja ciała wywołuje pewnego rodzaju emocje lub pewnego rodzaju stan ducha, itp. Wszystko jest ze sobą powiązane i jedna rzecz nie może istnieć bez drugiej.

Wyobraźcie sobie teraz, że człowiek postanawia *myśleć* w nowy sposób. Ale czuje wszystko po staremu. Wyobraźcie sobie, że nie lubi R. – G. wskazał na jednego z obecnych. – Ta antypatia do R. natychmiast przywołuje w nim dawne myśli i zapomina on o podjętej przez siebie decyzji, by myśleć w nowy sposób. Albo przypuśćmy, że zawsze kiedy myśli, ma zwyczaj palić papierosy – jest to nawyk ruchowy. Postanawia myśleć w nowy sposób. Zapala papierosa i zaczyna myśleć po staremu, nie zdając sobie z tego sprawy. Nawykowy ruch zapalania papierosa zawrócił jego myśli na stare tory. Musicie pamiętać, że człowiek sam nie może zerwać tych powiązań. Konieczna jest wola innego człowieka i konieczny jest kij. Jedyne, co na pewnym etapie swojej pracy może zrobić człowiek, który chce pracować nad samym sobą, to być posłusznym. Sam z siebie nic nie może zrobić.

Bardziej niż cokolwiek innego potrzebny jest mu nieustanny nadzór i obserwacja. On sam nie może *nieustannie* siebie obserwować. Następnie są mu potrzebne pewne reguły, których przestrzeganie wymaga przede wszystkim pewnego rodzaju pamiętania siebie, a poza tym pomaga mu w walce z nawykami. Tego wszystkiego człowiek sam nie może zrobić. W życiu wszystko zawsze układa się zbyt wygodnie, by pozwolić człowiekowi pracować. W szkole człowiek znajduje się pośród ludzi, których sam nie wybierał i z którymi być może bardzo trudno jest mu współżyć i pracować, i to na dodatek w warunkach, do których nie jest przyzwyczajony i które wydają mu się niewygodne. Wytwarza to napięcie między nim a innymi. I to napięcie jest także niezbędne, ponieważ stopniowo łagodzi ono jego "ostre loty".

Praca nad centrum ruchowym może być właściwie zorganizowana tylko w szkole. Jak już powiedziałem, niewłaściwa, niezależna lub automatyczna praca centrum ruchowego pozbawia pozostałe centra wsparcia; podążają one wtedy mimowolnie za centrum ruchowym. Często zatem jedyną możliwością, by inne centra zaczęły pracować w nowy sposób, jest zajęcie się najpierw centrum ruchowym, to znaczy ciałem. Ciało, które jest leniwe, zautomatyzowane i pełne głupich nawyków, uniemożliwia jakąkolwiek pracę.

– Istnieją jednak teorie – powiedział jeden z nas – wedle których człowiek powinien rozwijać duchową i moralną stronę swojej natury, i jeśli mu się to powiedzie, to nie będzie wtedy żadnych przeszkód ze strony ciała. Czy jest to możliwe, czy nie?

– I tak, i nie – odpowiedział G. – Wszystko zależy od tego "jeśli". *Jeśli* człowiek

osiągnięciu moralną i duchową doskonałość bez przeszkód ze strony ciała, to ciało nie będzie utrudniać dalszych osiągnięć. Ale niestety nigdy tak się nie dzieje, ponieważ ciało zaczyna ingerować już na wstępie; ingerować poprzez swój automatyzm, swoje przywiązanie do nawyków, a przede wszystkim poprzez swoje niewłaściwe funkcjonowanie. Jeśli rozwój moralny i duchowy bez ingerencji ze strony ciała jest teoretycznie możliwy, to jest on możliwy tylko w wypadku idealnego funkcjonowania ciała. A kto może powiedzieć, że jego ciało działa w sposób idealny?

A poza tym już same słowa "moralny" i "duchowy" wprowadzają w błąd. Wcześniej wystarczająco często tłumaczyłem, że mówiąc o *maszynach*, nie powinno się rozpoczynać od ich "moralności" lub ich "duchowości", lecz należy zacząć od ich mechaniczności i od praw, które rządzą tą mechanicznością. Bycie człowieka nr 1, 2 i 3 jest byciem maszyn, które są w stanie przestać być maszynami, ale nie przestały nimi być.

– Ale czy nie jest możliwe, że na fali emocji człowiek zostaje od przeniesiony na inny poziom bycia? – zapytał ktoś.

– Nie wiem – odparł G. – Znowu mówimy różnymi językami. Fala emocji jest niezbędna, ale nie może ona zmienić nawyków ruchowych; nie może spowodować, żeby centra, które przez całe swoje życie działały niewłaściwie, zaczęły działać prawidłowo. Zmiana nawyków i naprawa centrów wymaga .oddzielnej, specjalnej i długotrwałej pracy. Mówisz: przenieść człowieka na inny poziom bycia. Ale z tego punktu widzenia *człowiek* dla mnie nie istnieje. Istnieje natomiast złożony mechanizm składający się z szeregu złożonych części. "Fala emocji" pojawia się w jednej z tych części, ale na inne może ona w ogóle nie mieć wpływu. W maszynie cuda są niemożliwe. Cudem jest już samo to, że maszyna jest w stanie się zmienić. A ty chcesz, by zostały pogwałcone wszystkie prawa.

– A łotr na krzyżu? – zapytał jeden z obecnych. – Czy jest w tym jakaś prawda, czy nie?

– To zupełnie co innego – powiedział G. – Obrazuje to całkiem odmienną ideę. Po pierwsze, miało to miejsce *na krzyżu*, to znaczy w przeraźliwych cierpieniach, niepodobnych do niczego w zwyczajnym życiu; po drugie, działo się to w chwili śmierci. Ma to związek z ideą ostatnich myśli i uczuć człowieka w chwili śmierci. W zwyczajnym życiu myśli te umykają i zostają zastąpione innymi, nawykowymi myślami. W życiu nie zdarzają się długotrwałe fale emocji i dlatego żadna z nich nie może spowodować zmiany bycia.

A poza tym trzeba zrozumieć, że nie mówimy tutaj o wyjątkach czy wypadkach, które mogą się zdarzyć lub nie, lecz o ogólnych zasadach, o tym, co każdemu przydarza się każdego dnia. Zwyczajny człowiek, nawet jeśli dojdzie do wniosku, że praca nad sobą jest niezbędna, jest niewolnikiem własnego ciała. I jest on

niewolnikiem nie tylko rozpoznanego i widocznego działania ciała, lecz także niewolnikiem nie rozpoznanym i niewidocznym jego działań, a one właśnie sprawują nad nim władzę. Tak więc jeśli człowiek postanawia walczyć o wolność, to przede wszystkim musi walczyć ze swoim własnym ciałem.

Wskażę wam teraz jeden aspekt funkcjonowania ciała, który należy uregulować. Dopóki to funkcjonowanie jest nieprawidłowe, dopóty żaden inny rodzaj pracy, czy to moralnej, czy duchowej, nie może odbywać się we właściwy sposób.

Pamiętacie, że kiedy mówiliśmy o pracy "trzypiętrowej fabryki", zwróciłem wam uwagę na to, że większość wyprodukowanej przez tę fabrykę energii bezużytecznie się marnuje, i to między innymi na niepotrzebne napięcie mięśniowe. To niepotrzebne napięcie mięśniowe pożera olbrzymią ilość energii. I pracując nad sobą trzeba szczególnie zwrócić na to uwagę.

Mówiąc ogólnie o pracy fabryki, należy zdać sobie sprawę, że zanim będzie można zająć się zwiększeniem produkcji samej energii, najpierw konieczne jest ograniczenie marnotrawstwa. Jeśli zwiększy się produkcję bez ograniczenia tego marnotrawstwa i bez podjęcia wysiłków w tym kierunku, to nowo wyprodukowana energia będzie jedynie powiększała te niepotrzebne straty i może nawet wywołać niezdrowe zjawiska: A zatem jedną z pierwszych rzeczy, których człowiek musi się nauczyć, zanim rozpocznie jakkolwiek fizyczną pracę nad sobą, jest zaobserwowanie i odczuwanie napięcia mięśniowego. Człowiek musi być w stanie: kiedy jest to potrzebne, rozluźnić mięśnie, to znaczy rozluźnić niepotrzebne napięcie tych mięśni.

Nawiązując do tego, G. pokazał nam wiele ćwiczeń mających na celu uzyskanie kontroli nad napięciem mięśniowym, a także zademonstrował nam pewne pozycje ciała stosowane w szkołach do modlitwy i kontemplacji, które człowiek może przyjmować tylko wówczas, gdy nauczy się rozluźniać niepotrzebne napięcia mięśni. Wśród nich znajdowała się tak zwana pozycja Buddy (ze stopami spoczywającymi na kolanach), a także jeszcze trudniejsza pozycja, którą G. opanował do perfekcji, a którą my mogliśmy naśladować tylko w bardzo dużym przybliżeniu.

Przyjmując tę pozycję, G. najpierw uklęknął, a następnie usiadł własnych piętach (boso), trzymając stopy złączone razem. Trudno było usiedzieć w ten sposób na piętach dłużej niż minutę lub dwie. Następnie podniósł ręce i trzymając je na wysokości ramion, powoli wygiął się do tyłu i położył na ziemi z nogami zgiętymi w kolanach. Spędziwszy w tej pozycji trochę czasu, równie powoli podniósł się z wyciągniętymi przed siebie rękami, a następnie znowu się położył.

Zalecił nam wiele ćwiczeń na stopniowe rozluźnianie mięśni, *zawsze zaczynając od mięśni twarzy*, a także ćwiczenia na "doznawanie" dłoni, stóp, palców na każde zawołanie. Sama idea konieczności rozluźniania mięśni nie była niczym nowym, natomiast wyjaśnienie G., że rozluźnianie mięśni ciała powinno

zaczynać się od mięśni twarzy, było dla mnie czymś zupełnie nie znanym; nie natrafiłem na nie ani w książkach o jodze, ani w pracach z dziedziny fizjologii.

Bardzo interesujące było ćwiczenie, które G. nazywał "doznaniem okrężnym". Człowiek kładzie się na plecach na podłodze. Najpierw stara się rozluźnić wszystkie mięśnie. Następnie skupiając całą swoją uwagę, próbuje "mieć doznanie" swojego nosa. Kiedy mu się to uda, przenosi uwagę i usiłuje "mieć doznanie" swojego ucha; po osiągnięciu tego, przenosi swoją uwagę na prawą stopę. Z prawej stopy na lewą, potem zaś na lewą rękę, następnie na lewe ucho i z powrotem na nos, itd.

Wszystko to dlatego szczególnie mnie interesowało, że już dawno temu z pewnych przeprowadzonych przez siebie eksperymentów wysnułem wniosek, że stany fizyczne związane z nowymi doświadczeniami psychologicznymi zaczynają się *od doznawania w całym ciele puls*, którego w normalnych warunkach nie doznajemy; w tym wypadku puls odczuwany jest we wszystkich częściach ciała naraz, jako jedno uderzenie. W moich własnych eksperymentach "doznanie" pulsowania w całym ciele było na przykład rezultatem pewnych ćwiczeń oddechowych połączonych z kilkudniowym postem. Te eksperymenty nic mi nie dały, ale utwierdziły mnie w głębokim przekonaniu, że kontrola nad ciałem zaczyna się od uzyskania kontroli nad pulsem. Kiedy przez krótki czas potrafiłem regulować, to znaczy przyspieszać i zwalniać puls, byłem wtedy w stanie zwolnić albo przyspieszyć bicie serca, a to z kolei przyniosło bardzo interesujące rezultaty psychologiczne. Ogólnie pojąłem, że kontroli nad sercem nie mogą sprawować mięśnie serca, ale że zależy ona od kontrolowania pulsów odpowiadającego "dużemu krwiobiegowi", stąd też G. wiele mi wyjaśnił, wskazując, że kontrolowanie "lewego serca" uzależnione jest od kontroli napięcia mięśni, a więc jeśli nie mamy tej kontroli, to głównie z powodu niewłaściwego i nieregularnego napięcia rozmaitych grup mięśni.

Rozpoczęliśmy wykonywanie ćwiczeń na rozluźnienie mięśni i niektórym przyniosły one bardzo ciekawe wyniki. I tak, jeden z nas dzięki rozluźnieniu mięśni nagle potrafił powstrzymać dokuczliwy nerwoból w swoim ramieniu. Z kolei rozluźnienie mięśni miało ogromne znaczenie dla dobrego snu, i jeśli ktoś poważnie zajął się tego rodzaju ćwiczeniami, wkrótce zauważał, że potrzeba mu mniej godzin snu, a jego sen stał się zdrowszy.

Przy tej okazji G. pokazał nam całkiem nowe dla nas ćwiczenie, bez którego jego zdaniem niemożliwe było opanowanie naszej natury ruchowej. Ćwiczenie to nazywał ćwiczeniem "stop".

– Każda rasa – powiedział – każdy naród, każda epoka, każdy kraj, każda klasa społeczna, każdy zawód ma pewną określoną liczbę swoich własnych pozycji ciała i ruchów. Te ruchy i pozycje, będące czymś najbardziej trwałym i niezmiennym w człowieku, sprawują kontrolę nad jego formą myślenia i formą czucia. Jednakże człowiek nigdy nie wykorzystuje wszystkich dostępnych mu

pozycji i ruchów. Zależnie od własnej indywidualności korzysta tylko z pewnej ich liczby. A zatem repertuar pozycji i ruchów każdego pojedynczego człowieka jest bardzo ograniczony.

W każdej epoce, u każdej rasy i w każdej klasie społecznej charakter ruchów i pozycji ciała jest trwale związany z określonymi formami myślenia i czucia. Człowiek nie jest w stanie zmienić form swojego myślenia ani swojego czucia, dopóki nie zmieni własnego repertuaru pozycji i ruchów. Te formy myślenia i czucia można nazwać pozami albo ruchami myślenia i czucia. Każdy człowiek ma określoną liczbę myślowych i emocjonalnych póz i ruchów. Ponadto pozy ruchowe, myślowe i emocjonalne są w człowieku powiązane i nigdy nie wyjdzie on poza swój repertuar myślenia i czucia, jeśli nie zmieni swoich póz ruchowych.

Przeprowadzona w pewien sposób analiza myśli i uczuć człowieka, przy jednoczesnym poznawaniu jego funkcji ruchowych, wykazuje, że każdy z naszych ruchów, zarówno wolicjonalnych, jak i mimowolnych, jest nieświadomym przechodzeniem od jednej do drugiej, równie mechanicznej pozy.

Mówienie, że nasze ruchy wykonujemy z własnej woli, jest złudzeniem. Wszystkie nasze ruchy są całkowicie zautomatyzowane. I tak samo zautomatyzowane są nasze myśli i uczucia. Automatyzm myśli i czucia jest niewątpliwie związany z automatyzmem ruchu. Nie da się zmienić jednego bez drugiego. I tak, jeśli, powiedzmy, uwaga człowieka skupia się na zmianie automatycznych myśli, to nawykowe ruchy i nawykowe pozy będą przeszkodą w zaistnieniu nowego biegu myśli, łącząc z nim stare, nawykowe skojarzenia.

W normalnych warunkach nie zdajemy sobie sprawy, do jakiego stopnia nasze funkcje – myślowa, emocjonalna i ruchowa – są od siebie wzajemnie uzależnione, choć jednocześnie wiemy, jak bardzo nasze nastroje i stany emocjonalne są zależne od naszych ruchów i póz. Jeśli człowiek przyjmie pozę, która w jego wypadku związana jest z uczuciem smutku lub przygnębienia, to z pewnością wkrótce poczuje smutek lub przygnębienie. Lęk, odrazę, nerwowe podniecenie, czy też, z drugiej strony, spokój, można wytworzyć zmieniając w sposób zamierzony pozycję ciała. Ale ponieważ każda z funkcji człowieka – myślowa, emocjonalna, jak również ruchowa – ma swój własny repertuar skorelowany z reakcjami innych funkcji, przeto człowiek nigdy nie może wydostać się z zaczarowanego kręgu swoich póz.

Nawet jeśli zda sobie z tego sprawę i zacznie z tym walczyć, to sama jego wola nie wystarczy. Musicie zrozumieć, że woli człowieka może starczyć tylko na kierowanie przez *krótki* czas *jednym* centrum. Ale dwa pozostałe centra temu przeszkadzają. I nigdy wola człowieka nie będzie w stanie podołać zarządzaniu trzema centrami naraz.

Istnieje jedno specjalne ćwiczenie, które ma na celu przeciwstawienie się temu automatyzmowi i stopniowe uzyskanie kontroli nad pozami i ruchami w różnych

centrach. Polega ono na tym, że na wcześniej uzgodnione hasło lub znak nauczyciela wszyscy słyszący lub widzący go uczniowie muszą natychmiast znieruchomieć bez względu na to, co akurat robią, i zastygnąć w pozycji, w której zastał ich sygnał. Co więcej, nie tylko muszą przestać się ruszać, ale także powinni patrzeć na to samo miejsce, na które patrzyli w chwili, gdy rozległ się sygnał, muszą zachować uśmiech na twarzach, jeśli się uśmiechali, trzymać nadal otwarte usta, jeśli ktoś właśnie mówił, muszą zachować dokładnie ten sam wyraz twarzy i takie samo napięcie wszystkich mięśni ciała, jak w chwili sygnału. W owym stanie "stop" człowiek powinien także zatrzymać potok swych myśli i skupić całą swoją uwagę na zachowaniu, bez najmniejszych zmian, napięcia mięśni w różnych częściach ciała, przy całym czasie obserwując to napięcie i jakby przenosząc swoją uwagę z jednej części ciała na drugą. Człowiek musi pozostać w tym stanie i w tej pozycji aż do następnego ustalonego sygnału, pozwalającego wrócić do normalnej pozycji, lub też do czasu, gdy człowiek upadnie ze zmęczenia nie będąc już w stanie dłużej utrzymać początkowej pozycji. Ale niczego nie wolno mu zmienić: ani kierunku spojrzenia, ani punktów oparcia, niczego. Jeśli więc nie może ustać, to musi upaść – upaść jak worek, nie próbując uchronić się przed uderzeniem. Jeśli człowiek trzymał coś w ręce, musi trzymać to dokładnie w ten sam sposób, dopóki może, a gdy ręce odmówią mu posłuszeństwa i trzymany przedmiot upadnie, to nie z jego winy.

Obowiązkiem nauczyciela jest dopilnować, by nikt nie doznał obrażeń na skutek upadku lub z powodu przyjęcia szczególnie niewygodnej dla siebie pozycji; w związku z tym uczniowie muszą w pełni ufać nauczycielowi i nie wolno im myśleć o żadnym niebezpieczeństwie.

Na to ćwiczenie i na jego wyniki można patrzeć z różnych stron. Zajmiemy się nim najpierw z punktu widzenia badania ruchów i póź. Ćwiczenie to umożliwia człowiekowi wyjście poza krąg automatyzmu, tak że szczególnie na początku pracy nad sobą nie można się bez niego obyć.

Niemechaniczne poznawanie samego siebie możliwe jest tylko dzięki ćwiczeniu "stop", wykonywanemu pod kierunkiem rozumiejącego je człowieka.

Spróbujmy się przyjrzeć, co się dzieje. Człowiek idzie, siedzi albo pracuje. W tym momencie słyszy hasło. Rozpoczęty ruch przerywa nagły sygnał lub rozkaz zatrzymania się. Ciało człowieka nieruchomieje i zatrzymuje się *w momencie przejścia z jednej pozycji do drugiej, w pozycji, w której na co dzień nigdy się nie zatrzymuje*. Doznając siebie w tym stanie, to znaczy w niezwyklej dla siebie pozycji, człowiek mimowolnie patrzy na siebie z nowych punktów widzenia, widzi i obserwuje siebie w nowy sposób. W tej niezwyklej pozycji jest w stanie myśleć w nowy sposób, czuć w nowy sposób, poznawać samego siebie w nowy sposób. Dzięki temu zostaje przerwany krąg starego automatyzmu. Ciało na próżno usiłuje przyjąć wygodną pozycję, do której jest przyzwyczajone. Lecz wola człowieka, pobudzona do działania przez wolę nauczyciela, temu zapobiega.

Walka trwa aż do samej śmierci. Ale *w tym wypadku* wola może zwyciężyć. Ćwiczenie to, jeśli uwzględnimy wszystko, co zostało powiedziane, jest ćwiczeniem na pamiętanie siebie. Człowiek musi pamiętać samego siebie po to, by nie przegapić sygnału; musi pamiętać samego siebie po to, by w pierwszej chwili nie przyjąć najwygodniejszej dla siebie pozycji; musi pamiętać samego siebie po to, by obserwować napięcie mięśni w różnych częściach ciała, kierunek, w którym patrzy, wyraz twarzy; musi pamiętać samego siebie po to, by przezwyciężyć czasami bardzo silny ból, spowodowany niezwykłą dla niego pozycją nóg, rąk i pleców, którą przyjął, żeby nie upaść albo nie upuścić czegoś ciężkiego na swoją stopę. Wystarczy zapomnieć się na jedną chwilę, a ciało samo z siebie i niemal niezauważalnie przyjmie wygodniejszą pozycję, przeniesie ciężar z jednej stopy na drugą, rozluźni pewne mięśnie, itp. Ćwiczenie to jest symultanicznym ćwiczeniem woli, uwagi, myśli, czucia i centrum ruchowego.

Ale trzeba zrozumieć, że po to, by uruchomić siłę woli wystarczającą do utrzymania człowieka w niezwykłej dla niego pozycji, potrzebny jest rozkaz z zewnątrz, niezbędne jest *“stop”*. Człowiek nie może sam wydać sobie rozkazu *stop*. Jego wola nie będzie posłuszna temu rozkazowi. Powodem tego, jak już wcześniej powiedziałem, jest to, że połączenie nawykowych póz – myślowych, emocjonalnych i ruchowych – jest silniejsze od woli człowieka. Rozkaz *stop*, który dotyczy póz ruchowych, przychodzi z zewnątrz i zastępuje pozy myślowe i emocjonalne. Pozy te i ich oddziaływanie zostaje, jeśli można tak powiedzieć, odsunięte na bok dzięki rozkazowi *stop* – *i w tym wypadku* pozy ruchowe są posłuszne woli.

Wkrótce potem G. w rozmaitych okolicznościach zaczął w stosować *“stop”*, jak zwykliśmy nazywać to ćwiczenie.

Po pierwsze, pokazał nam, jak na komendę *“stop”* natychmiast stanąć bez ruchu i niezależnie od tego, co się dzieje, starać się nie poruszać, nie spoglądać w bok i nie odpowiadać, jeśli na przykład jest się o coś pytanym lub nawet niesprawiedliwie oskarżanym.

– W szkołach ćwiczenie *“stop”* uważa się za święte – powiedział. – Nikt, z wyjątkiem głównego nauczyciela lub wyznaczonej przez niego osoby, nie ma prawa wydać rozkazu *“stop”*. *“Stop”* nie może być dla uczniów przedmiotem zabawy lub ćwiczenia. Nigdy nie wiadomo, w jakiej pozycji znajdzie się człowiek. Jeśli nie umiecie *się w niego wczuć*, to nie wiecie, które z jego mięśni są napięte i do jakiego stopnia. Czasami, jeśli silne napięcie utrzymuje się, może ono spowodować uszkodzenie jakiegoś ważnego naczynia, a w niektórych wypadkach nawet spowodować śmierć. I dlatego tylko ten, kto sam jest całkowicie pewny, że wie, co robi, może sobie pozwolić na wydanie rozkazu *“stop”*.

Jednocześnie *„stop”* wymaga bezwarunkowego posłuszeństwa, bez

jakiegokolwiek wahania czy wątpliwości, co sprawia, że jest ono niezmienną metodą poznawania szkolnej dyscypliny. Dla przykładu, dyscyplina szkolna jest czymś zupełnie odmiennym od dyscypliny wojskowej; ta ostatnia jest całkowicie mechaniczna, a im bardziej jest mechaniczna, tym lepiej.

W dyscyplinie szkoły, przeciwnie, wszystko powinno być świadome, ponieważ celem jest tutaj przebudzenie świadomości. Dla wielu ludzi dyscyplina szkoły jest o wiele trudniejsza od dyscypliny wojskowej. Tam wszystko jest zawsze jednakowe, tutaj wszystko zawsze jest inne.

Ale trafiają się także bardzo trudne przypadki. Opowiem wam pewne zdarzenie z mojego własnego życia. Było to wiele lat temu w Azji Środkowej. Rozbiliśmy namiot w pobliżu *ariku*, to znaczy kanału nawadniającego. Trzech spośród nas przenosiło rzeczy z jednej strony kanału na drugą, gdzie znajdował się nasz namiot. Woda w *ariku* sięgała nam do pasa. Ja i drugi człowiek wyszliśmy właśnie na brzeg z jakimiś rzeczami i zaczęliśmy się ubierać. Trzeci z nas nadal znajdował się w kanale. Upuścił coś do wody – jak się później okazało, była to siekiera – i za pomocą kijka próbował odnaleźć ją na dnie. W tym samym momencie usłyszeliśmy z namiotu głos wołający "Stop!". Obaj stanęliśmy jak wryci na brzegu. Nasz współtowarzysz znajdował się w wodzie, niemal poza zasięgiem naszego widzenia. Stał pochylając się nad wodą, a usłyszawszy "stop", pozostał w tej pozycji. Upłynęła jedna czy dwie minuty i nagle zobaczyliśmy, że woda w *ariku* zaczęła przybierać. Jakieś półtora kilometra dalej ktoś otworzył śluzę, by wpuścić wodę do małego kanału. Woda przybierała bardzo szybko i wkrótce osiągnęła poziom podbródka człowieka stojącego w wodzie. Nie wiedzieliśmy, czy człowiek w namiocie zdaje sobie sprawę z tego, że woda się podnosi. Nie mogliśmy do niego zawołać, nie mogliśmy nawet obrócić głów, by zobaczyć, gdzie się on znajduje; nie mogliśmy nawet na siebie spojrzeć. Słyszałem tylko oddech mojego przyjaciela. Woda zaczęła bardzo szybko przybierać i wkrótce całkowicie zakryła głowę człowieka znajdującego się w *ariku*. Wystawała tylko jedna ręka, ta oparta o kijek. Tylko tę rękę można było zobaczyć. Wydawało mi się, że upłynęło mnóstwo czasu. W końcu usłyszeliśmy: "Dosyć!" Obaj wskoczyliśmy do wody i wyciągnęliśmy z niej naszego przyjaciela, który prawie się udusił.

My także wkrótce przekonaliśmy się, że ćwiczenie "stop" wcale nie było żartem. Po pierwsze, wymagało od nas nieustannej gotowości do przerwania tego, co mówiliśmy lub robiliśmy, a po drugie, czasami wymagało od nas nadzwyczajnej wytrzymałości i determinacji.

"Stop" mogło zdarzyć się o każdej porze dnia. Pijąc kiedyś herbatę P., który siedział naprzeciwko mnie, podniósł do ust dopiero co napełnioną gorącą szklankę i zaczął na nią dmuchać. W tym momencie z pokoju obok usłyszeliśmy "stop". Twarz P. i jego dłoń trzymająca szklankę znajdowały się dokładnie na wprost moich oczu. Zobaczyłem, jak robi się fioletowy i jak drga mu mały mięsień

w pobliżu oka. Ale jednak nie wypuścił szklanki. Później powiedział, że palce bolały go tylko przez pierwszą minutę, a potem główną trudność sprawiała mu ręka, która była niezgrabnie zgięta w łokciu, to znaczy zatrzymana w ruchu. Niemniej P miał na palcach duże pęcherze, które przez długi czas go bolały.

Innym razem "stop" zastał Z. dokładnie w chwili, gdy zaciągał się dymem z papierosa. Powiedział później, że nigdy w życiu nie doświadczył czegoś tak nieprzyjemnego. Nie mógł wydmuchnąć dymu i siedział z oczami pełnymi łez, podczas gdy dym powoli wydobywał się z jego ust.

"Stop" miało ogromny wpływ na całe nasze życie i na nasze rozumienie pracy oraz nasz stosunek do niej. Przede wszystkim nastawienie każdego z nas do ćwiczenia "stop" dokładnie pokazywało, jaka jest postawa każdego z nas wobec pracy. Ludzie, którzy próbowali unikać pracy, unikali ćwiczenia "stop". A więc albo nie słyszeli rozkazu "stop", albo mówili, że ich bezpośrednio nie dotyczy. Albo też z drugiej strony byli zawsze przygotowani na "stop": nie wykonywali żadnych ryzykownych ruchów, nie brali do rąk szklanek z gorącą herbatą, siadali i wstawali bardzo szybko, itd.

Do pewnego stopnia możliwe było nawet oszukiwanie w ćwiczeniu "stop". Ale oczywiście nie dało się tego ukryć i od razu było widać, kto się oszczędza, a kto potrafi się nie oszczędzać, kto jest w stanie zajmować się pracą poważnie, a kto próbuje stosować zwyczajne metody, by uniknąć trudności, "by się dostosować". Dokładnie w ten sam sposób "stop" wskazywało ludzi, którzy nie potrafili albo nie chcieli podporządkować się dyscyplinie szkoły, jak również tych, którzy nie traktowali tej dyscypliny poważnie. Całkiem wyraźnie zobaczyliśmy, że bez ćwiczenia "stop" i innych towarzyszących mu ćwiczeń, nic nie można było osiągnąć w czysto psychologiczny sposób.

Później jednak praca pokazała nam też dokładnie metody drogi psychologicznej.

Dla większości ludzi, jak się szybko okazało, główną trudność stanowił nawyk gadania. Nikt nie zauważał tego nawyku u siebie, nikt nie mógł z nim walczyć, ponieważ zawsze był on związany z jakąś charakterystyczną cechą, którą człowiek uważał u siebie za dodatnią. Chciał być "szczerzy" albo chciał wiedzieć, co myśli drugi człowiek, albo też chciał komuś pomóc mówiąc mu o sobie lub o innych, i tak dalej.

Wkrótce się przekonałem, że walka z nawykiem gadania, z nawykiem mówienia ponad miarę mogła stać się środkiem ciężkości pracy nad sobą, ponieważ nawyk ten wszystkiego dotyczył, wszystko przenikał i przez wielu ludzi był najmniej zauważany. Bardzo ciekawie było obserwować, jak niezależnie od tego, co człowiek robił, nawyk ten (mówię "nawyk" po prostu z braku innego słowa; poprawniej byłoby powiedzieć "ten grzech" lub "to nieszczęście") natychmiast zaczynał wszystkim rządzić.

W tym czasie w Jessientuki G. między innymi przeprowadził z nami mały

eksperyment w poszczeniu. Ja już wcześniej przeprowadzałem podobne doświadczenia i sporo już o tym wiedziałem. Ale dla wielu ludzi poczucie nieskończenia długich dni, całkowitej pustki, swoistej daremności istnienia, było czymś nowym.

– Teraz już naprawdę wiem – powiedział jeden z nas – *po co żyjemy* i jakie miejsce w naszym życiu zajmuje jedzenie.

Ale mnie szczególnie interesowało miejsce, jakie w naszym życiu zajmuje *gadanie*. Nasz pierwszy post, moim zdaniem, polegał na tym, że przez kilka dni wszyscy bez przerwy rozmawiali o poście, to znaczy wszyscy mówili o sobie. To mi przypomniało jedną z pierwszych rozmów z moim przyjacielem z Moskwy. Mówiliśmy o tym, że dobrowolne milczenie może być najsurowszą dyscypliną, jaką może sobie narzucić człowiek. Ale wtedy mieliśmy na myśli całkowite milczenie. G natomiast wprowadził ów cudowny praktyczny element, który odróżniał jego system i jego metody od wszystkiego, co znałem wcześniej.

– Całkowite milczenie jest łatwiejsze – powiedział, gdy pewnego razu zacząłem opowiadać mu o swoich ideach.

– Całkowite milczenie to droga, która tylko odrywa od życia. W takim wypadku człowiek powinien znaleźć się na pustyni albo w klasztorze. My mówimy o pracy w życiu. Człowiek może zachowywać milczenie w taki sposób, że nikt tego nawet nie spostrzeże. Cała rzecz w tym, że mówimy o wiele za dużo. Gdybyśmy się ograniczyli do tego, co jest rzeczywiście konieczne, już samo to byłoby zachowaniem milczenia. I tak samo jest ze wszystkim innym: z jedzeniem, z przyjemnościami, z snem; we wszystkim istnieje granica określająca to, co konieczne. Za nią zaczyna się "grzech". Trzeba pojąć, że "grzech" to coś, co nie jest konieczne.

– Jeśli jednak ludzie teraz, od razu, powstrzymają się od wszystkiego, co nie jest konieczne, to jak będzie wyglądało całe ich życie? – spytałem. – I skąd mogą wiedzieć, co jest konieczne, a co nie?

– Znowu mówisz po swojemu – powiedział G. – Mi wcale nie chodziło o ludzi. Oni donikąd nie zmierzają i dla nich grzechy nie istnieją. Grzechy to coś, co zatrzymuje człowieka w miejscu, jeśli już postanowił się ruszyć i jeśli jest w stanie się ruszyć. Grzechy istnieją wyłącznie dla ludzi, którzy weszli na drogę albo się do niej zbliżają. Wówczas grzechem jest to, co człowieka zatrzymuje, co pomaga mu się okłamywać i myśleć, że pracuje, podczas gdy naprawdę tylko śpi. Grzech to coś, co człowieka usypia, kiedy postanowi się obudzić. A co usypia człowieka? Wszystko to, co nie jest konieczne, wszystko to, bez czego można się obejść. Niezbędne jest zawsze dopuszczalne. Ale zaraz za tym zaczyna się hipnoza. Przy czym musicie pamiętać, że dotyczy to tylko ludzi pracujących lub tych, którzy uważają, że pracują. A sama praca polega na dobrowolnym poddaniu się na jakiś czas cierpieniu, aby się uwolnić od

wiecznego cierpienia. Tymczasem ludzie boją się cierpienia. Pragną przyjemności: teraz, natychmiast i na zawsze. Nie chcą zrozumieć, że przyjemność jest *atrybutem raj*u i że trzeba na nią zapracować. I nie jest to konieczne z powodu jakichś arbitralnych albo wewnętrznych praw moralnych, lecz dlatego, że jeśli człowiek otrzymuje przyjemność, zanim na nią zapracuje, to nie będzie jej w stanie zachować i przyjemność ta zamieni się w cierpienie. A cała rzecz w tym, by otrzymać przyjemność i być w stanie ją zachować. Ten, kto potrafi to zrobić, nie musi się już niczego uczyć. Ale droga do tego prowadzi przez cierpienia.

Jeśli ktoś sadzi, że będąc takim, jaki jest, może korzystać z przyjemności, to bardzo się myli; a jeśli potrafi być ze sobą szczery, to przyjdzie taka chwila, kiedy to zrozumie.

Wróć teraz do ćwiczeń fizycznych, które przeprowadzaliśmy w tym czasie. G. zapoznawał nas z różnymi metodami stosowanymi w szkołach. Bardzo interesujące, ale też niewiarygodnie trudne były ćwiczenia, podczas których całą serię następujących po sobie ruchów wykonywało się w powiązaniu z przenoszeniem uwagi z jednej części ciała na drugą.

Oto przykład: człowiek siedzi na ziemi ze zgiętymi kolanami, trzymając złożone dłonie pomiędzy stopami. Następnie musi podnieść jedną nogę i jednocześnie odliczać: *om, om, om, om, om, om, om, om, om*; aż do dziesiątego *om*, a następnie dziewięć razy *om*, osiem razy *om*, siedem razy *om*, itd., aż do jednego. Potem znów dwa razy *om*, trzy razy *om*, itd., i w tym samym czasie powinien "mieć doznanie" swojego prawego oka. Następnie musi oddzielić kciuk od reszty palców i "mieć doznanie" swojego lewego ucha, itd.

Przede wszystkim musieliśmy zapamiętać kolejność ruchów i "doznawania", a następnie nie wolno było pomylić się w liczeniu, to znaczy należało pamiętać rachunek ruchów i "doznań". Już samo to było bardzo trudne, ale na tym się rzecz nie kończyła. Kiedy człowiek opanował już to ćwiczenie i mógł je wykonywać przez, powiedzmy, dziesięć albo piętnaście minut, to zalecano mu wtedy dodatkowo specjalny rodzaj oddychania. Mianowicie musiał wdychać powietrze wymawiając kilka razy *om* i wydychać je, wymawiając kilka razy *om*; co więcej, trzeba było liczyć na głos. Potem stopień trudności ćwiczeń się zwiększał, aż do rzeczy prawie niemożliwych. G. powiedział nam, że widział ludzi, którzy *całymi dniami* wykonywali tego typu ćwiczenia.

Specjalne ćwiczenia towarzyszyły także krótkiemu postowi, o którym wcześniej wspomniałem. Na samym początku postu G. wyjaśnił, że trudność w poszczeniu polega na tym, aby nie pozostawiać nie zużytych substancji, które zostały wytworzone w organizmie w celu trawienia pokarmu.

– Substancje te składają się z bardzo silnych roztworów chemicznych – powiedział. – I jeśli nie zwróci się na nie uwagi, to zatrują one organizm: Trzeba

je zużyć. Ale jak można je zużyć, skoro organizm pozbawiony jest pokarmu? Tylko poprzez zwiększoną pracę, zwiększone wydzielanie potu. Ludzie popełniają ogromny błąd, kiedy próbują podczas postu "oszczędzać siły", wykonywać mniej ruchów, itd. Wręcz przeciwnie, trzeba wtedy spalać możliwie jak najwięcej energii. Tylko w takim wypadku poszczenie może przynieść korzyść.

Tak że kiedy nasz post się rozpoczął, G. ani na chwilę nie dawał nam spokoju. Kazał nam w upale biec przez ponad trzy kilometry, stać z podniesionymi rękami, odmierzać kroki w przyspieszonym tempie, wykonywać całe serie osobliwych ćwiczeń gimnastycznych, które nam pokazywał.

I przez cały czas powtarzał, że nie są to "prawdziwe" ćwiczenia, lecz dopiero ćwiczenia wstępne, przygotowawcze.

Pewien eksperyment związany z tym, co G. powiedział o oddychaniu i zmęczeniu, wyjaśnił mi wiele spraw. Przede wszystkim dowiedziałem się, dlaczego tak trudno jest cokolwiek osiągnąć w zwykłych warunkach życia.

Poszedłem do pokoju, gdzie nikt nie mógł mnie widzieć i zacząłem odmierzać kroki w przyspieszonym tempie, oddychając jednocześnie zgodnie z dokładnym wyliczeniem, to znaczy wdychając powietrze przez określoną liczbę kroków i wydychając je również przez określoną liczbę kroków. Po pewnym czasie, gdy zacząłem odczuwać zmęczenie, zauważyłem, czy też mówiąc dokładniej, poczułem całkiem wyraźnie, że moje oddychanie jest sztuczne i niepewne. Poczułem, że niebawem nie będę już mógł oddychać w ten sposób, to znaczy odmierzając jednocześnie kroki, i że zwykłe, normalne oddychanie, choć oczywiście znacznie przyspieszone, weźmie górę.

Coraz trudniej było mi oddychać, odmierzać tempo i jednocześnie nie mylić się w liczeniu oddechów i kroków. Oblewał mnie pot, zaczęło mi się kręcić w głowie i myślałem, że upadnę. Rozpaczliwie chciałem osiągnąć jakiegokolwiek wyniki i niemal się zatrzymałem, gdy nagle coś jakby pękło czy też poruszyło się we mnie, a moje oddychanie, bez żadnego wysiłku z mojej strony, stało się miarowe i naturalnie osiągnęło pożądane przeze mnie tempo, dostarczając mi jednocześnie potrzebnej ilości powietrza. Było to niezwykle przyjemne doznanie. Zamknąłem oczy i nadal odmierzałem tempo, oddychając z łatwością i swobodą, czując jak przybywa mi sił, a ja sam staję się lżejszy i silniejszy. Pomyślałem, że gdybym mógł biec w ten sposób przez pewien czas, powinienem uzyskać jeszcze bardziej interesujące wyniki, ponieważ przez moje ciało zaczęły już przebiegać fale swoistego radosnego drżenia, które, jak wiedziałem już z poprzednich doświadczeń, poprzedzały to, co nazywałem otwarciem wewnętrznej świadomości.

Ale w tym momencie ktoś wszedł do pokoju i zatrzymałem się. Jeszcze przez długi czas moje serce biło mocno, ale nie było to nieprzyjemne. Odmierzając tempo oddychałem tak przez pół godziny. Ludziom o słabym sercu nie polecam

tego ćwiczenia.

W każdym razie eksperyment ten dokładnie wykazał mi, że dane ćwiczenie można przenieść do centrum ruchowego, to znaczy można zmusić centrum ruchowe do innego rodzaju pracy. Ale jednocześnie byłem przekonany, że warunkiem takiego przejścia jest krańcowe zmęczenie. Człowiek rozpoczyna każde ćwiczenie w umyśle, i dopiero wówczas, gdy osiągnie najwyższy stopień zmęczenia, kontrolę przejmuje centrum ruchowe. To wyjaśniało, co G. powiedział o "nadwysiłkach" oraz pozwalało zrozumieć wiele z jego późniejszych wymagań.

Później jednak, bez względu na to, jak bardzo się starałem, nie udało mi się powtórzyć tego eksperymentu, czyli wywołać tych samych doznań. Prawdą jest, że post dobiegł już wtedy końca, a powodzenie mojego eksperymentu w dużej mierze było z nim związane.

Kiedy opowiedziałem G. o tym eksperymencie, stwierdził, że bez pracy ogólnej, to znaczy pracy nad całym organizmem, coś takiego może zdarzać się tylko przypadkowo. Od ludzi, którzy studiowali z G. tańce i ruchy derwiszów, słyszałem potem kilkakrotnie opisy doświadczeń bardzo podobnych do mojego.

Im bardziej zdawaliśmy sobie sprawę ze złożoności i różnorodności metod pracy nad sobą, tym wyraźniej dostrzegaliśmy znajdujące się tej drodze trudności. Widzieliśmy, jak niezbędna jest ogromna wiedza, ogromne wysiłki, i taka pomoc, na którą nikt z nas nie mógł ani nie miał prawa liczyć. Zrozumieliśmy, że samo tylko rozpoczęcie jakiegokolwiek poważnej pracy nad sobą jest zjawiskiem wyjątkowym, wymagającym tysięcy sprzyjających warunków, wewnętrznych i zewnętrznych. A sam początek nie daje żadnej gwarancji na przyszłość. Każdy krok wymaga wysiłku, każdy krok potrzebuje wsparcia. Możliwość osiągnięcia czegokolwiek w porównaniu z trudnościami wydawała się tak znikoma, że wielu z nas straciło chęć do podejmowania jakichkolwiek wysiłków.

Był to nieunikniony etap, przez który każdy musi przejść, dopóki się nie nauczy, że zastanawianie się nad tym, czy wielkie i odległe osiągnięcia są możliwe, czy też niemożliwe, jest bezużyteczne i że człowiek musi cenić to, co otrzymuje dzisiaj, nie myśląc o tym, co może otrzymać jutro.

Ale z pewnością idea mówiąca o trudności i niedostępności drogi była słuszna. I przy różnych okazjach zadawano G. związane z tym pytania:

" Czy to możliwe, że pomiędzy nami i ludźmi, którzy nie mają pojęcia o tym systemie, istnieje jakaś różnica? Czy mamy rozumieć, że ludzie, którzy nie podążają żadną z dróg, skazani są na wieczne kręcenie się w kółko, że stanowią jedynie "pokarm dla Księżycy", że nie mają szans ucieczki ani żadnych możliwości? Czy słuszne jest myślenie, że *oprócz dróg* nie ma żadnych innych dróg, i jak to się dzieje, że niektórzy, być może o wiele lepsi ludzie, nie trafiają na drogę, natomiast inni, słabi i nic nie znaczący, dowiadują się o możliwościach,

jakie stwarza droga?

Ciągle powracaliśmy do tego problemu. Dotychczas G. zawsze podkreślał, że *oprócz dróg* nic innego nie istnieje. Pewnego razu zaczął mówić w nieco inny sposób:

– Nie ma i nie może być czegoś takiego, jak wybór ludzi, którzy nawiązują kontakt z “drogami”. Innymi słowy, nikt ich nie wybiera; oni sami się wybierają, częściowo przez przypadek, a częściowo dzięki odczuwaniu pewnego głodu. Kto nie czuje tego głodu, temu nie pomoże przypadek. A jeśli u kogoś ten głód jest bardzo silny, to może on przez przypadek znaleźć się na początku drogi mimo wszystkich niesprzyjających okoliczności.

– Ale co z tymi, którzy zostali zabici w czasie wojny albo na przykład zmarli w wyniku choroby? – zapytał ktoś. – Czyż wielu z nich nie mogło odczuwać tego głodu? I w jaki sposób ten głód mógłby im wtedy pomóc?

– To jest zupełnie inna sprawa – powiedział G. – Ci ludzie znaleźli się w sferze oddziaływania ogólnego prawa. O nich nie mówimy i nie możemy mówić. Możemy mówić tylko o ludziach, którzy dzięki przypadkowi lub przeznaczeniu, albo dzięki własnemu sprytowi, nie podlegają ogólnemu prawu, to znaczy o tych, którzy pozostają poza zasięgiem działania jakiegokolwiek ogólnego prawa zniszczenia. Na przykład wiemy ze statystyk, że w ciągu roku pewna określona liczba ludzi wpada w Moskwie pod tramwaj. I jeśli człowiek, odczuwający nawet bardzo silny głód poznania, wpadnie pod tramwaj, który go zmiażdży, to nie możemy już wtedy mówić o nim z punktu widzenia pracy prowadzonej w związku z *drogami*. Możemy mówić jedynie o tych, którzy żyją, i tylko wtedy, kiedy żyją. Tramwaje czy wojny – to dokładnie to samo. Jedno jest mniejsze, drugie większe. My mówimy o tych, którzy nie wpadają pod tramwaje.

Człowiek, jeśli czuje głód, ma szansę nawiązania kontaktu z początkiem drogi. Ale oprócz głodu potrzebne są jeszcze inne “zasoby”. Inaczej człowiek nie zobaczy drogi. Wyobraźcie sobie, że wykształcony Europejczyk, to znaczy człowiek, który nie wie nic o religii, zetknie się z możliwością podążania drogą religijną. Niczego nie zobaczy i niczego; nie zrozumie. Dla niego będzie to głupota i zabobon. Ale jednocześnie może on odczuwać wielki, chociaż sformułowany tylko za pomocą intelektu, głód. Dokładnie tak samo rzecz się ma z człowiekiem, który nigdy nie słyszał o metodach jogi, o rozwoju świadomości, itp. Jeśli nawiąże on kontakt z drogą jogi, wszystko, co usłyszy, będzie dla niego pozbawione życia. Czwarta droga jest jeszcze trudniejsza. Aby właściwie ocenić czwartą drogę, człowiek musi przedtem myśleć, czuć, być rozczarowany do wielu rzeczy. Jeśli jeszcze nie wypróbował w praktyce drogi fakira, drogi mnicha i drogi jogina, to powinien przynajmniej już o nich wiedzieć i myśleć, a także być przekonany, że nie są dla niego odpowiednie. Tego, co mówię nie trzeba koniecznie rozumieć dosłownie. Ten proces myślowy może być nie znany samemu człowiekowi. Ale muszą w nim być rezultaty tego procesu, i tylko one

mogą mu pomóc w rozpoznaniu czwartej drogi. W przeciwnym razie może on znajdować się bardzo blisko niej i jej nie dostrzegać.

Ale z pewnością błędem jest mówienie, że jeśli człowiek nie wejdzie na jedną z tych dróg, to nie ma już żadnych innych szans. "Drogi" stanowią po prostu pomoc; pomoc udzielaną ludziom zgodnie z ich typem.

Oczywiście "drogi", czyli przyspieszone drogi – drogi osobistej, indywidualnej ewolucji – różnią się od ewolucji ogólnej, ale mogą jednocześnie ją poprzedzać i mogą do niej prowadzić; w każdym razie należy je od niej oddzielać.

Czy zachodzi, czy też nie zachodzi ewolucja ogólna, to znowu inne pytanie. Wystarczy, jeśli zdamy sobie sprawę, że jest ona możliwa, a zatem także możliwa dla ludzi nie przynależących do "dróg". Mówiąc dokładniej, istnieją dwie drogi. Jedną nazwiemy "drogą subiektywną". Zawiera ona w sobie wszystkie cztery drogi, o których mówiliśmy. Drugą nazwiemy "drogą obiektywną". Jest to droga ludzi w życiu. Nazw "subiektywna" i "obiektywna" nie wolno wam brać zbyt dosłownie. Wyrażają one tylko jeden aspekt. Używam ich tylko dlatego, że nie ma innych słów.

– Czy można by nazwać te drogi "indywidualną" i "ogólną"? – zapytał ktoś.

– Nie – odparł G. – Byłoby to jeszcze mniej poprawne niż "subiektywna" i "obiektywna", gdyż droga subiektywna w ogólnym znaczeniu tego słowa nie jest indywidualna, ponieważ jest to "droga szkoły". Z tego punktu widzenia droga obiektywna jest dużo bardziej indywidualna, ponieważ dopuszcza znacznie więcej cech indywidualnych. Nie, lepiej, żebyśmy pozostali przy nazwach "subiektywna" i "obiektywna". Nie są one w pełni odpowiednie, ale przyjmujemy je warunkowo.

Ludzie z drogi obiektywnej żyją po prostu w życiu. To ci, których nazywamy dobrymi ludźmi. Nie są im potrzebne żadne specjalne systemy ani metody; korzystając ze zwyczajnych religijnych czy intelektualnych nauk i ze zwyczajnej moralności, żyją jednocześnie zgodnie z sumieniem. Niekoniecznie czynią wiele dobra, ale też nie czynią zła. Czasami się zdarza, że są to zupełnie niewykształceni, prości ludzie, którzy jednak bardzo dobrze rozumieją życie, którzy właściwie oceniają rzeczy i mają właściwe rozeznanie. I oczywiście oni sami się doskonalą i ewoluują. Tylko że ich droga może być bardzo długa, z wieloma niepotrzebnymi powtórzeniami.

Od dawna już chciałem porozmawiać z G. o "powtarzaniu się", ale on zawsze unikał tego tematu. I tym razem było tak samo. Pozostawiwszy bez odpowiedzi moje pytanie dotyczące "powtarzania się", kontynuował:

– Ludziom z "drogi", to znaczy z drogi subiektywnej, zwłaszcza tym, którzy dopiero zaczynają, często się wydaje, że inni ludzie, a więc ludzie z drogi obiektywnej, wcale się nie poruszają. Tymczasem jest to wielki błąd. Zwykły *obywatel* może czasami wykonać w samym sobie taką pracę, że prześcignie

mnicha, a nawet jogina.

Obywatel to w języku rosyjskim dziwne słowo. Używa się go w zna czemu "mieszkaniec", bez żadnego szczególnego odcienia. Jednocześnie też używa się go, by wyrazić pogardę lub drwinę – *Obywatel!* – jakby nie było nic gorszego. Jednakże ci, którzy tak mówią, nie rozumieją, że *obywatel* jest zdrowym ziarnem życia. I z punktu widzenia możliwości ewolucji dobry *obywatel* ma znacznie więcej szans niż "lunatyk" albo "tramp". Potem być może wyjaśnię, co mam na myśli używając o tych słów. Na razie zajmijmy się *obywatelem*. Nie mam wcale zamiaru powiedzieć, że wszyscy *obywatele* są ludźmi z drogi obiektywnej. Nic z tych rzeczy. Pośród nich znajdują się złodzieje, szubrawcy i głupcy, ale są też inni. Chcę jedynie powiedzieć, że samo bycie dobrym *obywatelem* nie przeszkadza "drodze". I w końcu istnieją też różne typy *obywatela*. Wyobraźcie sobie taki typ *obywatela*, który przez całe swoje życie żyje tak samo jak inni ludzie wokół niego, niczym się nie wyróżnia; być może jest dobrym człowiekiem interesu, który zarabia pieniądze, i być może jest on nawet skąpy. Jednocześnie przez całe swoje życie marzy na przykład o klasztorach, i o tym, że kiedyś wszystko porzuci i wstąpi do klasztoru. Podobne rzeczy zdarzają się na Wschodzie i w Rosji. Człowiek żyje i pracuje,, a kiedy jego dzieci albo jego wnukowie dorastają, wszystko im oddaje i sam wstępuje do klasztoru. To o takim *obywatelu* mówię. Być może nie wstępuje on do klasztoru, być może jest mu to niepotrzebne. Jego własne życie jako życie *obywatela* może być jego drogą.

Ludzie, którzy myślą o drogach w określony sposób, zwłaszcza ludzie z kręgów intelektualnych, bardzo często poniżają *obywatela* i na ogół gardzą jego cnotami. Ale w ten sposób tylko pokazują, jak trudno jest im się dostosować do jakiegokolwiek drogi. Albowiem żadna droga nie może się zaczynać od poziomu niższego niż poziom *obywatela*.

Często tracimy z oczu fakt, że ludzie, którzy nie są w stanie zorganizować swojego osobistego życia, którzy są zbyt słabi, by zмагаć się z życiem i nad nim panować, marzą o drogach albo o tym, co uważają za drogi, ponieważ myślą, że będzie to dla nich czymś łatwiejszym od życia, czymś, co mogłoby jakby usprawiedliwić ich słabość i nieprzystosowanie. Człowiek, który może być dobrym *obywatelem*, z punktu widzenia drogi jest znacznie bardziej przydatny niż "tramp", który uważa się za kogoś lepszego od *obywatela*. "Trampami" nazywam całą tak zwaną "inteligencję" – artystów, poetów, dowolnego przedstawiciela cyganerii, który pogardza *obywatelem*, a jednocześnie nie jest w stanie bez niego żyć. Umiejętność radzenia sobie w życiu jest z punktu widzenia pracy bardzo pożyteczną jakością. Dobry *obywatel* powinien być w stanie utrzymać dzięki swojej pracy przynajmniej dwadzieścia osób. Cóż wart jest człowiek, który nie potrafi tego zrobić?

– Co dokładnie oznacza *obywatel*? – zapytał ktoś. – Czy można powiedzieć, że *obywatel* jest "porządną jednostką"?

– Czy *obywateł* powinien być patriotą? – spytał ktoś inny. – Przypuśćmy, że toczy się wojna. Jaką postawę wobec wojny powinien zająć *obywateł*?

– Mogą toczyć się różne wojny i mogą być różni patrioci – powie dział G. – Wy wszyscy ciągle jeszcze wierzycie w słowa. *Obywateł*, jeśli jest dobrym *obywatelem*, nie wierzy w słowa. On zdaje sobie sprawę, ile kryje się za nimi próżnego gadania. Ludzie, którzy krzyczą o swoim patriotyzmie, są dla niego psychopatami i za takich on ich uważa.

– A jak *obywateł* traktuje pacyfistów albo ludzi, którzy odmawiają udziału w wojnie?

– Tak samo jak lunatyków! Oni są prawdopodobnie jeszcze gorsi.

Innym razem, w związku z tym samym pytaniem, G. powiedział:

– Bardzo wiele rzeczy jest nadal dla was niezrozumiałych, ponieważ nie bierzecie pod uwagę znaczenia niektórych najprostszych słów. Nigdy na przykład nie zastanawiacie się nad tym, co to znaczy *być poważnym*. Spróbujcie odpowiedzieć sobie na pytanie, co oznacza *bycie poważnym*?

– Poważne podejście do rzeczy – wtrącił ktoś.

– Właśnie tak wszyscy myślą, a w rzeczywistości jest dokładnie na odwrót – powiedział G. – Poważne podejście do rzeczy wcale nie oznacza bycia poważnym. Podstawowe pytanie brzmi: *do jakich rzeczy*. Bardzo wielu ludzi podchodzi poważnie do rzeczy trywialnych. Czy można wobec tego ich nazwać poważnymi? Oczywiście, że nie.

Błąd polega na tym, że pojęcia "poważny" używa się warunkowo. Jedna rzecz jest poważna dla jednego człowieka, a inna znów dla drugiego człowieka. W rzeczywistości powaga jest jednym z tych pojęć, których nigdy i w żadnych okolicznościach nie powinno się używać warunkowo. Tylko jedna rzecz jest poważna – zawsze i dla wszystkich ludzi. Człowiek może być mniej lub bardziej tego świadomy, ale to nie zmienia powagi rzeczy.

Gdyby człowiek mógł pojąć całą okropność życia zwykłych ludzi, którzy obracają się w kręgu nieistotnych zainteresowań i nieważnych celów, gdyby mógł pojąć, co oni tracą, zrozumiałby wtedy, że tylko jedna rzecz może być dla niego poważna – ucieczka od ogólnego prawa, bycie wolnym. Co jest sprawą poważną dla człowieka w więzieniu, który został skazany na śmierć? Tylko jedno: jak się uratować, jak uciec. Wszystko poza tym nie jest poważne.

Kiedy mówię, że *obywateł* jest bardziej poważny niż "tramp" albo "lunatyk", mam na myśli to, że mając częściej do czynienia z rzeczywistymi wartościami, *obywateł* bardziej i w krótszym czasie doceni możliwości jakie stwarzają "drogi", a także możliwości "wyzwolenia" lub "zbawienia", niż człowiek, który przez całe swoje życie tkwi w kręgu urojonych wartości, urojonych zainteresowań i urojonych możliwości.

Dla *obywatela* niepoważni są ci ludzie, którzy żyją złudzeniami, zwłaszcza złudzeniami, że są w stanie coś zrobić. *Obywatel* wie, że oni tylko oszukują innych ludzi, obiecując im Bóg wie co, a w rzeczywistości załatwiają wyłącznie swoje własne sprawy lub, co jest jeszcze gorsze, że są oni lunatykami, ludźmi, którzy wierzą we wszystko, co im się mówi.

– Do jakiej kategorii należą politycy, którzy z pogardą wyrażają się o “*obywatelu*”; o “*opiniach obywatela*”; o “*zainteresowaniach obywatela* ?” – zapytał ktoś.

– To najgorszy rodzaj *obywateli* – powiedział G. – to znaczy są to *obywatele*, którzy nie mają żadnych pozytywnych cech, które mogłyby odkupić ich winy; albo też są szarlatanami, lunatykami lub łotrami.

– Ale czy wśród polityków nie może być uczciwych i przyzwoitych ludzi? – zapytał ktoś.

– Oczywiście, że są – powiedział G. – Ale w tym wypadku nie są to ludzie praktyczni, lecz marzyciele, którzy będą wykorzystani przez innych ludzi jako zasłony ukrywające ich własne, ciemne interesy.

Obywatel być może nie wie o tym w “sposób filozoficzny”, to znaczy nie jest w stanie tego sformułować, ale dzięki swej praktycznej inteligencji wie, że rzeczy “dzieją się same przez się”. Stad też w głębi serca śmieje się z ludzi, którzy myślą i którzy chcą go przekonać, że coś znaczą, że cokolwiek zależy od ich decyzji, że mogą coś zmienić czy też w ogóle cokolwiek zrobić. Dla niego to właśnie znaczy bycie niepoważnym. A zrozumienie tego, co nie jest poważne, może mu pomóc w ocenie tego, co jest poważne.

Często wracaliśmy do pytań dotyczących trudności drogi. Nasze własne doświadczenie wspólnego życia i pracy ciągle stawiało nas wobec coraz to nowych trudności, które tkwiły w nas samych.

– Cała rzecz w tym, by być gotowym do poświęcenia własnej wolności – powiedział G. – Człowiek świadomie i nieświadomie walczy o taką wolność, jaką sobie wyobraża. To właśnie, bardziej niż cokolwiek innego, uniemożliwia mu osiągnięcie prawdziwej wolności. Jednakże człowiek, który zdolny jest cokolwiek osiągnąć, prędzej czy później dochodzi do wniosku, że jego wolność jest złudzeniem i zgadza się na poświęcenie tego złudzenia. Wtedy dobrowolnie staje się niewolnikiem. Robi to, co mu się każe, mówi to, co mu się każe, i myśli to, co mu się każe. Nie boi się, że cokolwiek straci, bo wie, że nic nie ma. I w ten sposób osiąga wszystko. To, co w jego rozumieniu, w jego uczuciach sympatii, gustach i pragnieniach było prawdziwe, zostaje mu przywrócone; prócz tego zyskuje on nowe rzeczy, których wcześniej nie miał i nie mógł mieć, wraz z poczuciem jedności i wewnętrznej woli. Ale po to, by dotrzeć do tego punktu, człowiek musi przebyć ciężką drogę niewoli i posłuszeństwa. I jeśli chce uzyskać wyniki, musi być posłuszny nie tylko zewnątrz, lecz także wewnątrz. Wymaga to olbrzymiej determinacji, a determinacja wymaga z kolei głębokiego

zrozumienia faktu, że inna droga nie istnieje, że człowiek sam nic nie może zrobić i że jednocześnie coś należy zrobić.

Kiedy człowiek dochodzi do wniosku, że nie może i nie pragnie już dłużej żyć w taki sposób, w jaki żył dotychczas, kiedy naprawdę widzi, z czego składa się jego życie i kiedy postanawia pracować, musi stać się wobec siebie szczerzy, by się nie znaleźć w jeszcze gorszym położeniu. Bo nie ma nic gorszego niż rozpoczęcie pracy nad sobą, a potem porzucenie jej i znalezienie się pomiędzy dwoma stołkami; o wiele lepiej jest w ogóle nie zaczynać.

Po to więc, by nie zaczynać na próżno i nie narażać się na oszukiwanie siebie, człowiek powinien wielokrotnie poddać swoje decyzje próbie. I z reguły musi wiedzieć, jak daleko chce iść i co ma zamiar poświęcić. Najłatwiej jest powiedzieć, że *wszystko*. Człowiek nigdy nie może wszystkiego poświęcić i nigdy nie można tego od niego wymagać. Niemniej musi sprecyzować, co zamierza poświęcić i później już się o to nie targować. W przeciwnym razie będzie tak samo, jak z wilkiem w ormiańskiej bajce.

Czy znacie ormiańską bajkę o wilku i owcach?

Pewnego razu żył sobie wilk, który zagryzł mnóstwo owiec i wielu ludzi doprowadził do łez.

Nie wiem dlaczego, ale w końcu poczuł nagle wyrzuty sumienia i zaczął żałować swego życia. Postanowił więc się poprawić i nie zagryzać już więcej owiec.

Aby zrobić to z całą powagą, poszedł do księdza i poprosił o odprawienie modłów dziękczynnych.

Ksiądz rozpoczął nabożeństwo, a wilk stał w kościele płacząc i modląc się. Nabożeństwo było bardzo długie. Wilk zagryzł wiele owiec należących do księdza, a zatem ksiądz żarliwie się modlił, aby wilk naprawdę wstąpił na drogę cnoty. Nagle wilk spojrział przez okno i zobaczył, że owce zapędzane są z powrotem do zagrody. Zaczął się niepokoić, ale ksiądz modlił się dalej.

W końcu wilk nie wytrzymał i krzyknął: "Niech ksiądz już z tym skończy! Bo inaczej wszystkie owce wrócą do domu i zostaną bez kolacji!"

Jest to wyśmienita bajka, ponieważ doskonale opisuje człowieka. Jest on gotów wszystko poświęcić, ale dzisiejszy obiad, to zupełnie inna sprawa...

Człowiek zawsze chce zacząć od czegoś dużego. Ale jest to niemożliwe; nie mamy żadnego wyboru: musimy zacząć od rzeczy dnia dzisiejszego.

Przytoczę tutaj jeszcze jedną rozmowę, która jest bardzo dobrym przykładem metod stosowanych przez G. Szliśmy przez park. Oprócz G. było nas pięciu. Jeden z nas zapytał G. o jego poglądy na temat astrologii; czy w ogólnie znanych teoriach astrologicznych znajduje się cokolwiek wartościowego?

– Tak – odpowiedział G. – Wszystko zależy od tego, jak się je rozumie. Mogą

one mieć wartość albo być bez wartości. Astrologia zajmuje się tylko jedną częścią człowieka, *jego typem*, jego esencją, nie zajmuje się natomiast osobowością, czyli właściwościami nabytymi. Jeśli to zrozumiesz, będziesz także wiedział, co w astrologii ma wartość.

Na temat typów rozmawialiśmy już wcześniej na spotkaniach naszych grup i wydawało nam się, że nauka o typach jest najtrudniejszą rzeczą w poznawaniu człowieka, ponieważ G. dostarczył nam bardzo niewiele materiału i wymagał od nas, abyśmy sami obserwowali siebie i innych.

Nadal szliśmy, a G. mówił dalej, próbując nam wytłumaczyć, co w człowieku może zależeć od wpływów planetarnych, a co nie.

Kiedy wyszliśmy z parku, G. zamilkł i wyprzedził nas o kilka kroków. Nasza piątka podążała za nim rozmawiając. Obchodząc drzewo, G. upuścił hebanową laskę z kaukaską srebrną rączką, a jeden z nas schylił się, podniósł ją i podał mu. G. przeszedł jeszcze kilka kroków, po czym odwrócił się w naszą stronę i rzekł:

– To była astrologia. Rozumiecie? Wszyscy widzieliście, jak upuściłem laskę. Dlaczego tylko jeden z was ją podniósł? Niech każdy odpowie za siebie.

Jeden z nas powiedział, że nie zauważył, kiedy G. upuścił laskę, bo patrzył w innym kierunku. Drugi rzekł, że zauważył, iż G. nie upuścił laski przypadkowo, jak to dzieje się wówczas, gdy laska o coś zaczepi, ale że umyślnie rozluźnił dłoń, pozwalając, by laska upadła. Wzbudziło to jego ciekawość i czekał, co nastąpi potem. Trzeci stwierdził, że widział, jak G. upuścił laskę, ale był tak pochłonięty myślami o astrologii, próbując zwłaszcza sobie przypomnieć, co G. kiedyś na ten temat powiedział, że nie zwrócił specjalnej uwagi na laskę. Czwarty zobaczył upadającą laskę i pomyślał, że ją podniesie, ale w tej samej chwili ktoś inny ją podniósł i podał G. Piąty rzekł, że zobaczył, jak laska upada, a następnie zobaczył siebie podnoszącego ją i wręczającego ją G.

Słuchając nas, G. uśmiechał się.

– To jest astrologia – powiedział. – W tej samej sytuacji jeden człowiek widzi i robi jedną rzecz, drugi – drugą trzeci – trzecią, itd. A każdy działa zgodnie ze swoim typem. Obserwujcie ludzi i samych siebie w ten sposób, a potem być może będziemy mogli rozmawiać o innej astrologii.

Czas upływał bardzo szybko. Krótkie lato w Jessientuki zbliżało się do końca. Zaczęliśmy myśleć o zimie i robić różne plany.

I nagle wszystko się zmieniło. Z powodu, który wydawał mi się przypadkowy i wynikający z tarcia pomiędzy pewnymi członkami naszej małej grupy, G. ogłosił, że postanowił rozwiązać całą grupę i przerwać pracę. Najpierw po prostu mu nie uwierzyliśmy, sądząc, że wystawia nas na próbę. A kiedy powiedział, że wyrusza nad Morze Czarne tylko w towarzystwie Z., prawie wszyscy – prócz kilku, którzy

musieli wrócić do Moskwy albo Petersburga – oznajmili, że będą wszędzie za nim podążać. G. zgodził się na to, ale powiedział, że odtąd sami musimy się o siebie troszczyć i że niezależnie od tego, jak bardzo na to liczymy, nie będzie już żadnej pracy.

Wszystko to ogromnie mnie zdziwiło. Uważałem, że była to najbardziej niestosowna chwila na “odgrywanie komedii”. Jeśli G. mówił poważnie, to po co w ogóle było zaczynać całą sprawę? W tym okresie nic nowego się w nas nie pojawiło. I jeśli G. rozpoczął pracę z nami, takimi, jakimi byliśmy, to dlaczego ją teraz przerwał? W moim wypadku materialnie niczego to nie zmieniało. I tak postanowiłem spędzić zimę na Kaukazie. Ale dla innych członków naszej grupy, którzy ciągle jeszcze nie byli całkiem pewni, co robić i dla których stanowiło to trudność nie do pokonania, oznaczało to dużą zmianę. Muszę wyznać, że od tego czasu moje zaufanie do G. zaczęło się załamywać. Na czym to polegało, co mną powodowało – do tej pory trudno jest mi dokładnie powiedzieć. Ale jest faktem, że od tej chwili zacząłem oddzielać G. od jego idei. Dotychczas nigdy ich nie rozdzielałem.

W końcu sierpnia pojechałem najpierw w ślad za G. do Tuapse, a następnie do Petersburga. Miałem zamiar przywieźć stamtąd kilka rzeczy. Niestety musiałem zostawić wszystkie moje książki. Myślałem wtedy, że przewożenie ich na Kaukaz byłoby bardzo ryzykowne. Ale w Petersburgu, oczywiście, wszystko porwała zawierucha..

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

W Petersburgu zatrzymałem się dłużej niż przypuszczałem i wyjechałem stamtąd dopiero 15 października, a więc na tydzień przed wybuchem rewolucji. Nie można już było tam dłużej wytrzymać. Zbliżało się coś wstrętnego i lepkiego. We wszystkim wyczuwało się niezdrowe napięcie i oczekiwanie na coś nieuniknionego. Wszędzie krążyły pogłoski, jedna głębsza i bardziej absurdalna od drugiej. Nikt niczego nie rozumiał. Nikt nie mógł sobie wyobrazić tego, co nadchodziło. "Rząd tymczasowy", po pokonaniu Kornilowa, prowadził jak najbardziej poprawne negocjacje z bolszewikami, którzy próbując jedynie zyskać na czasie, otwarcie dawali do zrozumienia, że nic ich nie obchodzi "socjalistyczni ministrowie". Niemcy z jakiegoś powodu nie ruszyli na Petersburg, choć front stał otworem. Ludzie myśleli teraz o nich jak o wybawicielach, zarówno od "rządu tymczasowego", jak i od bolszewików. Ja nie podzielałem nadziei pokładanych w Niemczech, ponieważ to, co działo się w Rosji, według mnie w znacznej mierze wymknęło się już spod kontroli.

W Tuapse panował jeszcze względny spokój. Jakaś rada związkowa ulokowała się w wiejskiej rezydencji Szacha Persji, ale grabieże jeszcze się nie zaczęły. G. osiedlił się dosyć daleko, na południe od Tuapse, ponad dwadzieścia pięć kilometrów od Soczi. Wynajął tam wiejski dom z widokiem na morze, kupił parę koni i rozpoczął życie z małą grupą liczącą około dziesięciu osób.

Ja także do nich dołączyłem. Było to przepiękne miejsce, pełne róż, z widokiem na morze z jednej strony, i na łańcuch gór pokryty już śniegiem z drugiej. Bardzo było mi żal naszych przyjaciół, którzy pozostali w Moskwie i Petersburgu. Ale już w dniu mojego przyjazdu zauważyłem, że coś jest nie w porządku. Nie było tam śladu atmosfery z Jessientuki. Szczególnie zdumiała mnie sytuacja Z. Kiedy na początku września wyjeżdżałem do Petersburga, Z. był pełen entuzjazmu; ciągle nalegał, żebym nie zatrzymywał się w Petersburgu, ponieważ droga powrotna może okazać się bardzo uciążliwa.

– Czy nigdy więcej nie zamierzasz już wrócić do Petersburga? – zapytałem go wtedy.

– Ten, kto ucieka w góry, nie spogląda za siebie – odpowiedział Z.

A teraz, w dzień po moim przyjeździe do Ust'-Dere usłyszałem, że Z. zamierza wrócić do Petersburga..

– Po co on miałby tam wracać? Porzucił przecież swoją pracę, cóż będzie tam robił? – zapytałem doktora S., który mi o tym powiedział.

– Nie wiem – odrzekł. – G. nie jest z niego zadowolony i powiada, żeby lepiej sobie poszedł.

Samego Z. trudno było mi skłonić do mówienia. Najwyraźniej nie miał ochoty niczego mi tłumaczyć, ale przyznał, że rzeczywiście nosi się z zamiarem wyjazdu.

Wypytyując innych, z czasem dowiedziałem się, że zdarzyła się dziwna rzecz. Doszło do zupełnie absurdalnej kłótni pomiędzy G. i naszymi sąsiadami, niejakimi Lettami. Z. był przy tym obecny. G. nie spodobało się coś, co Z. powiedział czy też zrobił, i od tego dnia zupełnie się zmienił w stosunku do niego; przestał się do niego odzywać i w ogóle postawił go w takiej sytuacji, że Z. zmuszony był oznajmić swoją decyzję o wyjeździe.

Ja uważałem to za czysty idiotyzm. W tym czasie podróż do Petersburga, jak wydawało mi się, byłaby szczytem absurdu. Panował tam prawdziwy głód, nieposłuszeństwo tłumu, grabieże i nic poza tym. W owym czasie oczywiście nie można było jeszcze sobie wyobrazić, że nie dane nam będzie już nigdy zobaczyć Petersburga. Liczyłem na to, że pojedę tam na wiosnę. Sadziłem, że do wiosny coś się rozstrzygnie. Ale teraz, zimą, decyzja o wyjeździe tam nie miała sensu. Mógłbym ją zrozumieć, gdyby Z. interesował się polityką i śledził aktualne wydarzenia, ale skoro tak nie było, to nie potrafiłem dopatrzeć się żadnego motywu. Zacząłem przekonywać Z., by poczekał, by o niczym jeszcze nie decydował, by porozmawiał z G. i spróbował jakoś wyjaśnić całą sprawę. Z. obiecał mi, że nie będzie się spieszył. Zobaczyłem jednak, że rzeczywiście znajdował się w bardzo dziwnej sytuacji. G. zupełnie go ignorował i robiło to na Z. ogromnie przygnębiające wrażenie. W ten sposób upłynęły dwa tygodnie. Moje argumenty podziałały i Z. powiedział, że zostanie, jeśli G. się na to zgodzi. Poszedł porozmawiać z G., ale bardzo szybko wrócił z niepokojem na twarzy.

– Więc co ci powiedział?

– Nic szczególnego. Powiedział, że jeśli raz postanowiłem wyjechać, to lepiej, żebym wyjechał.

Z. odjechał. Nie mogłem tego zrozumieć. Nawet psu nie pozwoliłbym w tym czasie pojechać do Petersburga..

G. początkowo zamierzał spędzić zimę w Ust'-Dere. Mieszkaliśmy w kilku dosyć odległych od siebie domach. Nie odbywała się żadnego rodzaju "praca" w tym sensie, jak to miało miejsce w Jessientuki. Rąbaliśmy drzewo na zimę, zbieraliśmy dzikie gruszki, a G. często jeździł do Soczi, gdzie jeden z nas przebywał w szpitalu, po zarażeniu się tyfusem jeszcze przed moim przyjazdem z Petersburga..

Aż niespodziewanie G. postanowił przenieść się do innego miasta. Dowiedział się, że tutaj łatwo moglibyśmy zostać odcięci od reszty Rosji i znaleźć się bez zapasów żywności. G. wyjechał więc z połową grupy, po czym po resztę przysłał doktora S.

Na nowo zebraliśmy się w Tuapse i stamtąd zaczęliśmy organizować wycieczki

wzdłuż brzegu morza na północ, do miejsc, gdzie nie dochodzi kolej. Podczas jednej z tych wypraw S. spotkał swoich znajomych z Petersburga, którzy byli właścicielami wiejskiego domu, znajdującego się w odległości około czterdziestu kilometrów na północ od Tuapse. Spędziliśmy tam noc, a następnego ranka G. wynajął dom, oddalony od tego miejsca o jakiś kilometr. Tutaj ponownie zebrała się nasza mała grupa. Cztery osoby wyjechały do Jessientuki.

Zyliśmy tam przez dwa miesiące. Był to bardzo interesujący okres. Co tydzień G., doktor S. i ja jeździliśmy do Tuapse po żywność dla nas i po paszę dla koni. Podróże te na zawsze pozostaną w mej pamięci. Były one wypełnione najbardziej niesamowitymi przygodami i bardzo interesującymi rozmowami. Nasz dom z widokiem na morze znajdował się w odległości pięciu kilometrów od dużego miasteczka Olginka. Miałem nadzieję, że zatrzymamy się tam na dłużej. Ale w drugiej połowie grudnia zaczęły krążyć pogłoski, że część Armii Kaukaskiej przemieszcza się pieszo wzdłuż brzegu Morza Czarnego w stronę Rosji. G. postanowił, że udamy się z powrotem do Jessientuki, i rozpoczniemy tam nową pracę. Ja pojechałem pierwszy. Zawiozłem część naszego dobytku do Piatigorska i wróciłem. Można było jeszcze się przebić, choć w Armawirze znajdowali się już bolszewicy.

Liczba bolszewików na północnym Kaukazie się powiększyła i zaczęły się tarcia pomiędzy nimi i Kozakami. Kiedy przejeżdżaliśmy przez Mineralne Wody, z pozoru panował spokój, choć zamordowano już wielu ludzi, którzy nie podobali się bolszewikom.

G. wynajął w Jessientuki duży dom i rozesłał do wszystkich członków naszych moskiewskich i petersburskich grup okólnik z datą 12 lutego i moim podpisem, w którym zapraszał ich i ludzi im bliskich do przyjazdu i do pracy z nim.

W Petersburgu i w Moskwie panował już głód, ale na Kaukazie wszystkiego jeszcze było pod dostatkiem. Teraz niełatwo było się tam przedostać i kilku osobom, pomimo wysiłków, się to nie udało. Ale też wielu przyjechało. Ostatecznie zebrało się około czterdziestu osób. Razem z nimi przyjechał Z., do którego również wysłano list. Przyjechał już poważnie chory.

W lutym, kiedy w dalszym ciągu nie byliśmy niczego pewni, któregoś razu G. pokazując mi dom i wszystko, co w nim przygotował, rzekł do mnie:

– Czy rozumiesz teraz, dlaczego w Moskwie i w Petersburgu zbieraliśmy pieniądze? Powiedziałaś wtedy, że tysiąc rubli to za dużo. Ale czy nawet te pieniądze wystarczą? Zapłaciło "półtorej" osoby... Do tej pory wydałem już więcej, niż udało mi się wówczas zebrać.

G. miał zamiar wydzierżawić albo kupić kawałek ziemi, założyć ogród warzywny i w ogóle zorganizować rodzaj kolonii. Ale wydarzenia, które miały miejsce latem, przeszkodziły temu.

Kiedy nasi ludzie zbrali się w marcu 1918 roku, w domu ustanowiono bardzo

surowe reguły: zakazane było opuszczanie terenu, ustalono dzienne i nocne dyżury, itp. I rozpoczęła się najróżniejszego typu praca.

Bardzo interesująca była sama organizacja domu i naszego życia. Tym razem ćwiczenia były znacznie trudniejsze i bardziej urozmaicone od tych z poprzedniego lata. Zaczęliśmy wykonywać ćwiczenia rytmiczne przy muzyce, tańce derwiszów, różnego rodzaju ćwiczenia umysłowe, badaliśmy rozmaite sposoby oddychania, itd.

Szczególnie intensywne były ćwiczenia mające na celu poznawanie przeróżnych imitacji zjawisk psychicznych, jak czytanie w myślach, jasnowidzenie, mediumizm, itp. Przed rozpoczęciem ćwiczeń G. wyjaśnił nam, że poznawanie tych, jak je nazywał, "sztuczek" jest obowiązkowym przedmiotem we wszystkich szkołach Wschodu, albowiem bez znajomości wszystkich możliwych fałszerstw i imitacji nie można zacząć poznawać zjawisk o charakterze nadnormalnym. W tej sferze człowiek może odróżnić to, co prawdziwe, od tego, co udawane dopiero wówczas, gdy pozna wszystko, co udawane i sam potrafi to odtworzyć. Prócz tego G. powiedział, że praktyczne poznawanie "psychicznych sztuczek" jest samo w sobie niezastąpionym ćwiczeniem, szczególnie przydatnym w rozwijaniu bystrości i przenikliwości obserwacji, a jeszcze bardziej w rozwijaniu innych cech, dla których w zwykłym języku psychologicznym trudno jest znaleźć nazwę, ale które z pewnością należy rozwijać.

Ale podstawową częścią rozpoczętej wówczas pracy były ćwiczenia rytmiczne przy muzyce i dziwne tańce, które miały nas przygotować do odtworzenia – w przyszłości – różnych ćwiczeń derwiszów. G. nie wyjaśnił, jakie są jego cele i zamiary, ale zgodnie z tym, co powiedział wcześniej, można było się domyślić, że celem tych ćwiczeń jest uzyskanie kontroli nad ciałem fizycznym.

Oprócz ćwiczeń, tańców, gimnastyki, rozmów, wykładów i prac domowych organizowano też specjalną pracę dla tych, którzy nie mieli środków do życia. Pamiętam, że kiedy rok wcześniej wyjeżdżaliśmy z Aleksandropola, G. zabrał ze sobą pudło wypełnione motkami jedwabiu, które, jak mi powiedział, kupił okazjnie na wyprzedazy. Jedwab ów zawsze towarzyszył mu w podróży. Kiedy zgromadziliśmy się w Jessientuki, G. rozdał jedwab kobietom i dzieciom, by nawijały go na karty w kształcie gwiazd, także zrobione przez nas. Następnie ci, którzy mieli zdolności handlowe, sprzedawali jedwab sklepom w Piatigorsku, Kisłowodsku i w Jessientuki. Trzeba pamiętać, co to był za czas. Nie było wtedy żadnego towaru, sklepy świeciły pustkami i jedwab został od razu wykupiony, ponieważ takie rzeczy, jak jedwab, bawełna, itp. bardzo trudno było zdobyć. Robota ta ciągnęła się przez dwa miesiące i przynosiła nam pewny i regularny dochód, niewspółmierny do początkowego kosztu jedwabiu.

W normalnych czasach kolonia podobna do naszej nie mogłaby istnieć ani w Jessientuki, ani prawdopodobnie nigdzie indziej w Rosji. Wzbudziłibyśmy ciekawość, przyciągnęlibyśmy uwagę, pojawiłaby się pewnie policja, niewątpliwie

wywołano by jakiś skandal, wystąpiono by z wszelkiego typu oskarżeniami, z pewnością przypisywano by nam tendencje polityczne, sekciarskie, albo niemoralność. Ludzie są tak zbudowani, że zawsze oskarżają to, czego nie potrafią zrozumieć. Ale w tym czasie, to znaczy w roku 1918, ci, którzy mogliby się nami zainteresować, musieli ratować swoją własną skórę przed bolszewikami, a bolszewicy nie byli jeszcze dostatecznie silni, by się zajmować życiem osób prywatnych lub prywatnych organizacji, nie mających wyraźnie politycznego charakteru. A ponieważ wśród intelektualistów, którzy za zrządzeniem losu znaleźli się wtedy w Mineralnych Wodach, zorganizowano właśnie sporo grup i działających stowarzyszeń, nikt nie zwracał na nas uwagi.

Pewnego razu, podczas wspólnej wieczornej rozmowy G. powiedział, że musimy zastanowić się nad nazwą dla naszej kolonii i w ogóle nad tym, jak się zalegalizować. Było to w okresie rządów bolszewików w Piatigorsku.

– Pomyślcie o czymś takim, jak *Sadrużestwo* (Związek przyjaciół we wspólnym celu) i jednocześnie “zdobyte pracą” lub “międzynarodowe” – powiedział G. – Oni i tak tego nie rozumieją. Ale jest im to potrzebne, żeby mogli nas jakoś nazwać.

Zaczęliśmy kolejno przedstawiać swoje propozycje.

Dwa razy w tygodniu w naszym domu odbywały się publiczne wykłady, na które przychodziło sporo ludzi, i raz czy dwa zorganizowaliśmy pokazy imitacji zjawisk psychicznych, które jednak niezbyt się udały, ponieważ nasza widownia bardzo opornie stosowała się do naszych instrukcji.

Moja osobista sytuacja w pracy G. zaczęła się zmieniać. Przez cały rok coś się nawarstwiało i z czasem zacząłem dostrzegać, że wielu rzeczy nie jestem w stanie pojąć i że *muszę odejść*.

Po tym wszystkim, co do tej pory napisałem, może się to wydać dziwne i nieoczekiwane, ale stopniowo się to nagromadziło. Wspomniałem już, że od pewnego czasu zacząłem oddzielać G. od jego *idei*. Co do idei nie miałem żadnych wątpliwości. Wręcz przeciwnie, im więcej o nich myślałem, tym bardziej się w nie wgłębiałem, tym bardziej zaczynałem je doceniać i zdawać sobie sprawę z ich znaczenia. Niemniej zacząłem bardzo poważnie wątpić w to, czy dalsza praca pod kierunkiem G. jest dla mnie, a nawet dla większości osób z naszej grupy, możliwa. Nie oznacza to wcale, że uznałem jakieś działania lub metody G. za błędne lub nie spełniające moich oczekiwań. Byłoby to dziwne i zupełnie nie na miejscu w stosunku do przewodnika w pracy, której ezoteryczny charakter uznałem. Jedno wyklucza drugie. W pracy o takim charakterze nie może być żadnej krytyki, żadnego “niezgadzania się” z tą czy tamtą osobą. Wręcz przeciwnie, cała praca polega na tym, by, robić to, czego wymaga kierujący pracą, by rozumieć – zgodnym z jego opiniami – nawet te rzeczy, o których on sam otwarcie nie mówi, by pomagać mu we *wszystkim*, co robi.

Nieemożliwa jest żadna inna postawa wobec pracy. I sam G. wielokrotnie stwierdzał, że najważniejszą rzeczą w pracy jest *pamiętanie o tym, że przyszło się tu po to, by się uczyć*, a nie w jakimś innym celu.

Jednocześnie wcale nie oznacza to, że człowiek nie ma wyboru albo że zmuszony jest podążać za czymś, co nie odpowiada temu, czego on szuka. Sam G. powiedział, że nie ma szkół "ogólnych" i że każdy guru czy człowiek, który przewodzi szkole, pracuje w swojej specjalności. Jeden jest rzeźbiarzem, drugi muzykiem, trzeci jeszcze kimś innym; wszyscy uczniowie takiego *guru* muszą poznawać jego specjalność. I rzecz jasna, że możliwy jest tu wybór. Człowiek musi czekać do czasu, aż spotka takiego guru, którego specjalność *jest* w stanie poznawać, która odpowiada jego gustom, jego skłonnościom i jego zdolnościom.

Nie ulega wątpliwości, że istnieją bardzo interesujące drogi, takie jak muzyka i rzeźba. Ale nie można od każdego człowieka wymagać, by uczył się muzyki albo rzeźby. W pracy szkoły niewątpliwie są przedmioty *obowiązkowe*, i są też, jeśli można tak powiedzieć, przedmioty pomocnicze, których zgłębianie służy jedynie studiowaniu przedmiotów obowiązkowych. Z kolei same metody stosowane przez szkoły bardzo mogą się różnić. Zgodnie z koncepcją trzech dróg, metody każdego guru mogą być zbliżone do drogi fakira, do drogi mnicha albo do drogi jogina. I może oczywiście się zdarzyć, że człowiek, który zaczyna pracę, popełni błąd i pójdzie za przewodnikiem, za którym wcale nie może podążać.

Wydaje się logiczne, że zadaniem przewodnika jest dopilnować, aby ludzie, dla których jego metody albo jego specjalne przedmioty pozostaną zawsze obce, niezrozumiałe i nieosiągalne, nie zaczęli z nim pracy. Natomiast jeśli tak się stanie, że człowiek zaczął pracować z przewodnikiem, za którym nie może podążać, to oczywiście, gdy to zauważy i zda sobie z tego sprawę, powinien odejść i poszukać innego *guru*, albo, jeśli jest w stanie, pracować samodzielnie.

Co się tyczy moich związków z G., w tym czasie wyraźnie zobaczyłem, że myliłem się co do wielu rzeczy, które mu przypisywałem, i że pozostając z nim nie będę zmierzał w tym samym kierunku, w którym zmierzałem na początku. I pomyślałem, że wszyscy członkowie naszej małej grupy, tylko z bardzo nielicznymi wyjątkami, znajdowali się w podobnej sytuacji.

Była to bardzo dziwna "obserwacja", ale całkowicie zgodna z prawdą. Nie mogłem powiedzieć nic złego o metodach G., tyle tylko, że mi one nie odpowiadały. Przyszedł mi wtedy do głowy bardzo dobry przykład. Nigdy nie zajmowałem negatywnej postawy wobec "drogi mnicha", czyli wobec dróg religijnych i mistycznych. Jednocześnie nigdy, nawet przez chwilę, nie mógłbym pomyśleć, że taka droga byłaby dla mnie możliwa lub odpowiednia. A zatem, gdybym po trzech latach pracy spostrzegł, że G. w rzeczywistości prowadzi nas w kierunku drogi religijnej, drogi klasztoru, i wymaga przestrzegania wszystkich religijnych form oraz odprawiania ceremonii, to byłby to powód do niezgadzenia się i odejścia, choćby nawet w grę wchodziło ryzyko utraty bezpośredniego

przewodnika. Jednocześnie nie oznaczałoby to, że generalnie uważam drogę religijną za błędną. Być może jest ona nawet właściwsza od mojej własnej drogi, *ale to nie jest moja droga*.

Podjęciu decyzji o porzuceniu pracy z G. i opuszczeniu jego samego, towarzyszyła ogromna wewnętrzna walka. Zbyt wiele zbudowałem, opierając się na tej pracy, by móc teraz bez trudu zacząć wszystko od początku. Ale nic innego mi nie pozostało. Oczywiście zachowałem wszystko to, czego nauczyłem się w przeciągu tych trzech lat. I upłynął cały rok, zanim się z tym uporałem i zanim możliwa stała się dla mnie kontynuacja pracy w tym samym kierunku, w którym zmierzał G., przy jednoczesnym zachowaniu mojej niezależności.

Przeprowadziłem się do oddzielnego domu i od nowa rozpocząłem, porzuconą niegdyś przeze mnie w Petersburgu pracę nad moją książką, która później ukazała się pod tytułem *Nowy Model Wszechświata*.

W "Domu" jeszcze przez jakiś czas odbywały się wykłady i pokazy, ale zostały one przerwane.

G. spotykałem czasami w parku albo na ulicy, niekiedy przychodził też do mojego mieszkania. Ale ja sam unikałem chodzenia do "Domu". W tym czasie sytuacja panująca na północnym Kaukazie bardzo się pogorszyła. Byliśmy całkowicie odcięci od środkowej Rosji i nie mieliśmy pojęcia, co się tam działo.

Po pierwszym najeździe Kozaków na Jessientuki sytuacja zaczęła szybko zmieniać się na gorsze i G. postanowił wyjechać z Mineralnych Wód. Nie powiedział, dokąd naprawdę ma zamiar się udać i, mając na względzie ówczesne okoliczności, trudno było to przewidzieć.

Ci, którzy w tym czasie opuścili Mineralne Wody, próbowali przedostać się do Noworosyjska, przypuszczałem więc, że on także uda się w tym kierunku. Ja sam postanowiłem opuścić Jessientuki. Ale nie chciałem wyjechać przed nim. Miałem w związku z tym dziwne poczucie. Chciałem doczekać do samego końca – zrobić wszystko, co ode mnie zależało, tak bym później mógł sobie powiedzieć, że nie dopuściłem do tego, by umknęła mi jakakolwiek możliwość. Bardzo trudno było mi porzucić ideę pracy z G.

G. opuścił Jessientuki na początku sierpnia. Większość ludzi mieszkających w "Domu" wyjechała razem z nim. Niektórzy zrobili to już wcześniej. W Jessientuki pozostało około dziesięciu osób.

Ja postanowiłem udać się do Noworosyjska. Ale okoliczności zaczęły się błyskawicznie zmieniać. W tydzień po wyjeździe G. została zerwana łączność nawet z najbliższymi miejscami. Kozacy zaczęli organizować napady wzdłuż linii kolejowej do Mineralnych Wód, a tam gdzie się znajdowaliśmy, rozpoczęły się kradzieże i "rekwizycje" bolszewików. W tym czasie miała miejsce masakra "zakładników" w Piatigorsku, podczas której zginęli generał Ruski, generał Radko-Dimitriew, książę Urussow i wielu innych.

Muszę przyznać, że czułem się bardzo głupio. Gdy było to możliwe, nie wyjechałem za granicę, aby móc pracować z G., a w ostatecznym rozrachunku rozstałem się z G. i zostałem z bolszewikami.

Wszyscy, którzy pozostali w Jessientuki, przeżywali bardzo trudny okres. Dla mnie i dla mojej rodziny sprawy ułożyły się w miarę pomyślnie. Tylko dwie osoby spośród czterech zachorowały na tyfus. Nikt nie zmarł. Ani razu nas nie okradziono. Przez cały czas miałem pracę i zarabiałem pieniądze. Innym osobom powiodło się o wiele gorzej. W styczniu 1919 roku zostaliśmy wyzwoleni przez Kozaków z Armii Denikina. Niemniej ja sam mogłem opuścić Jessientuki dopiero latem 1919 roku.

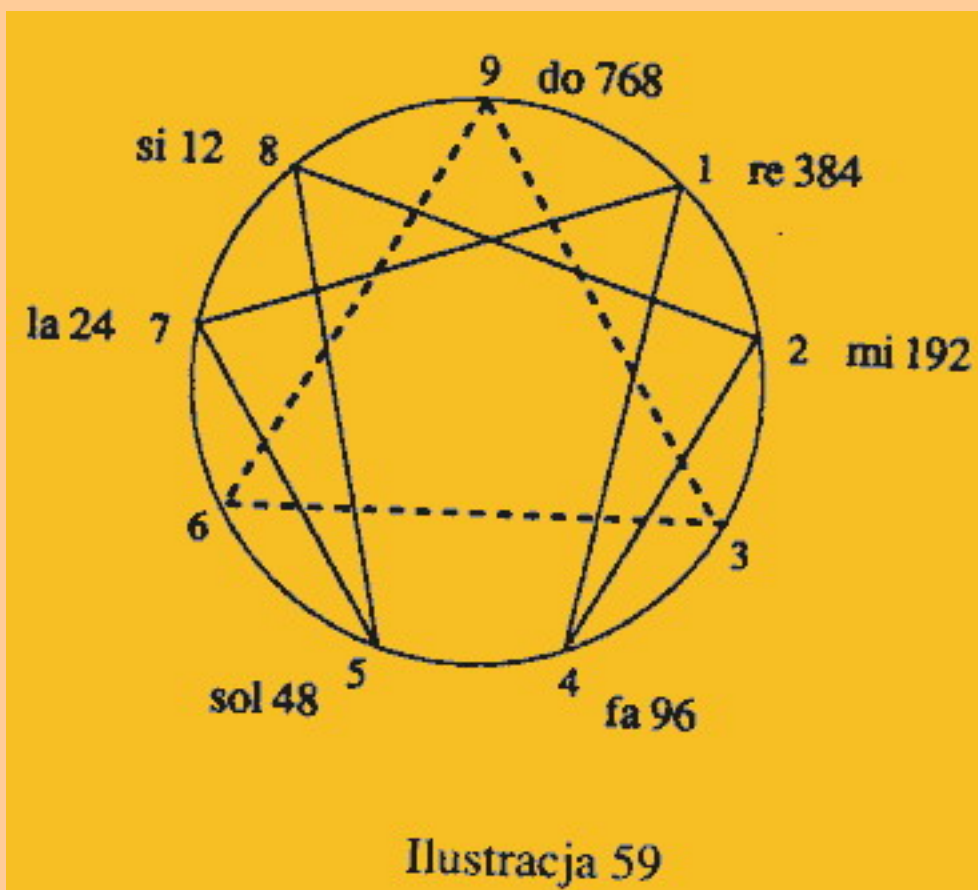
O G. mieliśmy tylko zdawkowe wiadomości. Pociągiem dojechał do Majkop i stamtąd wraz z towarzyszącymi ludźmi wyruszył pieszo bardzo ciekawą, ale też bardzo niebezpieczną trasą przez góry, prowadzącą do położonego nad morzem Soczi, które wtedy znajdowało się w rękach Gruzinów. Niosąc ze sobą cały bagaż i doświadczając wszelkiego rodzaju przygód i niebezpieczeństw, G. i jego grupa przeszli przez przełęcz, gdzie nie ma dróg i tylko z rzadka pojawiają się myśliwi, i dopiero po miesiącu od wyjazdu z Jessientuki dotarli do Soczi.

Ale wewnętrzna sytuacja się zmieniła. W Soczi, tak jak to przewidziałem, większa część grupy rozstała się z G. Zrobili to między innymi Z. i P. Z G. pozostały tylko cztery osoby, z których jedynie doktor S. należał do pierwotnej grupy petersburskiej. Pozostali byli członkami "młodszych" grup.

W lutym P., który po rozstaniu się z G. osiedlił się w Majkop, przyjechał do Jessientuki po swoją matkę, która tam mieszkała i od niego dowiedzieliśmy się o tym wszystkim, co miało miejsce w drodze i po przybyciu do Soczi.

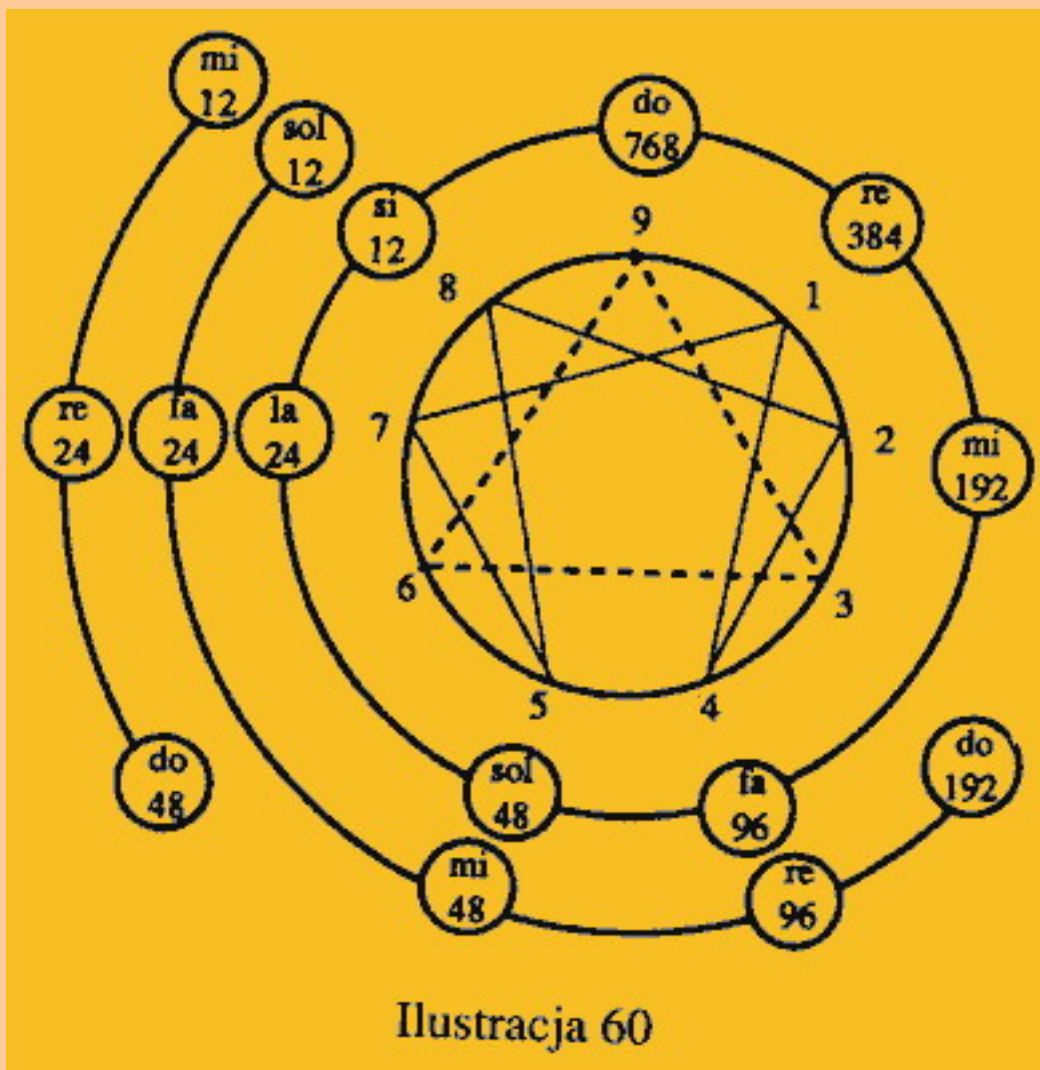
Moskwiczanie pojechali do Kijowa, a G. z czterema osobami udał się do Tyflisu. Wiosną dotarły do nas wieści, że w Tyfusie kontynuował on pracę z nowymi ludźmi i w nowym kierunku, opierając ją głównie na muzyce, tańcach i ćwiczeniach rytmicznych.

Pod koniec zimy, kiedy warunki życiowe nieco się poprawiły, zacząłem przeglądać moje notatki i rysunki wykresów G., które za jego pozwoleniem przechowywałem od czasu pracy w Petersburgu. Moja uwagę szczególnie zwrócił *enneagram*. Wyjaśnienia dotyczące enneagramu najwidoczniej były nie dokończone, czułem jednak, że zawierały aluzje do możliwej kontynuacji. Bardzo szybko dostrzegłem, że przede wszystkim należy zrozumieć znaczenie na pozór niewłaściwego umiejscowienia "wstrząsu", który pojawił się w enneagramie przy interwale sol-la. Następnie zwróciłem uwagę na to, co moskiewskie notatki dotyczące komentarzy do enneagramu mówiły o wzajemnym oddziaływaniu na siebie trzech oktaw na "wykresie pokarmu". Narysowałem enneagram, tak jak został on nam podany, i zobaczyłem, że do pewnego stopnia przedstawia też "wykres pokarmu" (ilustracja 59).



Punkt 3, czy też "interwał" mi-fa, był miejscem pojawienia się "wstrząsu" stworzonego przez do 192 drugiej oktawy. Kiedy do enneagramu dodałem początek tej oktawy, to zobaczyłem, że punkt 6 znajdował się przy "interwale" mi-fa drugiej oktawy, a "wstrząs" tego interwału pojawił się jako do 48 zaczynającej się w tym miejscu oktawy trzeciej.

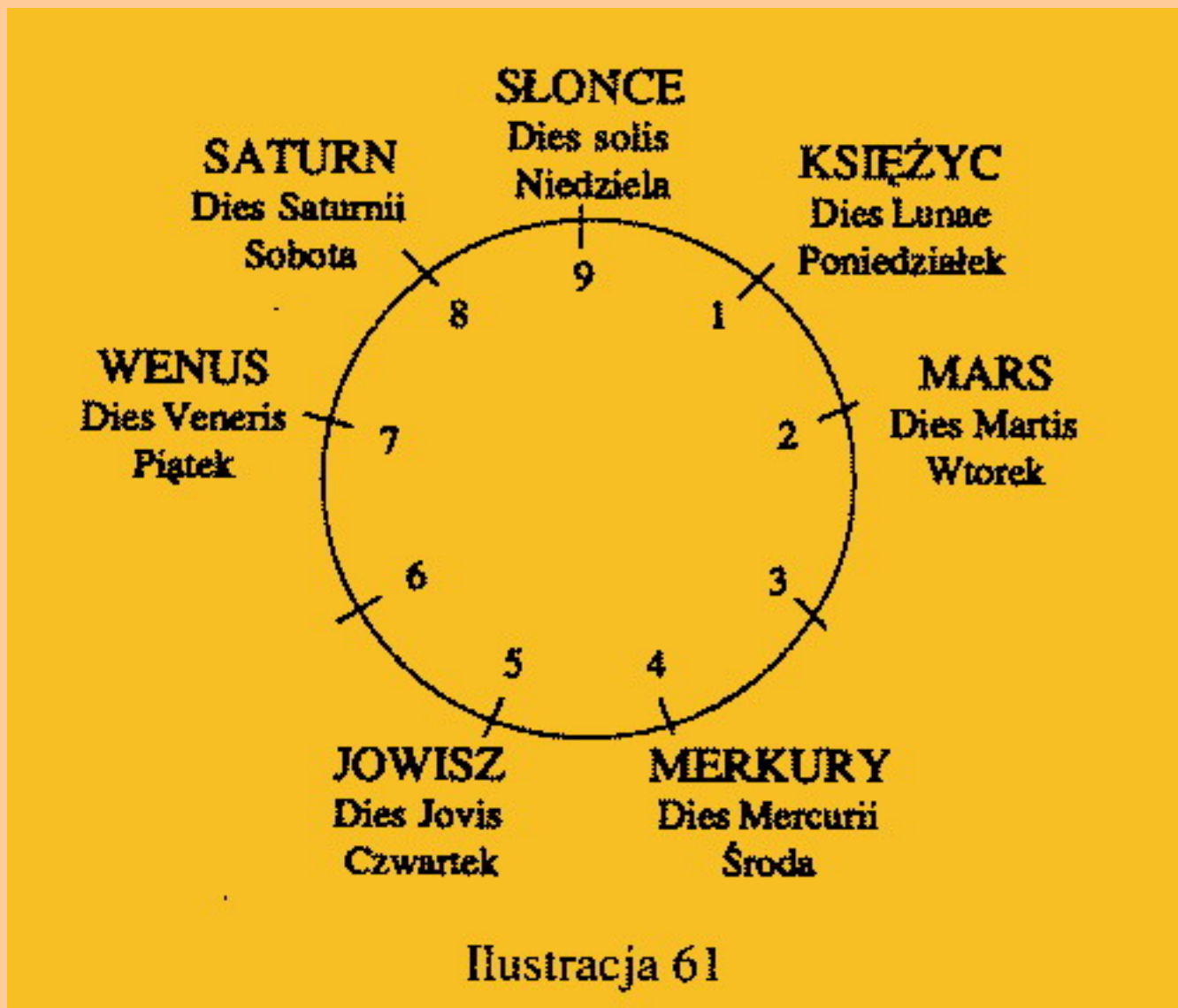
Pełny obraz oktaw przedstawiał się następująco:



Oznaczało to, że "wstrząs" wcale nie znajdował się w niewłaściwym miejscu. Punkt 6 wskazywał na pojawienie się "wstrząsu" w drugiej oktawie, a "wstrząsem" tym było do, które rozpoczynało trzecią oktawę. Wszystkie trzy oktawy osiągały H12. W jednej było to si, w drugiej sol, a w trzeciej mi. Druga oktawa, która kończyła się w enneagramie na 12, powinna była rozwijać się dalej. Ale si 12 i mi 12 wymagały „dodatkowego wstrząsu”. W tym czasie wiele myślałem o naturze tych "wstrząsów", ale powiem o nich później.

Czułem, że enneagram zawiera bardzo dużo materiału. Na "wykresie pokarmu" punkty 1, 2, 4, 5, 7, 8 reprezentowały różne "układy" organizmu: 1 układ trawienny, 2 układ oddechowy, 4 układ krwionośny, 5 mózg, 7 rdzeń kręgowy, 8 układ współczulny i narządy seksualne. Zgodnie z tym, kierunek wewnętrznych linii 1-4-2-8-5-7-1, to znaczy wynik dzielenia 1 przez 7, wskazywał kierunek rozprowadzania krwi w organizmie, kierunek jej przepływu przez arterie i powrotu przez żyły. Szczególnie interesujące było to, że *punktem zwrotu* nie było serce, lecz system trawienny, co rzeczywiście jest faktem, ponieważ krew płynąca w żyłach najpierw miesza się z produktami trawienia, a dopiero potem płynie przez prawą komorę do prawego przedsionka, następnie do płuc, by przyswoić tlen, stamtąd zaś przez lewy przedsionek i lewą komorę ku aorcie, skąd wpada do systemu arterii.

Badając enneagram dokładniej zobaczyłem, że *siedem punktów* może reprezentować *siedem planet* starożytnego świata; innymi słowy, enneagram mógł być też symbolem astronomicznym. I kiedy zestawilem porządek planet z porządkiem dni tygodnia, otrzymałem zamieszczony obok rysunek (ilustracja 61, strona 549).



Nie próbowałem posuwać się dalej, ponieważ brakowało mi niezbędnych książek, a poza tym miałem bardzo mało czasu.

“Wydarzenia” nie zostawiały czasu na filozoficzne spekulacje. Trzeba było myśleć o życiu, to znaczy po prostu o tym, gdzie można żyć i pracować. Rewolucja i wszystko, co z nią związane, budziło we mnie głęboki, fizyczny wstręt. Jednocześnie, pomimo mojej sympatii dla “białych” nie wierzyłem w ich sukces. Bolszewicy bez wahania obiecywali rzeczy, których ani oni, ani nikt inny nie mógł wykonać. Na tym polegała ich podstawowa siła. Nikt nie mógł im w tym dorównać. Poza tym mieli oni poparcie Niemców, którzy widzieli w nich szansę na wzięcie rewanżu w przyszłości. Armia ochotnicza, która wyzwoliła nas od bolszewików, była w stanie z nimi walczyć i ich pokonać. Ale nie była w stanie we właściwy sposób zorganizować życia na wyzwolonych obszarach. Ludzie stojący na jej czele nie mieli ani programu, ani wiedzy, ani doświadczenia w tym

zakresie. Oczywiście nie można było tego od nich wymagać. Ale fakty pozostają faktami. Sytuacja była bardzo niepewna i fala, która ciągle jeszcze toczyła się w stronę Moskwy, w każdej chwili mogła zawrócić.

Trzeba było uciekać za granicę. Za punkt docelowy obrałem Londyn. Po pierwsze, dlatego, że znałem tam wielu ludzi, a po drugie, dlatego, iż myślałem, że pośród Anglików znajdę większy odzew i że okażą oni większe niż gdziekolwiek indziej zainteresowanie nowo poznanymi przeze mnie ideami. Poza tym, przejeżdżając niegdyś przez Londyn zarówno w drodze do Indii, jeszcze przed wojną, jak i w drodze powrotnej, już po wybuchu wojny – postanowiłem tam wrócić w celu napisania i wydania mojej książki, nad którą zacząłem pracować w roku 1911. Zatytułowałem ją wtedy *Mądrość Bogów*, ale w końcu ukazała się pod tytułem *Nowy Model Wszechświata*. Owa książka nie mogłaby zostać opublikowana w Rosji, ponieważ zajmowałem się w niej zagadnieniami religii, a w szczególności metodami badania Nowego Testamentu.

Postanowiłem zatem wyjechać do Londynu i spróbować zorganizować tam wykłady i grupy podobne do tych z Petersburga. Doszło do tego jednak dopiero trzy i pół roku później.

Na początku czerwca 1919 roku udało mi się w końcu wyjechać z Jessientuki. W tym czasie panował tam spokój i życie trochę wróciło do normy. Ale nie ufałem temu spokojowi. Trzeba było wyjeżdżać za granicę. Najpierw pojechałem do Rostowa, potem do Jekatierinodar i Noworosyjska, skąd ponownie wróciłem do Jekatierinodar, który w tym czasie był stolicą Rosji. Spotkałem tam niektórych członków grupy, którzy wyjechali z Jessientuki wcześniej niż ja, a także niektórych przyjaciół i znajomych z Petersburga.

Utkwiła mi w pamięci jedna z naszych pierwszych rozmów.

Mój przyjaciel z Petersburga zapytał mnie podczas rozmowy o systemie G. i o pracy nad sobą, czy mógłbym wskazać jakieś praktyczne rezultaty tej pracy.

Pamiętając wszystko, czego doświadczyłem w trakcie poprzedniego roku, szczególnie po wyjeździe G., powiedziałem, że nabrałem *dziwnej ufności*, której nie potrafię określić jednym słowem, ale którą muszę mu opisać.

– Nie jest to potocznie rozumiana wiara w siebie – powiedziałem. Wręcz przeciwnie, jest to raczej pewność, czy wiara w to, że moje zwykłe ja jest nieistotne i pozbawione znaczenia – mówię o tym “ja” które znamy. Tak, ufam, że jeśli przytrafiłoby mi się coś strasznego, tak jak to się zdarzyło w ciągu ostatniego roku wielu spośród moich przyjaciół, *to nie to zwykłe ja, lecz inne* stanęłoby na wysokości zadania. Dwa lata temu G. zapytał mnie, czy czuję w sobie nowe ja, i musiałem wtedy odpowiedzieć, że nie czuję żadnej zmiany. Teraz mogę już mówić inaczej. I mogę też wyjaśnić, jak dochodzi do tej zmiany. Nie zachodzi ona od razu – mam na myśli to, że zmiana ta nie obejmuje od razu każdej chwili życia. Całe życie codzienne toczy się po staremu, ze wszystkimi

tymi zwykłymi, głupimi, małymi "ja", wyłączając może te, które stały się już nie do zniesienia. Ale gdyby miało się zdarzyć coś ważnego, coś, co wymagałoby napięcia każdego nerwu, to wiem, że wtedy na spotkanie tej ważnej rzeczy wyszłoby nie to zwyczajne, małe "ja", które teraz mówi i które można przestraszyć. Nic w tym rodzaju. Byłoby to inne, wielkie Ja, którego nic nie może przerazić i które sprostałoby wszystkiemu, cokolwiek miałoby się zdarzyć. Nie potrafię tego lepiej opisać. Ale dla mnie jest to fakt. I ten fakt ma dla mnie zdecydowanie związek z pracą. Znasz moje życie i wiesz, że zarówno wewnątrz, jak na zewnątrz nie obawiałem się tych rzeczy, których ludzie często się boją. Ale to jest coś innego, to ma inny posmak. I dlatego sam już wiem, że ta nowa ufność nie jest jedynie wynikiem wielkiego doświadczenia życiowego. Ona jest wynikiem tej pracy nad sobą, którą rozpocząłem cztery lata temu.

Najpierw w Jekatierinodarze, a później zimą w Rostowie zebrałem małą grupę ludzi i według opracowanego przeze mnie rok wcześniej planu poprowadziłem wykłady objaśniające system G., przytaczając także fakty z codziennego życia, które prowadziły do tego systemu.

Latem i jesienią 1919 roku w Jekatierinodarze i w Noworosyjsku otrzymałem dwa listy od G. Pisał on, że otworzył w Tyflisie "Instytut Harmonijnego Rozwoju Człowieka" z bardzo obszernym programem i załączył prospekt tego "Instytutu", który dał mi dużo do myślenia. Zaczynał się on od słów:

"Za zgodą Ministerstwa Szkolnictwa Narodowego otwarty zostaje w Tyflisie Instytut Harmonijnego Rozwoju Człowieka, oparty na systemie G.I.G. Instytut przyjmuje dzieci i dorosłych obu płci. Zajęcia będą się odbywały rano i wieczorem. Przedmiotem studiów jest wszelkiego rodzaju gimnastyka (rytmiczna, medyczna i inne), ćwiczenia na rozwój woli, pamięci, uwagi, słuchu, myślenia, emocji, instynktu, itd."

Dodano jeszcze, że system G. I. G.

"...był już stosowany w praktyce w wielu wielkich miastach, takich jak Bombaj, Aleksandria, Kabul, Nowy Jork, Chicago, Kristiania, Sztokholm, Moskwa, Jessientuki, a także we wszystkich oddziałach i ogniskach skupiających prawdziwe, międzynarodowe braterstwa ludzi pracy."

W ostatniej części prospektu, zawierającej listę "nauczycieli-specjalistów" Instytutu Harmonijnego Rozwoju Człowieka, znalazłem swoje własne nazwisko, jak również nazwiska "Inżyniera" P. oraz J., który także należał do naszej grupy, ale w tym czasie mieszkał w Noworosyjsku i nie miał najmniejszego zamiaru udawać się do Tyflisu.

G. napisał w swoim liście, że przygotowuje balet "Walka Magów", i nie napomykając ani słowem o jakichkolwiek dawnych trudnościach, po prostu zaprosił mnie do przyjazdu do Tyflisu i do pracy z nim. Było to dla niego bardzo typowe. Ale z różnych przyczyn nie mogłem tam pojechać. Po pierwsze, istniały

bardzo poważne przeszkody materialne, a po drugie, trudności, które pojawiły się wcześniej w Jessientuki były dla mnie rzeczywiste. Moja decyzja opuszczenia G. bardzo dużo mnie kosztowała i nie mogłem tak łatwo się z niej wycofać, tym bardziej, że trzeba było najpierw poznać wszystkie jego motyw.

Muszę wyznać, że niezbyt entuzjastycznie odniosłem się do programu Instytutu Harmonijnego Rozwoju Człowieka. Oczywiście zdawałem sobie sprawę, że G. był zmuszony nadać swojej pracy jakąś zewnętrzną formę, która – tak jak to zrobił w Jessientuki – uwzględniałaby istniejące warunki. Wiedziałem też, że ta zewnętrzna forma przypominała na swój sposób karykaturę. Jednocześnie zdawałem sobie sprawę, że za zewnętrzną formą kryje się *ta sama sprawa* i że to nie mogło się zmienić. Wątpiłem tylko w swoją zdolność przystosowania się do tej zewnętrznej formy. Jednocześnie wierzyłem, że wkrótce będę musiał spotkać się z G.

P. przyjechał z Majkop do Jekatierinodar i wiele rozmawialiśmy na temat systemu i o samym G. P. nastawiony był bardzo negatywnie. Ale odniosłem wrażenie, że mój pogląd, iż należy oddzielać system od samego G., pozwolił mu lepiej zrozumieć sytuację.

Zacząłem coraz bardziej interesować się moimi własnymi grupami. Dostrzegłem w nich możliwość kontynuacji pracy. Idee systemu znajdowały oddźwięk i najwyraźniej odpowiadały na potrzeby ludzi, którzy chcieli pojąć, co dzieje się w nich samych i dokoła nich. A dokoła nas dobiegał końca ten krótki, mały epilog rosyjskiej historii, który tak bardzo przestraszył naszych przyjaciół i "sojuszników". Oczekiwało nas coś bardzo ponurego. Jesienią i na początku zimy przebywałem w Rostowie. Spotkałem tam dwie czy trzy osoby z grupy petersburskiej, a także Z., który przyjechał z Kijowa. Z., podobnie jak P., miał bardzo negatywne nastawienie do wszystkiego, co związane było z pracą. Zamieszkaliśmy wspólnie i zdawało się, że rozmowy ze mną pomogły mu zrewidować wiele poglądów i przekonały go, iż pierwotne oceny były słuszne. Postanowił dotrzeć do G. do Tyflisu. Ale nie dane mu było tego zrobić. Wyjechaliśmy z Rostowa prawie w tym samym czasie. Z. wyruszył dzień czy dwa po mnie, ale do Noworosyjska przyjechał już chory i w pierwszych dniach stycznia 1920 roku zmarł na ospę.

Wkrótce potem udało mi się wyjechać do Konstantynopola.

W tym czasie Konstantynopol pełny był Rosjan. Spotkałem tam znajomych z Petersburga i z ich pomocą zacząłem prowadzić wykłady w biurach "Rosyjskiego Majaka". Od razu zgromadziłem spore grono słuchaczy, które składało się głównie z młodych mężczyzn. Kontynuowałem zapoczątkowane w Rostowie i w Jekatierinodarze wykłady, w których ogólne idee psychologii i filozofii łączyłem z ideami ezoteryzmu.

Nie otrzymałem żadnych listów od G., ale byłem pewien, że się pojawi w

Konstantynopolu. I rzeczywiście w czerwcu przyjechał tam w towarzystwie dosyć dużej grupy ludzi.

W całej Rosji, nawet w najodleglejszych jej zakątkach, praca stała się niemożliwa i stopniowo zbliżał się czas, który przewidziałem jeszcze w Petersburgu, to znaczy czas pracy w Europie.

Bardzo ucieszyłem się ze spotkania z G. Osobiście wydawało mi się wówczas, że dla dobra pracy można odłożyć na bok wszystkie zaistniałe poprzednio trudności i że mógłbym ponownie pracować z G., tak jak w Petersburgu. Przyprowadziłem G. na moje wykłady i przekazałem w jego ręce wszystkich swoich słuchaczy, a w szczególności małą grupę liczącą około trzydziestu osób, która spotykała się na górze, w biurach "Majaka".

W tym czasie centralne miejsce w pracy G. zajmował balet "Walka Magów". Oprócz tego chciał on kontynuować w Konstantynopolu pracę Instytutu z Tyflisu. Główne miejsce zajmowałyby w nim tańce i ćwiczenia rytmiczne, przygotowujące ludzi do uczestnictwa w balecie. Chciał, by ten balet stał się szkołą. Opracowałem dla niego scenariusz baletu i zacząłem lepiej rozumieć jego koncepcję. Tańce i wszystkie inne elementy baletu wymagały długiego i specjalnego przygotowania. Ludzie, których przygotowywano do udziału w tym balecie, byliby zmuszeni poprzez tę pracę do poznawania siebie i do osiągnięcia kontroli nad sobą, zbliżając się w ten sposób do odkrycia wyższych form świadomości. Do baletu włączono, jako jego integralną część, tańce, ćwiczenia i ceremonie różnych zakonów derwiszów, a także wiele prawie nieznanych tańców wschodnich.

Był to bardzo ciekawy dla mnie okres. G. często mnie odwiedzał w Prinkipo. Chodziliśmy razem po konstantynopolskich bazarach. Odwiedziliśmy też derwiszów Mewlewi, a G. wyjaśnił mi wówczas coś, czego nie byłem do tej pory w stanie zrozumieć. Chodziło mianowicie o to, że wirowanie derwiszów Mewlewi jest ćwiczeniem umysłowym, opartym na liczeniu, podobnie jak ćwiczenia, które G. pokazywał nam w Jessientuki. Czasami pracowałem z nim nieustannie, dniami i nocami. Jedną z tych nocy, kiedy pracowaliśmy nad "tłumaczeniem" pieśni derwiszów do "Walki Magów", szczególnie utkwiła mi w pamięci. Ujrzałem wtedy G. jako artystę i jako poetę, których – w szczególności tego ostatniego – zawsze bardzo starannie w sobie ukrywał. Tłumaczenie polegało na tym, że G. przypominał sobie perskie wiersze, czasami powtarzając je ścisłym głosem, a następnie tłumaczył je dla mnie na rosyjski. Po jakichś piętnastu minutach, kiedy już zupełnie utonałem w morzu form, symboli i porównań, G. powiedział: "Dobrze, ujmij teraz to wszystko w *jednej linijce*". Nie próbowałem szukać rymów ani rytmu. Było to zupełnie niemożliwe. G. kontynuował pracę i po upływie kolejnych piętnastu minut powiedział: "to jest następna linijka". Siedzieliśmy razem do rana. Działo się to na ulicy Kumbaradzi, trochę poniżej dawnego konsulatu rosyjskiego. Miasto zaczęło się w końcu budzić. Myślę, że napisałem

pięć strof i na ostatniej linijce piątej strofy zatrzymałem się. Żaden wysiłek nie był w stanie pobudzić mojego mózgu do pracy. G. roześmiał się, ale on także był zmęczony i sam nie mógł już dalej pracować. Tak więc wiersz pozostał na zawsze nie dokończony, ponieważ G. nigdy więcej nie powrócił do tej pieśni.

Uplłynęły tak dwa albo trzy miesiące. W miarę możliwości pomagałem G. w organizowaniu jego Instytutu. Ale stopniowo zaczęły wyrastać przede mną te same trudności, co w Jessientuki. Tak że kiedy Instytut został otwarty – myślę, że było to w październiku – nie byłem w stanie dołączyć się do jego pracy. Aby nie przeszkadzać G. i nie doprowadzić do powstania rozłamu między tymi, którzy uczęszczali na moje wykłady, zakończyłem prowadzenie tych wykładów i przestałem przyjeżdżać do Konstantynopola.

Ale dwa miesiące później, gdy praca G. miała już solidniejszą bazę, znów zacząłem prowadzić wykłady w "Majaku" w Konstantynopolu i kontynuowałem je przez sześć kolejnych miesięcy. Od czasu do czasu odwiedzałem Instytut G., a czasami on przyjeżdżał do mnie do Prinkipo.

Nasze stosunki układały się bardzo dobrze. Wiosną zaproponował mi prowadzenie wykładów w jego Instytucie; rozpocząłem tam cotygodniowe wykłady, w których brał udział sam G., uzupełniając moje wyjaśnienia.

Na początku lata G. zamknął swój Instytut i przyjechał do Prinkipo. Mniej więcej w tym samym czasie szczegółowo przedstawiłem mu swój plan dotyczący książki, w której miałem zamiar opisać jego wykłady i rozmowy z Petersburga oraz opatrzyć je moimi własnymi komentarzami. G. wyraził na to zgodę i upoważnił mnie do napisania i opublikowania tej książki. Do tego czasu podporządkowywałem się obowiązującej wszystkim, generalnej zasadzie, która dotyczyła pracy z G. Zgodnie z tą zasadą, nikt pod żadnym pozorem nie miał prawa napisać, choćby tylko na swój własny użytek, czegokolwiek, co wiązało się z G., jego ideami lub też z ludźmi uczestniczącymi w pracy. Nie wolno było przechowywać listów ani notatek, a tym bardziej nie wolno było niczego takiego publikować. W ciągu pierwszych lat pracy G. kładł bardzo mocny nacisk na obowiązkowy charakter tej zasady i z założenia każdy, kto został przyjęty do pracy, obiecywał, iż nie będzie zapisywał (a tym bardziej publikował) niczego, co dotyczy G., bez uzyskania od niego specjalnego pozwolenia, nawet gdyby porzucił pracę z G.

Była to jedna z fundamentalnych reguł. Każda nowa przyłączająca się do nas osoba dowiadywała się o niej, i uważano tę regułę za podstawową i obowiązującą. Później jednak G. przyjął do swojej pracy ludzi, którzy nie zwracali na tę regułę uwagi i nie chcieli się do niej stosować. To wyjaśnia pojawienie się później opisów różnych okresów pracy z G.

Lato 1921 roku spędziłem w Konstantynopolu, a w sierpniu wyjechałem do Londynu. Przed moim wyjazdem G. zaproponował mi wspólny wyjazd do Niemiec, gdzie chciał otworzyć swój Instytut i przygotowywać swój balet. Ale ja

po pierwsze, nie wierzyłem w możliwość zorganizowania pracy w Niemczech, a po drugie, nie wierzyłem, że mógłbym pracować z G.

Wkrótce po moim przyjeździe do Londynu zacząłem prowadzić wykłady, które stanowiły kontynuację pracy rozpoczętej w Konstantynopolu i Jekatierinodarze. Dowiedziałem się, że G. wraz ze swojej grupą z Tyflisu i z moimi ludźmi z Konstantynopola, którzy postanowili się do niego przyłączyć, udał się do Niemiec. Próbował zorganizować pracę w Berlinie i w Dreźnie, i miał zamiar kupić pomieszczenia byłego Instytutu Dalcroze, znajdującego się w Hellerau, blisko Drezna. Ale nic z tego nie wyszło, a w związku z tym zakupem miały miejsce jakieś dziwne wydarzenia, które zakończyły się sprawą sądową. W lutym 1922 roku G. przyjechał do Londynu. Oczywiście od razu zaprosiłem go na moje wykłady i przedstawiłem wszystkim uczęszczającym na nie osobom. Tym razem moja postawa wobec niego była wyraźniej określona. Ciągle jeszcze wiele spodziewałem się po jego pracy i postanowiłem zrobić wszystko, co możliwe, by mu pomóc w zorganizowaniu Instytutu i w przygotowaniu baletu. Ale nie wierzyłem w możliwość mojej pracy z nim. Znowu przypomniałem sobie wszystkie dawne przeszkody, które zaczęły pojawiać się w Jessientuki. Tym razem pojawiły się one jeszcze przed jego przyjazdem.

Wyglądało na to, że G. włożył wiele wysiłku w realizację swoich planów. Najważniejsze było to, że pewna grupa ludzi – licząca około dwudziestu osób – została już przygotowana, tak że można było rozpocząć z nimi pracę. Prawie cała muzyka do baletu była już gotowa (dzięki współpracy z dobrze znanym kompozytorem). Zostały też dopracowane szczegóły organizacji samego Instytutu. Jednakże brakowało pieniędzy, aby wprowadzić to wszystko w życie. Wkrótce po przyjeździe G. powiedział, że myśli o otwarciu swojego Instytutu w Anglii. Wiele spośród przychodzących na moje wykłady osób zainteresowało się tym pomysłem; zrobiły one wśród siebie składkę na pokrycie kosztów tego przedsięwzięcia. Od razu przekazano G. pewną sumę pieniędzy, która miała być przeznaczona na przygotowanie przyjazdu całej jego grupy do Anglii. Ja dalej prowadziłem moje wykłady, nawiązując w nich do tego, co G. obwieścił podczas swojego pobytu w Londynie. Ale postanowiłem już, że jeśli Instytut zostanie otwarty w Londynie, to ja w takim wypadku wyjadę do Paryża albo do Ameryki. Instytut w Londynie w końcu otwarto, jednakże z rozmaitych powodów całe to przedsięwzięcie nie powiodło się. Ale moim londyńskim przyjaciółm i tym, którzy przychodzili na moje wykłady, udało się zebrać dla G. znaczną sumę pieniędzy, za który kupił zabytkowy zamek Prieure w Avon, niedaleko Fontainebleau, wraz z olbrzymim, opuszczonym parkiem; na jesieni 1922 roku otworzył tu swój Instytut. Zebrała się tam bardzo różnorodna grupa ludzi. Kilka osób pamiętało jeszcze Petersburg. Byli tam też uczniowie G. z Tyflisu, a także ludzie, którzy uczęszczali na moje wykłady w Konstantynopolu i w Londynie. Ci ostatni dzielili się na kilka grup. Według mnie niektórzy z nich zbyt pochopnie porzucili swoją pracę zawodową w Anglii, by towarzyszyć G. Nic nie mogłem im

jednak powiedzieć, ponieważ rozmawiali ze mną już po podjęciu decyzji. Obawiałem się, że spotka ich rozczarowanie, ponieważ praca G. wydawała mi się niedostatecznie zorganizowana, a zatem niestabilna. Ale jednocześnie nie mogłem być pewien własnych opinii i nie chciałem ingerować w ich plany, ponieważ gdyby wszystko się powiodło i moje obawy okazały się próżne, to bez wątpienia ich decyzja przyniosłaby im wtedy pożytek.

Wśród innych byli ci, którzy próbowali wcześniej pracować ze mną, ale z jakiegoś powodu odeszli ode mnie i myśleli teraz, że łatwiej będzie im się pracowało z G. Szczególnie pociągała ich idea odnalezienia, jak to nazywali, *skrót*. W takim wypadku oczywiście radziłem im, by udali się do Fontainbleau i pracowali tam z G. Byli też tacy, którzy przyjeżdżali do G. na krótki czas, na dwa tygodnie, na miesiąc. Byli to ludzie, którzy uczęszczali na moje wykłady i którzy sami nie chcieli podejmować decyzji, ale słysząc, że inni się na to decydują, przychodzili do mnie i pytali, czy powinni "wszystko porzucić" i pojechać do Fontainebleau, i czy jest to jedyna możliwa droga kontynuowania pracy. Odpowiadałem na to, że powinni poczekać do czasu, aż ja sam się tam wybiorę.

Do zamku Prieure po raz pierwszy przyjechałem pod koniec października albo na początku listopada 1922 roku. Odbywała się tam bardzo interesująca i ożywiona praca. Zbudowano pawilon tańców i ćwiczeń, zorganizowano prace gospodarcze, dom został doprowadzony do porządku. Ogólnie panowała bardzo dobra atmosfera, która robiła silne wrażenie.

Przypominam sobie jedną rozmowę z mieszkającą tam w owym czasie Katherine Mansfield. Miało to miejsce niecałe trzy tygodnie przed jej śmiercią. Ja sam podałem jej adres G. Przyszła na dwa czy trzy moje wykłady, po czym odwiedziła mnie, oznajmiając, że wyjeżdża do Paryża. Przebywał tam rosyjski lekarz, który leczył gruźlicę przez naświetlanie śledziony promieniami Roentgena. Nic oczywiście nie mogłem jej na ten temat powiedzieć. Już wtedy wydawała mi się na wpół martwa. I myślałem, że jest w pełni tego świadoma. Ale przy tym wszystkim uderzało mnie w niej dążenie do jak najlepszego wykorzystania nawet tych ostatnich dni i do odnalezienia prawdy, którą wyraźnie przeczuwała, ale której nie była w stanie dotknąć. Myślałem, że już nigdy jej nie zobaczę. Ale nie mogłem jej odmówić, gdy poprosiła mnie o adres moich przyjaciół w Paryżu, o adres ludzi, z którymi mogłaby rozmawiać o tych samych rzeczach, o których rozmawiała ze mną. Tak więc ponownie spotkałem się z nią w Prieure. Siedzieliśmy wieczorem w jednym z salonów, a ona mówiła słabym głosem, który jakby dobywał się z próżni, ale nie był pozbawiony uroku:

– Wiem, że jest to prawda i że żadna inna prawda nie istnieje. Wiesz o tym, że od dawna patrzyłam na nas wszystkich jak na ludzi z rozbitego statku, którzy zostali wyrzuceni na bezludną wyspę, ale którzy jeszcze nie zdają sobie z tego sprawy. Ale ludzie, którzy tutaj się znajdują, wiedzą o tym. Inni, tam, w życiu, ciągle myślą, że jutro przyplynie po nich parowiec i że wszystko będzie toczyć

się po staremu. Ci, którzy są tutaj, wiedzą już o tym, że nic nie będzie się toczyć po staremu. Bardzo się cieszę z tego, że mogę tutaj być.

Wkrótce po moim powrocie do Londynu dowiedziałem się o jej śmierci. G. był dla niej bardzo dobry, nie nalegał, żeby wyjechała, choć było jasne, że nie mogła żyć. Z upływem czasu pojawiło się wokół niego w związku z tym odpowiednio dużo insynuacji i oszczerstw.

W ciągu 1923 roku dosyć często jeździłem do Fontainebleau, to znaczy do Prieure.

Wkrótce po otwarciu Instytut przyciągnął uwagę prasy i przez miesiąc lub dwa francuskie i angielskie gazety pisały o G.; jego uczniów nazywano "leśnymi filozofami" i przeprowadzano z nimi wywiady, publikowano ich zdjęcia, itp.

Praca samego G. w tym okresie, to znaczy począwszy od roku 1922, poświęcona była głównie rozwojowi metod badania rytmu i plastyki. Przez cały ten czas G. nie przestawał pracować nad swoim baletem, włączając do niego tańce różnych zakonów derwiszów i sufich oraz przywołując z pamięci muzykę, której miał okazję słuchać w Azji wiele lat wcześniej. W tej pracy znalazło się sporo nowych i interesujących elementów. Tańce i muzyka derwiszów były niewątpliwie odtwarzane w Europie po raz pierwszy i wywierały one niezwykle silne wrażenie na wszystkich, którzy mieli okazję je usłyszeć i zobaczyć.

W Prieure przeprowadzano także bardzo intensywne ćwiczenia umysłowe na rozwój pamięci, uwagi i wyobraźni w połączeniu z ćwiczeniami polegającymi na "imitowaniu zjawisk psychicznych". Poza tym każdy miał bardzo dużo zajęć obowiązkowych związanych z utrzymaniem domu, które wykonywano bardzo intensywnie ze względu na tempo pracy i rozmaite inne warunki.

Spośród odbytych w tym czasie rozmów szczególnie utkwiła mi w pamięci jedna, dotycząca metod oddychania. I choć rozmowa ta, jak również wiele innych faktów, które wtedy miały miejsce, przeszła raczej nie zauważona, wskazała ona jednak możliwość spojrzenia na dany temat z całkowicie nowego punktu widzenia.

– Właściwe ćwiczenia – powiedział kiedyś G. – które prowadzą bezpośrednio do opanowania organizmu i do podporządkowania jego świadomych i nieświadomych funkcji woli, zaczynają się od ćwiczeń oddechowych. Bez opanowania oddychania nie można opanować niczego innego. Jednakże opanowanie oddychania nie jest wcale takie proste.

Musicie zdać sobie sprawę, że istnieją trzy rodzaje oddychania. Pierwsze to normalne oddychanie. Drugie to "nadymanie się". Trzecie to oddychanie, któremu towarzyszy ruch. Co to oznacza? Oznacza to, że normalne oddychanie odbywa się nieświadomie, że kieruje nim i kontroluje go centrum ruchowe. "Nadymanie się" jest oddychaniem sztucznym. Jeśli na przykład człowiek sobie powie, że będzie odliczał dziesięć wdechów i dziesięć wydechów, albo że będzie

wdychał powietrze przez prawe nozdrze, a wydychał przez lewe, to jego oddech znajdzie się pod kontrolą aparatu formatywnego. I samo oddychanie będzie tu inne, ponieważ centrum ruchowe i aparat formatywny działają za pomocą różnych grup mięśni. Grupy mięśni, poprzez które działa centrum ruchowe, nie są dostępne ani podporządkowane aparatowi formatywnemu. Ale w razie chwilowego zastoju centrum ruchowego aparat formatywny ma do swojej dyspozycji grupę mięśni, na które może wpływać i z pomocą których może wprowadzić w ruch mechanizm oddychania. Niemniej jego praca będzie oczywiście gorsza od pracy centrum ruchowego i nie może ona długo trwać. Czytaliście książki o "oddychaniu jogina", słyszeliście albo też czytaliście o specjalnym oddychaniu w klasztorach prawosławnych, związanym z "modlitwą umysłu". To wszystko jedno i to samo. Oddychanie, którym kieruje aparat formatywny, nie jest oddychaniem naturalnym, lecz "nadymaniem się". Idea jest następująca: jeśli człowiek dostatecznie długo i dostatecznie często oddycha za pomocą aparatu formatywnego, to wtedy centrum ruchowe, które nic przez ten cały czas nie robi, może zmęczyć się bezczynnością i zacząć pracować "naśladując" aparat formatywny. I rzeczywiście czasami się to zdarza. Ale do tego potrzebne jest spełnienie wielu warunków: konieczne są posty, modlitwa, niewielka ilość snu, a także wszelkiego rodzaju trudności oraz obciążenia dla ciała. Jeśli ciało jest dobrze traktowane, to nic takiego nie może się zdarzyć. Myślicie, że w klasztorach prawosławnych nie ma ćwiczeń fizycznych? Dobrze, spróbujcie zatem wykonać sto pokłonów zgodnie ze wszystkimi regułami. Od żadnej innej gimnastyki nigdy nie będą was tak bolały plecy.

Wszystko to zmierza do jednego celu: do podporządkowania oddychania odpowiednim mięśniom, do przekazania go centrum ruchowemu. I jak powiedziałem, czasami się to udaje. Ale zawsze istnieje duże ryzyko, że centrum ruchowe utraci nawyk prawidłowej pracy – ponieważ aparat formatywny nie może bez przerwy pracować, jak to się dzieje na przykład w czasie snu, a centrum ruchowe nie chce pracować – i maszyna może się znaleźć w bardzo kiepskiej sytuacji. Człowiek może nawet umrzeć z powodu zatrzymania się oddechu. Dezorganizacja funkcjonowania maszyny spowodowana ćwiczeniami oddechowymi jest prawie nieunikniona w wypadku, gdy ludzie próbują sami, bez właściwej instrukcji, wykonywać "ćwiczenia oddechowe" z książek. W Moskwie przychodziło do mnie wielu ludzi, którzy doprowadzili do całkowitej dezorganizacji funkcjonowanie swoich maszyn na skutek tak zwanego "oddychania jogina", którego nauczyli się z książek. Książki, które zalecają takie ćwiczenia, są bardzo niebezpieczne.

Przeniesienia oddychania spod kontroli aparatu formatywnego pod kontrolę centrum ruchowego nigdy nie mogą dokonać amatorzy. Aby to przejście mogło się odbyć, trzeba doprowadzić organizm do stadium najwyższego napięcia. Ale człowiek sam nigdy nie jest w stanie tego zrobić.

Jednakże, jak już powiedziałem, istnieje jeszcze trzecia droga: oddychanie przez

ruch. Ta trzecia droga wymaga wielkiej znajomości ludzkiej maszyny i stosuje ją się w szkołach, którymi kierują bardzo uczeni ludzie. W porównaniu do niej wszystkie inne metody są amatorstwem i nie można na nich polegać.

Podstawowa idea tej metody jest taka, że pewne ruchy i pozycje ciała mogą powodować określony rodzaj oddychania; i to także jest oddychanie *normalne*, a nie "nadymanie się". Trudność polega na tym, że należy wiedzieć, które ruchy i które pozycje wywołują określone oddychanie u *danego rodzaju ludzi*. To ostatnie jest szczególnie ważne, ponieważ z tego punktu widzenia ludzie dzielą się na kilka określonych typów, a każdy typ winien mieć swe własne określone ruchy, powodujące określony rodzaj oddychania, ponieważ ten sam ruch u różnych typów wywołuje różne oddychanie. Człowiek, który zna ruch wywołujący w nim określone oddychanie, jest w stanie sprawować kontrolę nad swoim organizmem i może w dowolnym momencie wprawić w ruch jedno albo drugie centrum, lub też spowodować zatrzymanie się centrum, które pracuje w danym momencie. Oczywiście znajomość tych ruchów i umiejętność kontrolowania ich, jak wszystko inne na świecie, ma swoje stopnie rozwoju. Człowiek może wiedzieć więcej lub mniej i może lepiej lub gorzej z tego korzystać. Tymczasem ważne jest tylko to, by zrozumieć zasadę.

I jest to szczególnie ważne w odniesieniu do poznawania w samym sobie podziału na centra. Już wcześniej parokrotnie o tym mówiliśmy. Musicie zrozumieć, że każde centrum dzieli się na trzy części, zgodnie ze wstępnym podziałem centrów na: "myślowe", "emocjonalne" i "ruchowe". Według tej samej zasady każda z tych części dzieli się z kolei na trzy następne. Oprócz tego już na samym początku każde centrum dzieli się na dwie części – dodatnią i ujemną. A we wszystkich częściach centrów znajdują się połączone ze sobą w różnych kierunkach grupy "rolek". To wyjaśnia różnice istniejące pomiędzy ludźmi, czyli to, co nazywa się "indywidualnością". Oczywiście nie ma czegoś takiego jak indywidualność, istnieją tylko różnice pomiędzy "rolkami" i skojarzeniami.

Rozmowa ta odbywała się w dużej stojącej w ogrodzie pracowni udekorowanej przez G. w stylu *tekkeh* derwiszów.

Objaśniewszy znaczenie różnych rodzajów oddychania, G. zaczął dzielić obecne osoby na trzy grupy według typów. Znajdowało się tam około czterdziestu ludzi. G. chciał zademonstrować, jak te same ruchy powodują u różnych osób różne "momenty oddychania" – na przykład wdech u jednych, a wydech u innych, a także jak różne ruchy i pozycje ciała mogą spowodować ten sam "moment oddychania": wdech, wydech i zatrzymanie oddechu.

Ale eksperymentu tego nie przeprowadzono do końca. I o ile wiem, G. nigdy do niego nie powrócił.

W tym okresie G. kilkakrotnie zapraszał mnie, abym przyjechał i zamieszkał w

Prieure. Bardzo mnie to kusiło. Ale pomimo całego mojego zainteresowania pracy G. nie mogłem znaleźć w niej miejsca dla siebie ani też nie rozumiałem jej kierunku. Jednocześnie nie mogłem nie widzieć – tak jak to dostrzegałem w 1918 roku w Jessientuki – że w organizacji całego tego przedsięwzięcia było wiele elementów destrukcyjnych i że musiało się to wszystko rozpaść.

W grudniu 1923 roku G. zorganizował w Theatre des Champs Elysees w Paryżu pokaz rytmicznych ruchów, tańców derwiszów i rozmaitych innych ćwiczeń.

Wkrótce po tym pokazie, na początku stycznia 1924 roku, G. wraz z niektórymi swoimi uczniami wyjechał do Ameryki z zamiarem zorganizowania tam wykładów i kolejnych pokazów.

W dniu wyjazdu G. znajdowałem się w Prieure. Wyjazd ten bardzo przypominał mi jego wyjazd z Jessientuki w 1918 roku i wszystko, co było z nim związane.

Po powrocie do Londynu oznajmiłem tym, którzy przyszli na moje: wykłady, że w przyszłości moja praca będzie prowadzona całkiem niezależnie -*w taki sposób, w jaki rozpocząłem ją w Londynie w 1921 roku.*